

SAM CHRISTER

BRACTWO CAMELOTU



Czy król Artur był tylko legendą?

KSIĄŻKĘ TĘ DEDYKUJĘ MOIM WYJĄTKOWYM PRZYJACIOŁOM,
A SĄ TO:

Andy Freeman, Maria Mares, Mike Monaghan, Vladimir Cucuz, Nattalia Azuul, Anna Ka, Hemanth Kumar, Astrid Burton, Michael Betts, Pablo Monti, Arn de Gothia, Maria Del Carmen Triadani, Arantzazu Herdera Peñate, Ana Rackovi, Sharmistha Ghosh, April Stone, Jeanette Holland, Emicar Barmaceda, Silvia Milzoni, Tony Emery, Patricia Connolly, Siladitya Basak, Roxana Popa, Christiana Pougoura, Shane Nelson, Serdal Aditepe, Henri Rantalankila, Nikki Petty, Andrew Evans, Barbora Vörösová, Sónia Alvers, Diana Vass, Aida Ali, Richard Dave Gomersall, Caroline Peruzzi, Sárka Merinek, Ivanescu Razvan, Tatiana Antic Jasic, Läle Oo, Eric Nelson, Emily Henshall, Negrea R. Cristian, Corrina Fawcett, Sneha Ravikumar, Cristina Ionela Bulea, Tom McMurdo, Tanaya Patankar Lampard, Elina Emilova Chausheva, John Dalton, Lara Larisimo, Ricardo del Valle, Nikolas Sofikitis, Marcel Kortekaas, Laura-Maria Borti, Cheryl Dalton, Rachel Taylor, Jose Luis Zenteno Cesar, Betka Nosková, Daniel Komor, David Vilhena Marquez, Susa Percival, Aja Tafilaj, Dawn Wylds, Sravan Kumar, Coen Raad De Kat, Julie Dring, Alina Coman, Denise Smith, Michelle Marchant, Ann Christin Siljan, Yve Fanor, Ana Velicaru, Pat Taylor, Natasha Kemmer, Anita Abramczuk, Kostas Iordanou, Corinne Mudd, David Price, Monika Nabrdalik, Paula Marland, Jorn Urup Nielsen, Ralph Siebenaler, Ray Stacey, Dawn Denson, Ilona Griffiths, Florence Ruffin, Debbie Ward Yexley, Sharon Wilson, Richie Shemilt, Marcel Kupka, Debbie Hyde Hart, Henriette Irving, Carole Wright, Terry Parrish, Jan Saunders, Sarah Nicholls, Adrian Titley, Leonie Dargent, Audrey Atkinson, Martin Elliott, Stuart Turner, Jamie Mileham, Niamh Dunlea, Danni Carr, Calum Murray, Rachel Hadingham, Pat Gough, Czar Ngaosi, Allwyn Jose, Lindsay Jane Chant, Sara Jackson, Nuno Silva, Casey Yandek, Paul Nuttall Royrogersmcfreely, Shane Barrett, Kay Podboj, Pam Scholl, Clare Davies, Belfast Dave, Jenny Wood, Sladjana Vasic, Prowting Leila,

Dilyana Dimitrova, Jackie Nash, Matthew O'Connor, Val Tunnicliffe, Dave Watson, Anna Ó Máille, Helen Branson, Paula Dixon, Valérie Navon, Fiona Gebbie, Carolina Camacho, Donna Rail, Evgeny Chirskov, Helen Turvey, Micka Sinette, Meyer Thorsen, Niels Søndergaard, Jovana Joe Tepavcevic, Amir Isakovi, Medina Kleine Maus, Sabrina Ikpodo Abnukta, Anne Sofie Sandholdt Jørgensen, Emma Kathryn Reitbauer, Rui Costa, Maria João Barros, Valérie Lascoux, Bas Peelen, Michael D. Gonzalez, Hilary Bancroft-Thain, Richard Shipman, Angela DeMarte Frear, Mark Womble, Nikola Nakov, Renzo S. P. Tomassi, Gareth Jones, Tantor Jane, Marija Kvajo, Čturić Paul Stafford, Margret Jonker, Jason Cr, Peter Van Den Bussche, Jude Thompson, Sherry Potter, Chris Parry, Keli Grejs, Pedro M. Baptista Costa, Alexandra Svjetska, Huiloo Ho, Denny Stribling, Sarah Diedrich, Carmen Forján, Julie March, Neville Dawkins, Aleksandar Ilic, Paul Bendon, Graham Smith, Dawn Bushell, David Taws, Danish Hasan, Gerrie King, Richard Daniels, Adam Stockwell, Lainey Everett, Theresa Bruton, Lukasz Semla, Sarah Bennett, Tim Busbey Sévana Topalian, Michele Cockram, Darryl Bastian.

Dziękuję wam wszystkim i każdemu z osobna.

PROLOG ZNAK KRWI

WALIA, WIELKA BRYTANIA

Senne rojenia starca rozdziera krzyk niewinnej ofiary.

Myrddin dźwiga swe chude jak szkielet ciało z drewnianej pryczy, która stoi pod wąską szczeliną okna w zamkowej komnacie na szczycie wschodniej baszty. Nie potrzebuje żadnego chronometru, by wiedzieć, że jest północ. Że bezbronną ziemię skąpaną w bladej księżycowej poświacie po raz kolejny ogarnia nawałnica zła.

Kieruje nim potężna siła.

Zarzuca na wątle ramiona błękitną szatę z grubej tkaniny i rusza w dół po krętych schodach. Na dole przystaje, by złapać oddech i przygotować się na to, co ma nastąpić.

I znów przemożna siła popycha go naprzód.

Przemierza pogrążony w mroku przedsionek i otwiera ciężkie drzwi w łukowato sklepionej framudze.

GALERIA ANTYKÓW

KENSINGTON, STAN MARYLAND

Krew z przebitego brzucha sączy się między palcami Amira Goldmana i skapuje na ciemny parkiet sklepu z antykami, który należy do niego od trzydziestu lat.

Stary wdowiec osuwa się na kolana. Wie, że umiera, i przepelnia go smutek. Nie dlatego, że przepadło mu tych kilka lat, jakie miał jeszcze przed sobą, ale z powodu utraconej szansy na spełnienie. Nie pozwolono mu, by jego przyziemne i smętne życie, w którym nigdy mu się nie przelewało, przyniosło jakikolwiek pożytek.

Zaledwie krok dzielił go od wielkiej sławy.

Gdyby nie okazał się zachłanny, w ogóle by do tego nie doszło. Mógłby dokonać transakcji, o której na światowym rynku antyków mówiono od stuleci. Jego nazwisko byłoby wymieniane obok takich znakomitości, jak Gildas Mędrzec, Thomas Mallory, Geoffrey z Monmouth i Chrétien de Troyes. Wielka tajemnica ujrzałaby światło dzienne, a on, Amir Emanuel Goldman, byłby jej odkrywcą.

I właśnie to, jak się domyślał, stało się przyczyną jego śmierci.

W Komnacie Proroctw panuje chłód. Jej idealnie okrągłe wnętrza oświetlają ustawione w półksiężycy świece, które wytopiono w tłuszczu zwierząt złożonych w ofierze.

Płomienie świec migocą, kiedy Myrddin wchodzi do środka. Starzec unosi wzrok ku sklepieniu, a potem jego spojrzenie omiata dwanaście wysokich okien ozdobionych niezwyklejmi witrażami. Każdy z nich przedstawia człowieka, który wiódł żywot równie mityczny, jak i on sam.

Podchodzi do wyrzeźbionej z irlandzkiego kamienia potężnej misy, która liczy przeszło pięć tysięcy lat. Pochyla się nad nią i spogląda na swoje odbicie – gęstą siwą brodę, długie włosy i otoczone pomarszczoną skórą wąskie szczeliny, niczym strzelnice w murze obronnym, z których wyzierają przenikliwe oczy.

Lustro wody zaczyna marszczyć się i drgać. Drobne fałdy na jego powierzchni zamieniają się w fale. Krynica Wiedzy dygoce w posadach z głuchym łoskotem. Myrddin z całych sił chwyta masywną kamienną krawędź, jakby chciał uchronić ją przed pęknięciem.

A więc tego chce moc. Jego.

Przez jego ręce i ramiona przenika nieokiełznana energia, wsącza się pod skórę i rozplywa wraz z krwią po całym ciele, wypełniając wszystkie narządy. Stopniowo przybiera na sile, aż starzec czuje, że zaraz rozsądzi go od środka. W jego głowie rozbłyska światło tak jaskrawe, że nie może go znieść.

Zaczyna się wizja. Teraz musi to przetrwać. Wytrzymać jej bolesną przejrzystość.

Człowiek, który ugodził nożem Amira Goldmana, klęczy obok niego.

– Nie walcz z tym – mówi, dotykając jego twarzy, jakby chciał go pocieszyć. – Za chwilę będzie po wszystkim.

Stary sklepikarz jest osłabiony i zamroczony. Jak przez mgłę widzi człowieka, który pochyla się nad nim i patrzy. Zabójca wstaje i cofa się o krok przed rosnącą na parkiecie kałużą krwi. Unosi rękę, by spojrzeć na zegarek, a potem znów nieruchomieje w cierpliwym wyczekiwaniu.

Amir czuje, że śmierć jest blisko. Podkurcza nogi i z wysiłkiem chwytając każdy haust powietrza. To jest jak ponura parodia narodzin. Leży zakrwawiony, w pozycji embrionalnej, jak przed siedemdziesięciu laty, kiedy przyszedł na świat. Stary szafkowy zegar tyka miarowo. Amir opuszcza znużone powieki i wsłuchuje się w ciszę między kolejnymi uderzeniami.

– Amirze?

Ból staje się coraz słabszy, jak gdyby rozpraszały go kojące ruchy wahadła. Przynoszą mu taką ulgę, jak dłonie jego żony, których dotyku nie doświadczył od dwudziestu lat.

– Żyjesz jeszcze, staruszkule?

Rozlega się dźwięk zegarowego gongu i Amir wydaje ostatnie tchnienie, które ulatuje z jego ust niczym ptak wypuszczony z klatki.

– Amirze?

Wahadło wciąż się kołysze, a on leży z zamkniętymi oczami. Dłoń żony gładzi jego twarz. Czuje na skórze jej dotyk. Tak długo czekał na jej pocałunki, na ciepło jej miłości.

Mosiężny dzwonek przy wejściu dźwięczy, kiedy zabójca Amira Goldmana otwiera drzwi i rozpływa się w mroku.

Śmierć nadciągała z oddali.

Myrddin widzi swego odwiecznego wroga na dalekim brzegu.

Jedzie na poruszającej się bezszelestnie brunatnej bestii, której kopyta nie wydają żadnych odgłosów, a paszcza w każdej z wielu głów jest tak potężna, że mogłaby w całości pochłonąć człowieka. W jego podstępnej dłoni lśni błękitne ostrze. Każde cięcie wypolerowanej stali zostawia po sobie rozplątane ciała i potoki krwi.

Myrddin czuje w sercu przeszywający ból. Chwyta się za pierś i pada na zimną podłogę, z trudem łapiąc oddech.

Wie, że musi ostrzec innych.

Tysiące kilometrów dalej zginął człowiek. Strażnik Czasu został zamordowany w Jaskini Przeszłości i Teraźniejszości.

Bramy zła znów stoją otworem. Zaczyna się czas krwawego żniwa.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Prawdziwą tajemnicą świata jest widzialne, a nie niewidzialne.

OSCAR WILDE

1

CENTRALA FBI

SAN FRANCISCO

Ponure tumany szarej mgły unoszące się nad zatoką pełną w kierunku stłoczonych na brzegu wysokich budynków.

Mitzi Fallon patrzy przez okno wieżowca, w którego przeszklonych trzewiach mieści się siedziba FBI.

– Niezła pogoda – odzywa się półgłosem, choć obok nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć jej słowa. – I po to przeniosłam się tutaj z Los Angeles? Żeby co rano błądzić we mgle, jak jakiś pieprzony goryl? Niech to szlag.

Przechodzący korytarzem ludzie oglądają się za ubraną w luźne szare spodnie i białą bluzkę ciemnowłosą kobietą, która mija ich, mamrocząc coś pod nosem i dźwigając kartonowe pudło ze swoimi rzeczami osobistymi.

Mitzi popycha ramieniem drzwi opatrzone napisem „Wydział Spraw Historycznych, Religijnych i Niewyjaśnionych” i wchodzi do niewielkiego pomieszczenia, w którym stoją cztery biurka. W kącie, za sięgającą od podłogi do sufitu ścianką działową z pleksiglasu, mieści się osobne maleńkie biuro. Stawia swoje rzeczy na pustym blacie i po raz kolejny zaczyna rozmyślać, dlaczego skazała na przeprowadzkę siebie i dwójkę dzieci, by zatrudnić się w „wydziale spraw niewytłumaczalnych”, jak potocznie mówi się o jej nowym miejscu pracy. Po części na jej decyzję wpłynęła perspektywa lepszych zarobków i dodatek na zagospodarowanie – niełatwo związać koniec z końcem, kiedy wychowuje się samotnie dwie nastolatki. Nie bez znaczenia była również okazja poszerzenia horyzontów i praca dla FBI w międzywydziałowej grupie operacyjnej. Ale tak naprawdę chodziło jej przede wszystkim o to, by zacząć wszystko od nowa. Wynieść się do innego miasta, byle dalej od Alfiego. Jej Alfiego. Alfiego Fallona, który kiedyś był miłością jej życia, lecz potem stał się alkoholikiem i damskim bokserem.

Trzydziestodziewięcioletnia porucznik Mitzi Fallon wypakowuje swoje rzeczy. Najpierw odwija z folii bąbelkowej kubek z nadrukiem „Najlepsza

mama świata”, potem wyjmuje z pudła komplet oprawionych w ramki fotografii swoich bliźniaczek – Amber i Jade. Cmoka z czułością wykonane w Disneylandzie ulubione zdjęcie, które przedstawia ją w towarzystwie dziewczynek, i dopiero potem umieszcza je na blacie.

Podchodzi do nieskazitelnie czystego biurka, na którym stoi tylko jeden przedmiot – cienka metalowa tabliczka, która informuje, że jego nieobecny użytkownik nazywa się Jonathan Bronty. Słyszała, że jedyny mężczyzna w wydziale był kiedyś księdzem w jednej z niebezpiecznych dzielnic Los Angeles.

No cóż, wielebny, jeżeli twoja dusza jest tak nieskalana jak to biurko, jestem pewna, że trafisz prosto do nieba, kiedy nadejdzie dzień sądu – myśli.

Na sąsiednim biurku piętrzą się sterty dokumentów i teczek z aktami. Obok rzędu książek stojącego niebezpiecznie blisko krawędzi znajduje się tabliczka, która obwieszcza, że jest to miejsce pracy Victorii Cantrell, analityka wydziałowego. Tuż obok stoi trzecie biurko, które, jak można wywnioskować z umieszczonej na nim metalowej wizytówki, należy do porucznik Eleonory Fracci.

Mitzi ogląda uważnie tubkę z drogim kremem do rąk, prześliczną apaszkę z brązowego jedwabiu od Achille Pinto i dwie małe rybki z kolorowego szkła, które służą jako przyciski do papieru. Sięga po oprawioną w srebrną ramkę fotografię. Przedstawia ona olśniewająco piękną kobietę w eleganckim mundurze włoskich karabinierów, obok której stoją niepozorni, lecz dumni rodzice.

Drzwi biura otwierają się i na progu staje szefowa wydziału, czterdziestoczteroletnia Sandra Donovan.

– Dziewczyna jak malowanie – mówi Mitzi, odkładając zdjęcie z powrotem na miejsce, i kiwa głową w stronę pudła ze swoimi rzeczami. – Chyba lepiej, jak będę siedziała tam, żeby nikt sobie nie pomyślał, że ja i śliczna Eleonora jesteśmy z jakiejś reklamy w stylu przed i po.

Na twarzy Donovan nie widać nawet cienia uśmiechu. Najwyraźniej

poczucie humoru ma tak samo bujne, jak przyszywane po męsku włosy.

– Dobrze, że przyszedłeś, chociaż spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

– Jeżeli to problem, bardzo chętnie wrócę do domu.

– Nie. Skoro figurujesz na liście płac, jesteś rozliczana w systemie godzinowym. Dział kadr jest tu zbędny. Chodź do mojego biura, tam będziemy mogły porozmawiać.

– Gdzie są wszyscy?

– W terenie. Nie wrócą do wieczora. To sprawa, z którą policja boryka się od jakiegoś czasu.

Mitzi idzie za swoją szefową do małego pomieszczenia za ścianką z dźwiękoszczelnego szkła.

– Coś interesującego?

– Być może. – Sarah Donovan wślizguje się za biurko i daje Mitzi znak, by ta usiadła. – Tydzień temu gliniarze znaleźli zwłoki kobiety zakopane w jej własnym ogródku na tyłach domu. Od tego czasu wydział zabójstw magluje jej męża.

– To wygląda na przemoc domową.

– Też tak myśleli. Ale jest w tym coś osobliwego. Technicy znaleźli na zwłokach liczne ślady nasienia i żadna z próbek nie pasuje do jej męża.

Mitzi marszczy brwi.

– Ale co ma do tego nasz wydział? Czy morderstwo ze zbiorowym gwałtem kwalifikuje się jako przestępstwo na tle religijnym albo historycznym?

Donovan po raz pierwszy się uśmiecha.

– Ofiara była wiedźmą. Najprawdziwszą kapłanką czarnej magii.

2

GALERIA ANTYKÓW, KENSINGTON, STAN MARYLAND

Paddy Fitzgerald, którego wszyscy nazywają Irlandczykiem, stoi przed sklepem z antykami przy Howard Avenue i je wielką kanapkę. U jego stóp stoi tekturowy kubek z czarną kawą, tak gorącą, że nie sposób jej utrzymać w ręku, a co dopiero pić.

Nie zamierza wchodzić do tej cuchnącej dziury, w której popełniono przestępstwo, dopóki nie dokończy śniadania. Leżący tam nieboszczyk kisił się przez cały weekend i, jak twierdzi jeden z techników kryminalistycznych, lata wokół niego tyle much, że mogłyby go postawić na równe nogi.

Calliphoridae. Irlandczyk nienawidzi ich z całego serca. Nienawidzi ich brzęczenia i uporu, z jakim latają wokół głowy, choćby opędzał się od nich jak wściekły.

Paddy posyła kilku mundurowych, żeby rozejrzeli się za świadkami, i sięga po kawę. Jest wciąż zbyt gorąca, więc odstawia kubek z powrotem na chodnik i obserwuje zbiegowisko, które powiększa się z każdą chwilą.

Tłum gapiów jest równie nachalny, jak brzęczący rój plujek. Nie mówiąc już o dziennikarzach. Ci krwio pijcy są jeszcze gorsi. Paddy jeży się na widok Tommy'ego Watsona, reportera kroniki kryminalnej „Washington Post”, słynącego z licznych przekłamań, których dopuszczał się, cytując na łamach gazety wypowiedzi policjantów.

– Hej, detektywie! – woła dziennikarz, wymachując ręką. – Poświęcisz mi chwilę?

Irlandczyk udaje, że go nie widzi. Strzepuje okruchy bułki z pomiętej niebieskiej koszuli, z której można wywnioskować, że poprzedniego wieczoru jadł na kolację klopsiki z sosem pomidorowym.

– Daj spokój, Irlandczyku, nie bądź taki! Masz dla mnie jakiś dobry tekst, który mógłbym opublikować w wydaniu internetowym?

– Tak, mam dla ciebie dobry tekst. Tommy Watson zna się na swojej robocie jak kura na pieprzu i gdyby nie posuwał najbrzydszej dupy na

posterunku, nie wiedziałby nawet, jak tu trafić.

– Pierdol się, poruczniku. – Tommy unosi środkowy palec.

– Ty się pierdol, mały fiutku – odcina się Irlandczyk, podnosząc głowę znad torby, z której wyciąga foliowy kombinezon i ochraniacze na buty. – A co, myślisz, że Duża Brenda nie opowiadała nam, co nosisz w spodniach?

Detektyw wybucha śmiechem i zaczyna nakładać strój ochronny.

Kiedy wchodzi do sklepu Goldmana, rozlega się dźwięk wiszącego nad drzwiami dzwoneczka, a tabliczka z napisem „Zamknięte” klekoce, uderzając o uzbrojoną metalową siatką szybę. Światło we wnętrzu ma brązowawy odcień nikotyny, jak gdyby nasiąkło taką barwą za sprawą długiego kontaktu z pociemniałym drewnem, kurzem i przeszłością. Parkiet wygina się i skrzypi pod nogami, gdy Irlandczyk kroczy ścieżką wytyczoną przez ekipę techników. W sklepie unosi się zapach woskowej pasty do polerowania mebli i środka do czyszczenia mosiądzu. I woń śmierci. Powietrze jest gęste od przyprawiającego o mdłości fetoru.

Młody fotograf stoi na niewysokiej aluminiowej drabince i robi zdjęcia zwłok. Stara się uchwycić je pod różnymi kątami – od strony wejścia, kontuaru z kasą, wystawy sklepowej i małej łazienki, w której sądząc po wyposażeniu, można również przyrządzać gorące napoje.

Lekarz sądowy, trzydziestotrzyletnia Cherrie Archer, klęczy obok trupa i przygląda się dokładnie jego dłoniom w poszukiwaniu ran odniesionych w trakcie prób odparcia ataku. Odrywa wzrok od sztywnych wykrzywionych palców, widząc, że Irlandczyk idzie w jej stronę, powłócząc nogami. Paddy Fitzgerald ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale wygląda na niższego, gdyż lekko się garbi. W jego ciemnych kręconych włosach srebrzą się nitki siwizny. Sprawia wrażenie, jakby ostatnią noc przespał w kartonowym pudle na ulicy. Przy każdym spotkaniu Cherrie przypomina sobie, że jeszcze pięć lat temu nie знаła nikogo, kto miałby bardziej przenikliwy umysł od niego.

A potem nastąpił ten wypadek. Coś, o czym do dziś nikt nie chce rozmawiać. Nie chodzi o to, że się rozwiódł i że zginął jego partner. Ani też

o to, że potem, jakby realizując jakiś stereotyp, Paddy zaczął pić, co doprowadziło go do kompletnej ruiny.

Stało się coś gorszego. Znacznie gorszego.

Cherrie wpycha kosmyk jasnych włosów pod biały kaptur foliowego kombinezonu.

– Właśnie zaczynam, detektywie. Chcesz się przyłączyć?

Kolana Irlandczyka strzykają, gdy klęka obok.

– To najlepsza propozycja, jaką dziś usłyszałem – odpowiada i zamyśla się na moment. – Jeśli mnie pamięć nie myli, jest to najlepsza propozycja, jaką otrzymałem w ciągu ostatniego roku.

3

WYDZIAŁ SPRAW NIEWYTLUMACZALNYCH, SAN FRANCISCO

Mitzi słyszy, jak nadchodzą korytarzem, śmiejąc się i żartując. Zachowują się jak koledzy z pracy, którzy czują się swobodnie we własnym gronie.

A ona czuje się jak typowa nowicjuszka. Jest pewna, że na początku wszyscy będą dla niej uprzedzająco mili. Potem ktoś zadzwoni do jakiegoś znajomego z Los Angeles i dowie się, że jej mąż ją maltretował. A jeszcze ktoś inny odkryje, że pewnego dnia przystawiła mu lufę do głowy i zadbała, żeby trafił za kratki i dostał sądowy zakaz zbliżania się do niej i dziewczynek.

– Cześć – mówi, gdy wchodzi do pokoju. – Jestem Mitzi Fallon z policji z Los Angeles.

Uśmiecha się i wyciąga rękę na powitanie.

– Jon Bronty – odzywa się mężczyzna o brązowych włosach. – Ludzie mówią do mnie po prostu Bronty.

Mitzi zauważa, że jej nowy kolega jest średniej budowy ciała i tylko nieznacznie przewyższa ją wzrostem. Ma około trzydziestki, jest wysportowany, ale nieprzesadnie umięśniony i pomimo staromodnych brązowych sztruksów i wymiętej zielonej koszuli nosi się z niewymuszoną swobodą, która może się podobać niektórym kobietom, a może i mężczyznom.

– A to jest Eleonora. Eleonora Fracci. – Bronty artykułuje nazwisko koleżanki z melodramatyczną emfazą.

– *Ciao, itzi.*

Brunetka, która na zdjęciu ma na sobie mundur karabinierów, jest teraz ubrana w blad różową bluzkę i krótką brązową spódniczkę, która eksponuje jej groteskowo umięśnione nogi.

– To się wymawia Mitzi, przez „M”. – Mitzi stara się zamaskować ton irytacji w swoim głosie. – Nie itzi, jak w „itsy bitsy”.

Włoszka wygląda na zmieszaną.

– M... itzi?

– Już lepiej.

Młoda niepozorna dziewczyna w dzinsach i koszulce z nadrukiem, który sugeruje, że jest wielbicielką serialu *Teoria wielkiego podrywu*, uśmiecha się, odsłaniając aparat ortodontyczny.

– Victoria Cantrell. Mów mi Vicky. Zajmuję się tutaj analizami naukowymi i parzeniem kawy – oznajmia z wyraźnym nowojorskim akcentem i śmieje się nerwowo. – W ogromnych ilościach. Oni wypijają codziennie morze kawy. Może i ty miałabyś ochotę?

Mitzi tak naprawdę ma ochotę na spory kieliszek wódki, która pomogłaby jej przetrwać tę ceremonię powitalną.

– Jasne. Świetny pomysł. Dziękuję.

Dziewczyna sprawia wrażenie zadowolonej.

– Jaką pijesz?

– Czarną bez cukru. – Mitzi klepie się wymownie po biodrach. – Muszę uważać na kalorie.

– Ćwiczenia to jedyny sposób na spalanie kalorii – wtrąca Eleonora. – Ja piję z cukrem i śmietanką, ale chodzę na siłownię. Też powinnaś spróbować.

– Skarbie, jedyne ćwiczenia, na jakie mam rano ochotę, mogłabym wykonywać z trenerem, byle był przystojny, bogaty i nie miał nic przeciwko moim nastoletnim córkom. – Mitzi obraca jedną z fotografii na swoim biurku. – To są moje spalacze kalorii.

W pokoju robi się cicho. Na tyle cicho, by Mitzi domyśliła się, że poza nią nikt z obecnych nie ma dzieci.

Sandra Donovan staje w drzwiach swojego szklanego boksu.

– Ładnie się bawicie, dziewczynki?

Mitzi i Eleonora przeszywają ją wzrokiem.

– No dobra – dodaje Sandra po chwili. – To może ktoś wprowadzi mnie w temat satanistów?

Bronty wyciska na dłoń zieloną kroplę żelu bakteriobójczego i zaczyna

odkazać sobie ręce.

– Szafa ofiary jest pełna akcesoriów do uprawiania czarnej magii – mówi. – Szaty, świece, księgi z zaklęciami.

– A u jej męża? – pyta Donovan.

– Kompletnie nic. Nie zajmował się tym, wręcz nie miał o niczym pojęcia.

– Bzdura – odezwała się Mitzi.

– Nie znasz sprawy – protestuje cierpkim tonem Eleonora.

– Nie muszę. Jeżeli była pod wpływem satanistów, mąż o tym wiedział. Na pewno dziwnie zachowywała się w łóżku. Możesz spytać jakiegoś żonatego faceta.

– Może ona faktycznie powinna zapoznać się z tą sprawą. – Sandra Donovan nie może się oprzeć zadowoleniu, widząc, że między jej podwładnymi dochodzi do tarć. – Daj jej notatki, Eleonoro – rozkazuje, a następnie zwraca się do Mitzi. – Ciekawa jestem, jakie wyciągniesz wnioski.

4

AMBASADA WIELKIEJ BRYTANII, WASZYNGTON

Ambasada brytyjska położona niespełna pięć kilometrów na północny zachód od Białego Domu zajmuje okazałą posesję, która sąsiaduje z Obserwatorium Astronomicznym Marynarki Wojennej i ośrodkiem badawczym Dumbarton Oaks słynącym ze swych studiów poświęconych cywilizacji bizantyjskiej.

Historyczny budynek stojący na północnym krańcu dzielnicy ambasad mieści siedem apartamentów, z których każdy został nazwany imieniem któregoś z poprzednich ambasadorów.

Obecny gospodarz rezydencji, sir Owain Gwyn, stoi cierpliwie na środku apartamentu Howarda i Halifaxa, podczas gdy lokaj pomaga mu się ubierać. Służący w średnim wieku musi skrupulatnie obejrzyć wszystkie elementy stroju, z których każdy został wykonany ręcznie przez zaufanego krawca, zanim wręczy je swemu pryncypałowi. Właśnie do niego należy sprawdzenie, kto prał, prasował i przewoził całą garderobę, nim z powrotem trafiła w jego ręce. To jednak dopiero początek rygorystycznej procedury. Większość ubrań odsyłano na prześwietlenie rentgenowskie, inne poddawano testom toksykologicznym, a wszystkie były dokładne omiatane ręcznym skanerem w poszukiwaniu miniaturowych nadajników, które mogły zostać ukryte w szwach.

– Pański pancerz, sir.

– Dziękuję, Jamesie.

Czterdziestodwuletni Owain wywodzi się ze starego walijskiego rodu i podobnie jak jego przodkowie jest roslym, barczystym i ciemnowłosym mężczyzną. Przy niemal dwóch metrach wzrostu ambasador Jej Królewskiej Mości w Ameryce musi się wykazać iście akrobatyczną sprawnością, by włożyć na siebie tę część garderoby. Choć na pierwszy rzut oka przypomina ona połączenie kamizelki i kalesonów, jest wykonana z grafenu, który ma taką odporność, że „nawet słoń w szpilkach nie byłby w stanie jej przebić”, jak zapewnia producent. Jednak ambasador wkłada

ten strój nie w obawie przed zostaniem stratowanym przez jakiegoś wielkiego ssaka, lecz dla ochrony przed pociskami i materiałami wybuchowymi.

– Wygodnie, sir?

Wymowne spojrzenie brązowych oczu Owaina wyraźnie daje do zrozumienia, że daleko mu do wygody.

Rozlega się brzęczący sygnał.

Na wiszącym nad drzwiami płaskim monitorze widnieje obraz z ośmiu kamer rozmieszczonych w różnych punktach rezydencji, z sąsiednim pokojem włącznie, w którym czeka wysoki mężczyzna o jasnych włosach ubrany w elegancki szary garnitur. Lokaj wie, że jego czas dobiegł końca.

– Obawiam się, że będziesz mi jeszcze dzisiaj potrzebny późnym popołudniem. Czeka mnie pożegnalna kolacja charytatywna.

– To żaden problem, sir. Czy nie będzie z mojej strony zbyt dużą śmiałością, jeśli pozwolę sobie powiedzieć coś osobistego?

– Wal śmiało.

– Jestem przekonany, że rządowi Stanów Zjednoczonych będzie pana brakowało. Dokonał pan tutaj wspaniałych rzeczy i było dla mnie wielkim zaszczytem służyć panu. Zostawia pan po sobie wielką lukę, sir.

– Na tydzień co najwyżej. Potem ktoś zajmie moje miejsce i wszyscy o mnie zapomną. Ale dziękuję ci za miłe słowa. A teraz powinienes już iść, żeby jak najlepiej wykorzystać tę resztkę czasu, jaka nam pozostała w Waszyngtonie.

Lokaj kłania się wytwornie, po czym równym żołnierskim krokiem podchodzi do drzwi i otwiera je przed ambasadorem.

– *Bore da* – Owain pozdrawia po walijsku Garetha Madoca, swego przyjaciela, którego zna od dzieciństwa i z którym służył w wojsku. – Masz trochę czasu i miejsca, by zjeść ze mną naleśniki? – dodaje, wykonując gest w stronę barku na kółkach, na którym przywieziono mu śniadanie.

Twarz dawnego towarzysza broni rozjaśnia uśmiech.

– Zawsze znajdę czas na naleśniki.

Wspólna przeszłość, która łączy tych dwóch mężczyzn, sięga czasów poprzedzających ich godności państwowe, kariery polityczne i placówki dyplomatyczne. Ma swój początek w zielonych dolinach Walii, gdzie obaj przyszli na świat jako potomkowie dwóch zbratanych ze sobą klanów, które żyły obok siebie i walczyły ramię w ramię, zanim jeszcze Rzymianie podbili Brytanię.

Madoc pochyła się i z dolnej półki wózka podnosi wiklinowy koszyk na pieczywo nakryty wykrochmaloną białą serwetą.

– Mała niespodzianka na śniadanie – mówi, po czym chwyta serwetę i zrywa ją jednym szarpnięciem jak magik pokazujący sztuczkę.

Owain spogląda na zawartość koszyka. Sięga po leżący w nim przedmiot i ujmuje go z nabożną czcią, obraca w pokrytych bliznami dłoniach, a potem składa na nim uroczysty pocałunek.

– Kto go znalazł? – pyta.

– George.

– A pozostałe?

– Nadal ani śladu.

Twarz Owaina wykrzywia grymas.

– Czy były jakieś ofiary?

– Niestety tak.

Ambasador wzdryga się i odkłada trzymany przedmiot z powrotem do koszyka.

– Czas mnie nagli. Proszę, zadbaj, aby to wróciło na właściwe miejsce. Dziś po południu musimy porozmawiać o tym, czego jeszcze nam brakuje i co powiedzieć innym, kiedy się z nimi spotkam.

5

NORTH BETHESDA, STAN MARYLAND

Irlandczyk po raz drugi łomocze do drzwi.

– Policja! Otwierać!

Odsuwa się na bok i odbezpiecza broń. Sophie Hudson jest tylko asystentką w sklepie Goldmana, ale w dniu zabójstwa zadzwoniła do pracy, by zawiadomić, że się rozchorowała. Jeżeli jest zamieszana w śmierć swojego szefa, Paddy może spodziewać się wszystkiego, jednak nie ma najmniejszej ochoty natknąć się w jej mieszkaniu na jakiegoś młokosa nafaszerowanego prochami i uzbrojonego w pistolet maszynowy.

Słysząc chrobotanie zamka i drzwi uchylają się na kilkanaście centymetrów.

– Nie zdejmę łańcucha, dopóki nie zobaczę jakiejś legitymacji – oświadcza zachrypły głos dobiegający z wewnątrz.

Irlandczyk wyjmuje odznakę i przystawia do szczeliny.

To może być gra na zwłokę, by zabójca zdążył wymknąć się przez okno i zbiec na ulicę po schodach przeciwpożarowych – myśli.

– No już, proszę otwierać, albo zrobię to sam!

Pomalowane na niebiesko tanie drzwi z płyty pilśniowej zatrząskują się, by po chwili otworzyć się na całą szerokość. Drobną kobietą w krótkiej koszuli nocnej cofa się parę kroków, żeby policjant mógł wejść do środka. Ma co najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu, jest trochę pulchna i sprawia wrażenie dezorientowanej. Bez makijażu i z zaczerwienionym nosem wygląda jak renifer Rudolf, a jej długie ciemne włosy są posplatane w cienkie warkoczyki.

– Sophie Hudson?

– Tak. O co chodzi?

– Porucznik Fitzgerald, wydział zabójstw. Pracuje pani u Goldmana w Kensington, prawda?

– Tak – odpowiada Sophie. Jest na tyle bystra, by się zorientować, że wydział zabójstw w połączeniu z nazwiskiem jej szefa oznacza coś złego. –

Czy z panem Goldmanem wszystko w porządku?

Irlandczyk przygląda się jej badawczo. Jest to ten moment, w którym zabójca lub jego wspólnik musi wspiąć się na wyżyny aktorskiego kunsztu, odgrywając niewinnego.

– Niestety nie. I już nie będzie. Z przykrością muszę panią powiadomić, że pan Goldman nie żyje.

Resztę szczegółów zachowuje w tajemnicy.

– O mój Boże. – Sophie unosi rękę i zakrywa dłonią szeroko otwarte usta. Wbija rozczapierzone palce w oparcie sofy, by zachować równowagę, a potem siada. Najwyraźniej zapomina, że ma na sobie tylko kuszą koszulę nocną, toteż Irlandczyk może zobaczyć więcej młodego kobiecego ciała, niż miał okazję oglądać od przeszło roku. Odwraca wzrok i robi kilka kroków w głąb mieszkania. Wchodzi do ciasnego aneksu kuchennego, gdzie nalewa wody do szklanki i podaje ją kobiecie.

– Dziękuję.

Sophie jest oszołomiona. Mija kilka sekund, zanim bierze od niego szklankę i stawia ją na stoliku. Potem z różowego pudełka w kwiatki wyciąga chusteczkę i wyciera nos. Irlandczyk widzi, że jest autentycznie przeziębiona. Nie oznacza to jednak, że nie ma nic wspólnego z morderstwem. Nawet zabójcy albo ich wspólnicy zapadają na gripę.

– Z nagrania na automatycznej sekretarce wynika, że zadzwoniła pani do sklepu w sobotę o siódmej rano – mówi Paddy, zaglądając do notesu. – Z informacją, że jest pani chora i nie przyjdzie do pracy.

Sophie unosi chusteczkę.

– Konałam przez cały weekend – odpowiada i nagle milknie jakby zawstydzona tą niezbyt stosowną do okoliczności przenośnią. – Przepraszam. Co się stało z panem Goldmanem?

– Został zamordowany w swoim sklepie. – Paddy bacznie wypatruje oznak napięcia na twarzy i dłoniach kobiety. – Zatem w sobotę wzięła pani wolne, ale jeszcze w piątek była pani w pracy. Do której?

– Wysłałam krótko po szesnastej. Puścił mnie wcześniej do domu, bo

byłam przeziębiona.

– To miło z jego strony. – Ton głosu Irlandczyka sugeruje, że wciąż nie jest do końca przekonany, czy asystentka ofiary mówi prawdę. – Czy tego dnia wydarzyło się coś niezwykłego? Coś, co przykuło pani uwagę?

Sophie przygryza paznokiec. Na jej twarzy widać wahanie.

– Powiedział, że ma ubić jakiś interes. Domyślam się, że chodziło mu o krzyż, który kupił.

– Co to za krzyż? Jakieś nazistowskie odznaczenie? Pamiątka z czasów wojny?

– Nie. Pan Goldman był Żydem. On by nie tknął niczego w tym rodzaju. To był chrześcijański krzyż.

– Katolicki czy po prostu chrześcijański?

Kobieta wstaje z sofy.

– Wykonałam szkic.

Podchodzi do leżącej w głębi pokoju torebki i wyjmuje z niej kartkę wyrwaną z notatnika, którą podaje Irlandczykowi. Policjant patrzy sceptycznie na rysunek.

– Po co pani to zrobiła?

Sophie wygląda na zakłopotaną.

– Pan Goldman ukrywał go przede mną i to mnie zaintrygowało – wyjaśnia. – Ale był zapominalski. Kiedyś poprosił mnie, żebym przyniosła mu coś z sejfu i wtedy zobaczyłam ten krzyż. Zdążyłam tylko rzucić na niego okiem, ale wydał mi się interesujący, stąd ten rysunek. Wygląda trochę dziwnie, nie sądzi pan?

Irlandczyk nie myśli jednak o krzyżu. Przeoczył sejf. Nie widział w sklepie żadnego sejfu, a zaglądał pod kontuar, obstukiwał boazerię i przeszukał dokładnie całe zaplecze.

– Wspomniała pani o sejfie. Czy chodzi o kasę pancerną, czy jakąś skrytkę w ścianie?

Sophie uśmiecha się po raz pierwszy od czasu, gdy usłyszała łomotanie do drzwi.

– Nie znalazł pan go?

– Nie.

– Pan Goldman byłby zadowolony. To nie jest typowy sejf. Jest wbudowany w ścianę i ukryty za starym zegarem.

6

SAN MATEO, STAN KALIFORNIA

Ruth Everett podlewa kwiaty rosnące na wielkim klombie, który zdobi wjazd na jej ośmiohektarowe ranczo. Poprzez tęczę w tryskającej z węża wodnej mgiełce zauważa zdezelowany samochód starszej siostry, który wzbija tuman kurzu na drodze.

Stosunki między nimi zawsze cechowały wzloty i upadki, a odkąd Mitzi wprowadziła się do niej z dziewczynkami, jest raczej gorzej niż lepiej. Ruth ma nadzieję, że jej siostra niedługo znajdzie sobie jakieś mieszkanie, dzięki czemu ona i Jack odzyskają swoją prywatność.

Obie kobiety odziedziczyły po matce ciemne włosy i wydatne kości policzkowe, a ich sylwetki charakteryzują „pełne kobiece kształty”, jak to określają łagodnie katalogi mody. Jednak Ruth jest opalona, wysportowana i wystrojona jak własna stylistka, podczas gdy Mitzi wygląda tak, jak gdyby ubierała się na wyprzedających.

Ruth patrzy, jak stary ford kombi zatrzymuje się na końcu podjazdu, a obłok brunatnego kurzu rozplywa się na tle nieskazitelnie błękitnego nieba. Jej siostra wysiada z samochodu i zatrzaskuje za sobą drzwi. Z okolicznych drzew podrywają się spłoszone ptaki, a nad krzewem budlei trzepoce skrzydełkami chmara motyli.

Ruth zakręca końcówkę węża i wychodzi siostrze naprzeciw.

– Jak poszło?

Mitzi zdejmuje niemodne okulary przeciwsłoneczne z policyjnego przydziału. Wygląda na zmęczoną.

– To się dopiero okaże. Jest tam były ksiądz z nerwicą natręctw, włoska wypindrzona sunia, która aż się prosi, żeby jej przyłożyć, i milutka dziewczynka, która robi gównianą kawę.

– Nie jesteś zbyt surowa?

– Tak, chyba jestem. W każdym razie mam taką nadzieję.

– A gdybym tak otworzyła butelkę wina?

– A gdybym tak podskoczyła z radości i zastukała obcasami

w powietrzu?

Ruth z uśmiechem wręcza siostrze wąż ogrodowy.

– Popryskaj jeszcze trochę, a ja pójdę do domu i się ogarnę.

– Jasne. – Mitzi odkręca zawór i kieruje na klomb zbyt silny strumień wody, ścinając kilka róż. – Gdzie są dziewczynki?

– Pojechały z Jackiem do miasta zrobić zakupy na grilla. Podejrzewam, że miały zamiar naciągnąć wujka na jakieś prezenty.

– Całkiem możliwe. Moje córki są zdolne do takich podstępów.

Ruth wchodzi do domu, a Mitzi zajmuje się polewaniem klombu – zrasza obficie różowe chryzantemy, zadziwiająco błękitne krzewy prusznika i żółte pąki róż. Ogarnia ją błogie uczucie. Zdaje sobie jednak sprawę, że po czasie spędzonym w tym domu na południowych obrzeżach San Francisco jej córkom będzie trudno przeprowadzić się do jakiejś rudery, na którą będzie ją stać. Dziewczynki jakoś się trzymają, a Jade nie sprawia już tylu problemów, co dawniej. Pierwszych kilka miesięcy po tym, jak Mitzi rozprawiła się z Alfiem, było trudne dla nich wszystkich, ale Jade zniosła to najgorzej. Zawsze była mocno związana z ojcem i nadal za nim tęskni. Mitzi przypuszcza, że kiedy minie trochę czasu, pozwoli dziewczynkom odwiedzać częściej tego odrażającego typu, ale teraz jeden weekend w miesiącu to wszystko, co potrafi znieść.

– A ty zesłałaś potop na moje kwiatki. – Ruth wychodzi z domu, niosąc dwa kieliszki białego wina.

Mitzi zakręca końcówkę węża i rzuca go na trawnik.

– Wybacz. Nigdy nie byłam dobra w uprawianiu roślin.

– Za to dobrze wychowałaś dziewczynki.

Mitzi bierze jeden z kieliszków i siada na zbielalej od słońca ławce.

– Tak myślisz?

– Tak. – Ruth stuka się z siostrą kieliszkiem i siada obok. – Szkoda, że po piętnastu latach małżeństwa nie dochowałam się dwójki takich wspaniałych dzieciaków.

– Ale masz to wszystko. – Mitzi omiata szerokim gestem rozległe

ranczo. – I możesz gościć moje córki, kiedy tylko zechcesz.

Ruth uśmiechnęła się.

– Tak przypuszczam. A co z waszym nowym domem?

– Przeglądałam dzisiaj gazety. Znalazłam dwa miejsca, w Serramonte i po drugiej stronie mostu w San Mateo, które zamierzam obejrzeć w ten weekend.

– Nie ma pośpiechu.

– Dziękuję. Ale działałam ci na nerwy. Widzę to. I dziewczynki powinny się przeprowadzić przed końcem wakacji, żebym mogła je zapisać do nowej szkoły – wyjaśnia Mitzi i spogląda w stronę podjazdu, na którym pojawia się SUV Jacka. – Wygląda na to, że już wracają.

Dopijają wino i ruszają w kierunku garażu, przed którym zatrzymuje się duży porsche cayenne. Otwierają się tylne drzwi i z samochodu wyskakują dziewczynki, wymachując pełnymi zakupów torbami.

– Wujek Jack kupił nam te trampki, które widziałyśmy! – woła Amber i otwiera jedną z toreb, pokazując matce jej zawartość. – Zobacz. To Prada.

– Są takie śliczne – dodaje Jade.

Mitzi jest zszokowana. Nie stać jej na jedną parę takich butów, a co dopiero na dwie.

– To naprawdę miłe z twojej strony, Jack. Rozpuszczasz je. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz uściśnij szwagra i opowiedz, jak się miewasz.

– W porządku. – Mitzi poddaje się uściskowi potężnych ramion Jacka, który przyciąga ją do siebie odrobinę za mocno i zbyt poufale, jak na jej gust.

– Rozpalmy grilla – mówi Jack z szerokim uśmiechem, wypuszczając ją z objęć.

Wyciąga z tyłu SUV-a cztery torby z zakupami spożywczymi i kierując się w stronę domu, puszcza oko do Mitzi.

7

GALERIA ANTYKÓW, KENSINGTON, STAN MARYLAND

Jest późne popołudnie, kiedy detektyw Fitzgerald w towarzystwie Sophie Hudson przybywa na miejsce zbrodni. Ulice są puste, a cienie na szerokich chodnikach zaczynają się rozmywać w świetle nadchodzącego wieczoru.

Zwłoki starego człowieka zabrano do kostnicy, a ekipa porządkowa starła z podłogi ślady krwi i wypędziła muchy. Umundurowany funkcjonariusz otwiera przed nimi drzwi sklepu. Wewnątrz unoszą się opary środków odkażających, ale Irlandczyk nadal wyczuwa woń śmierci.

Sophie przestępuje próg i zatacza się lekko.

– W porządku, zaraz stąd wyjdziemy. – Paddy otacza ją ramieniem, by dodać jej otuchy. – Proszę tylko otworzyć mi ten sejf.

Kobieta kiwa potakująco głową i opiera się na nim. Dziwne zapachy przyprawiają ją o dezorientację. Jej nozdrza drażni przyprawiający o mdłości słodkawy fetor, którego nie potrafi z niczym skojarzyć. Irlandczyk czuje, że z każdym krokiem jej obawy przybierają na sile.

Sophie przystaje i spogląda w dół. Podłoga w pobliżu kontuaru jest jaśniejsza niż gdzie indziej. Nie ulega wątpliwości, że drewniany parkiet został tutaj niedawno dokładnie wyszorowany. I właśnie stąd dochodzi ta dziwna woń.

Stoi jak wryta, nie mogąc się zdobyć na kolejny krok. Nie jest w stanie podejść bliżej do miejsca, w którym najwyraźniej rozegrała się cała tragedia.

Irlandczyk wyczuwa, że ciało Sophie sztywnieje.

– Chodźmy tamtędy – proponuje. – Możemy okrążyć to miejsce. Proszę nie spoglądać w dół, ja panią poprowadzę.

Kierowana przez policjanta, stąpając sztywno, przechodzi wzdłuż ściany i po chwili jest już za kontuarem. Dopiero stojąc obok kasy, uświadamia sobie, że przez cały czas wstrzymywała oddech. Wydaje z siebie przeciągłe westchnienie.

– Świetnie pani sobie radzi, Sophie – chwali ją Irlandczyk.

Jego uwagę przyciąga stary zegar. Potężna mahoniowa szafa przypomina trumnę, a biała tarcza wydaje się chłodna jak nagrobkowy marmur. Czarne metalowe wskazówki pokrywają misterne zdobienia, a na długim ramieniu kołysze się mosiężne wahadło.

Kobieta klęka i odsuwa prostokątny drewniany panel u podnóża zegarowej skrzyni. Wewnątrz mieści się niewielki sejf o wymiarach dwadzieścia na czterdzieści centymetrów. Wprowadza na klawiaturze sześciocyfrowy kod, słyszy znajome szczęknięcie i ciągnie pancerne drzwiczki. Wewnątrz znajdują się dwie długie szuflady sięgające przeszło pół metra w głąb ściany nośnej, w którą został wmurowany sejf i do której przytwierdzony jest zegar. Sophie wyjmuje obie szuflady, po czym wstaje i kładzie je na kontuarze.

– Nie ma go tutaj – oświadcza, podnosząc wzrok na Irlandczyka. – Krzyż zniknął.

8

REZYDENCJA AMBASADORA WIELKIEJ BRYTANII

W pedantycznie wypolerowanych lustrach, które wiszą na ścianach przestronnej i urządzonej z przepychem sali balowej, odbijają się olśniewająco wystrojone sylwetki ponad dwustu najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na świecie.

Sir Owain Gwyn nalegał, aby jego pożegnalny bankiet miał również charakter dobroczynny, dlatego wszyscy sławni aktorzy, muzycy, politycy, magnaci prasowi i sportowcy musieli kupić bilety po dziesięć tysięcy dolarów, z których dochód miał zostać przeznaczony na pomoc dla niepełnosprawnych i bezdomnych.

Niski ton mosiężnego gongu kieruje uwagę zebranych na niewielkie podium, na którym stoi wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, Connor Anderson.

– Proszę się nie obawiać, moje przemówienie będzie bardzo zwięzłe – zaczyna pięćdziesięcioletni siwowłosy Teksaszczyk i czeka przez chwilę, aż ucichną ostatnie szmery na sali. – Sir Owain opuszcza nas, by dalej służyć Jej Królewskiej Mości. Brak mi słów, by należycie mu podziękować w imieniu amerykańskiego rządu oraz naszych obywateli za to wszystko, czego dokonał, wypełniając swoje obowiązki w tym kraju. Twoja sztuka dyplomacji i ciężka praca na zawsze pozostaną w naszej pamięci. Sprawiliś, że relacje między naszymi krajami stały się jeszcze bardziej wyjątkowe. Ale ty i ja, jak również prezydent Renton, który bardzo żałuje, że nie mógł się tu dziś pojawić, doskonale wiemy, że osiągnąłeś znacznie więcej, jednak ze względów bezpieczeństwa nie możemy o tym mówić. Panie i panowie, o niezwykłości tego człowieka świadczy fakt, że to, co robił w ukryciu, bez rozgłosu i zaszczytów, przyćmiewa naszą pracę, którą większość z nas wykonuje publicznie, licząc na uznanie. Ambasadorze, wznosimy toast na twoją cześć. Dziękujemy ci z całego serca za wszystko, co zrobiłeś, i życzymy wielkich sukcesów na nowej placówce.

W sali rozlegają się gromkie okrzyki. Podczas gdy wszyscy obecni biją

brawo, wiceprezydent obraca się do swojego asystenta, który na aksamitnej poduszce trzyma połyskujące złotem, bielą i czerwienią odznaczenie.

– W imieniu Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych mam zaszczyt odznaczyć cię Legią Zasługi za twoje wybitne osiągnięcia i chwalebną służbę.

Anderson unosi wysoko order zawieszony na purpurowej wstążce i przy wtórze jeszcze głośniejszych braw zakłada go na szyję brytyjskiemu szlachcicowi, który pochyła przed nim głowę. Mija minuta, nim owacje cichną na dobre.

Ciemnowłosy dyplomata ujmuje w dłonie odznaczenie, jedno z najwyższych, jakie w Stanach Zjednoczonych przyznaje się cudzoziemcom.

– To jest raczej niezwykle jak na Walińczyka, że odjęło mi mowę – zaczyna Owain, mrużąc brązowe oczy w blasku fleszy. – Zawsze będę cenił to odznaczenie, jak również piękne wspomnienia, które jutro wieczorem zabiorę do Wielkiej Brytanii. Opuszczę kraj, który stał się moim drugim domem i który szczerze pokochałem. Przodkowie rodziny Gwynów żyli tutaj, odkąd *Mayflower* przybił do brzegu. Zapewniam was, że nawet kiedy znajdę się tysiące kilometrów stąd, Ameryka i jej wspaniali mieszkańcy pozostaną bliscy memu sercu. Dziękuję wam. A teraz życzę miłej zabawy.

Orkiestra zaczyna grać taneczną melodię, niemal zagłuszając oklaski, które rozlegają się, gdy Owain Gwyn schodzi z podium. Gareth Madoc, który pełni również funkcję prawej ręki ambasadora, odciąga go na stronę i zasłaniając dłonią usta, aby nikt nie odczytał jego słów z ruchu warg, przekazuje mu ważną wiadomość.

– Mamy nowe doniesienia na temat ataku terrorystycznego.

– Gdzie?

– Tutaj, w Ameryce. Ściśle mówiąc, w Nowym Jorku.

Owain rozgląda się po sali balowej.

– Więc nie powinienem jutro wracać, tylko zostać tutaj. Możemy przełożyć termin mojego spotkania.

– Nie – sprzeciwia się Gareth. – Ważne jest, żebyś trzymał się planu.

– Dlaczego?

– Odnalezienie krzyża pociągnęło za sobą pewne komplikacje – odpowiada Madoc po chwili wahania.

– Śmierć tego staruszka?

– Tak. Uwierz mi, będzie najlepiej, jeżeli znajdziesz się daleko stąd, gdy to się zacznie.

9

SAN MATEO, KALIFORNIA

Dziewczynki w końcu zasnęły, a Ruth i Jack poszli do swojej sypialni.

Mitzi ma na sobie piżamę ze świnką Piggy, którą dostała na Gwiazdkę, ale jeszcze nie jest gotowa, by udać się na spoczynek. Przez ostatnie dwie godziny usiłowała zgłębić sprawę zagadkowego morderstwa wiedźmy. Wertowała akta, które dała jej Donovan, i przestawała już cokolwiek rozumieć. Słowa, na które patrzy, wydają się pozbawione sensu.

Po cichu schodzi na dół i napełnia szklanekę chłodną wodą z dozownika wbudowanego w drzwi lodówki, która stanowi zgrabnie wpasowany w kąt element wystroju luksusowej kuchni Ruth. Wychodzi na patio i od razu znajduje się w zasięgu fotokomórki, która włącza lampę przed domem. Jej blask wydobywa z mroku wielkie sekwoje i dęby stojące niczym wartownicy na skraju posesji. Słuchając cykania świerszczy, Mitzi patrzy na rozległy trawnik ozdobiony ukwieconymi klombami, wśród których rośnie kilka krzewów laurowych i szerokolistny klon.

Prowadzące na patio drzwi rozsuwają się i staje w nich Jack. Ma na sobie tylko bokserki, a jego owłosiony brzuch zwiesza się nad naprężoną tkaniną.

– Niech zgadnę: tak się rozpałałaś, myśląc o mnie, że musiałaś tu zejść, żeby się ochłodzić?

Szczerzy zęby w uśmiechu i opada na drewniany leżak obok niej. W mięsistej dłoni trzyma świeżo otwartą butelkę piwa, na której lśnią kropelki rosy.

– Chciałbyś.

Mitzi ma wielką nadzieję, że w jego głowie nie roi się nic głupiego. Jack rozciąga się na leżaku i kołysze butelką w uniesionej ręce.

– Chcesz trochę?

Mitzi zauważa, że jej szwagier jeszcze nie zdążył wytrzeźwieć od kolacji. Pokazuje mu szklanekę z wodą.

– Dziękuję, to mi wystarczy – odpowiada i wyciąga dłoń w stronę

trawnika. – W nocy wasz ogród wygląda tak samo pięknie, jak za dnia.

Jack obraca się na leżaku i patrzy jej w oczy.

– Ty również.

Mitzi wybucha śmiechem.

– Chyba za dużo wypieś.

– Mówię poważnie, Mitz. – Jack chwyta ją za rękę. – Zawsze mnie pociągałaś. Nawet kiedy poznałem Ruthy, tak naprawdę chciałem być z tobą.

Mitzi uwalnia rękę z jego dłoni i podnosi się z leżaka.

– Umówmy się, że nigdy tego nie słyszałam.

Jack również wstaje i zagraża jej drogę do drzwi.

– Dlaczego? Nie mów mi, że nie czujesz tego samego. Widziałem, jak na mnie patrzysz. Zawsze tak na mnie patrzyłaś.

– Odsuń się, Jack. Cokolwiek widziałeś, to wytwór twojej wyobraźni.

– Hej – mówi Jack urażonym tonem. – Taka kobieta jak ty powinna być wdzięczna, że ktoś taki okazuje jej zainteresowanie.

Mitzi nie wierzy własnym uszom.

– Co?

Jack zbliża się do niej i kładzie dłoń na jej policzku. Mitzi czuje na twarzy jego cuchnący piwem oddech.

– Jestem dobry dla ciebie i twoich córek, więc nic by ci się nie stało, gdybyś okazała mi trochę wdzięczności. – Jack obejmuje ją i przyciąga do siebie.

Mitzi uwalnia ręce z jego uścisku i odpycha go.

– To się nigdy nie stało.

– A powinno.

Jack próbuje znów ją chwycić. Mitzi łapie jego nadgarstek, wykręca mu rękę do tyłu i rzuca nim o ścianę. Potem mocnym kopnięciem rozsuwa szeroko jego nogi.

– Niczego takiego nie było, Jack. – Mitzi podciąga wyżej ramię szwagra, który jęczy z bólu. – Niczego do mnie nie mówiłeś i nigdy nie

zakończyliśmy tego w taki sposób.

Po kolejnym kopnięciu jego nogi rozjeżdżają się jeszcze szerzej i mężczyzna sunie twarzą po ceglanej ścianie. Mitzi puszcza go, wraca do salonu i zamyka za sobą drzwi na taras. Przy schodach przystaje i ogląda się w jego stronę, a potem wraca do swojej sypialni.

Po drodze nie zauważa jednak swojej siostry, która stojąc w kącie salonu, ukryta w mroku obserwowała ich obydwójce.

KENSINGTON, STAN MARYLAND

Irlandczyk siedzi samotnie przy barze i popija whisky. Nie zawraca sobie głowy jedzeniem i ani myśli wracać do domu.

Ma ochotę zalać się do nieprzytomności.

Potrzebuje alkoholu, by wypłukać z siebie toksyny zbrodni. By wymazać z pamięci widok starca o wytrzeszczonych martwych oczach i rozprutym brzuchu, w którym wiją się białe larwy much. A musi to zrobić szybko, zanim pęknie wąż zapała w jego głowie, uwalniając inny koszmar. Przerażające wspomnienia sprzed ośmiu lat.

Osiem lat minęło od tamtego dnia, gdy wziął głęboki oddech i uniósł wieko chłodziarki, która stała w piwnicy domu podejrzanego. Spodziewał się najgorszego. Wiedział, że może być nieciekawie, ale nic nie było w stanie przygotować go na to, co znalazł w środku.

– Jeszcze – odzywa się opryskliwym tonem, uderzając szklaneczką o blat baru. – Podwójną.

Doświadczenie podpowiada barmanowi, że nie ma co liczyć na dobre maniery. Wie, że następnego wieczoru, kiedy Irlandczyk wytrzeźwieje, przyjdzie go przeprosić i da mu sowity napiwek. Od niewielu klientów może oczekiwać czegoś podobnego.

Gliniarz unosi dłoń, by wyrazić swoje uznanie na widok kolejnej szklaneczki wypełnionej bursztynowym płynem. Nadal jednak widzi wszystko zbyt wyraźnie. Czuje na wargach cierpki smak dziesięcioletniej slaney malt. Alkohol rozpala jego przełyk niczym strumień lawy i napełnia żołądek kojącym ciepłem.

Przed oczyma jego wyobraźni pojawia się twarz Sophie Hudson i w tym momencie gliniarz uświadamia sobie, że zaginął krzyż. Jak można dać się zabić za jakiś krucyfiks? Jak wiele musiał być on wart? Kto kupiłby taką rzecz i w jakim celu?

Paddy czuje, że wierci go w nosie, więc sięga do kieszeni po chusteczkę. Kichnięcie jest tak silne, że pozostawia krwawe ślady na brudnym

i wymiętym skrawku bawełnianej tkaniny. Musiał się zarazić od tej cholernej asystentki Goldmana. Nie ma najmniejszej ochoty rozchorować się na gripę. Znów uderza dnem pustej szklanki o bar.

– Jeszcze!

Barman spogląda na niego spode łba i nalewa mu następną kolejkę. Irlandczyk unosi wysoko rękę ze szklanką jak do toastu.

– Amirze Emmanuelu Goldmanie, niech Bóg ma cię w swojej opiece i...
– zawiesza głos, szukając odpowiednich słów – ...i niech ten parszywy gnojek, który cię zabił, smaży się w piekle.

Jednym haustem wlewa w siebie zawartość szklanki, odstawia ją z hukiem i czeka. Whisky wlewa się do jego żołądka, który rozpala się jak krater wulkanu. Głowa zaczyna mu ciążyć i kiwa się na boki. Obraz przed oczami staje się rozmyty, a język sztywnieje.

Ogarnia go stan pijackiego upojenia. Nareszcie. Przychodzi strasznie późno, ale zawsze jest mile widziany, jak najserdeczniejszy przyjaciel. Irlandczyk wyjmuje z kieszeni zwitek banknotów, wyłuskuje kilka z nich i rzuca je niedbale na bar. Potem niezdarnie zsuwa się na podłogę z wysokiego stołka i chwiejnym krokiem podąża w stronę drzwi.

Już wie, że mu się udało. Wieko lodówki pozostanie na swoim miejscu, a on przetrwa kolejną noc.

WALIA

Przyciąganie księżyca ma potężną moc. Rządzi przyływami i odpływami. Słucha go fala przyboju, która pędząc, uderza o brzeg, by potem odpełznąć z powrotem do morza.

Myrddin czuje ten nieodparty zew, kiedy stąpa nieporadnie po krętych schodach starej wieży. Jego bose, wykrzywione artretyzmem stopy plaskają na zimnych kamiennych stopniach. Kościstymi dłońmi o pomarszczonej skórze rozczesuje mlecznobiałe włosy, które gęsto porastają jego twarz i głowę.

Znów coś go obudziło, gwałtownie wyrwało z głębokiego snu w środku nocy. W jego głowie roi się od wątpliwości i demonicznych lęków.

Chrapliwy odgłos kaszlu, który wyrwał się z jego piersi, odbija się echem od pogrążonych w mroku kamiennych ścian i sklepień. Popycha ciężkie drzwi Komnaty Proroctw i z lubością wsłuchuje się w skrzypienie dębowego drewna, a potem metaliczny szczęk zapadki, gdy zatrzaskują się za jego plecami.

To jego komnata. Prócz niego nikt tutaj nigdy nie wchodził. Tylko on potrafi odczytać znaczenie wizji nawiedzających go w tym świętym miejscu, nad Krynica Wiedzy, pod którą kryje się grób wielkiego człowieka.

Kiedy idzie, zwiewne fałdy jego błękitnej, bogato zdobionej szaty powiewają z szelestem, wprawiając w ruch zatęchłe powietrze. Opierając długie palce na obrzeżu kamiennej misy, starzec pochyla się i wyteża wzrok, jakby patrzył w głąb otchłani.

Niezmacona toń zaczyna drgać. Na pomarszczonej powierzchni wody wróżbita dostrzega różne kształty, które na podobieństwo chmur na burzowym niebie kłębią się i wirują, rozrastają się i znikają, jak gdyby jakieś monstrualne czarne ptaszysko rozrywało je na kawałki i pożerało.

Pomiędzy dryfującymi kłębami szarych obłoków starzec widzi kobietę o dwóch obliczach. Stoi nad brzegiem wielkiego jeziora, w cichej kryjówce

pośród nieprzebytych lasów, gdzie czeka, aż odnajdzie ją ten jeden jedyny. Przepęlnia ją miłość i niepewność, w jej sercu promienieje słońce, a głowę zalewa srebrzysta poświata księżycowej nocy.

Pod starcem uginają się nogi. Pojmuje sens objawienia. Wie, kim jest kobieta i wobec kogo dopuści się zdrady. Zdaje sobie sprawę, jakie będą konsekwencje tego postępuku.

Mroczna siła wysysa powietrze z jego płuc i gasi zmysły w jego głowie. Starzec powoli osuwa się na kamienną posadzkę. Cały świat wokół niego kołysze się i Myrddin odpływa w czarną otchłań jak łódka unoszona w nieznane przez fale oceanu.

WYDZIAŁ SPRAW NIEWYTŁUMACZALNYCH, SAN FRANCISCO

Kiedy Mitzi jedzie do pracy, prawie całe miasto jeszcze śpi. Jest zadowolona, że uda się jej zdążyć przed godzinami szczytu. Przejeżdża przez wielki czerwony most, który o tej porze świeci pustkami, przez co wydaje się jeszcze potężniejszy. Najbardziej jednak cieszy ją to, że nie musi zaczynać dnia od krępującego spotkania z Jackiem.

Przez większość nocy zastanawiała się, czy powinna o całym zajściu opowiedzieć siostrze. Tylko co miałaby jej powiedzieć? Że jej mąż dobierał się do niej po pijanemu i wyznał jej, że zawsze podobała mu się bardziej niż Ruth? Bez wątpienia zrujnowałoby to ich małżeństwo i doprowadziło do rozdźwięku między nią a siostrą. Pozostawała jej nadzieja, że zdołała przemówić szwagrowi do rozsądku.

Mitzi stawia na biurku kubek z kawą i włącza komputer. W zapchanej spamem skrzynce mailowej odnajduje kilka wiadomości od kolegów z dawnej pracy, którzy życzą jej powodzenia na nowej posadzie.

Zanim przystąpi do pracy, przegląda stronę „Huffington Post”. Czyta nagłówki artykułów – „Wiązanie partnera dla początkujących”, „Dziesięć powodów, dla których kobiety przepadają za łobuzami” i „Jak pozbyć się nadwagi, nosząc gumowe majtki”. Mitzi przewija stronę do początku, ignorując sensacyjną metodę odchudzania – musiałaby założyć oponę od ciężarówki, żeby zrzucić tyle kilogramów, ile by chciała. Łobuzów woli się wystrzegać jak ognia i jest absolutnie pewna, że nie ma najmniejszej ochoty leżeć z nadgarstkami skrępowanymi folią do pakowania żywności, wypinając pośladki, by za pięćdziesiąt dolarów jakiś zamaskowany osobnik wymierzał jej klapsy drewnianą paletką.

Mija godzina i z korytarza dobiega odgłos rozmowy.

W drzwiach staje Eleonora. Z wilgotnymi włosami i bez makijażu. Jest ubrana od stóp do głów w ciuchy od Fendiego. Ma na sobie wciętą w talii zielonkawą bluzę w militarnym stylu, a obcisłe spodnie bez paska przylegają idealnie do jej nóg. Jej krzykliwie żółta torebka harmonizuje

z bluzką w podobnym kolorze. W rękę trzyma telefon i nie przerywając rozmowy, rzuca na podłogę obok biurka stylową torbę treningową z nadrukiem firmy Diadora.

Mitzi przeklina pod nosem. Nie podoba się jej, że Eleonora wygląda tak atrakcyjnie.

Włoszka kończy rozmowę i spogląda zza biurka.

– *Buongiorno, itzi*. Jak się masz?

– Moje imię brzmi „Mitzi”. „M” jak „matkojebca”, plus „itzi”. Mitzi, teraz odróżniasz?

Eleonora parska śmiechem.

– Przepraszam cię, M jak Mitzi. No to jak się miewasz?

– Dobrze. A ty, jak się domyślam, właśnie wracasz z siłowni i czujesz się wręcz bosko.

– Nie, czuję się wypluta. Jak zawsze po ćwiczeniach. Czy wiesz, że Michelle Obama chodzi na siłownię codziennie o wpół do piątej nad ranem?

– Nawet wolę sobie nie wyobrażać, że miałabym dokądś iść o takiej porze.

Eleonora przeczesuje palcami mokre włosy.

– Chyba wyglądam okropnie, co?

– Żałuję, że nie mogę przyznać ci racji, ale wyglądasz tak, jakbyś zaraz miała się rozebrać do sesji dla „Sports Illustrated”.

– To jakiś magazyn?

– Tak. Faceci twierdzą, że kupują go ze względu na artykuły, ale nikt w to nie wierzy.

Twarz Eleonory rozjaśnia ironiczny uśmiech.

– Ach, teraz rozumiem. Mężczyźni to takie nieskomplikowane istoty – mówi i sięga po swoją jaskrawą torebkę. – Idę do toalety, a potem muszę napić się kawy, zanim pojawi się Bronty. Masz ochotę wybrać się z nami?

– A dokąd?

– Bronty zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Poznał pewnego księdza, a ten przedstawił go komuś, kto należy do Kościoła Szatana i znał

tę zamordowaną kobietę, Reę Masters.

– Utrzymywał z nią kontakty seksualne?

– Nie, nie sędzę. Choć oczywiście nie jest to wykluczone. Bronty mówi, że Rea najpierw związała się z satanistami, a potem poróżniła się z sabatem, do którego przystąpiła.

– Sabatem? To brzmi jak bajka o czarownicach.

Eleonora przysiadła na skraju biurka swojej nowej koleżanki.

– Oni tak nazywają swoje konwenty. Czy wiesz, że założyciel Kościoła Szatana mieszkał niedaleko stąd? Przez mniej więcej trzydzieści lat kierował swoimi wyznawcami z San Francisco.

– Anton LaVey. To on napisał *Biblię Szatana*, prawda?

– Tak. Po jego śmierci Kościół przeniósł swoją siedzibę do Nowego Jorku.

– Do Kuchni Diabła. – Mitzi ma na myśli cieszącą się złą sławą dzielnicę Manhattanu, lecz Eleonora nie łapie dowcipu.

– To co, chciałabyś pojechać z nami?

– Jasne. Bardzo chętnie.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Sandra Donovan.

– Mam dla ciebie zadanie, Fallon.

– Myślałam, że już mam zadanie. A co ze sprawą zabójstwa więdźmy?

– Teraz zajmiesz się wyłącznie tym – mówi szefowa wydziału i wręcza jej kartkę. – Właśnie dostaliśmy to z Waszyngtonu.

Mitzi przygląda się widniejącemu na kartce rysunkowi.

– Co to jest? Wygląda na jakiś krzyż.

– Gratuluję spostrzegawczości. Teraz już wiem, jak dosłużyłaś się rangi porucznika i dlaczego jesteś taka cenna dla naszego wydziału. Ten krzyż jest powiązany ze sprawą morderstwa. Detektyw, który prowadzi śledztwo, poprosił nas o pomoc. Obiecałam, że polecisz nocnym rejsem i jutro będziesz na miejscu.

– Z tym może być problem. Muszę zorganizować opiekę dla dzieci. – Mitzi obraca stojące na jej biurku zdjęcie dziewczynek.

– Z tym nie może być problemu – odpowiada Donovan. – Życie musi dostosowywać się do pracy, nie na odwrót. Fracci i Bronty zajmują się sprawą Masters, więc ty masz dziś być na pokładzie samolotu. Albo lepiej poszukaj sobie miejsca w innym wydziale.

WALIA

Kamienna posadzka komnaty jest twarda i zimna, ale Myrddin dzielnie znosi niewygodę i zbiera siły, aby wstać. Czuje pulsowanie w głowie, a jego wyniszczone przez artretyzm stawy trzeszczą, kiedy powoli dźwiga się na nogi. Wie, co musi zrobić. Czeka go jeszcze długa droga, zanim wypełni swoje zadanie.

Patrzy na Krynice Wiedzy świadomy niebezpieczeństw, jakie się w niej kryją. Od wielu lat ta starożytna kamienna misa wysysa z niego siły i ducha. Czerpał z niej i płacił za to swoją cenę. Każde proroctwo napełniało mądrością jego umysł i wypalało ciało.

Chwyta mocno wykutą w kamieniu krawędź i przygotowuje się na to, co ma nastąpić. Zamyka oczy i odchyła głowę do tyłu.

– Jestem, stary przyjacielu. Stoję twardo i pewnie, gotów na spotkanie z tobą. Zapisz swoje przesłanie i pozwól mi zachować na tyle sił, bym mógł je zanieść światu, gdzie będzie krążyć z rąk do rąk.

Myrddin czuje, że skała pod jego dłońmi zaczyna drzeć. Z początku jest to lekka vibracja, która przechodzi w głębokie dudnienie. Pod jego stopami narasta grzmot. Potem wyzwala się moc. Tym razem jest inaczej – nie odbywa się to powoli i stopniowo. Następuje gwałtowne wyładowanie, jak uderzenie pioruna. Jego umysł wypełnia się bielą. Śnieżną bielą. Dziewiczą i anielską bielą.

Przychodzi wizja.

Dziecko zamienia się w mężczyznę, który staje się nieśmiertelny. Dziecko, które rośnie szybciej i jest silniejsze niż którykolwiek z ludzi. Młody mężczyzna, który stawia czoło światu bogaty w mądrość stulatka.

Myrddin zna tego człowieka.

Widzi go w otoczeniu ludzi, lecz osamotnionego. Właśnie przeżywa chwile rozterki, znalazłszy się pomiędzy najzacieńszymi a najbardziej nikczemnymi z ludzi. Jego spokój burzą dwie kobiety. Jedną z nich bardzo dobrze zna, druga zaś jest mu zupełnie obca. Obie są w niebezpieczeństwie

– obie spojrzą śmierci w oczy.

Śmierć. Tym razem odwieczny wróg nie przybywa w pojedynkę. Prowadzi ze sobą swoich braci i siostry, mężczyzn i kobiety. Jednych wybiera przypadkowo, co do innych ma szczególne plany. Niektórych wybiera ze słusznego powodu, innych tylko po to, by uradować się widokiem ich krwi na śniegu.

Nieskazitelnie białego śniegu.

Śnieg zaczyna sypać. Zrazu tylko kilka płatków, które padają na rozpalone policzki starca. Są chłodne jak pocałunek młodej dziewczyny. Śniegu jest coraz więcej. Lodowata nawałnica przyprawia starca o dreszcze.

Wtem głowę wróżbity ogarnia mordercza biel. Lawina ścina go z nóg. Zasypuje. Grzebie pod zwałami śniegu. Przygniata i dusi. Jego dłoń ześlizguje się z kamiennej krawędzi. Myrddin chwieje się, lecz tym razem nie upada. Wizja dobiega końca. Jest dla niego jasna i zrozumiała. Teraz wie, co powinien zrobić.

Odwieczny arturiański cykl wchodzi w kolejną fazę.

Dwudziestotrzyletni Dwaine Velez pluje sobie w brodę, że nie zdążył się odlać, zanim wsiadł do samochodu.

Gdyby ojciec tej małej suni nie zaczął się wydzierać, bredząc coś o „czci swojej córki”, Dwaine skorzystałby jeszcze z jego cholernej łazienki. Tymczasem musiał umykać w podskokach z jedną nogą w nogawce spodni, zbierając resztę ciuchów, które wyleciały w ślad za nim i zwisały rozrzucone po krzakach.

Cała jego godność poszła się gonić, ot co.

A jednak nie żałował. To była cudowna laseczka. Te dziewczyny na prowincji są z natury nieruchawe, ale gdy już wezmą się do roboty, potrafią dać z siebie wszystko.

Dwaine jedzie wzdłuż Connecticut Avenue, w kierunku Capital Beltray, a jego ciemne oczy bacznie obserwują okolicę w poszukiwaniu miejsca do parkowania. W radiu Jay-Z rapuje *Bring it On*, kawałek z albumu *Reasonable doubt*, dzięki któremu z gnojka zdolnego sprzedać własną matkę stał się jednym z najbardziej kasowych gwiazdorów rapu. Dwaine bębni palcami po kierownicy i myśli: Hej, koleżko, chętnie nauczyłbym twoją panią kilku sztuczek. Ta twoja Beyoncé ma zgrabniutki tyłeczek.

Z głośników dobiega refren piosenki: „No to do dzieła, skoro myślisz, że dasz radę, a jak nie, to nie wchodź mi w drogę”.

– Dam radę. Człowieku, ja bym nie dał rady? – Dwaine parska śmiechem. – I powiem ci, stary, że za nic w świecie nie wróciłaby już do ciebie, gdyby tylko spędziła noc ze mną.

Po lewej stronie drogi zauważa kilka drzew. To dla niego ostatnia szansa, by przynieść ulgę pęcherzowi, zanim skręci na zachód i pojedzie do McLean.

Co za życie. Jay-Z może się schować.

Zatrzymuje się przy Beach Drive, przecina niemal całkowicie opustoszały parking i podchodzi do kępy drzew, za którą biegnie długi

trakt zwany Rock Creek Trail. Jest zdesperowany. Rozpina rozporek i natychmiast spryskuje wysoką trawę obfitym strumieniem. Ilekroć wydaje mu się, że to już koniec, skądś napływa jeszcze jedna kolejka tequili i butelka wody mineralnej.

To pewnie przez seks. Po seksie zawsze sikał, jakby miał w spodniach wąż strażacki. Wtem w głowie coś mu świta. Nabiera podejrzeń. Byle tylko nie złapał czegoś od tej laski. Opuszcza wzrok i nagle coś przykuwa jego uwagę.

– O ja pierdołę!

Jest tak wstrząśnięty, że oblewa sobie nogawki. Wycofuje się chwiejnym krokiem. Spod cienkiej warstwy rozmokniętej ziemi wyziera ludzka twarz. Dwaine uświadamia sobie, że właśnie oddał mocz na czyjeś zwłoki.

ANGLIA

Po sześciogodzinnym locie z Waszyngtonu Owain znów stoi na brytyjskiej ziemi, a ściśle mówiąc, na czarnej asfaltowej płycie lotniska Heathrow. W otoczeniu eskorty przechodzi szybką odprawę dyplomatyczną i wsiada do czekającego helikoptera. Opancerzona maszyna natychmiast wzbija się w powietrze i odlatuje na zachód, by w niespełną godzinę pokonać dwustukilometrowy dystans i wylądować w jego wiejskiej posiadłości w Somerset. Przez okno helikoptera, który może zabrać na pokład trzynaście osób i kosztuje dziesięć milionów funtów, Owain spogląda na przesuwającą się w dole bujną zielen angielskiej prowincji. Z każdym kilometrem odżywa jego duchowa więź z tą ziemią. Gdy jego oczom ukazują się równiny Somerset, znów czuje się spełniony.

Glastonbury.

Żadne inne miasto nie budzi tylu mistycznych skojarzeń.

Wyspa Jabłoni. Józef z Arymatei. Święty Graal.

Były ambasador Wielkiej Brytanii w Ameryce spogląda na wzgórze Glastonbury, a opowieści o pradawnych dziejach i legendy przeplatają się w jego pamięci. Tutaj rzekomo miał znajdować się Avalon, czyli miejsce, w którym został wykuty Excalibur. To właśnie tutaj trafił waleczny król Artur, kiedy Mordred, jego śmiertelny wróg, okrutnie ranił go w bitwie. Jak twierdzą niektórzy, tu właśnie Artur wyzionął ducha, a według innych doznał odrodzenia, by stać się nieśmiertelnym.

Pilot okrąży wielką posiadłość i ostrożnie podchodzi do lądowania. Owain Gwyn znów jest tam, gdzie jego miejsce, gdzie jego przodkowie walczyli i ginęli za wolność i wiarę w Chrystusa. Znów jest w domu.

Spogląda na telefon, kiedy helikopter obniża lot. Ma cztery nieodebrane wiadomości, ale tak naprawdę interesuje go tylko jedna z nich. Wiadomość od Myrddina.

ROCK CREEK TRAIL

Alkohol sączy się wszystkimi porami z obrzmiałej twarzy Irlandczyka, który pochyla się nad zagrzebanym ciałem. Policjant sięga po brudną chusteczkę, by przetrzeć spocone czoło.

Miejsce zbrodni jest oddalone zaledwie o kilometr od sklepu Amira Goldmana. Zważywszy na fakt, że zmiana świateł na skrzyżowaniu uchodzi za najbardziej ekscytujące wydarzenie w tej okolicy, Irlandczyk jest gotów założyć się o swoją pensję, że oba przestępstwa mają ze sobą jakiś związek. Bynajmniej nie dlatego, aby jego pensja była jakoś szczególnie wysoka.

Tym razem dotarł na miejsce przed anatomopatologiem i zdążył zadać kilka pytań facetowi, który najwyraźniej poszedł w krzaki opróżnić pęcherz i przy okazji opryskał coś więcej niż własne buty.

Irlandczyk wyciąga kupiony przeszło dziesięć lat temu mały aparat o rozdzielczości o połowę mniejszej niż te w nowoczesnych smartfonach, którymi nie umie się posługiwać. Robi zdjęcia całego otoczenia, by móc potem w każdej chwili spojrzeć na miejsce zbrodni i na ciało. Wie, że technicy z wydziału zabójstw przygotowują lepszy materiał, ale fotografowanie pobudza jego umysł. Skoncentrowany niczym szachista Irlandczyk krąży dokoła, stawiając ostrożnie kroki, by nie zdeptać żadnego śladu, nie przesunąć żadnego patyczka ani nie strącić żadnego włókna z pokrytych cierniami gałęzi krzaków.

W obiektywie aparatu głowa trupa wygląda jak papierowy talerz porzucony na szarobrązowej ziemi. Leży twarzą do góry w bardzo płytkim grobie, nieopodal wyboistej ścieżki, która przecina zagajnik i dochodzi do parkingu. Nad ziemię wystaje niezbyt wiele, toteż trudno powiedzieć o nim coś więcej. Ma ciemne włosy, piwne oczy i wydatny nos, który w szkole mógł być przyczyną złośliwych docinków. Wygląda na dwadzieścia kilka do trzydziestu lat i gdyby żył, miałby jeszcze pół wieku w zapasie.

Irlandczyk dochodzi do wniosku, że jest to jedyne miejsce, gdzie morderca mógł ukryć ciało. Korzenie pobliskich drzew i zarośla są zbyt gęste, by dało się kopać gdziekolwiek indziej. Pochówek wygląda na pośpieszny i niedbały. Ktokolwiek to zrobił, zapewne liczył, że dzięki temu zyska na czasie. A to oznacza, że jest nietutejszy i dawno zdążył uciec.

Chociaż głowa gliniarza pęka od kaca, rodzi się w niej sensowna koncepcja przebiegu wydarzeń. Zabójstwo w sklepie z antykami jest dziełem dwóch sprawców. Po śmierci starego zatrzymali się tutaj i wybuchła między nimi sprzeczka. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i jeden zabił drugiego.

Irlandczyk zauważa ślady butów. Obcasy są odcisnięte głębiej w rozmięklej ziemi, gdyż zabójca dźwigał zwłoki towarzysza. Dostrzega też dwie równoległe linie prowadzące wprost do płytkiego grobu, które musiały wyłobić nogi wleczonej po ziemi ofiary. I jeszcze jeden ciąg mniejszych śladów, pozostawionych przez tego nieszczęsnego durnia, który odkrył ciało.

Irlandczyk przechodzi obok trupa. Na ścieżce, która zakręca w kierunku drogi, widzi wyraźne odciski butów. Ślady mordercy.

SAN MATEO, SAN FRANCISCO

Kiedy Mitzi wysiada z samochodu, Jade i Amber grają w swingball na trawniku. Odbijają uwiązana piłkę i zanoszą się od śmiechu, kiedy linka okręca się wokół słupka, a ich paletki trafiają w próżnię.

– Gram ze zwycięzcą! – woła Mitzi, idąc w stronę kuchennych drzwi z bukietem kwiatów.

– Czyli ze mną! – woła dumnie Jade.

– Akurat. – Amber uderza piłkę z bekhendu, wydając przy tym stęknienie jak siostry Williams.

Mitzi zastaje siostrę w kuchni zajęłą krojeniem warzyw. Stojący na środku duży drewniany blat pokrywają czerwone, żółte i zielone papryki.

– Cześć, kochanie, już jestem – odzywa się Mitzi żartobliwym tonem, ale wyraz twarzy Ruth potwierdza jej obawy, że atmosfera będzie napięta. – Przyniosłam ci kwiaty. Lilie. Nie wiem, jaki to gatunek, ale są piękne.

Wręcza siostrze bukiet purpurowych, różowych i kremowych kielichów.

– To krzyżówka longiflorum i Aurelian. Dziękuję. – Ruth otwiera kredens i wyciąga z niego wazon, który napełnia w trzech czwartych wodą. – Wcześniej wyszłaś dziś rano.

– Tak. Pierwszy dzień w pracy, miałam urwanie głowy. – Mitzi zawiesza na chwilę głos, po czym przechodzi do rzeczy. – Chcą, żebym leciała do Waszyngtonu pomóc w śledztwie. Czy mogłabyś się zająć dziewczynkami przez tych parę dni, zanim wrócę?

– Kiedy cię tam wysyłają? – pyta Ruth, rozglądając się za nożyczkami.

– W zasadzie już teraz. Mam wylecieć późnym wieczorem i będę na miejscu o jakiejś zwariowanej porze nad ranem.

Ruth znajduje nożyczki w zlewie, przycina łodygi kwiatów pod skosem i wkłada je do wazonu.

– Widziałam cię.

– Gdzie mnie widziałaś?

– Tej nocy z Jackiem. Widziałam was oboje.

Mitzi zamienia się w policjantkę i przechodzi do kontrataku.

– No i?

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? No i?

– To dosyć uzasadnione pytanie...

– To nie jest pytanie, tylko spójnik. – Ruth z trzaskiem odkłada nożyczki na marmurowy blat. – Widziałam, jak Jack cię obmacywał.

– Był pijany, Ruth – odpowiada Mitzi, lekceważąco machając ręką. – Faceci tak robią po pijanemu. Oblapiają wszystko. Gdybyście mieli psa i gdyby akurat on znalazł się tam wtedy zamiast mnie, Jack z pewnością zacząłby się tulić do niego.

– Nie tylko was widziałam. Również słyszałam wszystko.

– To dobrze. Zatem wiesz dokładnie, co mu powiedziałam. Że jest pijany i powinien się opamiętać. I tyle. Do niczego nie doszło, a ja wróciłam do sypialni.

– Do niczego nie doszło? Rzuciłaś nim o ścianę.

– No tak. Ale jakoś to przeżył. – Mitzi zbliża się do siostry. – Nie przejmuj się tym tak bardzo. Mężczyzna plus alkohol równa się coś głupiego. Zawsze.

Ruth jest w niewesołym położeniu. Wokół jej małżeństwa gromadzą się przeróżne wątpliwości niczym rój much krążących nad przydrożną padliną.

– Słyszałam, jak mówił, że zawsze mu się podobałaś. – W głosie Ruth pobrzmiwa płaczliwy ton. – Że podobałaś mu się bardziej ode mnie i...

– Na Boga, Ruthy, daj spokój! – Mitzi chwyta siostrę za ramiona. – Kiedy faceci są zaprawieni, wygadują różne brednie. Przekonałaś się o tym na balu maturalnym, zresztą wystarczy wejść do byle knajpy, prawda?

Ruth potakująco kiwa głową.

– Mimo to najlepiej będzie, jak stąd znikniesz. Zajmę się teraz dziewczynkami, ale kiedy wrócisz, nie powinnaś tu dłużej mieszkać. Chcę, żebyś się wyprowadziła. Opłacę ci motel, cokolwiek, ale nie chcę cię już

pod moim dachem, nie w pobliżu mojego męża.

ROCK CREEK TRAIL, MARYLAD

Grudy ziemi osypują się z ciała, kiedy ekipa lekarza sądowego wyciąga je z płytkiego grobu i delikatnie składa na grubej foliowej płachcie.

Irlandczyk mruży oczy, by obejrzeć ofiarę w całości. Mężczyzna jest solidnie zbudowany. Ma na sobie niebieską lnianą kurtkę, wytarte dzinsy, biały podkoszulek z biegnącym w poprzek piersi napisem „Diesel” i sięgające do kostki zamszowe trzewiki. Jego bladą skórę pokrywa spękana warstwa zaschniętego błota.

Cherrie Archer, która pracuje również nad sprawą Amira Goldmana, przy użyciu miękkiego pędzelka usuwa owady z oczu trupa. Podnosi wzrok na detektywa i uprzedza jego pytanie.

– W tej chwili nie mogę ci powiedzieć nic więcej ponad to, co sam widzisz. Mężczyzna przed trzydziestką, dobrze odżywiony, około osiemdziesięciu kilo wagi. Wygląda na okaz zdrowia, poza tym, że został uduszony.

– Nie zginął od kuli albo noża?

– Nie widzę żadnych śladów.

Irlandczyk spodziewał się jakiejś broni.

– Czy sprawca posłużył się garotą? – pyta i okrąża dół, by stanąć bliżej zwłok.

– Nie sędzę. Chociaż ciało jest dość brudne. – Cherrie pochyla się i obserwuje szyję trupa pod różnymi kątami. – Widzę tu zasinienie i otarcie, jakby ktoś bardzo mocno trzymał go od tyłu.

Irlandczyk pochyla się nad ofiarą.

– Widzę. Jak mógł to zrobić?

– Stań prosto i odwróć się do mnie plecami.

Policjant wykonuje polecenie. Z bliska woń przesyconego alkoholem potu jest gorsza niż trupi fetor rozkładu, ale Cherrie, nie zważając na to, oplata zgiętym ramieniem szyję Irlandczyka, by zademonstrować mu duszący chwyt.

– Napastnik prawdopodobnie zakleszczył jego głowę w zgięciu łokcia, a potem przerzucił go przez biodro. – Cherrie odchyła się lekko do tyłu, aby detektyw mógł poczuć siłę uścisku.

– Hej, wystarczy. Już rozumiem.

Cherrie puszcza szyję Irlandczyka.

– Nic ci nie jest?

– W porządku – odpowiada Paddy Fitzgerald, rozcierając obolałą szyję.

– Jeżeli przydusisz kogoś w taki sposób, straci przytomność. A gdy przytrzymasz go dostatecznie długo, może umrzeć – wyjaśnia Cherrie i pochyła się z powrotem nad ciałem. – Służyłam kiedyś w piechocie morskiej. Prócz medycyny uczyłam się tam również walki wręcz.

– Wszystko jasne. – Irlandczyk nadal nie odrywa dłoni od karku. – To chyba spotkałaś niewielu facetów, którzy posunęli się za daleko na pierwszej randce?

– Niewielu.

Policjant przekręca głowę w lewo i w prawo, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

– Masz jakieś rękawiczki? Chcę przeszukać jego kieszenie.

Cherrie sięga do kieszeni kombinezonu i wyciąga zapasową parę.

– Na pewno nic ci nie jest? – pyta. – Mocno pobladłeś.

– Wszystko w porządku. Pomijając fakt, że omal mnie nie zabiłaś. – Irlandczyk naciąga rękawiczki i rozprostowuje palce. Faktycznie czuje się słaby jak pisklę i najchętniej przespałby cały rok.

W kieszeniach dzinsów ofiary znajduje zgniecione pudełko papierosów, zapalniczkę Zippo, paczkę gumy do żucia i wydarty z gazety kawałek papieru. Widnieje na nim zapisany odręcznie waszyngtoński numer telefonu. Detektyw sięga po swoją komórkę i wprowadza cyfry. Technicy pokazywali mu funkcję rejestrowania rozmów, ale zapomniał, jak się ją uruchamia.

Na linii daje się słyszeć dźwięk automatycznej sekretarki, a następnie rozlega się głos starszego mężczyzny, który powoli i staranie wypowiada

każde słowo: „Mówi Amir Goldman. Nie mogę w tej chwili odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość po sygnale i zapraszam do odwiedzenia naszego salonu w Kensington – stolicy antyków Dystryktu Kolumbii”.

Irlandczyk przerywa połączenie i spogląda na skrawek papieru. Leżący przed nim martwy mężczyzna musiał zadzwonić do Goldmana, by się upewnić, czy zastanie go w sklepie. A potem zjawił się tam i go zamordował.

– Potrzebuję odciski palców z tego świstka. Natychmiast! – Irlandczyk ściąga z dłoni rękawiczki i rzuca je na foliową płachtę. – Dzięki, Cherrie.

BRONX, NOWY JORK

Nabil śmierdzi samochodowym smarem. Nienawidzi tej woni prawie tak samo mocno, jak nienawidzi Ameryki.

Nieznośny smród towarzyszy mu teraz jak nieproszony pasażer w szoferce białej półciężarówki, którą „wypożyczył” sobie z pracy, by dostać się do domu. Nawet tutaj nie może się od niego uwolnić.

Dwudziestoczwolalek parkuje przed obskurnym budynkiem o elewacji z brunatnego piaskowca i wspina się po obskurnych schodach na szóste piętro. Nie ma sensu nawet próbować ściągać windy – nie pamięta, kiedy ostatnio działała, i wątpi, by kiedykolwiek jeszcze ruszyła.

Wchodzi do wynajętego mieszkania i zatrzaskuje za sobą drzwi tak mocno, że aż drżą framugi. Ma nadzieję, że wkurzy tym mieszkającego obok starego sąsiada, który co wieczór wali w cienką ścianę.

Kieruje się prosto do niechlujnej kuchni, wyciąga z lodówki gotową zapiekankę z makaronu i sera, zdiera wieczko z opakowania i wkłada je do kuchenki mikrofalowej. Gdy posiłek się podgrzewa, mężczyzna wyciąga komórkę i wybiera jedyny numer na liście.

– Tu Nabil. Jestem w domu.

To wszystko i ani słowa więcej. Zawsze mówi tylko tyle, ilekroć wraca do mieszkania.

Ale to wystarczy. Tyle od niego wymagają. To zaszyfrowany komunikat, za pomocą którego informuje ich, że żyje.

Że jest bezpieczny.

Że nie został schwytany ani zabity.

GLASTONBURY, ANGLIA

Imponująca rezydencja Gwyna o ścianach porośniętych bluszczem mieści w sobie dziesięć sypialni, dwie jadalnie, bibliotekę, bawialnię, pracownię, oranżerię, dwa salony, salę balową, siłownię i dwa baseny, jeden wewnątrz, a drugi na zewnątrz budynku. Rezydencję otacza przeszło dwunastohektarowa posesja, ogrodzona wysokim murem i nieustannie strzeżona.

Gwyn i jego żona zatrudniają mieszkającego na stałe w ich domu kucharza, który wcześniej prowadził ekskluzywną restaurację. Warzywa pochodzą z domowego ogrodu, ryby z prywatnego stawu, a mięso z własnej hodowli. Jest to miejsce, do którego chętnie się wraca.

Przed okazałym łukowatym wejściem do rezydencji Owain dostrzega sylwetki czekających w pełnej gotowości lokajów i swojej żony. Sięgające do pasa jasne włosy lady Gwyn powiewają szarpane podmuchami, które wzniecają płaty nośne helikoptera, a jej bursztynowa sukienka lśni w jasnych promieniach słońca.

Otwierają się drzwi opancerzonej maszyny i po chwili Owain trzyma żonę w ramionach. Obejmują się. Całują. Witają.

Lady Gwyn chwyta męża za rękę i pośpiesznie prowadzi do wnętrza domu, z dala od gasnącego szumu silników.

– Jest telefon do ciebie – oświadcza mu, kiedy znajdują się w cieniu marmurowego holu. – Dzwoni Gareth. Mówi, że nie mógł się z tobą skontaktować, kiedy byłeś w powietrzu.

Owain ujmuje słuchawkę aparatu do zakodowanych połączeń.

– Wybacz, że nie daję ci się przywitać z Jennifer – usprawiedliwia się Madoc. – Właśnie dostałem wiadomość od Antuna. Sytuacja się zmienia. Szef komórki jest niespokojny. Cel został namierzony.

– Czy wie, gdzie i kiedy?

– Wall Street, jutro.

– Wall Street? Jesteś pewien?

– Ja jestem. Co ważniejsze, on też. Wyślę ci szczegóły ich planu, żebyś mógł porozmawiać z Amerykanami.

Owain spogląda na zegarek.

– Za godzinę mam spotkanie Wewnętrznego Kręgu.

– Wiadomość ode mnie dostaniesz po spotkaniu – mówi Madoc i zawiesza na chwilę głos. – Powiesz im o wszystkim?

– Muszę, Gareth. Nie mamy wyboru. Nasz stary przyjaciel nie pozostawił nam innego wyjścia, jak wydać zlecenie.

KENSINGTON, MARYLAND

Irlandczyk siedzi przy barze. Obok jego łokcia stoi butelka piwa i szklaneczka whisky. Towarzyszą mu dwie kobiety po czterdziestce, które zajmują stołki po obu jego stronach. Każda z nich trzyma w ręku kieliszek białego wina.

Sarah Cohen ma krótkie brązowe włosy i szerokie usta, a Suzie Clark jest tlenioną blondynką o wyrazistych niebieskich oczach. Obie pracują w sklepach sąsiadujących z salonem Goldmana i od godziny Irlandczyk stawia im drinki w zamian za informacje.

– Nie było mnie, kiedy przyszli ci mundurowi – wyjaśnia Sarah. – Wyprowadzałam się właśnie z mieszkania mojego byłego – dodaje z wyraźnym naciskiem. – Co oznacza, że jestem wolna.

– Z całą pewnością nie na długo. – Irlandczyk nie sprawia wrażenia oczarowanego, kiedy wyciąga notes z kieszeni kurtki. – Więc powiedz mi jeszcze raz, co widziałaś tego wieczoru, kiedy zginął Goldman.

– Wyjeżdżałam w sobotę rano. Miałam wolny dzień i wybierałam się do Atlantic City na imprezę urodzinową. Koło wpółdo jedenastej wieczorem zobaczyłam, jak jakiś mężczyzna wychodzi ze sklepu Amira Goldmana i zamyka za sobą drzwi.

– Dlaczego to przykuło twoją uwagę?

– Bo nacisnął klamkę, żeby sprawdzić, czy drzwi się zatrzasnęły. Ludzie tak robią, kiedy wychodzą od siebie.

Irlandczyk zapisuje to spostrzeżenie w notesie, zanim przechodzi do kolejnego pytania.

– I jak określiłaś jego wygląd?

– Przystojny i umięśniony. Przed trzydziestką. – Twarz Sarah rozjaśnia się na samo wspomnienie. – Wysoki i gładko ogolony. Ciemne włosy. Wyglądał naprawdę pociągająco.

– Zwróciłaś uwagę, jak był ubrany?

Sarah zastanawia się przez chwilę.

– Na niebiesko. Niebieska kurtka i dzinsy. Ale kurtka nie była dzinsowa. Coś bardziej wytwornego.

Irlandczyk pociąga łyk piwa. Opis pasuje do trupa znalezionego w zagajniku.

– I co zrobił po wyjściu ze sklepu?

– Przeszedł na drugą stronę ulicy, wsiadł do dużego brązowego samochodu i odjechał.

Suzie trąca koleżankę w ramię.

– Powiedz mu o silniku.

– Nie było go słyhać – dodaje Sarah.

– Prawdopodobnie elektryczny – mówi Suzie, starając się udowodnić, że zasłużyła na kilka drinków. – Jedna z tych wypasionych bryk.

– Masz na myśli napęd hybrydowy – poprawia ją Irlandczyk, po czym zwraca się do Sarah. – Zauważyłaś może markę albo typ?

Kobieta kręci głową.

– Nie znam się zbyt dobrze na samochodach. Nie to, co na mężczyznach. To była duża, zwalista maszyna.

– Prawdopodobnie SUV – wyjaśnia Suzie tonem znawcy. – Pojazd sportowo-użytkowy.

– Dziękuję – odpowiada Irlandczyk. – Wiem, co to jest SUV.

– Patrzyłam, jak odjeżdża – ciągnie Sarah. – Po kilku sekundach jakiś inny samochód ruszył za nim. Zaskoczyło mnie to, że jechał bez świateł. Był srebrny. Jak limuzyna, ale nie taki duży.

Irlandczyk dopija whisky.

– Kiczowaty jak bryka alfonsa?

– Nie. W lepszym stylu – odpowiada Sarah z cierpką miną. – Miał przeszklony dach. Odbijało się w nim światło latarni, kiedy mnie mijał.

– Dwu- czy czterodrzwiowy?

Kobieta musiała zastanowić się przez chwilę.

– Cztero – mówi w końcu i wtedy przypomina sobie coś jeszcze. – Och, mogę się mylić, ale miał jakąś dziwną rejestrację.

– W jakim sensie? Chodzi ci o to, że był z innego stanu?

Sarah wygląda na zakłopotaną.

– Teraz to brzmi idiotycznie. Zapomnij, że o tym mówiłam. Tak naprawdę nie jestem tego pewna, a nie chcę cię wprowadzić w błąd.

– Powiedz – nalega detektyw.

– Nie sądzę, żeby to była waszyngtońska rejestracja. Nie jestem nawet pewna, czy amerykańska.

Irlandczyk kiwa na barmana i zapisuje ostatnią uwagę w notesie. Rejestracja z innego stanu oznacza tylko jedno.

Kłopoty.

Takie, które mogą się okazać prawie niemożliwe do przewyciężenia.

Rój helikopterów obsiada rozległy, porośnięty trawą teren. Na długim zwirowym podejździe stoi rząd samochodów. Uzbrojeni agenci ochrony odprowadzają jedenaścioro mężczyzn i kobiet do okazałej rezydencji i towarzyszą im w drodze przez wyłożony marmurem korytarz aż do drzwi opatrzonych tabliczką z napisem „Piwnica win”.

Po obu stronach masywnych dębowych drzwi stoją dwaj byli żołnierze SAS, którzy sprawdzają wszystkim dokumenty, zanim pozwolą im zejść na dół. Znalazłszy się pod ziemią, każdy z gości musi przejść następną kontrolę za pomocą systemu identyfikacji siatkówki i odcisków palców, by dostać się do wielkiego pomieszczenia bez okien.

Na środku komnaty, która jest odpornym na eksplozje bomb schronem, stoi okrągły zabytkowy stół. Zdobia go godła heraldyczne i chrześcijańskie symbole. Jego okrągły kształt nie tylko zapewnia, że żadna z siedzących przy nim osób nie zostanie wyróżniona, ale nawiązuje również do eucharystii, stanowiąc wyobrażenie świętej hostii.

Przedstawiciele Tajemnego Zakonu Arturianów zajmują swoje miejsca. Wszyscy są wysoko postawionymi dyrektorami, prezesami i właścicielami instytucji dobroczynnych, które finansują również sam zakon. Celem działalności tej organizacji jest pokój, wolność i niekończąca się walka z terroryzmem i złem.

Podobnie jak Wielka Brytania, gdzie mieści się jego główna siedziba, zakon jest rządzony przez dwa odrębne organy władzy, jeden obieralny, a drugi dziedziczny. Na dzisiejszym spotkaniu obraduje Wewnętrzny Krąg. Członkowie tego organu wykonawczego zostali wybrani nie tylko dlatego, że są niesłychanie bogaci i posiadają ogromną władzę, ale również przez wzgląd na ich bezgraniczne oddanie sprawie zakonu, dla której gotowi są zabić albo poświęcić życie.

Wprawdzie Wewnętrzny Krąg formułuje politykę zakonu i wciela ją w życie, nie może jednak zrobić nic bez aprobaty jeszcze wyższej i o wiele starszej władzy – Linii Krwi. Jej członkami są potomkowie rycerzy

Okrągłego Stołu.

Owym dwóm organom władzy podlega armia nowoczesnych rycerzy. Rozproszona po całym świecie tajna siła. Jej członkowie rekrutują się niemal wyłącznie z sił wojskowych oraz agencji wywiadowczych. Ich mundurem jest anonimowość codziennych strojów, a kamuflażem zwyczajne życie na przedmieściach.

Plan dzisiejszych obrad, podobnie jak szczegółowe informacje dla każdego z zebranych, jest zakodowany za pomocą arturiańskiego szyfru. Ów szyfr rotacyjny został wynaleziony przed wiekami, a do kodowania służyły dwa drewniane kręgi, z których zewnętrzny zawierał liczby, a na wewnętrznym znajdowały się litery. W podstawowym układzie literze A zawsze przyporządkowane było 1, ale każdego dnia ktoś obracał kołami, a następnie zapisywał liczbę, która wypadła na A. Zatem jeżeli literze A odpowiadało 6, tego dnia szyfr nosił nazwę Plus Sześć. Nowocześni arturianie posługują się specjalnymi cyfrowymi tokenami, które wykorzystują hasła alfanumeryczne, aby umożliwić dostęp do każdego przesłanego dokumentu.

Sekretarz kręgu, Lance Beaucoup, odczytuje protokół z poprzedniego spotkania. Jest ciemnowłosym mężczyzną po trzydziestce, ma szerokie ramiona pływaka i smukłą talię lekkoatlety, a w jego głosie daje się słyszeć galijski zaśpiew.

– Czy ktoś chciałby przedstawić jakieś uwagi? – pyta Owain, ale nikt się nie odzywa. – Zatem uznajmy to za zatwierdzone, Lance.

Panująca w sali cisza pełna jest wyczekiwania i obaw.

– Dochodzimy do kwestii naszego zaufanego towarzysza – kontynuuje Francuz. – Naszego nieobecnego przyjaciela.

Oczy wszystkich zebranych kierują się w stronę pustego, dwunastego miejsca przy stole.

– Teraz jest już jasne, że Angelo Marchetti zdradził nasz zakon – oświadcza Owain. – Że za jego sekretnym życiem kryło się coś jeszcze, co utrzymywał w tajemnicy przed nami. Hazard, kokaina i przestępstwa.

Angelo sprzeniewierzał nasze pieniądze. Jego konta bankowe okazały się fałszywe, a on sam jest bankrutem.

W sali rozlega się szmer ściszonych głosów.

– Proszę, jeszcze nie skończyłem. – Owain czeka, aż znów zapanuje cisza. – Ukradł kilka cennych przedmiotów należących do zakonu i najprawdopodobniej uciekł z kraju. Z tego, co zdołaliśmy ustalić, korzystając z pomocy lokalnych paserów, sprzedał kilka krzyży pogrzebowych, które zagrabił. Jeden z nich dotarł do amerykańskiego handlarza antyków o wątpliwej reputacji, który dwa dni temu został zabity przez ludzi Marchettiego. Nie jesteśmy pewni dlaczego. Sytuacja się skomplikowała. Od jakiegoś czasu miałem podejrzenia co do Angela, toteż kazałem go śledzić przez ostatnich kilka tygodni. – Owain kiwa głową do siedzącego po przeciwnej stronie stołu młodego Anglika. – George jechał za jego ludźmi, kiedy opuścili sklep handlarza w Maryland. Od niego dowiedzie się całej reszty.

George Dalton, drobny mężczyzna o elegancko przystrzyżonej ciemnej brodzie i białych błękitnych oczach, zaczyna mówić.

– Po zabójstwie dwaj mężczyźni oddalili się z miejsca zbrodni. Zatrzymali się na przedmieściach Kensington i weszli do zagajnika. Wrócił stamtąd tylko jeden. Pojechał na południe i zatrzymał się przy całodobowym barze jakieś pół kilometra za Dupont Circle. Obserwowałem go, jak się posila przy stoliku obok okna. Kiedy wrócił do samochodu, zdjąłem go. Niestety okazał się o wiele sprawniejszym przeciwnikiem, niż przypuszczałem, i miał nóż. – George unosi rękę, by pokazać zabandażowaną dłoń i nadgarstek. – To była bardzo ostra konfrontacja i obawiam się, że mógł jej nie przeżyć. W schowku jego samochodu znalazłem Krzyż Rycerski.

– Nadal brakuje nam dwóch krzyży, a niewykluczone, że również innych przedmiotów, o których zaginięciu jeszcze nie wiemy – wtrąca Owain. – Przypuszczamy, że Angelo przestał ufać swoim pacholkom i próbuje sprzedać je osobiście. Nietrudno się domyślić, do kogo ostatecznie

się zwróci i jakie to może mieć konsekwencje.

Salę znów wypełnia gwar ściszonych rozmów i Lance już rozumie, że teraz kolej na niego.

– Z chwilą obecnością Angelo Marchetti zostaje wydalony z naszego zakonu i powinien być jak najszybciej ujęty. Możecie wyznaczyć za jego głowę tak wysoką nagrodę, jak tylko zechcecie, i potraktować to jako sprawę najwyższej wagi.

Owain dostrzega smutek na twarzach zebranych. Człowiek, na którym ciążył teraz wyrok śmierci, był ich towarzyszem i przyjacielem od wielu lat i trudno im uwierzyć w jego zdradę.

– Nie możecie mieć żadnych wątpliwości – kontynuuje Lance. – Angelo stanowi dla nas największe zagrożenie od stuleci. Nie wahajcie się działać stanowczo. Tu nie ma miejsca na wybaczenie, emocje ani jakikolwiek błąd. Trzeba uderzyć błyskawicznie, bo szansa może być tylko jedna.

INDIANA AVENUE, WASZYNGTON

Komenda policji mieści się w imponującym gmachu z piaskowca i szkła, który stoi pośród równie okazałych budynków należących do straży pożarnej, Departamentu Sprawiedliwości, sądu okręgowego i Departamentu Pracy.

Irlandczyk zatrzymuje się w połowie korytarza i stuka do drzwi, na których wisi tabliczka z napisem „kapitan Zach Fulo”.

– Wejść! – z wnętrza dobiega szorstki głos.

Paddy Fitzgerald naciska klamkę i niepewnym krokiem przestępuje próg. Szczupły czarnoskóry mężczyzna podnosi wzrok znad biurka zawalonego papierami.

– Usiądź, poruczniku – mówi. – Spóźniłeś się.

– Przepraszam. Były straszne korki na międzystanowej.

– Straszne korki są wszędzie. Mężczyzna w twoim wieku powinien o tym wiedzieć. – Ciemne oczy Zacha Fulo omiatają dokument, który trzyma w wypiełgnowanych dłoniach. – HRN to Wydział Spraw Historycznych, Religijnych i Niewyjaśnionych, zgadza się?

– Tak jest, kapitanie.

– Czemu oni, do jasnej cholery, interesują się jedną z naszych spraw? – Kapitan wyciąga rękę, w której trzyma jakiś dokument.

Irlandczyk zauważa nagłówek z godłem FBI i domyśla się, że jedna z tamtejszych grubych ryb musiała uprzedzić jego przełożonego.

– Poprosiłem ich o to – wyjaśnia. – Ponieważ mamy już dwa trupy, pomyślałem, że tak będzie rozsądnie.

– Nie, poruczniku. Rozsądnie byłoby najpierw mnie zapytać. A najrozsądniej byłoby rozwiązać już tę sprawę. – Fulo z wściekłością gniecie kartkę i ciska w podwładnego kulą zmiętego papieru. – Jesteś durniem, Fitzgerald. A gdybyś miał jakieś wątpliwości, durnota stanowi przeciwieństwo wszelkiego rozsądku.

– Kapitanie, te zabójstwa są powiązane z pewnym zabytkowym

krzyżem, który prawdopodobnie ma dużą wartość. HRN dysponuje zapleczem, które pomoże nam rozgryźć tę sprawę i wskazać podejrzanego gotowego zabić dla takiej rzeczy.

– Ja jestem gotów zabić. I zgadnij, kto może zostać moją ofiarą. A teraz wynoś się stąd. Chcę mieć na biurku pełny raport jutro o siódmej rano, więc nie sponiewieraj się za bardzo dziś w nocy.

Irlandczyk zabiera swoją urażoną dumę i wraca za biurko. Z dolnej szuflady wyciąga pudełko chusteczek. Zaraził się od przeziębionej Sophie Hudson i teraz smarka krwawym śluzem. Chowa do kieszeni pęk chusteczek i powtórnie sięga do szuflady.

Szkocka.

Odkręca butelkę, którą trzyma tam na specjalne okazje, i pociąga długi łyk taniej whisky. Przestaje pić, dopiero gdy czuje, jak płomienie wypełniają mu gardło. Potem zakręca butelkę i chowa ją z powrotem do szuflady, którą zamyka kopnięciem.

Biuro jest opustoszałe, gdyż właśnie trwa przerwa między zmianami. Irlandczyk włącza komputer i znajduje na swoim koncie pocztowym coś, na co liczył.

Wiadomość z wydziału komunikacji.

Paddy opowiedział swojemu przyjacielowi z dawnych lat, Billy'emu Pullerowi, o morderstwie, nad którym pracuje, zwracając uwagę na fakt, że zostało ono popełnione w zagajniku na południowym końcu Rock Creek Trail, niedaleko miejsca, gdzie biegnąca z zachodu na wschód Capital Beltway przecina Connecticut Avenue. Dodał, że interesuje go każdy brązowy SUV i srebrny sedan, jaki przejechał przez to skrzyżowanie po dwudziestej drugiej w nocy z piątku na sobotę. Dwudziesta druga to najwcześniejsza godzina, o której, zdaniem lekarza sądowego, mógł nastąpić zgon Amira Goldmana.

Irlandczyk czyta wiadomość od Billa i już po pierwszym zdaniu czuje, że jego serce zaczyna żwawiej uderzać.

„Sprawdziliśmy zapisy kamer drogowych i znaleźliśmy brązowego

cadillaca escalade oraz jadącego za nim w pewnym odstępie srebrnego lincolna. Oba samochody dotarły do zjazdu na międzystanową odpowiednio o 23.04.32 i 23.04.47, kierując się na południe. Technik wyciął dla ciebie kilka ujęć (przesyłam w załączniku). Oba skrzyły na północ przy Dupont Circle i tutaj trop się urywa. Nie dało się odczytać tablic lincolna. Cadillac ma fałszywe numery – prawowity właściciel auta o takiej rejestracji mieszka w Annandale. Zadzwoń do mnie, to przekażę ci wszystkie szczegóły.

Mam nadzieję, że się na coś przydałem”.

Irlandczyk otwiera załącznik i uruchamia film. Materiał ma dobrą jakość. Zawieszona nad jezdnią kamera uchwyciła kierowcę jadącego skrajnym pasem escalade. Jest sam. Wygląda na trzydzieści kilka, może czterdzieści lat. Ma jasne włosy, jest gładko ogolony i barczysty. Przejeżdża pięć innych samochodów i pojawia się lincoln. Jedzie środkowym pasem, utrzymuje odstęp i nie siedzi tamtemu na ogonie – typowe zachowanie, gdy nie chce się wzbudzić żadnych podejrzeń.

Irlandczyk uważnie ogląda film. Escalade jedzie około stu na godzinę. Lincoln tyle samo. Nie ma żadnych wątpliwości, że go śledzi.

Na kolejnym ujęciu, które pokazuje zjazd do Dupont Circle, oba samochody z włączonymi kierunkowskazami zjeżdżają z międzystanowej, znikając z pola widzenia.

Irlandczyk znów sięga do szuflady po butelkę, by uczcić cenne odkrycie, a następnie jeszcze raz ogląda cały materiał od początku. Tym razem zauważy pewien drobiazg. Na błotniku cadillaca widnieje plakietka pojazdu z napędem hybrydowym, a lincoln ma przeszklony panoramiczny dach. Oba samochody pasują do opisu, jaki podała mu Sarah Cohen. W przeciwieństwie do kierowcy escalade, który jest blondynem. Znaleziony w zagajniku trup miał ciemne włosy. Widoczny na filmie mężczyzna musiał być zatem kierowcą, który odjechał spod sklepu Goldmana i to on wyszedł zwycięsko ze starcia, do jakiego doszło między współnikami po zabójstwie antykwariusza.

Biorąc pod uwagę czas wykonania ujęć, Irlandczyk nabiera niemal całkowitej pewności, że człowiek, którego widzi przed sobą na monitorze, jest zabójcą.

W kadrze znów pojawia się lincoln. Jest to drogi model. Jeden z tych najnowszych.

– O w dupę! – krzyczy detektyw i naciska pauzę. – Brytania rządzi.

Szeroki uśmiech rozjaśnia twarz Irlandczyka, który patrzy na coś, w czym bez trudu można rozpoznać tablicę rejestracyjną korpusu dyplomatycznego.

WIRGINIA

Na płaskim pięćdziesięciocalowym ekranie zawieszzonego w salonie nowego telewizora trwa drugi półfinał programu *Mam talent*. Połykające miecze karły rywalizują z przebranymi za zakonnice akrobatkami o miejsce w finałowych eliminacjach. Telewizja nie mogła spisać się lepiej. Przynajmniej nie wtedy, gdy głowa pęka od stresu i jedyne, o czym człowiek marzy, to rozsiąść się przed ekranem z drinkiem i paczką chrupek.

Ron Briars ma za sobą ciężki dzień. Teraz zastanawia się, czy nie powinien był sprawić sobie czegoś lepszego w nagrodę za całą tę pracę, jaką wykonał.

Sześćdziesięciocalowy ekran z obrazem 3D i łączem internetowym. Kino domowe z systemem dźwięku przestrzennego. Oglądanie sportu na takim cacku byłoby powalające.

Ale jak zwykle uległ naleganiom żony i zadowolił się czymś odrobinę mniejszym. Czymś, co bardziej pasowało do wystroju wnętrza, do przeszklonych drzwi i kominka. Nie zmieniało to faktu, że ani jemu, ani jego nastoletniemu synowi nie zaświtało nawet w głowie, co kominek i drzwi na taras mogą mieć wspólnego z telewizorem.

Rozlega się sygnał telefonu Rona. Żona i syn oskarżycielsko spoglądają na aparat BlackBerry, który dzwoni natrętnie i migocze, leżąc na stoliku obok jego iPhone' a i kieliszka z resztką czerwonego wina.

Niewielu ludzi zna ten numer telefonu, a ci, którzy się do nich zaliczają, są bardzo ważnymi osobistościami. Osobistościami na miarę Białego Domu. Tak ważnymi, jak Szef personelu albo sam prezydent.

Ron uśmiecha się przepaszająco, po czym wstaje i wychodzi z uprzykrzonym telefonem z salonu. Spogląda na wyświetlacz i zauważa, że ktoś, kto chce się z nim połączyć, używa zastrzeżonego numeru.

Szef Krajowej Agencji Wywiadowczej ostrożnie odbiera połączenie.

– Halo?

– Tole Mac – odzywa się głos w słuchawce. Mówi spokojnie i miarowo, niemal bez akcentu, ale słychać wyraźnie, że należy do Brytyjczyka. – To jest Tango. Oscar. Lima. Echo. Mike. Alpha. Charlie.

Siedem liter – dwa słowa przyjęte przez agencję oraz rozmówcę na drugim końcu linii jako sposób na potwierdzenie tożsamości.

Rozmówca jest zaufanym źródłem. Najbardziej zaufanym z możliwych.

Główny doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa sięga szybko po długopis i kartkę.

– Weryfikacja przeprowadzona. Możesz mówić.

– Warsztat samochodowy naprzeciwko Leonard Gordon Park w Jersey City. Masz czas od północy do wschodu słońca. Nie później. Siedzi tam czterech facetów i mają pod dostatkiem materiału wybuchowego, żeby zmieść z powierzchni ziemi pół Nowego Jorku. Tylko jedno wejście, przez bramę garażową, do której jest podłączony alarm. Życzymy ci powodzenia.

GLASTONBURY, ANGLIA

Po zakończeniu obrad Wewnętrznego Kręgu odlatują opancerzone helikoptery i rozjeżdżają się samochody. Na miejscu zostają tylko Beaucoup i Dalton. Obaj współpracują, badając tropy zaginionych krzyży i próbując ustalić miejsce pobytu Angelo Marchettiego.

Tymczasem Owain i jego żona zasiadają do wspólnej kolacji. Jednak nie robią tego w luksusowym salonie z oknami wychodzącymi na trawiaste boisko do krykieta czy też w oranżerii, z której roztacza się widok na ogród różany i jezioro. Postanowili zjeść kolację w plenerze. Na samym szczycie wzgórza Glastonbury, skąd mogą podziwiać pofałdowaną i porośniętą trawą okolicę, którą promienie zachodzącego słońca zalewają odcieniami czerwieni. Kilkadziesiąt metrów niżej uzbrojeni strażnicy patrolują podnóże wzniesienia, aby zapewnić im tę krótką chwilę prywatności. Każdy, kto akurat w tej chwili miałby ochotę zwiedzić to publiczne miejsce, otrzymałby hojną rekompensatę sięgającą nawet kilku tysięcy funtów, gdyby okazało się to konieczne.

Zawartość wiklinowego kosza piknikowego jest równie wyjątkowa, jak ten niezmienny od wieków krajobraz. Wiejski chleb i walijskie ciasteczka upieczone zaledwie przed godziną. Mozzarella z bawolego mleka, duże mięsiste pomidory oraz zielone i czarne oliwki sprowadzone tego ranka z Toskanii. Świeże krewetki i małże z pobliskiego wybrzeża, domowej roboty pasztet z bażanta i chateau lafite rocznik '82 z winnicy Rothschildów.

Owain i jego żona siedzą na szczycie, gdzie przed wiekami znajdowała się pustelnia mnicha, a potem wzniesiono kaplicę. Mogą stamtąd dostrzec las Great Breach, pasmo Polden Hills oraz wzgórza Brent Knoll i West Mendip.

Ale Owain i Jennifer widzą znacznie więcej. Widzą duchy magów, druidów i czarnoksiężników. Widzą świętego Patryka przemierzającego tę krainę w poszukiwaniu ludzi, których mógłby nawrócić, i anglosaskich

eremitów ukrywających się na zboczach wzgórz. Widzą masy celtyckich wojowników i maszerujące rzymskie legiony. Rozrastające się korzenie cywilizacji. Widzą też Artura i królową przy jego boku oraz rycerzy Okrągłego Stołu zgromadzonych nad jeziorem, z którego chłodnych fal wynurza się ręka Pani Jeziora trzymająca miecz.

Prawie minutę Jennifer przygląda się mężowi, który siedzi ze wzrokiem utkwionym w dal. Zazwyczaj to miejsce pozwala mu się odprężyć, ale dziś nie opuszcza go napięcie, które pogłębia bruzdy na jego czole i kryje się w niewypowiedzianych słowach.

– O czym myślisz? – Lady Gwyn wplata palce w jego dłoń.

Mija dłuższa chwila, zanim Owain wyrywa się z zadumy.

– O wielu rzeczach, ale nie masz czym się martwić.

Jennifer lekko pociąga go za rękę.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie. Co cię gnębi?

– Josep Mardrid.

Jennifer wzdryga się na sam dźwięk tego nazwiska.

– Co zrobił tym razem?

– Z każdym tygodniem jego korporacja staje się coraz bardziej bezwzględna. Jego bankierzy kupują ogromne połacie ziemi w Demokratycznej Republice Konga, Nigerii i Togo. Między innymi.

– I co w tym złego? Też inwestowaliśmy w tych krajach i działa tam wiele organizacji dobroczynnych, które wspieram.

– Mardrid próbuje stworzyć rynek handlu niewolnikami, którym zajmowali się jego przodkowie kilka pokoleń wstecz. W Togo opłaca uzbrojone bandy, by terroryzowały rolników i niszczyły ich uprawy. Setki mężczyzn, a także ich żon i dzieci zostało rannych, a są również ofiary śmiertelne.

– To straszne!

– Bandyci gwałcą nastolatki obojga płci. Łamią kości dzieciom i niemowlętom, a potem na scenę wkraczają bankierzy Mardrida, którzy oferują pokrzywdzonym śmiesznie niskie ceny za ich gospodarstwa.

W Trzecim Świecie Mardrid staje się potentatem w uprawie kakao, bawełny i kawy, a niedługo opanuje również hodowlę bydła i wtedy będzie mógł kontrolować rynki żywności.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Wszystko, co w mojej mocy. Jeżeli zajdzie taka konieczność, będziemy walczyć tą samą bronią. W przeciwnym razie on będzie zgarniał swoją dolę od wszystkiego, co wyrośnie. – Owain otacza żonę ramieniem i całuje ją. – Nie rozmawiajmy o nim. On tylko sprawia, że krew się we mnie gotuje, a my mamy tak mało czasu dla siebie. Jutro muszę być w Londynie.

Lady Gwyn przytula się do męża.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał.

– Ja też nie mam na to ochoty. Ale mam tyle rzeczy do zrobienia. I tak mało czasu na to wszystko.

Jennifer czuje ukłucie, słysząc te słowa.

– Rozmawiałaś z Myrddinem? Nim też się martwisz?

– Jeszcze nie. Ale on nie przysparza mi zmartwień. – Owain nie wspomina o tym, że starzec już nalegał na spotkanie. – Naprawdę nie muszę z nim rozmawiać, aby wiedzieć, że dzieje się coś złego. Czuję to co on. Zawsze tak było.

Jennifer unosi do ust jego palce i składa na nich pocałunek. Wie, że jej mąż ma rację. Że wszystko się zmieni. I to nie ze względu na to, co powiedział albo co mógł przeczuwać Myrddin, ale z powodu czegoś, co ona trzyma w tajemnicy.

JERSEY CITY, STAN NOWY JORK

O pierwszej w nocy oddział antyterrorystyczny zbiera się na południowym krańcu Leonard Gordon Park, popularnego terenu rekreacyjnego o powierzchni dwóch i pół hektara, który przylega do Manhattan Avenue.

Dowódcy Paulowi Bendonowi zajmuje niecałą minutę zapoznanie złożonej z sześciu ludzi grupy szturmowej i dwuosobowego zespołu saperów z planem budynku, a zwłaszcza z rozmieszczeniem pozycji terrorystów oraz ich wybuchowego arsenału.

Kiedy Bendon prowadzi odprawę, miniaturowy dron unosi się bezgłośnie nad jednokondygnacyjnym budynkiem. Krążąc pod bezgwiezdnym nocnym niebem, przesyła obraz z kamery termowizyjnej do miniaturowego ekranu wmontowanego w osłonę hełmu Bendona, na którym widzi on sylwetki czterech mężczyzn ukrytych we wnętrzu.

Dowódca nawiązuje kontakt z dwoma obserwatorami ukrytymi w pobliżu celu, a następnie daje sygnał do rozpoczęcia akcji.

Członkowie oddziału wysiadają z czarnej furgonetki o przyciemnianych szybach i przemykają chyłkiem przez park w stronę John F. Kennedy Boulevard. Warsztat jest w zasięgu ich wzroku.

Metalowa roleta zamykająca wjazd do garażu jest spuszczonej na sam dół i zamknięta na kłódkę od środka. Szyby w trzech oknach od frontu i dwóch z tyłu budynku są wykonane ze wzmocnianego szkła zbrojonego grubą siatką. Ściany z grubych pustaków betonowych osłania biały tynk. Pokryty masą bitumiczną drewniany dach jest zbyt cienki, by można po nim chodzić, nie robiąc przy tym hałasu.

Oznacza to, że Bendon musiał obmyślić inny sposób na dostanie się do środka.

Towarzyszący mu zespół składa się z najlepszych – MacNeish, King, Kupka, Parry, Cavell i Elliott brali udział w kilkunastu akcjach równie niebezpiecznych jak ta. Trudno o większych twardzieli.

Bendon daje znak ręką i MacNeish rusza naprzód. Potężnie zbudowany operator zajmuje pozycję, unosi do ramienia samopowtarzalny granatnik Arwen i wystrzeliwuje serię pocisków, które przebijają ścianę i wpadają do środka. Wewnątrz warsztatu uwalnia się z nich gaz łzawiący.

W tym samym czasie mały ładunek wybuchowy robi między bramą garażową a oknem wyrwę, przez którą King wrzuca dwa granaty hukowe. Kupka i Parry błyskawicznie wdzierają się do środka przez dziurę w murze i nikną w kłębach dymu. Lufy ich karabinków plują ogniem, ale nie wylatuje z nich śmiercionośny ołów, tylko pociski wypełnione specjalnym środkiem paralizującym, który uwalnia się z chwilą trafienia w cel.

Z przeciwległego rogu pomieszczenia pada seria strzałów. Jeden z pocisków trafia Elliotta w ramię, okręcając nim w miejscu. Cavell odpowiada ogniem.

W warsztacie rozpętuje się piekło. Zawala się jedna ze ścian i część dachu wpada do środka.

– Wychodź! Wychodź! – krzyczy Parry.

Zapadają się kolejne fragmenty dachu. Z rumowiska znów wylatuje grad pocisków. Jeden z terrorystów porzuca swoją kryjówkę i biegnie przez obłok dymu.

Widzi to Bendon. Terrorysta chce się dostać do drugiej części budynku, w której znajdują się materiały wybuchowe. Seria z pistoletu maszynowego Bendona trafia go w plecy. Dowódca grupy szturmowej kopnięciem odpycha jego broń na bok i krępuje mu rękę plastikową opaską.

Z dymu wyłania się drugi terrorysta. Kupka jest na tyle blisko, że dopada go i uderza łokciem w twarz, powalając na ziemię. Potem unosi lufę pistoletu i trafia go w klatkę piersiową pociskiem ze środkiem paralizującym.

Zapada cisza.

Wszyscy wyprężają się w skupieniu. Kamera termowizyjna wykryła

czterech ludzi, tymczasem oni dopadli tylko dwóch. Komandosi z bronią gotową do strzału przeczesują wypełnione dymem wnętrze. W słuchawce krótkofalówki Bendona jedno po drugim rozlegają się ich zgłoszenia.

- Od południa czysto.
- Od wschodu czysto.
- Od zachodu czysto.
- Od północy czysto.

Dowódca przedziera się przez pobojuwisko. Odłamki cegieł i betonowych pustaków chrzęszczą pod podeszwami jego butów. W warsztacie, na dnie kanału naprawczego, widzi duży zapas bomb oraz składników do ich produkcji. Leżą tam całe sterty plastycznego materiału wybuchowego. Część małych ładunków jest już uzbrojona, inne dopiero czekają na złożenie. Obok nich leżą dziesiątki detonatorów, paczki materiałów wiążących i zmiękczejących oraz kilka kanistrów heksogenu.

Bendon daje znak saperom, a sam odsuwa się na bok. Dwóch terrorystów zdołało zbiec, kiedy zawalił się dach, ale jego ludzie już ruszyli w pościg. Dowódca komandosów wraca do furgonetki i łączy się przez radio z dyspozytorem.

– Dwóch zatrzymanych. Dwaj uciekli, ale informacja była w stu procentach trafna. Mieściła się tu fabryka bomb. Całkiem spora. Powiedz dyrektorowi Briarsowi, że jego informator znów się spisał.

GLASTONBURY, ANGLIA

Czarny jaguar nadjeżdża w środku nocy.

Uzbrojeni agenci ochrony wychodzą z ciepłej budki strażniczej i zagląдают do wnętrza przez kuloodporną szybę, po czym z szacunkiem przepuszczają limuzynę.

Jaguar przemierza jeszcze krótki odcinek nieoświetlonej drogi i zatrzymuje się przed starą chatką odźwiernego. Kierowca, postawny mężczyzna o krótko przyciętych włosach, wysiada z samochodu i otwiera tylne drzwi przed pasażerem.

Myrddin z trudem podnosi się z miękkiej luksusowej kanapy. Jego plecy są wykrzywione i zeszywniałe po męczącej podróży, a myśli krążą już wokół drogi powrotnej, w którą będzie musiał wyruszyć tuż po świcie.

Cuchnące wilgocią wnętrze chatki jest skromnie umeblowane, podobnie jak jego komnaty w Walii. Nie ma żadnych zasłon w oknach ani dywanów. Na środku prostego drewnianego stołu stoi wiklinowy kosz wypełniony suchym prowiantem i serami, a obok niego staromodna butelka whisky i dwie szklanki.

Słyszy dobiegające z zewnątrz hałasy. Chrzęst kroków na żwirowej drodze. Głosy strażników przy bramie.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi Owain Gwyn.

– Jak dobrze cię widzieć!

Obaj mężczyźni wymieniają serdeczny uścisk.

– Jak się miewasz, drogi chłopcze? – pyta Myrddin.

– Dobrze. Chociaż czuję się strasznie na samą myśl, że musiałeś przyjechać z tak daleka. Powinieneś być skorzystać z helikoptera.

– Ech! – Starzec lekceważąco macha ręką. – Okropność. Wiesz, że jestem za stary na latanie.

Owain parska śmiechem, a potem omiata ruchem ręki surowe wnętrze.

– Zawsze czuję się niezręcznie, kiedy tkwisz w tej zimnej norze jak pustelnik. Mogliśmy przygotować dla ciebie dużo wygodniejsze miejsce

w rezydencji.

– Wolę tak mieszkać. Poza tym mam whisky, więc mogę się rozgrzać. – Myrddin otwiera butelkę i napełnia obie szklanki.

Owain zasiada przy stole.

– Nawiązując do Walii, pozwolisz, że przyślę ci ludzi, którzy wyremontują twoje komnaty. Zainstalują ci centralne ogrzewanie, izolację od wilgoci, elektryczność. Niektóre z wygod, jakie zapewnia dwudziesty pierwszy wiek.

Starzec kręci głową.

– Samo schronienie to dla mnie luksus. Wszelkie dodatki tworzą barierę między mną a duchami, z którymi chcę rozmawiać.

Owain unosi szklankę.

– To jest jedyny kontakt z duchami, na jaki mam ochotę.

Obaj trącają się szklankami i wypijają po łyku, po czym Myrddin przechodzi do celu swojej wizyty.

– Opowiadałem ci o tym, co ostatnio wyrwało mnie ze snu. Czy któraś z tych wizji nasuwa ci jakieś skojarzenia?

– Niestety tak.

– A dokładnie?

– Angelo Marchetti, członek Wewnętrznego Kręgu, ukradł cenne przedmioty i pieniądze – wyjaśnia Owain ze smutkiem. – Długo by opowiadać, ale koniec końców ludzie, których wynajął, są odpowiedzialni za morderstwo popełnione w Ameryce. Zginął właściciel sklepu z antykami...

– Ach, więc to on był Strażnikiem Czasu.

– To by pasowało do twojego proroctwa. – Owain ponownie napełnia szklanki.

– Ale jest tylko jedna ofiara?

– Nie, zginęło więcej osób.

– Widziałem poruszającą się bezszelestnie brązową bestię, która unosiła Śmierć i jej pomocników.

Owain kiwa głową.

– Jeden z ludzi, których poszukujemy, jeździł brązowym samochodem o napędzie hybrydowym. Jego silnik pracuje cicho, zarówno kiedy jest napędzany prądem, jak i paliwem.

– Chociaż mam tyle lat, wiem, co to jest napęd hybrydowy. – Myrddin podnosi głowę i spogląda na Owaina ponurym wzrokiem. – Jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałem.

– Zatem przypuszczam, że właśnie przyszedł na to czas.

– Widziałem dziecię – mówi. Sprawia wrażenie, jakby musiał przezwyciężyć strach, żeby wypowiedzieć te słowa. Owain wygląda na wstrząśniętego. – Ono nadchodzi.

– Jesteś pewien?

– Jestem. Ono nadchodzi, a za nim popłynie rzeka krwi poprzez wszystkie kraje, z kontynentu na kontynent.

PORT LOTNICZY DULLESA, WASZYNGTON

Nocny samolot z San Francisco odlatuje późno. Kiedy ląduje, pokonawszy dystans prawie pięciu tysięcy kilometrów, okazuje się, że nie ma dla niego wolnego terminalu. Jedna z tych uciążliwych nocy przechodzi w jeden z tych uciążliwych dni.

Samolot zostaje w końcu skierowany na jedno ze zwolnionych miejsc, ale brakuje personelu naziemnego, który mógłby obsłużyć dostawiany pomost. Gdy wreszcie wycieńczeni pasażerowie, powłócząc nogami, opuszczają pokład airbusa, dochodzi wpół do dziewiątej, a Mitzi jest już spóźniona dwie godziny.

– Dziękuję państwu i życzę miłego dnia – mówi na pożegnanie uśmiechnięta stewardesa.

Mitzi mierzy ją surowym spojrzeniem i przechodzi obok. Została zmuszona przez FBI do podróżowania klasą ekonomiczną i nie zmrużyła oka przez całą noc. Przynajmniej szczęśliwie się składa, że podróżuje z samym tylko bagażem podręcznym, więc błyskawicznie przechodzi odprawę.

W hali przylotów zauważa niechlujnego taksówkarza w średnim wieku, który trzyma arkusz kartonu z wypisanym jej nazwiskiem.

– Fallon to ja! – woła, machając do niego.

Mężczyzna sprawia wrażenie poirytowanego.

– Spóźniła się pani – odzywa się z wyrzutem.

Mitzi nie wierzy własnym uszom.

– No cóż, takie jest życie. Proszę to dopisać do rachunku. Plus dziesięć dolarów więcej, ponieważ muszę napić się kawy, zanim dokądkolwiek z panem pojedę.

Taksówkarz wybucha śmiechem i kręci głową z niedowierzaniem, że będzie musiał czekać jeszcze dłużej.

– Mamy tu Dunkin' Donuts, Green Lear i Guava and Java, wszystkie o minutę drogi stąd.

– Niech będzie Dunkin. W dwóch pozostałych jest chyba drogo, a ja nie jestem w nastroju do dyskusji z jakimś pryszczatym studentem.

– Mogę wziąć pani walizkę?

Mitzi zauważa, że taksówkarz zalatuje alkoholem i jest blady jak śmierć.

– Dam radę. Czy wyglądam tak mizernie, jakbym nie była w stanie pociągnąć walizki na kółkach?

– Nic podobnego. Ale na pewno jest pani zgryźliwa – odpowiada mężczyzna, prowadząc ją w stronę kawiarni. – Chciałem tylko być uprzejmy.

– Byłby pan uprzejmy, jakby pan wziął prysznic po nocnej popijawie.

– Pracowałem do późna i nie zdążyłem wstąpić do domu, żeby się przebrać. Przepraszam, ostatnio mam dość ciężki okres.

– Cóż, ciężki okres nie jest usprawiedliwieniem dla ciężkiego zapachu. Mój trudny okres sięga do samego Los Angeles, zahaczając o San Francisco, i jest w nim tyle uprzejmości cuchnących alkoholem facetów, że nie mam więcej pytań. – Mitzi uświadamia sobie, że być może jest trochę za ostra. – Niech pan posłucha, przepraszam, że kazałam panu czekać. Proszę mi o tym przypomnieć, kiedy będę wysiadać, a wynagrodzę to panu godziwym napiwkami.

Docierają do stoiska z kawą i ustawiają się na końcu kolejki. Mitzi otwiera torebkę.

– Chce pan kawy? Ja stawiam.

Mężczyzna wygląda na zadowolonego.

– Czemu nie? Poproszę średnią Dunkaccino. I duńskie ciastko z serem o smaku truskawkowym, jeżeli mogę panią naciągnąć.

– Żartuje pan, prawda? Truskawkowe? Naprawdę takie pieką?

– Są truskawkowe i jabłkowe. Do wyboru.

Mitzi wybiera ciastko truskawkowe i podwójną espresso. Płaci za wszystko i odchodzi od kasy, trzymając w ręku kubki z kawą i papierową torebkę ze słodyczami.

– Siądźmy gdzieś na chwilę, żeby to zjeść. Nie lubię się posilać w biegu.
– Mitzi wskazuje na pobliski stolik, a potem spogląda na zegarek. – Ale nie sądzę, żebym miała czas na pogawędki. Godzinę temu miałam się z kimś spotkać.

– Wiem. Z gliniarzem nazwiskiem Fitzgerald – odpowiada mężczyzna, odsuwając jej krzesło. – Już go pani spotkała. Usiądźmy, a on zapozna panią ze sprawą, kiedy będziemy jeść.

GLASTONBURY, ANGLIA

Trawnik na tyłach rezydencji połyskuje od rosy.

Dwie postacie od stóp do głów ubrane na biało kroczą po murawie w promieniach porannego słońca. Kłaniają się sobie z szacunkiem, a następnie wypełniają powietrze gwałtownym świstem stali. Sir Owain Gwyn i Lance Beaucoup po raz pierwszy skrzyżowali klingi na igrzyskach olimpijskich, kiedy to Francja pokonała Wielką Brytanię. Z rywalizacji zrodziła się serdeczna przyjaźń, a wkrótce potem Lance przystąpił do zakonu.

Stalowe klingi rozcinają powietrze. Uginają się kolana, stopy depczą trawę. Odziani w oślepiająco białe spodnie i kamizelki mężczyźni wykonują płynne obroty i pchnięcia. Żadnemu z nich nawet nie drgnie powieka za osłaniającą twarz maską z gęstej siatki. To by mogło kosztować zbyt wiele.

Na skraju trawnika stoi elektroniczny rejestrator trafień, z którego dobiega cienki pisk.

Pierwsza krew przypada w udziale Francuzowi, który wykonuje subtelny zwód, a po nim zadaje błyskawiczne pchnięcie w ramię.

Na natarczywe ataki przeciwnika Owain odpowiada swoją przebiegłością. Lekko stawia wielkie stopy. Przez sekundę porusza się szybko jak zawodnik wagi piórkowej. Odparowuje cios i robi szybki wypad.

Lance płynnym ruchem uskakuje w tył. Stara się utrzymać agresję na wodzy i zachować spokój. Blokuje i odbija uderzenia. Znów się cofa.

Owain ponawia atak. Francuz robi unik i trafia przeciwnika w dół brzucha.

Z elektronicznej skrzynki dobiega kolejny pisk. Młodszy z mężczyzn zdobywa drugi punkt.

Rywale powtórnie krzyżują klingi i od nowa zaczynają swój taniec. Taniec, który w zamierzonych czasach mógłby się zakończyć śmiercią

albo, co gorsza, hańbą. Ich stopy skaczą po wilgotnej murawie niczym umykające szczeniaki.

Lance zadaje niskie pchnięcie, a potem zamierza się od góry.

Owain paruje cios. Obie klingi krzyżują się tuż przy gardach. Rywale trwają w zwarciu, napinając mięśnie. Ich spojrzenia spotykają się na moment.

Owain pochyła się do przodu, odpycha przeciwnika i ponownie naciera. Francuz zbija jego klingę, uskakuje w bok i zadaje pchnięcie.

Rozlega się trzeci pisk.

– Stop! – Owain zdiera maskę desperackim ruchem. – Wciąż jesteś dużo lepszy ode mnie – mówi, z trudem łapiąc oddech. – Nie zniosę kolejnego upokorzenia.

– Więc używaj prawej ręki, *mon cher ami*.

– Jeżeli zacznę, lewa nigdy nie zdoła jej dorównać.

Lance ociera przedramieniem pot z czoła.

– Twoja prawa ręka jest tak dobra, że lewa nigdy nie będzie musiała trzymać broni.

Owain otacza przyjaciela ramieniem i prowadzi go w stronę domu, gdzie czeka na nich śniadanie.

– Słyszałeś coś więcej o wydarzeniach ostatniej nocy w Nowym Jorku?

– Tak. Dostaliśmy informację około czwartej nad ranem. Dwóch zatrzymanych. Amerykanie będą ich dzisiaj przesłuchiwać. Dwaj pozostali, specjalista od materiałów wybuchowych i Antun, zdołali uciec, kiedy antyterrorysty szturmowali budynek.

– Antun to dobry człowiek. Czy został ranny?

– Nic mu nie jest. Twierdzi, że nadal jest dostatecznie wiarygodny, by pozostać na miejscu.

– To niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne.

– Jak wszystko, co robimy.

– Al-Kaidzie brakuje ludzi, ale nie przebiegłości. Upewnij się, czy on ich nie bagatelizuje.

– Zadbam o to.

Lance unosi swój floret.

– Chciałbyś spróbować szczęścia jeszcze raz?

W oczach Owaina pojawia się błysk.

– Chciałbym. Ale już nie tymi szpikulcami. Mam parę mieczy i zbroje.

Co powiesz na krótką potyczkę przed śniadaniem?

Francuz spogląda na przyjaciela rozpromienionym wzrokiem.

– Nie musisz nawet pytać.

Obaj mężczyźni zmierzają w kierunku rezydencji, rozmawiając o wspólnych pasjach, o starodawnych mieczach i historycznych bitwach. Owain zerka w stronę domku stojącego w pobliżu bramy. Po czarnym jaguarze nie ma śladu. Myrddin już wyjechał.

WASZYNGTON

Podczas śniadania na lotnisku Irlandczyk zapoznaje Mitzi ze sprawą.

Opowiada jej szczegółowo o dwóch zabójstwach, o świadkach, których przesłuchał, o nielicznych śladach znalezionych na miejscach obu zbrodni oraz o nagraniach z kamer drogowych przedstawiających cadillaca escalade i lincolna.

Po śniadaniu udają się do samochodu. Irlandczyk ciągnie za sobą podręczną walizkę Mitzi, którą wrzuca do bagażnika fordą. Mitzi otwiera drzwi po stronie pasażera i wydaje okrzyk na widok zaścielającej podłogę grubej warstwy śmieci.

– Na rany Chrystusa, co za bajzel! Co tu wozisz oprócz bakterii czerwonej i wirusa ebola? – Przygląda się z bliska. – Puszki po napojach. Opakowania po kanapkach z Subwaya i McDonalda. Jakies dziesięć gazet.

– Lubię czytać.

– Kupię ci książkę o higienie.

– Niewiele osób siada po tej stronie.

– Nietrudno zgadnąć dlaczego. To dokąd najpierw jedziemy? Do ambasady czy zobaczyć się z tą dziewczyną ze sklepu?

– Do ambasady. To jest ważniejsze. – Irlandczyk spogląda w stronę pasażerki. – Tak z ciekawości, jak trafiłaś do tego tajemniczego wydziału FBI?

– Pracowałam nad sprawą, która łączyła się z Całunem Turyńskim. Wiesz, co to jest?

– Oczywiście. Wychowałem się w katolickim domu. Byłem nawet ministrantem. I co odkryłaś? To oryginał czy podróbka?

Mitzi wybucha śmiechem.

– To długa historia. W każdym razie musieliśmy zmierzyć się z historią, religią, polityką i podstępными Włochami, żeby doprowadzić do rozwiązania. Dobry argument w staraniach o podwyżkę i przeniesienie.

– Podoba ci się nowa praca?

– Za wcześnie na wyrażanie opinii. Na razie bije na głowę ściganie gangsterów po przedmieściach Los Angeles. – Mitzi zerka na zegarek. – Dziś rano jedna z moich współpracownic ma pokazać zdjęcie twojego krzyża kilku profesorom historii i teologom. Dajmy jej jeszcze godzinę, a potem do niej zadzwonię.

– Modlę się, żeby dopisało jej szczęście.

– Nie ustaliliście nic więcej?

– Tylko tyle, że jest wart mnóstwo pieniędzy. Amir, ten stary antykwariusz, o którym ci mówiłem, wyskrobał każdy grosz, jaki miał, a jeszcze więcej pożyczył, żeby go kupić.

– Zatem wygląda na to, że twoi szefowie postąpili rozsądnie, wzywając nas na pomoc.

– Niekoniecznie. – Irlandczyk kręci głową ze smutkiem.

– Niekoniecznie? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że moi szefowie tak naprawdę nie pochwalają tego, że tutaj jesteś. Wysłałem wezwanie, nie pytając ich o zgodę.

Mitzi unosi brwi.

– Lubisz być kopany po dupie?

– To stara i twarda dupa, która zebrała tyle kopniaków, że już nie czuje bólu.

Zatrzymują się przed główną bramą ambasady brytyjskiej. Obydwoje zauważają mnóstwo kamer monitorujących całą okolicę, strażników uzbrojonych w broń maszynową i psy przeszkolone do wykrywania materiałów wybuchowych.

Detektyw opuszcza szybę i pokazuje swoją odznakę strażnikowi przy wjeździe.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i musimy porozmawiać z ambasadorem albo jednym z jego przedstawicieli.

Strażnik podnosi szlaban.

– Proszę tam zaparkować. Przeprowadzimy kontrolę, a potem zaprowadzę was do tylnego wejścia. Jeden z urzędników konsularnych

przyjdzie z wami porozmawiać.

– Dzięki. – Irlandczyk przejeżdża przez bramę i parkuje na miejscu dla gości.

Mitzi wysiada z samochodu i obrzuca spojrzeniem budynek z czerwonej cegły o ścianach porośniętych bluszczem, otoczony nieskazitelnym ogrodem.

– Nieźle. W takim domu chyba mogłabym zamieszkać.

BRONX, NOWY JORK

Nabil Tabrizi był szefem komórki zaledwie od osiemnastu miesięcy. Kierowanie wytwórnią bomb było jego pierwszym poważnym zadaniem. Zadaniem, które spaprał.

Nabil wie, że CIA nie wpadła na ich trop przez przypadek. Jego akcja została udaremniona dwa dni przed tym, jak byliby gotowi do wysadzenia Wall Street. Ktoś działał, wykorzystując bardzo dokładne informacje. Niewykluczone, że nastąpił przeciek.

Wychowany w Bronksie Nabil swoją powierzchownością nie różni się od większości nowojorczyków. Ale w głębi serca jest zwolennikiem Al-Kaidy. Stał się nim jeszcze w czasach szkolnych, kiedy był prześladowany za to, że jest muzułmaninem. Na długo przed śmiercią kuzyna, który został zatłuczony na śmierć przez jakichś prostaków, ponieważ nosił takie samo nazwisko, jak szejek Chalid Muhammad, jeden z organizatorów zamachu na World Trade Center.

Nabil spotyka się ze swoim łącznikiem na zapleczu kancelarii prawniczej położonej w pobliżu baru Stan's Sport, kilka kroków od stadionu drużyny Jankesów.

– Zostałeś wystawiony przez kogoś z wewnątrz, Nabilu – odzywa się chudy mężczyzna o czarnych oczach, który siedzi w zacienionym kącie pokoju. Jego słowa wiszą w zatechłym powietrzu. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Tak, imamie. – Nabil wie, że musi okazywać skruchę, ale jednocześnie zachować czujność, jeżeli chce przeżyć. – Bardzo mi przykro, że do tego doszło.

– Czy podejrzewasz, kto to mógł być?

– Na pewno nie Abbas ani nie Samir. Obaj zostali schwytani. Ani nie Tamir, który zginął.

– Więc kto zostaje?

– Halim i Malik to jedyni, którzy zostali. Malik zajmował się

składaniem bomb, więc nie sędzę, aby to był on.

– Zatem mógł to być Halim. A kogo z nich najmniej znasz?

Nabil musi się zastanowić przez chwilę.

– Samira i Halima.

– To Halim. Czy teraz uciekł?

– Nie, wciąż jest w pobliżu. Dlatego myślę, że to nie on.

Imam drapie się po zarosniętym podbródku.

– Niewykluczone, że Amerykanie zaaresztowali jednego ze swoich, żeby odwrócić od niego nasze podejrzenia. Zawsze mogą go później zwolnić, twierdząc, że zmusiło ich do tego prawo.

– Myślisz, że mógł to zrobić jeden z nich?

– Niczego nie myślę. To są twoi ludzie, Nabilu, i to ty powinienes znaleźć odpowiedź. Musisz myśleć i działać stanowczo. Czyż święta księga nie mówi nam: „Zwalczajcie tych spośród niewiernych, którzy są blisko was. Niech się spotkają z waszą surowością”?

– Owszem, imamie, tak mówi.

– Zatem właśnie to powinienes zrobić.

Nabil czuje ulgę. Wie, że dostanie drugą szansę.

– Kiedy spojrzę im w oczy, dowiem się, który mnie zdradził.

Imam podnosi rękę i dwukrotnie stuka w ścianę. Zacieniony kąt, w którym siedzi, rozjaśnia smuga światła padająca z otwartych drzwi. Na progu staje potężnie zbudowany mężczyzna o śniadej skórze, ubrany w białe workowate spodnie i białą kamizelkę, która odsłania jego silnie umięśnione ramiona. Ma ogoloną głowę, a jego kanciastą twarz otacza krótko przystrzyżona broda, tak ciemna jak jego oczy.

– To jest Asif – wyjaśnia imam. – Najbardziej zaufany z moich ochroniarzy. Teraz jest twoim nowym rekrutem. Zapewni ci bezpieczeństwo i pomoże dotrzeć do prawdy.

– Dziękuję ci. – Nabil pochyla głowę w geście wdzięczności.

Asif wychodzi z cienia i staje onieśmielająco blisko swojego nowego towarzysza.

– Przygotowałem sprawdzian dla ciebie i twoich ludzi – dodaje imam i przenosi wzrok na olbrzymia. – Zaprowadź go do drugiego pokoju, Asifie, i pokaż mu nasz „wykrywacz kłamstw”.

W zacienionym kącie Nabil dostrzega błysk zębów odsłoniętych w lekkim uśmiechu, który tak rzadko pojawia się na twarzy imama.

– Idź. To ci pomoże wykryć zdrajcę i dać Amerykanom nauczkę.

GLASTONBURY, ANGLIA

Śniadanie zostało podane w eleganckiej oranżerii w stylu edwardiańskim. Żłociste promienie porannego słońca padają na blaty stołów okryte białymi lnianymi obrusami, połyskując w porcelanowej zastawie i srebrnych sztuccach.

Owain jest rozkojarzony. Przepowiednie Myrddina i długa rozmowa, którą odbył z nim ostatniej nocy, wciąż zaprzatają mu głowę. Poczynania Mardrida w krajach Trzeciego Świata również nie dają mu spokoju. Z wolna dociera do niego, że do stołu podszedł ubrany na biało kelner i czeka na zamówienie.

– Poproszę filiżankę czarnej herbaty, świeże jagody i rogalika.

Młody kelner spogląda na Lance'a, który właśnie sadowi się na krześle.

– Tylko kawę i rogalika. *Merci*.

Kelner odchodzi żwawym krokiem.

– Czy lady Gwyn do nas dołączy? – pyta Lance, wskazując głową w stronę trzeciego nakrycia.

– Nie, zdążyła już nas opuścić. Gdy byliśmy w trakcie naszego ostatniego pojedynku, postanowiła wybrać się na przejażdżkę i ujeździć nowego konia, który zrzucił ją parę dni temu.

Lance wygląda na zatroskanego.

– Nic się jej nie stało?

– Ucierpiała tylko jej duma. To walijski ogier, wielka biała bestia, która najwyraźniej nie zamierza dać się okiełznać.

– Taka jest właśnie walijska natura, czyż nie?

– Owszem – potwierdza Owain z rozbawieniem. – Współczuję temu koniowi. Jenny w końcu wygra. Zawsze wygrywa.

– Właśnie dlatego nigdy się nie ożenię.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia zmienisz zdanie – odpowiada Owain ze śmiechem.

Wraca kelner, niosąc śniadanie na wielkiej srebrnej tacy. Trzyma ją

nad stołem, podczas gdy młoda kelnerka w ciemnym kostiumie nalewa herbatę i kawę oraz podaje jedzenie. Owain czeka w milczeniu, aż oboje odejdą, i dopiero wtedy kontynuuje rozmowę.

– Czy Krzyż Rycerski wrócił na cmentarz?

– Wrócił. Gawain i Danforth zajęli się tym ostatniej nocy.

– To dobrze. Wciąż jestem wstrząśnięty i oburzony tym, że Angelo dopuścił się takiego świętokradztwa. Mdli mnie na samą myśl, że mógł obrabować grób poległego brata.

– Groby. Nie zapominaj, że zabrał trzy krzyże.

– Faktycznie. Trzej nasi polegli bracia zostali haniebnie odarci z godności. Czy teraz wprowadzono już należyte środki bezpieczeństwa?

– Tak. I modyfikujemy również procedury w innych krajach – mówi Lance i po chwili wahania przechodzi do bardziej delikatnej kwestii. – Chcesz, żebym poprosił George’ a o skontrolowanie brytyjskich miejsc pochówku, czy wolisz mu to powiedzieć osobiście? Wszak tutejsze i francuskie cmentarze są najstarsze i odgrywają najbardziej doniosłą rolę.

– Ty mu powiedz. – Owain jest zadowolony, że Lance poszerza zakres swojej władzy, stopniowo zamieniając się w przywódcę. – Już skończyłem. Muszę brać się do pracy. – Wyciera dłonie w serwetkę i wstaje od stołu.

– Przyłączę się do ciebie. – Lance również podnosi się z krzesła. – Jeżeli tu zostanę, albo zapadnę w drzemkę, albo wypiję za dużo kawy.

Wychodzą z oranżerii i kierują się w stronę głównej części rezydencji. Długim korytarzem docierają do schodów, które prowadzą w dół.

Obaj mężczyźni korzystają z systemu identyfikacji linii papilarnych i siatkówki, aby dostać się do krótkiego, ślepo zakończonego przedsionka o ścianach pokrytych boazerią, w którym znajduje się troje drzwi. W pomieszczeniu po lewej przebywają członkowie ekipy analityków, po prawej mieści się prywatny gabinet sir Owaina.

Drzwi na wprost prowadzą do centrum dowodzenia Tajemnego Zakonu Arturianów. Tam bije serce ich bractwa.

AMBASADA WIELKIEJ BRYTANII, WASZYNGTON

Po dopełnieniu wszystkich procedur bezpieczeństwa Mitzi i Irlandczyk zostają zaprowadzeni do wysoko sklepionej poczekalni, w której każdy dźwięk odbija się echem, a na zakurzonych ścianach wiszą oprawione w ramki fotografie przedstawiające kolejne pokolenia brytyjskich monarchów.

Mija pół godziny.

Mitzi zaczyna tracić i tak już mocno nadwątloną cierpliwość, gdy do sali wchodzi energicznym krokiem jasnowłosa mężczyzna w niebieskim garniturze.

– Witam. Nazywam się Richard Stevens. W czym mogę pomóc?

Irlandczyk wyciąga odznakę i przy okazji z jego kieszeni wysypuje się kilka zmiętych papierowych chusteczek.

– Porucznik Fitzgerald z waszyngtońskiej policji, a to jest Mitzi Fallon z FBI. – Irlandczyk zawiesza głos, gdy jego towarzyszka sięga po swoją odznakę.

Stevens wnikliwie studiuje ich legitymacje służbowe.

– I co państwa tutaj sprowadza?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa i potrzebujemy waszej pomocy – oznajmia detektyw i pojednawczo rozkłada ręce. – Kurczę, wiem, że obowiązują wszystkie te kanały urzędowe i procedury, ale na pewno mógłbym jakoś ominąć biurokrację i dopaść naszego zabójcę. Mogę pana o coś zapytać?

Młody attaché milczy.

– Proszę na to spojrzeć. – Irlandczyk otwiera brązową kopertę, wyciąga z niej plik powiększonych fotografii, które technicy wykonali dla niego zeszłego wieczoru, i wręcza je Stevensowi. – Ten lincoln jest zarejestrowany na ambasadę brytyjską, sprawdziliśmy tablice. Musimy się dowiedzieć, kto jeździł nim w ostatni piątek i gdzie znajduje się w tej chwili.

– Macie tutaj ewidencję kursów albo coś w tym rodzaju? – pyta Mitzi. – Możemy porozmawiać z kierownicą?

Stevens oddaje detektywowi odbitki.

– Przykro mi, ale będziecie musieli zdać się na te uprzykrzone procedury. Chyba będzie najlepiej, jeżeli wasz komendant policji zwróci się do Departamentu Stanu, który zajmie się tym w odpowiedni sposób – wyjaśnia i dotyka palcami tarczy zegarka. – A teraz niestety będę musiał zająć się innymi obowiązkami.

– Jeżeli nie ma pan czasu, to może pański szef go dla nas znajdzie? – Mitzi nie daje za wygraną.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Stevens wygląda na rozbawionego. – Gdybyście byli lepiej poinformowani, wiedzielibyście, że sir Owain Gwyn zakończył swój okres urzędowania. Wczoraj wrócił do kraju wraz z całym personelem – wyjaśnia attaché i uprzedza jej kolejne pytanie. – Ja zostałem tylko po to, żeby pomóc nowemu ambasadorowi w objęciu urzędu. Ale jego nie będzie ani dzisiaj, ani przez resztę tego tygodnia.

Mitzi podchodzi do urzędnika i staje bardzo blisko niego.

– Czy ja wyglądam jak obłuzowana szyba?

Mężczyzna spogląda na nią zdezorientowany.

– Co proszę?

– Bo tak się zastanawiam, po co pan mi wciska cały ten kit.

– Oficjalnie proszę o opuszczenie terenu ambasady – oświadcza Stevens podniesionym głosem. – Jeżeli stąd nie wyjdziecie, wezwę ochronę i zostanieie usunięci siłą.

– Już wychodzimy. – Mitzi poklepuje go figlarnie po policzku. – Masz uroczy akcent, skarbie. Boże, chroń tę całą waszą królową.

NOWY JORK

Przez ostatnie trzy lata Halim Husajn był zaufanym członkiem komórki terrorystycznej Nabila Tabriziego. Żaden z jego towarzyszy ani przez chwilę nie podejrzewał, że tak naprawdę nazywa się on Antun Bhatti i należy do Zakonu Arturianów, tajnej organizacji znanej zaledwie kilku osobom na świecie.

Ale dziś sytuacja wygląda inaczej.

Antun zdaje sobie sprawę, że po akcji oddziału antyterrorystycznego Nabil uważa jego, jak również wszystkich, którzy przeżyli, za potencjalne źródło przecieku.

Siedzi teraz na twardym krześle w wilgotnej piwnicy domu przy Westchester Avenue, zaledwie kilka kroków od miejsca, gdzie Cross Bronx Expressway krzyżuje się z linią metra w dzielnicy Parkchester, przebiegając pod rondem Hugh J. Granta. Jest w tej kryjówce po raz pierwszy. Przyprowadził go tu Nabil. Po drodze pięć razy zmieniali środek transportu i pokonali ogromny dystans, krążąc po mieście, aby zyskać pewność, że nikt ich nie śledzi.

Wraz z Malikiem, specjalistą od materiałów wybuchowych, został przeszukany i prześwietlony elektronicznym testerem przez człowieka, którego Nabil przedstawił jako Asifa.

Młody dowódca komórki wygląda na spiętego i zatroskanego. Siedzi pochylony, opierając łokcie na kolanach.

– Jeden z naszych kolegów nie żyje – mówi. – Inni zostali ujęci przez Amerykanów. A jednak wy dwaj zdołaliście wyjść z tego bez szwanku. Nie dosięgła was żadna kula. Nie macie nawet zadrapania. Nikt nie próbował was zatrzymać. Powiedzcie mi, dlaczego Allah potraktował was tak łaskawie?

Drobny siwowłosy pirotechnik odzywa się pierwszy.

– Kiedy Amerykanie wysadzili drzwi, byłem w toalecie. To ochroniło mnie przed wybuchem i pociskami. Dziękuję Allahowi i modłę się za tych,

którzy nie mieli tyle szczęścia co ja. Przysięgam, że moja praca przyniesie chwałę pozostałym członkom naszej grupy.

Nabil spogląda badawczo na mężczyznę siedzącego obok.

– A ty, Halimie?

Antun nie spieszy się z odpowiedzią. Zawstydzony spuszcza wzrok

– Bracie! Czekam na twoje wyjaśnienia.

Antun unosi w końcu głowę. Jego oczy szklą się od łez.

– Bałem się – odpowiada i przez chwilę czeka w milczeniu, aż wybrzmia jego słowa. – Kiedy Amerykanie zdetonowali ładunki, siła wybuchu rzuciła mnie na podłogę i tam zostałem. – Mężczyzna ponownie zwiesza głowę. – Byłem zbyt przerażony, by się poruszyć, i miałem nadzieję, że mnie nie zabiją. Potem zawaliła się cześć dachu i wykorzystałem tę okazję, aby uciec, zamiast walczyć. – Antun podnosi wzrok i spogląda w oczy swojemu zwierzchnikowi. – A potem zadzwoniłem do ciebie i opowiedziałem o wszystkim.

Nabil przypomina sobie, jaką zgrozą napełniła go ta wiadomość. Halim faktycznie pierwszy go ostrzegł i być może w ten sposób pomógł mu uniknąć aresztowania lub śmierci z rąk Amerykanów.

– Wśród nas jest zdrajca. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Może nim być jeden z was, a nawet Abbas lub Samir. W tej chwili nie jestem niczego pewien. Ale będę. – Nabil dotyka ramienia siedzącego obok mężczyzny. – Asifie, pokaż im, w jaki sposób odkrywamy prawdę.

Asif sięga do czarnego foliowego worka, który otrzymał od imama, i wyciąga z niego gruby zwój jasnobrązowej tkaniny. Kiedy go rozkłada, oczom zebranych ukazuje się plątanina kolorowych kabli, które wystają z głębokich kieszeni wypełnionych ładunkami wybuchowymi.

– Dziś wieczorem – oświadcza Nabil – w godzinach szczytu jedna z naszych sióstr uda się na dworzec Grand Central i sprawi, że ten nudny nowojorski dzień przejdzie do historii.

GLASTONBURY, ANGLIA

Dzienny raport, który Lance wręcza Owainowi, nie różni się niczym od tego, który wkrótce ma trafić do rąk prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Jednak to sprawozdanie nie zostało przygotowane przez amerykańskie, ani nawet przez brytyjskie służby wywiadowcze. Jest dziełem ekipy analitycznej, skrupulatnie wyselekcjonowanej grupy specjalistów, którzy gromadzą informacje na temat największych zagrożeń dla bezpieczeństwa światowego.

Dzisiejsze informacje są uszeregowane od A do U. Od Afganistanu i Algierii aż po Uzbekistan. Studiując ten alfabet terroryzmu, Owain śledzi zmiany układu sił, nowe powiązania oraz zakończone sukcesem albo nieudane zamachy. Zapoznaje się z najnowszymi doniesieniami na temat Czerwonych Khmerów, zwiadystów z Gruzji, japońskiego ruchu Najwyższa Prawda, palestyńskiego Hamasu i pakistańskich mudzahedinów. Po zapoznaniu się z raportami przechodzi do osobnego dokumentu, który codziennie na niego czeka.

Dokumentu opatrzonego nagłówkiem „Mardrid”.

Jest to nazwa firmy, której siedziba mieści się w stolicy Hiszpanii i która stanowi przykrywkę dla handlu bronią, dostaw czołgów dla Syrii, samolotów bojowych dla Iranu i pocisków raketowych dla Korei Północnej. Jej prezesem jest Josep Mardrid, pozbawiony skrupułów przedsiębiorca i wcielenie zła.

Owain czyta uważnie każdą linijkę, zdając sobie sprawę, że w jakimś punkcie globu Mardrid najprawdopodobniej studiuje raport o nim i jego poczynaniach. Jeżeli przepowiednie Myrddina są trafne, wkrótce znów się spotkają. Tak jak spotkali się ich przodkowie. A wtedy dojdzie do rozlewu krwi. Krew poleje się tak obficie, że jej rwący strumień porwie ze sobą wiele najdoskonalszych istnień, jakie kiedykolwiek były znane światu.

AMBASADA WIELKIEJ BRYTANII, WASZYNGTON

– Idziesz w złą stronę. – Irlandczyk wskazuje kciukiem w stronę frontowej bramy, drugą rękę wkładając do kieszeni w poszukiwaniu ostatniej czystej chusteczki. – Parking jest tam.

– Nigdy nie miałam dobrej orientacji w terenie. – Mitzi skręca na chodnik, który prowadzi na tyły zabudowań ambasady.

Detektyw kicha i patrzy za nią zdumiony.

– Dokąd idziesz?

– Tam musi być garaż. Myślę, że mamy niecałe pięć minut, zanim attaché do spraw mydlenia oczu zapyta ochronę przy bramie, czy wyjechaliśmy.

Irlandczyk zмага się z sobą.

– Posłuchaj, nie mamy nakazu, a mój szef nie wie nawet, że tu jesteśmy. Skopie mi dupsko, jeżeli coś przeszkobiemy.

– Słyszałam, że podobno masz twarde i zahartowany tyłek.

– Kłamałam. Tak naprawdę jest miękki jak...

– Dostyc tego, bo osobiście ci go skopię.

Obydwoje idą chodnikiem, który wije się pod osłoną wielkich drzew. Na otwartej przestrzeni mieści się kilka starych przybudówek i rozległy asfaltowy plac, na którym parkują należące do ambasady pojazdy. Tuż obok znajduje się dystrybutor paliwa, beczki z olejem i podłużny parterowy budynek warsztatu. Przez otwartą bramę garażową widać ciemnobrązowego range rovera, który wygląda na kilkuletni model, a obok niego stoi czarny jaguar, luksusowa limuzyna supercharged XJL.

Mitzi zagląda w głąb garażu, gdzie dostrzega srebrnego lincolna MKZ z przeszklonym panoramicznym dachem.

– No i popatrz – mówi, przeciągając palcami po błotniku samochodu. – Czy on nie wygląda znajomo?

– Tegoroczny model. – Irlandczyk omiata pełnym zazdrosnego podziwu spojrzeniem karoserię i tapicerkę z miękkiej skóry. – Silnik trzy i siedem

dziesiątych litra w układzie V6, w środku skóra i drewno. Jest wart czterdzieści, może czterdzieści pięć tysięcy.

– Poniżej pięćdziesięciu nie ma rozmowy – odzywa się rudowłosy mężczyzna w granatowym kombinezonie, który idzie w ich stronę, wycierając dłonie w czarną od smaru szmatę. – Mogę w czymś pomóc?

– Porucznik Fitzgerald z wydziału zabójstw w Waszyngtonie. – Irlandczyk wyciąga odznakę. – Kim pan jest?

– Nazywam się Chas Dawkins. Jestem szefem obsługi technicznej. Czy coś się stało?

– Prowadzisz jakąś ewidencję, Chas? Możesz mi powiedzieć, dokąd jeździł każdy z tych samochodów i kto z nich korzystał? Z obsługą warsztatu włącznie. – Irlandczyk unosi brwi i spogląda podejrzliwie na mechanika.

– Ja i reszta chłopaków wykonujemy tylko jazdy próbne, przeważnie na drogach zamkniętych. Jeżeli ktoś wyjeżdżał stąd którymś z tych samochodów, to musiało zostać odnotowane. Mam dziennik.

Cała trójka idzie w głąb mrocznego warsztatu, w którym unosi się woń oleju, paliwa i rozpuszczalników. Mitzi ogląda się przez ramię, wypatrując agentów ochrony, których nadejście jest nieuchronne.

Chas grzebie w szufladach sfatygowanego drewnianego biurka, na którym stoi wiekowy komputer i kilka brudnych kubków. W końcu znajduje notatnik formatu A3 w twardej niebieskiej oprawie i otwiera go.

– Który dzień i samochód was interesuje?

– Ostatni piątek. – Irlandczyk czuje, jak serce modniej uderza mu w piersi. – Kto wtedy korzystał z tego lincolna, powiedzmy po ósmej wieczorem?

Mechanik przesuwając palcem wzdłuż tabeli, aż natrafia na nazwisko i podpis.

– Pan Dalton.

– Kto to jest? – pyta Mitzi, która w tym samym momencie zauważa, jak czarny ford expedition zatrzymuje się przed bramą warsztatu.

– George Dalton. Jest konsulem.

Mitzi widzi, jak z samochodu wysiadają strażnicy, którzy podciągają spodnie i poprawiają pasy obciążone kaburami z bronią.

– Jak długo korzystał z tego samochodu?

Chas pochyla się nad zeszytem.

– Zostawił go na lotnisku w niedzielę rano. Zabraliśmy...

– Ani słowa więcej, panie Dawkins – przerywa mu jeden z agentów, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna. – Ci ludzie nie mają prawa zadawać panu pytań.

– Dobrze się spisałeś, Chas. – Mitzi puszcza oko do mechanika. – Cokolwiek będzie ci mówił ten tajniak, postąpiłeś słusznie.

NOWY JORK

– Cała rzecz w tym, że żaden z nas nie opuści teraz tego pokoju – oświadcza Nabil Tabrizi, patrząc na Halima i Malika. – Wyjdziemy stąd dopiero wtedy, gdy dworzec Grand Central spłynie krwią niewiernych.

Obserwuje bacznie swoich towarzyszy, próbując dostrzec w oczach któregoś z nich wyraz zatroskania, reakcję na wiadomość, że nie zdoła porozumieć się z władzami i zapobiec atakowi.

Malik pierwszy przerywa pełne napięcia milczenie.

– Mogę zobaczyć tę kamizelkę? – pyta.

Dowódca komórki przygląda mu się podejrzliwie.

– Po co?

– Żeby się upewnić, czy zadziała. Takie urządzenia są podatne na defekty.

– A może chcesz ją uszkodzić? – wtrąca Asif. – Poluzować styki albo coś w tym rodzaju?

Specjalista od materiałów wybuchowych zachowuje spokój.

– Jestem profesjonalistą i działam profesjonalnie – oświadcza i obraca głowę w stronę swojego zwierzchnika. – Liczysz się z moją opinią i umiejętnościami czy nie?

– Daj mu to – rzuca Nabil szorstko.

Asif ostrożnie podaje kamizelkę Malikowi.

Tymczasem Nabil wyciąga glocka zza paska od spodni i sprawdza naboje w magazynku. Wykonuje tę czynność bardziej z nudów niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– Milczący jesteś, Halimie – zwraca się do drugiego z towarzyszy i wsuwa z powrotem magazynek do rękojeści pistoletu. – Co ci chodzi po głowie?

Antun czuje, że Nabil przewierca go wzrokiem.

– Zastanawiałem się, czy ktoś wziął po uwagę skanery na stacji i pomyślał o tym, jak je ominąć. Czy też plan przewiduje zdetonowanie

ładunku na zewnątrz?

– Ten plan został starannie przemyślany – odpowiada Nabil. – Ładunek to TATP, którego nie wykryje żaden skaner. Prawda, Maliku?

– Zgadza się. Jak powiedziałeś, twórca tej bomby użył nadtlenu acetonu. To prymitywna, ale bardzo wrażliwa substancja otrzymywana z reakcji acetonu z nadtlenkiem wodoru i jakimś stężonym kwasem, solnym lub siarkowym. – Malik otwiera jedną z kieszonek kamizelki, pokazując ukryty w środku materiał wybuchowy. – Większość skanerów nie jest w stanie go wykryć, ponieważ wykorzystują tylko czujniki związków azotu. To jest właśnie „niewidzialna bomba”, jak się to określa w środowisku pirotechników.

Antun, którego wszyscy znają jako Halima, ociera pot z czoła. Jego myśli krążą wokół dworca Grand Central. Jest to nie tylko najbardziej ruchliwy węzeł komunikacyjny nowojorskiego metra, ale jedno z miejsc na ziemi, przez które przewijają się największe tłumy. Obejmuje powierzchnię dwudziestu hektarów i przebiega przez niego ponad sto linii kolejowych. Każdego dnia przewija się tam trzy czwarte miliona ludzi. Eksplozja bomby w takim miejscu mogłaby spowodować niewyobrażalne straty.

Antun wie, że nie może dopuścić do zamachu. Nawet gdyby miał to przypłacić życiem.

WASZYNGTON

Mitzi opuszcza szybę w oknie taurusa jadącego w kierunku North Bethesda, gdzie mieszka Sophie Hudson.

– Jesteś pewien, że zostawiłeś ciała w kostnicy, a nie leżą zagrzebane pod tymi śmieciami na podłodze twojego samochodu?

– Bardzo śmieszne. – Irlandczyk otwiera schowek. – W środku znajdziesz wodę kolońską. Rozpyl ją i przestań się czepiać.

– Cóż za propozycja. – Mitzi wyjmuje ze schowka podejrzaną zieloną buteleczkę z etykietką, jakiej nigdy wcześniej nie widziała, i zdejmuje nakrętkę. – O mój Boże. Chyba jednak wolę smród ukrytych zwłok.

Odkłada buteleczkę na miejsce.

– Zapłaciłem za nią dziesięć dolarów.

– Powinieneś aresztować sprzedawcę za rozbój w biały dzień.

Na twarzy Irlandczyka pojawia się uśmiech. Dla kogoś takiego jak Mitzi Fallon byłby nawet skłonny kupić perfumy za sześćdziesiąt dolarów i pozbierać się do kupy. Szkoda, że ona tylko przemyka przez jego życie. Szkoda, że jego życie tak właśnie przemyka.

– Myślę, że Sophie Hudson coś przede mną ukrywa. Mówiłem ci już o tym?

– Tak. Mówiłeś na lotnisku.

Detektyw stuka się palcem w czoło.

– Jestem już w takim wieku, że nie mogę spamiętać połowy rzeczy, które mówię. Lepiej się powtórzyć, niż nie powiedzieć czegoś wcale.

– Domyślasz się, co to może być?

– Problem w tym, że nie. To tylko przeczucie. – Irlandczyk jedzie powoli, opierając luźno obie dłonie na szczycie kierownicy. – Pomyślałem, że mogłabyś porozmawiać z nią osobiście, jak kobieta z kobietą. Może uda ci się wyciągnąć z niej coś, czego ja nie potrafiłem.

Mitzi zerka na niego przelotnie. Paddy Fitzgerald jest niechlujny i cuchnie alkoholem, ale pomimo całego tego spustoszenia jest

błyskotliwym gliniarzem, który usiłuje wyjść na prostą.

– Postaram się.

Dziesięć minut później Irlandczyk parkuje samochód i wyłącza silnik.

– To ta kamienica. Siódme piętro, mieszkanie osiemset dwa – mówi detektyw, po czym odsuwa swój fotel do tyłu i odchyła oparcie. – Ja tymczasem trochę odpocznę. Może uda mi się przespać tę grypę.

Mitzi otwiera drzwi i staje na chodniku.

– Gdy kobiety zapadają na grypę, po prostu ją przechodzą. Mężczyźni muszą ją przesypiać. Najbardziej wyszłoby ci na zdrowie, gdybyś posprzątał ten śmietnik.

Zatrząskuje drzwi forda i rozgląda się dokoła. Ulica jest czysta i spokojna. Stary budynek mieszkalny o fasadzie z piaskowca otacza kilka rozrośniętych drzew. Narożnik trawnika przecina wydeptana ścieżka, a obok stoją dwie ławki, na których za dnia z pewnością przesiadują starsi ludzie, a wieczorami gromadzi się młodzież.

Mitzi wybiera schody zamiast windy i wspinając się na siódme piętro, stara się uporządkować w głowie szczegóły śledztwa.

Sophie Hudson nie każe długo na siebie czekać, ale drzwi uchyla tylko na długość łańcucha.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa pani szefa. – Mitzi pokazuje kobiecie swoją odznakę. – Muszę zadać pani kilka pytań.

– Rozmawiałam już z porucznikiem Fitzgeraldem.

– Wiem. Teraz musi pani porozmawiać ze mną. – Mitzi dotyka palcem łańcucha. – Proszę to zdjąć.

W oczach Sophie pojawia się rezygnacja. Zamyka drzwi i po chwili otwiera je na oścież.

– Dziękuję – mówi Mitzi, przestępując próg. – Jak się pani czuje? Słyszałam, że jest pani chora.

– Już coraz lepiej – odpowiada Sophie. Ma na sobie starą bluzę z kapturem, dzinsy i różowe skarpetki. Niechętnie wskazuje Mitzi miejsce na sofie. – Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję. – Mitzi siada i wyciąga notes. – Miejmy to już za sobą.

– Jasne. – Sophie zajmuje miejsce naprzeciwko niej. – Jak powiedziałam, przechodziłam to już z porucznikiem Fitzgeraldem. Opowiedziałam mu wszystko, co wiem.

– Podejrzewam, że nie wszystko. – Mitzi obserwuje uważnie twarz dziewczyny, napięcie na jej policzkach i drobne drgania mięśni wokół jej ust. – Przechodziła pani kiedyś test skojarzeniowy?

Sophie marszczy brwi.

– Nie.

– To wygląda tak: ja wypowiadam jakieś słowo, a badany mówi pierwszą rzecz, jaka przyjdzie mu do głowy. Na podstawie pani odpowiedzi będę mogła ustalić, czy mam do czynienia z oszustką, czy tylko z przeziębioną dziewczyną, której nie powinnam nachodzić. – Mitzi pstryka długopisem. – No to zaczynamy. Słowo pierwsze: morderstwo...

Młoda kobieta nie odpowiada.

– Morderstwo, Sophie – powtarza Mitzi. – Morderstwo.

– Pan Goldman?

– Dobrze – odpowiada Mitzi i odczekuje chwilę, pozwalając dziewczynie się rozluźnić. Potem pochyla się natarczywie w jej stronę. – Zatajenie.

Źrenice Sophie zwężają się, a jej skóra nabiera różowego zabarwienia.

– To niedorzeczne. Ja niczego...

– Dosyć! – Mitzi powstrzymuje ją ruchem dłoni. – Nie chcesz wiedzieć, co robię z ludźmi, którzy kłamią mi w żywe oczy.

Znów zapada milczenie.

– No dobra, gra skończona – oświadcza Mitzi, odkładając długopis i notatnik. – W dwóch ruchach przeszłaś od przeziębionej paniutki do zakłamanego suni. Żaden rekord, ale i tak robi wrażenie. FBI nie przysłała mnie tutaj na żadne gierki. Mam za zadanie wykryć zabójcę twojego szefa. I co będzie teraz, kiedy wystąpię o nakaz i przetrząśniemy to miejsce, a potem odczytamy ci twoje prawa...

– W porządku. – Sophie nerwowo pociera usta dłonią i podnosi się

z kanapy. – Muszę coś przynieść z sypialni.

Mitzi również wstaje. Nie ma zamiaru siedzieć jak idiotka, podczas gdy podejrzana rzuca się do ucieczki albo, co gorsza, bierze do ręki coś, co może wystrzelić. Idzie za dziewczyną do sypialni, a kiedy Sophie otwiera szufladę toaletki, wyciąga pistolet.

– Żadnych gwałtownych ruchów, bo mogę niewłaściwie ocenić sytuację i przez pomyłkę odstrzelić ci głowę.

Dziewczyna wygląda na autentycznie przerażoną. Drżącymi rękami wyjmuje spod kłębówiska bielizny mały pendrive i trzyma go w wyciągniętej dłoni.

Mitzi chowa broń do kabury, bierze pendrive do ręki i ogląda go uważnie.

– Co na nim jest i w jaki sposób to zdobyłaś?

Sophie wraca do salonu.

– Nie mogłam tego rozszyfrować. Pan Goldman dostał to od kogoś, z kim robił interesy. Nie wiem, kto to taki. Otworzył to na komputerze w pracy i okazało się, że jest tam jakiś niezrozumiały ciąg liter i liczb. Dał mi to, żeby spróbowała coś odczytać.

– I co było nie tak? Pamięć była sformatowana pod system maca albo jakiś inny?

– Nie. Tam naprawdę są tylko litery i liczby.

– Jak to wyglądało? Jak jakaś wykreślanka?

– Jak kompletny chaos. Zauważyłam jedynie, że na obudowie ktoś napisał „kod X”.

Mitzi ogląda miniaturowy nośnik pamięci, trzymając go między palcami.

– Więc po co chciałaś to ukryć?

Sophie wzrusza ramionami.

– Jestem ekspedientką i właśnie zostałam bez pracy. Pomyślałam, że dzięki temu mogłabym zyskać jakieś zabezpieczenie na przyszłość.

– W jaki sposób?

– Pomyślałam, że mogłabym to sprzedać prasie.

– Masz klasę, dziewczyno. Chciałaś zbić szmal na śmierci swojego szefa. Czy jest jeszcze coś, o czym zapomniałaś nam powiedzieć?

– Nie. – Sophie nerwowo kręci w palcach kosmyk włosów. – Czy oskarży mnie pani o coś?

– Tym razem nie. Gdyby strach przed bezrobociem był karalny, musielibyśmy zamknąć połowę obywateli. Ale musisz wiedzieć, skarbie, że z okłamywaniem policji jest inaczej. Tym razem ci się upiekło, ale jeżeli będę musiała tu wrócić, to inaczej porozmawiamy.

NOWY JORK

Po sześciu godzinach spędzonych w dusznej piwnicy Antun wychodzi do toalety. Asif, który otrzymał polecenie, by nikomu nie ufać, nie odstępuje go na krok.

Opłukując ręce w umywalce, Antun przygląda się swojemu strażnikowi. Nie ulega żadnej wątpliwości, że jego szerokie ramiona zostały ukształtowane dzięki podnoszeniu ogromnych ciężarów i powtarzaniu dziesiątków powolnych ruchów na siłowni. Na jego knykciach i szczęce wiją się białe smużki blizn, pozostałość po wielu latach ulicznych bójek. Antun zwraca uwagę na ich położenie. Wszystkie pochodzą od prawostronnych blokad z wyjątkiem szramy po lewej stronie twarzy, którą musiał zostawić napastnik uzbrojony w nóż. Antun nie podejrzewa, by przeciwnik chodził jeszcze po świecie i mógł chełpić się tym starciem.

Asif wyrywa kilka zielonych papierowych ręczników z wiszącego na ścianie dozownika i podaje mu, trzymając je w zaciśniętej pięści.

– Masz. Pośpiesz się.

Antun bierze od niego ręczniki i powoli wyciera dłonie.

– Po co ten pośpiech? Myślałem, że tacy jak ty lubią dłużej zabawić w toalecie.

– Tacy jak ja? Co to znaczy tacy jak ja?

Antun uśmiecha się, przechodząc obok olbrzyma.

– Dobrze wiesz, co to znaczy.

Asif chwyta go za ramię.

– Powiedz tak jeszcze raz, a zrobię ci na gębie drugą dupę.

– Nie wątpię. – Mężczyźni mierzą się nawzajem wzrokiem. – A obaj wiemy, co chciałbyś z taką dupą zrobić.

Asif z wściekłością zaciska pięści.

Antun śmieje mu się prosto w twarz. Bez trudu radził sobie z większymi i bardziej rozjuszonymi drabami. Najważniejsze, że poznał

jego czuły punkt i wie, jak szybko wyprowadzić go z równowagi.

Obaj wracają na swoje krzesła w zatechłej piwnicy i zerkają na siebie złowrogo. Żaden z nich nie ma wątpliwości, że chwila rozliczenia jest bliska.

Nad ich głowami rozlegają się trzy uderzenia i Nabil przerywa milczenie.

– Już przyszła – mówi i odwraca głowę w stronę Asifa. – Podaj kamizelkę.

Oprócz pełnienia obowiązków dyplomatycznych i zarządzania zakonem sir Owain Gwyn jest również właścicielem i prezesem spółki Caledfwlch Ethical Investments, która prowadzi wielomiliardowe inwestycje na całym świecie. Poza tym wspiera kilkanaście organizacji dobroczynnych. Dlatego pierwszy dzień po powrocie do Wielkiej Brytanii w całości poświęca na kontakt z dyrektorami swoich licznych biur.

Sir Owain zjada lunch w towarzystwie żony i wraca do podziemnego centrum dowodzenia zakonem, gdzie czeka go odprawa z sekretarzem Wewnętrznego Kręgu, Lance'em Beaucoup.

Całą ścianę sali pokrywają wielkie ekrany, a kilka rzędów stanowisk zajmują analitycy, którzy śledzą bazy danych, obsługują systemy obserwacyjne i odbierają wiadomości z przekaźników satelitarnych.

Dwaj mężczyźni zasiadają w jednej z czterech wnęk, która mieści potężne biurko połączone ze stołem konferencyjnym i jest oddzielona od reszty pomieszczenia przesuwanym ekranem dźwiękoszczelnym.

– Niestety nie mam żadnych wieści od Antuna – odzywa się Francuz. – Rozmawiałem właśnie z Garethem, ale on nie może się z nim skontaktować.

– Myślałem, że mamy go pod obserwacją – mówi Owain zatroskanym tonem.

– Mieliśmy. Nasi ludzie widzieli, jak spotyka się z Nabilem, ale potem zgubili ich obu.

– Jak to?

– Śledzili ich, gdy dwa razy zmieniali linię metra, ale przy kolejnej przesiadce stracili ich z oczu.

– A lokalizator elektroniczny?

– Antun wyrzucił go na krótko po tym, jak się spotkali. Widocznie Nabil go przeszukiwał, więc musiał to zrobić.

Owain czuje narastający niepokój.

– Trzeba było go ewakuować zaraz po tym, jak Amerykanie

przeprowadzili swoją akcję. Jeżeli coś mu się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Antun Bhatti jest jednym z naszych najlepszych agentów. Potrafi o siebie zadbać.

– Czasami nie wystarczy być najlepszym. Od stuleci grzebiemy najlepszych z nas.

– Rozumiem.

Lance podsuwa przyjacielowi plik kartek.

– Co to jest?

– Najnowsze zdjęcia satelitarne z Togo. Mardrid puścił z dymem całą wioskę. Zginęło trzydzieści osób. Większość spłonęła żywcem. Wśród ofiar jest dwóch plantatorów kawy zabitych strzałem w głowę. Myślę, że oni byli pierwsi na liście.

Owain rzuca wydruki na biurko.

– Szlag by go trafił! – Były ambasador opiera głowę na dłoniach, próbując zapanować nad gniewem. – Ten człowiek musi umrzeć, Lance. Nieważne jak. Jego głowa musi spaść, nim zacznie rozprzestrzeniać swoją zarazę na resztę świata.

– Nigdy nie zdołamy do niego dotrzeć. Jest chroniony lepiej od saudyjskiego króla.

– Więc zanim znajdziesz jakiś sposób, powstrzymaj to! – Owain uderza dłonią w leżące na blacie zdjęcia. – Mamy swoich ludzi w Ghanie. Niech zaczną działać. Muszą dopaść hersztów tych band i przekazać ich w ręce miejscowych, by wymierzili im sprawiedliwość.

– Garstka miejscowych to za mało, by rozprawić się ze zbirami Mardrida.

– Wiem, ale to przynajmniej da im jakąś nadzieję – odpowiada Owain i zastanawia się przez chwilę. – Będę się starał o zgodę Wewnętrznego Kręgu na zebranie zastępu krzyżowców i przeprowadzenie operacji zatwierdzonej przez nadzwyczajne posiedzenie Linii Krwi. – Jego nastrój staje się coraz bardziej ponury, gdy wyobraża sobie, co jeszcze szykuje mu

Mardrid. – Wiadomo coś o Marchettim? Czy zdradziecka żmija schroniła się już w gnieździe hiszpańskiego diabła?

– Ustaliliśmy, że wczoraj wylądował na lotnisku de Gaulle’a, ale nie wiemy, czy poleciał dalej, czy został na miejscu.

– Będzie uciekał dalej. Dowiedz się, gdzie jest Mardrid, a znajdziesz Marchettiego – mówi Owain, po czym wstaje i wygładza marynarkę granatowego garnituru. – Przykro mi, ale muszę już pędzić. Czy odwieziesz rano Jennifer do Caergwyn? Dołączę tam do was, kiedy tylko będę mógł.

– Z wielką przyjemnością.

– *Merci.*

Owain wychodzi, by pożegnać się z żoną.

Zastaje ją przy drzwiach frontowych. Lady Gwyn ma na sobie krótką spódnicę z brązowego tweedu i żakiet w kolorze ochry. Ziemiste barwy akcentują jej jasne włosy i błękitne oczy.

– Przepraszam cię – mówi Owain i przystaje, by ją pocałować. – Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym z tobą zostać i spędzić tę noc w twoim łóżku.

– Myślę, że wiem – odpowiada Jennifer, a jej spojrzenie zdaje się to potwierdzać. – Kazałam zanieść twoją torbę podróżną do helikoptera.

– Dziękuję.

– Uważaj na siebie.

– Zawsze uważam.

Wchodząc na pokład helikoptera, wciąż czuje zapach jej perfum i dotyk jej ust. Na zewnątrz narasta hałas, gdy łopaty zaczynają kręcić się coraz szybciej. Maszyna z wdziękiem odrywa się od ziemi, wzniesając tumany kurzu i potrząsając koronami drzew.

Owain spogląda na żonę, która macha mu przez chwilę, a potem odwraca się i idzie z powrotem w stronę domu. Helikopter unosi się ku bladym chmurom, które zasnuwają wieczorne niebo, i odlatuje na wschód, w stronę Londynu. Niebawem Owain znajdzie się w pałacu Buckingham

i weźmie udział spotkaniu tak tajnym, że nie powiedział o nim nawet Jennifer.

NORTH BETHESDA, STAN MARYLAND

Mija trzecia po południu, kiedy Mitzi wychodzi z mieszkania Sophie Hudson.

Irlandczyk śpi za kierownicą na rozłożonym płasko fotelu, a jego samochód tonie w cieniu rozłożystych wiązów.

Mitzi po cichu otwiera drzwi samochodu, wsiada i zatrzaskuje je.

– Co jest? – Irlandczyk gwałtownie siada.

– Coś mam – odpowiada Mitzi z przekąsem.

Zaspany detektyw mruga i pociera twarz.

– Co?

– To jest właśnie rzecz, którą przed tobą zataiła – mówi Mitzi, pokazując mu mały srebrny pendrive.

Irlandczyk podnosi oparcie siedzenia z powrotem do pionu.

– Co na nim jest?

– Musimy zobaczyć. Na obudowie ktoś wydrapał „kod X”. Sophie Hudson twierdzi, że jej szef dostał to jako coś w rodzaju próbki od kontrahenta, z którym robił interesy. Podobno zawiera same litery i liczby.

– To mi wygląda na jakiś szwindel.

– Zawieź mnie do hotelu, żebym mogła rozpakować swój bagaż, a wtedy przyjrzymy się temu i może zamówimy jakiś obiad i coś do picia.

– Dobry pomysł – mówi policjant i przekręca kluczyk w stacyjce.

– Kawę. Takie picie miałam na myśli.

Irlandczyk zbywa milczeniem kąśliwą uwagę. Zawraca i włącza się do ruchu w kierunku Kensington.

– A więc kobiece podejście zadziałało, co? – mówi. Wygląda na zadowolonego z siebie. – Jak to rozegrałaś? Po matczynemu czy jak starsza siostra?

– Po matczynemu? – Mitzi przeszywa go zabójczym spojrzeniem. – Zamierzasz spędzić dzisiejsze popołudnie w szpitalu?

– W porządku. – Irlandczyk unosi rękę w pojedynczym geście.

– Trzeba ją było trochę przycisnąć, to wszystko. – Mitzi patrzy przez okno na okolicę, gdy samochód mknie długą trzypasmową aleją. – Ładnie tutaj. Daleko się wybieramy?

– Zbyt ładnie, by tu zabijać. Mamy do pokonania niecałe pięć kilometrów. – Irlandczyk włącza radio i z zamontowanych na drzwiach tandetnych głośników zaczyna płynąć muzyka country.

– Na tablicy po prawej jest napis „Rock Creek”. – Mitzi pokazuje palcem. – Czy to nie tam znaleziono drugą ofiarę?

– Tak. Przy Rock Creek Trail. To trzydziestokilometrowy szlak prowadzący przez las na południe od jeziora Needwood aż do miejsca, gdzie leżał drugi trup.

– Czy już wiesz, jak się nazywał?

– Jeszcze nie. Skontaktuję się z rejestrem, kiedy tylko dotrzemy do twojego hotelu. Jestem pewien, że jego odciski palców gdzieś nas zaprowadzą.

Taurus przemyka przez Knowles Avenue Bridge i dociera do skrzyżowania w kształcie litery T, na którym Irlandczyk skręca w prawo, w Connecticut Avenue. Chwilę później wjeżdża do miasta i zatrzymuje się przed białym jednopiętrowym budynkiem.

– Proszę bardzo, oto twój drugi dom.

Mitzi wysiada i idzie w stronę bagażnika, ale Irlandczyk ją uprzedza.

– Zamelduj się, a ja wezmę twoją walizkę.

– Poradzę sobie – odpowiada zaskoczona jego gestem.

– Nalegam. – Policjant wyciąga jej bagaż.

Mitzi wzrusza ramionami. Przechodzi obok tablicy, na której widnieje napis „Silver Fall Lodge”. Oczyszczona z chwastów zwirowa ścieżka przecina trawnik, wzdłuż którego rosną rozłożyste dęby. Kilka metrów za nią rozlega się głośny turkot twardych plastikowych kółek walizki toczących się po nierównej nawierzchni.

W niewielkim holu o białych ścianach i podłodze z sosnowych desek

znajduje się małe biurko, na którym stoi monitor komputera i drukarka. Za nim na ponumerowanych haczykach wiszą rzędem mosiężne klucze.

Młoda recepcjonistka w eleganckim czarnym zakiecie i kremowej bluzce wręcza Mitzi klucz do najbardziej wytwornego, jak twierdzi, z wszystkich sześciu pokoi.

– Idę do baru – oznajmia Irlandczyk, stawiając walizkę na podłodze, po czym widząc pełne dezaprobaty spojrzenie Mitzi, dodaje: – Napić się kawy.

– Bar jest po lewej, proszę pana – informuje recepcjonistka.

Mitzi wspina się po schodach na piętro i krocząc po zakurzonej czerwonym dywanie, który wyścieła podłogę wąskiego i mrocznego korytarza, dociera do swojego pokoju.

Pokój jest mały jak pudełko na buty. Ściany w mdłym beżowym kolorze i ciemna drewniana podłoga potęgują wrażenie ciasnoty. Jedynym żywym akcentem w tym pomieszczeniu jest naśladowający orientalny styl wazonik z bukietem kwiatów, który stoi na tandetnej komodzie. Ruth potrafiłaby je nazwać, ale dla Mitzi są to jedynie duże czerwone pąki i szpiczaste żółte kielichy otoczone gąszczem cienkich i poskręcanych liści.

Mitzi podłącza do sieci swój służbowy laptop i uruchamia go. Podczas gdy ładują się programy, rozpakowuje walizkę i wiesza ubrania w zatęchłej szafie. Kiedy komputer jest już gotowy do pracy, Mitzi wsuwa pendrive do gniazda, wchodzi do katalogu dysków i otwiera jego zawartość.

To, co widzi na monitorze, nie ma żadnego sensu.

Potrafi tylko wyróżnić cztery akapity kompletnego chaosu. Widzi przed sobą wielkie bloki liczb i liter. Linijka za liniijką ciągną się liczby, a po nich następują długie rzędy liter. Nigdy nie zdarza się, aby liczby i litery występowały razem w tym samym wersie.

Mitzi ładuje plik na twardy dysk komputera, po czym wybiera numer swojego biura w San Francisco i czeka, przytrzymując telefon ramieniem. Na linii niemal natychmiast zgłasza się Vicky Cantrell.

– Mówi Mitzi Fallon. Jestem w Kensington i mam pewien plik, który

chcę ci przesłać. Jesteś przy komputerze?

– Tak. Daj mi tylko chwilę, żebym otworzyła pocztę i pobrała załącznik. – Słysząc stukot klawiatury, po której przemykają zwinne palce Vicky. – Dobra, prześlij mi, co tam masz, a ja sprawdzę, czy przyszło.

Korzystając z zabezpieczonego kanału FBI, Mitzi przesyła pobrany plik.

– Dostałam – odzywa się Vicky. – Zaczekaj. Widzę tylko ciągi liczb i liter. To tak ma wyglądać?

– To samo zobaczyłam po otwarciu pliku. Przekaż to kryptologom, żeby nad tym popracowali.

– Załatwione.

– Dzwonię też w sprawie krzyża. Dowiedziałaś się czegoś od profesorów?

– Owszem. Zajrzę tylko do notatek. – Vicky otwiera dolną szufladę, z której wyciąga skoroszyt opatrzony napisem „Zabójstwa – prowadząca porucznik Fallon”. – Już mam. Pokazałam szkic kilku osobom i prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie okazał się profesor Quinn z Instytutu Smithsona. Stwierdził, że nigdy nie widział niczego podobnego wykonanego z żelaza i że w archiwach jego instytutu nie ma śladu takich wzorów.

– Co to oznacza? – Mitzi jest lekko zdezorientowana. – Mamy do czynienia z jakimś falsyfikatem?

– Nie jest aż tak źle. Zdaniem Quinna brak śladów w archiwach świadczy o tym, że prawdopodobnie pochodzi on z epoki żelaza.

– Kiedy to było?

– W Europie mniej więcej od trzynastego do piątego wieku przed naszą erą.

Mitzi marszczy czoło.

– Chcesz powiedzieć, że w Europie epoka żelaza trwała w innym czasie niż gdzie indziej?

– W Egipcie i na Cyprze miała początek jeszcze wcześniej. W Indiach przypada na podobny okres, a w Japonii i w Chinach zaczęła się nieco później. Quinn sądzi, że to celtycki krzyż pogrzebowy z irlandzkiej epoki żelaza, która zakończyła się romanizacją i chrystianizacją Brytanii.

– Ile wynosi jego wartość?

– Nie był pewien, ale przypuszcza, że nie aż tak wiele.

– Nie aż tak wiele, czyli ile?

– Powiedział, że kilkaset dolarów, i to dla zapalonego kolekcjonera. Wysłał e-mail do jakiegoś profesora z Oksfordu, żeby skonfrontować się z jego opinią na temat pochodzenia i wartości krzyża.

– Kiedy ten Brytyjczyk da mu odpowiedź?

– Nie wiem. Waszyngton jest pięć godzin za nimi, San Francisco osiem. Akademyca zaczynają pracę co najmniej dwanaście godzin później niż reszta świata, więc spodziewałabym się odpowiedzi jutro, a może pojutrze.

– Nie za dobrze. Musisz być bardziej na bieżąco, Vicks. Dociśnij Quinna, niech ci da numer telefonu tego brytyjskiego profesora i zacznij go nękać osobiście. Ja nie praktykuję czekania i od tej pory ciebie to też dotyczy.

– Jasne, pani porucznik.

– Dobrze. Dziękuję ci za pomoc. Mogłabyś przełączyć mnie do gabinetu Donovan? Chyba powinnam się u niej zameldować.

– Nie ma jej. Widziałam, jak wychodzi z dyrektorem. Chcesz, żebym poprosiła sekretarkę o numer jej komórki?

– Nie, dziękuję. Ale przekaz, że dzwoniłam, i powiedz, żeby się ze mną skontaktowała, jeżeli chce otrzymać sprawozdanie. Zastałam Bronty'ego?

– Nie, ale jest Eleonora. Chcesz z nią rozmawiać?

Mitzi waha się przez chwilę.

– Tak.

– To zaczekaj.

Mija kilka sekund, zanim Włoszka podnosi słuchawkę na swoim biurku.

– M-itzi, jak ci minęła podróż?

– Na skali bólu dwa stopnie niżej od cytologii. A jak twoje śledztwo w sprawie więdźmy?

– Odnaleźliśmy sabat, w którym uprawiała swoje praktyki. Jest to grupa, która odłączyła się od Kościoła Szatana.

– Cieszę się, że robicie postępy. Mogłabyś powiedzieć Bronty'emu, żeby do mnie zadzwonił, kiedy go spotkasz? Muszę go o coś zapytać.

– *Si*. Nie ma sprawy. Każę mu zadzwonić od razu.

– *Grazie*.

– *Prego, Meetzee*.

Mitzi rozłącza się, a jej telefon natychmiast wydaje sygnał. Odbiera wiadomość tekstową od Fitzgeralda. „Kawa jest do dupy. Siedzę w barze Phoenix, następna przecznica na wschód od twojej noclegowni, na rogu. Wpadnij do mnie, kiedy się ogarniesz”.

Mitzi chowa telefon, zabiera laptop i wybiega z pokoju. Spieszy się, ponieważ nie ma najmniejszej ochoty niańczyć pijanego faceta przez resztę wieczoru.

GLASTONBURY, ANGLIA

Lance Beaucoup wychodzi do ogrodu i mija trawnik, na którym tego ranka ćwiczył szermierkę z Owainem. Przemierza kilkaset metrów krętej ścieżki, która prowadzi go obok starego gąszczu żywopłotów i sadu porastającego zbocze wzgórza na brzeg jeziora.

Jego kroki dudnią na pomoście z drewna tekowego, kiedy dochodzi do eleganckiego letniego pawilonu w stylu wiktoriańskim, który wznosi się tuż nad lustrem wody. Widząc przycumowaną do pomostu zieloną łódkę, Francuz wraca pamięcią do czasów, gdy wraz z Owainem zapuszczał się na roziskrzane od promieni słońca wody, które otaczają rozległą posiadłość, by łowić łososie.

W oknach domku wiszą zasłony, a drzwi są zamknięte. Lance otwiera je swoim kluczem i wchodzi do pogrążonego w mroku wnętrza.

Wyczuwa jej obecność. Czuje znajomą woń perfum. Zapach jej ciała i włosów. Nie widzi jej, lecz wie, że jest bardzo blisko, i jego serce zaczyna uderzać coraz mocniej.

– Nic nie mów. – W ciemności rozlega się głos, a wypiełgnowana kobieca dłoń, chłodna i delikatna, dotyka jego rozpalonych warg. – Cały ranek rozmyślałam o tym, jak to będzie.

Lance odwraca się do niej. Jej delikatne ciało przywiera do niego. Jej usta błędzą po jego szyi, całują go w ucho, a dłoń wciąż spoczywa na jego wargach.

– Nic nie mów, dopóki nie przestaniesz się ze mną kochać.

NOWY JORK

Asif zwija naszpikowaną materiałem wybuchowym kamizelkę i chowa ją z powrotem do plastikowego worka, w którym została przyniesiona.

Nabil odprowadza swojego zwalistego pomocnika do drzwi, za którymi znajdują się drewniane schody prowadzące na górę do pokoju, gdzie czeka jedna z „wybranych”.

– Czekaście! – odzywa się Antun.

Obaj mężczyźni przystają i odwracają się do niego.

– Ja to zrobię.

Nabil przygląda mu się ze zdziwieniem.

– Co?

– Pozwól mi włożyć tę kamizelkę. To dlatego Allah mnie ocalił, kiedy przyszli Amerykanie. Moja ucieczka służyła temu, bym przygotował się na tę chwilę.

– Nie – wtrąca Malik. – Nie rób tego. – Pirotechnik zwraca się do Nabila: – On jest dla nas zbyt cenny, by składać taką ofiarę.

– Błagam – nalega Antun, padając na kolana. – Pozwól mi odkupić moje tchórzostwo i zapisać tę chwalebłą kartę w naszych dziejach. Pozwól mi zostać wybranym.

KENSINGTON, STAN MARYLAND

Ku zaskoczeniu Mitzi Irlandczyk siedzi przy okrągłym stoliku w rogu baru i ma przed sobą tylko kubek czarnej kawy.

Żadnego piwa. Ani wina. Ani whisky.

Tylko kawa.

Jest pogrążony w myślach i zauważa ją dopiero wtedy, gdy odsuwa krzesło i siada naprzeciwko niego.

– Cześć. Jak się miewasz?

– Dobrze.

– Szczerze mówiąc, twój wygląd na to nie wskazuje. Wyglądasz tak niewyraźnie, że nawet na Google Maps nie można by cię znaleźć.

– Dzięki – mówi Fitzgerald i zauważa mały połyskujący przedmiot w jej palcach. – Znalazłaś coś?

– Nic, co miałyby jakiś sens. Skopiowałam plik i przesłałam do mojego biura, żeby spróbowali go tam rozgryźć. – Mitzi podaje Irlandczykowi pendrive. – Powinieneś mieć oryginał przy sobie.

– Dasz mi go później. Zdarzało mi się gubić różne rzeczy w knajpach.

– Jak na przykład reputację?

Irlandczyk zbywa jej komentarz machnięciem ręki.

– Z tego, co widziałam, Sophie miała rację – mówi Mitzi, chowając pendrive do torebki. – To wygląda na jakiś nedorzeczny szyfr.

– Na tym polega kodowanie, czyż nie? Żeby wyglądało nedorzecznie. Jak Enigma albo szyfr Cezara.

– Można tutaj dostać coś do jedzenia i picia?

– Myślę, że trzeba to zrobić w tradycyjny sposób. Podejdę do baru i coś zamówię. Na tablicy za tobą jest wykaz rzeczy, które mogą okazać się jadalne. Czy mogę postawić ci coś do picia, zanim dokonasz wyboru? – Irlandczyk zawiesza głos, jakby czytał w jej myślach. – Z tego, co pamiętam, mogłabyś napić się kawy albo kawy, ewentualnie kawy.

– W takim razie poproszę kawę. Lubię dużą i czarną.

Irlandczyk zachowuje dla siebie komentarz o upodobaniu do dużych i czarnych rzeczy, za który mógłby dostać w twarz.

Przy barze panuje piekielny tłok i mija cała wieczność, zanim udaje mu się kupić kawę dla Mitzi i wziąć dolewkę dla siebie. Kiedy wraca do stolika, trzęsą mu się ręce i ma nadzieję, że Mitzi nie zauważyła, jak rozlał trochę kawy, stawiając kubki na blacie.

– Za chwilę przyjdzie kelnerka, żeby odebrać zamówienie. Czy dowiedziałas się czegoś o krzyżu?

– Specjaliści twierdzą, że to krzyż celtycki, ale nie jest wiele wart.

– Myślałem, że to zabytek.

– Nie wszystko, co stare, musi być drogie.

– No co ty powiesz?

Mitzi wybucha śmiechem.

Irlandczyk przypomina sobie rozmowę z asystentką zabitego antykwariusza.

– To dziwne, bo Sophie Hudson powiedziała, że Amir Goldman był gotów zapłacić za niego wiele tysięcy. – Pociąga łyk kawy i żałuje, że nie zaczekał, aż wystygnie. – Ile dokładnie jest wart zdaniem twoich specjalistów?

– Kilkaset dolarów.

– Czemu ktoś miałby zabijać dla rzeczy, która jest warta tak niewiele?

– Rozlega się dzwonek telefonu i Fitzgerald patrzy na wyświetlacz. – To z biura.

Mitzi przygląda się, jak prowadzi rozmowę i zapisuje coś w notatniku, który wyjął z kieszeni pomiętej brązowej marynarki. Przejawia wszystkie cechy typowe dla kogoś, kto przeżył twarde lądowanie i wciąż pełźnie po chodniku, usiłując wstać.

– Człowiek znaleziony w lesie nazywał się James T. Sacconi – oświadcza Irlandczyk, odkładając telefon. – Dwudziestosześcioletni były skazaniec z kilkoma wyrokami na koncie za rozbój z użyciem noża.

– Skąd był?

– Pochodził z Nowego Jorku. Miał tam kryminalną kartotekę jako młodociany przestępca. Odsiedział dwa lata w Chicago.

– Jakież powiązania z przestępczością zorganizowaną?

Irlandczyk jest pod wrażeniem.

– Podśłuchiwałaś?

– Nazwisko o włoskim brzmieniu plus Wielkie Jabłko i Wietrzne Miasto równa się mafia i gangi.

– Prawdopodobnie pracował dla jednych i drugich. Wiadomo, że zadawał się z Kyle'em i Jordanem Collami, dwoma braćmi, którzy założyli MS-13, czyli salwadorski gang Mara Salvatrucha. Na początku działał niezależnie, ale teraz jest kontrolowany przez mafię.

– Słyszałam o nich. Toczyli wojnę z gangiem Bloods z Compton. – Mitzi sięga po kawę. – Sprawdziłeś rejestrację SUV-a, którym przyjechał na miejsce, gdzie został wykończony?

– Tak, została zdublowana. Zbadaliśmy to. Oryginał należy do pewnego biznesmena z Annadale, który jest czysty jak łza, a jedyną skazą na jego escalate są ślady zabłoconych łap jego labradora.

– Podsumujmy zatem to, co już mamy. Zaginiony samochód, który najprawdopodobniej spoczywa na dnie Potomacu. Dwa trupy, z których jeden to stary handlarz antyków, a drugi jest notowanym przestępcą.

– Zabytkowy krzyż o nieokreślonej wartości – kontynuuje Irlandczyk. – I nośnik pamięci z zaszyfowaną informacją.

– Ten szyfr o czymś świadczy – stwierdza Mitzi. – Nie ma sensu bawić się w takie rzeczy, jeżeli nie chce się czegoś ukryć. A ukrywa się tylko to, co jest cenne.

– Poza tym mamy lincolna z brytyjskim urzędnikiem konsularnym za kierownicą, który śledził gangstera w SUV-ie, a następnego dnia odleciał do swojego kraju.

– Musimy więc porozmawiać z tym George'em, jak on się tam nazywa... – podsumowuje Mitzi.

– Dalton – mówi Irlandczyk. – Ale on wrócił do Londynu i chroni go

immunitet dyplomatyczny.

– Niemniej to on jest rozstrzygającą postacią. Pozostaje pytanie, czy dotrzemy do niego poprzez twojego czy mojego szefa.

Irlandczyk chowa twarz w dłoniach. Wie, jak brzmi odpowiedź. To jego śledztwo. Sprawa musi przejść przez biurko jego szefa. A kapitan Zach Fulo z pewnością będzie mu za to niezmiernie wdzięczny.

NOWY JORK

Stojąca przed budynkiem młoda kobieta zanosi się szlochem.

Nie płacze z rozczarowania, że nie będzie jej dane zostać męczennicą, ale dlatego, że za sprawą jakiegoś niesamowitego obrotu wydarzeń została ocalona.

Upada na kolana i całuje ziemię. Nie wie, że mężczyzna, któremu do końca życia będzie dziękować w swoich modlitwach, stoi teraz spięty na środku pokoju znajdującego się nad piwnicą.

Po ablucji Antun i trzech jego towarzysze rozkładają na podłodze dywaniki modlitewne. Zwracają się twarzami w stronę Mekki i odmawiają *salat al-Asr*, modlitwę wieczorną, która liczy czternaście wieków.

Nabil prowadzi modlitwę, zbliżając dłonie do twarzy i chwając Boga słowami *Allahu Akbar*. Pozostali odpowiadają i powtarzają jego słowa, wraz z nim wykonują pokłony, padają na kolana i dotykają czołami podłogi.

Na koniec wszyscy zwracają twarze najpierw w prawo, potem w lewo.

– Niechaj pokój będzie z wami, łaska i błogosławieństwo Allaha. – Przy każdym ruchu zwracają się do aniołów, które podążają za muzułmanami i zapisują wszystkie ich dobre i złe uczynki.

Po zakończeniu modłów zwijają dywaniki. Teraz pora przygotować się do samobójczej misji.

Antun rozbiera się do pasa. Czuje na skórze chłodny dotyk materiałów wybuchowych. Tkanina, z której uszyto kamizelkę, jest szorstka, a twarde kable wpijają mu się w ciało.

W trakcie tych ostatnich przygotowań cały czas musi sobie przypominać, kim jest, czemu służy i skąd pochodzi. Że nazywa się Antun Bhatti i jest dumnym członkiem Tajemnego Zakonu Arturianów. Mówiąc najprościej, jest chrześcijańskim rycerzem gotowym poświęcić swoje życie dla ratowania innych.

Ta kamizelka jest jego krzyżem. Jest świętym narzędziem

męczeństwa, które musi nieść do końca swej doczesnej drogi.

Wspomina swoje dzieciństwo w Indiach. Widzi siebie, ośmioletniego sierotę ze slumsów Pendżabu, biegnącego boso w stronę odrapanego betonowego budynku, w którym mieści się jego kościół. Na końcu pylistej ścieżki zawalonej stertami śmieci, pośród których wyrastają chwasty, stoi wielki drewniany krzyż. Gdy biegnie w stronę swojej świątyni, muzułmańskie dzieci ciskają w niego kamieniami. Słyszy, jak ze świstem przelatują nad jego głową i uderzają o ziemię, ale niektóre z nich go dosięgają, wywołując piekący ból.

W chłodnym wnętrzu kościoła Antun siada na jednej ze starych drewnianych ławek i zwiesza drobne stopy, którymi nie sięga do podłogi. Liczy sińce i skaleczenia na swoich nagich ramionach i nogach. Jest ich czternaście. Tyle samo co stacji drogi krzyżowej. Zanurza palec we krwi, która sączy się ze świeżo rozharatanego kolana, i zlizuje ją. Ma smak żelaza i przywołuje mu na myśl metalowy krzyżyk, który ksiądz przyłożył do jego ust podczas ceremonii bierzmowania.

Wspomnienie jest tak żywe, jak gdyby to wszystko wydarzyło się wczoraj, a nie przed wielu laty.

– Gotowe – mówi Nabil, a jego głos spaja przeszłość z teraźniejszością. Spogląda z powagą na Antuna. – Mój bracie, ogród Allaha oczekuje na twoje przybycie.

KENSINGTON, STAN MARYLAND

Irlandczyk dzwoni do swojego szefa i mówi mu, że musi się z nim spotkać.

Dopiero kiedy Zach Fulo słyszy słowa „ambasada brytyjska”, oświadcza najmniej lubianemu ze swoich podwładnych, że dysponuje wolną chwilą o siedemnastej trzydzieści i bez względu na zakorkowane drogi Irlandczyk ma się zameldować punktualnie i przyprowadzić ze sobą agentkę z San Francisco.

Jednak zanim Irlandczyk i Mitzi wyruszają w stronę Waszyngtonu, zamawiają hamburgery, frytki i krążki cebuli obsmażane w panierce. Jedzenie jest bardziej ciężkostrawne niż pożywne i gdy mają już za sobą tę orgię tłuszczu, węglowodanów, soli i białek, obydwójce żałują, że nie wybrali sałatki z kurczaka.

Paddy Fitzgerald płaci rachunek, tymczasem Mitzi wychodzi z baru i dzwoni do córki. Konkretnie dzwoni do Jade, wiedząc, że Amber będzie w pobliżu. Jade poczułaby się urażona, gdyby nie zatelefonowała najpierw do niej, natomiast jej siostra nigdy nie przywiązywała wagi do takich rzeczy.

– Cześć. Jak się miewasz, kochanie?

Jade, która czyta właśnie artykuł w jakimś kolorowym magazynie, odpowiada znudzonym i rozkojarzonym tonem.

– Dobrze.

Mitzi stara się nie ulegać zniechęceniu. Mimo wszystko wolałaby, aby jej córka była bardziej rozmowna.

– Co porabiacie?

– Nic szczególnego. Siedzimy u cioci Ruth.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem. Wujek Jack poszedł nocować do kolegi. Słyszałam, jak dziś rano pokłócił się z ciocią.

Mitzi czuje, że jej serce zaczyna uderzać mocniej.

– O co?

Jade porzuca w końcu artykuł na temat seksu nastolatek zatytułowany „Powinnam czy nie?” i koncentruje się bardziej na rozmowie.

– Poszło chyba o ciebie. Wujek Jack nazwał cię pieprzoną zdzirą, a wtedy ciocia Ruth dała mu w twarz i kazała wypierdalać z domu.

Mitzi bierze głęboki oddech.

– Zastanawiam się, co takiego zrobiłam, że tak się wkurzył.

– Może to samo, co wkurzało tatę? – odpowiada Jade i zdając sobie sprawę, że reprimenda jest nieunikniona, woła siostrę i odkłada słuchawkę na blat. – Amber! Mama dzwoni i chce z tobą rozmawiać.

Mitzi kipi z wściekłości.

– Mamo? – W aparacie rozlega się głos drugiej córki.

– Cześć, skarbie – mówi Mitzi, tłumiąc w sobie złość. – Co u ciebie?

– W porządku. Kiedy wracasz do domu? – pyta dziewczynka i od razu poprawia: – To znaczy do cioci Ruth?

– Może jutro. Najpóźniej pojutrze. Dobrze się bawicie?

– O, tak. W każdym razie ja i ciocia. A Jade, no cóż, sama wiesz, Jade jest po prostu sobą. Pieczemy ciasta. Ciocia Ruth upiekła taką gigantyczną babkę. Musisz ją zobaczyć, kiedy wrócisz. Jest większa niż kłapa od śmietnika.

– Brzmi nieźle. O jakim smaku?

– Czekoladowym. A mógłby być jakiś inny?

– Nie, nie sędzę. – Mitzi śmieje się. – Babka czekoladowa jest pyszna, a gigantyczna babka czekoladowa musi być przepyszna.

– No właśnie! Chcesz porozmawiać z ciocią? Mogę ją zawołać.

Mitzi waha się przez chwilę.

– Nie, nie trzeba. Nie przeszkadzaj jej, skoro jest zajęta w kuchni. Przekaż jej tylko uściski ode mnie. I ciebie też ściskam, kochanie.

– A ja ciebie, mamo.

– Amber, uściśnij też siostrę i ucałuj ją ode mnie. I powiedz jej, żeby nie była taką zrzędą.

Dziewczynka parska śmiechem.

– Powiem. Kocham cię, mamó.

Mitzi słyszy jeszcze w słuchawce, jak jej córka krzyczy „zręda”, a potem połączenie się urywa.

Irlandczyk stoi przy samochodzie, opierając się rękami o dach, i wygląda, jakby miał za chwilę zwymiotować. Mitzi nie czuje się gotowa, by do niego dołączyć. Nie przestaje myśleć o tym, że Jade obwinia ją o rozstanie z jej ojcem. Myśli również o Ruth, która równie dobrze mogłaby ją winić za rozstanie z Jackiem.

LONDYN

Opancerzony bell otrzymał zgodę na wstęp do strzeżonej przestrzeni powietrznej nad pałacem Buckingham i siada na lądowisku. Ledwie Owain wychodzi z helikoptera, uzbrojeni agenci ochrony przeprowadzają wstępną kontrolę. Po dopełnieniu tych procedur bezpieczeństwa prowadzą go do środka, otaczając tak szczelnym kordonem, że odnosi wrażenie, jakby eskortował go cały batalion gwardii.

Znalazłszy się w Wielkim Holu, przypomina sobie, że minęło piętnaście lat od czasu, gdy przybył tu, żeby przyjąć mianowanie na urząd ambasadora. Uświadomił sobie wtedy, że jego przodkowie często bywali w tym budynku, kiedy był on jedynie miejską rezydencją księcia Buckingham.

Choć miejsce to jest mu dobrze znane, nadal z podziwem spogląda na bezcenne obrazy, które zdobią ściany – dzieła Rembrandta, Vermeera, van Dycka i Rubensa stanowiące część królewskiej kolekcji.

Mija salę tronową przedzieloną łukiem, na którym dwie uskrzydłone rzeźby przedstawiające rzymską boginię zwycięstwa podtrzymują ozdobiony girlandami medalion z inicjałem króla Jerzego IV. Następnie przechodzi obok przylegającej do Wschodniej Galerii wielkiej sali balowej, w której odbywają się oficjalne bankiety i przyjęcia dyplomatyczne.

Eskorta pozostawia Owaina w Białym Salonie, którego nazwa zawsze przyprawiała go o rozbawienie, ponieważ nie ma w nim nic białego. Sięgające od sufitu do podłogi zasłony i lambrekiny, fotele i sofy, poduszki i podnóżki, ekrany kominków, a nawet bogato zdobione ramy potężnych luster są albo intensywnie żółte, albo połyskują złotem.

Do salonu wchodzi książę Walii. Ma na sobie idealnie dopasowany jasnopopielaty garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat w odcieniach różu i złota, zawiązany oczywiście na węzeł windsorski.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko spotkaniu tutaj zamiast w Clarence House – mówi, podając gościowi rękę na powitanie.

Owain kłania się, ściskając dłoń księcia.

– Oczywiście, że nie, Wasza Książęca Wysokość.

– Proszę, nie tak oficjalnie, gdy jesteśmy sami. – Książę wskazuje na dwie ustawione naprzeciw siebie sofy. – Wiem, że mój ojciec chciałby się z tobą przywitać, więc nie bądź zaskoczony, kiedy tu wpadnie.

– Nie będę. Byłoby wspaniale znów go zobaczyć.

– Zapytano cię, czy miałbyś ochotę na herbatę?

– Owszem i odmówiłem, ale dziękuję.

– Zaprosiłem cię tutaj, aby porozmawiać o twoim nowym stanowisku ambasadora w misji specjalnej, odpowiedzialnego za sprawy obrony i przeciwdziałania terroryzmowi.

– Czuję się zaszczycony i wielce uradowany, że mogę pełnić taką funkcję na brytyjskiej ziemi.

– Wiem. Trudno tak długo przetrwać w Ameryce, nie popadając w lekki obłąd. To tak, jakbyś wstrzymywał oddech, pływając się w rozkosznie ciepłym tropikalnym morzu. Ale przecież trzeba zaczerpnąć powietrza. – Książę rozpiną guzik marynarki i przechodzi do sedna. – Chciałbym być z tobą szczerzy.

– Oczywiście. Jestem bardzo ciekaw, jakiego rodzaju informacje cię interesują i jak często chcesz je otrzymywać. Trzymanie ręki na pulsie to jedno, a krępujący ucisk to coś zupełnie innego.

– W rzeczy samej. I właśnie tutaj tkwi problem – mówi książę, próbując starannie dobierać słowa. – Sęk w tym, że tak mało wiem o poczynaniach Tajemnego Zakonu Arturianów.

– Prawdopodobnie tak jest najlepiej.

– Prawdopodobnie, ale proszę, dostarczaj mi informacji, abym sam mógł o tym zdecydować.

Owain nic nie odpowiada. Wie, że to jeszcze nie koniec.

– Chciałbym przystąpić do waszego zakonu.

– Z całym szacunkiem, uważam, że najlepiej, abyśmy działali w pewnym oddaleniu od twojej osoby.

– A ja uważam wręcz przeciwnie.

Stojący na marmurowym kominku zabytkowy zegar w pozłacanej oprawie uderza trzy razy.

– Znasz moją wojskową przeszłość, Owainie, więc proszę, oszczędź mi bzdur, że to dla mojego bezpieczeństwa – kontynuuje książę. – Od dawna jestem na celowniku różnych organizacji terrorystycznych. Odwiedziłem większość punktów zapalnych na świecie.

– Nie o to chodzi.

– Zatem o co?

– O ile nie jesteś potomkiem któregoś z rycerzy, nie masz wstępu do Linii Krwi. Natomiast członkostwo w Wewnętrznym Kręgu zależy nie tylko ode mnie. Muszą to zatwierdzić inni.

– Więc nakłoń ich do tego. Na pewno masz na nich wpływ.

– Owszem, ale ponadto członkiem Wewnętrznego Kręgu może zostać tylko ktoś, kto przejdzie inicjację – mówi Owain i czeka, aż wybrzmia jego słowa, po czym dodaje: – Od tej zasady nigdy nie było i nie może być wyjątku.

– Nie oczekuję tego. Na czym dokładnie polega taka inicjacja? – Książę wydaje się zadowolony, że poczynił jakiś postęp. Uśmiecha się jak chłopiec, przed którym postawiono wyzwanie. – Do dziś zostało mi kilka blizn na pamiątkę po rytuałach, które przechodziłem w żołnierskich czasach.

– To krew, Wasza Książęca Wysokość. Rytuał przelania krwi, własnej i naszego wroga.

NOWY JORK

Wszelkie nadzieje, jakie żywił Antun, że uda mu się zdjąć kamizelkę i rozbroić ładunki, legły w gruzach.

Asif skuwa mu kajdankami ręce i prowadzi do zielonej furgonetki dostawczej, która stoi zaparkowana za rogiem. Wpycha go na siedzenie pasażera i zapina pas bezpieczeństwa. Wyjeżdżają na Cross Bronx Expressway, potem kierują się na południowy wschód w stronę Port Morris.

Rosły mężczyzna wkłada rękę do kieszeni i wyciąga coś, co wygląda jak duże metalowe cygaro zakończone czerwonym przyciskiem.

– Dzięki temu wszystko pójdzie gładko. To na wypadek, gdybyś zmienił zdanie na temat swojej misji i znów okazał się tchórzem – oznajmia i szczerząc w uśmiechu żółte zęby, chowa zdalny detonator z powrotem do kieszeni.

Młody agent Tajemnego Zakonu Arturianów obserwuje przemykający za szybą świat. Widoki, których może już nigdy więcej ujrzeć, dźwięki, których może już nie usłyszeć. Podróż do centrum Manhattanu może potrwać około godziny. Ma najwyżej godzinę, aby wyplątać się z największych tarapatów w swoim życiu, albo skończy rozerwany na kawałki w otoczeniu setek, a może i tysięcy ludzi.

Przypomina sobie, że dworzec Grand Central był już kiedyś celem zamachu bombowego. W przeddzień ataku na World Trade Center minęło dokładnie ćwierć wieku od dnia, gdy grupa chorwackich nacjonalistów ukryła na dworcu bombę w szafce bagażowej i w tym samym czasie uprowadziła samolot. Wtedy jednak terroryści zmienili zdanie i ujawnili miejsce ukrycia ładunku wybuchowego.

Antun zdaje sobie sprawę, że dziś nikomu nie zmięknie serce.

Al-Kaida nie ma serca.

Dopiero gdy docierają do punktu poboru opłat przed wjazdem na most Roberta Kennedy’ego, skąd do celu mają tylko osiem kilometrów, Asif

kładzie obie ręce na kierownicy. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Młody agent sięga ukradkiem jedną z zakutych dłoni do zatrzasku pasa bezpieczeństwa i zaczyna go odpinać. W tym momencie na sąsiednim pasie pojawia się autokar pełen dzieci. W oknach widać ich rozgorączkowane i ciekawskie twarze.

Antun waha się.

Tymczasem jego szansa przepada, gdy Asif z powrotem wkłada rękę do kieszeni, w której trzyma detonator, i skręca w stronę zjazdu z płatnego odcinka drogi.

Kolejne sześć kilometrów trasy pokonują w milczeniu. Opuszczają drogę ekspresową zjazdem numer jedenaście i włączają się do ruchu na zatłoczonej Wschodniej 53. ulicy, a następnie docierają do skrzyżowania z Drugą Aleją, gdzie grzęzną w korku.

Antun czuje, jak serce kołacze mu w piersi. Od celu dzieli ich niewiele ponad kilometr, ale zewsząd otaczają ich samochody. Wybuch w takim miejscu byłby równie fatalny w skutkach, jak na dworcu.

Asif dostrzega wyraz niepokoju na jego twarzy.

– Cierpliwości. Jesteśmy już niedaleko. Proponuję ci, abyś oczyścił myśli i przygotował się na najwspanialszy moment w swoim nędznym życiu.

Ruch na drodze ożywia się i samochody toczą się wolno naprzód. Zielona furgonetka skręca w 42. ulicę i Antun dostrzega w oddali budynek dworca. Ma wrażenie, że czas płynie szybciej. Ostatnie sceny jego życia rozgrywają się w przyspieszonym tempie.

Asif upiera się, by jeszcze raz powtórzyć cały plan.

– Zaparkuję tuż za hotelem Grand Hyatt, wysiadziemy z samochodu i pójdziemy do głównego wejścia. Wejdiesz do środka i cały czas będziesz szedł. Policzysz do dwudziestu, a potem zdetonujesz bombę. Ja pójdę w przeciwnym kierunku, ale również będę liczył. Jeżeli po dwudziestu sekundach niczego nie usłyszę, naciśnę swój detonator. Czy to jasne?

Antun kiwa głową.

Przyłączają się do strumienia samochodów i żółtych taksówek, które zmierzają w kierunku hotelu i dworca Grand Central.

Asif zatrzymuje furgonetkę, zaciąga hamulec ręczny i wyjmuję kluczyk ze stacyjki. Z pęku kluczy wybiera ten od kajdanek i rozkuwa swojego towarzysza. Antun rozciera nadgarstki. Odpina pas bezpieczeństwa i wysiada. Zewsząd otaczają go tłumy. Odgłosy, zapachy i światło późnego popołudnia wydają mu się bardziej ożywione i wyrazistsze niż kiedykolwiek. Wciąga głęboki haust powietrza, który ma być jednym z jego ostatnich, i czeka, aż Asif zamknie samochód.

Potężny mężczyzna idzie obok niego. Kierują się powoli w stronę głównego wejścia. Wtem terrorysta kładzie rękę na ramieniu Antuna i przystaje.

– Tutaj cię pożegnam, mój bracie – mówi, pokazując mu detonator ukryty w zaciśniętej dłoni i rozpościera ramiona, aby go uścisnąć. Antun wykonuje swój ruch.

KOMENDA POLICJI, WASZYNGTON

Kapitan Zach Fulo opiera łokcie na zawalonym papierami blacie biurka i cierpliwie słucha Irlandczyka, który relacjonuje mu dotychczasowe postępy śledztwa. Co jakiś czas zerka na agentkę FBI, wypatrując na jej twarzy wyrazów sprzeciwu wobec słów porucznika. Nie dostrzega jednak niczego w tym rodzaju.

Na pierwszy rzut oka może się zorientować, że siedząca przed nim kobieta jest poważną profesjonalistką. Nie ma słabości do alkoholu i na pewno nie należy do puszczalskich panienek, które dupą zarabiają na awans. Przed dziesięciu laty była z niej całkiem niezła sztuka. Sprawia wrażenie osoby, która niejedno już w życiu widziała, a brak obrączki na palcu sugeruje, że życie nie obchodziło się z nią łagodnie.

Irlandczyk na koniec prosi o przesłuchanie brytyjskiego konsula, George'a Daltona, aby ustalić, co robił tej nocy, gdy zginął Amir Goldman.

– Nawet jeżeli będzie się zasłaniał immunitetem dyplomatycznym, powinniśmy iść w tym kierunku. Jesteśmy to winni ofierze.

– Zgadzasz się z tym wszystkim? – Fulo zwraca się do Mitzi. – Uważasz, że powinniśmy, mam na myśli połączone siły FBI i wydziału zabójstw, wkroczyć na ścieżkę dyplomatyczną i zażądać od ambasadorów i konsulów, by wywrócili swoje kieszenie i wypowiedali się z każdego kroku?

– Owszem, kapitanie. Nie uważam, że ktokolwiek powinien być traktowany inaczej niż pozostali. I nie ma tu znaczenia jego stanowisko, tytuł, płeć, wiek, wyznanie, rasa czy narodowość. Wszyscy sprawcy są równi, oto moje motto.

– Wszyscy podejrzani – poprawia ją kapitan.

Mitzi czuje, że jest zdolna go przekonać.

– Mówiąc wprost, gdyby ten Dalton nie wyjechał z kraju i gdyby nie był członkiem brytyjskiego korpusu dyplomatycznego, już dawno wycierałby tyłkiem twarde krzesło w pokoju przesłuchań.

– Co zaskakujące, Fitzgerald, zgadzam się z tobą i z obecną tu panią – mówi Fulo, kołysząc się na krześle. – Nie podoba mi się, kiedy ktoś nadużywa swojej pozycji albo przywilejów. Zło jest złem, nawet jeżeli ma na sobie garnitur za kilka tysięcy. – Kapitan siada prosto i otwiera rejestr na monitorze komputera. – Odnotuję, że mi to wszystko zameldowaliście, więc możecie swobodnie zadawać wszystkie pytania, jakie uznacie za konieczne, i przeświecić wszystkie kręgi, które uznacie za podejrzane. Cholera, lećcie do Anglii i dobijajcie się do bram zamku Buckingham, jeżeli to ma rozwiązać tę sprawę.

– Pałacu – wtrąca Mitzi. – To pałac, nie zamek.

Zach Fulo przeszywa ją jednym ze swoich groźnych spojrzeń, a potem mierzy wzrokiem Irlandczyka.

– Cokolwiek będziecie robić i dokądkolwiek traficie, nie zapominajcie o dobrych manierach. Działajcie delikatnie, szybko i tak oszczędnie, jak tylko się da.

– Tak jest.

– Nie spieprz tego, Fitzgerald – dodaje na koniec kapitan. – Bo, jak mi Bóg miły, będziesz musiał ukryć się w jakimś zamku, żeby nie skopał ci dupska.

DWORZEC GRAND CENTRAL, NOWY JORK

Antun uderza czołem w twarz Asifa, który wydaje jęk i zalewa się krwią. Potem łapie olbrzyma za lewy nadgarstek i wykręca go z całej siły, aż rozlega się chrupot łamanych kości. Wygina mu rękę do tyłu i czuje, jak jego ramię wyskakuje ze stawu.

Asif nie chce umierać. Wie, że musi pokonać Antuna, a potem szybko oddalić się na bezpieczną odległość, zanim ten zdetonuje kamizelkę. Wie również, że w tej chwili jego przeciwnik ma przewagę. Starając się nie zważać na ból, wyprowadza silne kopnięcie.

Antun uskakuje w bok i podbija nogą goleń olbrzyma, przewracając go na twarde chodnik.

Asif przekręca się na zdrowe ramię i po chwili znów jest na nogach. W jego żyłach buzuje adrenalina, kiedy z całej siły kopie przeciwnika w udo.

Antun przyjmuje cios, ale nie upada. Odpowiada druzgocącym uderzeniem, jakiego nie powstydziliby się bokser wagi ciężkiej. Kiedy oszołomiony Asif dochodzi do siebie, rozpędzony but przeciwnika wbija się w jego podbrzusze.

Potężny terrorysta zwała się na ziemię niczym ścięty dąb. Antun natychmiast rzuca się na niego i zaciska dłonie na jego krtani.

Asif czuje, jak ulatuje z niego życie. Wymierza cios zdrową ręką i jego pięść trafia w szczękę Antuna, ten jednak nie zważając na nic, przenosi cały ciężar swego ciała na ręce, które miażdżą gardło olbrzyma.

Wokół nich rośnie zbiegowisko. Ludzie wzywają policję, a ktoś usiłuje odciągnąć Antuna, lecz on ani trochę nie rozluźnia uścisku. Ciałem Asifa wstrząsają konwulsje. Wierzga nogami, a jego obcasy bębnią po chodniku.

Antun po raz ostatni napiera na szyję przeciwnika, a gdy jest już po wszystkim, osuwa się na plecy, ciężko dysząc.

– O Jezu! – ktoś krzyczy.

Dołączają do niego następni. Rozpętuje się taka wrzawa, że żaden

patrol policji w promieniu kilometra nie może przejść obojętnie.

Antun wstaje i obraca się w stronę przerażonego tłumu. Pot ścieka po jego twarzy.

– Odsunąć się! Wszyscy do tyłu! – krzyczy, rozpinając obszerną czarną kurtkę, którą ma na sobie, i odsłania kamizelkę. – Mam bombę! Zmuszono mnie, żebym to założył.

Wybucho panika. Nadchodzący z lewej strony dwaj policjanci zatrzymują się w pół kroku. Jeden z nich mówi coś do krótkofalówki, drugi opuszcza rękę w stronę kabury. Tymczasem w tłumie po prawej Antun dostrzega znajomą twarz.

To Nabil.

Dowódca komórki terrorystycznej odwraca się i odchodzi.

Antun wie, co zaraz nastąpi. Zamyka oczy na moment przed tym, jak zdalnie zdetonowane ładunki rozrywają jego ciało na tysiąc kawałków.

WASZYNGTON

Mitzi i Irlandczyk wychodzą właśnie z komendy policji, gdy dociera do nich elektryzująca wiadomość z ostatniej chwili.

– Wybuchła bomba na Grand Central! – krzyczy starszy policjant siedzący w recepcji. – Ja pierdołę, ale masakra.

Gliniarz i agentka FBI zawracają w jego kierunku.

– Ponad setka zabitych. – Policjant czyta informacje przesuwające się na ekranie telewizora, który stoi na półce obok recepcji. – Przypuszczalnie drugie tyle rannych. Reporterka mówi, że wybuch było słychać w promieniu prawie dwóch kilometrów.

Mitzi przeklina pod nosem. Irlandczyk opiera się o blat, by spojrzeć na ekran.

– Powiedzieli, kto jest za to odpowiedzialny?

– Jeszcze nie.

Starszy funkcjonariusz uznaje, że w obliczu tak sensacyjnego wydarzenia nikt nie będzie miał mu za złe, jeśli nastawi głośniej telewizor.

Dziennikarka na ekranie stara się jak najlepiej przeprowadzić relację na żywo z miejsca zamachu. Zawodzące bez przerwy syreny karetek i wozów strażackich niemal zagłuszają jej słowa.

– Eksplozja nastąpiła tuż przed osiemnastą, kiedy w centrum Nowego Jorku panuje największy ruch. O tej porze w hali dworca, który zajmuje szóste miejsce na liście najchętniej odwiedzanych atrakcji turystycznych na świecie, było najwięcej ludzi. Z pierwszych doniesień wynika, że bombę zdetonował zamachowiec samobójca. Naoczni świadkowie twierdzą, że był to mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała. Policja bada zeznania, z których wynika, że zanim odsłonił przed świadkami kamizelkę z materiałem wybuchowym i wysadził się w powietrze, wdał się w bójkę z drugim mężczyzną.

U dołu ekranu przewija się pasek z numerem telefonu dla osób zaniepokojonych losem swoich bliskich, którzy mogli w tym czasie

znajdować się na stacji.

Mitzi uznaje, że tyle wystarczy. Wszystko, co widzi i słyszy potem, sprowadza się już tylko do zabiegów dziennikarzy, którzy eksploatują gorący temat, wpędzając wszystkich w jeszcze większe przygnębienie. Wychodzi powoli na zewnątrz, myśląc o Jade i Amber, o Ruth i Jacku o pożądliwych łapskach, a nawet o swoim byłym. Dziękuje Bogu, że wszyscy oni są teraz w starej nudnej Kalifornii, a nie w Nowym Jorku, który stał się wybuchową stolicą świata.

Po kilku minutach z komendy wychodzi również Irlandczyk, który drapie się po zmierzwionej kępcie rzednących włosów nad czołem.

– To chyba trochę przyćmiło dobre wieści, z którymi wyszliśmy od kapitana.

Mitzi tak naprawdę nie zwraca uwagi na jego słowa.

– Nie miałbyś nic przeciw, gdybym wróciła do hotelu i spróbowała zarezerwować miejsce w samolocie na jutro rano? Myślę, że będę tak samo pomocna pod telefonem w San Francisco, jak i tutaj.

Irlandczyk wolałby, żeby została, ale rozumie, dlaczego zależy jej na powrocie do domu.

– Jasne. Zaczekaj chwilę, to cię odwiozę.

– Nie trzeba. Wyglądasz, jakbyś zaraz miał paść ze zmęczenia. Mogę wziąć taksówkę.

– Chciałbym cię odwiedzić. Oczywiście jeśli zechcesz jeszcze raz usiąść w stercie śmieci.

Mitzi docenia jego uczynność.

– Myślę, że skoro byłam szczepiona przeciwko tężcowi i cholercie, mogę się odważyć na tę ostatnią przejażdżkę twoją śmieciarką.

PAŁAC BUCKINGHAM, LONDYN

Telefon do zakodowanych połączeń wibruje w kieszeni czarnego smokingu Owaina.

– Najmocniej przepraszam – zwraca się do ambasadora Kanady. – Obawiam się, że to pilna rozmowa i muszę odebrać.

Nie czekając na odpowiedź dyplomaty, wychodzi na korytarz i przykłada aparat do ucha.

– Witaj, Gareth.

– Antun nie żyje.

– O mój Boże.

– Na dworcu Grand Central w Nowym Jorku wybuchła bomba, a on był w samym centrum eksplozji.

Owain czuje falę mdłości. Ogarnia go gniew. Stara się zachować skupienie.

– Prawdopodobnie to robota komórki Nabila, którą infiltrował.

– Zgadza się. Mamy Nabila na oku.

Owain pragnie jego śmierci. Nie chce czekać ani godziny dłużej, by wpakować mu kulę między oczy. Zdaje sobie jednak sprawę, że nie tędy droga.

– Tabrizi jest dowódcą, ale to nie on pociąga za sznurki. Przymuszczalnie jest tylko jednym ze słabszych ogniw.

– Masz rację. Właśnie o tym meldował nam Antun. Z tego powodu chciał zostać w organizacji i zabiegać o awans w hierarchii.

– Dlatego musimy uszanować jego odwagę i pozostawić przy życiu zwierzynę, którą miał na celowniku – stwierdza Owain. – Ilu ludzi zginęło na dworcu?

– Według ostatnich doniesień sto jedenaście osób. Blisko dwieście zostało ranionych odłamkami – relacjonuje Gareth. Ociąga się przez chwilę z przekazaniem kolejnej informacji, która właśnie do niego dotarła.
– Wygląda na to, że Antun został zmuszony do nałożenia kamizelki

z materiałem wybuchowym.

Twarz Owaina wykrzywia bolesny grymas.

– A raczej zgłosił się na ochotnika, licząc, że zdoła rozbroić bombę, albo został zdemaskowany. Masz jakieś przypuszczenia, co się stało?

Gareth Madoc stara się rozwiązać tę samą zagadkę.

– Z raportu policji wynika, że walczył z jakimś mężczyzną na chodniku i zabił go, a dopiero potem zdetonował bombę.

– Policja się myli, ktoś inny musiał ją zdetonować.

– Mógł to zrobić Nabil. Nasi obserwatorzy widzieli go dopiero po eksplozji, kiedy wrócił do kryjówki.

Owain zauważa, że goście kierują się do salonu, aby zająć miejsca przy stołach.

– Muszę już iść – mówi do przyjaciela. – Na miłość boską, dopilnuj, żebyśmy nie stracili Nabila z oczu. Jest na tyle młody, że może popełnić jakiś błąd. A my jesteśmy na tyle doświadczeni, że możemy to wykorzystać.

– Dopilnuję tego osobiście.

– Dziękuję ci. Ale chcę, żebyś wyszedł z tego cało. Dużo złego wydarzyło się ostatnio i straciliśmy zbyt wielu wspaniałych ludzi, a obawiam się, że ta fala zamachów nieprędko się skończy.

WASZYNGTON

W drodze do hotelu w Kensington Mitzi i Irlandczyk słuchają wiadomości w radiu.

Mitzi zauważa, że jej towarzysz jest blady, a jego twarz lśni od potu. Policjant zaciska dłonie na kierownicy i sprawia wrażenie, jakby dawała mu się we znaki migrena albo, co bardziej prawdopodobne, gigantyczny kac.

– Potrzebujesz jakiejś pomocy przy tym śledztwie? Chyba powinienesz się położyć na dzień lub dwa.

– Muszę wypożyczyć paru ludzi, którzy pracują nad innymi sprawami, i tyle.

– To podwójne morderstwo. Nie dostaniesz własnego zespołu?

– Zespołu? Dostałbym zespół, gdyby zamordowano dziecko. Teraz wszystko kręci się wokół takich spraw.

– Czasy są ciężkie, to i przestępcy stają się bardziej brutalni. Taki jest świat.

– Nie da się ukryć. Jest taka bystra dziewczyna, nazywa się Kirstin Collins, która mi trochę pomaga. Kiedyś będzie z niej dobra policjantka. O ile system jej na to pozwoli.

– I jeżeli nie dostanie kopa w górę i nie utknie za biurkiem.

Irlandczyk ma ochotę zapytać ją o kilka osobistych rzeczy. O jej karierę. O kolegów z pracy. O życie rodzinne. O mężczyzn, z którymi była związana. Wtem jednak ogarnia go fala mdłości.

– Nic ci nie jest?

Irlandczyk zanosi się kaszlem, a krew z jego ust bryzga na kierownicę.

– O Chryste! – Mitzi widzi, jak policjant z charkotem osuwa się bezwładnie na fotelu. Jego noga dociska pedał gazu i ford wyrywa się gwałtownie do przodu. Strzałka prędkościomierza zbliża się do stu kilometrów na godzinę.

Mitzi chwytą kierownicę i szerokim łukiem wyprzedza jadącego przed

nimi SUV-a. Ścigają ją przeraźliwe odgłosy klaksonów. Prędkościomierz przekracza setkę. Jej serce wali jak oszalałe, kiedy próbuje odepchnąć Irlandczyka na bok. Samochód pędzi już ponad sto dziesięć. Siła odśrodkowa przy kolejnym gwałtownym uniku spycha bezwładne ciało w stronę drzwi po stronie kierowcy, ale noga nieprzytomnego gliniarza wciąż spoczywa na gazie. Mitzi napiera z całych sił, ale nie jest w stanie przesunąć go dalej. Sto dwadzieścia na liczniku.

W oddali zaczyna się korek i samochody przed nimi już hamują. Mitzi szarpie kierownicą i taurus przeskakuje z zewnętrznego pasa na środkowy.

Strzałka prędkościomierza dochodzi do stu trzydziestu.

Mitzi widzi przed sobą ciężarówkę. Oślepiający czerwony blask jej świateł stopu. Odbija w lewo i ford z piskiem opon wpada na wewnętrzny pas. Teraz kraksa jest już nieunikniona. Pozostaje tylko pytanie, w co uderzą. Taurus zjeżdża na trawiaste pobocze. Zahacza bocznym lusterkiem o drzewo. Tyłem samochodu zarzuca. Mitzi widzi przed sobą zbliżające się z zawrotną prędkością grube pnie dębów. Gwałtownie obraca kołem kierownicy. Ford okręca się w miejscu. Koła odrywają się od podłoża i samochód przewraca się na dach. Słychać zgrzyt gniecionej blachy i trzask tłuczonego szkła. Potem rozlega się ogłuszający huk. Mitzi czuje na twarzy przenikliwy ból i nagle wszystko spowija czerní.

CZĘŚĆ DRUGA

LONDYN

Angelo Marchetti czuje się, jakby ktoś go zdzielił kijem baseballowym. Przykłada dłoń do obolałego czoła. Kiedy unosi powieki, żeby spojrzeć w rozjarzony słońcem letni dzień, ma wrażenie, jakby podciągał zardzewiałe żaluzje.

Leży w łóżku. Tyle udaje mu się ustalić. Światło jest włączone, a zasłony odsunięte, ale na zewnątrz panuje ciemność. Stojący obok łóżka zegar pokazuje godzinę 4.47. To nie jest odpowiednia pora na wstawanie.

Uświadamia sobie jednak, że nie jest we własnym domu. To hotelowy pokój. I nie w Ameryce. Gdzieś za granicą.

Do jego uszu dociera jakiś szmer. Odgłos poruszającego się ciała. Podnosi kołdrę.

Obok niego śpi naga kobieta. Żadna z tych, które by rozpoznawał, co u niego nie jest dziwne. Kobiety, z którymi coś go łączyło, porzuciły go już dawno temu.

Angelo opiera się na łokciu i patrzy na nią. Jej skóra ma oliwkową karnację. Latynoska, może Hiszpanka. Ma długie włosy, jeszcze ciemniejsze niż jego. Drobne piersi i szerokie biodra. W talii oplata ją tatuaż przedstawiający węża. Jego trójkątna głowa spoczywa na wydepilowanym wzgórkowi łonowym, a język znika między nogami.

Marchetti słyszy brzęczenie owadów. Nie w pokoju, ale we wnętrzu swojej głowy. Chmary świerszczy, os i pszczoł rozjuszony nagłym przebudzeniem miotają się i kęsają szary plaster jego mózgu.

Mężczyzna wstaje i okrąża łóżko. Na blacie stolika zauważa rozsypany biały proszek. Igły. Lusterka. Odkazające waciki i puste woreczki foliowe. Speedball.

Teraz wszystko sobie przypomina. Zaszył się tutaj z tą kurewką, Giselą. Miała na imię Gisela. Dzika Hiszpanka. Wciągnęli tyle koki, że mogłaby od tego wykitować cała kapela rockowa.

Na podłodze walają się rozrzucone w nieładzie ubrania. Puste butelki

po wodzie. I pieniądze. Sterty jednofuntowych banknotów.

Wszystko zaczyna do niego docierać. Jest w Londynie. I ostatniej nocy dopisało mu szczęście. Wielkie szczęście.

KOMENDA POLICJI, WASZYNGTON

Ostre promienie porannego słońca wdzierają się przez zdezelowane rolety do gabinetu Zacha Fulo. Mitzi mruży oczy w bolesnym grymasie.

Poduszka powietrzna w samochodzie Irlandczyka złamała jej nos. Jej twarz jest cała w siniakach, a usta wyglądają tak, jakby właśnie wstrzyknęła sobie botoks.

Agentka przesuwa krzesło w zacienione miejsce, gdzie nie dociera rażące światło.

– Najnowsze wieści z Memorial Hospital – mówi kapitan, spoglądając na monitor. – Jego stan jest stabilny, ale wciąż bardzo poważny.

– Ma szczęście, że przeżył. – Mitzi niepewnie dotyka palcami pulsującego od bólu nosa.

– Nie takie znów szczęście. – Fulo czyta wiadomość do końca. – Ma połamane żebra, lewy obojczyk i prawy nadgarstek. Przemieszczenie w obrębie prawego stawu kolanowego, zwichnięta lewa kostka i...

Kapitan zawiesza głos.

– I co?

– Jego wątroba – kontynuuje kapitan jeszcze poważniejszym tonem. – Jest w fatalnym stanie. To właśnie z tego powodu pluł krwią, zanim stracił przytomność.

– To przez alkohol?

– Całe lata picia. – Twarz kapitana przybiera gniewny wyraz. – Kurwa, kiedyś to był taki dobry gliniarz. Przed tą sprawą z zamrażarką.

– Z czym?

– To się wydarzyło w Brookland. Na komisariat przywlokła się młoda kobieta, która wyglądała, jakby nic nie jadła od roku. Miała sińce pod oczami, całkiem jak ty. Na całym jej ciele nie było miejsca wolnego od krwiaków i ran. Nie mogła mówić.

– Była w szoku?

– Lekarze stwierdzili, że kilka lat wcześniej jej język został przybity do

wargi zszywaczem tapicerskim. Kiedy wdała się gangrena, prześladowca go odciął. Został jej tylko kikut. Ale mogła pisać. Opisała rzeczy, o których wolałabyś nigdy nie czytać. Fitzgerald prowadził tę sprawę. Wybrał się do budynku, w którym jak zeznała, była więziona i maltretowana. Sprawcy dawno już tam nie było. Za to w garażu Irlandczyk znalazł zamrażarkę.

– Chyba się domyślam, co było w środku.

– Nie sądzę. Fitzgerald odkrył tam zwłoki noworodków.

Mitzi zwiesza głowę w ponurym milczeniu.

– Cztery noworodki ułożone w rzędzie. Ten psychopatyczny skurwiel porwał dziewczynę, kiedy miała trzynaście lat i zapłodnił ją cztery razy.

– Dzieci rodziły się martwe – pyta Mitzi z nadzieją.

– Nie. Odbierał każdy poród, przecinał pępowinę i wkładał noworodka do zamrażarki, żeby tak skonał.

– Po co? Po co je tam trzymał? Dlaczego ich nie zakopał?

– To były jego trofea. Mówił swojej ofierze, że to dowód jego męskości.

– O Jezu. Powiedz mi, że ten psychopata siedzi teraz w celi śmierci, żebym mogła świętować, kiedy przyjdzie jego czas.

– Skończył jeszcze lepiej. Znalezione go martwego w motelu pod Nowym Jorkiem. Ktoś przywiązał go do fotela, zakneblował kawałkiem prześcieradła i strzelił mu w jądra. Według lekarza sądowego zabójca czekał co najmniej godzinę, zanim wyciągnął knebel, wsadził mu lufę w usta i wystrzelił drugi pocisk.

– Dobra robota.

– Nie ty jedna tak sądzisz. Dlatego nikt nie przykładał się zbytnio do poszukiwania sprawcy. A najmniej Fitzgerald, który nawet nie wydawał się zaskoczony takim zakończeniem. Chyba wiesz, co chcę powiedzieć.

Mitzi kiwa głową.

– Mam nadzieję, że w szpitalu zajmą się nim jak należy. Przeszczepią mu wątrobę albo zrobią cokolwiek, co trzeba.

– Staramy się wykorzystać niektóre wpływy. Zobaczymy, czy uda się go przepchnąć wyżej na liście oczekujących na przeszczep. – Fulo

przekopuje warstwę papierów leżących na biurku i wyciąga kartkę. – To dla ciebie.

Mitzi bierze kartkę do ręki i przygląda się widniejącej na niej liście nazwisk.

– To prywatne numery telefonów wszystkich pracowników ambasady brytyjskiej, przebywających zarówno tutaj, jak i w Londynie.

– Dzięki. Zajmę się nimi, kiedy wrócę do Kalifornii – oświadcza Mitzi i zauważa na twarzy kapitana charakterystyczny półuśmiech. Wyraz twarzy typowy dla szefa, który wie coś, o czym jego podwładny nie ma jeszcze pojęcia. – Czy coś przeoczyłam?

– Rozmawiałem z twoją przełożoną, panną Donovan. Jest zadowolona, że zostałaś wytypowana do prowadzenia tej sprawy w Waszyngtonie, przynajmniej dopóki się nie dowiemy, czy mamy jakieś szanse powodzenia, czy to ślepa uliczka.

– Nie wspominała o tym, kiedy składałam jej raport wczoraj wieczorem.

– Rozmawiałem z nią przed godziną. Spodziewa się, że zadzwonisz do niej po tym spotkaniu.

– Bardzo chciałabym zobaczyć się z moimi dziećmi. Na pewno potrafisz to zrozumieć.

– Więc postaraj się jak najszybciej rozwiązać tę sprawę. I sami nie bądźmy dziećmi. Oboje wiemy, że ktoś z nas musi polecieć do Anglii i na pewno nie będę to ja ani porucznik Fitzgerald.

SOHO, LONDYN

Angelo Marchetti budzi Gisełę. Płaci jej i pogania ją w stronę wyjścia. Teraz musi wziąć prysznic, ubrać się i przygotować do spotkania, które czeka go przy śniadaniu.

Właśnie po to przyleciał tutaj przed blisko trzydziestoma godzinami.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że człowiek, z którym ma się zobaczyć, jest również właścicielem hotelu, w którym się zatrzymał, i mieszczącego się w podziemiach nielegalnego kasyna, gdzie zeszłej nocy wygrał kilka tysięcy funtów. Nic wielkiego, zważywszy na fakt, że interes, jaki zamierza przeprowadzić, przyniesie mu miliony. Miliony i nowe życie. Z dala od Owaina Gwyna i jego armii szlachetnych dobroczyńców.

Marchetti zapina idealnie dopasowaną białą koszulę, którą wyklada na niebieskie dzinsy. Staje przed lustrem i przygląda się srebrzystym nitkom w swoich kruczoczarnych kręconych włosach i wypielęgowanej brodzie. Ma trzydzieści cztery lata i oznaki starzenia budzą w nim poczucie nostalgii za młodością. Jako nastolatek grał w piłkę nożną w drużynie Neapolu. W ciągu tych trzech krótkich lat zarobił miliony, których większość wydał, pomagając biednym z Kampanii.

A potem nadszedł ten najczarniejszy dzień. Złamana podczas meczu noga przekreśliła jego szanse na pierwszy występ w reprezentacji kraju. Kontuzja pociągnęła za sobą wieloletnią rehabilitację, środki przeciwbólowe i serię nieudanych powrotów na murawę. Początkowo zajął się inwestycjami i został ofiarnym młodym filantropem, który dawał nadzieję na przyszłość dzieciakom z ulic Scampii i Secondigliano. To właśnie ta działalność zwróciła na niego uwagę Arturianów i na jakiś czas przywróciła mu sens życia. Angelo ciężko pracował, aby uchronić tych młodych chłopców przed szponami kamorry i mafii sycylijskiej.

Potem nastąpił kolejny cios.

Zarówno on, jak i jego żona mieli swoje ukryte słabości. Ona do jego kolegi z drużyny. On do alkoholu i narkotyków.

Początkowo był uzależniony tylko od leków przeciwbólowych, które łagodziły jego cielesne i duchowe cierpienia. Potem, kiedy zaczęła mu doskwierać samotność, zaprzyjaźnił się z kokainą i heroiną.

Wyprowadził się do Ameryki, gdzie schronił się przed pracującymi dla gangsterów handlarzami prochów, którym był winien pieniądze, ale proporcjonalnie do długów popadał również w coraz większe uzależnienie. Do listy swoich nałogów dodał hazard, który dawał mu nadzieję, że zdoła wygrać tyle kasy, by wszystkich spłacić i zacząć od początku. Tyle że tracił dziesięć razy więcej, niż wygrywał.

Pukanie do drzwi wyrywa go z zadumy. Marchetti przykłada oko do wizjera. Pole widzenia wypełniają trzy postacie. Dwóch zwałistych uzbrojonych mężczyzn.

I on.

Człowiek, o którym Gwyn tyle opowiadał.

Ten, który w członkach Tajemnego Zakonu Arturianów budzi największy strach i nienawiść.

KOMENDA POLICJI, WASZYNGTON

Po rozmowie z Donovan Mitzi ma ochotę roztrzaskać telefon.

Nie ma najmniejszej ochoty zostawać w Waszyngtonie. Ruth, Jade i Amber urządzają jej piekło, gdy im oznajmi, że tych parę dni, które miała spędzić z dala od nich, najprawdopodobniej zamieni się w parę tygodni.

Potrzebuje więcej ubrań na zmianę, gdyż nie zamierza roztaczać wokół siebie jeszcze bardziej przykrej woni niż Irlandczyk albo jego samochód. A raczej to, co zostało z jednego i drugiego. Odnotowuje w pamięci, by zatelefonować do szpitala zaraz po tym, jak przejrzy listę nazwisk, którą dał jej Zach Fulo.

Automat na korytarzu wypluwa z siebie coś podobnego do kawy, którą Mitzi stawia na biurku Fitzgeralda w sali wydziału kryminalnego. Cały boks, który zajmował, jest przesiąknięty jego zapachem. Opary alkoholu, tłusta woń fast foodów i kurz zdążyły wnikać w tkaniny i drewno otaczające miejsce, w którym pracował całymi godzinami. Albo raczej się obijał, sądząc po stertach papierów piętrzących się na biurku.

Mitzi odgarnia śmieci, a następnie podnosi słuchawkę i zabiera się do pracy. Po kolei wybiera numery telefonów, biurowych i komórkowych, wszystkich wyższych urzędników brytyjskiego korpusu dyplomatycznego w Stanach Zjednoczonych, zarówno tych urzędujących aktualnie, jak i byłych.

Żaden z nich się nie zgłasza. Nie zniechęca się tym jednak i nagrywa każdemu z nich wiadomość, prosząc, by się z nią skontaktował, chociaż wątpi, że którykolwiek to zrobi.

Właśnie ma zamiar zadzwonić do swojej siostry, gdy obok biurka wyrasta jak spod ziemi kobieta o czarnych nastroszonych włosach i bladej bezpłciowej twarzy.

– Hej, nie skradaj się tak! – woła Mitzi, chwytając się za serce. – Omal nie dostałam zawału.

– Wybacz. Jesteś tą agentką, którą przysłali nam z FBI?

Mitzi omiata wzrokiem jej farbowane kręcone włosy, czarną bluzkę, obcisłe dzinsy oraz ciężkie buty w takim samym kolorze.

– Zależy od tego, czy ty jesteś wampirem. Co z twoim wyglądem?

– Jestem Kirstin Collins – przedstawia się kobieta i wskazuje na swoje ubranie. – Pracuję w wydziale do spraw narkotyków i to mój klubowy kamuflaż, ale pomagam również Irlandczykowi. Wiesz, co u niego?

– Porucznik Fallon. – Mitzi wyciąga rękę. – Z tego, co słyszałam, to kiepsko.

– Jak widać, ty też nie wyszłaś z tego bez szwanku.

– Tylko dlatego, że nie umiem porządnie nałożyć makijażu. Zawsze tak wyglądam, nawet bez siniaków.

Kirstin parska śmiechem.

– Za chwilę zadzwonię do szpitala i zapytam o niego. Usiądź. – Mitzi pokazuje krzesło. – Irlandczyk pochlebnie się o tobie wyrażał. Powiedział, że kiedyś będzie z ciebie dobra policjantka.

– Kiedyś? – Kirstin znów się śmieje. – Ale ma tupet. Fulo mówi, że prowadzisz teraz jego śledztwo. Czy to prawda?

– Tak sędzę. A czemu pytasz? Masz coś dla mnie?

Dziewczyna stara się nie patrzeć zbyt natarczywie na otoczone sińcami oczy i zaklejony plastrem nos.

– Wiesz, że Irlandczyk dostał z wydziału komunikacji namiary na tego SUV-a i lincolna?

– Tak. Jestem na bieżąco.

– No i sprawdziłam na mapie wszystkie całodobowe punkty gastronomiczne w pobliżu zjazdu, gdzie oba samochody po raz ostatni uchwyciła kamera. Znalazłam tylko kilka, ale żaden nie ma kamer na parkingu.

– Niestety, tak to zwykle bywa, Kirstin.

– Wiem, ale wypytałam kierowników nocnej zmiany, czy zauważyli coś podejrzanego.

– I jeden z nich coś widział, jak przypuszczam, w przeciwnym razie nie

opowiadałabyś mi tego wszystkiego.

– Owszem. Facet imieniem Ludo, pracujący w barze All Night All Right niedaleko Stead Park, zauważył lincolna, który wyjechał z parkingu. Kilka minut później zjawiała się ciężarówka pomocy drogowej i odholowała SUV-a.

– Czy ten Ludo zapamiętał nazwę warsztatu?

– Nie. Za to coś innego zwróciło jego uwagę.

– Co mianowicie?

– Kierowca SUV-a posilił się w barze, za to facet z lincolna nie. Chwilę po tym, jak klient zapłacił i opuścił lokal, do środka wszedł właściciel lincolna, skorzystał z toalety, a następnie skierował się prosto do wyjścia. To wkurzyło kierownika, bo nie cierpi gości, którzy tylko wpadają się odlać i niczego nie zamawiają, więc wyszedł za nim, żeby go skłąć. Ale nie zrobił tego, bo facet był już przy swoim samochodzie i sprawiał wrażenie, jakby zwijał się z bólu. Z trudem wgramolił się za kierownicę i przyciskał do ręki garść papierowych ręczników. Potem, kiedy przejeżdżał obok, Ludo zauważył tablice i zaczął się zastanawiać, czemu jakiś dyplomata musiał tak nagle skorzystać z jego łazienki i na co mu były te ręczniki.

– I co?

– Wrócił do środka i zajrzał do toalety, gdzie znalazł plamy krwi na podłodze.

– Zadam ci głupie pytanie. Czy przez przypadek je zmył i wypłukał szmatę albo gąbkę?

– Owszem.

– Tak myślałam, ale w moim wnętrzu mieszka mały chochlik, któremu na imię Nadzieja, i czasami nie potrafi zamknąć jadaczki.

Kirstin wybucha śmiechem.

– Cóż, twojemu chochlikowi mogło się poszczęścić, ponieważ Ludo zauważył coś dziwnego. Chociaż podłoga była zachlapaną, w koszu nie znalazł zakrwawionych ręczników. Żadnego bałaganu, tylko tych kilka kropel.

– Więc zamienił się w Dextera i przeprowadził analizę krwi?

– Coś w tym rodzaju. Pomyślał, że być może facet z lincolna przyłapał tego drugiego, gdy posuwał jego żonę, ścigał go i dopadł na parkingu przed barem, gdzie spuścił mu łomot. Wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i wtedy zobaczył, że pomoc drogowa odholowuje SUV-a.

Mitzi nie może odżalować zaprzepaszczonej okazji.

– Szkoda, że zmył te ślady krwi.

– Niezupełnie. Mój chłopak jest technikiem kryminalistycznym. Pojechał tam i pobrał materiał. Chociaż podłoga została umyta, resztki śladów zachowały się na zaprawie między płytkami. Próbki trafiły do laboratorium i mamy teraz dwa wyraźne profile DNA.

– Dwa? To była krew zabójcy i ofiary?

– Chyba twój chochlik znów się odzywa. Naprawdę nie mam pojęcia, co to jest. Właśnie mam zamiar skonfrontować je z rejestrami. Chcesz się przyłączyć?

SOHO, LONDYN

Dwaj ochroniarze nie są tak wysocy jak Marchetti, ale bardziej muskularni i znacznie młodszy.

Dla kontrastu ich szef jest drobnym i szczupłym mężczyzną po czterdziestce. Marchetti wprost nie może uwierzyć, że ta niepozorna postać to osławiony Josep Mardrid. Wpuszcza gości do środka i prowadzi ich do wypoczynkowej części apartamentu.

Mardrid siada na sofie, podczas gdy jego goryle ustawiają się po obu stronach niczym podpórki na półce z książkami.

– Jesteś zawiedziony, Marchetti? – odzywa się Mardrid, odpinając guzik marynarki. – Spodziewałeś się, że przyjdę w czarnej pelerynie, spod której będą wystawać diabelskie kopyta i ogon?

– Niczego się nie spodziewałem. Twój pośrednik dał ci jeden z krzyży. Chcesz dobić targu czy nie?

– A co dla mnie masz?

Włoch sięga na półkę pod stolikiem i podnosi z niej krzyż celtycki. Mardrid bierze go i ogląda, trzymając na rozłożonej dłoni.

– Obiecałeś mi cenne artefakty i poufne informacje, panie Marchetti. A widzę tylko stary kawał żelastwa.

– To coś więcej. To arturiański krzyż pogrzebowy.

O oczach Mardrida pojawia się błysk zainteresowania.

– Powiedz mi o nim coś jeszcze.

– Kiedy jeden z ich rycerzy ginie w walce, jest chowany z takim krzyżem umieszczonym na piersi. Podobno wszystkie one zostały wykute z tego samego żelaza co Excalibur.

– Osobliwa historia. A jaki będę miał z tego pożytek?

– Jest nie tylko osobliwa, ale też prawdziwa. W ciągu wieków tysiące takich ludzi zostało pochowanych na ziemiach należących do Gwyna. Spoczywają w miejscach, które zakon nazywa Cmentarzami Rycerskimi. Te groby znajdują się w tajemnych miejscach rozsianych po całym świecie.

Widzę to tak, że ujawniam ci ich położenie, ty nagłaśniasz sprawę, a kiedy policja i media zaczynają swoje dociekania, zyskujesz przewagę, demaskując takie oblicze sir Owaina Gwyna.

– Mów dalej.

– Mogę to zrobić. – Marchetti bierze do ręki krzyż. – Ten krąg pośrodku nie jest celtyckiego pochodzenia. Symbolizuje okrągły stół rycerzy króla Artura. Możesz skompromitować Gwyna jako fantastę.

– Chyba cię nie doceniałem, panie Marchetti. Ale skoro ten krzyż ma taką wartość, jak mówisz, czemu jeden z twoich ludzi próbował sprzedać ten lub podobny egzemplarz żydowskiemu antykwariuszowi z Ameryki, a potem go zamordował?

– To był błąd. Idioci, których zatrudniłem, postąpili zbyt pochopnie. Chodziło o pieniądze.

– Idioci robią takie rzeczy. – Mardrid bierze krzyż i obraca go na dłoni. – Chciałbym postąpić tak, jak mówisz. Z przyjemnością popatrzę, jak wykopują z ziemi wojowników Gwyna, a on opędza się od dziennikarzy. Podaj mi szczegółowe położenie tych cmentarzy.

Marchetti wybucha śmiechem.

– Mogłem wynająć idiotów, ale sam nie jestem aż tak głupi, żeby zabierać takie informacje ze sobą. Znajdują się w bezpiecznym miejscu i są do kupienia.

– Więc zróbmy interes. Ile za nie chcesz?

– Dziesięć milionów dolarów za każdy cmentarz.

Na twarzy Mardrida pojawia się uśmiech.

– Niedorzeczna cena. Ale za zrujnowanie Owaina Gwyna żadna cena nie jest wygórowana. – Mardrid wstaje z sofy i przygląda marynarce. – Posłuchaj mnie, panie Marchetti. Od tej transakcji nie ma już odwrotu. Dostarczysz mi to, co obiecałeś, albo każę moim ludziom wykopać dla ciebie grób i pochować cię w nim żywcem razem z tym twoim krzyżem. Życzę miłego dnia.

KOMENDA POLICJI, WASZYNGTON

Mitzi przechyla dystrybutor wody i nalewa ostatnie krople do niebieskiego plastikowego kubka. Akurat wystarczy, żeby popić kolejną dawkę środków przeciwbólowych.

Kirstin Collins wpatruje się w monitor. Czeką na odpowiedź z rejestru skazanych jak na wynik loterii, by się przekonać, czy dwa profile DNA wyodrębnione z próbek krwi znalezionej w barze nieopodal Dupont Circle przyniosą jej jakąś odpowiedź.

– Jak nam idzie? – pyta Mitzi, przysuwając sobie krzesło i siadając obok niej.

– Wciąż szuka. Podoba mi się, jak w serialach kryminalnych wszystko pojawia się po jednym kliknięciu.

– Taaa, a wszyscy faceci z wydziału są tacy przystojni i mają serca ze złota.

Na ekranie pojawia się wynik wyszukiwania.

– Profil numer jeden to pudło – oświadcza Kirstin. – Nie pasuje do żadnego z notowanych przestępców.

Następuje nieznośna chwila oczekiwania, zanim ukazuje się drugi wynik.

– Mamy trafienie! Bradley John Deagan. Czterdzieści dwa lata. Jeden wyrok za oszustwo.

– Jakiego rodzaju oszustwo?

Kirstin przewija plik na monitorze.

– Coś z malarstwem – czyta z ekranu. – Wygląda na to, że próbował sprzedać coś, co nigdy nie istniało.

– Co takiego?

– Zaczekaj, niech przejrzę wszystko. – Kirstin otwiera link do strony z dokumentacją. – Mam. Dzieło zostało namalowane przez faceta nazwiskiem van Eyck. Nazywa się *Ottar Gandawski* i składa z różnych obrazów, które nazywają tutaj tablicami. Jedna z nich została skradziona

i nigdy jej nie odnaleziono. Deagan próbował naciągnąć faceta nazwiskiem Christie, twierdząc, że ma ten obraz i chce go sprzedać.

– Myślę, że chodzi o dom aukcyjny Christie's, a nie osobę. Specjalizują się w sztuce i antykach.

– Minus dla mnie za niewiedzę. Nie kupuję zbyt wielu dzieł sztuki. Jeśli nie liczyć mojego plakatu Chippendalesów.

– O, nie.

– Gdybyś go zobaczyła, zmieniłabyś zdanie.

– Z pewnością. Czy w raporcie jest coś więcej na temat dzieła, które próbował sprzedać?

Kirstin przegląda tekst.

– Niewiele. Tylko że część ołtarza przedstawia cztery grupy ludzi, które zebrały się na łące, aby oddać cześć Barankowi Bożemu. Deagan twierdził, że posiada obraz przedstawiający piątą grupę, który nigdy dotąd nie został opisany.

– Jest tam coś na temat jego wartości? Zarówno prawdziwego malowidła, jak i falsyfikatu Deagana?

Kirstin czyta dokument, przewijając go na monitorze.

– Ołtarz pochodzi z piętnastego wieku. Rety, jaki duży, trzy na cztery i pół metra. Mam. Dziesięć milionów. Deagan chciał minimum dziesięć milionów za swoją podróbkę. To musiało być coś.

Mitzi układa w myślach listę wątków.

Tablica Ołtarza Gandawskiego.

Celtycki krzyż.

Pendrive z zakodowanym dokumentem.

Zamordowany handlarz antyków.

Martwy gangster.

Zaginiony oszust powiązany z brytyjskim dyplomatą, który wyjechał z kraju.

– Posłuchajcie – rozlega się męski głos, który wyrывa ją z zadumy.

– Zaczekaj – zwraca się Mitzi do Kirstin i obraca głowę w stronę drzwi.

Na progu stoi kapitan Zach Fulo. Mówi głośno, aby słyszały go osoby siedzące na drugim końcu pomieszczenia.

– Proszę wszystkich o uwagę. Właśnie otrzymałem wiadomość ze szpitala. Porucznik Patrick Fitzgerald zmarł dziesięć minut temu. – Rozlegają się stłumione westchnienia, a Fulo czeka kilka sekund w uroczystym milczeniu, po czym dodaje: – Jeżeli ktoś chce porozmawiać na osobności, jestem w swoim gabinecie.

SOHO, LONDYN

Jest kilka rzeczy, o których Angelo Marchetti zapomniał powiedzieć Josepowi Mardridowi. Rzeczy, które teraz mogą kosztować go życie.

Siedząc w obskurnym barze mieszczącym się w sąsiedztwie równie szemranego klubu ze striptizem, wypija trzeci kieliszek wódki i stara się nie myśleć o tarapatach, w jakich się znalazł.

Skłamał, mówiąc, że zna położenie wszystkich Cmentarzy Rycerskich. Nie miał o tym pojęcia. Informacje na ten temat znajdowały się w pliku cyfrowym, który skopiował na pendrive, kiedy przebywał w zamku Caergwyn w Walii. Przeniósł go tam z komputera należącego do zakonu, wraz ze skanami świętych ksiąg przechowywanych w Bibliotece Arturiańskiej.

Najpierw planował zażądać pieniędzy od Gwyna za zwrot tych danych. Zabrakło mu jednak odwagi i zaczął szukać innego sposobu, który pozwoliłby mu osiągnąć zysk z tej zdobyczy, nie narażając bezpośrednio na gniew zakonu.

Okazja nadarzyła się, gdy wrócił do Ameryki.

Miał dopilnować pochówku młodego rycerza, który zginął w walce z przemytnikami broni. Miejsce jego wiecznego spoczynku znajdowało się nieopodal Glastonbury, w rezerwacie Meshomasic State Forrest w stanie Connecticut.

Po ceremonii pogrzebowej odprawił swoich ludzi, mówiąc im, że potrzebuje zostać na chwilę sam ze swoim poległym bratem. Tylko zamiast oddać mu cześć, ukradł jego krzyż pogrzebowy, a także krzyże jego ojca i dziadka, którzy spoczywali w tym samym grobie.

Marchetti miał pośredników, którzy mogli je dla niego spieniężyć. Byli to ci sami ludzie, którzy zaopatrywali go w narkotyki. Szefowie gangów, którzy byli gotowi go zabić, jeżeli wkrótce nie spłaci swoich długów. Sytuacja finansowa zmusiła go w końcu do desperackiego kroku i oddał jeden z krzyży oraz pendrive z wykradzionymi danymi Kyle'owi Collowi,

który kierował gangiem Mara Salvatrucha. Wydrukował kilka wybranych fragmentów ksiąg na kartce papieru, aby gangster zainteresował się całością, ale zachował klucz do szyfru.

Dopóki jednak nie sprawdził kopii, którą sporządził dla siebie, nie zdawał sobie sprawy, że dane ulegają uszkodzeniu za każdym razem, gdy są kopiowane na jakiś nośnik nienależący do zakonu. Tak więc kopia, którą zachował dla siebie, okazała się bezwartościowa. Jednak pomimo tego niepowodzenia przez krótką chwilę wydawało się, że wszystko ma szansę jakoś się ułożyć. Gang natrafił na Goldmana, który specjalizował się w przedmiotach kultu religijnego. Antykwariusz wpłacił zaliczkę i był skłonny kupić wszystkie trzy krzyże. Kiedy dorzucili mu wydrukowane fragmenty ksiąg, zwietrzył w tym interes swojego życia. Ale potem staruszek zrobił coś głupiego. W ostatniej chwili zaniżył oferowaną kwotę i zagroził, że jeśli nie przystaną na tę propozycję, wyda ich policji. To zagranie kosztowało go życie.

Od tego momentu sprawy zaczęły przybierać coraz gorszy obrót.

Angelo umówił się z Bradem Deaganem w barze nieopodal Dupont Circle, ale przesadził z prochami i przyjechał za późno. Zdążył jedynie zobaczyć, jak George Dalton wyjeżdża z parkingu, a pomoc drogowa odholowuje samochód Deagana. Wtedy zdał sobie sprawę, że gra skończona i musi uciekać z kraju, zanim zakon wpadnie na jego trop.

Teraz stanął w obliczu kolejnej szansy.

Ostatniej szansy.

Angelo Marchetti dopija zawartość kieliszka i modli się, aby jej nie zaprzepaścić.

KOMENDA POLICJI, WASZYNGTON

Mitzi nie potrafiłaby usiedzieć za biurkiem Fitzgeralda. To byłoby nie w porządku. Tak samo nie w porządku jak przebywanie w otoczeniu jego współpracowników, którzy wieszali na nim psy. Wsiada do taksówki i oddaje się rozmyślaniom o tym, czy mogłaby poczuć sympatię do Irlandczyka. Zepsuci chłopcy i rozbitkowie życiowi zawsze byli w jej typie. A on bez wątpienia przedstawiał sobą obraz kompletnej ruiny.

Znalazłszy się z powrotem w pokoju hotelowym w Silver Fall Lodge, Mitzi otwiera barek, wyjmuje z niego butelkę brandy i odkręca korek.

– Za ciebie, poruczniku Fitzgerald. Mam nadzieję, że w niebie znajdziesz darmowy bar i dobrą kobietę, która cię pokocha.

Pociąga solidny łyk, po którym czuje palenie w gardle. Potem zażywa garść środków przeciwbólowych i rozciąga się na łóżku, by odpocząć przez pięć minut.

Dwie godziny później ze snu wrywa ją dzwonek telefonu. Serce kołacze jej w piersi, kiedy sięga po leżący na nocnym stoliku aparat.

– Halo?

Po krótkiej chwili milczenia w słuchawce rozlega się męski głos.

– Czy to porucznik Fallon?

Mitzi z trudem siada na łóżku. Pośrodku twarzy czuje świdrujący ból.

– Tak, to ja – odpowiada. Spogląda na wyświetlacz i widzi, że numer rozmówcy jest ukryty. – Posłuchaj, jeżeli jesteś kolejnym dupkiem, który chce mi sprzedać ubezpieczenie albo pożyczkę na samochód, to ostrzegam cię, przyjacielu, trafiłeś na zły moment.

– Mówi sir Owain Gwyn, były ambasador Wielkiej Brytanii w Stanach Zjednoczonych.

Mitzi zamyka oczy i modli się, aby rozstąpiła się podłoga i pochłonięła ją natychmiast.

– Dzwoniła pani do mnie i kilku moich współpracowników z informacją, że potrzebuje pani pomocy w śledztwie dotyczącym

morderstwa. Co mogę dla pani zrobić?

Mitzi nie jest zbyt dobrze przygotowana do takiej rozmowy. Jest zaspana i otępiała po zażyciu środków przeciwbólowych.

– Proszę wybaczyć. Sprawa, nad którą pracuję, dotyczy śmierci dwóch osób, a pewien ślad prowadzi do jednego z pańskich podwładnych, pana George'a Daltona. Chciałabym zadać mu kilka pytań.

– Jakich pytań?

– Gdzie przebywał w określonym czasie, w którym był towarzystwie i co robił. Standardowe pytania.

– Prawdopodobnie przebywał w moim towarzystwie. Jest wyższym rangą członkiem mojego personelu i niestety obarczam go licznymi obowiązkami. A gdyby tak moja sekretarka skontaktowała się z panią i zapisała wszystkie pytania, jakie ma pani do pana Daltona? Osobiście dopilnuję, aby na nie odpowiedział.

– A gdybym tak wolała porozmawiać z nim osobiście?

– Nie sądzę, aby to było wskazane i wygodne dla nas. Są pewne procedury, których musimy przestrzegać.

Mitzi czuje, że ambasador usiłuje ją spławić.

– Pański konsul i obaj zamordowani mają powiązania z pewnym zabytkiem sztuki sakralnej, celtyckim krzyżem. Czy to coś panu mówi?

– Nieszczególnie.

– A kod X?

Na linii zapada milczenie.

– Przepraszam, ktoś właśnie przekazał mi wiadomość – odzywa się Gwyn po chwili. – Proszę powtórzyć, o czym pani mówiła.

Mitzi wie, że trafiła w czuły punkt.

– Kod X. Czy to coś panu mówi?

– Owszem, ale nie mogę o tym rozmawiać przez telefon. To dosyć skomplikowana i delikatna sprawa. Czy udałoby się nam porozmawiać osobiście?

Mitzi wydaje z siebie przeciągłe westchnienie na myśl o nieuchronnej

perspektywie lotu do Europy.

– Mogę zarezerwować lot na jutro.

– Znakomicie. Moja sekretarka zadzwoni do pani, żeby omówić szczegóły. Przyślę po panią kierowcę na lotnisko.

Połączenie się urywa. Mitzi rzuca telefon na blat i opada na łóżko.

– Kurwa. Niech to jasny szlag!

Komórka dzwoni ponownie. Policjantka posyła w jej stronę mordercze spojrzenie.

– Halo?

– Mamo, tu Amber.

– Och, cześć, kochanie. Jak się miewasz?

– Jestem chora. Ciocia Ruth mówi, że to grypa żołądkowa. Prawie nie wychodzę z łazienki, a Jade doprowadza mnie do szału. Kiedy wracasz? Mamo, potrzebuję cię.

MARYLAND

Mija dwadzieścia minut, zanim Mitzi udaje się za pomocą przekupstwa i perswazji przekonać Amber, że nie jest najgorszą z matek. Potrzebuje dwa razy więcej czasu, aby dojść do porozumienia z Jade.

Zgodnie z przewidywaniami Ruth traktuje ją chłodno, dowiedziawszy się, że dwudniowy wyjazd do Waszyngtonu zamienił się w podróż do Europy, która najprawdopodobniej potrwa tydzień.

Lata służby w policji podpowiadają Mitzi, że jej młodsza siostra jest więcej niż poirytowana tym, że została na lodzie. W jej głosie słychać przygnębienie, gniew i niepewność, a Mitzi żałuje, że nie może być blisko, by wesprzeć ją w przejściach z Jackiem.

Po zakończeniu rozmowy opróżnia kolejną miniaturową buteleczkę brandy i wyrzuca ją do kosza. W lustrze na ścianie ciasnego hotelowego pokoju widzi niemal obcą kobietę o podbitych oczach i czerwonym jak wóz strażacki nosie, który zakrywa niezbyt pociągający biały plaster. Pocieszające było jedynie to, że w szpitalu wyprostowali jej przegrodę nosową, która przed pięciu laty uległa skrzywieniu w kontakcie z pięścią jej byłego.

Mitzi kartkuje menu potraw dostarczanych do pokoju i postanawia zamówić tylko sałatkę z kurczaka i mleko, ale jakimś cudem dodaje do tego porcję frytek i kawałek tarty z orzechami. Czekając na jedzenie, dzwoni do biura i składa Donovan raport, informując ją o wszystkim, poczynawszy od śmierci Fitzgeralda aż po rozmowę z Gwynem i konieczność podróży do Londynu.

– Nieźle się rozpędziłaś – mówi szefowa. – Eleonora ma przełom w sprawie zabójstwa więdzmy. Właśnie pojechała z policją do podejrzanego, który w ciągu najbliższej godziny usłyszy zarzuty.

– Szczęściara. Kto okazał się sprawcą?

– Brat męża. Nie myliłaś się zbyt w swoich wstępnych przypuszczeniach. Eleonora opowie ci o wszystkim, kiedy wrócisz. Mogę

teraz zluzować Bronty'ego, jeśli uważasz, że może ci się przydać.

– Wie co nieco na tematy religijne, dlatego jestem pewna, że się przyda.

– Tak myślałam. Chcesz, żeby pomagał ci stąd, czy mam go zapakować i przysłać ci do Londynu?

– W Londynie bardziej się przyda. Czy taka podróż bez uprzedzenia nie będzie dla niego zbyt kłopotliwa?

– Tak samo jak dla ciebie – mówi Donovan i milczy przez chwilę. Musi uczulić swoją podwładną na pewną kwestię. – Wiesz, że sprawa jest bardzo delikatna. Brytyjscy dyplomaci mają przyjaciół wśród amerykańskich dyplomatów, ci zaś mają przyjaciół w wymiarze sprawiedliwości, pociągających za sznurki w każdym marionetkowym teatrzyku, od komendy policji w najbardziej zapadłej dziurze aż po Gabinet Owalny.

– Tak, wyobrażam sobie, co może z tego wyniknąć.

– Świetnie. Zatem domyślasz się, że musisz działać rozsądnie. Będę cię kryła tak długo, jak się da, ale kiedy ci powiem, że musimy odpuścić, wtedy odpuścisz. Bez żadnej hysterii. Żadnych pyskówek. Czy to jasne?

Mitzi jest zbyt zmęczona, by się spierać.

– Jasne.

– Zapamiętaj, że to powiedziałaś, bo jeżeli mnie wystawisz, będziesz wspominać ten swój wypadek jak masaż w spa, kiedy cię dorwę.

PORT LOTNICZY DULLESA, WASZYNGTON

Mitzi postanawia uśmierzyć emocjonalne i fizyczne cierpienia za pomocą terapii zakupowej.

Kiedy wchodzi na pokład airbusa lecącego do Londynu, jest szczęśliwą posiadaczką kilku kompletów bielizny od Calvina, czerwonej koszulki z długimi rękawami, bluzki w biało-granatowe paski w komplecie z długą wełnianą spódnicą w takich samych kolorach, jasnoniebieskiego pulovera z jagnięcej wełny i pasującego do niego podkoszulka. Uplęło wiele czasu, odkąd kupowała coś z wełny, ale nie zamierza marznąć w tym szalonym brytyjskim klimacie. Gdyby miała jakiś wybór, nigdy nie odwiedziłaby kraju, w którym temperatura rzędu dwudziestu stopni uchodzi za letnią pogodę.

Lot przez Atlantyk okazuje się bardziej znośny niż transkontynentalna podróż z San Francisco do Waszyngtonu. Żadnych rozwrzeszczanych dzieciaków w pobliżu. Żadnych kłótliwych rodzin obrzucających się inwektywami nad oparciami foteli w klasie ekonomicznej. Po kilku godzinach głębokiego snu wywołanego silną dawką ibuprofenu i obejrzeniu kilku ckliwych filmów Mitzi orientuje się, że samolot podchodzi już do lądowania na Heathrow.

Mija północ, kiedy przechodzi odprawę celną i znajduje drogę do połączonego z terminalem lotniska hotelu. Nastawia stojący obok łóżka elektroniczny budzik, który wyrywa ją ze snu, wyjąc i błyskając z gwałtownością alarmu bombowego.

Jest siódma rano.

Mitzi nie może uwierzyć, że sześć godzin minęło tak szybko. Ramiona i szyję ma zeszywniałe po wypadku, zwłaszcza z lewej strony, którą w momencie uderzenia ścisnął pas bezpieczeństwa, dzięki czemu nie turlała się w koziółkującym samochodzie niczym szmaciana lalka w bębnie pralki.

Wkłada nową bluzkę oraz pasiastą spódnicę, po czym dochodzi do

wniosku, że w połączeniu z błękitnym pulwerem komplet nie prezentuje się tak dobrze, jak się spodziewała. Co gorsza czarne obwódki wokół jej oczu są teraz tak wyraziste i okrągłe, jakby były dziełem jakiegoś żartownisia, który namalował je na jej twarzy, kiedy spała. Nos również jest jeszcze bardziej opuchnięty, a w miejscu złamania przebiega czarna pręga.

– Cóż, Mitz, tym razem nie masz nawet co marzyć o znalezieniu męża z rodziny królewskiej – mówi do siebie, stojąc przed lustrem w łazience.

Okolo ósmej schodzi na dół na śniadanie. W ciągu najbliższej godziny ma spotkać się z Brontym, wprowadzić go w szczegóły śledztwa, wymeldować się z hotelu i czekać w recepcji na kierowcę, który zawiezie ich na spotkanie z ambasadorem.

Młoda kobieta stojąca przy drzwiach restauracji pyta ją o numer pokoju i wskazuje dwuosobowy stolik, który nieprzypadkowo znajduje się w odległym rogu sali, by nie odstraszała innych gości swoim wyglądem.

Bronty zjawia się wkrótce po tym, jak młody polski kelner podaje jej kubek czarnej kawy, patrząc na nią ze współczuciem. Agent FBI jest ubrany w beżowe sztruksy i różową koszulkę polo, a na ramiona ma zarzucony gruby brązowy sweter.

– O matko przenajświętsza – mówi, zajmując miejsce przy stoliku. – Co ci się stało?

Mitzi odstawia kubek.

– Ten jeden raz ujdzie ci płazem. A teraz, napijesz się kawy? Czy chcesz zaryzykować kolejne pytanie o mój wygląd?

GLASTONBURY, ANGLIA

Dzięki przyciemnianym szybom range rovera Lance Beaucoup i Jennifer Gwyn mogą trzymać się za ręce, nie martwiąc się, że jadący za nimi ochroniarze coś zauważą.

Jadą na północ drogami ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża. Mijają Avonmouth i kierują się na zachód, przejeżdżają przez most na rzece Severn, przemykają obok Newport i docierają do górzystego pustkowia Brecon Beacons.

Terenowy samochód z łoskotem toczy się po wyboistej drodze, która wije się pośród lasów, pól, jezior i wzgórz. Ta malownicza okolica należy do najlepiej strzeżonych terenów w Wielkiej Brytanii.

Jennifer delikatnie wodzi palcem po zgrubieniach na pokrytych bliznami dłoniach, które Lance zaciska na kierownicy.

– Co to takiego? Pamiątki po burzliwej młodości?

– Zwycięskie i przegrane walki. Dziecinne potyczki i męskie pojedynki. Pamiętam każdą z tych ran.

Jennifer postanawia to sprawdzić.

– A ta?

Lance zerka na połyskującą białą smużkę, która łączy knykcie jego lewej dłoni.

– Rozróżba w paryskiej knajpie. Dwudzieste pierwsze urodziny mojego najbliższego przyjaciela.

– A to skąd? – Jennifer wskazuje na pomarszczoną bliznę ciągnącą się wzdłuż małego palca.

– Ach, to po upadku ze skutera mojej dziewczyny – mówi Lance z nutą nostalgii w głosie. – Miałem wtedy siedemnaście lat, a ona dziewiętnaście.

– Była ładna?

– Bardzo. Wpadliśmy w poślizg na plamie oleju i zaliczyłem twarde lądowanie na tej ręce. Miałem również pęknięty obojczyk. Strasznie bolało, ale nie tak bardzo jak później, kiedy porzuciła mnie dla jakiegoś

zowanego faceta.

– *C'est la vie* – odpowiada Jennifer. – Czasem miłość kończy się boleśnie.

Lance przez chwilę w milczeniu patrzy na drogę.

– Czy ty też kiedyś sprawisz mi ból? – odzywa się w końcu.

Jennifer ściska mocno jego dłoń.

– Wiesz, że tak – mówi, uśmiechając się ponuro. – Nasza miłość złamie serca nam obojgu.

LONDYN

Kiedy Mitzi wymeldowuje się w recepcji, podekscytowany Bronty nagle ściska jej ramię.

– Przysłali po nas rolls-royce’a.

Agent niemal biegiem rusza w stronę wyjścia. Mitzi chowa kartę kredytową i w ślad za nim wychodzi z hotelu.

– Wygląda starzej od Joan Rivers – stwierdza, przyglądając się staromodnemu pojazdowi.

– Bo jest starszy – odzywa się kierowca, były żołnierz imieniem Harold. – Dużo starszy. To model Phantom IV, proszę pani. Montowany ręcznie przez tę samą ekipę, która wyprodukowała pierwszego rollsa dla królowej. – Mężczyzna otwiera przed nimi tylne drzwi limuzyny. – Zapraszam do środka.

Mitzi zajmuje miejsce na kanapie, a za nią niezdarnie gramoli się Bronty, wyciągając odkażającą chusteczkę z plecaka, który ściska w rękę. Drzwi zamykają się bezgłośnie, a kierowca zajmuje miejsce za kierownicą i kontynuuje opowieść, gdy samochód odjeżdża spod hotelu.

– Siedzicie państwo w najbardziej ekskluzywnym modelu rolls-royce’a, jaki kiedykolwiek został zbudowany. – Mężczyzna zauważa, że Bronty starannie wyciera podłokietnik. – Wnętrze jest codziennie czyszczone, proszę pana.

Bronty z zakłopotaną miną zwija chusteczkę w kulkę i chowa ją do kieszeni.

– Jest to jeden z osiemnastu egzemplarzy, które wyprodukowano na początku lat pięćdziesiątych dla koronowanych głów i mężów stanu.

– A więc sir Owain kupił go od jakiegoś dostojnika? – pyta Mitzi.

– Nie mam pojęcia. Musi pani zapytać go o to osobiście.

Bronty zauważa, że nad wlotem powietrza zamiast tradycyjnej statuetki przedstawiającej uskrzydloną postać znajduje się jakiś inna.

– Ta figurka na masce chyba różni się od tych, które występują

wszystkich rolls-royce'ach, prawda? – zwraca się do kierowcy.

– Ach, tak. Samochód królowej ma specjalną statuetkę świętego Jerzego walczącego ze smokiem, sir Owain również kazał zamontować na masce własny symbol – wyjaśnia Harold z wyraźną przyjemnością. – Ta figurka przedstawia nieznanego rycerza, który stoi na szczycie wzgórza, gdzie rozegrała się pewna słynna bitwa. To część jego rodowego herbu. Chwała bezimiennym.

– Takie motto nie przyjęłoby się w Hollywood – stwierdza Mitzi i przez przypadek naciska guzik na podłokietniku. Zza przednich foteli wysuwa się szklana przegroda, która oddziela tył samochodu od kierowcy.

– To dla zapewnienia prywatności – mówi Harold, którego słowa wydobywają się teraz z ukrytych głośników. – Jeżeli życzy pani sobie rozmawiać ze mną, przycisk mikrofonu znajduje się obok tego, który pani nacisnęła. Kiedy zapali się zielona lampka, ja będę słyszał panią, a pani mnie. Mogę również zostawić państwa w spokoju przez resztę podróży, która zajmie około pięćdziesięciu minut.

– Dziękuję – mówi Mitzi, lecz nie jest pewna, czy kierowca ją usłyszał. Obraca głowę w stronę Bronty'ego. – Czy Vicks przekazała ci wiadomość, żebyś zadzwonił do mnie w sprawie krzyża?

Bronty ukrywa twarz w dłoniach.

– Przepraszam, zapomniałem. Byłem tak zajęty śledztwem Eleonory, że nie miałem kiedy się do tego zabrać.

– Świetnie. Przynajmniej wiem, gdzie jest moje miejsce w łańcuchu pokarmowym.

– Na samym przedzie. – Bronty przywołuje na twarz najbardziej szczerzy uśmiech, na jaki potrafi się zdobyć. – Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko, co możesz mi powiedzieć. Czym różni się krzyż celtycki od zwykłych krucyfiksów i co symbolizuje ten krąg?

– Zgodnie z powszechnie przyjętymi wierzeniami, kiedy zagraniczni misjonarze usiłowali nawracać druidów na chrześcijaństwo, święty Patryk natknął się na kamień z wyrytym na nim kręgiem, który symbolizował

księżyc. Twierdził, że pośrodku znajdował się wyrzeźbiony krzyż łaciński. Pobłogosławił ten nowy znak, który łączy w sobie krucyfiks z symbolem księżycy i tak narodził się pierwszy krzyż celtycki.

– Ładnie. Myślisz, że to prawda?

– Tę wersję potwierdza tyle samo argumentów, ile ją podważa. Kolejna teoria głosi, że krąg to symbol Eucharystii, świętej hostii, która zawsze ma okrągły kształt. Inni uważają, że to aureola Ducha Świętego. W dzisiejszych czasach wszyscy posługują się tym symbolem, począwszy od kościoła walijskiego aż po agencje turystyczne, które mają powiązania z Irlandią, Szkocją i Walią. A także internetowi mistycy, astrologowie, sprzedawcy amuletów i wszystkie irlandzkie zespoły folkowe, które kiedykolwiek występowały publicznie.

– A więc to wszystko bujda?

– Co dla jednych jest bujdą, dla innych może być religią. A obydwoje doskonale wiemy, że wiara przenosi góry.

– I przynosi mnóstwo forsy.

– Oczywiście. Nic nie jest w stanie funkcjonować bez pieniędzy, nawet Kościół – mówi Bronty i przypomina sobie historię z czasów, kiedy studiował w seminarium. – Pewien zwariowany stary ksiądz twierdził, że ten krąg nie ma nic wspólnego z Eucharystią ani świętym Patrykiem. Uważał go za dowód przymierza chrześcijaństwa z Rycerzami Okrągłego Stołu Króla Artura.

– Trudno sobie wyobrazić Jezusa i Merlina jednocześnie.

– Trudniej niż świętego Jerzego walczącego ze smokiem, przemianę wody w wino czy niepokalane poczęcie?

– Chyba nie.

– W każdym razie ów stary ksiądz był wspaniałym gawędziarzem. Zabawiał nas opowieściami o tym, że krzyże rycerzy zostały wykute z metalu, który apostołowie wydobyli z grobu Jezusa. Mówił, że było to połączenie krzyża ze sztyletem i rycerz mógł go zagłębić w sercu pogańskiego wojownika, aby ocalić jego duszę.

– To chwalebny akt chrześcijańskiego miłosierdzia. Widziałeś szkic, który wykonała asystentka antykwariusza z Marylandu?

Bronty spogląda na nią ze skruchą.

– Przepraszam. Nie widziałem.

Mitzi sięga do torebki i wyjmuje z niej złożoną kartkę z kopią rysunku. Bronty bierze ją i ogląda.

– Trudno coś powiedzieć na podstawie tego, bo jak przypuszczam, skala i rozmiary są zupełnie inne, ale wygląda jak połączenie krucyfiksu ze sztyletem – mówi z uśmiechem i oddaje jej kartkę. – Jakkolwiek ostro zakończone ramię prawdopodobnie służyło do tego, aby wbić krzyż w ziemię i odprawić mszę na zboczu wzgórza lub w podobnym miejscu.

Mitzi składa kartkę i chowa ją z powrotem do torebki.

– Nie sądzisz, że powinniśmy skontaktować się z tym starym księdzem i mu to pokazać?

Bronty parska śmiechem.

– Ojciec Ryan był bardzo łąsy na wino mszalne, które dodawało barw jego opowieściom, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem, ale skoro on wierzył w tę historię o królu Arturze, to takich ludzi może być więcej. To by wyjaśniało, dlaczego ten krzyż miał dla kogoś tak wielką wartość, że był gotów dla niego zabić. Wiesz, podobnie jak ze świętym Graalem i fragmentami krzyża, na którym umarł Chrystus.

– Przecież król Artur nawet nie istniał – mówi Bronty lekceważącym tonem. – Chyba wspominałaś, że Vicky pokazała ten szkic komuś z Instytutu Smithsona.

– Tak. I dowiedziała się, że krzyż pochodzi z epoki żelaza, pamiętasz?

– Owszem. Ta opinia wydaje się o wiele bardziej prawdopodobna od tego, co opowiadał ojciec Ryan.

– Mimo to nie zaszkodzi sprawdzić – nalega Mitzi z uporem. – Eksperci niemal zawsze mają odmienne zdania.

Bronty kręci głową.

– Więc będzie ci potrzebne wstawiennictwo niebios, bo ojciec Ryan zmarł sześć czy siedem lat temu.

Mitzi nic nie odpowiada. Rozmyśla o krzyżu, w milczeniu wyglądając przez okno samochodu. Krajobraz szybko się zmienia, kiedy wjeżdżają do miasta, które otacza ich ze wszystkich stron ramionami z cegieł i szkła.

Mitzi wyciąga smartfon, włącza funkcję aparatu fotograficznego i przysuwa się do Bronty'ego.

– Uśmiech! – mówi rozkazującym tonem.

Bronty szczyrzy zęby w wymuszonym grymasie. Mitzi robi zdjęcie, a potem odwraca aparat, aby oboje mogli zobaczyć efekt.

– Przyda mi się, kiedy wrócę. Pokażę dziewczynkom, że jechałam rollsem. Może dzięki temu nie będą chciały od razu zabić mnie za to, że zostawiłam je na tak długo.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

W popołudniowym słońcu mury zamku mieniają się odcieniami różu. Jego przysadzista bryła z czterema narożnymi basztami odcina się wyraziście na tle soczystej zieleni pól i lasów.

Jennifer Gwyn wysiada z range rovera. Ma na sobie lekki odsłaniający ramiona sweter i niebieskie zakardowe spodnie, gdyż wybrała wygodę w dwugodzinnej podróży zamiast wystawnego stroju. W orzeźwiająco chłodnym powietrzu unosi się delikatna woń krzemienia i żelaza, a lekki podmuch wiatru przyjemnie rozwiewa jej włosy, gdy unosi głowę i patrzy na zwieńczenie starych murów.

Wie, że on tu jest. Że obserwuje ich ukryty za kamienną ścianą u szczytu jednej z wież. Spogląda w dół przez wypełnione szkłem pionowe szczeliny, z których przed wiekami najlepsi w kraju łucznicy miotali swoje strzały.

Myrddin.

Myrddin zna ją od urodzenia. Zdarzało się czasem, że rozumiał ją lepiej niż ona sama. Starzec miał wiele do powiedzenia, kiedy Jennifer przebywała w Ameryce. Gdy rozmawia z nim twarzą w twarz, potrafi odczytywać jej myśli.

Potęźnie zbudowani ochroniarze wychodzą z samochodów i rozprostowują kości. W zewnętrznej części ufortyfikowanych terenów trwają ciągłe szkolenia jednostek SAS i piechoty morskiej. Arturiańscy żołnierze są skoszarowani i ćwiczą w pobliżu zamku. Dopełnieniem tych dwóch kręgów obrony jest grupa uzbrojonych strażników, którzy działają tylko we wnętrzu starodawnej budowli.

Zbliża się odziany w czarny garnitur kamerdyner o okrągłej jak księżyc twarzy, a za nim podążają dwaj lokaje w czerwonych marynarkach.

– Witamy z powrotem w domu, lady Gwyn.

– Dziękuję ci, Alwynie. Jak się miewają wszyscy?

Kamerdyner prowadzi ją w stronę drzwi, tymczasem lokaje zabierają

walizki z range rovera i słuchają instrukcji Lance'a.

– Miło mi oznajmić, że wszyscy miewają się dobrze. Jak ci zapewne wiadomo, pani Stokes jest na zwolnieniu, bo w przyszłym tygodniu ma urodzić dziecko, więc obowiązki szefa kuchni pełni Nerys.

– Podoła temu zadaniu?

– Z całą pewnością. Nie mów tego pani Stokes, ale Nerys robi tak pyszny gulasz z jagnięciny, jaki potrafiła przyrządzić tylko moja mama.

Jennifer śmieje się i odpowiada mu tradycyjnym walijskim przysłowiem:

– *Cystal yfed o'r cawl a bwyta'r cig'* – Równie dobrze jest wypić rosół, jak zjeść mięso.

Alwin jest zadowolony, słysząc, że Jennifer używa starego języka.

– Czy ty i pan Beaucoup sami dziś zasiądziecie do kolacji? Tylko...

Jennifer uprzedza jego komentarz.

– Nie. Zjemy kolację z Myrddinem. Rzuciłby klątwę na mnie i moje kolejne wcielenie, gdybyśmy nie zaprosili go do stołu.

Kamerdyner zostawia Jennifer w wielkim przedsionku. Jest to przestronne pomieszczenie o ciemnej drewnianej podłodze i kamiennych ścianach przyozdobionych starą bronią, tarczami herbowymi i wypchanymi głowami zwierząt.

Dwaj młodzi lokaje uśmiechają się, przechodząc obok niej z bagażami w rękach, i znikają w wielkiej klatce schodowej, która prowadzi do biegnącej pod sklepieniem galerii.

W ślad za nimi pojawia się Lance. Jego oczy mają niespokojny wyraz. Jest to miejsce, w którym wyczuwa się obecność Owaina, od której nie sposób uciec. Ten zamek jest przesiąknięty jego dziedzictwem. W tych murach unosi się duch jego rodu.

Jennifer dostrzega jego obawy.

– Wyczuwasz go tutaj, prawda?

Lance zwiesza głowę z rezygnacją.

– Nie da się tego uniknąć.

Jennifer chwyta go lekko pod ramię i prowadzi w stronę korytarza.

– Chodź, napijemy się herbaty w południowym salonie. Potem zajmiesz się swoją pracą, a później znów się spotkamy przy kolacji.

– Z Myrddinem?

– Tak, z Myrddinem. – Jennifer widzi troskę w jego oczach. – Najpierw sama się z nim zobaczę. Postaram się złagodzić ciosy.

LONDYN

Za szybą staromodnego rolls-royce'a migają tabliczki z nazwami ulic. To miejsca, które Mitzi zna tylko ze słyszenia. Piccadilly Circus. Oxford Street. Covent Garden. Leicester Square. Strand.

Poruszając się wolniej zatłoczonymi ulicami, dojeżdżają do ogromnego budynku o fasadzie z białego kamienia, wysokich, łukowato zakończonych oknach, masywnych czarnych bramach i strzelających w niebo iglicach. Swoim wyglądem przywodzi na myśl gmach Hogwartu. Wrażenie potęguje stojący przed nim kamienny cokół, na którego szczycie znajduje się groteskowa rzeźba przedstawiająca jakiegoś skrzydatego stwora.

Mitzi naciska umieszczony w podłokietniku guzik mikrofonu.

– Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, gdzie my, do cholery, jesteśmy i co to za budynki z jakimiś dziwnymi posągami?

– Jesteśmy na Fleet Street, proszę pani – wyjaśnia Harold, obracając do niej głowę. – Właśnie mijamy Królewski Trybunał Sprawiedliwości. Biuro sir Owaina mieści się tuż za rogiem.

Kierowca spogląda na bezcenną rzeźbę Charlesa Bella Bircha stojącą dumnie na szczycie cokołu i stara się nie dopuścić, by w jego głosie zabrzmiał ton wyższości.

– Ten monument nazywa się Temple Bar i kiedyś wyznaczał granicę miasta. A rzeźba, o której pani wspomniała, to heraldyczny smok. W herbie Londynu występują dwa takie smoki, które trzymają tarczę z krzyżem świętego Jerzego.

Bronty przysłuchuje się z zainteresowaniem słowom Harolda.

– Powiedział pan „Temple”. Czy to ma coś wspólnego z zakonem templariuszy?

– Tak, proszę pana. Jego nazwa pochodzi od pobliskiego kościoła templariuszy i całej dzielnicy Temple. Kiedyś była ona własnością zakonu rycerskiego, ale dziś mieszczą się w niej siedziby organów wymiaru sprawiedliwości.

– Święci i grzesznicy – wtrąca Mitzi z przekąsem. – Męstwo i honor dawnych rycerzy nikomu nie jest tak obce, jak dzisiejszym prawnikom.

– Zapewne ma pani rację – odpowiada Harold, któremu udaje się wrzucić drugi bieg, gdy samochody dookoła zaczynają toczyć się szybciej. – Może to panią zaciekawić: raz do roku zgodnie z obyczajem, zanim królowa wjedzie do centrum Londynu, zatrzymuje się przy Temple Bar, aby burmistrz Londynu mógł jej wręczyć zdobiony perłami miecz jako symbol wierności.

– Przyznaję się, że nie byłam tym ani trochę zainteresowana aż do momentu, kiedy wspomniał pan o perłach – mówi Mitzi. – Założę się, że w następnym wcieleniu będę królową Anglii.

– Życzę pani szczęścia.

Na skrzyżowaniu Harold gładko skręca w bok. Koła samochodu dudnią na wybrukowanej uliczce, która prowadzi do łukowato sklepionej bramy. Rolls-royce czeka, aż otworzą się żelazne wrota, a potem lekko wtacza się w głąb długiego korytarza.

Mitzi widzi, jak zamykają się skrzydła bramy i znika słoneczne światło. Korytarz wiję się, prowadząc w dół na ogromny podziemny parking, gdzie samochód się zatrzymuje.

Kierowca wysiada i otwiera tylne drzwi.

– Proszę za mną.

Harold prowadzi gości do niewielkiej dyżurki z metalu i szkła. Znajdują się tam drzwi windy, której strzegą dwaj mężczyźni w niebieskich uniformach. Harold zamienia z nimi kilka słów, po czym przykłada palec do skanera linii papilarnych i przyciskiem przywołuje windę.

– Tędy dostaniecie się do recepcji. Ja albo jeden z moich kolegów będziemy tu na was czekać, kiedy załatwicie swoje sprawy.

Mężczyzna uprzejmie skłania głowę i odchodzi na bok, gdy rozsuwają się wielkie metalowe drzwi windy.

Mitzi i Bronty wchodzą do środka, drzwi zamykają się za nimi i kabina wznosi się tak gładko, że nie odczuwają żadnego ruchu. Gdy na górze

wychodzą z windy, ich oczom ukazuje się ogromne widokowe okno, za którym roztacza się panorama Londynu.

– O rety! – mówi Bronty. – Musimy być teraz jakieś sto metrów nad ziemią.

– Dokładnie sto dziesięć – odzywa się szczupła brunetka w eleganckim żakiecie. – Witam w CEI. Nazywam się Melissa Sachs i jestem sekretarką sir Owaina. – Kobieta wyciąga do nich rękę na powitanie; na opalonej skórze jej nadgarstka połyskuje złota bransoletka. – Sir Owain Gwyn czeka na państwa.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Lady Gwyn przecina wyłożony kamieniem dziedziniec, zmierzając do południowo-wschodniego skrzydła zamku, w którym mieści się wieża Augura. Według pogłoski krążącej od pokoleń wśród służby nazwa ta pochodzi stąd, że kto stanie na szczycie owej wieży, może spojrzeć w przyszłość.

Pomimo nowoczesnych kamer i obecności uzbrojonych strażników, idąc na wieżę, Jennifer zawsze odnosi wrażenie, jakby cofała się w czasie. Łatwo jej wyobrazić sobie tłoczących się przy krenelażu łuczników i grube mury ociekające krwią pokonanych wrogów.

Jennifer bierze głęboki oddech i popycha stare dębowe drzwi, które czekały uchylone na jej przyjście, po czym wchodzi do chłodnego i skromnie umeblowanego pomieszczenia. Do komnaty Myrddina.

Starzec siedzi na drewnianym tronie z wysokim na dwa metry oparciem. Nad jego głową wisi ogromny herb, który przedstawia dwa ogniste smoki zwrócone do siebie grzbietami i rozdzielone klingą pałasza. Jego zielone oczy lśnią pośród fałdów pomarszczonej skóry, a pokryte plamami wątrobianymi dłonie opierają się na krawędziach podłokietników.

– Spodziewałem się ciebie wcześniej – odzywa się starzec, ale w jego głosie nie ma śladu wyrzutu ani rozczarowania.

Jennifer rozumie go doskonale. Wsłuchiwała się w jego głos całe życie i wie, jak odczytać każdą zmianę tonu i barwy.

– Musiałam zająć się swoim kochankiem.

Myrddin nie jest tym wstrząśnięty. Ujrzał jej romans w proroczej wizji na długo przed tym, zanim poczuła słabość do młodego Francuza, i jest pewien, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

– Nie obdarzysz starego powiernika gorącym uściskiem, by ogrzać jego zziębniętą duszę?

Jennifer uśmiecha się i podchodzi do niego. Myrddin bierze ją w ramiona, otulając fałdami swoich szat. Przez moment trwają w mocnym

uścisku, a potem ona ujmuje w dłoń jego lodowate palce.

– Jestem przerażona – mówi. – Boję się zmian, których nadejście ty i Owain przeczuwacie.

– Moje dziecko, ty i twoi przodkowie przechodziliście już wiele razy takie rzeczy. Pory roku się zmieniają. Zima zabija, a wiosna przynosi nowe życie. – Starzec wymownie spogląda na jej brzuch. – Powiedziałaś mu już?

– Wiesz, że nie.

– Zatem musisz to uczynić.

– A jak on zareaguje? Z radością czy ze smutkiem?

– Ze zrozumieniem. Powiedziałem mu, że ujrzałem dziecię. On wie, że ta wizja dotyczy jego śmiertelności. Pamiętaj, że gdy na świat przychodzi nowe życie, duch umarłego odradza się w nim i nabiera sił.

– Nie chciałabym, aby tak się stało.

– Ale tak jest i zawsze będzie.

Jennifer zmusza się, by zadać to najstraszniejsze pytanie.

– W jaki sposób się to dokona?

– Tego jeszcze nie widziałem. – Myrddin spogląda na nią łagodnie. – Ale będzie to zacna i honorowa śmierć, tego jednego możesz być pewna.

Jennifer zaciska powieki, by powstrzymać napływające łzy. Jest zbyt wcześnie, by przeżywać żal.

Myrddin zauważa jej wewnętrzne zmagania i pochyła się, by dodać jej otuchy.

– Moje dziecko. Taka miłość, jak między tobą i Owainem, nigdy nie umiera. Na tym polega sens Cyklu Arturiańskiego. W waszych dzieciach bez końca będzie się odradzał duch prawości, który jest potrzebny, aby stary zakon rozprzestrzenił się w nowym świecie.

– Wiem. Ale to nie ochroni mego serca i ducha przed cierpieniem.

– Zatem pozostaje nam żywić nadzieję, że drugi mężczyzna, z którym dzielisz łóżko, potrafi nie tylko przymilnie wzdychać, ale zdoła również otrzeć twoje łzy.

Twarc Jennifer oblewa rumieniec.

– Liczę, że dziś przy kolacji oszczędzisz mu tych wszystkich wstrząsających rzeczy, które powiedziałaś mnie.

– Tylko jeżeli obiecasz, że będziesz mnie odwiedzać każdego dnia tak długo, jak tu zostaniesz.

– Zatem obiecuję. – Jennifer pochyła się i całuje starca. – Teraz i ty musisz dotrzymać warunków umowy.

Myrddin uśmiecha się, tymczasem lady Gwyn kieruje kroki w stronę wyjścia.

– Lepiej nie zwlekaj i powiedz o tym Owainowi. Czas nie jest dla nas łaskawy.

CALEDFWLCH ETHICAL INVESTMENT, LONDYN

Melissa Sachs zatrzymuje się przed podwójnymi dębowymi drzwiami, popycha jedno skrzydło i odsuwa się na bok, aby wpuścić gości do środka.

Widok wnętrza zapiera im dech w piersiach. Gabinet mieści się w potężnej szklanej kopule, która wystaje ponad krawędź fasady. Podłoga wykonana z tafli wzmacnianego szkła przyprawia ich o wrażenie, jak gdyby stąpali w powietrzu.

Mitzi i Bronty ostrożnie stawiają kroki.

– Proszę tu podejść. To całkowicie bezpieczne – zapewnia ich z rozbawieniem niebywale wysoki i barczysty mężczyzna ubrany w marynarkę i kamizelkę w kolorze butelkowej zieleni. – Jestem Owain Gwyn, a to mój współpracownik, George Dalton.

– Mitzi Fallon – przedstawia się agentka, spoglądając nerwowo przez szklaną podłogę na ciągnący się sto metrów niżej chodnik. – A to jest mój współpracownik, Jon Bronty.

Owain wymienia z gośćmi uściski dłoni i prowadzi Mitzi do części gabinetu wyłożonej litymi drewnianymi panelami, na których stoją dwie skórzane kanapy.

– Proszę tu usiąść. Wiem, że na niektórych ludzi to wnętrze działa onieśmielająco.

– Dziękuję. – Mitzi siada na kanapie. – Mam lęk wysokości. Zwłaszcza kiedy od katastrofy dzieli mnie tylko parę centymetrów szkła.

Owain uśmiecha się.

– Wygląda na to, że już spotkała panią jakąś katastrofa.

– Miałam w Stanach wypadek samochodowy.

Bronty i Dalton siadają obok nich.

– Proszę się częstować. – Owain gestem dłoni wskazuje na butelki z sokiem, napojami gazowanymi i wodą mineralną stojące na niewysokim stoliku.

– Dziękuję. – Mitzi zdejmuje kapsel z pękatej butelki i pociąga łyk

wody.

– Zarówno George, jak i ja chcielibyśmy okazać się tak pomocni, jak to tylko możliwe – kontynuuje gospodarz, gdy tylko Mitzi odstawia butelkę na blat. – Kładę nacisk na słowo „możliwe”, gdyż względy bezpieczeństwa narodowego mogą nie pozwolić nam na ujawnienie pewnych spraw, a nie chciałbym, abyście opacznie zrozumieli nasze motywy. – Owain obraca się w stronę Bronty’ego, który właśnie wyjął notes i grzebie po kieszeniach w poszukiwaniu długopisu. – Muszę również podkreślić, że ta rozmowa ma całkowicie nieoficjalny charakter. Spotykamy się z wami bez asysty prawników, nie wspominając nawet o ścisłej ochronie, jaką zapewnia nam immunitet dyplomatyczny.

– Poza tym, że właśnie pan to uczynił. – Mitzi uśmiecha się uprzejmie. – Wszystko jasne. Obaj możecie nabrać wody w usta. Pozostaje tylko pytanie, w którym momencie.

Z teczki, którą przyniosła ze sobą, bez pośpiechu wyjmuje plik fotografii i niczym krupierka z Las Vegas rozkłada je obok butelek na blacie przodem w dół. Kiedy podnosi wzrok, zauważa wyraźny kontrast w zachowaniu dwóch mężczyzn siedzących naprzeciwko.

Owain Gwyn jest rozluźniony i uważnie obserwuje jej ruchy, natomiast George Dalton, który dotychczas nie odezwał się ani razu, jest niespokojny jak szczeniak porzucony na środku zamrożonego jeziora.

Bronty również bacznie ich obserwuje. Jako ksiądz wypracował w sobie silną intuicję, dzięki której potrafi rozpoznać, kto zmaga się z brzemieniem grzechu, a kto jest niewinny. Odnosi wrażenie, że żaden z nich nie ma nic poważnego na sumieniu, ale w postawie Gwyna uderza go coś niezwykłego.

To coś więcej niż charyzma. Człowiek ten zdaje się emanować spokojem i łagodnością. Jest to tego rodzaju moc, jakiej Bronty doświadczył w obecności misjonarzy w Afryce, tylko znacznie większa.

– To jest Amir Goldman. – Mitzi obraca pierwsze zdjęcie. Pośmiertną fotografię starego człowieka, nagiego, o bladej skórze, z wyraźnie

widoczną raną na brzuchu. – Zasztyletowany w swoim sklepie z antykami w Marylandzie, nocą w ostatni piątek.

Obraca drugą fotografię, która również przedstawia martwego mężczyznę. Wykonana w lesie, kiedy technicy wydobyli ciało z ziemi.

– Ten jegomość to James Tiago Sacconi, w przeszłości karany za napaść z użyciem noża. Tej nocy, kiedy zginął Goldman, widziano go, jak wychodzi z jego sklepu. Odjechał stamtąd brązowym cadillakiem escalade i został zabity kilka minut później. Sprawca zakopał jego ciało w pobliskim lesie.

Mitzi zauważa, że żaden z dyplomatów nawet się nie wzdrygnął na widok zdjęć. Sięga do teczki i wyciąga komputerowy wydruk mapy.

– Proszę na to spojrzeć, panie Dalton. W tym punkcie znajduje się sklep z antykami. Jest oznaczony literą „A”. Las, w którym leżały zwłoki Sacconiego, jest oznaczony literą „B”. Zauważy pan również punkt „C”. To Massachusetts Avenue w Waszyngtonie, gdzie mieści się ambasada Wielkiej Brytanii.

Mitzi obserwuje młodszego z mężczyzn, który wlepia wzrok w mapę. Zauważa, że skrzyżował nogi w kostkach, żeby zamaskować nerwowe drżenie stóp. Nie uchodzi jej uwagi, jak George Dalton zaciska wargi, by je dyskretnie zwilżyć. Agentka przenosi wzrok na Gwyna i widzi, że były ambasador nie jest zainteresowany mapą, tylko przygląda się swojemu współpracownikowi.

Mitzi opada na oparcie kanapy i rozluźnia się. Ma jeszcze kilka zdjęć, którymi może rozegrać tę partię, ale teraz decyduje się na mały blef, aby podbić stawkę.

Czeka, aż konsul podniesie wzrok i patrzy mu przenikliwie w oczy.

– Moje pytanie, panie Dalton, brzmi, gdzie pan był między dwudziestą pierwszą trzydziestą w ostatni piątek a sobotą rano?

Mężczyzna znów oblizuje usta.

– Nie jestem pewien. Tyle się działo przed powrotem do Anglii. – Dalton zerka w stronę ambasadora. – Myślę, że wykonywałem jakieś

polecenia sir Owaina. Coś poufnego.

Owain Gwyn potwierdza jego słowa skinieniem głowy.

Zgodny unik obu dyplomatów przekonuje Mitzi, że nie powinna się spieszyć.

– Z jakiego samochodu pan korzystał?

– Ze służbowego lincolna należącego do ambasady.

– Czy to jest srebrny model MKZ z przeszklonym dachem?

– Tak.

– A gdybym powiedziała, że świadek widział tego właśnie lincolna jadącego za brązowym escalade, którym pan Sacconi odjeżdża spod sklepu Goldmana chwilę po zabójstwie? Co pan na to?

– Pani świadek musiał wyjść z błędnego założenia, że mój samochód celowo śledzi pojazd znajdujący się na tej samej drodze i w tym samym czasie.

– Nie sędzę. – Mitzi odsłania kolejne zdjęcia, trzecie, czwarte i piąte. – To jest sekwencja zdjęć przedstawiających pański samochód, który kieruje się na południe od strony skrzyżowania z Beltway. Z jakiegoś powodu przez cały czas trzyma się pan trzysta metrów za SUV-em. Na zjeździe przy Dupont Circle również. – Stuka palcem w ostatnie ze zdjęć.

Konsul lekceważąco wzrusza ramionami.

– Widzę tutaj z pół tuzina innych samochodów. Można uznać, że każdy z nich śledzi obiekt. I jestem absolutnie pewien, że nie tylko ja zjeżdżałem z autostrady przy Dupont.

Mitzi notuje w pamięci swoje spostrzeżenia. Dalton dał jej już dwie cenne wskazówki. Jednak ona nie zamierza o nich wspominać. Nie teraz. Postanawia się wstrzymać do momentu, kiedy będzie miała całkowitą przewagę.

– Odcinek z Kensington do nocnego baru ma ponad czternaście kilometrów. Był pan jedynym kierowcą, który wjechał na autostradę niecałą minutę po escalade i nie wyprzedził go pan w trakcie tej krótkiej podróży na południe. Czy to nie dziwne?

Dalton ponownie wzrusza ramionami.

– Jestem ostrożnym kierowcą – odpowiada pewnym siebie tonem. – Reprezentuję rząd Wielkiej Brytanii i jestem świadomy tego zaszczytu, więc przestrzegam ograniczeń prędkości.

Otwierają się drzwi gabinetu i na progu staje Melissa Sachs, która spogląda porozumiewawczo na swojego szefa.

– Państwo wybaczą – mówi sir Owain i wstaje z kanapy.

Podchodzi do sekretarki, rozmawia z nią przez chwilę i wraca do gości.

– Obawiam się, że przez jakiś czas będziecie musieli kontynuować beze mnie. Mam pilną rozmowę na linii i muszę was opuścić.

Mitzi obraca głowę z powrotem w stronę Daltona. Uznaje, że nadszedł czas, żeby zagrać atutową kartą. Odwraca niewyraźną odbitkę zdjęcia z baru All Night All Right, którą kazała wykonać Kirstin i obrobić tak, aby wyglądała jak kadr z kamery monitoringu.

– To jest bar szybkiej obsługi przy Connecticut Avenue, za zjazdem przy Dupont, niedaleko Stead Park. Nie jest to miejsce, które w moim mniemaniu pasuje do kogoś takiego jak pan. A jednak pan je odwiedził.

Dyplomata przenosi wzrok na dwa pozostałe zdjęcia, które wciąż są odwrócone, i domyśla się, że może zobaczyć na nich siebie we wnętrzu baru i na parkingu.

– Co pan tam robił, panie Dalton?

Mężczyzna sprawia wrażenie skrępowanego.

– To był zew natury. Skorzystałem tam z toalety – wyjaśnia, po czym od niechcienia sięga po butelkę wody i pociąga łyk. – My, Brytyjczycy, jesteśmy trochę staroświeccy. Nie potrafimy oddawać moczu byle gdzie.

– Och nie! Jakżeby wtedy wyglądał świat? – Mitzi otwiera swoją butelkę i powtarza ruchy konsula. – I jak panu poszło w męskiej toalecie?

– Co pani ma na myśli? Poszedłem do toalety. Jak miało mi pójść?

Mitzi dostrzega rozdrażnienie w jego głosie.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – nalega, stawiając swoją wodę na blacie tuż przy jego butelce. – Dokładnie.

Twarz konsula czerwienieje od gniewu.

– Wszedłem do środka. Skorzystałem z pisuaru. Wyszedłem i pojechałem do domu. – Dalton rozpiera się na kanapie i patrzy na nią z wrogością. – Naprawdę przyleciała pani tutaj ze Stanów po to, żeby mnie wypytywać, jak się załatwiam?

– Najwyraźniej.

Mitzi nie ma już żadnych wątpliwości, że facet jest winny i gdy jeszcze trochę go podpuści, jak amen w pacierzu sam się pogrzy.

Otwierają się drzwi gabinetu i do środka zdecydowanym krokiem wchodzi sir Owain.

– Bardzo mi przykro, ale będę zmuszony państwa pożegnać. Wydarzyło się coś szczególnie ważnego, czym niezwłocznie powinienem się zająć.

Mitzi zbiera ze stolika fotografie i chowa je do teczki. Wstając, chwytając również napoczętą butelkę wody mineralnej. Jest wściekła jak cholera i stara się tego nie okazywać. Sir Owain najprawdopodobniej obserwował ich dzięki ukrytej kamerze i nie spodobało mu się, że jego kolega jest w opałach.

– Cokolwiek się stało, czy jest to ważniejsze od kodu X? – pyta Mitzi, podchodząc do ambasadora. – Tak bardzo chciałam porozmawiać z panem na jego temat.

– Owszem, pani porucznik – mówi Gwyn, spoglądając na nią spod zmrużonych powiek. – Dostyc szybko dowie się pani, co mnie zaabsorbowało i dlaczego musiałem przerwać to spotkanie. Mam tylko nadzieję, że gdy to nastąpi, przeprosi mnie pani za tę uwagę, a wtedy będziemy mogli spotkać się ponownie.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Z zalanego deszczem dachu wieży Augura Myrddin spogląda tęsknie ponad lśniąca w promieniach słońca rozległą taflą jeziora w stronę dalekich lasów, po których biegają jelenie.

Zdawać by się mogło, że minęło zaledwie kilka wiosen od czasu, gdy łowił tu ryby i polował jako młodzieniec z głową pełną planów na przyszłość i sercem rozpalonym miłością. W tamtych czasach żywił się tym, co zdołał schwytać. Sarniną, królikami i łososiem, kiedy dopisywało mu szczęście, albo szczurami i wiewiórkami, kiedy los był mniej łaskawy. Każdy dzień przynosił nowe wyzwania. Musiał doskonalić swoje umiejętności. Odkrywać tajemnice. Nieustannie zgłębiać magię życia.

Kiedy schodzi z powrotem do swej samotni, nie może oprzeć się myśli, że wszystkie te lata uleciały tak szybko jak sokoły, które kiedyś tresował.

Czuje, że teraz stał się niewolnikiem tej samej sztuki, której opanowanie kosztowało go tyle ciężkich starań. Jest znużony swoją wiedzą, która ciąży mu niczym ołowiane buty na jego utrudzonych stopach.

Starzec czuje, że z każdym dniem opada z sił.

I że Owain Gwyn jest tego przyczyną.

Kierował nim od dzieciństwa i wprowadził go w dorosłość. Uczynił go swoim podopiecznym. Swoim uczniem. Ucieleśnieniem wszystkich swoich nadziei i tęsknot. Stało się to dziełem jego życia, by rozwijać jego siły i wspierać go w dążeniu do wielkości – i prawości. By uczynić Owaina królem.

Drewniana rama łóżka skrzypi, gdy Myrddin rozciąga swój stary grzbiet na sfatygowanym materacu. Nigdy nie pozwalał sobie na luksusy. Wyjątkiem była jego wyobraźnia. W swoim umyśle oddawał się rozkoszom, jakich zwykli śmiertelnicy nie zdołaliby nigdy pojąć.

Sen nadchodzi szybko.

A wraz z nim wizje. Są pomieszane i chaotyczne, jak kilka połączonych

ze sobą filmów.

Myrddin widzi wodę. Ogromny bezmiar wód. Większy niż jezioro, ale nie tak wielki jak morze. Ludzi przemawiających w obcych językach. Kochanków rozdzielonych przez odległość i połączonych żalem.

A potem pojawiają się ciała. Płonące ciała. Ciała składane do grobów. Rozkładające się ciała, które mieszają się z ziemią i powstają z martwych. I ciała konających, które jeszcze krwawią wstrząsane przedśmiertnymi drgawkami, ale wciąż tli się w nich życie.

Widzi też kobiety.

Jedna z nich jest młoda, a druga stara. Stoją razem, ale są dla siebie obce. Kobiety z różnych krajów. Jedna z nich jest mu znana, ale druga nie. Ta starsza posiada ogromną władzę. Stanowi zagrożenie dla każdego, kto jest mu bliski.

Ale ma w sobie również dobroć i wrażliwość.

Spoczywające w tajemnych, znanych tylko zakonowi miejscach szczątki ludzi, którzy kiedyś polegli w walce o dobro rodzaju ludzkiego, strząsają z siebie osłonę ziemi, by jeszcze raz poczuć dotyk słonecznych promieni.

Nie jest to jednak zmartwychwstanie. Ani dzień Sądu Ostatecznego. Nie jest to akt bożego odkupienia. To profanacja. Zagłada zakonu. Koniec tajemnicy.

Jaskrawe światła wizji porażają zamknięte oczy Myrddina. Jarzą się na niebiesko i czerwono, na biało i pomarańczowo. W jego uszach świdrują krzyki kobiet i mężczyzn, dorosłych i dzieci. Wszyscy płaczą. Błagają, by ktoś położył kres ich cierpieniu. Ich głosy zlewają się w jeden chór. Przekrzykują się nawzajem.

A na koniec pojawia się Owain. W samym środku cierpiącego tłumu. Desperacko próbuje wziąć na siebie jego udrękę.

Nie potrafi jej powstrzymać.

CALEDFWLCH ETHICAL INVESTMENT, LONDYN

Melissa Sachs pokazuje Amerykanom drogę do wyjścia i wraca do gabinetu sir Owaina.

– Czy jest pan gotów na rozmowę z ministrem spraw wewnętrznych?

– Tak. Dziękuję ci, Melisso.

George Dalton podnosi się z sofy.

– Czy chcesz, żebym wyszedł?

– Nie, zostań. Musimy porozmawiać, kiedy tylko skończę z ministrem.

– W obudowie telefonu zapala się lampka i Owain podnosi słuchawkę.

– Witaj, Charlesie. Jak sobie radzicie?

– Najlepiej, jak potrafimy. Jak dużo wiesz na ten temat? – Charles Hatfield podejrzewa, że jego rozmówca jest co najmniej tak dobrze poinformowany jak on sam.

– Znam tylko podstawowe szczegóły. Zamach bombowy w pociągu Eurostar. Eksplozja po brytyjskiej stronie. Około pięćdziesięciu ofiar śmiertelnych.

– Może być więcej. Dowiemy się tego, kiedy dotrze do nas raport służb ratunkowych. Ładunek wybuchł na południe od Ashford, pięć minut po wyjeździe ze stacji. Jedna z pasażerek zauważyła, że jakiś mężczyzna dłubie coś przy kablach w swoim plecaku i zawiadomiła obsługę pociągu. Kiedy ochrona zainteresowała się podejrzanym, ten rzucił się do ucieczki, zamknął się w toalecie i zdetonował to cholerstwo.

Na stojącym przed ambasadorem monitorze widać filmową relację na żywo transmitowaną z pokładu śmigłowca. Kamera pokazuje powykrzywiane tory, kłęby dymu i płomienie wydobywające się ze zgniecionych wagonów, ciała ofiar rozrzucone wzdłuż nasypu i migające światła wozów strażackich oraz ambulansów.

– Kończę spotkanie u siebie, a potem wybieram się do Whitehall – mówi Owain. – Przypuszczam, że zwołasz konferencję dla członków rządu.

– Ekipa śledcza już przygotowuje materiały. Kiedy do nas dołączysz?

– W ciągu godziny.

– Doskonale. – Hatfield, prowadząc rozmowę, sprawdza najświeższe informacje na monitorze komputera. – Wiem, że to żadne pocieszenie dla tych nieszczęsnych ofiar i ich rodzin, ale dziękujemy Bogu, że bomba nie wybuchła w tunelu. Eksplozja w takim miejscu skończyłaby się jeszcze większą tragedią.

– Zapewne taki był pierwotny zamysł. – Gwyn ogląda na monitorze ujęcie zrujnowanego przez wybuch torowiska, nad którym zawisł helikopter z kamerą. – Czy ktoś przyznał się do zamachu?

– Jeszcze nie. Ale to musi być Al-Kaida.

Gwyn odkłada telefon i spogląda na Daltona. Zauważa, że jego współpracownik jest zmartwiony.

– Co ci jest, George?

– Myślę o rozmowie z Amerykanami. Obawiam się, że nawaliłem.

– Czemu?

– Analizując wszystko z perspektywy czasu, nie sądzę, aby ta agentka miała pewność, że byłem w barze przy Dupont Circle, tymczasem ja się do tego przyznałem.

– Skoro poruszyła ten temat, mogła mieć powód, by przypuszczać, że tam byłeś. Popełniłeś duży błąd, korzystając z lincolna.

– Nie miałem wyboru. Siedziałem w nim, kiedy dostałem wiadomość, że ludzie Marchettiego jadą do Kensington. Gdybym zmienił samochód, nie dotarłbym tam na czas.

– Muszę osobiście zaangażować się w sprawę tego wybuchu, więc ty zajmiesz się Amerykanami. Niech ktoś się dowie, gdzie się zatrzymali. Trzeba przeszukać ich pokój, a oni mają być cały czas pod obserwacją aż do odwołania. Zobaczmy, czy uda nam się zatrzymać to śledztwo, zanim ono zatrzyma nas.

LONDYN

Jadąc rolls-royce'em, Mitzi słyszy w radiu komunikat o zamachu bombowym. Gdy tylko kończy się serwis informacyjny, dzwoni do biura sir Owaina i zostawia wiadomość jego sekretarce. Ambasador miał rację, mówiąc, że ma powód, by spodziewać się jej przeprosin.

Podróż do hotelu jest długa i upływa w milczeniu. Pomimo oddzielającej ich od kierowcy szyby Mitzi i Bronty nie czują się na tyle swobodnie, by wymieniać uwagi na temat przesłuchania.

Meldują się w hotelu The Dean, który mieści się w Soho, nieopodal nawiedzanych przez gwiazdy show-biznesu lokali Groucho Club oraz Ivy, a następnie zamawiają do pokoju kanapki z frytkami i dwa duże kubki kawy.

– Zatem jaka jest twoja opinia na temat naszego przyjaciela, konsula Daltona? – pyta Bronty, uderzając o dno butelki z ketchupem, by wyleciała z niej porcja sosu.

– Dalton siedzi w tym po uszy – oświadcza Mitzi i wyjmuje kanapkę. – Dlaczego ten bekon wygląda dużo lepiej niż rzeczy, które jadam w domu?

– Brytyjczycy mają dobry bekon. Dlaczego sądzisz, że jest w to zamieszany?

– Pierwszy błąd popełnił, gdy potwierdził, że jego lincoln znajdował się przed sklepem Amira Goldmana. Nie uchwyciła go tam żadna kamera. A potem, kiedy zaczęły mu puszczać nerwy, nazwał śledzonego escalade obiektem.

– Może jest byłym żołnierzem albo policjantem?

– Nie. Sprawdziłam to przed wylotem. Ale mógł być kiedyś szpiegiem lub agentem kontrwywiadu.

– To by wyjaśniało jego zachowanie, kiedy śledził tego SUV-a.

– Tak, ale wciąż nie wiemy, po co go śledził. Ani co robił, kiedy SUV się zatrzymał, a Sacconi został zamordowany.

– Myślisz, że to Dalton go zabił?

– Nie. Myślę, że Sacconi zginął z ręki swojego współnika, Bradleya Deagana. Ale podejrzewam, że Dalton mógł zabić Deagana na parkingu przed barem przy Dupont Circle. – Mitzi sięga do torebki i wyjmuje plastikową butelkę wody mineralnej. – I dlatego ten drobiazg może okazać się nam pomocny.

– Twoja woda z gabinetu Gwyna?

Mitzi uśmiecha się.

– Nie moja. To butelka Daltona. I jestem skłonna się założyć, że znajdujący się na niej materiał DNA będzie pasował do profilu, który wyodrębniono z próbki krwi znalezionej w barze. Razem z krwią Deagana.

– Kim był ten Deagan?

– Oszustem, który próbował naciągnąć dom aukcyjny na kopię fragmentu *Ołtarza Gandawskiego*.

Bronty otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

– Znanego również pod nazwą *Adoracja Mistycznego Baranka*. To jedno z najwspanialszych i najczęściej kradzionych dzieł sztuki – mówi i pokazuje na laptop Mitzi. – Mógłbym z niego skorzystać?

– Nie krępuj się.

Były ksiądz otwiera wyszukiwarkę i wpisuje hasło „Ołtarz Gandawski”.

– Mam. Spójrz na to. Malowidło powstało w Belgii w piętnastym wieku, zamówione jako ołtarz do prywatnej kaplicy. – Bronty streszcza tekst pod ilustracją. – Całość składa się z dwudziestu czterech tablic i otwarty ołtarz całkowicie różni się od zamkniętego.

– Widzę tylko dwanaście.

– Dwanaście z przodu i dwanaście z tyłu.

Teraz Mitzi zauważa swój błąd.

– Ale głupia jestem.

– Na przestrzeni sześciu wieków dzieło trzynastę razy padało ofiarą różnych przestępstw, wliczając w to sześć kradzieży z żądaniem okupu.

Mitzi nalewa świeżo zaparzoną kawę do dwóch kubków.

– Dawaj więcej szczegółów.



– Na początku dziewiętnastego wieku diecezja gandawska oddała w zastaw część tablic, które trafiły do Anglii. Tam kupił je król Prus i zabrał do Berlina. Po pierwszej wojnie światowej odebrano je Niemcom w ramach reparacji. Kiedy wybuchła druga wojna, Belgowie postanowili wysłać ołtarz do Watykanu na przechowanie. Przynajmniej taki był plan. Hitlerowcy przechwycili dzieło, zabrali je do Bawarii i tam ukryli w zamku. Kiedy nasilały się ataki sił alianckich, przenieśli je do kopalni soli. Potem pokonaliśmy nazistów i oddaliśmy Belgom ich własność.

– A co z okupem?

Bronty zastanawia się przez chwilę.

– Żebyśmy czegoś nie pomylił. W latach trzydziestych z katedry Świętego Bawona w Gandawie zginęły dwie tablice, przednia i tylna. Często mówi się tylko o jednej, ale tak naprawdę skradziono dwie. Jedna nosi nazwę „Sędziowie Sprawiedliwi”, a druga „Jan Chrzciciel”. Nadesłano wiele listów z żądaniem okupu. Sprawcy domagali się ponad miliona franków belgijskich i ostrzegali, że jeśli nie otrzymają tej sumy, malowidło zostanie

zniszczone.

– I co się stało?

– Biskup nigdy nie zapłacił okupu. Doszło do negocjacji i udało się odzyskać „Jana Chrzciciela”, ale „Sędziów Sprawiedliwych” nie znaleziono. Wynajęto malarza, by wypełnił puste miejsce w ołtarzu, ale podobno jego kopia zawiera wiele błędów.

– Dobra, wystarczy historii – mówi Mitzi. – Głowa mi pęka i mówiąc szczerze, nie mam najmniejszej ochoty włączać zaginionego obrazu do śledztwa, w którym i tak już nie brakuje symboli religijnych i tajnych kodów.

– Czy kryptologom udało się coś odczytać?

– Muszę zadzwonić do Vicks i zapytać. Byłoby świetnie, gdyby ten Kod X pomógł nam znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Powiedziałaś „Kod X”, z iks na końcu?

– Tak. A czemu pytasz?

– Masz ten pendrive?

– Jasne. – Mitzi sięga do torebki i wyciąga z niej mały lśniący przedmiot.

Bronty bierze go do ręki, ogląda uważnie i jego twarz rozjaśnia uśmiech.

– To jest „Kodeks” – mówi.

– Co?

– „Kodeks”, a nie „Kod X”. Jedno słowo pochodzenia łacińskiego. Tak nazywano starożytne zwoje i manuskrypty. Zatem twój tajny kod nie jest niczym nowym. Mieści w sobie coś, co prawdopodobnie zostało ukryte przed wiekami. Coś, za co ludzie gotowi są zabijać, aby utrzymać to w tajemnicy.

WHITEHALL, LONDYN

Przy stole konferencyjnym w sali obrad siedzą minister obrony, sir Wesley Piggot-Smith, minister spraw wewnętrznych, Charles Hatfield, wicepremier Norman Batherson i szef policji, Milton Coleman.

Owain Gwyn, wprowadzony przez jednego z asystentów do chłodnego i zaciemnionego pomieszczenia, zajmuje miejsce obok wicepremiera.

Minister spraw wewnętrznych zauważa jego przybycie.

– Witam, sir Owainie – mówi. – Zacząłem dopiero przed chwilą.

Charles Hatfield stoi przed wielkim ekranem, na którym przewija się ściszony materiał filmowy z miejsca zamachu.

– Z najnowszych doniesień wynika, że zginęły pięćdziesiąt cztery osoby, a czterdzieści zostało rannych. Premier jest w Szkocji, ale za pół godziny przyleci helikopterem do Ashford, gdzie przeprowadzi konferencję prasową. Zespół saperów sprawdza, czy w szczątkach pociągu nie ma zapasowych ładunków i oczywiście przeszukujemy również torowisko. Przewoźnik wdrożył plan awaryjny i zapewnił pasażerom autobusową komunikację zastępczą, ale powiadomiliśmy go, że nie ma możliwości, by przywrócić ruch w tunelu w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

Głos zabiera siedzący po przeciwnej stronie stołu szef policji, wysoki i szczupły mężczyzna przed sześćdziesiątką.

– Czy mamy potwierdzenie, że to Al-Kaida stoi za tym wszystkim?

– Terroryci zamierzają opublikować film – odpowiada Owain. – Za kilka minut trafi on na serwer Al-Dżaziry. Będzie zawierał przestrożę dla podróżnych z Zachodu, by spodziewali się kolejnych bomb i ofiar śmiertelnych.

Nikt nie pyta, skąd ambasador ma taką informację. Zresztą pełni on specjalne funkcje związane ze zwalczaniem terroryzmu i wszyscy obecni na tej sali brali udział w innych spotkaniach, podczas których również okazał się znacznie lepiej poinformowany niż oni.

– Z czym mamy do czynienia, Owainie? – pyta wicepremier. –

Z kampanią terroru wymierzoną w Wielką Brytanię? Czy to jakaś szerzej zakrojona strategia, która ma związek z zamachami w Stanach?

– To ma większy zasięg. I obejmuje nie tylko Amerykę. Spodziewam się, że nastąpią kolejne ataki, i to w krajach mniej nawykłych do rozlewu krwi.

Minister obrony domyśla się, o czym mówi Owain.

– We Włoszech?

– Zgadza się.

Wesley Piggott-Smith zwraca się do pozostałych uczestników zebrania.

– Otrzymaliśmy taką samą informację – wyjaśnia. – Celem zamachów miały paść Rzym, w odwecie za oświadczenie papieża, który potępił, jak to określił, „złowrogi i podstępny fundamentalizm muzułmański”.

– Uważa się, że Al-Kaida wdraża nową, trzytorową strategię – dodaje Owain. – Po pierwsze, zwykła działalność, jak dotychczas, czyli zamachy bombowe wymierzone w Amerykę i Wielką Brytanię. Po drugie, jak wspomniał sir Wesley, ataki skierowane przeciwko bezbronny celom, do których należy Rzym. Dotąd coś takiego nie miało miejsca, a teraz zarówno Włosi, jak i Hiszpanie są pełni obaw. Jesteśmy również przekonani, że terroryści zamierzają wykorzystać młode pokolenie doskonale wyszkolonych zamachowców, by targnąć się na życie ważnych osobistości.

Otwierają się drzwi i do sali wchodzi młody urzędnik, który zamienia szeptem kilka słów z ministrem spraw wewnętrznych, po czym wychodzi.

Charles Hatfield sięga po pilot i kieruje go w stronę ekranu.

– Al-Dżazira właśnie to wyemitowała. Jest dokładnie tak, jak powiedział sir Owain.

Mężczyzna, który pojawia się na ekranie, nie pasuje do stereotypowego wizerunku islamskiego terrorysty. Nie ma długiej rozwichrzonej brody. Nie jest ubrany w luźną białą szatę. Nie trzyma Koranu w dłoni. Tym razem film nie sprawia wrażenia, jakby został nakręcony w jakiejś szkolnej auli na tle ciemnej kotary. W tyle nie widać zamaskowanych

bojowników z karabinami na piersiach. W obiektyw kamery patrzy spokojnie młody, trzydziestoletni mężczyzna o schludnej fryzurze i starannie przystrzyżonej brodzie. Jest ubrany w ciemnoszary garnitur i chociaż ma za sobą dziki górzysty krajobraz afgańskiej pustyni, zachowuje się jak zagraniczny korespondent.

– Mieszkańcy Zachodu – odzywa się nienaganną angielszczyzną. – Zobaczycie to, ponieważ zabiłem i okaleczyłem wielu ludzi. Wielu niewinnych, którzy nie zasłużyli, aby coś takiego ich spotkało. – Ton jego głosu jest zrównoważony i nie ma w nim ani śladu złości. – Ubolewam z powodu ich śmierci i cierpienia. Ale najbardziej ubolewam nad tym, że musieli umrzeć, bo doprowadziły do tego władze ich krajów. Kiedy będziecie słuchać i czytać o ofiarach tego zamachu, zadajcie sobie pytanie: czego chce Al-Kaida? Dlaczego robi takie rzeczy? Dlaczego zabija tylu ludzi? – Mężczyzna robi pauzę, jakby czekał, aż ziarno, które rozrzucił, zadając swoje pytania, zakiełkuje w żyznych umysłach słuchaczy. – Musi istnieć jakiś poważny powód, czyż nie? Jak choćby przekonanie, że nasz kraj powinien być wolny od swoich wrogów. Że każdy człowiek powinien mieć własny dom, swój skrawek ziemi, swoje miejsce w życiu. Zadajcie sobie pytanie, co byście zrobili, gdyby obce mocarstwo próbowało opanować wasz kraj i narzucić swoją władzę, gdyby zabijało waszych przyjaciół i krewnych? – Mężczyzna znów zawiesza głos, a jego łagodne ciemne oczy wpatrują się w obiektyw. – Myślę, że znam odpowiedź. Walczylibyście. Walczylibyście do upadłego. Kiedy będziecie liczyć dzisiejsze ofiary i ofiary przyszłych zamachów, wzniescie się ponad retorykę swoich przywódców i pomyślcie o moich słowach. – Oczy mężczyzny zwięzają się, gdy jego twarz przybiera zacięty wyraz. – Nigdy. Nigdy byście się nie poddali. I my też nigdy się nie poddamy.

Film kończy się i obraz na ekranie zastyga w bezruchu.

– To nowa generacja terrorystów – mówi Owain. – I początek nowej kampanii, prowadzonej przez nowych przywódców nowymi metodami.

– Myślę, że się mylisz – zabiera głos minister spraw wewnętrznych. –

Może i są nowe twarze, ale to wciąż ta sama gra. Detonują bomby, uciekają i ukrywają się. Mają ograniczone zasoby i ograniczone wsparcie. Znajdziemy ich dość szybko i tym razem zetrzemy z powierzchni ziemi.

Owain powstrzymuje się od odpowiedzi. Sir Wesley nie może bardziej się mylić. Nadchodzi burza, całkowicie niepodobna do tych, jakie zdarzały się dotychczas.

NORTH BETHESDA, MARYLAND

Kropi łagodny letni deszcz, kiedy przystojny kurier usiłuje zamknąć tylne drzwi furgonetki, ściskając oburącz kartonowe pudło. Okolica sprawia wrażenie przyzwoitej, ale niczego nie można być pewnym. Zostawić otwarte drzwi to tak, jakby się dopraszać, żeby jakiś gnojek zakradł się do środka i coś ukradł. Może nawet cały samochód.

Z tego akurat byłby zadowolony. Ten wóz to kupa złomu. Silnik rozkręca się w ślimaczym tempie, a wewnątrz jest przesiąknięte odorem potu i papierosów. Ale i tak zamierza niedługo się go pozbyć.

Mężczyzna przystaje, aby sprawdzić nazwisko i adres wypisane na paczce, a następnie pokonuje kilka schodków, które prowadzą do bloku mieszkalnego. Krople deszczu uderzają o wieko pudełka, pozostawiając na powierzchni kartonu ciemne plamki.

Mężczyzna stuka w podniszczone drzwi i czeka.

Słyszy dobiegający ze środka odgłos. Jakby ktoś opierał się o drzwi. Widzi przed sobą soczewkę wizjera i domyśla się, że osoba po drugiej stronie patrzy na niego.

– Kto tam? – pyta niepewnie kobiecy głos.

– Amazon. Mam dla pani paczkę. Trzeba potwierdzić odbiór.

Drzwi uchylają się na długość łańcucha. Kurier przystawia pudło do szczeliny, aby kobieta mogła zobaczyć nadrukowane logo. Lokatorka zamyka z powrotem drzwi, by zaraz potem otworzyć je na oścież.

Mężczyzna podaje jej przesyłkę w wyciągniętych rękach.

– Ostrożnie. Jest trochę ciężka.

Gdy kobieta bierze paczkę w ręce, kurier rzuca się i popycha ją z całej siły w głąb mieszkania. Zaatakowana zniecka upada na plecy, uderzając głową o podłogę, a ciężkie pudło boleśnie przygniata jej pierś.

Kurier kopnięciem zatrzaskuje za sobą drzwi i staje nad nią. Pochyla się i wpycha jej w usta końcówkę tłumika przykręconego do lufy pistoletu.

– Powinnaś była zapytać o jakąś legitymację, laseczko.

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, LONDYN

W biurze oddziału FBI, które mieści się na terenie ambasady amerykańskiej przy Grosvenor Square, zaledwie o trzy kilometry od Whitehall, Mitzi Fallon i Jon Bronty organizują swoją bazę.

Oficerowie wywiadu pracują tu od czasów, kiedy drugi prezydent Stanów Zjednoczonych, John Adams, mieszkał na tym malowniczym placu. Dwa pokoje dalej agenci terenowi analizują zamach bombowy w pociągu Eurostar i próbują ustalić, czy jest on powiązany z wybuchem na dworcu Grand Central w Nowym Jorku.

Mitzi przekazuje do laboratorium butelkę wody, którą zabrała z gabinetu Gwyna. Wypełnia wszystkie niezbędne formularze związane z włączeniem materiału dowodowego do śledztwa i na koniec zadaje pytanie, jak długo będzie musiała czekać na profil DNA.

– Około tygodnia – odpowiada jej młoda laborantka, niezbyt zachwycona faktem, że nagle przybyło jej dodatkowe zadanie. Wygląda na dwadzieścia kilka lat, ma kręcone brązowe włosy, bladą piegowatą twarz i nosi okulary w grubej czarnej oprawie, które spoczywają na orlim nosie. – Może wcześniej, jeżeli laboratorium będzie pracować pełną parą.

– A nie dałoby się na jutro? – W głosie Mitzi pojawia się nutka rozdrażnienia. – Jestem tu tylko przez kilka dni, a to dotyczy śledztwa w sprawie morderstwa popełnionego w Stanach.

– Sprawy kryminalne nie mają pierwszeństwa – odpowiada dziewczyna, po czym wpycha zapakowany w foliową torebkę dowód do plastikowego pojemnika i rozpoczyna pracę przy komputerze.

Mitzi wyciąga butelkę z powrotem i rzuca ją na biurko.

– To w takim razie co ma pierwszeństwo?

Agentka odrywa wzrok od monitora i mierzy ją złowrogim spojrzeniem.

– Jak się nie wie takich rzeczy, to nie ma sensu nawet pytać.

Mitzi pochyla się nad biurkiem i unosi przypięty do klapy jej czarnego zakietu identyfikator.

– Proszę, nie pogrywaj ze mną, Annie Linklatter. Jak możesz wywnioskować z mojej aktualnie niezbyt pięknej buźki, ostatnio nie wszystko idzie po mojej myśli, a ludzie w takim położeniu nie przebiegają w środkach. Więc może zrobisz dla mnie wyjątek i oszczędzisz nam obu nadmiaru cierpień?

Twarz dziewczyny oblewa silny rumieniec.

– Postaram się zdążyć na jutro. Albo na pojutrze.

– Jutro byłoby świetnie – oświadcza Mitzi i odchodzi. – Przyjdę z samego rana.

Bronty prowadzi rozmowę telefoniczną, kiedy Mitzi wraca do ich tymczasowego biura.

– Właśnie mam Vicks na linii – informuje ją były ksiądz.

– Przełącz ją na głośnik.

Bronty wykonuje polecenie.

– Vicks, właśnie przyszła Mitzi. Włączyłem tryb konferencyjny.

– Cześć, pani porucznik. Mam dla ciebie kilka dobrych i złych wiadomości. Od czego mam zacząć?

– Przyjmuję tylko dobre wiadomości. Złą zachowaj dla siebie i postaraj się naprawić sytuację. Co masz dla mnie?

– Pogrzebałam trochę i zdobyłam dodatkowe informacje na temat Owaina Gwyna, o które prosiłaś. Wysyłam ci je w tej chwili.

– Świetnie. Zaraz się zaloguję. – Mitzi otwiera laptop i włącza go.

– A kryptologom udało się odszyfrować dane, które przysłałaś. To naprawdę coś dziwnego. Wygląda jak opowieść o królu Arturze i jego rycerzach.

– Kodeks. – Bronty zwraca się do Mitzi szeptem, a jego triumfalna mina zdaje się dopowiadać „a nie mówiłem?”.

– Folder, który odczytali, nosi tytuł *Kodeks Camelotu* i składa się z czterech części: *Polegli*, *Avalon*, *Nowe Proroctwa* i *Cykl Arturiański*.

Mitzi zapisuje tytuły w notesie leżącym obok komputera, który wciąż jeszcze uruchamia program zabezpieczający.

– Zatem co to takiego? Jakaś arturiańska *Saga Zmierzch*?

– Na razie uporali się tylko z pierwszą stroną. Najwyraźniej kod jest skomplikowany.

– Powiedzieli ci, jakiego rodzaju jest to kod? – pyta Bronty.

– Tak, nazywają go losowym szyfrem rotacyjnym. Każdej literze alfabetu odpowiada cyfra i to akurat jest proste, jak w dziecinnych szyfrach. Ale litery i cyfry nie są połączone ze sobą na stałe, cały układ się zmienia. Powiedzmy, że na przykład literze K odpowiada jedynka, literze O dwójka, a D trójka. Zatem słowo KOD zostanie zaszyfrowane jako 123. Rozumiesz?

– Tak, na razie nadążam.

– Świetnie. Ale w następnym zdaniu K to dwójka, O to trójka, a D to czwórka, więc teraz KOD zamienia się w 234.

– A więc wszystko polega tylko na odpowiednim doborze liczb – stwierdza Mitzi.

– Niezupełnie. Czasem liczby i litery kojarzone są przypadkowo. Stąd nazwa szyfru. Jak powiedział kryptolog, z którym rozmawiałam, złamali go tylko dzięki temu, że utworzyli w komputerze dwa kręgi. Na zewnętrznym znajdowało się dwadzieścia sześć liter, a na wewnętrznym tyle samo liczb. W każdym kolejnym zdaniu układ się zmieniał. Jednak taka metoda przestawała się sprawdzać, kiedy dochodzili do siódmego, czternastego, dwudziestego pierwszego i dwudziestego ósmego wersu. W tych miejscach cały szyk ulegał przestawieniu i czasami zdanie układało się wspak, a czasami brakowało w nim liczb parzystych lub nieparzystych.

– To przez dni tygodnia – wtrąca Bronty. – Szyk się zmieniał, ponieważ w tygodniu jest siedem dni. Do zapisywania tajnych wiadomości mnisi używali kodu kalendarzowego, w którym co tydzień albo co miesiąc zmieniali klucz.

– Dosyć tego – przerywa mu Mitzi. – Zaraz mi przez was głowa pęknie. Vicks, powiedz mi tylko, jaka jest treść tego cholernego Kodeksu

Camelotu.

– To wspaniałe, tajemnicze, gotyckie dzieło – wyjaśnia młoda agentka podekscytowanym tonem. – Trzeba je przeczytać, żeby zrozumieć jego sens. Przesyłam ci fragment, który udało im się odszyfrować do tej pory. Pochodzi z rozdziału zatytułowanego *Polegli*.

– Wprost umieram się z ciekawości – odpowiada Mitzi z przekąsem. – Czy masz coś jeszcze, co może mnie uszczęśliwić?

– To już wszystko.

– Mówiłaś, że są też złe wieści.

– A ty kazałaś mi je zachować dla siebie.

– Ale prócz tego, że perfidnie kłamię, jestem również wścibska jak cholera. Więc opowiadaj.

Vicky zbiera się w sobie, przygotowując się na burzliwą reakcję.

– Te dane, które mi przesłałaś, zaczęły same się kasować, kiedy tylko je otworzyłam. Straciłam wiele plików i...

– Co?

– Posłuchaj, zanim na mnie nawrzeszczysz. Kryptologowie powiedzieli, że to nie moja wina. Stwierdzili, że w tych plikach był zainstalowany samobójczy wirus.

– Co takiego?

– To oznacza, że kopie wykonane z użyciem innego komputera i oprogramowania niż te, które należą do prawowitego właściciela tych informacji, ulegają zniszczeniu.

– Więc dlaczego nie skasowały się zaraz po tym, jak je do ciebie wysłałam?

– Bo posłużyłaś się innym systemem niż nasz. Komputery FBI zdołały odczytać tylko kilka pierwszych cyfr i na tym koniec. Wszystko inne przepadło w ułamku sekundy. Specjaliści twierdzą, że użyto do tego jakiejś wyjątkowo zmyślnej technologii. Podobnej do tych, z których korzystają agencje wywiadowcze.

Mitzi spogląda na mały nośnik pamięci, który spoczywa w jej torebce.

– Dobrze. W takim razie podejmę daleko idące środki bezpieczeństwa, żeby chronić oryginał.

– Koniecznie – odpowiada Vicky nieświadoma ironii.

Komputer wydaje dźwięczny sygnał. Mitzi spogląda na monitor.

– Właśnie dostałam twój materiał. Przejrzę go z Brontym i jedno z nas odezwie się do ciebie. Dzięki, Vicks.

Vicki kończy połączenie, tymczasem Bronty okrąża biurko i staje za plecami Mitzi, by patrzeć jej przez ramię na monitor.

Mitzi otwiera swoje konto pocztowe i najeżdża kursorem na plik zatytułowany *Polegli*.

Zostało nakazane, aby w każdym królestwie miejsce pochówku rycerza było oddalone od wody nie więcej, jak dzień jazdy wierzchem, i sięgało w głąb ziemi nie więcej, niż liczy sobie wzrostu najwyższy z mężów. Ziemia, która skrywa uświęcone szczątki poległego, winna po wsze czasy pozostawać pod ochroną jego braci, zaś na grób, w którym spocznie jego błogosławione ciało, ma padać tyle samo światła słonecznego, co blasku księżyca.

Ilekroć nadejdzie czas plonów, ci, którzy żyją i służą, będą nawiedzać i pielęgnować miejsca spoczynku poległych. Będą palić wielkie ogniska i prawić o ich wspaniałych czynach. Odprawiając Rytuał Wiecznego Ognia, będą na nowo rozniecać Ducha Dobroci, którego dziełem jest wielki miecz i który służył jednemu królowi.

Niniejszym rozkazuje się, by poległy rycerz tam był pogrzebany w ojczystej ziemi, gdzie jest krzyż Celtów, a bard samotny głosi pieśni ku jego chwale.

Dwójka agentów spogląda na siebie wzrokiem pełnym zdumienia. Mitzi porzuca załącznik i przechodzi do drugiego dokumentu, który obiecała jej Vicky.

– Dowiedzmy się, co znalazła na temat Owaina Gwyna, zanim spróbujemy rozgryźć, o co w tym chodzi.

Kolejny załącznik składa się z serii rzeczowych punktów. Brakuje mu lirycznego stylu, jaki cechował rozszyfrowany fragment kodeksu, ale jego zawartość jest nie mniej intrygująca.

IMIĘ I NAZWISKO: Owain Richard Arthur Gwyn

WIEK: 42 lata

NARODOWOŚĆ: brytyjska

MIEJSCE URODZENIA: Walia

OBECNIE PEŁNIONA FUNKCJA: ambasador w misji specjalnej, odpowiedzialny za sprawę obrony i przeciwdziałania terroryzmowi

POPZEDNIE STANOWISKA: ambasador Wielkiej Brytanii w Stanach Zjednoczonych,

ambasador Wielkiej Brytanii w Niemczech, ambasador Wielkiej Brytanii we Francji, specjalny doradca JKW Księcia Walii

WYKSZTAŁCENIE: New College, Oksford, ukończył studia magisterskie w zakresie historii

SŁUŻBA WOJSKOWA: oficer Gwardii Walijskiej. To elitarny pułk piechoty armii brytyjskiej, którego dowódcą jest sam książę Walii. Gwyn służył w Afganistanie w stopniu porucznika, potem awansował na kapitana. Udekorowany Krzyżem za Wybitną Odwagę za szczególne zasługi w bitwie i Krzyżem Wiktorii za przykładne dowodzenie operacją. Są to najwyższe brytyjskie odznaczenia za odwagę.

STAN CYWILNY: żonaty od osiemnastu lat z lady Jennifer Gwyn z domu Degrance; bezdzietny

TYTUŁY: Wielka Brytania – Rycerz Orderu Imperium Brytyjskiego, Kawaler Orderu Podwiązki (*), Rycerz Komandor Orderu św. Michała i św. Jerzego (**)

Stany Zjednoczone – Medal Legii Zasługi za szczególnie chwalebną postawę podczas sprawowania urzędu i wybitne zasługi.

* Kapituła orderu jest ograniczona do monarchy, Księcia Walii oraz dwudziestu czterech członków.

** Order św. Michała i św. Jerzego został ustanowiony przez księcia regenta w 1818 roku dla uhonorowania wybitnych zasług dla zagranicznych interesów Wielkiej Brytanii.

SYTUACJA FINANSOWA: Gwyn posiada osiemdziesiąt procent udziałów i jest prezesem Caledfwlch Ethical Investments. Spółka ta pełni funkcję „anioła stróża” początkujących firm na całym świecie i wspiera tylko takie przedsięwzięcia, które spełniają jej surowe standardy etyczne. W zeszłym roku obroty CEI wynosiły 2,48 miliarda funtów, czyli 4 miliardy dolarów. Spółka ma 32 oddziały w 27 krajach. Osiągnęła dochód netto wysokości 200 milionów funtów (322 milionów dolarów) i dokonała darowizn na cele dobroczynne w 21 krajach na łączną kwotę 150 milionów funtów (231 milionów dolarów). CEI jest firmą rodzinną, która działa od przeszło trzystu lat i uchodzi za jednego z pierwszych inwestorów londyńskiego Lloyd'a.

Mitzi kończy lekturę biogramu Gwyna i pisze wiadomość do Vicki, prosząc ją o bardziej dogłębne zbadanie przeszłości ambasadora, dziejów jego rodziny oraz interesów. Wysłała wiadomość, po czym odsuwa się od biurka i obraca do Bronty'ego.

– Czemu, ach czemu nigdy nie poznałam takiego faceta jak Owain Gwyn? Z tego raportu wynika, że to idealna partia dla każdej dziewczyny. Mężczyzna, który ma prawie tyle samo medali, co milionów na koncie.

Bronty pozostaje niewzruszony.

– On nie do końca jest taki, na jakiego wygląda, uwierz mi, Mitzi.

Przyznaję, to niesamowicie charyzmatyczny człowiek, ale ma również swoje mroczne oblicze. – Bronty pochyła się i dotyka monitora palcem. – Spójrz na to. Odznaczony za odwagę w walce i za przykładowe dowodzenie operacją. O czym to świadczy według ciebie?

– Że jest bohaterem?

– Raczej zabójcą. Świetnie wyszkolonym i bezwzględny. Okazał się tak doskonały w tym fachu, że jego rząd i królowa nagrodzili go najwyższymi odznaczeniami. Ludzie tacy jak Owain Gwyn są ucieleśnieniem słowa „niebezpieczny”. Mając z nim do czynienia, musimy być ostrożni. Bardzo ostrożni.

SOHO, LONDYN

Angello Marchetti jest odurzony ścieżką koki, którą wciągnął w toalecie obscurnego baru położonego za stacją metra Tottenham Court Road.

Pełnego pobudzenia doświadcza, kiedy wychodzi na ulicę i porywa go rwący hałaśliwy strumień przechodniów. Jego zmysły są wyostrzone do granic możliwości. Czuje bogaty aromat palonej kawy, którą ludzie niosą w papierowych kubkach, słodkawą woń trawki, którą niektórzy palą, zapach perfum na ich policzkach.

Jego iPhone pulsuje i Angelo musi obmacać wszystkie kieszenie, zanim udaje mu się go wyciągnąć. Na wyświetlaczu nie widać numeru, jednak on wie, kto do niego dzwoni. W tej chwili na całym świecie nikt nie jest dla niego tak ważny, jak ten człowiek.

Marchetti odbiera połączenie.

– Powiedz mi, że wszystkie moje problemy zniknęły.

Kiedy słucha, uliczny zgiełk przestaje do niego docierać. Wydaje się, że cały świat na chwilę staje w miejscu. Narkotykowa euforia rozwiewa się w mgnieniu oka, ustępując miejsca przygnębieniu.

– Jesteś pewien? Jesteś całkowicie pewien?

Jego rozmówca nie ma żadnych wątpliwości. Twierdzi, że niemożliwe jest, by się mylił.

Marchetti rozgląda się dokoła. Po jego podnieceniu nie ma ani śladu. Teraz przechodzący obok ludzie są dla niego niczym zjawy. Utracił całą więź z otaczającym go światem.

Uświadomił sobie, że jest już martwy.

Jeżeli nie wpadnie na jakiś nowy pomysł, pozostaje tylko kwestią czasu, aż Mardrid albo Gwyn zakończą jego nędzny żywot.

Jego rozmówca wciąż jest na linii. Czeką na decyzję. W obliczu tego, co się stało, chce wiedzieć, jak ma postąpić.

– Dobrze – mówi Marchetti. – Rób to, co musisz. Ale załatw to szybko

i nie dzwoń do mnie nigdy więcej.

CALEDFWLCH ETHICAL INVESTMENT, LONDYN

Jest późny wieczór, kiedy Owain Gwyn siedzi znów za biurkiem w swoim gabinecie.

W drzwiach staje Melissa Sachs.

– Czy życzy pan sobie, abym została dłużej?

Owain spogląda na zegar. Jest kwadrans po dziewiątej.

– Nie, przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno.

Sekretarka uśmiecha się wyrozumiale. Jej szef zawsze przesiaduje tak długo i zdaje się nigdy tego nie zauważać.

– Dam sobie radę, Melisso. Dziękuję ci za wytrwałość.

– Proszę bardzo. – Melissa Sachs rusza w stronę wyjścia, ale po drodze o czymś sobie przypomina. – Czy życzy pan sobie, abym zamówiła panu coś do jedzenia?

– Nie, dziękuję. Dobrze mi zrobi na linię, kiedy zrezygnuję z kolacji – odpowiada żartobliwym tonem i odprawia sekretarkę gestem dłoni.

Gdy zostaje sam, naciska guzik, który blokuje drzwi, a potem drugi, który odsuwa drewniany panel w przeciwległej ścianie, odsłaniając osiemdziesięciocalowy płaski monitor. Przy użyciu komputera włącza satelitarną transmisję na żywo z miejsca katastrofy nieopodal Ashford i jednocześnie nawiązuje połączenie wideo z biurem Tajemnego Zakonu Arturianów w Ameryce.

Po drugiej stronie oceanu Gareth Madoc zasiada w fotelu przed komputerem i uruchamia komunikator.

– Halo? Jak mnie słyszysz?

Owain reguluje siłę dźwięku.

– Głośno i wyraźnie. Co u ciebie?

– Trzymam się. Ale wystarczy mi tylko dobrze się wyspać.

– Wszystko w swoim czasie. Opowiedz mi o naszym przyjacielu, Nabilu Tabrizim.

– Od czasu wybuchu objęliśmy stałą obserwacją jego i Malika, specja od

bomb, i założyliśmy im podsłuch. Obaj nie podejmowali żadnych działań i nie kontaktowali się ze sobą.

Owain wykrzywia twarz w grymasie niezadowolenia.

– Miałem nadzieję, że Nabil nie będzie taki ostrożny.

– Ale jest. Przynajmniej na razie. Moim zdaniem istotne znaczenie ma fakt, że Malik wciąż jest na miejscu.

– Dlaczego?

– Świadczy o tym, że to nie on skonstruował ładunek, który wybuchł na Grand Central. Gdyby tak było, zostałby ewakuowany z tej okolicy, żeby nikt nie skojarzył go z tym zamachem.

– A to oznacza, że skoro trzymają go w Nowym Jorku, to szykuje się coś nowego.

– Też tak myślę.

– Dlatego musimy się dowiedzieć, kto jest drugim specjalistą od materiałów wybuchowych. Czy Amerykanie mają jakiś trop?

– CIA pracuje nad tymi dwoma terrorystami, których schwytano podczas akcji w warsztacie. Pozwolili im poznać nowy wymiar bólu, ale żaden z nich nie puścił farby.

– To tylko kwestia czasu – mówi Owain. – Oczywiście pod warunkiem, że mają cokolwiek do powiedzenia, a CIA nie zamęczy ich wcześniej na śmierć.

– Mamy pewien trop, który może dokądś prowadzić, ale nie chcę przedwcześnie robić ci nadziei.

– Nadzieja jest mi potrzebna, nawet jeśli jest krótkotrwała.

– Śmierć Antuna została zarejestrowana przez kamery monitoringu na stacji – mówi Gareth Madoc. – Prześledziliśmy nagranie, cofając się kadr po kadrze i badając ujęcia z różnych kamer ulicznych. Okazało się, że Antun przyjechał białą furgonetką, która została zaparkowana na tyłach starych domów mieszkalnych przy Westchester Avenue. Na nagraniu widać, jak Antun wsiada do samochodu w towarzystwie mężczyzny, z którym później walczył i którego zabił.

Owain musi sięgnąć pamięcią wstecz.

– Czy w pobliżu tego miejsca nie obserwowaliśmy kiedyś jednej z kryjówek Nabila?

– Tak, ale teraz przebywa gdzie indziej. W każdym razie na innym ujęciu widać młodą muzułmankę, która wchodzi do tego domu i wygląda na przerażoną.

– Biedaczka.

– Raczej szczęściara. Gdy po jakimś czasie wychodzi, pada na kolana i całuje ziemię. Jakby dziękowała za coś Allahowi.

– Za ocalenie życia.

– Właśnie o tym pomyślałem. Przypuszczam, że pierwotnie to ona miała dokonać samobójczego zamachu, lecz Antun zgłosił się na ochotnika, by zająć jej miejsce.

– Miejmy nadzieję, że już nic jej nie grozi.

– Jak dotąd jest bezpieczna. Moi obserwatorzy mają na nią oko. Gdybyśmy zaproponowali jej nowy start gdzieś daleko stąd, może dałaby się namówić na współpracę.

– Czy CIA o niej wie?

– Jeszcze nie. Ale zamierzają również prześledzić wstecz materiał z monitoringu, tylko przy użyciu bardziej prymitywnego sprzętu.

Gwyn bębni palcami po blacie biurka.

– Staram się spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Lance zdobył informacje na temat planowanego ataku Al-Kaidy w Rzymie i próbuję połączyć ze sobą te dwa miejsca.

– Jesteś pewien, że nie poprzestaną tylko na jednym zamachu?

Owain krzywi się z odrazą.

– Raczej nie. Mardrid pompuje kasę w Al-Kaidę jak nigdy dotąd. Od pewnego czasu kręci się wokół Bractwa Muzułmańskiego, pomaga im budować bazy w Egipcie, Syrii, Algierii i Libii. Jeśli skojarzysz to z jego działaniami w Afryce, zauważysz ambitny plan destabilizacji.

– Strategia monetarna w starym dobrym stylu.

– Wojny toczą się nieustannie, a Mardridowie od stuleci finansowali najbardziej brutalne z nich. Powiedziałem Lance'owi, że Josep Mardrid musi umrzeć, i nie zamierzam poprzestać na słowach. Musimy odciąć głowę węża, w przeciwnym razie zginie wiele niewinnych osób.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Prosty posiłek złożony z pieczonej jagnięciny, młodych ziemniaków i warzyw podano do stołu w komnacie, której obite boazerią ściany zdobi sto pięćdziesiąt średniowiecznych tarcz. Każda z nich nosi herb jednego z rycerzy należących do Linii Krwi, założycieli Tajemnego Zakonu Arturianów.

Komnata jest przestronna i wysoko sklepiona, a sięgające od posadzki do sufitu okna przysłaniają ciężkie karmazynowe draperie. W jednym z kątów stoi okazały kominek, w którym zimą buzuje ogień.

Lady Gwyn, Lance Beaucoup i Myrddin siedzą przy długim stole wykonanym z pnia ogromnego dębu, który od stuleci rósł w pobliskim lesie. Na całej długości dostojnego, pokrytego słojami blatu stoi dziesięć srebrnych świeczników, z których skapuje wosk.

Myrddin odstawia srebrny, wysadzany drogocennymi kamieniami puchar, z którego korzystał przez całe życie, i białą bawełnianą serwetą ociera wino z ust. Nie odrywa od Lance'a swoich zielonych oczu, jak gdyby czytał w jego myślach.

– Sądzę, że to było w lutym zeszłego roku.

– Co takiego? – Francuz odkłada nóż i widelec.

– Wtedy po raz pierwszy zdobyłeś się na śmiałość, by wyznać swe uczucie tej zacnej damie.

Lance sięga nerwowym gestem po kieliszek wina i pociąga spory łyk.

– Od tamtej pory rozmyślasz o niej każdego ranka i każdej nocy. Jesteś tak beznadziejnie zakochany, że oddałbyś za nią życie. Zginąłbyś za nią bez chwili wahania. Nieprawdaż?

Lance wie, że nie ma sensu zaprzeczać.

– Dobrze wiedzieć, że jesteś gotów postąpić godnie w całej tej niegodziwości, albowiem pewnego dnia najprawdopodobniej będziesz musiał oddać za nią życie. Myślę, że Owain również o tym wie.

– Czy on...? – Francuz spogląda na starca z niepokojem.

Myrddin uśmiecha się szyderczo.

– Swoim pytaniem ubliżasz zarówno jemu, jak i mnie. Liczy się to, że Owain wysoko cię ceni. Uważa cię za odważnego i... wytwornego.

Lance czuje się dotknięty tą uwagą.

– W dawnych czasach taka wytworność zasługiwałaby na coś więcej niż tylko drwinę z ust starca.

Myrddin przesuwając palcami po gardle.

– W dawnych czasach zimna stal zanurzona w gorącej krwi byłaby odpowiedzią na twoje uchybienie.

Lance spogląda na Jennifer.

– Czy po to zaaranżowałaś tę kolację? Aby mnie pouczano i wprawiano w zakłopotanie?

Myrddin uprzedza jej odpowiedź.

– Nie. Po to, abym ci przypomniawszy, że rozwaga jest lepszym obliczem męstwa. W wielkim Cyklu pewne rzeczy są nieuniknione i wypada mi pouczyć tych, którzy znajdują się w jego centrum, aby swoim postępowaniem nie przysparzali nam trosk. Czy mnie zrozumiałeś, mój młody i wytworny rycerzu?

– Dość, *monsieur*. Mam tego dość. – Lance rzuca serwetkę i wstaje od stołu. – Lepiej, abym sobie poszedł i zachował odpowiedź dla siebie, zamiast tu zostać i strzykać jadem, który zepsuje nasze przyszłe relacje.

– Jak sobie życzysz.

Lance kłania się Jennifer i wychodzi.

Myrddin wyciąga rękę i dotyka jej dłoni.

– Podjął mądrą decyzję. Według matematyki uczucie poświęcenie pomnaża miłość i dobroć, a jak dotąd twój ukochany skromny miał w tym udział.

– Nie traktuj go tak surowo.

– Moje dziecko, niebawem będziesz musiała ponieść największą z ofiar, a ja powinienem zadbać, abyś nie była pozbawiona miłości, kiedy życie pozbawi cię wszystkiego, co dla ciebie cenne.

Jennifer ściska mocno dłoń starca. Trzyma go za rękę tak samo jak wtedy, gdy była dzieckiem i przybiegała do niego wystraszona.

– Od jak dawna Owain o tym wie?

– Dostatecznie długo, by zdążyć się przygotować, i zbyt krótko, by uodpornić się na ból. Nadchodzą mroczne czasy i zarówno twój mąż, jak i ja jesteśmy przekonani, że twój zapalczywy francuski kochanek najlepiej nadaje się do tego, by poprowadzić cię w stronę światła.

SOHO, LONDYN

Pod koniec pracowitego dnia Mitzi i Bronty jedzą kolację w hotelowej restauracji. Zamawiają zupę i steki z frytkami. Nic wymyślnego. Żadnego deseru, ale o jeden kieliszek wina za dużo. Przejedzeni i senni kończą posiłek i wracają do swoich pokoi.

Mitzi kładzie się do łóżka, sięga po komórkę i wybiera numer siostry.

– Właśnie się zastanawiałam, czy zadasz sobie trud, żeby zadzwonić. – Ruth nadal zwraca się do niej obrażonym tonem.

– Pracowity dzień, Ruthy – odpowiada Mitzi lakonicznie. – Być może słyszałaś, że w Wielkiej Brytanii doszło do zamachu bombowego. A poza tym wciąż prowadzę śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa.

– Nie osądzam cię.

– Zabrzmiało tak, jakbyś miała taki zamiar. Jak się czuje Amber?

Głos Ruth łagodnieje.

– Trochę lepiej. Jeszcze nie zaczęła jeść, ale dostaje lekarstwo i przeniosła się z łazienki do łóżka. Wraca do zdrowia.

– Dziękuję ci, że się nią opiekujesz. – Mitzi stara się nawiązać przyjazną rozmowę. – Naprawdę mi przykro, że nie mogłam wrócić.

– Tak, też bym wolała, żebyś tu była. Wiem, że nie jesteś winna temu, co stało się z Jackiem – mówi Ruth i na linii zapada krępujące milczenie. – Po prostu musiałam kogoś o to oskarżyć. Kogoś innego niż siebie.

– Więc oskarżaj jego.

– Wiem. A to, co mówiłam, żebyś poszukała sobie nowego domu... Nie ma pośpiechu. Możesz tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

– Szybko coś sobie znajdę. Obiecuję.

– Byle nie za szybko. Będzie mi brakowało ludzi w pobliżu.

– Och, zawsze będziemy w pobliżu, ale nie musimy siedzieć ci na głowie. Czy któraś z moich córek chce ze mną rozmawiać?

– Myślę, że Amber śpi, ale zawołam Jade. – Ruth odkłada słuchawkę i woła: – Dzwoni twoja mama i chce z tobą rozmawiać.

Mitzi słyszy odgłos opróżnianej zmywarki i słowa swojej córki w tle.

– Nie mam ochoty. Skoro nie raczyła się tu do nas pofatygować, to ja też nie zamierzam.

– Jade!

Mija kilka sekund, zanim Ruth wraca do telefonu.

– Wybacz, jest zajęta.

– Na to wygląda. Słyszałam ją, Ruthy. Najwyraźniej wciąż jest na mnie wściekła.

– To nastolatka. Prawie na wszystko się wścieka. Spróbuję ją przekonać, żeby do ciebie zadzwoniła.

– Dziękuję. – Mitzi nie chce kończyć rozmowy, nie upewniwszy się, że jej siostrze zależy, by naprawić ich wzajemne stosunki. – I dziękuję ci, że już się na mnie nie gniewasz. Nie cierpię, kiedy się kłócimy.

– Ja też.

– Więc nie będziemy. Już nigdy więcej. Przekaż dziewczynkom, że je kocham i nie mogę się doczekać, aż znów je zobaczę.

– Przekażę.

Mitzi kończy rozmowę. Czuje się potwornie smutna i samotna. Zastanawia się, czy słusznie postąpiła, podejmując tę pracę. Dzięki niej mogła zacząć wszystko od nowa, ale teraz zadręcza się poczuciem winy wobec dzieci, którym nie może poświęcić czasu.

Rozlega się dzwonek komórki. Mitzi spogląda na wyświetlacz, na którym widzi waszyngtoński numer telefonu.

– Fallon.

– Mówi Kirstin Collins. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

– Jeszcze nie. Ale właśnie układam moją poobijaną buźkę do snu.

– Więc nie będę się rozgadywać. Sophie Hudson, ekspedientka ze sklepu Goldmana, została znaleziona martwa w swoim mieszkaniu. Ktoś skręcił jej kark i splądrował cały dom.

LONDYN

Jest po drugiej w nocy, kiedy Angelo Marchetti chwiejnym krokiem opuszcza mieszczący się w podziemiach klub Experientia, który uchodzi za najmodniejszy lokal West Endu.

Od lat nie był tak zalany jak teraz i wątpi, czy uda mu się złapać jakąś taksówkę, nie mówiąc już o powrocie do hotelu.

Ma za sobą gówniany dzień. Kompletne dno i porażka.

Nawet teraz, gdy jego mózg jest nafaszerowany kokainą, nie potrafi uwolnić się do myśli, że kazał zabić młodą dziewczynę i wciąż nie udało mu się odzyskać danych, które mogły mu zapewnić przepustkę do beztróskiego życia.

Zataczając się, kroczy wąską i ciemną uliczką w kierunku świateł, które połyskują w oddali. Wtem do jego uszu dobiega metaliczny szczęk, a sekundę później słyszy jakiś głos.

– Oddawaj kasę.

Marchetti nie reaguje.

– Dawaj portfel, telefon i zegarek, bo cię, kurwa, zastrzelę.

Marchetti nie odpowiada, bo zastanawia się właśnie, czy nie byłoby to dobrym rozwiązaniem. Jeden strzał uwolniłby go od całego tego szamba, w którym tkwi po uszy. Jeżeli facet ze spluwą choć trochę zna się na rzeczy, za chwilę może być po wszystkim.

– Pierdol się.

– Ja nie żartuję – mówi napastnik i podchodzi bliżej. – Opróżniaj kieszenie albo nie żyjesz.

Wyszkolenie rycerza zakonu zaczyna dochodzić do głosu. Marchetti szybko trzeźwieje. Wie, że ten uzbrojony krzykacz to zwykły gnojek, ale nie jest sam. Dwóch albo trzech innych czai się w cieniu. W ciągu sekundy ktoś go dopadnie. Rzucą się na niego, wezmą pod buty i będą mieli ubaw.

– Dobrze już, dobrze! – Marchetti unosi ręce. – Odpinam zegarek. A teraz go zdejmuję.

Spokojnie robi krok do przodu, a potem z całej siły uderza jedną z majaczących w mroku sylwetek.

– O kurwa! – Mężczyzna zatacza się do tyłu, trzymając się za pogruchotaną szczękę.

Marchetti rzuca się na chodnik i podcina nogi napastnika, a gdy ten upada, chwytając jego stopę i wykręca, aż słychać chrupot łamanych kości.

Rozlega się huk wystrzału.

Gnojek z bronią przypomniał sobie w końcu, że ma jaja, i nacisnął spust. Ale strzelił tylko na postrach i to był jego wielki błąd. Zdradził swoją pozycję.

Zanim facet jest w stanie złożyć się do kolejnego strzału, Marchetti jest już przy nim. Wytrąca mu broń, odchyła głowę i grzmoci go czołem w twarz.

Ktoś uderza go w bok. Marchetti czuje tępy ból. Trafia łokciem w głowę napastnika, który wali plecami o ścianę.

Zaczyna robić się nieciekawie i Marchetti wie, że nawet na trzeźwo układ trzech na jednego może się źle dla niego skończyć, o ile nie zamierza nikogo zabić.

Wciąż czuje przenikliwy ból w boku. Dotyka miejsca, którego dosięgnął cios, i uświadamia sobie, że dostał nożem, a nie pięścią.

Rzuca się na jednego z napastników i dokładnie wymierzonym ciosem prawej ręki łamie mu zebra. Facet usiłuje złapać oddech. Marchetti wyłuskuje broń z jego dłoni i strzela mu w nogę.

Towarzyszający wystrzałowi błysk płomienia oświetla zaułek, zdradzając położenie dwóch pozostałych. Marchetti odwraca się w ich stronę i strzela. Celuje w nogi, żeby ich zranić, ale nie zabić.

Powietrze wypełnia swąd kordytu i jęki rannych.

Marchetti wsuwa broń za pasek od spodni i utykając, odchodzi. Wie, że żaden z napastników nie będzie go ścigał. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

CZĘŚĆ TRZECIA

Jest środek nocy, kiedy Myrddin słyszy, jak helikopter sir Owaina zbliża się do lądowiska.

Dźwiga z siennika swoje znużone kości, staje przy wąskim oknie i przygląda się migocącym światłom, które rozjaśniają nocne niebo. Nie musi patrzeć na zegar, by wiedzieć, że do świtu pozostała jeszcze godzina. Przez wiele lat odmierzał czas, obserwując położenie gwiazd, księżyca i słońca.

Myrddin ubiera się i schodzi po kręconych stopniach do jednej z komnat, do której Owain zawsze wstępuje tuż po przybyciu.

Chociaż jest lato, w wysoko sklepionym pomieszczeniu o kamiennych ścianach panuje chłód, więc starzec zatrzymuje się przy kominku i podkłada ogień pod leżący na palenisku papier, siano i drobne kawałki drewna. Potem siada i przygląda się, jak pomarańczowe płomienie łapczywie liżą zeschnięte polana.

Rozlega się delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę.

Szczęka metalowa zapadka, skrzypią zawiasy. Do komnaty wchodzi sir Owain. Ma zwichrzone włosy od podmuchu płatów nośnych, a w obu rękach trzyma walizki. Na widok Myrddina jego twarz rozjaśnia uśmiech.

– Spodziewałem się, że cię tu zastanę – odzywa się pełnym podziwu tonem.

– Jak gdyby mogło być inaczej. Odłóż bagaże i usiądź ze mną przy ogniu.

– Masz trochę wody?

Owain zdejmuje marynarkę i wiesza ją na oparciu jednego z dwóch twardych krzeseł, które stoją po obu stronach kominka.

– Nabrałem ze studni zeszłej nocy. – Myrddin podnosi ze stolika gliniany dzban i napełnia kubek krystalicznie czystym płynem.

Owain sięga po kubek i przypomina sobie, że ostatnio pił świeżą wodę z tego prastarego źródła, kiedy był dzieckiem. Myrddin czeka, aż jego

przyjaciel skończy pić.

– Czy Jennifer rozmawiała z tobą o Cyklu?

– Nie. Nie zdobyła się na to. Ale widziałem w jej oczach, że bardzo stara się ukryć jakąś tajemnicę.

– Czasy są ciężkie – mówi Myrddin, wpatrując się w ogień. – Najbardziej okrutne z płomieni hartują najmocniejszą stal.

– Te słowa najtrafniej oddają moją rozterkę. Moja żona nosi pod sercem nasz pierwsze dziecko, a ja, zamiast oczekiwać narodzin syna, muszę szykować się na śmierć. A żeby ból był jeszcze dotkliwszy, muszę wykuwać dla niej nową miłość.

– Takie są prawa Cyklu.

– Wybacz, ale wolałbym, aby rządził się innymi prawami. – Owain śmieje się ponuro. – Czy dobrze wybraliśmy, Myrddinie? Czy Lance nie zawiedzie nadziei, jakie w nim pokładam? Czy jest człowiekiem, który zdoła ochronić ją i mojego syna?

– Stanie się takim człowiekiem. Taki jest wyrok przeznaczenia, a ja zadbam o to, by się dopełnił.

– Dziękuję ci. – Owain patrzy w okno, za którym szarzeje blade światło brzasku. – Ale teraz już dosyć. Mam w sercu tyle bólu, że aż mnie rozsadza. – Podnosi sękate polano i rzuca je w ogień, a potem znów rozpiera się na krześle. – Porozmawiajmy o czymś innym. O życiu i wspomnieniach. Byle nie o powinnościach, które nie mają końca. Posiedzę tu z tobą do świtu, a gdy wstanie nowy dzień, wrócę do domu, by przygotować się na spotkanie z Linia Krewi.

SOHO, LONDYN

Rozstrojona po długiej podróży samolotem i głodna, Mitzi popija kawę i patrzy, jak z ciężkich mglistych oparów przebija się pomarańczowe światło poranka, któremu daleko do triumfalnej świetności nowego dnia.

Siedzi w ogrodzie na dachu hotelu, gdzie wyszła, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Spogląda na południe w kierunku Tamizy, ale jej myśli krążą wokół wydarzeń odległych o tysiące kilometrów. Wokół jej córek, z których jedna choruje i tęskni za nią, a druga jest obrażona i nie chce z nią rozmawiać. Wokół siostry, samotnej i zagubionej, która cierpi z powodu zranionych uczuć. Wokół byłego męża, który nie stronił od przemocy i przysparzał jej wielu problemów, a mimo to pozostaje jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała. Myśli o Irlandczyku, poczciwym gliniarzu, którego wykończyła praca i z którego zostały tylko szczątki oczekujące na pochówek. Życie zdaje się pędzić w tak zawrotnym tempie i pozostawia za sobą tyle zniszczeń.

Mitzi wraca do pokoju, zaparza sobie kawę i stara się zrozumieć, dlaczego zginęła Sophie Hudson. Ma pewną koncepcję na temat motywów, którymi kierował się zabójca, ale musi poznać wszystkie fakty, zanim wyciągnie jakieś wnioski.

Włącza komputer i czyta pełny raport przysłany przez Kirstin, a potem ogląda zdjęcia z miejsca zbrodni. Na cyfrowych fotografiach widzi wybebeszone szuflady, porozbijane wazony i opróżnione pojemniki na żywność. Kawa, cukier, kakao, ryż i płatki śniadaniowe leżą rozsypane na kuchennej podłodze. Ubrania Sophie, włącznie z tymi, które ma na sobie, są podarte na strzępy.

Mitzi czyta raport lekarza sądowego. Dziewczyna została ciężko pobita. Po obu stronach twarzy ma ślady ciosów. Napastnik uderzał ją w brzuch i w piersi. Sińce w okolicach jamy ustnej, pochwy i odbytu.

Niedoświadczony policjant sklasyfikowałby ten przypadek jako napad rabunkowy. Wszystko wskazuje na to, że sprawcą jest jakiś ćpun, który

szukał pieniędzy i stracił panowanie nad swoim popędem, gdy zastał w domu atrakcyjną kobietę.

Ale Mitzi nie daje się na to nabrać. Wie, że laboratorium kryminalistyczne, do którego zapewne przesłano już pobrane wymazy, nie znajdzie w nich żadnych śladów nasienia ani materiału DNA. Dziewczyna nie została zgwałcona; sprawca przeszukał dokładnie każdy zakamarek jej ciała. Otarcia na nadgarstkach Sophie i ślady bawełnianej tkaniny w jej ustach świadczą o tym, że była związana, zakneblowana i przesłuchiwana przez kogoś, kto czegoś szukał.

Mitzi otwiera torbę na laptop i wyjmuje pendrive. To musi być to.

Po obejrzeniu zdjęć z autopsji Mitzi nie ma wątpliwości, że Sophie powiedziała prześladowcy, co zrobiła z przedmiotem, na którym mu zależy. Zapewne już po pierwszym uderzeniu w twarz wyrzuciła z siebie wiadomość, że oddała go kobiecie z FBI, ale morderca torturował ją dalej, by się upewnić, czy mówi prawdę.

Mitzi wie, że teraz będzie szukał jej.

Albo on, albo ludzie, którzy płacą mu za jego mordercze usługi.

LONDYN

Ból wyrywa Angela Marchettiego ze snu.

Zbliżała się czwarta w nocy, kiedy pielęgniarki w szpitalu św. Tomasza skończyły zakładać mu szwy. Dwukrotnie sytuacja stawała się kłopotliwa. Najpierw musiał wcisnąć siostrze w izbie przyjąć pięćdziesięciofuntowy banknot i historyjkę o zazdrosnym mężu, by powstrzymać ją od wezwania policji. A potem, gdy już wychodził, zobaczył ambulans, który przywiózł dwóch postrzelonych przez niego mężczyzn.

Poza tym dopisało mu szczęście. Rana okazała się głęboka tylko na pięć centymetrów, a ostrze nie naruszyło niczego prócz tkanki tłuszczowej na biodrze.

Marchetti sięga do białej torebeczki, którą dostał w szpitalnej aptece, po czym zażywa dwie tabletki przeciwbólowe i popija je resztką wody ze szklanki stojącej na szafce przy łóżku. Potem zasypia. Na godzinę zapada w lekką i uzdrawiającą drzemkę, zadowolony z tego, że opuszcza go świadomość.

Jest ósma rano, kiedy się budzi i wlepia wzrok w cyfrowy zegar, który również ładuje jego iPhone. Myśli o tym, że w Waszyngtonie jest teraz trzecia nad ranem, ale pewna młoda ekspedientka ze sklepu z antykami nie śpi już smacznie we własnym łóżku, ponieważ zapłacił, by ją zamordowano.

Marchetti opuszcza nogi na podłogę i krew napływa mu do głowy. Czuje, jak wyrzuty sumienia rozrastają się w jego głowie niczym złośliwy guz. Wie, że nie może o tym myśleć. Nie może sobie pozwolić, by trawiło go poczucie winy.

Ta dziewczyna jest tylko ofiarą. Skutkiem ubocznym w bilansie zniszczeń. Niczym więcej.

Ale im bardziej Marchetti stara się wymazać ją z pamięci, tym mocniej prześladowuje go jej duch.

Wlecze się do łazienki i ogląda przesiąknięty krwią opatrunek na

biodrze. Żałuje, że nie zginął tej nocy. Że też tych trzech gnojków nie potrafiło połączyć sił, żeby wybawić go od jego nędznej egzystencji.

Odkręca prysznic i próbuje stawić czoło temu, co musi zrobić.

Zaczyna się kolejny dzień. Kolejna seria śmiałych kroków po ruchomych piaskach zła. Jeżeli nie dostanie tego, czego potrzebuje, będzie musiał splamić swoją duszę kolejną zbrodnią.

SOHO, LONDYN

W drodze na śniadanie Bronty puka do drzwi pokoju koleżanki. Na powitanie Mitzi raczy go wiadomością z ostatniej chwili.

– Sophie Hudson, asystentka Goldmana, została zamordowana w swoim mieszkaniu.

– Kiedy? – pyta Bronty, zamykając za sobą drzwi.

– Wczoraj. Dostałam informację od waszyngtońskiej policji, gdy kładłam się spać. Sprawca torturował ją i skręcił jej kark. Robota zawodowca, sądząc po zdjęciach z autopsji. Zerwać rdzeń kręgowy jest o wiele trudniej, niż to pokazują w filmach.

Bronty wzdryga się.

– Zbyt obrazowo to przedstawiasz. Wolałbym nie zagłębiać się w takie tematy przed śniadaniem.

– Przypuszczam, że ktoś szuka tego pendrive’a, który mi dała – mówi Mitzi i wręcza Bronty’emu dwie kartki papieru, które przed godziną wydrukowała w hotelowym saloniku biznesowym. – Na pierwszej stronie jest tekst, który Vicks przesłała nam wczoraj wieczorem. Pod spodem nowy rozszyfrowany fragment, który właśnie dostała od kryptologów.

Część pliku zatytułowanego „Cykl Arturiański”:

Miej się na baczności, ty, który miałeś odwagę przewrócić tę stronę i pochylić nad nią głowę, by twój dociekliwy wzrok spoczął na tych doniosłych słowach.

Niechaj twoja dusza będzie na tyle silna, by udźwignąć ich wagę, a ty przy swoim zuchwalstwie obys okazał się równie szlachetny i rycerski.

Niechaj twój rozum i serce będą wypełnione odwagą i przepojone dobrocią.

Bacz, abyś był cnotliwy i niesprzedajny, albowiem słowa te spisane są uświęconą krwią i za sprawą Bożego rozkazu staną się zwierciadłem twojej duszy.

Jeśli się bowiem okaże, żeś nie jest godzien szukać sekretów «władcy znanego pod wieloma imionami», oznacza to nie tylko twoją śmierć, ale i wiekuiste potępienie. Miej baczność – jeżeli Ciemność zagości w twojej duszy, nie znajdziesz dla siebie miejsca w Ziemi Obiecanej, a swoim grzechem ściągniesz klątwę na cały swój ród.

Nie waż sobie moich słów lekko, albowiem jam jest magiem, który wyniósł na tron prawdziwego króla, tego, który panował, który panuje i który panować będzie po wszystkie czasy.

Jam to jest, który przysposobił jego cnoty na ludzkie podobieństwo i zanurzył jego duszę w ludzkiej śmiertelności. Jam jest ten, który splótl prawdziwe czyny z baśnią, aby powstała chmura, która spowija całe wieki dziejów.

Pomnij, że wiedza nigdy nie jest absolutna. Miej to na uwadze albo nigdy nie pojmiesz Cyklu Arturiańskiego ani tego, jak obraca się w zgodzie z ruchem ciał niebieskich i nadaje kształt dziejom świata.

Każdy człowiek ma swój dzień narodzin. Każda wiara ma swój załazek. Każdy krąg zatoczony ma swój początek.

Cóż jednak począć, gdy pośród najmocniejszych kręgów każdy stanowi niepodzielną całość? Gdy jest niczym z żeliwa odlany w wygładzonej formie? Czy można rzec, że taki krąg ma swój początek w chwili, gdy roztopiony metal ostudził się i zastygł? Czy może jego początek nastąpił, gdy powstała forma? A może jego początkiem jest ręka, która ową formę wykonała? A może jego początek tkwi w ciałach ludzi, którzy poczęli tego, kto stworzył formę? Albo też w myślach i sercu tego, kto uroił sobie to wszystko? Zważ na to, jak nieporadni jesteśmy, gdy przychodzi nam mówić o początku i końcu czasu i odnaleźć nasze miejsce pomiędzy nimi.

Aby oddzielić wielkich ludzi od wielkich mitów, które ich otaczają, musisz wiedzieć, jak wykuwa się Żelazny Krąg. Bo Królem Królów jest Człowiek z Żelaza. Pokolenie za pokoleniem wyłania się on z formy, którą jest wiara. Tak jest od wieków, że ci, którzy go otaczają, wskazują na niego i mówią, iż jest tym, który był i który będzie.

Tak się przeto dzieje, że tym, którzy zapisują dla potomnych takie wydarzenia, czasem się wydaje, że człowiek ten wiele miał postaci i żył zawsze, albo że nie istniał w ogóle.

Bądź ostrożny w swoim poszukiwaniu wiedzy.

Droga jest długa, a wędrówka pełna niebezpieczeństw.

Wiem to, gdyż tysiące razy wpadałem w kamieniste wykroty i tysiące razy wciągały mnie cuchnące bagna.

Lepiej żywot wieść szczęśliwy w Niewiedzy, aniżeli cierpieć z nieodwzajemnionej miłości do Wiedzy. Pamiętaj, Niewiedza jest matką Pokoju, a od niego nigdy nie zaznasz krzywdy. Niewiedza i Pokój równie obficie obradzać będą w ziemi Kłamstwa, jak i na gruncie Prawdy.

Bronty odkłada wydruk i widzi, że Mitzi czeka na jego opinię.

– Mając do czynienia z tak krótkim fragmentem, trudno powiedzieć, jak należy to rozumieć. Łatwo mógłbym wyciągnąć jakieś pochopne wnioski i...

– Och, Bronty, na litość boską! Ludzie zabijają się o to! Daruj sobie tę gliniarską gadkę i powiedz mi tylko, co o tym myślisz.

– Dobrze. – Bronty unosi kartkę i wskazuje palcem na jeden

z akapitów. – Tutaj autor twierdzi, że jest magiem. A tutaj mówi o Cyklu Arturiańskim i jego roli we wszechświecie. Co więcej, twierdzi, że jest magiem, który wyniósł na tron „prawdziwego króla”. Mówi, że stworzył go na ludzkie podobieństwo. Porównuje go do żelaznego kręgu, który nie ma początku ani końca. Czy nasuwają ci się jakieś skojarzenia?

– Tak, myślę o superbohaterach, Iron Manie, a zwłaszcza o tym, jaki uroczy jest Robert Downey junior.

– Więc teraz na miejsce Hollywood wstaw Boga.

– Będziesz musiał mi to wytłumaczyć.

– Zapomnij na chwilę o królu Arturze. To jest opowieść o Bogu Ojcu. On jest tym magiem, a Jezus Chrystus prawdziwym królem. Opowieść o tym, jak Jezus został stworzony za sprawą boskiej mocy, umarł, ale pozostał wiecznie żywy, wstąpił do nieba, ale wciąż jest wśród nas. O tym, że niektórzy ludzie w niego wierzą, a inni uważają, że jest tylko postacią mityczną.

– Cholera. Naprawdę? – Mitzi wyrywa mu kartkę. – Ty naprawdę to widzisz?

– Czy Chrystus nie jest królem nad królami i jedynym prawdziwym królem?

Mitzi próbuje wcielić się w rolę adwokata diabła.

– Nie dla wszystkich.

– Ale rozumiesz mój tok myślenia?

– Mów dalej, żebyśmy nie miała żadnych wątpliwości.

– Cóż, prawdopodobnie to, co mieści się w tym pliku, nie jest zbiorem opowieści o legendarnym królu i jego rycerzach. Można przypuszczać, że Artur jest jeszcze jednym imieniem Jezusa, a to, co tutaj mamy, ukrywane przez wieki w zaszyfrowanej postaci, jest fragmentem nieznannej Ewangelii. A teraz pomyśl, jaką to może mieć wartość.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Wiatr unosi nad dziedzińcem płatki kwiatów, gdy Owain rankiem zmierza z samotni Myrddina do głównej części zamku.

Przed nim ze spuszczoną głową idzie pogrążony w zadumie Lance Beaucoup. Owain jest pewien, że jego przyjaciel rozmyśla o Jennifer oraz o przyszłości, jaka ich czeka.

– *Bonjour* – odzywa się, gdy dzieli ich już tylko metr.

Lance odwraca się gwałtownie. W jego oczach daje się zauważyć poczucie winy. Stara się szybko odzyskać zimną krew.

– Wybacz, nie zauważyłem cię. Dzień dobry. Kiedy wróciłeś z Londynu?

– Przed chwilą – kłamie Owain. – Chciałem być tu trochę wcześniej, bo dziś po południu mamy zgromadzenie Linii Krwi.

Lance spogląda na zegarek.

– Kilku starszych członków przybyło już wczoraj wieczorem. Słyszałem, jak rozmawiali, że chcą obejrzeć szkolenie nowych rekrutów, a potem przespacerować się nad jeziorem.

– To budzi w nich stare wspomnienia – mówi Owain z uśmiechem. – Pewnego dnia poczujesz to samo.

Lance rozluźnia się trochę.

– Wolalbym zapomnieć o swoim szkoleniu – odpowiada, śmiejąc się. – Całe tygodnie spędzone w dziczy bez jedzenia i picia. Należy mi się za to pięciogwiazdkowy hotel i porządna kolacja.

– Zgadzam się z tobą. Chociaż muszę dbać, żeby nie stać się zbyt wygodny na stare lata.

Przyjaciele idą w milczeniu wzdłuż zamkowego muru i po chwili Lance próbuje nawiązać pogawędkę.

– Jak się mają sprawy w Londynie? Tak chaotycznie, jak sobie to wyobrażam?

– Prawdopodobnie. Rząd jest prawie bezsilny, a księżę Walii chciał

mnie widzieć dwa razy dziennie, abym na bieżąco informował go o sytuacji po zamachu w pociągu Eurostar.

Lance otwiera drzwi prowadzące z dziedzińca do południowego skrzydła zamku.

– Nadmiernie zainteresowany monarcha to nie zawsze powód do radości.

– Zainteresowanie, nieważne jak głębokie, jest zawsze lepsze niż brak zainteresowania – odpowiada Owain, przestępując próg.

– *Je comprends.*

– Księżę chce również wstąpić do Wewnętrznego Kręgu.

– Symbolicznie?

– Nie. Chce faktycznie uczestniczyć w naszej działalności.

Lance przystaje.

– I co mu powiedziałaś?

Owain również się zatrzymuje.

– Że muszę poddać to innym pod rozwagę.

– A ty jesteś skłonny go poprzeć?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. – Owain znów zaczyna iść. – Przemawia za tym zarówno jego wielkie bogactwo, które jak ci wiadomo, jest potężną bronią w każdej wojnie, jak i wpływy w kraju i za granicą.

– Oby nie zechciał wpływać również na nas.

– Być może masz rację – mówi Owain i zmienia temat. – Spędziłeś wczorajszy wieczór z Jennifer? – pyta, po czym zawiesza głos, pozwalając wybrzmieć swoim słowom, i dostrzega wyraz napięcia na twarzy przyjaciela. – Dzwoniłem na jej komórkę, ale nie odbierała, a nie udało mi się uzyskać połączenia z linią stacjonarną.

Lance stara się ukryć niepokój.

– Zjedliśmy razem kolację. Był z nami Myrddin. Nie słyszałem dzwonka telefonu.

– To dziwne – mówi Owain, a jego głos przybiera poważny ton. – Naprawdę liczę, że pod moją nieobecność będziesz się nią opiekował. Wiesz

o tym, prawda, Lance?

– Wiem – odpowiada Francuz, a jego serce bije jak oszalałe.

Owain wymierza mu przyjaznego kuksańca w ramię.

– Cieszę się. Wiedziałem, że mogę ci zaufać.

SOHO, LONDYN

Recepcjonistka w hotelu kończy obsługiwać parę starszych Chińczyków, a potem uśmiecha się uprzejmie do ubranego w elegancki garnitur gościa o wyglądzie dyrektora, który jest następny w kolejce.

– Dzień dobry. Mogę panu w czymś pomóc?

Ciemnowłosa mężczyzna spogląda na jej identyfikator i wyjmuje legitymację.

– Mam nadzieję, że możesz, Kato. Jestem inspektor Mark Warman z policji. Mogę rozmawiać z twoim szefem?

Młoda Węgierka przyciska guzik umieszczony pod blatem.

– Zaraz tu będzie.

– Dziękuję.

Mężczyzna wyczuwa, że jego prośba wywołała zaniepokojenie recepcjonistki. Szczęśliwie dla niej nie jest zainteresowany sprawdzaniem jej dokumentów imigracyjnych.

Zjawia się korpulentny mężczyzna w brązowej marynarce, która wydaje się co najmniej o numer za mała.

– Jonathan Dunbar, menedżer hotelu – przedstawia się, przyglądając krawat. – Życzył pan sobie mnie widzieć.

– Tak. – Policjant wolnym krokiem oddala się od gości hotelowych, którzy stali za nim w kolejce, i znów wyjmuje legitymację. Przyłącza się do niego młoda kobieta po trzydziestce, która dotychczas trzymała się z boku. – Inspektor Warman, a to jest detektyw Jackson. Jesteśmy z SO15, wydziału antyterrorystycznego. Interesuje nas dwójka pańskich gości.

Twarz Dunbara blednie.

– To Amerykanie – dodaje Jackson i wyciąga dwie fotografie z wewnętrznej kieszeni lekkiej czerwonej kurtki. – Kobieta, brunetka przed czterdziestką, nazywa się Mitzi Fallon. Jej towarzysz to Jon Bronty, szczupły szatyn.

– Widziałem ich – odpowiada Dunbar nerwowym tonem. – Zameldowali się wczoraj. Mieli legitymacje FBI.

Jackson uśmiecha się porozumiewawczo.

– Nie wszystkie legitymacje są oryginalne. Czy w tej chwili są w hotelu?

– Nie mam pojęcia. Będę musiał sprawdzić.

W oczach Warmana pojawia się wyraz napięcia.

– Proszę im nie mówić, że tu jesteśmy. Nie chcemy, aby sytuacja... jak by to powiedzieć... stała się skomplikowana.

Policjant lekko odchyła połą marynarki, aby Dunbar mógł zauważyć tkwiący w kaburze pistolet.

Menedżer w pośpiechu podchodzi do kontuaru, gdzie rozmawia przez chwilę z recepcjonistką i sprawdza coś w komputerze, a następnie wraca.

– Właśnie wyszli. Nie dalej jak dziesięć minut temu.

Warman sprawia wrażenie, jakby doznał ulgi.

– Czy może pan nas zaprowadzić do ich pokoi?

Dunbar wygląda na zaskoczonego.

– Jest pan pewien? – pyta, a jego lewa powieka drga w nerwowym tiku. – Nie sądzi pan, że mogą tu mieć jakieś materiały wybuchowe?

– Bardzo mało prawdopodobne. Gdybyśmy to brali pod uwagę, przyprowadzilibyśmy ze sobą saperów.

– Racja – mówi menedżer, ale wciąż stoi jak skamieniały.

– To zaprowadzi nas pan?

– Tak, tak, oczywiście. – Dunbar ożywia się. – Mam uniwersalny klucz. Proszę za mną.

Wjeżdżają windą na najwyższe piętro, gdzie Dunbar prowadzi policjantów wzdłuż wyłożonego czerwonym chodnikiem korytarza.

– Mieszkają w pokojach sześćset dwa i sześćset cztery. – Menedżer wsuwa kartę magnetyczną do czytników i otwiera oba pokoje. – Chcecie, żebym wszedł tam z wami?

– Nie jest to konieczne, proszę pana – odpowiada Warman. – Chyba że

pan sobie tego życzy.

– Hm, nie, dziękuję. Zaczekam na dole, jeśli będziecie mnie jeszcze potrzebować. – Dunbar uśmiecha się i odchodzi.

Warman wyciąga pistolet i popycha drzwi.

– Mamy dziesięć minut, potem musimy się zmywać.

Jackson kiwa głową.

– Nie możemy dać temu durniowi zbyt wiele czasu, bo jeszcze wpadnie na pomysł, żeby zadzwonić do Yardu i o nas zapytać.

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, LONDYN

Ku rozczarowaniu Mitzi wciąż nie ma wyniku badania DNA pobranego z butelki, którą zabrała z gabinetu Gwyna.

– Będzie dzisiaj po południu – zapewnia ją Annie Linklatter, a w jej głosie daje się wyczuć wyraźny lęk.

Mitzi posyła jej na pożegnanie groźne spojrzenie i wraca do małego biura, które udostępniono jej i Bronty’emu.

Były ksiądz podnosi głowę znad rozłożonych na biurku dokumentów i map.

– Jakież trafienia?

– Nawet nie pytaj. Ci Brytyjczycy działają w takim tempie, że nie nadążają za nowoczesną cywilizacją.

Bronty parska śmiechem.

– Ona jest Amerykanką.

– Nie ma znaczenia. Przebywając tutaj, stała się powolna. Co robisz?

– Chodź i zobacz. – Bronty rozpościera na blacie wielki arkusz wojskowej mapy, a obok kładzie kartkę A4. – Myślałem o tym zdaniu z pierwszego fragmentu, który dostaliśmy: „Niniejszym rozkazuje się, by poległy rycerz tam był pogrzebany w ojczystej ziemi, gdzie jest krzyż Celtów, a bard samotny głosi pieśni ku jego chwale”.

– Poza krzyżem Celtów nic z tego nie rozumiem – wyznaje Mitzi.

– Nie sądzę, by chodziło tutaj o krucyfiks. Moim zdaniem autor miał na myśli miejsce, gdzie krzyżują się granice celtyckich klanów, irlandzkich i walijskich.

– Jakiś konkretny punkt.

Bronty kładzie palec na mapie.

– Tutaj. To jest miejsce, które kiedyś należało do zakonu templariuszy.

Mitzi wiedzie wzrokiem za jego palcem i dostrzega maleńką wysepkę przy zachodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii.

– Lundy? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Tam mogą spoczywać szczątki świątobliwych rycerzy – mówi Bronty z ożywieniem. – W tym miejscu Morze Celtyckie łączy się z Kanałem Bristolskim.

Mitzi uważnie studiuje mapę.

– Wygląda na to, że wyspa jest bardzo mała. Może mieć z osiem kilometrów długości i jakieś półtora szerokości.

– Nawet mniej. Tekst mówi o miejscu, gdzie „bard samotny głosi pieśń ku jego chwale”. Jest tam cmentarz i trudno sobie wyobrazić bardziej odludne miejsce w całej Europie, gdzie można by powiedzieć życzliwe słowo nad grobem poległego brata. A teraz zobacz, co znalazłem. – Bronty podchodzi do komputera i otwiera stronę internetową poświęconą wyspie.

– Wyspa należy do organizacji National Trust^[1] i została oddana w dzierżawę Landmark Trust^[2], co chroni jej teren przed zabudową i eksploatacją.

– I co z tego?

– Zobacz tu na dole.

Mitzi czyta na głos.

– „Brytyjski dyplomata, sir Owain Gwyn, jest głównym ofiarodawcą obu instytucji i wspiera liczne grupy, które opiekują się wyspą”.

– Zatem jeżeli kryje się tam jakaś tajemnica – mówi Bronty – Gwyn zajmuje odpowiednią pozycję, by zapewnić jej ochronę.

– Musimy tam powęszyć. Jak daleko jest do tej wyspy?

– Obawiałem się, że zadasz to pytanie. Ponad trzysta kilometrów plus rejs promem.

Mitzi uśmiecha się.

– Więc lepiej szykuj się do podróży.

[1] Brytyjska organizacja użyteczności publicznej, która zajmuje się ochroną zabytków i przyrody.

[2] Brytyjska organizacja zajmująca się ochroną i konserwacją

zabytków architektonicznych.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Członkowie Linii Krwi wywodzą się z Wielkiej Brytanii, Francji i Belgii, skąd przed wiekami przybyli rycerze, którzy utworzyli bractwo Okrągłego Stołu.

Mijając uzbrojone posterunki, żaden z zacnych wojowników nie pokazuje dokumentów. Zamiast tego strażnicy nakłuwają im palce i za pomocą testerów DNA porównują próbki ich krwi ze specjalnym kluczem, który mają wszystkie jednostki straży zakonu. Zidentyfikowani metodą hematologiczną rycerze Linii Krwi mogą już swobodnie się poruszać po zamku i przylegających do niego terenach.

Niewielka ich grupa zmierza w kierunku lasu, gdzie nowi rekruci ćwiczą walkę wręcz pod okiem byłych oficerów SAS. Od strony znajdujących się nieopodal parterowych baraków dobiega odgłos strzałów. Każdy z członków Linii Krwi swego czasu przechodził identyczne szkolenie w ciasnym labiryncie mrocznych pomieszczeń, gdzie inscenizowano akcję uwalniania zakładników.

Tymczasem Owain Gwyn wchodzi do zamkowej komnaty i zasiada pośrodku jednego z czterech niezwykle długich stołów, które zestawione ze sobą tworzą idealny kwadrat. Przy nich w równych odstępach stoi sto pięćdziesiąt krzeseł, a wysokie oparcie każdego z nich zdobi rodowy herb zasiadającego na nim rycerza.

Nad głową Owaina widnieje biała tarcza, którą dzieli na cztery części czerwony krzyż o kształcie identycznym z tymi, które spoczywają w grobach poległych rycerzy. W lewym górnym polu tarczy znajduje się czerwony smok z otwartą paszczą, a na dole po prawej wielki brązowy niedźwiedź. Pozostałe dwa pola wypełniają trzy złote korony i okrągły stół.

Owain podnosi wzrok znad liczącej wiele stuleci księgi w drewnianej oprawie, która spoczywa przed nim otwarta na blacie stołu. Starsi członkowie zgromadzenia zaczynają się schodzić. Zawsze przybywają pierwsi. Ci młodszy jak zwykle wpadną do komnaty w ostatniej chwili

z rumieńcami na rozpalonych policzkach.

Przywódca Tajemnego Zakonu Arturianów opuszcza swoje miejsce i podaje rękę na powitanie Terry'emu Lyonowi, potomkowi Tristrama de Lyonais, oraz Gerry'emu Erwinowi, którego przodkiem był Sir Geraint. Pozostali ustawiają się za nimi i przez najbliższy kwadrans Owain wita osobiście każdego z członków Linii Krwi.

Na koniec zjawia się Myrddin, który zgodnie z obyczajem i przysługującym mu prawem zamyka drzwi komnaty, wkładając klingę pałasza w żelazne koła dwóch uchwytów, po czym zajmuje swoje miejsce obok wejścia.

Owain Gwyn wodzi wzrokiem ponad długimi blatami stołów po twarzach zebranych. Ma przed sobą sto pięćdziesięcioro mężczyzn i kobiet, których przodkowie przed wiekami polegali za swoją wiarę w wolność i sprawiedliwość.

– Prześwietni członkowie Linii Krwi, dziękuję wam, że przybyliście do naszego domu z tak daleka na tak nagłe wezwanie. Moi drodzy przyjaciele, wiecie, że nie prosiłbym was o to, gdybyśmy nie musieli omówić spraw nadzwyczajnej wagi. – Owain widzi, że oblicza zgromadzonych przybierają poważny wyraz, dostrzega oznaki napięcia w ich ruchach, kiedy splatają ręce i nerwowo przebiegają palcami. – Z komunikatów zespołu analityków wiecie o rosnących zagrożeniach, jakie wiszą nad naszymi krajami. Wiecie również, że nasi rycerze toczą walkę z zaciekłym wrogiem zakonu, Mardridem, który wspiera takie organizacje jak Al-Kaida, rozsiewając ziarno wrogości, by potem zebrać krwawe żniwo. Człowiek ten, budując swoją potęgę w wysoko rozwiniętym świecie, wykorzystuje najuboższe kraje, gdzie opłacani przez niego bandyci pozbawiają całe pokolenia perspektyw na przyszłość.

Bardziej wrażliwi z zebranych półgłosem wymieniają ze sobą uwagi. Niektórzy z nich są na tyle starzy, że pamiętają nieludzkie akty okrucieństwa, jakich ojciec i dziadek Mardrida dopuszczali się w Etiopii, Ugandzie i Rodezji.

Owain czeka, aż szepty ucichną, a potem kontynuuje.

– Wewnętrzny Krąg prosi was, byście zatwierdzili jego decyzję o wysłaniu do Afryki zastępu krzyżowców, za których sprawą żaden wolny mężczyzna, kobieta czy dziecko nie padną już ofiarą gwałtów, mordów i tortur. Dwustu naszych rycerzy czeka w pełnej gotowości, by wkroczyć do Togo, gdzie Mardrid rozpętał istne piekło. W chwili gdy rozmawiamy, mobilizację przechodzi tysiąc kolejnych rycerzy.

Percy del Graal, potomek sir Percewala, podnosi rękę.

– Czy NATO o tym wie, sir Owainie?

– Zostali poinformowani i przeanalizowali sytuację. Żaden z krajów członkowskich nie jest w to zamieszany do tego stopnia, by wysyłać tam swoje siły. Każdy z nich ma napięty budżet obronny. Otrzymaliśmy ciche przyzwolenie sekretarza generalnego. – Owain rozgląda się po sali. – Czy są jakieś pytania?

Zebrani kręcą głowami.

– Zatem, prześwietni członkowie Linii Krwi, proszę was uniżenie, abyście okazali przychyłność wobec rozporządzenia Wewnętrznego Kręgu, który postanowił zorganizować krucjatę. Czy mam wasze poparcie?

Każdy ze stu pięćdziesięciu zgromadzonych zaciska dłonie w pięści i przykłada je do serca.

– Dziękuję wam wszystkim i każdemu z osobna. – Owain zanurza gęsie pióro w kałamarzu i odnotowuje wynik głosowania w leżącej przed nim księdze, po czym zapisuje datę, składa podpis i odciska swoją pieczęć. Potem starannie osusza kartkę bibułą, odkłada zabytkowe pióro i znów podnosi wzrok na zgromadzonych.

– Drodzy przyjaciele, jest jeszcze jeden powód, dla którego poprosiłem was o przybycie – mówi i czuje, że ogarnia go nagła fala wzruszenia. Serce zaczyna kołatać w piersi, a w ustach robi mu się sucho. Spogląda na Myrddina i widzi, że starzec ociera łzę. Zauważa, że również inni dyskretnie unoszą ręce do oczu. Przywołuje na twarz bohaterski uśmiech i mówi dalej. – Widzę, że niektórzy z was domyślają się już, co chcę

powiedzieć. Bramy Avalonu otwierają się przede mną i szykują się na tę wielką wyprawę. – Owain słyszy westchnienia, ale nie ma odwagi unieść wzroku, by zobaczyć, z czyich ust się wydostały. – Być może dziś po raz ostatni stoję przed wami i jest to ostatnia okazja, bym podziękował wam za waszą przyjaźń...

– Nie! – krzyczy ktoś z sali. – Za wcześnie na to.

Owain ucisza wzbierający gwar, unosząc rękę.

– Żałuję, że tak nie jest. Obawiam się, że zawsze jest później, aniżeli nam się wydaje. Niechaj Bóg was błogosławi, niech osłania was i wasze rodziny, a dziedzictwo waszej krwi niech rośnie w potęgę i trwa po wsze czasy.

NOWY JORK

Dwudziestojednoletnia Zachra Korszidi słyszy śmiechy, kiedy mocując się z drzwiami, wychodzi ze sklepu.

– Przepraszam panią. Możemy porozmawiać?

Ignoruje zaczepkę elegancko ubranego mężczyzny i idzie dalej. Myśli tylko o tym, jak bardzo nienawidzi burki, w której każą jej chodzić rodzice. Długa bepcłciowa szata nie przepuszcza powietrza i dziewczyna niemal omdlewa z gorąca, dźwigając ciężkie plastikowe torby z zakupami.

– Zajmę pani tylko chwilę – odzywa się mężczyzna, który wciąż idzie za nią.

Zachra przypomina sobie czasy, kiedy wolno jej było nosić dzinsy i podkoszulek. Kiedy mogła okrywać włosy kolorową chustą, ale wszystko to uległo zmianie, odkąd poznała tego chłopca.

Właśnie tak mówili o nim jej rodzice. Nie nazywali go Dżawidem ani jej wybrankiem.

Ten chłopiec.

Wypowiadali te słowa, jak gdyby był jakimś demonem. A wszystko dlatego, że to nie oni go dla niej wybrali. Że był sierotą, nie miał rodziny z tradycjami, wychował się w Ameryce i był zwolennikiem postępowych wartości, których oni nienawidzili.

Nic dziwnego, że go uwielbiała. Pokochała go całym swoim umysłem, duszą i ciałem. I nie bała się do tego przyznać. Przed samą sobą i przed innymi.

I w tym tkwił cały problem – kropla, która przepełniła czarę.

Gdyby w Nowym Jorku ktoś się przyznał do uprawiania seksu przed ślubem, nie zrobiłoby to na nikim większego wrażenia, jednak w Iranie groziło to publiczną chłostą, a nawet karą śmierci. Tymczasem jej rodzice zachowują się tak, jak gdyby wciąż mieszkali w starym kraju.

Mogłaby wynieść się z domu i uciec z Dżawidem, ale jego młodszy brat, Sadik, był w ostatnim stadium białaczki. Dlatego została, a ojciec pobił ją

tak dotkliwie, że przez kilka dni nie mogła chodzić.

W tym samym czasie Dżawid znikł.

Nie zadzwonił do niej ani nie wysłał żadnej wiadomości. Po prostu przepadł. Albo śmiertelnie się przeraził, albo spotkała go śmierć. Tak czy inaczej, słuch po nim zaginął.

Gdy go zabrakło, życie Zachry straciło sens. Przedawkowała tabletki nasenne swojej matki. Trafiła do szpitala i przeszła płukanie żołądka, a wtedy rodzice stwierdzili, że przyniosła im jeszcze większą hańbę, po czym zabrali ją do domu, i zamknęli na klucz w jej pokoju.

Została uwięziona.

A potem pojawiła się szansa, by odkupiła swoje winy. By przywróciła honor rodzinie i samej sobie. Zamiast bezsensownie odbierać sobie życie, mogła oddać je w szczytnym celu. Tak to ujął jej ojciec.

Nic więc dziwnego, że kiedy nadszedł ten dzień, była przerażona. Mdlilo ją ze strachu, wyrzutów sumienia, żalu i wściekłości. Wstrętem napawał ją fakt, że wraz z nią umrze wielu niewinnych ludzi. Ludzi, z którymi miała więcej wspólnego niż z własnym ciałem i krwią.

A potem wydarzył się cud i ktoś inny zgłosił się zamiast niej na ochotnika.

– Proszę pani.

Natarczywy mężczyzna zastępuje jej drogę. Patrzy w jej ciemne oczy.

– Jestem przyjacielem człowieka, który uratował pani życie. Człowieka, który nałożył kamizelkę.

Zachra czuje, jak jej serce zaczyna uderzać mocniej. Rusza przed siebie, próbując wyminąć intruza.

– Ile to jeszcze potrwa, zanim przyjdą do ciebie i znów każą ci to zrobić? Ile, Zachro?

WYDZIAŁ SPRAW HISTORYCZNYCH, RELIGIJNYCH I NIEWYJAŚNIONYCH, LOS ANGELES

Vicky Cantrell otwiera swoje konto pocztowe i znajduje wiadomość od profesora Quinna z Instytutu Smithsona.

Droga Panno Cantrell,

rozmawiałem o Pani szkicu z profesorem Wilsonem z Oksfordu, który podziela mój pogląd, że krzyż pochodzi z irlandzkiej epoki żelaza. Uważa on jednak, że ostre zakończenia jego ramion nie są typowe dla tego okresu, a także jest przekonany, że otwór znajdujący się pośrodku ma znaczenie obrzędowe.

Zdaniem profesora Wilsona jest możliwe, że podczas modłów krzyż umieszczano na wzniesieniu tak, aby przez ten otwór widać było światło słoneczne. Profesor wspomniał również, że według celtyckich legend przedmioty tego rodzaju składano w grobach wielkich wojowników. Nie tylko świadczyły one o ich wierze, ale również stanowiły uświęconą broń, za pomocą której umarli mógl walczyć w zaświatach ze złymi duchami.

Mam nadzieję, że informacje te okażą się dla Pani przydatne.

Szczerze oddany
Simon Quinn

Vicky pisze e-mail do Mitzi i załącza do niego wiadomość od Quinna. Eleonora Fracci jest w terenie, gdzie prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa wiedźmy, więc Vicky ma czas, by poszperać nieco głębiej w poszukiwaniu informacji na temat Owaina Gwyna, jego rodziny oraz interesów.

Zaczyna od Caledfwlch Ethical Investments i odkrywa, że dzieje spółki sięgają dalej w przeszłość niż powstanie bazy rejestrów urzędowych. CEI okazuje się hojnym ofiarodawcą wspierającym kilkanaście brytyjskich organizacji charytatywnych, w tym Natural England, która pomaga brytyjskim władzom w zarządzaniu rezerwatami przyrody i obszarami o szczególnym znaczeniu dla badań naukowych.

Vicky natrafia również na szereg intrygujących nawiązań do legend arturiańskich. Caledfwlch, nazwa spółki, to po walijsku Excalibur, a Gwynowie posiadają wielkie rodowe włości w Walii i w Glastonbury, czyli w miejscu, gdzie rzekomo spoczywają szczątki króla Artura i jego żony Ginewry. Glastonbury jest miejscem, gdzie po zmartwychwstaniu Jezusa schronił się Józef z Arymatei, główna postać legendy o świętym

Graalu.

Walijska siedziba Owaina, zamek Caergwyn, mieści się w pobliżu gór Preseli oraz słynnej formacji skalnej zwanej Cerrig Marchogion – Rycerskie Skały, która również uchodzi za miejsce wiecznego spoczynku Artura. Góry te są znane ze swojej budowy geologicznej, a zwłaszcza z charakterystycznego błękitnego piaskowca, z którego, jak głosi legenda, czarodziej Merlin zbudował Stonehenge. Ponadto ambasador jest właścicielem bogatej kolekcji nieruchomości, do których należą liczne wiejskie rezydencje w Tintagel, miejscowości położonej na południowym zachodzie Anglii, gdzie rzekomo Artur miał przyjść na świat.

Z rejestrów finansowych Vicky dowiaduje się, że Gwyn nabył znaczną ilość ziemi w Cadbury w hrabstwie Somerset. Wszystkie te nieruchomości znajdują się w pobliżu ruin starożytnego grodziska z epoki kamienia, gdzie według legendy stał kiedyś Camelot.

W trakcie dalszych poszukiwań Vicky natrafia na szereg filii CEI, z których jedna o nazwie CEIDP jest zarządzana wyłącznie przez Jennifer Gwyn. Początkowo Vicky przypuszcza, że to tylko firma fasadowa, później jednak odkrywa, że należą do niej również rozległe grunty i ma ona prawo dostępu do wody i zezwolenie na prace badawcze oraz korzystanie z Dozmary Pool w Kornwalii. W latach pięćdziesiątych ogłoszono, że obszar ten ma wyjątkowe znaczenie dla badań naukowych i dostęp do niego został ograniczony. Z dokumentów CEIDP wynika, że firma ta finansowała szeroko zakrojone badania nad chronionymi gatunkami ryb oraz wykopaliska archeologiczne.

Z czystej ciekawości Vicky szuka legend związanych z jeziorem Dozmary. Znajduje dwie. Jednak z nich opowiada o Janie Tregeagle'u, lokalnym urzędniku, który zyskał bogactwo i władzę, zawierając pakt z diabłem. Księżę ciemności zabrał jego duszę, a ciało umieścił na dnie jeziora, skąd potępieniec wychodzi, by straszyć mieszkańców okolicznych wiosek.

Druga legenda jest bardziej interesująca. Według niej Dozmary Pool

jest siedzibą Pani Jeziora i to tutaj Artur otrzymał miecz Excalibur. Do tegoż jeziora rycerz Bediwer wrzucił ów miecz po bitwie pod Camlann, w której Artur został śmiertelnie ranny.

Czując lekki zawrót głowy od nadmiaru faktów historycznych i legend, Vicky postanawia zrobić sobie przerwę i idzie do bufetu na lunch. Ma również nadzieję, że zastanie tam pewnego młodzieńca, który nazywa się James Watkins.

Jest niewiele starszy od niej, ma sylwetkę futbolisty i od niedawna pracuje w dziale informatycznym. Wczoraj, kiedy jedli lunch, siedząc obok siebie, Vicky cały czas dostawała wypieków i gęsiej skórki.

Zamawia sałatkę z tuńczyka, której zjedzenie zajmuje jej całą wieczność, gdy z każdym kęsem łądzi się nadzieją, że zobaczy obiekt swych westchnień.

Ale James Watkins nie przychodzi.

Dopijając drugą puszkę wody sodowej, wciąż siedzi sama przy stoliku. Przygnębiona odkłada tacę na stojak przy drzwiach i wraca do pracy.

Jej nastrój ulega poprawie, gdy szuka informacji na temat lady Gwyn. Stwierdza, że ta kobieta wie, jak olśniewać swoim wyglądem. Vicky z podziwem ogląda jej zdjęcia z balów dobroczynnych, na których występuje w luksusowych kreacjach, z przyjęć dla dygnitarzy, gdzie ma na sobie lśniące suknie koktajlowe, a nawet z regat, w których bierze udział w nieprzemakalnej kurtce i kamizelce ratunkowej.

Widać, że żona ambasadora zna się na najnowszych trendach mody. Jest znakomitością sama w sobie. Jako córka Leo Degrance'a, bogatego i wpływowego biznesmena, uczęszczała do ekskluzywnych szkół, należała do brytyjskiej reprezentacji i zdobywała medale na zawodach jeździeckich, a obecnie patronuje kilkunastu organizacjom charytatywnym.

Dla rozrywki Vicky szuka w Internecie informacji na temat genezy imienia Jennifer i z rozbawieniem odkrywa, że ma ono walijskie korzenie i wywodzi się od Gwenhwyfar, czyli Ginewry.

Robi to samo z imieniem Owain i licząc na kolejny zbieg okoliczności

w tym rozdaniu, spodziewa się, że będzie ono miało coś wspólnego z królem Arturem.

Okazuje się jednak, że tak nie jest.

Za to imię Owain po walijsku znaczy Młody Wojownik, co jest dla Vicky na tyle satysfakcjonujące, że kontynuuje poszukiwania w sieci.

Jej wytrwałość zostaje nagrodzona, kiedy natrafia na kilka artykułów, które ujawniają fakt, że brytyjski arystokrata jest bardzo konfliktowy i procesuje się z wieloma firmami i osobami prywatnymi, które w jego mniemaniu naruszyły jego prywatność.

Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje słynący ze swego ekscentryzmu walijski historyk, Rhys Mallory, który opublikował jego nieautoryzowaną biografię. Gwyn uzyskał również szereg nakazów sądowych, które zabraniały Mallory'emu „w jakikolwiek sposób rozpowszechniać wszelkie informacje, które dotyczą rodziny Gwynów, a nie zostały dotychczas opublikowane, i udostępniać ich osobom lub grupom osób oraz dzielić się nimi za pośrednictwem środków przekazu pozwalających na ich czytanie lub wysłuchanie zarówno prywatne, jak i publiczne”.

Vicky nie jest detektywem, ale nie brakuje jej przenikliwości i zdaje sobie sprawę, że historyk zna jakąś niezwykle drażliwą tajemnicę, do której ujawnienia ambasador nie chce dopuścić. Znajduje jego dane kontaktowe i dodaje je do raportu, który wysyła Mitzi i Bronty'emu.

Po skończonej pracy uznaje, że zasłużyła na mały batonik czekoladowy z nadzieniem miętowym. Właśnie sięga po nagrodę, kiedy dzwoni telefon na jej biurku.

– Cantrell?

– Vicky? – W słuchawce rozlega się głos przystojnego informatyka.

Serce Vicky zamiera na chwilę.

– Tak.

– Cześć. Mówi James. Co u ciebie?

Na myśl o jego łagodnym uśmiechu i brązowych oczach Vicky natychmiast ogarnia niepokój.

– U mnie... w porządku.

– Posłuchaj, wybacz, że nie byłem dzisiaj na lunchu. Jestem w terenie i pomagam zakładać system obserwacyjny. Co byś powiedziała na kolację dziś wieczorem?

– Kolację? – Tego Vicky naprawdę się nie spodziewała. – Masz na myśli kolację jako randkę czy jako zwykły posiłek? – pyta i nie może uwierzyć, że to powiedziała. – O Boże, ale głupstwa wygaduję, co?

– Wcale nie. Owszem, mam na myśli kolację jako randkę.

– A więc tak. Bardzo mi się podobasz... to znaczy bardzo mi się podoba ten pomysł.

James śmieje się.

– To dobrze, bo ty też bardzo mi się podobasz. Może być o ósmej?

NOWY JORK

Ukryta za przyciemnianymi szybami limuzyny Zachra Korszidi zdejmuje nikab z twarzy. Przygląda włosy i patrzy na kierowcę oraz mężczyznę, który siedzi obok niej na tylnej kanapie.

– Kim jesteście? Policją? CIA?

– Nic z tych rzeczy – odpowiada Gareth Madoc. – Ale jeśli wolisz rozmawiać z nimi, mogę ich tu zaraz wezwać.

– Nie – odpowiada dziewczyna piskliwym od napięcia głosem. Zaryzykowała wiele, wsiadając do tego samochodu. Jej ojciec ma w tej dzielnicy wielu znajomych. – W takim razie kim?

– Powiedzmy, że pracuję dla organizacji o charakterze dobroczynnym, która chciałaby ci pomóc.

Zachra przybiera ironiczny wyraz twarzy.

– Dlaczego?

– Bo powstrzymując takie młode kobiety jak ty od przeprowadzania samobójczych zamachów, ratujemy życie Amerykanów.

Teraz Zachra czuje się tak zawstydzona, że nie potrafi spojrzeć mężczyźnie w oczy.

– Mówił pan, że możecie mi pomóc.

– Tak.

– Czy to znaczy, że gdybym chciała uciec daleko stąd, żeby nikt mnie nie znalazł, moglibyście to załatwić?

– Jeżeli zgodzisz się na współpracę, będziesz mogła zamieszkać, gdzie zechcesz. Dostaniesz nową tożsamość, trochę pieniędzy, a może również jakąś pracę i mieszkanie.

Zachra siedzi, wlepiając wzrok w swoją czarną szatę, i przypomina sobie to wszystko, co ona symbolizuje. Ale ten mężczyzna mówiący z brytyjskim akcentem oczkuje od niej, aby zdradziła swoją rodzinę i wszystko, co wiąże się z tymi ludźmi.

Gareth sięga do wewnętrznej kieszeni niebieskiej marynarki i wyjmuje

plik niewielkich fotografii.

– Musisz to zobaczyć. To nie będzie przyjemny widok, ale powinnaś je obejrzeć.

Dziewczyna z wahaniem bierze zdjęcia do ręki. Pierwsze z nich przedstawia wielki kontener na śmieci stojący na grubych czarnych kółkach. Kontener znajduje się na tyłach jakiegoś baru szybkiej obsługi i w otwartych drzwiach kuchni widać frytkownicę i podłużny ruszt. Na drugim zdjęciu sterta czarnych worków ze śmieciami, z których część jest zawiązana, a część porozdzierana, piętrzy się na placu za barem. Na trzecim umundurowani policjanci otwierają worki. Na czwartym zdjęciu widać ich zawartość. Odcięte kończyny. Dłonie. Stopy. Ramiona.

Zachra w głębi serca wyczuwa, co zobaczy na piątym zdjęciu.

Rozpoznaje twarz Dżawida.

Głowa jej ukochanego została odcięta od tułowia, a na zasnutych bielmem oczach siedzą muchy. Jego włosy, w które tak uwielbiała wplatać palce, kiedy ją całował, są pozlepiane krwią i uwalane resztkami jedzenia.

Mija prawie minuta, zanim udaje się jej złapać oddech, zanim opanowuje huragan emocji, który szaleje w jej wnętrzu. W końcu odzyskuje głos. Wie, że słowa, które wypowiada, zmienią jej życie.

– Mogę wam pomóc. Wiem o pewnych rzeczach.

KOMENDA POLICJI, WASZYNGTON

Kirstin Collins rozczesuje palcami zmierzwione włosy, wpatrując się w obraz, który leży przed nią na biurku.

Mały tandetny i stary obraz olejny został znaleziony w małym tandetnym i starym mieszkaniu Deagana. Kirstin nie jest do końca pewna, czy wzbudzi on zainteresowanie Mitzi, ale obiecała informować ją na bieżąco o wszystkich postępach, więc dotrzymuje słowa.

Policjantka przykłada obraz do dużego skanera, zapisuje plik JPG, który załącza do wiadomości dla Mitzi, a następnie wybiera jej numer.

– Fallon.

– Mówi Kirstin Collins. Jesteś w pobliżu komputera?

– Aż za bardzo. Gniotę się w biurze, które jest mniejsze od łazienki moich dzieci. Co masz dla mnie?

Kirstin wysyła wiadomość.

– Wysłałam ci skan obrazu, który mundurowi znaleźli w mieszkaniu Deagana. Był zawinięty w płótno i ukryty pod podłogą.

Mitzi otwiera konto pocztowe.

– Jeszcze nie dotarł. Jakiś ślad Deagana, żywego lub martwego?

– Nic. Wyparował razem z samochodem. U niego w domu piętrzyła się sterta listów. Nikt nie widział go od czasu, kiedy zatrzymał się w tym nocnym barze.

– Czy ten obraz jest jednym z tych, które wykorzystał, żeby dokonać wyłudzenia?

Kirstin spogląda na malowidło.

– Nie wiem. Nie miałam czasu sprawdzić. W aktach sprawy nie było zdjęć.

– Czy wygląda na obraz religijny?

– Nie bardzo. Ale jest bardzo stary i rozmiar by się zgadzał. Domyślałam się, że skoro to było oszustwo, sąd pozwolił mu go zatrzymać, prawda?

– Jasne. To jego własność. Przyszedł twój mail. Otworzę go, a ty zostań

na linii.

Kirstin chwyta długopis i czeka. Rysuje kwiatki na kartce. Wielkie bukiety kwiatów. To jedyne, co potrafi narysować.

Mitzi siedzi przed monitorem, patrząc, jak obraz rozwija się powoli z góry na dół.

– Co tam słyhać, Kirstin? – zagaduje. – Jak się miewasz?

– W porządku. – Kirstin kończy rysować pęk róży. – Brakuje mi Irlandczyka i nie mogę uwierzyć, że już nigdy nie pojawi się w drzwiach. Za parę dni będzie pogrzeb. Nie zapowiada się, by przyszło wielu ludzi. Cholera, może się okazać, że będę tylko ja i ksiądz. A ty będziesz?

Mitzi wręcz kuli się na krześle.

– Chciałabym, ale szczerze mówiąc, raczej nie mogę sobie teraz na to pozwolić. W Kalifornii mam dwie córki, które nie mogą się mnie doczekać, i siostrę, która rozwodzi się z mężem, a ja utknęłam w Londynie. Może podasz mi dokładne namiary, a ja prześlę kwiaty.

– Wiesz co, kwiaty na nic mu się nie przydadzą – odpowiada Kirstin, pokrywając gryzmołami róże, które właśnie narysowała. – Lepiej przyślij butelkę whisky, a ja opróżnię ją na jego cześć. A jedną szklaneczkę za ciebie.

– Nie ma sprawy – mówi Mitzi. Widzi już na monitorze przed sobą cały skan. – Załącznik jest w porządku. Mam go.

– Czy to jest ten obraz, o którym wspominałaś?

– Nie mam pojęcia. Ale znam człowieka, który będzie to wiedział. Dziękuję, że pomyślałaś o mnie.

– Proszę bardzo.

– Wiesz, gdybyś czegoś potrzebowała, gdybyś chciała o czymś pogadać, to zadzwoń do mnie, dobra?

– Dzięki.

Kirstin Collins kończy połączenie. Zawija obraz z powrotem w płótno, w którym został znaleziony, i obwiązuje sznurkiem.

Potem podchodzi do biurka Irlandczyka. Siada na jego starym

sfatygowanym krześle i okręca się na nim w lewo i w prawo, w lewo i w prawo. I po chwili czuje, że jest jej odrobinę lepiej.

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, LONDYN

Bronty odrywa się od przygotowań do wyjazdu na Lundy i stojąc za plecami Mitzi, przygląda się cyfrowej kopii obrazu.

– Tu są rycerze – mówi, nie kryjąc rozczarowania. – *Ołtarz Gandawski* przedstawia kilka grup ludzi, którzy przychodzą oddać cześć Chrystusowi. Na brakującej tablicy są sędziowie, nie rycerze.

– To znaczy, że mamy do czynienia z najgorszym fałszerzem wszech czasów?

Bronty pochyla się nad monitorem i przygląda się z bliska krawędziom malowidła.

– Nie jestem specjalistą, ale czy zwróciłaś uwagę na te kolory z brzegu? Coś tu nie gra. Te mroczne cienie nie pasują do reszty obrazu.

Mitzi przechyla głowę i spogląda na monitor pod różnymi kątami.

– Czy to nie jest jakieś obramowanie?

– Możliwe. Albo świadczy o tym, że na wierzchu była namalowana jeszcze jedna warstwa. Coś, co potem zostało zdarte.

– Masz na myśli sędziów?

– Kiedyś krążyły takie pogłoski, że podczas renowacji pod którymś z malowideł odkryto inny obraz. Na podobnej zasadzie otwarcie ołtarza odsłania zupełnie inne sceny niż te, które widzimy, kiedy jest zamknięty. I należy pamiętać, że nad tym dziełem pracowało dwóch ludzi, najpierw Hubert van Eyck, a potem jego brat, Jan.

Mitzi zastanawia się przez chwilę.

– Deagan pokazał obraz grupie specjalistów z domu aukcyjnego Christie's, a oni stwierdzili, że to falsyfikat. Musieli zauważyć to samo co ty i uznali, że to oszustwo.

Bronty wciąż ze skupieniem ogląda obraz, studiując uważnie każde pociągnięcie pędzla.

– A może wtedy wierzchnia warstwa nie została jeszcze usunięta.

– Mogę poprosić Kirstin, żeby sprawdziła to w aktach sprawy –

proponuje Mitzi.

Bronty przysuwa sobie krzesło i siada obok niej.

– *Ołtarz Gandawski* jest dziełem sztuki o ogromnej wartości. To dlatego wszyscy, od Napoleona do Hitlera, usiłowali go zagrabic. Wielu znawców uważa ten polptyk za jedno z pierwszych wielkich dzieł renesansu, za zwiastun realizmu, a niewątpliwie za najznakomitsze malowidło swojej epoki. Zatem umieszczenie owych rycerzy w takim miejscu jest świadectwem ich udziału w adoracji Mistycznego Baranka, które potwierdza ich bogobojność i zapewnia im nieśmiertelność, i miało w tamtych czasach ogromne znaczenie.

– Dlaczego? – pyta Mitzi niepewnie. – Przecież to tylko rycerze.

– To nie są zwykli rycerze. Jak mówiłem, van Eyck namalował już wcześniej tablicę przedstawiającą rycerzy. Ten obraz jest inny. Przyjrzyj mu się dokładnie.

– Ten tutaj pośrodku, to nie jest... no, wiesz kto?

Bronty kiwa głową.

– Całkiem możliwe. A jeżeli tak jest, to wszyscy, którzy stoją wokół niego, są Rycerzami Okrągłego Stołu. – Bronty wskazuje na obraz. – Zobacz te okrągłe symbole na ich tarczach i trzy złote korony na chorągwi, która powiewa nad Arturem.

Ale uwagę Mitzi przyciąga coś innego.

– A niech mnie! – krzyczy i stuka palcem w monitor. – Widziałeś to?

Bronty przygląda się umieszczonej na drugim planie postaci księdza, który siedzi na koniu, trzymając Biblię i krucyfiks. Krzyż wygląda identycznie jak ten, który znają ze szkicu. Ten, z którego powodu zginął Amir Goldman.

Obydwoje odwracają głowy, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

W progu stoi Annie Linklatter z bojaźliwą miną i w dłoni trzyma kopertę.

– To jest wynik analizy DNA, na który pani czekała.

LONDYN

Dla Angelo Marchettiego jest to niezwykle dzień.

Żadnego alkoholu. Żadnej koki. Żadnego hazardu.

Włoch jest trzeźwy od niemal dwudziestu czterech godzin i przez cały ten czas próbuje wziąć się w garść. Znaleźć jakiś sposób, by wyjść cało z tarapatów i zacząć nowe, wolne od problemów życie. Jedynym sposobem na to jest odzyskanie oryginalnego nośnika pamięci. Może się nim posłużyć, aby doprowadzić do sytuacji, w której Gwyn będzie bezbronny wobec Mardrida. Bez tego Marchetti jest martwy.

Sophie Hudson dużo powiedziała przed śmiercią. Podała nazwiska policjantów prowadzących śledztwo w sprawie zabójstwa Goldmana i przyznała się, że oddała pendrive agentce FBI.

Kobiecie, która nazywa się Mitzi Fallon.

Marchetti patrzy na jej twarz i ramiona widoczne na zdjęciu ze służbowej kartoteki. Ma na sobie niebieski mundur policji Los Angeles i wygląda za bardzo jak mamuśka, żeby zadziałać na jego wyobraźnię. Angelo woli szczuplejsze i młodsze kobiety z większym biustem i dłuższymi włosami. Niemniej Mitzi Fallon jest doskonałym detektywem.

Pracowała w wydziale do spraw napadów rabunkowych. Potem w wydziale zabójstw.

Z krótkiego biogramu, który dostał, wynika, że porucznik Fallon zaliczyła w życiu prawie tyle samo porażek co on. Jest po rozwodzie, brakuje jej pieniędzy i ma na utrzymaniu dwie nastoletnie córki.

Tyle informacji mu wystarczy. Na razie.

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, LONDYN

Na pojedynczej kartce widnieje rząd słupków różnej wysokości, które wyglądają jak dziwaczny zapis monitora pracy serca. Obok wykresu w niektórych miejscach znajdują się cyfrowe kody.

Mitzi setki razy miała do czynienia z wynikami analizy DNA, ale Bronty widzi coś takiego po raz pierwszy.

– Co to wszystko oznacza? – pyta były ksiądz. – Wiem, że chodzi o próbkę DNA Daltona pobraną z butelki, którą zwinęłaś...

– Zabezpieczyłam.

– Przepraszam, z butelki, którą zabezpieczyłaś. Ale jakie można wyciągnąć z tego wnioski?

– Żadnych – odpowiada Mitzi i bierze wydruk do ręki. – Chodzi wyłącznie o to, by potwierdzić zgodność. Ławy przysięgłych uwielbiają DNA. Nic z tego nie rozumieją, ale zdają sobie sprawę, że to niepowtarzalna genetyczna wizytówka, i dlatego wierzą, że można polegać na takich analizach. I tylko to się dla nich liczy.

Bronty nadal jest zaintrygowany.

– Rozumiem, ale czy potrafisz mi to wyjaśnić od strony naukowej?

– Poniekąd tak. Widziałam, jak to działa dziesięć lat temu, kiedy jeszcze analizy przeprowadzano ręcznie. Teraz wszystko robi maszyna, ale proces jest podobny. Laboratorium uzyskuje materiał DNA z pojedynczej komórki pobranej z wymazu. W naszym przypadku ze śliny Daltona, którą zostawił na szyjce butelki. Wykorzystuje się enzymy, aby wyodrębnić najistotniejsze części, które potem traktuje się prądem. Dzięki temu można rozdzielić je na pary, które tworzą jedyny w swoim rodzaju wzór. Na koniec pozostaje przekształcić to wszystko w wykres.

– Naprawdę tylko tyle?

– W zasadzie tak. Ale, jak powiedziałam, teraz wszystko odbywa się automatycznie. Gdybyś zapytał jakiegoś profesora, namąciłby ci w głowie tłumacząc, że deoksy- coś tam, rybonukleinowy, coś tam, a sekwencje

minisatelitarne coś tam, ale koniec końców wygląda to tak, jak ci mówiłam. – Mitzi wraca do biurka i zaczyna stukać w klawiaturę. – Teraz wykorzystam naszą bazę danych, żeby porównać profil DNA Daltona z tym, który wyodrębniono ze śladów krwi znalezionych w barze nocnym.

– A jeżeli będą do siebie pasować, to oznacza, że Dalton jest zabójcą Deagana.

– To zbyt pochopny wniosek. Nie możemy na razie potwierdzić, że Deagan nie żyje, obecnie jest on uznany za zaginionego. Ale na pewno byłby to niepodważalny dowód, że Dalton znajdował się w miejscu, gdzie po raz ostatni widziano Deagana.

Obydwoje czekają, przyglądając się, jak program przeszukuje bazę danych.

– Kiedyś obliczyłam, że spędzam sześćdziesiąt minut tygodniowo, czekając, aż komputer przetworzy dane – utyskuje Mitzi. – Cztery godziny w miesiącu, czterdzieści osiem godzin w roku. Cały cholerny tydzień pracy samego czekania.

Rozlega się sygnał dźwiękowy i ekran zamiera. Ukazują się dwa odrębne rzędy słupków i jeden z nich nasuwa się na drugi. Potem w ramce ukazuje się słowo „Zgodność”.

– No proszę – mówi Mitzi. – Wygląda na to, że kiedy ty popłyniesz na to upiorne pustkowie, ja będę musiała jeszcze raz odwiedzić naszego nowego brytyjskiego przyjaciela.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Owain ogląda wiadomości CNN na jednym z wielkich telewizorów w swoim gabinecie. Dwa inne, ustawione na Sky News i Bloomberg, mają przyciszony dźwięk. Wszystkie kanały emitują rozmowy z ministrami i ekspertami od obronności, którzy wypowiadają się na temat zamachu na pociąg Eurostar.

Owain całkowicie wyłącza dźwięk, gdy na wyświetlaczu aparatu podłączonego do zakodowanej linii widzi numer Garetha Madoca.

– Gareth, jak się miewasz?

– Dobrze i zaraz tobie też poprawi się humor. Mam dobrą wiadomość.

– Nabil?

– Nie. On na razie się nie wychyla. Ale mamy dziewczynę.

– A z twojego tonu wnioskuję, że zgodziła się na współpracę.

– Owszem. Ojciec Zachry Korszidi, Chalid, pozyskuje fundusze dla lokalnego meczetu i jest jego głównym administratorem, a to jeden z największych meczetów w Stanach.

Uwagę Owaina odwraca na moment przesuwaną się na pasku u dołu jednego z ekranów informacja, że wartość akcji Mardrida spadła o dwa procent po tym, jak nabył pewną kolumbijską spółkę, która rzekomo ma powiązania z FARC, lewicową organizacją partyzancką. Ambasador zapisuje tę informację w żółtym notesie i wraca do rozmowy.

– Przepraszam, musiałem coś zanotować. Czy ojciec tej dziewczyny zajmuje się tylko finansami, czy również angażuje się w inną działalność?

– Nawet jeżeli nie, to na pewno jest bardzo wpływowy. Chalid Korszidi pełni funkcję przewodniczącego nowojorskiej Rady Szariatu i jest znany jako niezłomny fundamentalista. Jak twierdzi Zachra, jest również zbyt władczy i zapatrzony w siebie, by komukolwiek coś powierzyć. Jest pewna, że jej ojciec wie o wszystkim, co się dzieje.

– I nie łączy ich żadne uczucie?

– Absolutnie. Ona go nienawidzi. Pragnie uciec tak daleko, jak tylko

się da.

– Więc musimy jej pomóc. Ale czy naprawdę myślisz, że to doprowadzi nas do Nabila i jego mocodawców?

– Dziewczyna twierdzi, że zna Nabila. Pokazałem jej zdjęcie i od razu go rozpoznała jako człowieka, który przez ostatni rok regularnie bywał w jej domu, sam lub w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny. Matka podawała herbatę, podczas gdy on rozmawiał z jej ojcem w salonie. Potem zazwyczaj mówili, że wybierają się do meczetu i razem odjeżdżali.

Owain składa informację w spójną całość.

– To oznacza, że Nabil ufa Chalidowi. Czas działa na naszą niekorzyść. Nie możemy po prostu śledzić ojca dziewczyny i liczyć, że uda nam się trafić w dziesiątkę.

– Wiem. Kazałem jej skopiować listę kontaktów z komórki ojca. Dałem jej czytnik. Dziewczyna umieści też lokalizator w obcasie jego buta. Jeżeli go zauważy, pomyśli, że po prostu nadepnął na kawałek metalu. Podobno zawsze chodzi w tych samych starych butach, więc dosyć łatwo będzie nam go namierzyć.

– Dałoby się zainstalować podsłuch i kamery w jego domu? Najlepiej w salonie?

– Dziewczyna boi się tego, ale spróbuję jeszcze raz ją przekonać, kiedy już założy mu lokalizator i dostarczy nam jego książkę telefoniczną.

– Musisz to zrobić w ciągu najbliższej doby. Myrddin jest bardzo niespokojny, a wiesz, co to oznacza.

– Wizje?

– Złe wizje. Najgorsze, jakie kiedykolwiek miał.

SIEDZIBA CALEDFWLCH ETHICAL INVESTMENT, LONDYN

Mitzi wsiada do czarnej taksówki, która wiezie ją do siedziby CEI, tymczasem Bronty udaje się pociągiem z Londynu do Ilfracombe, gdzie ma nadzieję złapać ostatni prom na Lundy.

Mitzi nienawidzi statków. Dostaje choroby morskiej od samego leżenia w wannie. Jej były partner, Nic Karakandez z policji w Los Angeles, miał jacht i regularnie zabierał dziewczynki na rejsy, ale ona zawsze odmawiała i szła na zakupy albo czekała na nich z książką w kawiarni. Karakandez był świetnym gliniarzem i naprawdę przyzwoitym facetem. Na tyle przystojnym, by mogła się w nim poważnie zadurzyć. Gdyby nie trzymała się kurczowo szczątków zdruzgotanego małżeństwa, życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej, a on zapewne nie wpuściłby wszystkich oszczędności w tę swoją starą łajbę, żeby rzucić pracę i popłynąć w rejs dookoła świata.

Myśli o nim i zastanawia się, jak mógłby wyglądać ich wspólny świat, czekając w recepcji CEI pełnej wytwornych mebli i ludzi mówiących z akcentem, który wcześniej słyszała tylko w telewizji.

W polu widzenia pojawia się przeszklona winda, stopniowo odsłaniając eleganckie czarne buty Melissy Sachs, opalone nogi, modną pomarańczową spódnicę, białą bluzkę o mankietach ozdobionych falbankami i głowę z idealnie ułożonymi ciemnymi włosami sięgającymi do ramion. W porównaniu z nią Mitzi czuje się jak poobijana ulicznica.

– Porucznik Fallon, jestem zaskoczona pani wizytą. – Sekretarka uśmiecha się przyjaźnie, ale patrzy podejrzliwie. – Nie mamy w planie spotkania z panią, więc w czym mogę pomóc?

– Muszę porozmawiać z pani szefem i z George’em Daltonem.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz pan Dalton. Przypuszczam, że otrzymała pani jego numer telefonu, więc proszę z niego skorzystać albo skontaktować się przez ambasadę.

– Łatwiej jest dogadać się z umarłym, niż dostać odpowiedź

z ambasady. A co z sir Owainem?

– Niestety jego też nie ma. Przebywa teraz w swoim domu w Walii i pozostanie tam przez kilka dni. Czy życzy pani sobie, abym przekazała mu jakąś wiadomość?

– Tak. Proszę mu powiedzieć, że wybieram się do niego – odpowiada Mitzi i rusza w stronę wyjścia.

Melissa idzie za nią.

– To nie jest dobry pomysł. Pan Gwyn ściśle przestrzega zasady, by nie mieszać życia prywatnego z zawodowym. Zadzwoń do niego i poproszę, aby podał jakiś termin, w którym może przyjąć panią w swoim biurze. Tak będzie wygodniej dla wszystkich.

– Posłuchaj, młoda damo, twój szef i jego koleżka George są zamieszani w sprawę kryminalną. Przypuszczam, że jeśli to nabierze rozgłosu, nie wpłynie korzystnie na ich reputację. – Mitzi rozkłada ramiona i powoli zatacza nimi krąg. – Nie mówiąc już o wartości udziałów tej wspaniałej firmy.

– Sugeruję, aby pani...

– Dosyć! Dawanie mi sugestii nie jest dla ciebie odpowiednim zajęciem. – Mitzi mierzy sekretarkę groźnym spojrzeniem. – Zadzwoń do swojego szefa i powiedz mu, że jestem wściekła jak cholera. Tak wściekła, że wybiorę się na to pieprzone odludzie i kiedy dotrę na miejsce, spodziewam się porządnej czarnej kawy i szczerych odpowiedzi.

Mitzi, nie czekając na reakcję, wychodzi.

Na zewnątrz uderza ją uliczny zgiełk. Ma dosyć tego śledztwa. Chce wrócić do domu i zająć się chorą córką. Chce pogodzić się z Jade, potrzymać siostrę za rękę, wypić z nią po lampce wina i pomóc jej rozwiązać małżeńskie problemy.

Nie ma najmniejszej ochoty jechać na pustkowie, by dobrać się do skóry jakiegoś brytyjskiemu ważniakowi.

– Taxi! – Mitzi wychodzi na jezdnię, wymachując uniesioną ręką.

Obok niej zatrzymuje się taksówka, a z otwartego okna wychyla się

łysa głowa starszego londyńczyka, który ma na sobie koszulkę drużyny Chelsea.

– Dokąd chce pani jechać?

– Do San Francisco – odpowiada Mitzi i otwiera drzwi samochodu. – Ale na razie starczy Dean Street, tylko proszę sobie nie myśleć, przyjacielu, że jak mówię z amerykańskim akcentem, to można mnie wieść okrężną drogą, bo nie dam się zrobić w balona.

SAN FRANCISCO

Tess i Chris Wilkinsowie wyglądają na typową bezdzietną parę. Są małżeństwem od dwunastu lat, a znają się od piętnastu, i z wiekiem trochę za mocno przybrali na wadze i stali się leniwi. Utrzymanie zapewnia im skromna firma, która zajmuje się regeneracją naboju do drukarek atramentowych i jest na tyle rentowna, że mogą sobie pozwolić na czteropokojowy dom na przedmieściach Los Angeles.

San Francisco jest miejscem, które znają i kochają. W przeszłości wybierali się tam na wszystkie możliwe wycieczki – przejeżdżali mostem nad zatoką, zwiedzali Alcatraz i oglądali zachód słońca, jedząc najlepsze na świecie krewetki na pokładzie pływającej restauracji Fisherman's Wharf.

Chris ma długie, ciemne włosy i gęstą, kręconą brodę. Ma trzydzieści dziewięć lat, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i waży przeszło sto trzydzieści kilo. Tess jest od niego trzy lata młodsza, niższa o kilkanaście centymetrów i lżejsza o czterdzieści pięć kilo. Kiedyś była cheerleaderką i potrafiła zrobić szpagat, ale tamte czasy dawno minęły. Była wtedy blondynką, ale teraz jej włosy mają kolor grafitu i wymagają porządnego cieniowania oraz przycięcia o kilka centymetrów. Mówi przyjaciółkom, że poszłaby do fryzjera, ale Chris ma gust jaskiniowca i podoba mu się, gdy jej włosy są długie i naturalne.

Dobiegający z radia głos Taylor Swift wypełnia wnętrze sześciomiejscowego kampera, którego wynajęli na lotnisku. Zabrali ze sobą mnóstwo rzeczy – przekąski, napoje i całą szafę ubrań. Ten ośmiometrowy dom na kółkach w sam raz odpowiada ich potrzebom.

Chris otwiera kolejną paczkę gumy do żucia, kiedy z rykiem dziesięciozaworowego silnika samochód wspina się po długim stoku jednego ze wzgórz otaczających San Francisco.

– Jesteśmy już blisko?

Jego żona zakręca z powrotem butelkę, z której popijała colę,

i spogląda na odbiornik nawigacji satelitarnej przyczepiony przyssawką do przedniej szyby.

– Jeszcze dwa albo trzy kilometry i zjazd, a potem jeszcze raz to samo.

– Kobieta odciąga od szyi brzeg różowego podkoszulka i wachluje sobie dekolt. – Myślisz, że w tym gracie działa nawiew?

– Włączyłem ogrzewanie, żebyś musiała to z siebie zdjąć.

Tess śmieje się do niego i podwija dół podkoszulka pod same piersi.

– Zdejmę go, kiedy prowadzisz, a wylądujemy w rowie.

– Brzmi zachęcająco – odpowiada Chris i żartobliwie kołysze kierownicą.

– Raczej przerażająco.

– To już nie brzmi tak dobrze.

– A tak poważnie, mógłbyś wycisnąć trochę chłodnego powietrza z tej kratki?

Chris naciska guzik wentylatora, ale nic się nie zmienia.

– Chyba coś jest z nim nie tak. Równie dobrze możesz otworzyć okno, żeby wiatr rozwiewał twoje wspaniałe włosy.

Tess posyła mężowi seksowny uśmiech, po czym opuszcza szybę w oknie po stronie pasażera i opiera głowę na zagłówku. Chris zerka na nią, rozkoszując się widokiem długich rozwianych włosów, które trzepocąc na wietrze, odsłaniają jej urocze policzki. Ma ochotę zahamować, rzucić się na nią i posiąść ją tutaj, w tej chwili, blokując drogę tym wielkim samochodem, żeby wszyscy na nich trąbili, stojąc w dziesięciokilometrowym korku.

– Patrz na drogę, kochanie – odzywa się Tess, spoglądając na niego zza wielkich czarnych okularów przeciwsłonecznych. – Jedź grzecznie, a kiedy zatrzymamy się na parkingu, postaram się coś zaradzić na ten problem, który narasta ci w spodniach.

SOHO, LONDYN

Mitzi daje napiwek odźwiernemu. Jako nastolatka pracowała w różnych hotelach i zapamiętała, jak wielki wpływ na jej zarobki miała hojność gości.

Wchodzi do chłodnego holu i kierując się w stronę windy, mija recepcję. Jej umysł pracuje na wysokich obrotach, szukając sposobu, by dostać się do Walii najszybciej, jak to możliwe. Kiedy tylko tego dokona, zamknie sprawę i wróci do domu.

– Przepraszam, pani Fallon – zwraca się do niej mężczyzna o pulchnej twarzy, ubrany w elegancki garnitur. – Nazywam się Jonathan Dunbar i jestem menedżerem hotelu. – Wręcza jej wizytówkę i w tej samej chwili dźwięk dzwonka oznajmia przybycie windy. – Proszę. – Dunbar gestem zaprasza Mitzi do wnętrza o ścianach z luster i wypolerowanej stali. – Pozwoli pani, że potowarzyszę jej w drodze do pokoju.

Mitzi wchodzi do kabiny.

– Mieszkam tutaj już drugi dzień – mówi, spoglądając podejrzliwie na menedżera. – Znam drogę do mojego pokoju.

– Oczywiście. – Dunbar naciska guzik i winda rusza. – Chciałbym tylko dyskretnie zamienić z panią kilka słów, jeśli to możliwe.

– Niezbyt mi to odpowiada – mówi Mitzi. – Dyskretnie w każdym języku oznacza „nie wtrącaj się”, „odwal się” i „zamknij się”. Jest to słowo, które najmniej mi się podoba. No, chyba tylko „zaległy” ma jeszcze bardziej gówniany wydźwięk.

Dunbar widzi w lustrze swoją twarz, na której maluje się wyraz zaniepokojenia. Zdaje sobie sprawę, że ta kobieta może uprzykrzyć mu życie, kiedy powie jej to, co musi powiedzieć.

Ponownie rozlega się dzwonek i rozsuwają się drzwi windy.

– I oto jesteśmy – mówi Dunbar z uśmiechem, wyciągając rękę w stronę wyjścia.

– Czy to jakies zaburzenie? – pyta Mitzi, przechodząc obok niego.

– Co proszę?

– Ten pański nawyk obwieszczania rzeczy, które są oczywiste jak cholera. Nabawił się pan jakiejś nerwicy? – Mitzi wsuwa kartę do czytnika i otwiera drzwi pokoju. – No i proszę, znów jesteśmy na miejscu.

– Czy mógłbym wejść na chwilę?

Mitzi zauważa, że menedżer jest czymś autentycznie zmartwiony.

– Jasne. Ale proszę nawet nie próbować wciskać mi kitu, że wzrosła stawka za dobę albo moja karta kredytowa została odrzucona.

– Nie o to chodzi. Absolutnie. – Dunbar zamyka za sobą drzwi. – Obawiam się, że wina leży całkowicie po naszej stronie. Po mojej, mówiąc ściśle.

– Doprawdy?

– Przed południem odwiedziło nas dwoje oficerów policji, którzy zażyczyli sobie, aby umożliwić im przeszukanie pani pokoju i pokoju pana Bronty'ego. Byli z wydziału terrorystycznego, to znaczy antyterrorystycznego, bo oczywiście w policji nie ma terrorystów. Ale okazało się, że nie byli.

Mitzi patrzy na niego zdezorientowana.

– Kim nie byli? Nie byli glinami czy nie byli z wydziału antyterrorystycznego?

– Nie byli glinami. Znaczący, policjantami.

– A więc kim byli i dlaczego wpuścił ich pan do naszych pokoi? – pyta Mitzi, patrząc dookoła, by się upewnić, czy nic nie zginęło.

– Prawdziwi policjanci powiedzieli, że to byli oszuści, którzy nadużyli mojego zaufania. Zrobili to bardzo fachowo, ponieważ ich legitymacje wyglądały całkiem autentycznie.

– Jezu, potrzebowali zapewne całych dwudziestu minut, żeby je pobrać z Internetu i wydrukować. – Mitzi upewnia się, że pendrive spoczywa bezpiecznie w jej torebce, ale zagląda do walizki i sprawdza, czy wszystko jest na swoim miejscu. – Jeżeli coś zostało skradzione, pańska twarz będzie wyglądała gorzej niż moja.

Dunbar nerwowo przestępuje z nogi na nogę, przyglądając się, jak Amerykanka sprawdza zawartość niewielkiej walizki. Mitzi wpycha ubrania z powrotem do środka i zatrzaskuje wieko.

– Ma pan szczęście. Wszystko, co miałam, wciąż tam jest – oświadcza i przygląda się menedżerowi w taki sam sposób, w jaki patrzy na dziewczynki, kiedy jedna z nich wycięła jakiś idiotyczny numer, a druga na nią naskarżyła. – Nie przyszło panu do głowy, żeby zadzwonić na posterunek i ich sprawdzić, zanim pan ich tu wpuścił?

– Nie, niestety. Przepraszam, wpadłem na to dopiero potem.

Mitzi przewraca oczami.

– Tak na przyszłość, sprawdzenie ma sens jedynie jako środek zapobiegawczy. To znaczy, zanim coś się stanie.

Dunbar czerwieni się ze wstydu.

– Wiem. Bardzo mi przykro. Aby wynagrodzić pani tę niezręczną sytuację, chciałbym przysłać do pani pokoju butelkę szampana...

Mitzi nie przestaje jeszcze myśleć o wizycie intruzów.

– Czy ci fałszywi gliniarze podali panu jakieś nazwiska?

– Tak, przedstawili się. Inspektor Mark Warman i detektyw Penny Jackson.

Mitzi zapisuje wszystko w notatniku leżącym koło łóżka.

– W Scotland Yardzie rzeczywiście są funkcjonariusze o takich personaliach, ale to nie oni byli w pani pokoju.

– Znów pan to robi.

– Przepraszam. Przecież to jasne, że ich tu nie było. – Dunbar uśmiecha się nieśmiało i nagle jego wzrok pada na otwarte drzwiczki w ścianie nad minibarkiem. – Czy zamykała pani coś w sejfie?

Mitzi z powagą kiwa głową.

– Bransoletkę od Cartiera. Zegarek Rolex. Diamentowe kolczyki, które kupiłam na aukcji Elizabeth Taylor. W sumie niewiele.

Twarz Dunbara robi się biała.

– Spokojnie. Nic tam nie miałam – mówi Mitzi i zagląda do łazienki.

Jej szczoteczka do zębów, pasta, tonik do twarzy i waciki wciąż tam są. – Mówił pan, że weszli też do pokoju mojego kolegi. Poinformował pan go o tym?

Menedżer wygląda na zakłopotanego.

– Niestety pani kolega wymeldował się, kiedy nie było mnie w hotelu, a nie mamy numeru jego telefonu. Może pani zechce mu przekazać, aby się ze mną skontaktował?

– Porozmawiam z nim później. A teraz, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym zostać sama. Muszę zadzwonić do kilku osób, a potem się wymeldować.

– Rozumiem. Bardzo mi przykro.

– Myśli pan, że to możliwe, aby przez najbliższą godzinę nikt nie wchodził do mojego pokoju?

– Oczywiście.

– I wspominał pan o szampanie.

Dunbar rozluźnia się trochę.

– Owszem.

– Wolałabym whisky. Najlepszą, jaką macie, i poproszę do tego kawałek ciasta, najbardziej rozpustnego i tuczącego, jakie potrafi upiec szef kuchni.

– Będzie to dla nas przyjemność – mówi menedżer z ulgą w głosie i rusza w stronę drzwi. – Dziękuję, że jest pani tak wyrozumiała.

– Och, do wyrozumiałości to mi jeszcze daleko, więc proszę uprzedzić recepcję, że spodziewam się zniżki. Takiej, która sprawi, że będę czuła się dyskretnie przez całą drogę do Kalifornii.

NOWY JORK

Przez kilka minut Zachra Korszidi stoi w milczeniu, przyglądając się ojcu, który śpi w jednym z pokoi na tyłach ich domu w szeregowej zabudowie Bronxu.

Jego zdezelowany fotel stoi przy oknie z szybą pokrytą brudnymi zaciekami, przez które widać ogród, gdzie jej matka próbuje uprawiać oliwki. Najwyraźniej ciepłe popołudniowe słońce i obfity posiłek, który właśnie zjadł, sprawiły, że zapadł w głęboką drzemkę.

Zachra patrzy ze wstrętem na jego siwą brodę i białą diszdaszę, na których osiadły resztki jedzenia. Nienawidzi każdej cząstki jego jestestwa, włącznie z tandetnymi butami na gumowych podszwach, które zostawił w sieni obok drzwi wejściowych.

Przyszła, żeby zabrać brudny talerz ojca i zanieść go do kuchni, ale jej myśli krążą wokół ważniejszych spraw. Wsuwa palce do kieszeni i dotyka małego lokalizatora w kształcie pinezki. Pozostało jej tylko wbić go w obcas jednego z butów ojca.

Wysłuchuje się w głuchoe pochrapywanie ojca i czuje, jak lęk ściska jej serce, gdy wychodzi z pokoju i kieruje kroki tam, gdzie stoją jego buty. Z kuchni dobiega odgłos płynącej wody i szcęk talerzy, które matka odkłada na metalowy ociekacz. Zachra odkłada tacę i szybko zabiera się do dzieła. Lokalizator jest krótszy od paznokcia w jej małym palcu i omal nie wypada jej z dłoni, kiedy go wyjmuje. Na jednym końcu jest zaokrąglony, a na drugim ostry jak igła.

Gumowa podszwa buta jest twarda jak kamień i nie da się niczego w nią wbić, choć dziewczyna stara się, jak może.

Podłogę w sieni pokrywa stary parkiet, więc Zachra wsuwa stopę do jednego z butów i wykorzystując ciężar swego ciała wciska kawałek metalu w twardą gumę. Ostry szpic zagłębia się w obcasie, ale podszwa buta uderza głośno o drewniane klepki. Dziewczyna zdejmuje but i ogląda go od spodu. Lokalizator jest na miejscu.

– Co ty robisz?

Zachra obraca się momentalnie w stronę drzwi, skąd dobiega głos ojca, który stoi na progu i patrzy na nią.

– Przyszłam zabrać naczynia i wracając, zauważyłam, że twoje buty są brudne – wyjaśnia, schylając się po drugi but i tacę.

Ojciec podchodzi do niej, przeszywając ją dociekliwym spojrzeniem. Dziewczyna widzi, jak zaciskają się jego dłonie. Pięści, których ciężar tak dobrze poznała.

– Proszę, nie bij mnie. Mówiłeś mi, że sunna nakazuje, aby utrzymywać swoją odzież i obuwie w czystości. Miałam zamiar wypolerować je dla ciebie.

Ojciec wrywa buty z jej ręki.

– Odnieś tacę do kuchni. Nigdy nie waz się dotykać niczego, co do mnie należy, o ile ci nie każę.

Chalid patrzy, jak córka przechodzi koło niego i z całej siły uderza ją w głowę otwartą dłonią. Zachra czuje, jak eksplozja tępego bólu rozrywa jej ucho, wypełniając czaszkę nieznośnym hukiem, ale nie wydaje z siebie najmniejszego jęku. Nie zamierza dać mu tej satysfakcji. Nie teraz. I już nigdy więcej. Ma nadzieję, że Amerykanie go dopadną. Dopadną go i zabiją za to, co zrobił Dżawidowi i na co skazał własną córkę.

SAN FRANCISCO

Oddalony zaledwie piętnaście kilometrów od portu lotniczego Coyote Point to rozległy park położony na cyplu, który wrzyna się dumnie w wody zatoki San Francisco.

Chris i Tess parkują kampera na wyznaczonym miejscu. Włączają radio, zaciągają zasłony i przez bite pół godziny wprawiają kilkutonowy pojazd w rytmiczne kołysanie.

Po wszystkim biorą prysznic i podczas gdy Chris opieka steki na ruszcie, Tess zajmuje się papierkową robotą i przeprowadza kilka rozmów telefonicznych.

Posilają się na zewnątrz, siedząc przy rozkładanym stoliku i pozdrawiając ludzi, którzy przechodzą obok. Później wypijają kilka piw wraz z parą starszych ludzi z sąsiedniego kampera, którzy pochodzą z Wyoming i przyjeżdżają do Coyote od dwudziestu lat.

Po kolacji idą na spacer alejką wśród eukaliptusów, która prowadzi nad sam brzeg, gdzie można zobaczyć wydry i rysie.

– Jak znajdziemy czas, powinniśmy wybrać się do zoo – mówi Tess. – W ulotce wyczytałam, że mają tu również dużą ptaszarnię.

– Jest takie samo, jak wszystkie. Zresztą wiesz, że nie przepadam za klatkami.

– To błąd. Kraty są w twojej głowie. Czujesz się wolny i jesteś wolny.

– Nigdy nie siedziałaś, więc łatwo ci filozofować.

– A ty już nigdy nie będziesz siedział, więc lepiej zacznij się uczyć tej filozofii.

– Najlepiej nauczmy się w ogóle o tym nie rozmawiać.

– Mnie to odpowiada. – Tess ścisną dłoń męża. – Kocham cię, misiu.

– Ja ciebie też, dziubeczku.

– Nie sądzisz, że wystarczy już tego spaceru? – pyta Tess, kołysząc jego ręką jak wahadłem.

Chris widzi figlarny uśmiech na jej twarzy.

– Aż nadto – mówi, po czym uwalnia palce z jej dłoni i łapie ją za pośladek. – Rozbujajmy jeszcze raz tę budę.

NOWY JORK

Agenci Tajemnego Zakonu Arturianów, Bradley Sullivan i Jessica Lanza, siedzą w dwóch samochodach zaparkowanych na przeciwległych krańcach ulicy, przy której mieszka Khalid Korszidi.

Obydwoje są wyposażeni w monitory służące do śledzenia nadajnika, który Zachra umieściła w bucie ojca.

Sullivan ma dwadzieścia kilka lat, jest ubrany w dzinsową kurtkę i spodnie, podkoszulek i sandały na rzemykach. Lanza ma czarne, sięgające do ramion włosy i mogłaby udawać własną matkę. Nosi luźne spodnie, beżową bluzkę i rozpinany sweter, pod którym ukrywa glocka.

Mija sześć godzin, zanim nawiązują pierwszy kontakt.

– Oko jeden, cel się porusza i mam go w zasięgu wzroku – zgłasza się Sullivan i uruchamia silnik buicka encore.

– Oko dwa, przyjęłam i jestem gotowa – odpowiada Lanza, po czym przekręca kluczyk w stacyjce toyoty avensis i wkłada kartonowy kubek z kawą do uchwytu na desce rozdzielczej.

Korszidi przechodzi przez ulicę i wsiada do poobijanego forda transita. W ciągu minuty dociera do głównej drogi, włącza się do ruchu i jedzie na południe.

Lanza i Sullivan śledzą go na autostradzie międzystanowej I-95, z której zjeżdża na Jerome Avenue. Spodziewają się, że skreśli w lewo, we Wschodnią 161. ulicę, i będzie się kierował w okolice stadionu Jankesów, gdzie Antun spotykał się z Nabilem.

Ale Korszidi skręca w prawo, w 176. ulicę, a potem zostawia samochód na parkingu przy skrzyżowaniu i idzie w kierunku stacji metra.

Sullivan tkwi w korku, ale Lanza okazuje się bardziej zaradna. Udaje się jej zaparkować hondę i w momencie, gdy ich cel znika w tunelu prowadzącym do stacji, jest tylko dwadzieścia metrów za nim.

Korszidi idzie prosto na peron, z którego odjeżdża kolejka linii numer cztery. Wchodząc do wagonu, patrzy za siebie, aby się upewnić, czy nie

jest śledzony.

Lanza udaje, że jest zaabsorbowana czymś, co wygląda jak iPhone, jednak tak naprawdę trzyma w rękach odbiornik sygnału wysyłanego przez lokalizator. W pełnym ludzi wagonie panuje duchota. Mija prawie pół godziny, zanim Korszidi wysiada na przystanku przy Uthica Avenue.

Wychodzi na ulicę i kieruje się na północ. Kilkaset metrów dalej Lanza zauważa samochód Sullivana, który przejeżdża obok niej i zatrzymuje się przy skrzyżowaniu z Beverly Road. Gdy dochodzi do tego miejsca, jej partner stoi już na chodniku gotów kontynuować zadanie, podczas gdy ona może wsiąść do otwartego buicka i odpocząć. Od razu włącza klimatyzację, co przynosi jej niewysłowioną ulgę.

Sullivan dalej śledzi cel, który mija Tiden Street i dochodzi do skrzyżowania z Synder Street, gdzie skręca w lewo i przechodzi na drugą stronę ulicy. W okolicy roi się od tanich sklepów. Jest tam wszystko, od odzieży z drugiej ręki po kradzione narzędzia, a można też zdjąć blokadę z telefonu i kupić działkę prochów.

Korszidi schodzi po stopniach prowadzących do sutereny obok zakładu fryzjerskiego i Sullivan przystaje, aby nie zauważył go ktoś, kto mógłby witać gościa, stojąc w drzwiach.

Lanza przejeżdża obok niego i zatrzymuje się dwadzieścia metrów dalej po przeciwnej stronie ulicy. Obydwoje chowają się w cieniu.

Zaczyna się oczekiwanie.

Po drugim kawałku sernika Mitzi jest gotowa wybaczyć Dunbarowi jego lekkomyślność i przestaje irytować się faktem, że jej pokój został przetrząśnięty, podczas gdy ona była w ambasadzie. Jednak nawet użycie ręcznego skanera, który nie wykrył żadnych elektronicznych pluskiew, nie przywraca jej spokoju.

Ofiarowaną przez menedżera butelkę trzydziestoletniej whisky kazała wysłać do Waszyngtonu, aby Kirstin Collins otworzyła ją po pogrzebie Irlandczyka. Postanawia zadzwonić do niej w tym dniu, by podtrzymać ją na duchu.

Mitzi zlizuje z widelca ostatni kęs sernika i kończy czytać raport na temat Gwynów, który przysłała jej Vicky. Dziewczyna spisała się na medal. Wszystkie te wzmianki o królu Arturze wyglądają dziwacznie, ale być może sir Owain jest jakimś maniakiem albo kolekcjonerem. Kolekcjonerzy zawsze są dziwaczni. A bogaty dziwak często bywa gotów zabić, jeżeli coś idzie nie po jego myśli.

Mitzi dzwoni do Donovan i składa jej relację z wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin, a potem prosi, by ją przełączyć do Vicky.

– Wydział HRN, w czym mogę pomóc? – Vicky odbiera już po drugim sygnale.

– Witaj złotko, tu Mitzi.

– Cześć, jak się czujesz?

– Jak przeżuta i wypluta. Chciałam ci powiedzieć, że świetnie się spisałaś z tym ostatnim raportem.

– Dzięki. To wszystko mnie zafascynowało. Tak jakby sir Owain i lady Gwyn byli królem Arturem i Ginewrą naszych czasów.

Mitzi parska śmiechem.

– Nie daj się ponieść fantazji. Myślę, że wszyscy angielscy lordowie i ich damy korzystają z różnych przywilejów, a sir Owain nie wygląda mi raczej na rycerza w lśniącej zbroi.

– Oczywiście. Nie miałam na myśli sfery moralnej, tylko te wszystkie

odniesienia do przeszłości.

– Tak, to trochę dziwne, nie sądzisz? A co z tym facetem, któremu wytoczył proces?

– Mallory. Załączyłam jego namiary do raportu, który ci wysłałam, i sama do niego zadzwoniłam. Powiedział, że wie o rzeczach, od których włosy staną mi dęba.

– Nie chciałabyś mnie zobaczyć w takim stanie. A co to takiego?

– Nie chciał powiedzieć. Żadnych oficjalnych rozmów. Myślę, że to przez ten zakaz sądowy.

– Dziś wieczorem wybieram się do Walii, więc zajrzę do niego. Mogłabyś wejść na Travel i zarezerwować mi coś w pobliżu posiadłości Gwyna?

– Pewnie.

– I wyślij mi dokładny adres zamku Caergwyn. Szukałam go w Google, ale niczego nie znalazłam.

– Postaram się. Na naszych standardowych mapach satelitarnych też go nie ma.

– Jak to możliwe?

– Skontaktowałam się z informacją i powiedzieli mi, że prawdopodobnie jest tam strefa zamknięta dla ruchu powietrznego.

– Teren wojskowy?

– Na to wygląda. SAS organizuje ćwiczenia w tamtych rejonach, a zamek najwyraźniej stoi na środku ich poligonu.

Mitzi myśli na głos.

– Rycerz w otoczeniu armii.

– Królowie, zamki i legendy – mówi Vicky podekscytowana. – Chciałabym tam być, żeby zobaczyć to wszystko na własne oczy.

– Chętnie zamieniłabym się z tobą miejscami. Prześlij mi te szczegóły możliwie jak najszybciej. Tymczasem ja się wymelduję i wynajmę samochód.

– Już się robi.

Mitzi kończy rozmowę i wpatruje się długo w mały połyskliwy przedmiot, który zawiera tajemnicze dane. Na nowo ogarnia ją zdenerwowanie spowodowane wizytą nieproszonych gości w jej pokoju. To właśnie tego przedmiotu szukali ci fałszywi Warman i Jackson. To przez niego Sophie Hudson straciła życie. I na pewno będzie on przyczyną dalszego rozlewu krwi. Mitzi wie, że musi temu zapobiec. Że musi zrobić coś więcej, niż tylko ukryć pendrive z powrotem w swojej torebce.

BIURO TAJEMNEGO ZAKONU ARTURIANÓW, NOWY JORK

Gareth Madoc siedzi za biurkiem o szklanym blacie w apartamencie mieszczącym się na szczycie budynku przy Szóstej Alei i słucha sprawozdania swojej agentki.

– Około godziny temu Chalid Korszidi porzucił samochód, pojechał metrem do East Flatbush i obecnie przebywa w miejscu, które wygląda na kryjówkę – mówi Jessica Lanza, a w jej głosie daje się wyczuć optymistyczny ton. – A teraz najlepsze. Właśnie dołączył do niego Nabil Tabrizi.

– Mamy ich na podsłuchu?

– Jeszcze nie. Budynek znajduje się w takim miejscu, że mikrofon paraboliczny na nic się nie zda. – Lanza zerka przez przednią szybę samochodu na ulicę, przez którą przechodzi właśnie Sullivan. – Sully kręci się w pobliżu, udając ćpuna na haju, który szuka ustronnego miejsca, gdzie mógłby dać sobie w żyłę. Podrzuci strzykawkę z podsłuchem pod drzwi sutereny. Jeżeli dopisze mu szczęście, przyklei pluskwę do szyby. Potem pozostaje nam się modlić, żeby technika zadziałała.

– Zazwyczaj działa.

– Cóż, będę spokojna, kiedy „zazwyczaj” zamieni się w „zawsze”. Muszę iść. Odezwę się wkrótce.

– Uważajcie na siebie.

– Ty też.

Połączenie zostaje przerwane i na linii zapada cisza. Madoc powraca myślami do Zachry. Dziewczynie udało się umieścić lokalizator w bucie ojca, a to oznacza, że jest w stanie zdziałać więcej. Teraz nadszedł rozstrzygający moment. Zachra musi zainstalować podsłuch w pokoju na tyłach domu, gdzie przesiaduje Chalid. Jeżeli zdoła to zrobić, Gareth jest gotów zapewnić jej start w nowe życie.

Gareth Madoc sięga do kieszeni marynarki, z której wyjmuje telefon komórkowy z zakodowanym numerem i wysyła SMS-a: „Jutro zakupy,

idziesz ze mną? Shrn”.

Ta zaszyfrowane polecenie, które oznacza, że Zachra ma niezwłocznie do niego zadzwonić. Gdyby jej rodzice zobaczyli tę wiadomość, mogłaby wyjaśnić, że to od jej przyjaciółki, Sharron.

Wzdłuż jednej ze ścian biura ciągnie się rząd monitorów, które zapewniają łączność z przeszło pięćdziesięcioma placówkami w kraju i za granicą. Za plecami Garetha znajduje się wielka elektroniczna mapa, na której zaznaczone jest rozmieszczenie głównych operacji, jak również sił zakonu.

Rozlega się sygnał i Gareth sięga po telefon. Na wyświetlaczu widnieje odpowiedź: „Zadzwoń za 5 min”.

Z telefonem w dłoni podchodzi do okna. Każda sekunda oczekiwania ciągnie się w nieskończoność. Ludzie na chodnikach czterdzieści pięter niżej wyglądają jak mrówki. W końcu telefon dzwoni.

– Tak?

– Mam tylko minutę – mówi Zachra zdenerwowana.

Gareth od razu przechodzi do rzeczy.

– Musisz zainstalować te miniaturowe kamery, które ci dałem. W tej chwili, kiedy twojego ojca nie ma w domu. Zrozumiałaś mnie?

– Kiedy mnie stąd zabierzecie?

W głosie dziewczyny słychać desperację.

– Kiedy tylko nagramy, jak twój ojciec mówi coś, co pozwoli nam podjąć działania.

Zachra milczy. Jej matka musi być gdzieś w pobliżu. Być może sprząta dom i właśnie zaczęła jej szukać.

– Muszę już iść.

– Zrób to, Zachro. To w twoim interesie. Musisz to zrobić, i to zaraz.

SAN FRANCISCO

Chris Wilkins cały dzień krąży po okolicy osobową toyotą, którą wynajął z samego rana. Kamper nie nadawałby się do tego, co zamierza zrobić. Dojeżdża drogą numer 101 do autostrady międzystanowej numer 80, mijają San Bruno, Brisbane i Bayview, dociera do South Beach, przepławia się na drugą stronę zatoki przez most Oakland Bay, przejeżdża przez Emeryville i zmierza dalej w kierunku Walnut Creek.

Okolo południa zjada niezbyt smacznego hamburgera i popija go zimnym piwem w obskurnym lokalu, w którym roi się od much i barowych próżniaków. Po krótkim odpoczynku rusza dalej. Zmierza na południe drogą numer 680 przez Danville i San Ramon, potem skręca w stronę Castro Valley i znów przecina zatokę, jadąc mostem San Mateo.

Gdy wjeżdża na drogę, która prowadzi z powrotem do Coyote Point, jest bliski wyczerpania. Ale wie, że było warto. Znalazł niespodziankę, której szukał.

Parkuje obok kampera i uśmiecha się szeroko na widok Tess, która odpoczywa rozciągnięta na leżaku z pasiastej tkaniny. Na jej opalonych nogach leży grzbietem do góry otwarta książka.

– Ciężko było w pracy, kochanie? – pyta go żona, unosząc okulary przeciwsłoneczne.

– Tak jakby. Zaraz umrę od bólu pleców. Od siedzenia w tym samochodzie nawet święty nabawiłby się problemów z kręgosłupem.

– Chodź do środka. Mam coś, co ci przyniesie ulgę.

Tess bierze męża za rękę i prowadzi go do wnętrza kampera. Gdy są już w środku, zatrzaskuje drzwi, obejmuje rękami jego potężny niedźwiedzi kark i wyciska na jego ustach ożywczy pocałunek.

Pozwala, by jego dłonie zaczęły błądzić po jej plecach, a potem delikatnie odsuwa go od siebie.

– Nie po to cię tutaj zaprosiłam.

– Nie?

– Nie. – Tess pokazuje mu otwarty laptop stojący na blacie stolika. – Patrz i podziwiaj.

Chris naciska spację, by wyłączyć wygaszacz ekranu, a potem ogląda uważnie profil na Facebooku i zamieszczone na nim najnowsze wpisy.

– Jesteś boska, dziubeczku – mówi z błyskiem w oczach. – Po prostu boska.

WALIA

Spojrzenie na elektroniczny zegar umieszczony na desce rozdzielczej wynajętego forda uświadamia Mitzi, że od trzech godzin jest w drodze i ma jeszcze do pokonania jedną czwartą dystansu.

Vicky dołączyła do swego raportu pożyteczną wzmiankę, że w Walii znajduje się więcej zamków niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie, lecz jak dotąd Mitzi nie zauważyła ani jednego, nie mówiąc o tym, który stanowi cel jej podróży.

– Jak oni tu jeżdżą, do cholery! – Mitzi naciska klakson, widząc ogromny żółty traktor, przed którym paraduje stado owiec blokujące całą jezdnię.

Usadowiony wysoko na siodelku traktora starszy mężczyzna w zielonej kamizelce i kaszkiecie obraca ku niej ogorzałą twarz i mierzy ją gniewnym spojrzeniem. Mija kolejne piętnaście minut, zanim udaje się jej ominąć tę przeszkodę. Wkrótce potem GPS oznajmia jej pogrzechającym tonem, że powinna skręcić w lewo i znajdzie się u celu podróży.

– Najwyższy czas.

Mitzi skręca w nieoznakowaną drogę i jedzie dalej po gruntowej, zrytej koleinami nawierzchni.

– *Za pięćdziesiąt metrów koniec trasy.*

– Gdzie? – Mitzi z irytacją rozgląda się po okolicy. – Gdzie jest mój zamek, ty elektroniczna kupo gówna?

Na wyświetlaczu pojawia się flaga w czarno-białą kratkę i powiewa triumfalnie, tymczasem ford, kołysząc się na wybojach, dojeżdża do żywopłotu, który ciągnie się wzdłuż ogrodzenia.

– *Koniec trasy, jesteś u celu.*

Mitzi zaciąga hamulec ręczny.

– O Jezu! Co za durna maszyna!

– *Koniec trasy, jesteś u celu* – powtarza uparcie elektroniczny głos i urządzenie wyświetla nową mapę, oferując możliwość wyboru kolejnej

trasy.

Mitzi wysiada z samochodu, żeby w przyływie wściekłości nie wyrwać tej cholernej maszynki z uchwytu i nie roztrzaskać jej o deskę rozdzielczą. Wśród liści rosnących dookoła brzoź śpiewają skowronki, a w powietrzu unosi się świeży zapach trawy i polnych kwiatów. Na przeciwległym krańcu rozległego pola wznosi się wzgórze, którego zbocze porasta gęsty las. Mitzi jest gotowa założyć się o bilet na lot pierwszą klasą do Stanów, że gdzieś pośród tej gęstwiny kryje się zamek Caergwyn. Wraca do samochodu, by jeszcze raz sprawdzić adres oraz wszystkie szczegóły, które przesłała jej Vicky.

Jest pewna, że wpisała poprawnie wszystkie te dziwnie brzmiące nazwy, a kod pocztowy się zgadza. Byłoby idealnie, gdyby jeszcze tego wieczoru spotkała się z Gwynem i zmusiła go, żeby umożliwił jej rozmowę twarzą w twarz z George'em Daltonem. Ale w tej chwili czuje się jak zagubiona turystka, a nie uśmiecha się jej błędzić po okolicy przez najbliższą godzinę. Z informacji przesłanych przez Vicky wynika, że Rhys Mallory, człowiek, którego sir Owain chciał zmusić wyrokiem sądowym do milczenia, mieszka tylko trzy kilometry od miejsca, w którym się znalazła.

Mitzi wprowadza jego adres do systemu nawigacji i potwierdza trasę.

– *W najbliższym możliwym miejscu zawróć, a na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.*

– Lepiej tym razem nie wywiedz mnie w pole. – Mitzi spogląda złowrogo na wyświetlacz urządzenia i przekręca kluczyk w stacyjce.

Dziesięć minut później, podskakując na wyboistej wiejskiej drodze, zbliża się do stojącego samotnie na odludziu domostwa o ścianach z kamienia. Parkuje obok zdezelowanego land rovera, który wygląda tak, jakby nigdy nie był myty, i wysiada z samochodu. Gdy zatrzaskuje za sobą drzwi, rozlega się szczekanie psa.

W jej kierunku kroczy siwy mężczyzna o niechlujnym wyglądzie ubrany w poplamiony kombinezon, z czarno-białym kudłatym owczarkiem

przy nodze.

– W czym mogę pomóc? – odzywa się, a w jego głosie słyhać ciężki walijski akcent.

– Profesor Mallory?

Mężczyzna omiata ją badawczym wzrokiem.

– Kim pani jest?

– Pracuję w wydziale FBI, który zajmuje się przestępstwami o podłożu religijnym i historycznym.

– FBI, tak? – Mallory wyciera dłonie w poplamioną szmatę i bierze legitymację, którą podaje mu Mitzi. Ogląda ją z rozbawieniem i z powrotem wręcza właścicielce. – Dla FBI to wyprawa na koniec świata.

– Niewątpliwie. Chciałabym porozmawiać z panem na temat Owaina Gwyna.

– Doprawdy? – Mężczyzna unosi brwi. – To zabawne, nie sądzi pani? Chce pani rozmawiać ze mną o rzeczach, o których prawo zakazuje mi mówić. Jak pani to sobie wyobraża?

– A co pan na to, jeżeli później uznamy, że taka rozmowa w ogóle się nie odbyła?

– To znaczy, że całkiem nieoficjalnie?

Mitzi zauważa, że nawyk profesora do odpowiadania pytaniem na pytanie zaczyna ją drażnić.

– Tak.

Mężczyzna zastanawia się przez chwilę, następnie potakująco kiwa głową.

– Proszę za mną. Może zechce pani napić się herbaty, kiedy nasza rozmowa nie będzie się odbywać.

WALIA

Zamiast herbaty Mitzi decyduje się na szklanekę lemoniady przyrządzonej przez żonę Mallory'ego, Bethan. Jest to krępa kobieta o ciemnych, sięgających do pasa włosach, w których gdzieniegdzie przebijają się czerwone pasemka. Ma na sobie prostą czarną suknię do samej ziemi, ozdobioną jedynie naszyjnikiem z kolorowych paciorków, pod którą zarysowują się obfite piersi.

– To jest pyszne – mówi Mitzi z uznaniem. – Tego mi brakowało dwie godziny temu, kiedy byłam w połowie drogi z Londynu.

Bethan wygląda na zadowoloną.

– Może chciałaby pani coś zjeść? Mamy w piekarniku potrawkę z królika.

– Dziękuję, nie jestem głodna. – Mitzi boi się nawet myśleć, jak mógłby smakować królik.

Żona profesora odbiera to jako sugestię, by zostawić męża sam na sam z Amerykanką na przeszklonej werandzie z tyłu domu. Mitzi siedzi w obitym brązową tkaniną fotelu, na którego podłokietniku wyleguje się stary rudy kot. Odstawia szklanekę na pokrytą glinianymi płytkami podłogę i całą uwagę zwraca ku swojemu rozmówcy.

– A zatem co pan może mi powiedzieć na temat Owaina Gwyna?

– To kłamca i oszust, człowiek, który fałszywie zaprzecza faktom. Nie jest przychylny prawdzie. To wróg jawności.

Mitzi jest zaskoczona. Nie spodziewała się takiego wybuchu.

– A czego konkretnie miałyby dotyczyć jego kłamstwo?

– Całe jego życie jest kłamstwem. On, jego żona i ten stary szaleniec, który z nimi mieszka, żadne z nich nie jest tym, za kogo uchodzi. – Mallory pochyla się do przodu, a w jego brązowych oczach pojawia się błysk. – Czego pani od niego chce? Dlaczego przyjechała pani tutaj węszyć i wypytywać mnie o niego?

Mitzi wie, że nie może zbyć profesora zdawkową odpowiedzią.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w Stanach. Pewien trop prowadzi do najbliższego otoczenia Gwyna.

Profesor patrzy na nią szeroko otwartymi oczami.

– Gwyn jest w to zamieszany?

– Nie. Jeden z jego współpracowników. Sir Owain nie jest podejrzany.

Mallory rozpira się w fotelu i patrzy na nią badawczo, podobnie jak studenci patrzyli na niego, kiedy był wykładowcą.

– Czy wie pani, co to jest patronimik?

– Tak przypuszczam. Chodzi o nazwiska tworzone na podstawie imienia ojca.

– Właśnie tak. Na przykład Williamson sugeruje, że mamy do czynienia z synem Williama. Nazwisko jest dziedzictwem o ogromnym znaczeniu. Zwłaszcza w przypadku Owaina Gwyna.

– Czemu akurat jego?

– Moje badania oraz książka, do której opublikowania nie dopuścił, ujawniają prawdę o nim i królu Arturze, o korzeniach jego rodziny, o tajnej działalności jego firmy oraz jego poczynaniach, na które rząd przymyka oko.

– Chce pan powiedzieć, że Gwyn czerpie zyski z legendy?

Profesor wybucha śmiechem. Widzi, że Mitzi nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Nie, nie. To coś więcej niż zwyczajne wyciąganie korzyści finansowych. Pozwoli pani, że wyjaśnię wszystko od początku. Istnieją trzy ogólnie przyjęte teorie na temat tego, kim mógł być król Artur. Pierwsza z nich głosi, że był rzymskim żołnierzem pozostawionym na posterunku, by pomagać Brytom w walce z barbarzyńcami, którzy najeżdżali ten kraj, gdy Rzymianie wycofali się z niego w szóstym wieku. Jedni twierdzą, że nazywał się Ambrozjusz Aurelianus, inni że Lucjusz Artorius Castus. Postać centuriona Castusa kojarzona jest nawet z oddziałem jazdy, który oddawał cześć mieczowi wbitemu w ziemię.

– To miałby być Excalibur, słynny miecz tkwiący w kamieniu?

– To prawdopodobnie tylko błędna interpretacja historii, jak w przypadku większości legend arturiańskich. W tamtych czasach ciężkie miecze wykonywano, wlewając roztopiony metal do kamiennej formy. Jeżeli forma była odpowiednia, nawet dziecko mogło bez trudu wyjąć z niej wystudzony odlew, a wtedy mówiono, że nadaje się na rycerza.

– A legenda o Pani Jeziora, od której Artur otrzymał miecz?

– Jeszcze jedna opaczna wizja historii. Gdy umierał król, jego ciało składano na stosie, a miecz ofiarowywano bóstwom wody, aby chroniły go w zaświatach. Nawiasem mówiąc, Ambrozjusz został pogrzebany w Stonehenge, które według niektórych legend zostało zbudowane przez wieszczka Merlina.

Mitzi stara się odejść od tematu, który jak podejrzewa, jest bezdenną studnią mitów i przesądów.

– Mówił pan, że istnieją trzy teorie na temat Artura?

– Tak. Według drugiej był romańsko-celtyckim wodzem zwanym Riothamus. Moim zdaniem Riothamus jest zlatynizowaną wersją brytońskiego imienia Rigotamos, które oznacza „największy z królów” albo „król nad królami”. Riothamus nie tylko dzielnie odpierał najazdy Gotów, ale również przeprowił się na drugą stronę kanału, by na polach Burgundii stoczyć swoją ostatnią bitwę, która znalazła odzwierciedlenie w legendzie. Miejsce to nosi nazwę Avallon, przez dwa „l”, w przeciwieństwie do Avalonu, gdzie zgodnie z legendą spoczywają szczątki Artura.

Mitzi czuje, że zaczyna ogarniać ją znużenie.

– Wszystko to jest niezwykle fascynujące, ale co wspólnego ma z tym ambasador i jego rodzina?

Mallory nie zamierza ulegać ponaglaniu.

– Aby odpowiedział pani na to pytanie, musimy się cofnąć do roku pięćsetnego naszej ery, kiedy to żył walijski wojownik, Owain Ddantgwyn. Był znakomitym wodzem, a w tamtych czasach takie osobistości miały w zwyczaju utożsamiać się z drapieżnymi bestiami. Słyszała pani o Ryszardzie Lwie Serce?

– Oczywiście.

– Zatem Owain Ddantgwyn był znany jako Niedźwiedź. W języku walijskim niedźwiedź to Arth, a po łacinie Ursus. Można się domyślić, że nazywano go Arth-Ursus, co z czasem przybrało skróconą formę Artur. – Mallory milknie na chwilę, pozwalając Mitzi zebrać myśli, a potem opowiada dalej: – Kroniki z tamtych czasów nazywają Owaina Ddantgwyna, którego, jak się pani zapewne zgodzi, nietrudno skojarzyć z Owainem Gwynem, mianem „obecnego i przyszłego króla”. Takie określenie często słyszymy w odniesieniu do Artura. Cóż, Owain dochował się syna i możemy prześledzić genealogię jego przodków, którzy w średniowieczu zaczęli używać bardziej swojsko i szlachtetnie brzmiącego nazwiska. – Profesor znów zawiesza głos, by spotęgować efekt. – Kojarzy pani rodzinę Spencerów?

– Tę, z której pochodziła Diana, księżna Walii, córka hrabiego Spencera?

– W rzeczy samej. A zawiłe korzenie królewskiej genealogii sięgają jeszcze dalej. Proszę się przyjrzeć tej rodzinie, a zauważy pani, że William otrzymał imię Artur jako drugie, podobnie jak jego ojciec, książę Karol. – Profesor z zaciekawieniem przygląda się Amerykance. – Czy zdaje pani sobie sprawę, że następcy tronu brytyjskiego zawsze jest nadawany tytuł księcia Walii?

– Domyślam się, że wie pan coś, o czym ja nie mam pojęcia.

– No cóż, tak właśnie jest i zwyczaj ten sięga czasów postromańskich i przednormańskich, kiedy to najpotężniejszy władca Walii był również uważany za króla Brytów. W dwunastym wieku niejaki Owain Gwynedd przestał używać tytułu króla Walii i ogłosił się księciem Walii. Przypuszczam, że jako detektyw wyciągnie pani z tego pewne wnioski.

Mitzi stara się zapanować nad rozdrażnieniem, jakie wywołuje w niej protekcjonalny ton profesora.

– Chce pan powiedzieć, że żyjący w naszych czasach sir Owain Gwyn wywodzi się w linii prostej od króla Artura?

Mallory patrzy na nią z rozdrażnieniem.

– Co najmniej.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „co najmniej”? – pyta Mitzi, marszcząc brwi.

Po raz pierwszy w trakcie rozmowy profesor staje się nieprzyjemny.

– Na litość boską, proszę spojrzeć na te cholerne dowody. Na niedźwiedzia w jego herbie, jak również okrągły stół i trzy złote korony króla Artura.

– Profesorze, mam kuzyna w Teksasie, który jest szkockim lordem. Kupił sobie ten tytuł w Internecie, bo taką miał fanaberię.

– To głupie porównanie. Owain Gwyn nie kupił żadnego tytułu. Ten człowiek był i jest... – Mallory przerywa w pół zdania i sprawia wrażenie, jakby cierpiał, powstrzymując się od wypowiedzenia kolejnych słów.

– Kim jest?

– Nie mogę tego powiedzieć. Nawet w rozmowie, która nigdy się nie odbyła. – Mallory z rozdrażnieniem wskazuje głową na wiszący na ścianie zegar. – Późno się robi. Powinna pani jechać dalej, a ja muszę wracać do pracy. – Wzdychając ciężko, wstaje z fotela i prowadzi Mitzi w stronę drzwi. – Historia wie więcej na temat Owaina Gwyna niż współczesny świat. Niech pani będzie ostrożna, mając z nim do czynienia.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Mitzi zatrzymuje się. – Myśli pan, że on jest niebezpieczny?

Profesor zastanawia się przez chwilę.

– Proszę sobie wyobrazić, że Jezus Chrystus zstąpił na ziemię, ale nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Proszę sobie wyobrazić, że spreparowano historię, aby ukryć fakt jego istnienia. Czy uważa pani jego ujawnienie za swój obowiązek? A jeżeli tak, to czy nie sądzi pani, że dążąc do tego, ryzykuje pani życie?

WALIA

Wieczorne niebo rozświetlają szkarłatne promienie zachodzącego słońca, kiedy Mitzi dociera do Norton i melduje się w zajeździe, który mieści się w okazałym budynku z piaskowca. Z jej pokoju roztacza się malowniczy widok na dolinę, a szmer płynącego pod oknem strumienia brzmi jak kojąca muzyka.

Przygotowując sobie kąpiel, by zmyć z siebie trudy całodziennych podróży, dzwoni do Bronty'ego, by dowiedzieć się, że właśnie zszedł z promu w przystani na Lundy.

– Jestem wycieńczony – mówi, przekrzykując szum morskich fal i piski mew. – Szybciej można dostać się do nieba niż na tę wyspę.

Mitzi śmieje się, zanurzając dłoń w wodzie, i dodaje więcej ciepłej.

– Gwarantuję ci, że w Walii wcale nie jest łatwiej.

Bronty rozgląda się po nabrzeżu.

– Chyba właśnie widziałem foki w morzu. Foki szare, długie na dwa i pół, może trzy metry.

– Przestań mówić tak, jakbyś dobrze się bawił. Mam za sobą koszmarne dzień i nawet nie udało mi się znaleźć zamku Caergwyn.

– Jak można przegapić taką fortecę?

– Uwierz mi, tutaj wcale to nie jest trudne. Jeżeli zadzwonisz do mnie z bezpiecznej linii, opowiem ci, czego dowiedziałam się od Mallory'ego.

– Tak zrobię. Teraz już się ściemnia, więc rozejrzę się po wyspie dopiero z rana i wtedy do ciebie zadzwonię.

– Świetnie. Śpij dobrze.

– Ty też.

Mitzi kończy rozmowę i sprawdza temperaturę wody w wannie. Jest tak gorąca, że można by w niej ugotować homara. Odkręca zimną do oporu, po czym zrzuca ubranie i dzwoni do swoich córek.

Nikt nie odbiera telefonu. Próbuje po raz drugi i znów zgłasza się automatyczna sekretarka. Zapewne Ruth zabrała dziewczynki na

całodniową wycieczkę. Postanawia spróbować ponownie po kolacji.

Wchodzi do wanny. Rozkosz jest zbyt wielka, by przeżywać ją w milczeniu.

– Ach, jak przyjemnie – wzdycha błogo Mitzi, zanurzając się w wodzie.

Łazienka jest zaopatrzona w buteleczki z płynem do kąpieli, peelingiem do ciała, szamponem i odżywką do włosów. Mitzi nie żałuje sobie niczego. Czuje się fantastycznie, leżąc w wielkiej wannie pełnej piany i urzekających aromatów.

Wtem rozlega się dzwonek telefonu.

Mitzi spogląda w jego stronę i widzi, że zostawiła go na półce nad umywalką. Jest za daleko, by go dosięgnąć. Kąpiel działa na nią tak odprężająco, że przez moment zastanawia się, czy go nie zignorować.

– Niech to jasny szlag!

Wychodzi z wanny, wylewając na podłogę litry wody.

– Fallon – odzywa się do aparatu, sięgając po biały szlafrok, który wisi przy drzwiach.

– Mówi Owain Gwyn.

– Proszę zaczekać. – Mitzi odkłada telefon, po czym szybko wkłada szlafrok i zawiązuje pasek. – Przepraszam, właśnie brałam kąpiel.

– Wybacz pani, że przeszkodziłem. Przed zajazdem czeka czarny range rover. Kiedy będzie pani gotowa, proszę do niego wsiąść, a mój człowiek zawiezie panią prosto do mojego domu.

– Zamierzałam przyjechać do pana rano – protestuje Mitzi, ale odpowiada jej milczenie. – Sir Owainie?

Spogląda na aparat, by się upewnić, czy przypadkowo nie przerwała połączenia.

Nic takiego się nie stało.

Owain Gwyn rozłączył się pierwszy.

WALIA

Zimna błękitna poświata księżycy połyskuje na czarnej masce range rovera, który mknie po nieoświetlonych wiejskich drogach.

Mitzi kurczowo trzyma się uchwyty, jeżdżąc tam i z powrotem po tylnej kanapie, kiedy samochód podskakuje na wybojach.

– Co się dzieje z tym krajem? Myślałam, że Rzymianie zbudowali wam porządne drogi.

Kierowca nie odpowiada. Nie odezwał się od momentu, gdy potwierdził jej tożsamość w zajeździe i otworzył przed nią drzwi samochodu.

– Nie dałoby się wolniej? Możemy zejść trochę poniżej prędkości światła, żebyśmy tylko dojechali tam żywi.

Barczysty mężczyzna za kierownicą nadal milczy. Mitzi przywiera plecami do oparcia i przysłuchuje się, jak burczy jej w brzuchu. Teraz żałuje, że odrzuciła propozycję pani Mallory i nie skosztowała potrawki z królika.

W oddali pojawiają się jakieś światła. Range rover zwalnia i przystaje. Przez odstęp między przednimi fotelami Mitzi zauważa budynek wartowni, w którym poruszają się sylwetki ludzi. Ze środka wychodzi mężczyzna i zbliża się do samochodu.

Milczący kierowca opuszcza szybę i pokazuje mu swój identyfikator. W ciemności błyska latarka i Mitzi zasłania oczy, gdy oślepiające światło omiata jej twarz. Z powrotem zapada mrok. Wartownik lekko uderza dłonią w dach pojazdu, którego opony znów zaczynają chrzęścić na zwirowej nawierzchni. Brama zatrzaskuje się za nimi z metalicznym szczęknięciem. Teraz samochód toczy się gładko. Jadą po asfalcie, ale droga jest nieoświetlona. Mitzi wlepia wzrok w ciemność. Reflektory samochodu wydobywają z czerni stadko owiec, które wyglądają jak wełniste skały rozrzucone na murawie.

Podświetlane wskazówki zegarka pokazują wpół do jedenastej. Mija siedem minut, odkąd przejechali przez bramę. Tyle samo czasu

potrzebowała, żeby dojechać ze starego domu w Los Angeles do centrum handlowego.

Z aksamitnego mroku wyłaniają się światła zamku Caergwyn. Budowla jest oświetlona od dołu przez potężne reflektory. Mitzi widzi ściany z piaskowca o żółtawym odcieniu, strzeliste wieże i blanki wieńczące szczyty murów, które odcinają się na tle nocnego nieba niczym rząd wyszczerbionych zębów.

Range rover zatrzymuje się i milczący kierowca wysiada, by otworzyć przed nią drzwi. Mitzi wysiada i zatrzymuje się na moment, wdychając zapach lawendy i sosnowego igliwia, który unosi się w chłodnym powietrzu. Nietrudno jest jej wyobrazić sobie, że w tym oto miejscu żyli przed wiekami królowie i ich małżonki, którym nadszkakiwały całe zastępy służby, którzy wyprawiali uczyty we wspaniałych komnatach i świętowali zwycięskie bitwy.

W głębi łukowato sklepionego portalu słychać zgrzyt metalowej zasuw i otwierają się przed nią ciężkie dębowe drzwi. Z zamku wychodzi mężczyzna o okrągłej twarzy ubrany w elegancki czarny garnitur. Jego towarzysz, który idzie za nim, jest młodszy i ma na sobie beżowe spodnie oraz czerwoną kurtkę.

– Dobry wieczór. Jestem Alwyn, kamerdyner sir Owaina. Proszę za mną.

Podążając za nim, Mitzi przekracza próg. Uderza ją bogactwo nowych woni. Pasta do polerowania mosiądzu. Pasta do srebra. Pasta do marmuru. Ciężki woskowy zapach pasty do mebli.

– Sir Owain kazał zaprowadzić panią do biblioteki. – Alwyn otwiera drzwi i staje obok.

Mitzi wchodzi do środka i próbuje ogarnąć wzrokiem ciągnące się w nieskończoność ściany pełne książek.

– Jakie to olbrzymie! Czy ten człowiek nigdy nie słyszał o Kindle?

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Kamerdyner opuszcza Mitzi, która oniemiała z wrażenia rozgląda się po wnętrzu przypominającym katedrę pełną książek.

Biblioteka zajmuje dwie kondygnacje, a na górnym poziomie znajduje się ośmiokątna galeria, na którą w kilku miejscach można się dostać po krętych schodach. Po obu stronach pomieszczenia ciągną się kamienne arkady, a każde z łukowato sklepionych przejść prowadzi do głębokiej wnęki wypełnionej długimi rzędami regałów z dębowego drewna. Obok nich stoją rozsuwane drabiny, które pozwalają bez trudu sięgnąć po tomy z najwyższych półek.

Pośrodku komnaty na kamiennej posadzce umieszczono wielkie przeszklone gabloty, w których spoczywają pożółkłe starodawne księgi. Przechadzając się po tym chłodnym, wypełnionym wonią stęchlizny wnętrzu, Mitzi zauważa mrugające na czerwono diody kamer i czujników zaawansowanego systemu alarmowego.

Na ścianie w głębi pomieszczenia wisi imponujących rozmiarów olejne malowidło przedstawiające średniowieczną bitwę. Pośrodku wysokiego na kilka metrów obrazu dwaj rycerze trzymają na rękach ciało poległego króla, a biskup, którego bogato zdobione szaty mieniają się w blasku niebiańskiego światła, podnosi z ziemi jego koronę.

Nad wejściem do biblioteki wisi inny, znacznie mniejszy obraz. Jest to portret długowłosego mężczyzny z wąsami ubranego w czarny płaszcz z białą kryzą. Ponure spojrzenie jego ciemnych oczu wywołuje u Mitzi silne skojarzenie z sir Owainem.

Jak gdyby pod wpływem jej myśli otwierają się drzwi, nad którymi wisi portret, i do biblioteki wchodzi ambasador. Ma na sobie czarne spodnie i czarny kaszmirowy sweter, spod którego wystaje rozpięty kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli.

– Porucznik Fallon, jak się pani miewa? – odzywa się, podchodząc do niej, i wyciąga rękę na powitanie.

– Znakomicie, panie ambasadorze. – Mitzi ściska jego dłoń i wskazuje na malowidło. – Właśnie oglądałam ten portret. Pański przodek, nie myłę się?

– To święty Richard Gwyn. Biblioteka jest nazwana jego imieniem. Pozwoli pani ze mną, chciałbym pani coś pokazać.

– To prawdziwy święty? – pyta Mitzi, idąc obok ambasadora. – Czy to tylko nazwisko, jak David St John?

– Najprawdziwszy święty, męczennik. Skazany na śmierć w szesnastym wieku za zdradę stanu, gdyż nie zgodził się przyznać publicznie, że Jezus Chrystus nie jest synem Bożym. Został powieszony, jego ciało było wleczone po bruku, a potem zostało poćwiartowane. Wie pani, jak to przebiegało?

– Domyślam się, że po egzekucji bezczeszczono zwłoki, tak?

– Niezupełnie. Odbywało się to jeszcze przed śmiercią skazańca, którego przywiązywano do konia i wleczone ulicami miasta z więzienia na miejsce straceń. Potem na wpół żywego wieszano go na szafocie. Gdy był już bliski śmierci, kat odcinał mu genitalia i wypruwał wnętrzności, odrąbywał ręce i nogi, a na końcu głowę. Jego trzewia i genitalia były palone na oczach tłumu, a głowa nabijana na długą włócznię i pokazywana publicznie. Również jego kończyny wywieszano w najbardziej znaczących punktach miasta albo rozsyłano do czterech różnych zakątków kraju.

– Jezu, a ja myślałam, że egzekucje w Kalifornii są makabryczne.

– Wielka Brytania ma przeszłość bardziej brutalną niż większość innych krajów – stwierdza Owain, po czym przystaje i obraca się przodem do Mitzi. – Ale bardziej należy się obawiać teraźniejszości i przyszłości. A pani niestety zaangażowała się w pewne sprawy, w których nie powinna brać udziału.

Mitzi wbija w Gwyna wyzywające spojrzenie.

– Proszę, niech pan mnie nie traktuje protekcyjnie. Angażowanie się w pewne sprawy, jak pan to ujął, leży w naturze mojej pracy.

– Być może, ale podejrzewam, że rozmawiamy o dwóch różnych

rzeczach.

– Jak to?

– Pani myśli, że ja nawiązuję do śledztwa w sprawie zabójstwa.

– A tak nie jest?

– Niezupełnie.

– W takim razie proszę mnie oświecić.

– Taki mam zamiar. – Owain Gwyn rusza dalej w głąb komnaty i gestem wskazuje na górną kondygnację. – Każda książka w tej bibliotece to oryginał z pierwszego wydania i niemal wszystkie są bezcenne. Niektóre z nich są jedynymi egzemplarzami, jakie ocalały z całego nakładu. Inne zaś stanowią taką rzadkość, że nawet eksperci w dziedzinach, których dotyczą, nie zdają sobie sprawy z ich istnienia.

– I przypuszczam, że znajduje się wśród nich Kodeks Camelotu, czyż nie?

Gwyn ignoruje pytanie i stuka palcem w szybę jednej z gablot.

– Ta książka to najstarsza ilustrowana Biblia na świecie. Jest starsza niż znajdujący się w Etiopii Ewangeliarz Garimy, a także niż Księga z Kells spisana przez celtyckich mnichów.

Mitzi spogląda na ogromny tom, który spoczywa otwarty na bogato zdobionej mosiężnej podstawie. Księga ma rozmiary wielkiego i grubego atlasu, a jej strony pokrywają liczne ilustracje i ozdobne, ręcznie kaligrafowane litery.

Owain przykłada elektroniczną kartę do czytnika umieszczonego z boku gabloty i unosi przeszklone wieko. W powietrzu unosi się podobna do tytoniu woń pochodząca od zleżałych kartek i starego drewna, z którego jest wykonana oprawa.

– To jest Biblia Króla Artura – wyjaśnia sir Owain. – Do jej wykonania użyto najlepszego gatunku welinu, czyli specjalnie wyprawionej skóry jagnięcej.

Mitzi pochyla się nad księgą i przygląda się jej uważnie.

– Resztki sierści zwierzęcia usuwano, zanurzając płyty skóry

w roztworze wapna, a potem oskrobując je półokrągłym nożem zwanym luna – kontynuuje ambasador. – Następnie skóra była rozpinana na specjalnych ramach i przycinana do odpowiednich rozmiarów. To prawdziwa sztuka. Zaszlachtowano przeszło dwieście niewinnych jagniąt, żeby wykonać tę księgę.

Na otwartej stronie Mitzi widzi ilustrację przedstawiającą kogoś, kto swym wyglądem przypomina rzymskiego cesarza. Siedzi na koniu w samym środku toczącej się bitwy, ale zamiast legionowego proporca trzyma w ręku wielki złoty krucyfiks, identyczny z tym z rysunku, który dał jej Irlandczyk. Dookoła leżą ciała poprzebijane włóczniami i mieczami.

– Ta scena symbolizuje niekończącą się walkę Boga o dusze ludzkie – mówi Owain. – Tekst został skopiowany przez zakon świątobliwych mężów, którzy strzegli Chrystusa przez czterdzieści dni, gdy po zmartwychwstaniu chodził po ziemi.

Mitzi patrzy sceptycznie na ambasadora.

– Podejrzewam, że trudno byłoby panu to udowodnić.

– Nie muszę tego robić. Nie zamierzam sprzedawać tej księgi, dlatego jej pochodzenie liczy się wyłącznie dla mnie i mojej rodziny.

Mitzi chodzi wokół gabloty, przyglądając się uważnie księdze pod różnymi kątami. W niektórych miejscach zauważa nawet ślady mieszków włosowych.

– Przypuszczam, że człowiek, do którego należała ta księga, zanim weszła w pańskie posiadanie, również kiedyś powiedział, że nie ma zamiaru jej sprzedawać, a jednak to uczynił.

– Myli się pani. Ta księga nigdy nie została sprzedana ani skradziona. Ani zrabowana z grobu, jeżeli o tym też pani pomyślała. Ofiarował ją mojej rodzinie Józef z Arymatei, kiedy przybył do Brytanii po śmierci Chrystusa.

Mitzi nie wie, czy wierzyć w te słowa, czy nie.

– Józef z Arymatei to ten bogaty facet, który przekonał Piłata, aby pozwolił mu pochować Chrystusa w jego prywatnym grobie?

– Nie. To jego syn, też Józef. Historycy często mylą ich ze sobą. Tak samo jak nie są pewni, czy święty Graal to kielich, czy taca liturgiczna, czy też, jak wierzą nieliczni, uświęcony i sekretny tekst zapisany krwią Chrystusa.

– A pan należy do tych nielicznych?

– Tak.

Owain przewraca stronę, odsłaniając kolejną ilustrację, która przedstawia rycerzy jadących konno przez rozległą trawiastą równinę. Wśród postaci Mitzi rozpoznaje króla Artura, a także zauważa księdza, który trzyma Biblię i krucyfiks. Uświadamia sobie, że widziała już identyczną scenę na starym obrazie znalezionym w mieszkaniu Bradleya Deagana.

– Aby ozdobić tę stronicę, złotnik pokrył płatkami czystego złota wielkie litery, od których zaczyna się każdy akapit. Najbardziej ceniony portrecista namalował postacie, a krajobraz w tle jest dziełem najznakomitszego pejzażysty.

Owain przewraca kolejną kartę i pergamin wygina się tak mocno, jakby miał zaraz pęknąć. Teraz oczom Mitzi ukazują się dwie strony, na których ciągną się rzędy liter o brązowej barwie zakrzepłej krwi, a pokrywająca je matowa warstwa werniksu jest spękana ze starości.

Ambasador zdaje się czytać w jej myślach.

– W chwili zwątpienia oddałem do analizy materiał pobrany z jednej z liter. To ludzka krew, a datowanie radiowęglowe potwierdziło, że pochodzi z pierwszego wieku naszej ery. Każde z widocznych tu słów zostało zapisane w czasach, gdy manuskrypt spoczywał zawinięty w tkaninę, którą pobłogosławił święty Piotr. Pióra użyte przez kopistów pochodziły od ptaków, które Chrystus osobiście pobłogosławił przed śmiercią. Natomiast drewnianą oprawę, która spina wszystkie karty, wykonał cieśla Józef, ziemski opiekun Jezusa.

Mitzi patrzy na rękopis jak zahipnotyzowana. Nie rozumie ani słowa z tego, co widzi przed sobą, ale dostrzega, z jaką starannością została

wykaligrafowana każda litera, i domyśla się, że tekst musi zawierać jakieś niezwykle ważne przesłanie.

– Ta historia sięga daleko w przeszłość, jeszcze bardziej odległą niż czasy, w których żył Chrystus – ciągnie dalej sir Owain. – Zaczyna się od powstania świata oraz narodzin sił dobra i zła. Opisuje nieustanną walkę o przetrwanie i mówi o tym, że spośród starc między myśliwym a zwierzyną, między oprawcą a ofiarą, musi wyłonić się jeden człowiek, który zostanie sprawiedliwym i prawym przywódcą, który wyznaczy normy moralne i będzie stał na ich straży. – Ambasador przesuwa dłoń nad księgą pełnym czci ruchem. – Ten tekst wyjaśnia, w jaki sposób ów przywódca powinien dobierać sobie zwolenników i jak dzielić ich na uczniów, czyli ludzi słowa, oraz rycerzy, czyli ludzi czynu.

Owain przewraca z powrotem stronicę księgi, a następnie opuszcza szklane wieko i zamyka gablotę.

– Na galerii powyżej znajdują się zwoje i manuskrypty starsze od Biblii, którą właśnie pani widziała. Są zapisane w starożytnych językach, takich jak etruski, i zawierają to samo przesłanie.

Mitzi kieruje wzrok ku górze, lecz po chwili opuszcza głowę.

– A co mieści się w pozostałych gablotach, które stoją tutaj, na dole?

– To również arturiańskie dzieła. Wszystkie zostały zapisane cyfrowo oraz zaszyfrowane i w takiej formie są przechowywane. I właśnie część tego zapisu skopiowano i skradziono.

– Kodeks Camelotu?

– Myślę, że takiej nazwy używa człowiek, który dopuścił się tego czynu.

– I to z tego powodu zginął Amir Goldman i jego asystentka, Sophie Hudson?

– Tak. Czy wciąż ma pani tę kopię?

– Mam.

– Zatem nalegam, aby niezwłocznie mi ją pani zwróciła. To bezprawnie wykonana kopia cyfrowego zapisu czterech książek znajdujących się w tej

bibliotece.

Mitzi czuje, jak nagle zmienia się jej nastrój.

– W tym momencie jest to niemożliwe. Przedmiot ten stanowi ważny dowód w śledztwie i pozostanie nim do momentu zamknięcia sprawy.

– Naprawdę musi pani mi to oddać. Proszę pomyśleć o sobie i swojej rodzinie.

Mitzi przechyliła głowę i spogląda na Owaina, złowrogo marszcząc czoło.

– Proszę to powtórzyć, ponieważ moim zdaniem zabrzmiało to jak groźba.

– Bo to jest groźba. Będąc w posiadaniu tej kopii, naraża pani swoje życie oraz życie każdego, kto jest pani bliski, na poważne niebezpieczeństwo. – Owain zanurza prawą rękę w kieszeni, z której wyciąga małego czarnego pilota, i naciska guzik.

Komnatę wypełnia ogłuszający huk opadających metalowych żaluzji, które zamykają drzwi oraz przejścia pod arkadami i odcinają dostęp do schodów prowadzących na galerię. W ciągu kilku sekund biblioteka zamienia się w gigantyczną metalową komorę.

Gabloty zjeżdżają w dół, chowając się w pancernych niszach pod podłogą. Błyskają czerwone lampy i rozlega się przenikliwy sygnał alarmu.

Sir Owain spokojnym krokiem podchodzi do wejścia i przykłada dłoń do czytnika linii papilarnych.

– To pomieszczenie jest chronione – wyjaśnia. – Ale niestety pani nie. Mogę zapewnić pani ochronę, najlepszą na świecie, ale tylko wtedy, gdy zwróci mi pani to, czego jestem prawowitym właścicielem, i jeżeli zrozumie pani, że sprawy, w które jestem zaangażowany, należy zachować w tajemnicy.

Ambasador wprowadza kod na klawiaturze numerycznej znajdującej się pod czytnikiem i środkowa gablota znika pod posadzką. W ciemnym otworze migoce światło i Mitzi zauważa kamienne stopnie prowadzące w głąb podziemnego lochu.

Owain Gwyn podchodzi do niej.

– To nie ja jestem źródłem niebezpieczeństwa, na które naraża pani siebie oraz swoje córki i siostrę Ruth. Zagrażają pani ludzie, którzy starają się skrzywdzić mnie, a także osoby współpracujące ze mną dla wyższego dobra.

– A kim dokładnie są te osoby, które z panem współpracują?

– Mam nadzieję, że pozna je pani w odpowiednim momencie, a nawet stanie się jedną z nich. Z tego, co o pani wiem...

– Nic pan o mnie nie wie, pomijając kilka informacji, które można znaleźć w sieci, i szczerze mówiąc, wolałabym, żeby tak pozostało.

– Wiem, że brała pani udział w przeszło stu śledztwach kryminalnych, z czego trzy dotyczyły seryjnych morderców. Prowadziła pani szesnaście dochodzeń w sprawie gwałtu i pięć w sprawie molestowania dzieci, z czego wszystkie zakończyły się oskarżeniem sprawcy. Na początku kariery rozwiązała pani więcej spraw napadów rabunkowych niż jakikolwiek inny funkcjonariusz w wydziale.

– No dobra, jakiś prywatny detektyw, którego pan wynajął, dogrzebał się do mojej służbowej kartoteki. Też mi coś.

– Pani śliczne bliźniaczki, Amber i Jade, przyszły na świat w odstępie pięciu minut. Z tego, co mi wiadomo, nie była to pani pierwsza ciąża. Wcześniej straciła pani dziecko, chłopca, w pierwszym trymestrze. Nikt się o tym nie dowiedział, bo nikomu nie powiedziała pani o ciąży. Jestem pewien, że wróciła pani do pracy dwadzieścia cztery godziny po wyjściu ze szpitala.

Mitzi czuje, że jej prywatność została pogwałcona. O takich faktach Owain Gwyn mógł się dowiedzieć tylko z poufnych dokumentów przechowywanych w szpitalu lub w dziale kadr.

– Pani były mąż jest bezrobotny od czasu, gdy trafił do więzienia za ostatni z długiej serii aktów przemocy, jakich się wobec pani dopuścił. I prawdopodobnie zostanie bez pracy jeszcze przez najbliższy rok. Jack, którego pani siostra wyrzuciła z domu, wczoraj wynajął najbardziej zacieklego adwokata od spraw rozwodowych, jaki działa w San Francisco, i w tej chwili szukają jakiegoś haka, by otrzymała jak najmniejszą rekompensatę.

– Skąd pan ma te wszystkie informacje?

– Zdobywanie informacji to moja praca – wyjaśnia Owain i otwartą dłonią wykonuje zapraszający gest w kierunku schodów prowadzących do podziemi.

– Żartuje pan, prawda? – Mitzi spogląda na niego nieufnie. – Ani myślę tam z panem wchodzić.

– Z mojej strony nic pani nie grozi. Przybyła pani tutaj, żeby zadać mi pytania o pewien celtycki krzyż z epoki żelaza i związaną z nim serię zabójstw. Odpowiedzi znajdują się tam, na dole.

– Mimo to nie wybieram się tam.

Owain sięga do kieszeni i wyjmuje pistolet. Widząc to, Mitzi robi krok do tyłu.

– Proszę się nie bać. To dla pani, nie dla mnie – mówi ambasador

i podaje jej broń. – Jest naładowany.

Mitzi bierze od niego pistolet i wysuwa magazynek z rękojeści. Rozpoznaje Glocka 23 strzelającego amunicją kalibru .40.

– Myślałam, że taka broń jest zakazana w Wielkiej Brytanii.

– Bo jest. Mam specjalne pozwolenie zarówno na tę, jak i wiele innych sztuk broni. – Owain odwraca się do niej plecami i rusza w dół. – Proszę uważać. Schody są strome, a nie chcę, żeby pani się potknęła i zastrzeliła mnie przez przypadek.

Mitzi patrzy, jak ambasador znika pod posadzką, i czuje, że jej serce zaczyna uderzać mocniej. Rozgląda się po zamkniętej pancernymi żaluzjami bibliotece, bierze głęboki oddech i schodzi w głąb ciemnego lochu.

Schody prowadzą do długiego i szerokiego tunelu, którego kamienne ściany oświetla bursztynowy blask ukrytych w niszach lamp. Cały korytarz jest pod baczną obserwacją kamer rozmieszczonych pod sufitem.

Ku swemu zdumieniu Mitzi dostrzega dziesięć metrów przed sobą coś, co wygląda jak dyżurka ochrony o ścianach z metalu i szkła. Obok niej stoi sir Owain i rozmawia z dwoma mężczyznami ubranymi w czarne uniformy. Obaj niemal dorównują ambasadorowi wzrostem i każdy z nich ma przy pasie kaburę z bronią, a na ścianie za ich plecami wiszą pistolety maszynowe.

Mitzi wsuwa glocka, którego dostała, za pasek spodni. Nie widzi sensu, by trzymać go w ręku. Wobec siły ognia, jaką ma przed sobą, równie dobrze mogłaby użyć procy.

– Porucznik Fallon! – woła do niej ambasador ponaglącym tonem.

Mężczyźni w czerni uśmiechają się do niej uprzejmie, gdy ich mija i przechodzi przez pancerne drzwi, które właśnie otworzyli przed swoim szefem.

Z zaskoczeniem odkrywa, że za dyżurką znajduje się kolejny ciąg schodów. Prowadzą one do pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka wygląda jak kaplica. Trzydzieści metrów przed nią wznosi się skąpany w blasku świec ołtarz, na którym leży biały obrus. Za ołtarzem stoi wielki drewniany krucyfiks. Gdy jej oczy przyzwyczajają się do półmroku, Mitzi zauważa, że krzyż ma taki sam kształt jak ten na rysunku, który dostała od Irlandczyka.

Potem jej uwagę przyciągają groby.

Dziesiątki grobów. Jest ich tak wiele, że początkowo można by je wziąć za kamienne ławy. Każdy sarkofag jest wysoki na metr, a na jego szczycie znajduje się marmurowa rzeźba przedstawiająca rycerza w pełnej zbroi, z mieczem i tarczą. Jego dłonie leżą splecione na piersi, a na sercu spoczywa miniatura krzyża stojącego za ołtarzem.

– Gdzie my jesteśmy? – pyta Mitzi. – Czy to jakaś rodzinna krypta?

– To mauzoleum rycerzy. Na świecie znajduje się wiele podobnych miejsc, ale to niewątpliwie jest najbardziej sekretne i najlepiej strzeżone – wyjaśnia Owain, gładząc dłonią marmurową głowę. – To grób mojego ojca. A dalej, po tej stronie krypty, leżą moi przodkowie, po przeciwnej zaś – przodkowie mojej żony.

Mitzi przygląda się rzędom rzeźbionych nagrobków.

– A pozostałe? Te, które stoją na środku?

– To najdzielniejsi z dzielnych. Mężczyźni i kobiety z różnych epok, którzy w sekrecie służyli swoim krajom i poświęcili życie walce ze złem.

Mitzi okrąża jeden z sarkofagów i dostrzega wyrzeźbioną na nim inskrypcję opatrzoną datą z trzynastego wieku.

– A więc wszyscy ci polegli tworzyli coś w rodzaju milicji religijnej?

– Nigdy dotąd nie spotkałem się z takim określeniem. Uważamy raczej nasz ruch za grono ludzi, którzy podobnie jak pani, poświęcają się, by czuwać nad bezpieczeństwem świata. W średniowieczu nazywano ich rycerzami. W dzisiejszych czasach nie chcemy, aby ktokolwiek wiedział o naszym istnieniu, nie wspominając już nawet o nadawaniu nam jakiejś nazwy. Anonimowość jest dla nas najmocniejszą tarczą.

– A jak wy sami mówicie o sobie?

– Nazywamy siebie Arturianami. Przestrzegamy zasad zbliżonych do tych, które historycy przypisują rycerzom króla Artura.

Owain rusza w kierunku ołtarza, a Mitzi podąża za nim. Zatrzymują się przy czterech sarkofagach, których ozdobne pokrywy są odsunięte, widać leżące w środku szczątki. Oprócz szkieletów w każdym z grobów znajdują się fotografie, biżuteria, listy i pamiątkowe przedmioty.

– To wszystko jedna rodzina – wyjaśnia ambasador. – Syn, ojciec, dziadek i pradziadek.

Mitzi przygląda się dokładniej i spostrzega, że wszyscy czterej mężczyźni zostali pochowani w szarych tunikach, jakie w dawnych czasach rycerze nosili pod zbrojami. W miejscu, gdzie kiedyś były ich serca, każda z szat ozdobiona jest wizerunkiem trzech czerwonych lwów. Na

kościastych klatkach piersiowych spoczywają odlane z żelaza krzyże, takie same jak ten, od którego zaczęło się śledztwo.

– Tamten stary antykwariusz z Maryland został zabity przez ludzi, którzy chcieli ograbić i zbezczeszczyć groby naszych rycerzy znajdujące się w Ameryce. Z mauzoleum nieopodal Glastonbury, w rezerwacie Meshomasic State Forest w stanie Connecticut, zostały skradzione trzy krzyże, takie jak te, na które teraz pani patrzy. Jeżeli oczekuje pani, abym udowodnił, że mówię prawdę, mogę panią tam zabrać i pokazać to miejsce.

– Nie trzeba. – Mitzi przygląda się spoczywającym w sarkofagach szczątkom. – Wierzę panu.

– Człowiek, który obrabował te groby, był kiedyś jednym z nas. Był zaufanym członkiem naszego groma. A teraz próbuje zniszczyć wszystko, co ma dla nas wartość.

– Skąd taka przemiana?

– Pieniądze. Chciwość. Słabość i desperacja. Wszystko to, co zazwyczaj doprowadza do upadku ludzi takich jak on.

– Ale dlaczego kilka skradzionych krzyży stanowi dla was tak wielkie zagrożenie?

– Ludzie, którzy mu płacą, chcą nas zniszczyć. Aby tego dokonać, muszą dowieść naszego istnienia. Ujawnienie grobów odsłoni przed światem naszą historię. Nie możemy dopuścić, aby nazwiska naszych rycerzy wyszły na jaw. Byłoby to równoznaczne z zagładą naszego zakonu.

Mitzi zaczyna dostrzegać skalę zagrożenia.

– Domyślam się, że profesora Mallory'ego również pozwał pan dlatego, że zamierzał zdemaskować wasz zakon?

– Można powiedzieć, że niektóre z jego odkryć są zbyt trafne, byśmy mogli czuć się bezpiecznie. Mallory mógł wywołać reakcję łańcuchową, której nie bylibyśmy w stanie zatrzymać.

– A te morderstwa, nad którymi pracuję... – zaczyna Mitzi, a w jej

głosie słycać sceptyczny ton. – Czy wszystkie popełnił ten wasz były towarzyszy, który obrabował groby?

Owain zdaje sobie sprawę, że właśnie jest poddawany próbie.

– Nie wszystkie. George Dalton przyjedzie tu jutro rano i wtedy będzie mógł z panią porozmawiać o szczegółach zabójstwa, z którym powiązała pani jego osobę.

– I myśli pan, że skoro się tu znalazłam, zobaczyłam to wszystko i wysłuchałam pańskiej opowieści, zobaczę jego zeznania, a być może przyznanie się do winy, w zupełnie innym świetle?

– Taką mam nadzieję.

– Więc obawiam się, że pomimo skrupulatnego wywiadu, tak naprawdę w ogóle pan mnie nie zna, sir Owainie. Dla mnie morderstwo jest morderstwem. I nieważne, czy mam do czynienia z drobnym opryszkiem, którego poniosło, czy z wykształconym dyplomata, który doskonale zdaje sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów. A teraz chciałabym już wrócić do siebie. Mój żołądek myśli, że urwało mi głowę, a nie chce pan zobaczyć, co się dzieje, kiedy jestem naprawdę głodna.

WALIA

Mija północ, kiedy Mitzi dociera z powrotem do zajazdu.

Nocny portier, chudy mężczyzna o przetłuszczonych włosach, oświadcza jej, że nie ma szans, by przed śniadaniem dostała cokolwiek do jedzenia.

– Co to za kraj, do cholery? Życie nie toczy się tylko między dziewiątą a siedemnastą. Sam pan chyba zdążył się o tym przekonać.

– Bardzo panią przepraszam.

– Pańskimi przeprosinami nie napełnię mojego cholernego żołądka.

Tupiąc z furją, Mitzi wspina się po schodach do swojego pokoju. Wszystkie artykuły znajdujące się w minibarku są absurdalnie drogie. Zmagając się z wyrzutami sumienia, Mitzi otwiera dwie paczki cukierków i małą butelkę wina. Cała ta kolacja, z której nie jest bynajmniej zadowolona, kosztuje ją dwadzieścia funtów. Nie ma nawet odwagi przeliczać tego na dolary.

Gdy kładzie się do łóżka, jest już na tyle spokojna, że postanawia zadzwonić do siostry. Ku jej zaskoczeniu Amber nie posiada się z radości, ponieważ Ruth obiecała zabrać dziewczynki do oceanarium, które składa się z prawie kilometrowej długości podwodnych tuneli i można w nim zobaczyć przeszło dwadzieścia tysięcy ryb.

Mitzi oddałaby wszystko za rybę. Wielkiego soczystego pstrąga z rusztu z plasterkiem cytryny, a może na przystawkę frytki i bukiet warzyw.

Po skończonej rozmowie Mitzi odkłada telefon i unosi wzrok ku niebu.

– Słyszysz mnie, Boże? Bardzo cię proszę, abys okazał mi łaskę i zesłał na mnie twardy głęboki sen.

Dla pewności zażywa ostatnie z tabletek przeciwbólowych, które dostała w szpitalu, i zagrzebuje się pod kołdrą.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Stojąc przy orzechowym barku, Owain Gwyn nalewa sobie koniaku i z kieliszkiem w dłoni idzie w głąb gabinetu, gdzie stoi jego biurko.

Na monitorze jego komputera widnieje najświeższy raport. Z początku trudno jest mu przetrwać wszystkie informacje. Jego myśli zaprzętają inne sprawy. Nie tylko ta policjantka z Kalifornii i jej śledcza kruczata, ale również Mardrid, Marchetti i ataki terrorystyczne na dwóch kontynentach. Myśli o ciąży Jennifer. O tym, co łączy ją z Lance'em Beaucoup.

Myśli o własnej śmierci.

Czas się kończy. Jego czas. Owain musi mieć pewność, że zakon jest w na tyle dobrej formie, by mógł dalej funkcjonować bez niego.

Z zadumy wyrywa go dzwonek telefonu.

– Halo?

– Miałem nadzieję, że cię złapię, zanim pójdziesz spać. – Gareth Madoc, który ostatnio pracuje całymi dniami i nie dosypia, mówi ochryplym ze zmęczenia głosem. – Dziewczyna zainstalowała lokalizator Chalidowi.

– Dobra robota.

– Jest coraz lepiej. Chalid zaprowadził nas do kryjówki w East Flatbush. Założyliśmy tam podsłuch i to było mądre posunięcie. W piwnicy domu przebywali już trzej inni ludzie. Jednym z nich był imam Jusuf Musawi.

Na sam dźwięk tego nazwiska Owain odstawia kieliszek na biurko.

– Jesteś pewny?

– Na dziewięćdziesiąt procent. Sprawdziliśmy nagranie rozmowy programem do identyfikacji głosu.

– Czy ktoś użył jego nazwiska?

– Nie. Ale był tam Nabil Tabrizi, który zwracając się do niego, tytułował go imamem. Antun zawsze twierdził, że Nabil melduje

o wszystkim Musawiemu.

– Kim był ten trzeci? Powiedziałeś, że oprócz Korszidiego było trzech innych.

– Tego nie ustaliliśmy, ale imam był wśród nich najważniejszy. To on kierował rozmową, a wszyscy zwracali się do niego z największym szacunkiem.

– Ludzie z CIA i wydziału zwalczania terroryzmu sprzedaliby swoje dusze, żeby dopaść Musawiego, nie mówiąc o tych, którzy są nad nim. Proszę, powiedz mi, że rozmawiali o czymś ważniejszym niż ceny mięsa z uboju halal.

– Rozmawiali o trójcy.

– O czym?

– Takiego słowa użył ten, którego nie zidentyfikowaliśmy. Zaczekaj, mam tu zapis rozmowy. Powiedział, cytuję: „W ciągu czterdziestu ośmiu godzin trójca przestanie istnieć”. A potem ten sam człowiek zapytał pozostałych, czy rozumieją, czego się od nich oczekuje. Oni odpowiedzieli, że tak. Po rozmowie szybko przystąpili do modłów.

– Próbuję zrozumieć, jaki ma sens to nawiązanie do trójcy. Czy Amerykanie dowiedzieli się czegoś pomocnego od ludzi, których złapali podczas nalotu na warsztat Nabila?

– Godzinę temu rozmawiałem z agentem CIA. Jak dotąd nie wyciągnęli z nich niczego konkretnego.

– Szkoda. Trójca nasuwa skojarzenia z religią, ale równie dobrze może odnosić się do wszystkiego, co składa się z trzech elementów. Pamiętasz tę informację o planowanych zamachach Al-Kaidy na gwiazdy sportu?

– Pamiętam. Wybrali cele z opublikowanej przez „Forbesa” listy najlepiej zarabiających sportowców.

– Sprawdź, czy wkrótce trzej z nich nie pokażą się gdzieś razem.

Gareth notuje polecenie, tymczasem Owainowi przychodzi do głowy kolejna myśl.

– Każę kilku naszym analitykom przygotować schemat, który pokaże

nam, co w ciągu najbliższej doby będą robić wszyscy znaczący politycy, sławni sportowcy i przywódcy religijni.

– Przynajmniej wiesz, że nowy papież będzie bezpieczny.

– Mam nadzieję. Będę mu towarzyszył podczas pierwszej od przeszło trzydziestu lat pielgrzymki papieskiej do Walii i nawet sam diabeł nie zdoła się przedrzeć przez kordon ochrony.

– Jestem pewien, że się nie mylisz.

– Córka Kordisiego robi jakieś postępy?

– Niewielkie. Zmusiłem ją, żeby zamontowała podsłuch i kamery pod nieobecność ojca. Jeżeli Chalid odgrywa tak ważną rolę, jak twierdzi dziewczyna, może dopisać nam szczęście.

– Potrzebujemy tego. – Owain zawiesza głos na dłuższą chwilę. – Czuję, że najbliższe dni będą decydujące dla naszych losów. Moich, twoich, Lance'a i całego zakonu. Jeżeli okaże się, że z jakiegoś powodu, jak by to ująć, nie będę mógł wam dalej towarzyszyć, ty i Lance musicie kierować naszymi braćmi, dopóki następny z mojego rodu nie będzie gotowy, by stanąć na ich czele.

– Owainie, ja...

– Proszę, daj mi dokończyć. Jesteś dla mnie jak brat i kocham cię całym sercem za to, że tak wiernie mnie wspierasz. Możesz to uznać za zbędny gest, a mnie za szaleńca, ale po prostu chcę ci podziękować – mówi Owain i od razu zmienia temat, nie dopuszczając Garetha do głosu. – Nie rozmawiajmy o tym więcej. Chcę dopić koniak i położyć się do łóżka. Dobranoc, drogi przyjacielu. Dobranoc.

WALIA

Sny Mitzi wypełniają średniowieczni rycerze na koniach, koziółkujący samochód Irlandczyka i ryby.

Miliony tropikalnych ryb.

Jej córki pływają wraz z nimi w oceanarium w San Francisco. Okazuje się, że pod wodą są też konie. Rycerze. Irlandczyk. Jego roztrzaskany samochód. Ford ma powybijane szyby w oknach, przez które ryby i dziewczynki dostają się do środka i wypływają na zewnątrz.

Gdzieś nad lustrem wody, w rzeczywistym świecie, dzwoni telefon. Mitzi wyciąga rękę z pościeli i chwytą aparat. Odbiera połączenie, wydając z siebie nieartykułowany pomruk.

– Dzień dobry, pani Fallon. Tu recepcja. Na dole czeka na panią kierowca.

– Co?

– Kierowca, proszę pani. Przysłany przez sir Owaina Gwyna.

Mitzi zerka na stojący przy łóżku zegar. Jest za pięć dziewiąta.

– A niech to szlag. Proszę mu powiedzieć, że zejdę za dziesięć minut.

– Dobrze, proszę pani.

Mitzi z trzaskiem odkłada telefon i pędzi do łazienki, gdzie bierze prysznic i suszy włosy. W lustrze widzi, że czarne krwiaki wokół oczu zamieniły się w rozlane purpurowe plamy. Makijaż łagodzi nieco ich szpetotę, ale nie jest w stanie zakryć ich całkowicie. Mitzi rozczesuje włosy grzebieniem i spryskuje je lakierem. Wkłada czarne spodnie i niewyprasowaną szarą bluzkę, chwytą żakiet i zbiega na dół po schodach.

W recepcji czeka kierowca. Jest to ten sam barczysty mężczyzna, który nie kwapi się do rozmowy i prowadzi tak, że samochód podskakuje na wybojach jak shaker do koktajli. Na jej widok uśmiecha się i wychodzi.

LUNDY

Padało przez całą noc i nadal pada, kiedy Bronty wystawia głowę z małego domku, w którym zatrzymał się na nocleg. Nie jest to łagodna ciepła mżawka, w której nawet przyjemnie się spaceruje, ale rześisty deszcz, w którym można przemoknąć do suchej nitki, by potem dygotać z zimna przez cały dzień.

Amerykanin pośpiesznym krokiem zmierza do tawerny Marisco, jedyne go zajazdu na wyspie i jedyne go miejsca, gdzie obfite angielskie śniadanie złożone z jajek na bekonie, grzanek i marynowanych grzybów kosztuje mniej niż filiżanka cappuccino w Londynie.

Po kilku minutach dowiaduje się, że człowiek, który może mu pomóc, posila się właśnie przy stoliku w kącie tawerny. Stary marynarz z Oldenburga, Dan Smallfellow, jest drobnym mężczyzną o przygarbionych plecach i siwych włosach, których niesforne resztki nie chcą zakryć jego pokrytej starczymi plamami łysiną.

– No więc czego chcesz się dowiedzieć? – pyta, kiedy przysiadła się do niego. – Interesuje cię ropa, złoto czy legendy? Ludziom zazwyczaj chodzi o którąś z tych rzeczy.

Bronty jest rozbawiony bezpośrednim podejściem staruszka. Wyjmuje kopię przedstawiającego krzyż rysunku, który wykonała Sophie Hudson.

– Czy kojarzy się to panu z czymś? Ma to coś wspólnego z tą wyspą?

Stary Dan spogląda na szkic i pociąga łyk herbaty.

– Wygląda na celtycki krzyż, ale jest trochę inny. Jakby należał do jakiejś odrębnej sekty albo klanu – mówi i oddaje Bronty’emu kartkę. – A więc legend szukasz. Znajdziesz ich tu wiele.

– Jak te o królu Arturze i jego rycerzach?

– Jesteś jankesem, co?

– Tak, Amerykaninem.

Smallfellow odgryza kęs grzanki

– I próbujesz powiązać ten oto krzyż z królem Arturem i Lundy?

– A czy to niedorzeczny pomysł?

– Skądże znowu. Są tacy, którzy twierdzą, że ta wyspa to Avalon, miejsce spoczynku Artura.

Bronty podejrzewa, że staruszek uważa go za naiwniaka.

– Myślałem, że tego miejsca należy szukać w Anglii, w okolicach Glastonbury.

– Propaganda. Anglicy mówią, że znajduje się w Anglii, Walijczycy, że w Walii, a Francuzi, że we Francji. – Marynarz spogląda przez okno na strugi deszczu. – Wszyscy oni kłamią, jeżeli chodzi o legendy. Ostrzą sobie zęby na dolary turystów i nic, tylko kłamią. Nie na próżno Lundy jest znana jako Annwyn, brama do zaświatów.

Bronty dzielnie powstrzymuje się od wygłoszenia teologicznego wykładu na temat nieba.

– Zatem jeżeli Artur spoczywa na tej wyspie, gdzie dokładnie znajdę jego grób?

Stary Dan popija kolejny łyk herbaty, zanim udziela odpowiedzi.

– Byłoby to okryte tajemnicą, czyż nie? Pomyśl o tym, jak kości króla Ryszarda III przez setki lat spoczywały w miejscu publicznym w Leicester. Być może król Artur jest tutaj pochowany w nieoznaczonym grobie. – W oczach marynarza pojawia się błysk. – Odwiedź Mogiły Gigantów albo Celtyckie Skały, może tam go znajdziesz. Albo popatrz w morze i zastanów się, czy nie został pochowany wśród ryb i zatopionych statków.

– Mam wrażenie, że nabija się pan ze mnie.

Staruszek kręci głową.

– Mówię całkiem poważnie. Na Lundy wszystko jest możliwe. To magiczne miejsce. Im dłużej tu zostaniesz, tym większego nabierzesz przekonania, że mam rację.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Jelenie, które przechadzają się na skraju zagajnika, pierzchają w popłochu, gdy rozpędzony range rover zakłóca ciszę poranka. Spłoszone zajęce i króliki pośpiesznie chowają się w gęstwinie. Wyrwane ze snu opasłe owce podnoszą się z murawy i zaczynają skubać wilgotną od porannej rosy trawę.

Czarny samochód terenowy zatrzymuje się przed głównym wejściem.

Zanim kierowca zdąży wysiąść i otworzyć przed nią tylne drzwi, Mitzi jest już na zewnątrz. Rozgląda się dookoła i rusza w stronę zamku.

– To pani jest tą Amerykanką, prawda? – Głęboki męski głos zdaje się dobiegać znikąd.

Mitzi obraca się zaskoczona i widzi przed sobą starca ubranego w sięgającą do samej ziemi czarną szatę, na którą opadają długie siwe włosy i zmierzwiona broda.

– Jasny szlag! Skąd pan się tu wziął?

– Jestem Myrddin. – Starzec wyciąga w jej stronę chudą dłoń. – Miło mi panią powitać.

Myrddin przygląda się uważnie jej twarzy i przypomina sobie ostatnią wizję, jakiej doświadczył nad Krynicą Wiedzy. Ujrzał wtedy dwie kobiety, z których jedną bardzo dobrze zna, druga zaś jest mu zupełnie obca. Obie są w niebezpieczeństwie – obie spojrzą śmierci w oczy.

Mitzi podaje mu rękę i patrzy przez chwilę w jego bladozielone oczy.

– Mitzi Fallon. Na przyszłość radzę ostrożniej z takimi niespodziewanymi powitaniami.

– Z oczu niewiele pani wyczyta – odpowiada starzec rozbrajającym tonem. – Jeżeli chce pani poznać prawdziwą naturę człowieka, proszę raczej zwrócić uwagę na jego usta. Wargi i język są niewolnikami umysłu. Są głupie i popełniają błędy częściej niż oczy.

Mitzi mimowolnie kieruje wzrok na usta Myrddina. Nie może oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą dużo młodszego mężczyznę. Jego równe

zęby połyskują nieskazitelną bielą, a wargi mają w sobie młodzieńczą jędrność.

Tymczasem Myrddin uważnie przygląda się jej twarzy.

– Twoje usta są nawykłe do mówienia prawdy. Jesteś dobrą osobą, ale nie powinnaś była znaleźć się tutaj.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Szukasz ludzi, którzy wtargnęli do Jaskini Przeszłości i Teraźniejszości; tych, którzy zamordowali Strażnika Czasu...

– Kogo szukam?

– ...ścigasz ich, a także podążasz tropem milczącej brązowej bestii, która unosi wysłanników śmierci.

– Aha. – Mitzi domyśla się, że poczciwy staruszek jest niespełna rozumu. – Było mi bardzo miło pana poznać, panie Mervyn – mówi, uśmiechając się uprzejmie, i ponownie ściska jego dłoń. – A teraz muszę już wracać do rzeczywistości, gdzie czeka na mnie sir Owain. Powodzenia.

Mitzi chce odejść, ale z jakiegoś powodu nie może zrobić ani kroku. Jej stopy wydają się tak ciężkie, że nie potrafi oderwać ich od ziemi. Myrddin puszcza jej dłoń, a jego pełne wargi poruszają się powoli, wypowiadając hipnotyzujące słowa.

– Musisz odłożyć na miejsce cień wiedzy. Oddaj nam światło przyszłości, w przeciwnym razie twoje oczy nigdy nie przestaną ronić łez.

– Pani Fallon.

Mitzi patrzy tam, skąd dobiega głos ambasadora.

– Dzień dobry. – Owain idzie z wawo w jej stronę. – Jak się pani dzisiaj czuje?

Jej nogi znów mogą się poruszać i Mitzi, zataczając się, robi kilka kroków.

– Ja właśnie... właśnie poznałam pana Mervyna, który... – odwraca się, by wskazać na starca.

Ale w miejscu, gdzie przed chwilą stał Myrddin, nikogo nie ma.

– Nic pani nie jest? – Owain chwyta ją pod ramię, pomagając jej

zachować równowagę. – Wygląda pani jak po spotkaniu z duchem.

SAN MATEO

Ruth Everett otwiera oczy i czuje się, jakby prześladował ją kac stulecia. Najpierw nieznośny ból rozsadza jej głowę, potem ogarnia ją fala mdłości. Na koniec dociera do niej, że leży w ubraniu na kuchennej podłodze i wpatruje się w sufit.

Ale najgorsze ma dopiero nadejść.

Ten moment, w którym przypomina sobie, co się stało.

Ta miła kobieta, której samochód zepsuł się naprzeciwko jej domu... zaatakowała ją.

Ruth pozwoliła jej skorzystać z telefonu, by mogła zadzwonić do firmy, w której wynajęła samochód, i kiedy czekały na pomoc drogową, zaproponowała jej kawę. Stała przy oknie i płukała kubki w zlewie, gdy kobieta wbiła jej coś w szyję. Podstępna dziwka zrobiła jej zastrzyk, a potem zatkała ręką usta i gdy Ruth zaczęła tracić przytomność, opuściła ją powoli na podłogę.

Ruth wstaje z trudem i chwiejnym krokiem podchodzi do zlewu, żeby napić się wody. Wyobraża sobie, co za chwilę zobaczy. Znajdzie torebkę opróżnioną z pieniędzy i kart kredytowych. Zapewne cała jej biżuteria również zniknęła. A może nawet i samochód.

Dziewczynki.

Z początku była zbyt otumaniona przez narkotyk, żeby pomyśleć o bliźniaczkach, ale teraz sobie o nich przypomniała.

– Jade! Amber! – woła i czuje piekący ból w gardle. – Gdzie jesteście?

Kiedy przyszła tamta kobieta, obie były na tarasie. Może pobiegły do sąsiadów, żeby wezwać pomoc. Ruth pośpiesznie idzie do holu. Zagląda do salonu i bawialni. Zauważa, że wszystko jest na swoim miejscu. Żadnych śladów plądrowania ani walki. Nic nie zginęło.

– Dziewczynki! Jesteście na górze? – Ruth czuje zawroty głowy, kiedy wlecze się na górę po schodach.

Zagląda do sypialni. Książki Jacka wciąż piętrzą się na stoliku po jego

stronie łóżka, a zakładka wystaje spomiędzy kartek powieści, której nie zdążył przeczytać do końca. Bransoletki i pierścionki połyskują na kryształowym wieszaku do biżuterii, który stoi przed lustrem jej toaletki.

– O mój Boże. – Ruth osuwa się na łóżko, kiedy dociera do niej, co się stało.

Zauważyła leżącą na narzucie kartkę. Prosta wiadomość złożoną z pięciu słów.

– Jeżeli zawiadomisz gliny, dziewczynki umrą.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Sir Owain prowadzi Mitzi w stronę ławki ogrodowej z drewna tekowego, która stoi obok wybrukowanej kamieniami ścieżki, kilka metrów od miejsca, w którym ją spotkał.

– Proszę tu usiąść na chwilę, a potem zaprowadzę panią do środka.

– Nic mi nie dolega. I nie jestem psem, którego trzeba prowadzić. – Mitzi rozgląda się wokół. – Kim był ten starszy człowiek i gdzie się, do cholery, podział?

– To skomplikowana sprawa.

– Nie wątpię – odpowiada Mitzi i w tym momencie dzwoni jej telefon. – Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeżeli odbiorę?

– Proszę bardzo. – Owain odchodzi na bok, by nie czuła się skrępowana jego obecnością.

Na wyświetlaczu widnieje imię jej siostry. Prawdopodobnie nie może spać i chce się wyzalić na Jacka.

– Cześć, Ruthy. Jestem w tej chwili zajęta. Mogę zadzwonić do ciebie później?

Na linii zapada pełne napięcia milczenie.

– Mitzi – odzywa się Ruth po chwili. – Chodzi o dziewczynki.

Mitzi czuje, że zaczyna ogarniać ją niepokój.

– Co z nimi?

– Zniknęły. Ktoś je zabrał z domu.

– Nie rozumiem. Jak to: zabrał?

Przychodzi jej na myśl, że to Alfie. Może to on złamał zakaz i wziął je bez pozwolenia.

– Wpuściłam tę kobietę... – wyjaśnia Ruth, z trudem tłumiąc szloch. – Powiedziała, że zepsuło się jej auto i kiedy czekałyśmy na pomoc drogową, wbiła mi coś w szyję. A potem znalazłam kartkę z wiadomością. Że jeśli zawiadomię policję, to dziewczynki umrą.

Serce Mitzi bije tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.

– Zadzwońska do nich? – pyta, powtarzając sobie w myślach, że musi zachować spokój i działać profesjonalnie. – Do kogo zadzwońska, Ruth?

– Tylko do ciebie – odpowiada jej siostra i wybucha płaczem. – Do nikogo więcej, tylko od ciebie.

– Dobrze. – Mitzi stara się zapanować nad oddechem i słyszy jakby dobiegające z zewnątrz własne słowa. – Nic nie rób. Pozamykaj wszystkie drzwi, siedź na tyłku i czekaj, aż wrócę.

Mitzi spogląda w stronę Gwyna, który stoi kilka metrów dalej. Odwrócony tyłem do niej wpatruje się w jedną z zamkowych baszt.

Czy to on za tym stoi? Czy posunął się dalej, kiedy pozostała głucha na jego przestrogi?

Mitzi chowa telefon do kieszeni i rzuca się na ambasadora, uderzając go z całej siły w plecy. Potężny cios popycha go do przodu, ale nie ścina z nóg.

Owain zatacza się i obraca głowę, by spojrzeć prosto w rozpalone furiją oczy Amerykanki.

– Ty jebany skurwysynu. Myślisz, że masz prawo krzywdzić moje dzieci? – krzyczy Mitzi i wyprowadza zamaszysty cios prawą ręką.

Owain Gwyn zatrzymuje jej rozpędzoną pięść, jak gdyby chwycił piłkę baseballową rzuconą przez dziecko. Mitzi bierze wymach nogą, celując w jego goleń, ale Gwyn uchyla się zwinnie przez potężnym kopnięciem, które mogłoby pogruchotać mu kości. Potem delikatnie wykręca jej rękę w nadgarstku i blokuje łokieć, zmuszając ją, by uklękła i pochyliła głowę do ziemi.

Mitzi doskonale zna tę dźwignię. Wie, że jeśli poruszy się choćby o centymetr, będzie miała złamany nadgarstek.

– Nic nie zrobiłem pani dzieciom – mówi Gwyn, pochylając się nad nią.
– Czy pani mnie rozumie?

Mitzi nie odpowiada. Ambasador nie rozluźnia chwytu.

– Czy pani rozumie, co mówię? – powtarza spokojnie.

– Tak.

– W porządku. – Gwyn puszcza jej rękę i pomaga wstać. – Bardzo przepraszam, że musiałem to zrobić. A teraz proszę mi opowiedzieć, co się stało.

KALIFORNIA

Ten dom to istna rudera. Stoi z dala od uczęszczanych szlaków. Zbudowany z tandetnych desek, jest niewiele większy od dużej szopy, w której wstawiono ściany, wydzielając salon, kuchnię, dwie sypialnie i łazienkę.

Zważywszy na ich potrzeby, jest to miejsce wręcz idealne.

– Porwania to praca, po której suszy – mówi Chris, przynosząc z kampera sześciopak piwa. – Chcesz jedno?

Na podłodze leżą bliźniaczki zwrócone do siebie plecami. Naprzeciwko nich, na rozlatującym się fotelu, siedzi Tess, trzymając w dłoni pistolet.

– Tak, ale daj mi szklanę. Nie lubię pić prosto z butelki.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Wstrzyknęła Ruth Everett środek usypiający, a potem zadzwoniła do Chrisa, który czekał w lesie niecały kilometr dalej. Kiedy już dotarł na miejsce i zaczął się w domu, zawołała dziewczynki, które siedziały na patio, mówiąc im, że ich ciocia zasłała. Chris uporał się z nimi bez trudu, jakby nakłuwał skwierczące kielbaski na ruszcie. Potem wspólnie zapakowali je do kampera i pojechali do swojej kryjówki.

Chris wyjmując z kredensu szklanę, przeciera ją z kurzu ścierką do naczyń, po czym napełnia budweiserem i podaje ukochanej.

Tess klęka obok dziewczynek i sprawdza ich puls. Zbyt silny zastrzyk mógłby je zabić. Ale gdyby dostały za mało środka usypiającego, mogłyby sprawiać problemy. Wyczuwalne pod palcami tętno świadczy o tym, że dawka została odmierzona w sam raz.

Kobieta upewnia się ponownie, czy bliźniaczki są odpowiednio unieruchomione. Chris związał je, założył im kajdanki, zakleił usta taśmą, a dla pewności założył im na głowy luźne czarne kaptury.

Wszystko udało się wręcz idealnie.

Tess siada z powrotem na fotelu i bierze od męża szklanę.

– Dzięki – mówi i pociąga długi łyk, a potem przygląda się leżącym na

podłodze bliźniaczkom. – Ładne te dzieciaki. Byłoby szkoda, gdybyśmy musieli je zabić.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Owain zamyka drzwi gabinetu, a następnie uważnie słucha Mitzi, która opowiada mu o porwaniu swoich córek. Gdy jej relacja dobiega końca, jest oczywiste, że kobieta oczekuje na jakieś słowa otuchy.

– Jako policjantka doskonale zdaje pani sobie sprawę, że porywacze, zostawiając list, chcą zawrzeć z panią jakiś układ. Prawdopodobnie nie trzeba będzie na to długo czekać.

Mitzi potakująco kiwa głową i przestaje obgryzać paznokcie.

– Muszę zadzwonić do mojej szefowej i powiedzieć jej, co się stało. W FBI jest specjalny wydział, który zajmuje się takimi sprawami.

Gwyn wskazuje na wiktoriańskie biurko ze złocistego mahoni.

– Może pani skorzystać z mojego telefonu. Aczkolwiek proponuję zaczekać jeszcze godzinę. Ci ludzie skontaktują się bezpośrednio z panią.

– Nie mogę czekać. – Mitzi zrywa się z fotela. – I tak już odchodzę od zmysłów. Tu chodzi o moje dzieci. One są wszystkim, co dla mnie się liczy.

– Rozumiem. – Owain wstaje i podchodzi do niej. – Zostawię panią samą na czas rozmowy.

Mitzi podnosi słuchawkę, ale nie słyszy sygnału.

– Jak mogę się połączyć z linią zewnętrzną?

– Dwa zera.

Jej dłoń dygoce, kiedy wybiera bezpośredni numer do biura swojej przełożonej.

Tymczasem Owain idzie długim korytarzem do zachodniego skrzydła. Przechodzi przez stanowisko kontrolne obsługiwane przez dwóch uzbrojonych strażników i po dokładnym prześwietleniu uzyskuje dostęp do pomieszczeń, w których znajduje się główna baza danych oraz system łączności zakonu.

Przy półokrągłym biurku, którego krawędź wieńczy szereg trójwymiarowych monitorów o wysokiej rozdzielczości, siedzi Lance Beaucoup.

– Porucznik Fallon jest w gabinecie i rozmawia przez telefon ze swoją szefową – mówi ambasador. – Jej dzieci zostały porwane.

Lance naciska guzik i z wbudowanych w blat biurka głośników płynie głos Amerykanki.

– Nie, nie rozmawiałam z nikim oprócz Ruth – mówi Mitzi pełnym napięcia tonem. – Trzeba wysłać tam funkcjonariuszkę, która się nią zaopiekuje.

– Zrobione – odzywa się jej przełożona na drugim końcu linii. – Kiedy tylko skończymy rozmawiać, skontaktuję się z wydziałem porwań i każe objąć podsłuchem telefony twojej siostry i twoją komórkę.

– Muszę powiadomić ich ojca. – Mitzi mówi bardziej do siebie aniżeli do swojej szefowej. – Będzie wściekły, kiedy sam się o tym dowie.

– Podaj mi adres, a wyślemy kogoś od nas, kto będzie czekał pod jego mieszkaniem, a potem zajmie się nim, kiedy mu powiesz.

– Wyłącz to – zwraca się Owain do przyjaciela. – Nie muszę tego słuchać.

Francuz wyłącza dźwięk.

– Chcesz, żebym przydzielił zespół do tej sprawy?

– Niezwłocznie. Jak się nazywa ten młody agent, który zdobywał dla mnie informacje na temat Fallon i tego irlandzkiego policjanta?

– Ross Green. Współpracował z Eve Garrett. Obydwoje służyli kiedyś w policji i jestem pewien, że pewnego dnia zostaną członkami Wewnętrznego Kręgu.

– Obyś miał rację. Potrzeba nam młodej krwi. Przydziel go do tej sprawy. I ją też, o ile jest wolna.

– Porozmawiam o tym z Garethem.

– I niech im powie, żeby byli ostrożni. Możesz być pewien, że Mardrid steruje posunięciami Marchettiego i będzie próbował wykorzystać córki Fallon, żeby wywabić nas z ukrycia.

NOWY JORK

Na murawie Met Oval w dzielnicy Queens, dostępnego publicznie obiektu uznawanego za najstarsze i nieprzerwanie działające boisko do piłki nożnej w Ameryce, dobiega końca mecz między drużynami dziesięcioletnich chłopców.

Z tego miejsca jest tylko pół kilometra do domu Zachry Korszidi.

Na boisku, z którego roztacza się imponujący widok na Manhattan, Rycerze Brooklynu wygrywają dwa do zera z Westchester. Pośród niewielkiej grupy dopingujących swe pociechy rodziców stoi Gareth Madoc. Dwaj uzbrojeni członkowie jego ekipy zajmują pozycje po przeciwnej stronie boiska. Pozostałych sześciu pilnuje dróg dojazdowych prowadzących do obiektu.

Zachra jest spóźniona dwadzieścia minut na spotkanie i Gareth zaczyna się niepokoić. W końcu zauważa, że spośród drzew rosnących nieopodal boiska wyłania się czarna sylwetka ubrana w burkę.

– Uwaga – szepcze do mikrofonu ukrytego w mankiecie obszernej brązowej kurtki. – Cel zbliża się od południa.

Niewidoczne dłonie odbezpieczają ukrytą broń. Zachra może być śledzona i nikt nie ma zamiaru ryzykować.

Madoc upewnia się, że dziewczyna go widzi, a potem odłącza się od grupki rodziców, podchodzi do trybun ciągnących się wzdłuż ulicy i czeka.

Zachra w jednej ręce niesie papierową torbę z nadrukiem Burger Kinga, a w drugiej opróżniony do połowy kubek coli. Przez szczelinę w czarnym nikabie widać jej wystraszone oczy, które nerwowo lustrują okolicę.

– Wszystko w porządku?

Okryta chustą głowa kiwa potakująco.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Ojciec kazał mnie i matce wyjść z domu. Powiedział, że będzie przyjmował bardzo ważnego gościa i mamy zniknąć, żeby nie przynieść

mu wstydu. Musiałyśmy wysprzątać pokój z tyłu domu, a potem trzymać się z daleka, dopóki nie zadzwoni.

– Pytałaś, jak długo to może potrwać?

Spod czarnej tkaniny zasłaniającej twarz wydobywa się cichy śmiech.

– Mojego ojca nie należy o nic pytać. Należy tylko robić, co każe.

– Udało ci się zamontować te urządzenia, które ci dałem?

Zachra nie odpowiada. Podnosi kubek z colą, wciska wygiętą słomkę w szczelinę między fałdami chusty i pociąga długi łyk. Madoc patrzy, jak brązowy płyn unosi się w przezroczystej rurce i zauważa, że prawa dłoń dziewczyny jest opuchnięta. Opuszcza wzrok w stronę drugiej ręki, która trzyma papierową torbę, i również dostrzega na palcach ślady uderzeń.

Zachra przechwytuje jego spojrzenie.

– Pobił mnie za to, że byłam w jego pokoju. W tym pokoju, gdzie kazał mi pan wejść. Musiałam uklęknąć jak pies, a on deptał mi po rękach.

– Musimy zabrać cię do szpitala – przerywa jej Madoc.

– Szpital może poczekać. – W głosie Zachry słychać determinację. Wyrzuca pusty kubek do kosza na śmieci i unosi torbę z Burger Kinga. – Muszę iść w jakieś ustronne miejsce, żeby to zjeść – mówi, ale zanim odwraca się, by odejść, dodaje: – Tak, pańska kamera i mikrofony są teraz ukryte w jego pokoju.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Mitzi odkłada słuchawkę i siedzi w milczeniu. Po chwili otwierają się drzwi gabinetu i do środka wchodzi sir Owain w towarzystwie George'a Daltona.

Jak na ironię człowiek, na którego przesłuchaniu najbardziej jej zależało, pojawia się w momencie, kiedy prawie nie jest zdolna z nim rozmawiać.

– Słyszałem o pani córkach – mówi Dalton ze szczerym współczuciem.
– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

Mitzi odwraca się w stronę ambasadora.

– Muszę natychmiast stąd wyjechać i złapać najbliższy lot do Kalifornii. Może mi pan powiedzieć, gdzie jest najbliższe lotnisko?

– To nie będzie konieczne. – Owain kręci głową. – Moim helikopterem dostanie się pani na Heathrow, gdzie mam prywatny odrzutowiec, który przewiezie panią przez Atlantyk.

Mitzi patrzy na niego zszokowana.

– To bardzo miłe. Dziękuję.

– Nie musi mi pani dziękować – mówi ambasador. – A teraz panią opuszczę, aby poczynić przygotowania.

Mitzi odprowadza go wzrokiem do drzwi, a potem jej spojrzenie pada na Daltona. Uznaje, że przed wyjazdem może mu zadać chociaż to jedno pytanie.

– Czy zabił pan Bradleya Deagana?

Mija dłuższa chwila, zanim Dalton odpowiada.

– Sir Owain poinformował mnie, że została pani wtajemniczona w naszą sprawę. Że wie pani o szlachetnej misji, którą staramy się wypełniać.

Mitzi podchodzi do Daltona i staje naprzeciw niego.

– Mam pańskie DNA.

Twarc konsula oblewa rumieniem.

– Kiedy spotkaliśmy się w Londynie, zabrałam butelkę, z której pan pił, i oddałam ją do laboratorium. I co się okazało? To taki sam profil jak ten, który wraz z DNA Deagana uzyskaliśmy z próbek pobranych w toalecie nocnego baru przy Dupont Circle.

Dalton zastanawia się przez chwilę.

– Nie jestem pewien, jakie wnioski wyciąga pani na tej podstawie. Już pani powiedziałem, że tam byłem – mówi niewzruszonym tonem. – Łazienka musiała być brudna. Jestem pewien, że równie dobrze można by stamtąd pobrać materiał genetyczny stu innych osób.

– I tu się pan myli. Toaleta została wysprzątana chwilę wcześniej, o czym świadczy wpis w grafiku dyżurów. Dziesięć minut przed tym, jak pan tam wszedł, żeby zatamować krwawienie.

Dalton nerwowo oblizuje zaschnięte wargi.

– Gdy widzieliśmy się ostatnio, powiedziała pani, że policja dysponuje nagraniem z monitoringu, co nie jest prawdą.

– Przyjechał pan do tego baru za człowiekiem, którego śledził pan przez całą drogę od miejsca zbrodni.

– Teraz również może pani blefować.

– Mówię prawdę.

Do gabinetu wraca Owain.

– Pilot powiedział, że będzie gotowy do startu za dwadzieścia minut.

– Dziękuję – mówi Mitzi i z powrotem odwraca się do konsula. – Wystarczy tych uników, panie Dalton. Obydwoje wiemy, że zabił pan Bradleya Deagana i ukrył gdzieś ciało. Przynajmniej w taki dzień jak dziś proszę mi oszczędzić tej gry w ciuciubabkę.

Dalton zerka w stronę ambasadora, który przyzwalająco kiwa głową.

– Śledziłem brązowego SUV-a od sklepu z antykami, którego właściciel został zamordowany. Kilka kilometrów dalej samochód zjechał na parking i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Obaj weszli do zagajnika, ale wrócił tylko Deagan. Jechałem za nim dalej, aż do baru, gdzie wstąpił, żeby coś zjeść. Kiedy wyszedł, poprosiłem go, żeby zwrócił naszą własność.

– Poprosił go pan?

– Tak, poprosiłem. Mógł to zrobić i nic by się nie stało. Ale jemu coś odbiło. Wyciągnął nóż i wywiązała się walka. Ja zostałem ranny, a on zginął.

– A jego ciało i samochód?

– Trzeba je było usunąć.

Mitzi uśmiecha się z niedowierzaniem.

– Jak dotąd pańska szczerść i otwartość są godne podziwu.

– W świetle tego, co wyjawilem pani wczoraj, domyśla się pani, dlaczego nie chcieliśmy być zamieszani w dochodzenie kryminalne – odzywa się Owain Gwyn. – Konieczne jest, aby zeznanie George’a, jak również wszystko, co pani powiedziałem, pozostało między nami.

– Przykro mi, ambasadorze. Moja praca nie polega na dochowywaniu tajemnic, ale ich demaskowaniu.

– Żywię szczerą nadzieję, że pani tego nie robi. – Owain Gwyn zerka na zegarek. – Powinniśmy udać się na lądowisko. Pilot niedługo będzie gotowy.

Rozlega się dzwonek komórki Mitzi. Jej serce uderza mocniej. Z informacji na wyświetlaczu wynika, że ktoś dzwoni z zastrzeżonego numeru.

– Mitzi Fallon.

Głos w słuchawce jest zniekształcony elektronicznie, a słowa padają w przerażająco powolnym tempie.

– Którą ze swoich córeczek kochasz bardziej?

Mitzi czuje, jak kręci się jej w głowie. Przytrzymuje się oparcia skórzanej sofy, by zachować równowagę.

– Czego chcesz?

– Dostać kodeks. Jeżeli go nie oddasz w ciągu dwudziestu czterech godzin, zabiję jedną z nich. Możesz wybrać którą.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Biuro Sekcji do spraw Porwań i Uwalniania Zakładników mieści się dwa piętra pod Wydziałem Spraw Historycznych, Religijnych i Niewyjaśnionych. Donovan dzwoni do szefa sekcji, Boba Beama, wprowadza go w temat i uprzedza, że za chwilę złoży mu wizytę wraz z jedną ze swoich agentek.

Pięć minut później Donovan i Eleonora Fracci zasiadają przy stole w pokoju odpraw. Beam jest mężczyzną przed pięćdziesiątką, któremu rozpinany sweter ze skórzanymi łątami na łokciach i okulary w prostokątnych oprawkach nadają wygląd akademickiego wykładowcy. Towarzyszy mu dwoje współpracowników o bardzo kontrastującej powierzchowności – wysoki i barczysty mężczyzna o czarnych, przystrzyżonych w wojskowym stylu włosach i filigranowa blondynka w eleganckim szarym kostiumie. Beam przedstawia ich, kiedy zajmują miejsca przy niewielkim stoliku w pomieszczeniu o szklanych ścianach.

– To jest Damon Spinks. Będzie kierował stroną operacyjną wszystkich akcji, jakie przeprowadzimy. A to Helena Banks, nasz psycholog i negocjator. Potrafi nakłonić samego diabła, żeby zaśpiewał w kościelnym chórze.

– A to jest Eleonora Fracci, jedna z naszych agentek – mówi Donovan. – Pracuje wraz z Mitzi Fallon i chcę, aby była łącznikiem między naszymi wydziałami i innymi agencjami, jakie zaangażujemy do tej sprawy.

Beam zapisuje nazwisko Włoszki u dołu kartki z notatkami, które zaczął robić, gdy zadzwoniła do niego Donovan.

– W tej chwili wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość i czekać. To najbardziej stresująca faza. Mając na uwadze ostrzeżenie pozostawione przez porywaczy, nie możemy wysłać ekipy do domu, z którego zostały uprowadzone dziewczynki, gdyż może on znajdować się pod obserwacją.

– Mam do dyspozycji nieoznakowany helikopter, który może prowadzić obserwację tamtego rejonu, latając na dużej wysokości – odzywa się

Spinks. – Poprosimy również o bieżący dostęp do zdjęć satelitarnych, ale będziemy potrzebowali dużo szczęścia, żeby ich namierzyć.

Donovan wzdycha ciężko.

– A namierzanie połączeń z numerem domowym i komórką Ruth Everett?

– To możemy zrobić – odpowiada Beam. – Ale wiesz, jak działają porywacze. Będą używać telefonów na kartę i wyrzucać je po każdej rozmowie.

– Warto jednak spróbować.

– Zawsze warto. – Beam zastanawia się przez chwilę, obracając długopis między palcami. – I uważasz, że porwanie może mieć coś wspólnego ze śledztwem, które prowadzi matka dziewczynek?

– Tak myślę. Zajmuje się sprawą dwóch zabójstw związanych z zabytkowym krzyżem, który zrabowano z antykwariatu pod Waszyngtonem. Zabezpieczyliśmy pendrive, który był w posiadaniu jednej z ofiar.

– Co na nim jest? – pyta Beam, robiąc notatki.

– Zaszifrowane informacje.

Szef sekcji z zaciekawieniem podnosi głowę znad biurka.

– Czy to jakieś materiały szpiegowskie?

Donovan kręci głową.

– Nie sędzę. To mi wygląda na coś innego. Fallon nie przedstawiła mi zbyt wielu szczegółów.

– Teraz będzie musiała. – Beam zwraca się do Eleonory. – Czy możesz do niej zadzwonić i przedstawić mi pełny obraz sytuacji?

– *Si.* – Włoszka zanurza rękę w przepastnej torebce z kolekcji Fendi i wyciąga kilka ramek z fotografiami. – Zabrałam to z jej biurka. Pomyślałam, że będziesz chciał mieć zdjęcia dziewczynek.

– Dzięki. – Beam bierze od niej fotografie i ostrożnie kładzie je na stole. – Ładne dzieciaki. Mam nadzieję, że odzyskamy je w takim stanie.

Helena bierze do ręki jedno ze zdjęć przedstawiające bliźniaczki i ich

matkę podczas wycieczki do Disneylandu. Wszystkie mają czapeczki z uszami Myszki Mickey.

– Możecie mi coś powiedzieć o ich rodzinie? Warto byłoby wiedzieć, jak dziewczynki mogą się zachować w obecnej sytuacji.

– Chyba niewiele możemy pomóc – odpowiada Donovan. – Fallon pracuje z nami od niedawna. Przyszła do nas z wydziału zabójstw w Los Angeles. Jest po ciężkim rozwodzie i przeniosła się tu razem z córkami.

– Ich ojciec to gnojek – dodaje Eleonora.

Wszyscy spoglądają na nią wyczekująco, domagając się więcej szczegółów.

– Wyszperałam trochę na jej temat. Mąż ją bił. Pewnego dnia mu oddała, wezwała gliny i złożyła pozew o rozwód.

– To się jej chwali – stwierdza Helena.

– Twarda z niej sztuka – mówi Donovan. – Między innymi dlatego chciałabym ją włączyć do tego zespołu.

– Będzie musiała z nami współpracować – odpowiada Helena. – Jej córki też. Miejmy nadzieję, że odziedziczyły po matce trochę instynktu przetrwania.

Beam uważnie ogląda zdjęcie zrobione nad brzegiem morza, na którym młodsza o kilkanaście lat Mitzi trzyma na rękach dwa małe brzdące i wchodzi z nimi od wody.

– Czy istnieje prawdopodobieństwo, że Fallon będzie próbowała rozwiązać to na własną rękę?

Donovan zaczyna głośno się zastanawiać.

– Zadzwoiła z tym do mnie od razu. To oznacza, że chce działać zgodnie z procedurami. Oczekuje naszej pomocy.

Psycholog Helena Banks uśmiecha się sceptycznie.

– Obyś się nie myliła. Matka jest gotowa zrobić wszystko, żeby ocalić swoje dzieci. A ktoś taki jak Fallon będzie przestrzegać procedur tak długo, dopóki nie przestanie wierzyć, że to ma sens. A potem nie zawaha się przekroczyć żadnej z granic.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Mitzi kończy rozmowę i zauważa, że Owain Gwyn i George Dalton przyglądają się jej wyczekująco.

Kiedy zaczyna mówić, nieomal wpada w trans.

– Muszę oddać kodeks w ciągu dwudziestu czterech godzin albo zabiją jedną z moich córek. I jeszcze mam wybrać którą.

Jest załamana. Ambasador prowadzi ją w kierunku stojącej nieopodal sofy. Zdaje sobie sprawę, że nie ma sensu owijać w bawełnę.

– To, co pani teraz postanowi, będzie miało rozstrzygające znaczenie. Ale niestety, ponieważ ma pani dwie córki, jeżeli porywacze będą zmuszeni, zabiją jedną z nich, żeby zwiększyć presję.

Mitzi wlepia wzrok w swoje dłonie. Upłynęło wiele czasu, odkąd ostatni raz widziała, jak dygocą. Podnosi wzrok i patrzy na wysokiego Walińczyka.

– Kiedy te sukinsyny dostaną, czego chcą, najprawdopodobniej zabiją je obie, prawda?

Owain wie, że Mitzi ma rację.

– Jakie dostała pani instrukcje?

– Jeszcze raz powiedział, żebym nie zawiadamiała policji. Odezwie się do mnie w ciągu godziny i powie mi, dokąd mam się udać. Zaznaczyłam, że jestem w Anglii, a on odparł, że o tym wie. A potem się rozłączył.

– Powiedziała pani, że w Anglii?

– Tak. A czemu pan pyta?

– Bo obecnie znajduje się pani w Walli, a nie w Anglii. Czyli porywacze wiedzą, że przekroczyła pani Atlantyk i przyleciała do Londynu, ale nie mają pojęcia, że przyjechała pani tutaj.

– Albo nie zdają sobie sprawy, że to dwa osobne kraje.

Owain dostrzega napięcie na twarzy Mitzi.

– Odwołam lot. Zważywszy na rozwój wypadków, będzie lepiej, żeby została pani tutaj. Na pewno nie ma sensu, żeby wracała pani do Stanów.

– Nie jestem co do tego przekonana. – Mitzi staje się coraz bardziej

niespokojna. – Chcę być tak blisko dziewczynek, jak to tylko możliwe.

– Rozumiem. Ale co będzie, jeżeli lecąc do Ameryki, straci pani kontakt z porywaczami?

– Sama nie wiem. – Mitzi usiłuje ogarnąć tok rozumowania ambasadora. – Nie myślę teraz jasno. Muszę się zastanowić przez chwilę.

– A co zamierza pani zrobić z FBI? Powie im pani o tej rozmowie?

– Muszę.

– Proszę pamiętać, że mamy dużo większe możliwości niż oni. Zdaje pani sobie sprawę, że jeśli FBI popełni jeden błąd, porywacze zabiją dziewczynki i uciekną.

– Biuro rutynowo monitoruje mój telefon. Dowiedzą się, że rozmawiałam z porywaczami.

– To niemożliwe. Zamek jest otoczony ekranem, dlatego nikt nie może pani zlokalizować ani podsłuchiwać.

Słowa ambasadora sprawiają, że Mitzi przychodzi do głowy odkrywcza myśl.

– A wy to zrobiliście? Nagrywaliście rozmowę i namierzyliście ich telefon?

– Próbowaliśmy, ale porywacze używają oprogramowania, które uniemożliwia lokalizację i wskazuje miejsce oddalone o setki kilometrów od tego, gdzie się znajdują podczas rozmowy. Możemy złamać to zabezpieczenie, ale potrzebujemy czasu.

Mitzi patrzy na Owaina zdesperowana.

– Ja nie mam czasu – mówi i w tym momencie dzwoni jej komórka. Spogląda na wyświetlacz. – To moja szefowa. Muszę odebrać.

– Wybór należy do pani. – Owain kładzie jej dłoń na ramieniu. – Proszę zdecydować, czy zaufać FBI, które zajmuje się odbijaniem zakładników od dziesięcioleci, czy nam, organizacji, która robi takie rzeczy od tysięcy lat.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Donovan wyjaśnia, że jest z nią Fracci, i przełącza aparat na tryb konferencyjny.

– Mitzi, z tej strony Eleonora. – Włoszka pochyla się nad biurkiem szefowej i mówi do mikrofonu. – Zrobimy wszystko, żeby odzyskać twoje dzieci. Obiecuję.

– Wiem. Czy ktoś kontaktował się z lokalną policją?

– Nie – odpowiada Donovan. – Nie mają o niczym pojęcia i zadbamy, aby tak pozostało. Zarezerwowałaś już bilet?

Mitzi waha się przez chwilę.

– Pomyślałam, że mogłabym tu jeszcze zostać i poczekać, aż odezwą się porywacze. Nie chciałabym, żeby do mnie zadzwonili, kiedy będę w powietrzu. Natrafiliście na coś konkretnego?

– Jeszcze nie – mówi szefowa wydziału. – Przypuszczamy, że kobieta, która zaatakowała twoją siostrę, miała co najmniej jednego współnika, może więcej. Eleonora rozmawiała właśnie z Ruth, która powiedziała jej, że słyszała u niej kalifornijski akcent.

– Ona ma do tego nosa. Kiedyś była nauczycielką i potrafiła rozpoznać po akcencie, skąd pochodzi każde z dzieci.

– Przygotujemy też portret pamięciowy. Możemy wykorzystać bezpieczne połączenie wideo z jej komputerem. To nie to samo co wizyta w jej domu, ale i tak daje nam sporo możliwości.

Eleonora znów pochyla się nad mikrofonem.

– Znaleźliśmy twojego byłego. Wdał się w jakąś knajpianą burdę i spędził noc na dołku w Oakwood. Komendant posterunku pamięta cię z dawnych czasów i obiecał zwolnić go bez kaucji.

Mitzi wzdycha z rozdrażnieniem.

– Alfie nigdy się nie zmieni. Dam mu pół godziny, potem zadzwonię. Przydzielcie mu kogoś, kto będzie miał na niego oko?

– Przydzielimy – odpowiada Donovan. – Skontaktowaliśmy się z Sekcją

do spraw Porwań i Uwalniania Zakładników i musimy ich zapoznać z twoim śledztwem. Kazałam Eleonorze przekazać im akta i informować ich na bieżąco. Wiem, że to nie jest łatwe, ale czy przychodzi ci na myśl ktoś, komu zalazłaś za skórę? Jakiś facet, którego przymknęłaś, albo gang, który rozbiłaś?

– Nie biorę tego pod uwagę. Jestem pewna, że stoi za tym ktoś, kto zamordował Sophie Hudson z powodu pendrive’a, który zabrała ze sklepu Goldmana.

– I który wciąż masz przy sobie?

– Tak, mam go – odpowiada Mitzi i czuje na sobie spojrzenie Owaina. – Ukryłam go w miejscu, w którym nikt go nie znajdzie.

– Jeżeli się nie mylisz, jest to rzecz, której zażądają od ciebie w zamian za uwolnienie dziewczynek.

– Wiem. Ale żeby było jasne, dowód nie dowód, jeżeli mam w ten sposób ocalić moje dzieci, oddam go bez wahania.

Eleonora wyczuwa, że rozmowa dobiega końca.

– Możesz powiedzieć Bronty’emu, żeby zadzwonił do mnie i złożył raport?

– Nie ma go tutaj. Bada pewien religijny trop na Lundy.

– Lundy? Gdzie to jest?

– To wyspa przy zachodnim wybrzeżu. Przekażę mu, żeby się z tobą skontaktował.

– Nie trzeba. Sama do niego zadzwonię. Ty masz już dosyć spraw na głowie.

– Dzięki. – Mitzi kończy rozmowę i rozgląda się dokoła.

Dalton i sir Owain opuścili gabinet. Na ich miejscu stoi wysoki i chudy mężczyzna z siwą brodą, którego spotkała w ogrodzie.

LUNDY

Sztorm, który przewidzieli meteorolodzy, właśnie atakuje maleńką wysepkę.

Trzydzieścioro mieszkańców Lundy chroni się w swoich domach na południowym krańcu wyspy, ale Bronty dzielnie zмага się z żywiołem ubrany w zbyt cienki płaszcz nieprzemakalny, który pożyczył w tawernie.

Jak dotąd natrafił na pozostałości granitowych bloków, rozproszone zabudowania gospodarcze, małe pole biwakowe i kilkadziesiąt domków kempingowych.

Dla wielu ludzi pobyt na Lundy byłby piekłem, ale nie dla niego. Cisza i odosobnienie przynoszą mu spokój ducha, jakiego nie zaznał od czasu opuszczenia seminarium.

Prócz Mogił Gigantów, gdzie rzekomo znaleziono wysokie na dwa i pół metra szkielety, stary Dan wymienił jeszcze kilka innych miejsc związanych z historią i religią. Niektóre z nich noszą egzotyczne nazwy, jak Ucho Igiełne czy Diabelska Ślizgawka, ale na razie Bronty kroczy w strumieniach zacinającego deszczu wzdłuż niskiego muru cmentarza na Bacon Hill. Jak wiele cmentarzy również ten został założony na szczycie najwyższego wzgórza w okolicy, z którego, jak wierzyli starożytni, było najbliżej do nieba i mieszkających w nim bogów.

Bronty powoli rozgląda się dookoła. Jego wzrok wędruje ponad mokrą od deszczu zielenią pastwisk ku bezmiarowi wzburzonych morskich fal. Gdzieś tam w oddali Kanał Bristolski spotyka się z Morzem Celtyckim, a ogromne masy wód mieszają się ze sobą jak bogactwo niewypowiedzianych mitów i legend.

Wraz z upływem kolejnych minut Bronty uświadamia sobie, że od Ameryki oddziela go tylko ta wielka woda. Przypomina sobie słowa starego marynarza, który wspominał, że dla starożytnych Celtów miejsce to musiało wyglądać jak koniec świata.

Deszcz ustaje. Rozstępują się ciężkie szare chmury i jego twarz

rozgrzewają ciepłe promienie słonecznego światła. Cichnie wiatr i wokół panuje cudowna cisza. Potem rozlegają się nawoływania ptaków, które trzepocąc skrzydłami, zataczają kręgi na tle błękitnego nieba. Bronty osłania dłońią oczy przed słońcem i obserwuje mewy, szpaki i kosy. Potem opuszcza wzrok na połyskującą od wilgoci trawę i wtedy zauważa nagrobki. Cztery stojące na uboczu kamienne płyty, na które nikt nie zwróciłby nawet uwagi, nie znając ich historii.

Bronty podchodzi bliżej.

Nadgryzione zębem czasu bryły piaskowca przywodzą mu na myśl celtyckie krzyże, które zdobią cmentarze Walii i Kornwalii. Przygląda się uważnie ich zwiertzałej powierzchni, próbując odczytać wyryte na nich inskrypcje. Litery na jednej z nich układają się w słowo OPTIMI, które przypomina łacińskie imię Optimus. Słowo na drugim nagrobku wygląda jak RESTEVTAE lub RESGEVT, co mogłoby być żeńskim imieniem Resteuta lub Resgeuta. Pozostałe dwa kamienie są jeszcze bardziej zniszczone. Na jednym widnieje coś, co przypomina POTIT, albo też PO TIT, na drugim zaś – IGERNI lub TIGERNI. Bronty zastanawia się, czy chodzi o imię Tigernus.

– Gdyby tylko umarli mogli opowiedzieć o swoim życiu.

Były ksiądz odwraca się i widzi przed sobą rudowłosa kobietę w żółtej kurtce i czarnych gumowcach, która przygląda mu się uważnie.

– Jestem Geraldine Brummer. – Kobieta wyciąga rękę na powitanie. – Jak się domyślam, mam przyjemność z panem Tomlinsonem z National Trust?

– Nie, to nie ja. – Bronty ściska jej dłoń. – Nazywam się Jon Bronty i... cóż, jestem Amerykaninem i zwiedzam wyspę.

– Och, przepraszam. Mój błąd. Ja działałam w Natural England. Zajmujemy się ochroną środowiska morskiego i przyplłynęłam tutaj, żeby nurkować.

– Przypuszczam, że skoro pani nurkuje, to deszcz pani niestraszny.

– Tak naprawdę uwielbiam deszcz. Sprawia, że czuję się jeszcze bardziej ożywiona.

Rozlega się dzwonek komórki i Bronty sięga do kieszeni.

– Wybacz pani.

– Nie ma sprawy. – Geraldine uśmiecha się pobłaźliwie. – To szczęście, że złapał pan tutaj zasięg.

Amerykanin odpowiada jej uśmiechem, po czym odwraca się i odbiera połączenie.

– Halo?

– Tu Eleonora. Możesz rozmawiać?

– Zaczekaj chwilę. – Bronty oddala się kilka kroków od kobiety. – Już mogę.

– Dzieci Mitzi zostały porwane.

– Co?

– Zostały uprowadzone z domu ich ciotki w San Mateo. Później opowiem ci wszystko dokładnie. Teraz chcę, żebyś zdał mi pełny raport z jej śledztwa. Opowiedz mi o wszystkim, co odkryła, i co twoim zdaniem może nam pomóc.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Mitzi jest bliska hysterii, kiedy Myrddin pojawia się zaledwie metr od niej.

– Jasna cholera, Mervin, skąd pan się tu wziął? Nie powinien pan tak się skradać.

Twarc starca jest pełna życzliwości.

– Przyszedłem, żeby dać ci siłę.

– Co proszę?

Starzec robi krok do przodu i ujmuje jej dłonie. Trzyma je w mocnym uścisku i z nie mniejszą mocą wpatruje się w jej oczy.

Mitzi czuje w koniuszkach palców dziwną wibrację, która wędruje wzdłuż ramion i rozchodzi się po całym ciele. Odnosi wrażenie, jakby z głębi jej piersi wydobywał się głęboki basowy dźwięk. Próbuje się uwolnić, ale jej ręce tkwią zakleszczone w uścisku starca, tak ciężkie i bezwładne jak jej nogi, kiedy nie mogła ich oderwać od ziemi podczas spotkania w ogrodzie.

– A teraz zamknij oczy.

Każdy inny facet już dawno dostałby od niej w zęby za coś takiego, ale Mitzi czuje, jakby nie potrafiła się powstrzymać przed wypełnianiem woli tego człowieka.

– Cofnij się w czasie. Wróć do chwil, w których wydałaś na świat swoje córki. Przypomnij sobie, jak w stanie największej słabości dokonałaś czegoś wielkiego. Przypomnij sobie pierwszy oddech i pierwszy płacz. I to uczucie, kiedy je przytulałaś. Kiedy całowałaś ich twarzyczki i dotykałaś ich skóry. Przypomnij sobie tę magię.

Myrddin przekłada jej ręce do tyłu i składa je za plecami tak, jakby były związane.

– Zobacz swoje dzieci. Zobacz je, jak nowo narodzone po raz pierwszy widzą światło dnia. Jak po raz pierwszy bierzesz je w ramiona.

Mitzi chce coś powiedzieć, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Jej

umysł zalewa fala macierzyńskich wzruszeń.

Starzec kładzie twarde dłonie na jej ramionach.

– Uklęknij.

Nogi uginają się pod nią i dotyka kolanami zimnej posadzki.

– Ziemia daje ci siłę. Ziemia, z której wyrosłaś, pochłania twoje lęki i dzięki niej się odradzasz. Połóż się.

Myrddin naciska mocniej i Mitzi osuwa się na twarde kamienne płyty. Czuje pod policzkiem chłód marmuru.

– Ziemia wzmacnia cię i chroni. Nakarmi cię, kiedy zabraknie ci strawy, i udzieli schronienia, kiedy nie będziesz miała gdzie się schować. Ci, którzy będą patrzeć na ciebie, zobaczą tylko twoją cielesną powłokę. Twój duch, niczym korzeń tysiącletniego drzewa, znajdzie się pod ziemią, która ukryje go i nakarmi.

Mitzi odnosi wrażenie, jakby opuściła własne ciało. Zdaje sobie sprawę, że została poddana jakiejś hipnozie, ale jednocześnie przepełnia ją taka energia, że nie ma ochoty z tym walczyć.

– Kiedy wstaniesz, będziesz silna. Tak silna, że żaden śmiertelnik nie zdoła cię pokonać. Kiedy wstaniesz i usłyszysz swoje imię, nie będziesz pamiętać, że ze mną rozmawiałaś, a nawet zapomnisz o tym, że tutaj byłem. Ale gdy nadejdzie ten czas, gdy natrafisz na przeszkodę albo poczujesz ból, przypomnisz sobie swoją moc. A teraz rozłóż ręce. Poczuj dotyk ziemi. Podziękuj jej, że obdarzyła cię przyjaźnią. Uklęknij na niej i oddaj jej cześć. Stań na niej dumnie, jak stoi najpotężniejsze drzewo w lesie, a potem otwórz oczy.

LUNDY

Błękit nieba znów zasnuwają szare deszczowe chmury, a biała flaga z czerwonym krzyżem świętego Jerzego, która wisi na szczycie dzwonnicy kościoła Świętej Heleny, zaczyna trzepotać na wietrze. U podnóża kamiennej wieży o kwadratowym przekroju widnieje samotna sylwetka Jona Bronty'ego.

Były ksiądz skończył właśnie rozmowę z Eleonorą i usiłuje dodzwonić się do Mitzi. Przy każdej próbie połączenia włącza się poczta głosowa. Po raz trzeci słyszy krótkie nagranie: „Cześć, tu Mitzi. Zostaw wiadomość i swój numer, a odezwę się do ciebie. Dzięki”.

– Mówi Bronty. Właśnie się dowiedziałem. Strasznie mi przykro. Uwinę się tutaj i wracam jak najszybciej. Niestety obawiam się, że najbliższy prom odpływa stąd dopiero jutro. Trzymaj się dzielnie. Będę się modlił za ciebie i twoje dziewczynki.

Bronty chowa telefon i wchodzi do kościoła, aby spełnić swoją obietnicę.

Wnętrze świątyni jest znacznie większe i bardziej imponujące, niż mogłaby sugerować jej surowa kamienna fasada. Ciepłe barwy ceglanych ścian i stare ławki z ciemnego drewna sprawiają przyjazne i swojskie wrażenie.

W głębi pograżonego w półmroku prezbiterium znajdują się drzwi prowadzące do zakrystii. W rozdzielonych kolumnkami z czarnego marmuru wnękach ołtarza znajdują się alabastrowe płaskorzeźby, z których jedna przedstawia Ostatnią Wieczerzę. Po jednej stronie nawy stoi oparty na kamiennym postumencie wyrzeźbiony z drewna pulpit w kształcie orła z rozpostartymi skrzydłami, po drugiej zaś znajduje się przysadzista ambona z białego piaskowca i kwadratowa chrzcielnica. Pod okazałym witrażem przedstawiającym ukrzyżowanie stoi skromny ołtarz nakryty czerwoną tkaniną. Bronty zatrzymuje się pośrodku prezbiterium i klęka przed Bogiem, od którego odszedł. Nie stracił wiary w Istotę Najwyższą, ale zwątpił w siebie i swoje powołanie.

Bronty modli się o to, aby córkom Mitzi nic się nie stało i aby szybko wróciły do matki, żeby wszystkie znalazły w sobie siłę i wiarę, które pozwolą im przetrwać te ciężkie chwile i żeby to doświadczenie nie okaleczyło trwale żadnej z nich.

Wie, że prosi o wiele. Otwiera oczy, spogląda na lśniący mosiężny krucyfiks, który stoi na środku ołtarza, i czuje się jak w domu. Ta wyspa. Ci ludzie. Wszystko to wydaje mu się takie bliskie. Mógłby tu zamieszkać. Ten niewielki skrawek ziemi wbrew pozorom ma do zaoferowania znacznie więcej, niż człowiek potrafi dojrzeć.

Kiedy wstaje i odwraca się w stronę wyjścia, zauważa Geraldine Brummer, która modli się w skupieniu z tyłu kościoła. Wtedy dociera do niego, że przybył na Lundy z głową pełną pytań, a opuści tę wyspę bogatszy w wiele odpowiedzi – aczkolwiek chyba nie tych, których szukał.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

Do gabinetu wraca Owain Gwyn w towarzystwie żony i Lance'a Beaucoup. Ku swemu zdumieniu widzi, że Mitzi stoi przy oknie, sprawia wrażenie pogrążonej w transie.

– Pani Fallon – odzywa się donośnym głosem, by zwrócić jej uwagę. – To jest moja żona Jennifer, a to mój przyjaciel, Lance.

Mitzi wzdryga się.

– Przepraszam, byłam daleko stąd – mówi i podaje rękę lady Gwyn. – Mitzi Fallon.

Jennifer oburącz chwyta jej dłoń i ściska ją pokrzepiająco.

– Ze zmartwienia musi pani odchodzić od zmysłów. Usiądźmy i porozmawiajmy przez chwilę.

Ambasador rusza w stronę drzwi, zostawiając Amerykankę pod opieką swojej żony.

– Proszę wybaczyć, ale muszę wrócić do biura i przeprowadzić pilną rozmowę.

W biurze George Dalton siedzi ze słuchawką przy uchu i rozmawia z Garethem.

– Właśnie przyszedł Owain – mówi konsul. – Przełączę cię na głośnik.

Ambasador siada za biurkiem.

– Witaj, Gareth.

Madoc od razu przechodzi do rzeczy.

– Chalid Korszidi właśnie spotkał się z Alim Ibn asz-Szabihem.

– Ibn asz-Szabih jest w Ameryce? – Owain natychmiast przypomina sobie twarz człowieka, który został wybrany, by pewnego dnia stanąć na czele Al-Kaidy. – Jesteś tego pewien?

– Wspomniał o tajnym więzieniu CIA, w którym był przetrzymywany w drodze do Guantanamo. Zdjęcia jego twarzy i próbki głosu, które sprawdziliśmy, potwierdzają na sto procent, że to on.

– Taka kreatura nie wypełza z nory, jeżeli nie szykuje się jakaś

większa akcja.

– Trzy akcje – wtrąca Lance. – Zważywszy na kryptonim „Trójca”, którego używają. Jusuf Musawi i Nabil działają w Stanach, a na pewno są jeszcze inni.

– Wiadomo gdzie?

– Nie. Ibn asz-Szabih wspomniał tylko o Stanach, za to potwierdził datę.

– Jutro? – Owain ma nadzieję, że się myli.

– Tak.

– Dokładny czas?

– Niestety. Aż tak bardzo nam się nie poszczęściło.

– Przypuszczasz, że wszyscy uderzą tego samego dnia o tej samej godzinie czy jeden po drugim?

– Nie mam pojęcia.

– Cholera. – Owain stara się zapanować nad poczuciem bezradności. – Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Korszidi?

– Większą, niż przypuszczaliśmy. Należy do nowej kadry, którą Az-Zawahiri utworzył po śmierci bin Ladena. Wygląda na to, że odpowiada za całą kampanię propagandową, ponieważ właśnie rozwiesił flagi i przygotowuje się do nagrania odezwy Ibn asz-Szabiha.

– Czy możemy przechwycić to nagranie?

– Nie musimy. Mamy oko i ucho w jego pokoju, więc będziemy mogli to obejrzeć w trakcie kręcenia.

Owain spogląda na Daltona wzrokiem, który wyraża wielkie uznanie.

– Będziemy musieli powiadomić Amerykanów. Podejrzewam, że stoi za tym Mardrid, który finansuje całą operację. Kiedy tylko będziemy mieli to nagranie i trochę więcej konkretnych informacji, skontaktuję się z Ronem Briarsem z Krajowej Agencji Wywiadowczej i dam mu cynk.

– Rozumiem – odpowiada Madoc, nie odrywając wzroku od stojącego na biurku monitora, na którym widnieje obraz z ukrytej kamery. – Wygląda na to, że coś się zaczyna. Odezwę się do ciebie niedługo.

Na linii zapada cisza. Owain wyłącza głośnik i zwraca się do Daltona.

– Trzy oddzielne ataki, wszystkie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Co o tym myślisz?

– Brzmi niewiarygodnie, ale jest całkiem realne. Widziałeś schemat planowanych wystąpień VIP-ów, który przygotowali analitycy?

– Widziałem. – Ambasador otwiera plik na monitorze komputera. – Przyglądałem mu się dość długo dzisiaj rano i próbowałem wytypować potencjalne cele.

– Najbardziej oczywistym wydaje się nowy papież – mówi konsul. – Głowa Kościoła jest od dawna na celowniku wszelkiej maści ugrupowań oraz indywidualnych zamachowców.

Gwyn pamięta, że pewien boliwijski malarz rzucił się z nożem na Pawła VI, Jan Paweł II został postrzelony na placu Świętego Piotra, a Benedykt, ostatni papież, padł ofiarą napaści podczas pasterki w Watykanie.

– Wiem, co masz na myśli, George, ale obaj doskonale wiemy, że kiedy jutro Ojciec Święty odwiedzi Walię, będzie niewątpliwie najlepiej strzeżonym człowiekiem na tej planecie.

– A może ich celem jest zarówno stary, jak i nowy papież?

– To przerażająca perspektywa. – Owain analizuje w myślach środki bezpieczeństwa w Watykanie. – Benedykt jest dobrze chroniony w swojej rezydencji przez Gwardię Szwajcarską, ale porozmawiam z nimi i uczulę ich na taką ewentualność.

Dalton zastanawia się dalej.

– A co z prezydentem Stanów Zjednoczonych? On też zawsze był celem.

Owain spogląda na monitor, na którym widnieje przysłany przez analityków plan.

– Jutro będzie w Nowym Jorku na koncercie dobroczynnym na rzecz ofiar powodzi i huraganu. Kto może być trzecim celem?

– Bankier Pana Boga – mówi Dalton. – Marco Ponti. Jako nowo mianowany prezes Banku Watykańskiego odbędzie jutro pierwsze

posiedzenie z radą kardynałów w Rzymie. W porównaniu z papieżami i prezydentem jest łatwym celem, ale na tyle ważnym, by znaleźć się na liście.

Owain robi posępną minę.

– Po co mieliby zabijać watykańskiego bankiera i dwóch papieży? Śmierć Contiego nie zaakcentuje przesłania, że wszyscy chrześcijanie są źli. A gdyby pójść tym tokiem myślenia, to czy prezydent Stanów Zjednoczonych faktycznie pasuje do tej religijnej trójki?

Ambasador spogląda na listę, by ponownie ją przeanalizować, gdy otwierają się drzwi i do biura wchodzi jego żona.

Jennifer widzi troskę na jego twarzy. Jest jej przykro, że przynosi jeszcze jedną przygnębiającą wiadomość.

– Ta policjantka... właśnie odebrała kolejny telefon od porywaczy.

Mitzi pochyla się nad biurkiem z długopisem w dłoni, którą opiera na otwartym notesie.

– Słucham.

Na drugim końcu linii rozlega się ten sam głos, który słyszała wcześniej. To głos mężczyzny o niskiej, głębokiej tonacji. Zniekształcone elektronicznie wypowiedzi są nienaturalnie powolne.

– Masz kodeks?

– Tak – odpowiada Mitzi bez cienia wahania.

– Masz być o siódmej na Borough High Street w Southwark. Przyjdź sama. Możesz być pewna, że zorientujemy się, jeżeli ktoś przyjdzie z tobą.

Gdy Mitzi notuje instrukcje, do gabinetu wchodzi Owain i jego żona.

– Chcę rozmawiać z moimi córkami.

W słuchawce rozlega się stuk, gdy porywacz odkłada telefon, a potem słyszeć jakieś szmery dobiegające z oddali.

– Mamo, nic mi nie jest.

Dźwięk głosu Jade sprawia, że Mitzi wstrzymuje oddech, a jej pierś wypełnia słodczy pomieszana z bólem.

– Nie zrobili mi krzywdy. Nic mi nie jest, mamo.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze. – Mitzi nie może powstrzymać łez. – Skarbie...

Słyszeć trzask i w telefonie znów rozlega się głos porywacza.

– Przyjdź tam i miej włączony telefon albo więcej jej nie usłyszysz.

– Amber! – krzyczy Mitzi. – Chcę rozmawiać z Amber albo zapomnij o transakcji.

Odpowiada jej elektronicznie zniekształcony śmiech.

– Co ty powiesz?

Mitzi przywołuje całą odwagę, jaką ma w sobie, i przerywa połączenie. Jej ciałem wstrząsają dreszcze. Gabinet wypełnia nieznośna cisza, którą rozprasza jedynie tykanie zabytkowego zegara. Mitzi uświadamia sobie, że wstrzymuje oddech i wydaje przeciągłe westchnienie.

Gdy telefon znów dzwoni, odbiera w ułamku sekundy.

– Fallon.

Słyszy krzyk dziewczynki. Długi i rozdzierający krzyk. W taki sposób nie krzyczy ktoś, kto się boi. To krzyk bólu. W oczach Mitzi wzbierają łzy. Krzyk na drugim końcu linii zamienia się w stłumiony jęk, potem słychać odgłos wleczonego ciała i łoskot przewracanego krzesła.

– Mamo. – W słuchawce rozlega się głos Amber. Drżący, słaby, ledwie słyszalny. – Oni mnie skaleczyli, mamo!

Na linii zapada cisza.

Mitzi czuje, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Żołądek podjeżdża jej do gardła. Chwyta stojący obok biurka kosz na papiery i wymiotuje.

Jennifer podbiega do niej, a Owain nalewa wody do szklanki i stawia przed nią na biurku. Stoi z boku i czeka, aż Amerykanka dojdzie do siebie, a potem przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciwko niej.

– Czy już lepiej?

Mitzi bierze chusteczkę, którą podaje jej Jennifer.

– Przepraszam, że tu nabrudziłam.

– Proszę się tym nie przejmować. Musimy uzgodnić, co robimy dalej i jak odpowiadamy na ich posunięcie.

– Wiem. – Mitzi wyciera chusteczką oczy i nos.

– Domyślam się, że zamierza pani oddać im pendrive. Ma go pani przy sobie czy jest gdzieś ukryty?

– Mam go przy sobie. Bardzo przy sobie.

– W jakim sensie bardzo?

– Był na tyle mały, że mogłam z nim zrobić to, co robią przemytnicy narkotyków. Połknęłam go. Chcą dostać pendrive, będą musieli zabrać go ze mną.

NOWY JORK

Swoim wyglądem Ali Ibn asz-Szabih przypomina do złudzenia swojego idola, nieżyjącego Usamę Ibn Muhammada Ibn Awada Ibn Ladina. Jest tak samo wysoki i chudy, a podobieństwo rysów twarzy daje podstawę do domysłów, że trzydziestopięcioletek jest jednym z licznych potomków osławionego terrorysty.

Kiedy staje w pokoju Chalida Korszidiego w białym turbanie na głowie, wygląda dokładnie tak, jak sobie zaplanował – jak budzące grozę wcielenie założyciela Al-Kaidy.

– Jestem gotowy – oświadcza, poprawiając po raz ostatni nakrycie głowy.

– Usiądź, proszę. – Chalid Korszidi prowadzi swojego przywódcę w stronę krzesła stojącego naprzeciw tła, które zdobi galeria zdjęć przedstawiających posępne brodate twarze. Na tej dekoracji, nazywanej przez terrorystów „Ścianą Męczenników”, wiszą podobizny bin Ladena, jego byłego zastępcy, Sajida asz-Szihriego, i słynnego propagandzisty, Samira Chana, który zginął w amerykańskim ataku rakietowym.

– To potrwa tylko chwilę. – Korszidi poprawia małe przenośne reflektory i wraca do zamontowanej na statywie cyfrowej kamery. Zakłada słuchawki, reguluje czułość mikrofonu i naciska guzik. – Nagrywa się.

Ali Ibn asz-Szabih ma zamknięte oczy. Pochyla głowę, wznosi rękę w modlitewnym geście i zaczyna mówić:

– Niechaj będzie chwała Allahowi, który sprawiedliwie urządził niebo i ziemię i który w swej łaskawości stworzył człowieka ku swojej chwale. A zgodnie z jego prawem wszystko zostanie odpłacone. Oko za oko, ząb za ząb i śmierć za śmierć.

Terrorysta prostuje się na krześle i kieruje płomienne spojrzenie ciemnych oczu prosto w obiektyw.

– Ludzie Zachodu, słudzy kapitalizmu, wyznawcy fałszywych bogów,

czciciele zła, zostaliście ostrzeżeni. Zaoferowaliśmy wam rozwiązanie, a wy nim wzgardziliście. Islam otworzył przed wami swoje drzwi, a wy się odwróciliście. Wiele razy odrzuciliście szansę, by uniknąć wyniszczających wojen, i nadal przelewacie krew swoich dzieci. I z rękoma zbrukanymi ich krwią żądacie od swoich kapłanów, by wysławiali waszą niewinność i bohaterstwo. Ci spośród was, którym nie brakuje rozsądku, muszą wiedzieć, że Dzień Zemsty jest bliski.

Korszidi robi zbliżenie twarzy Ibn asz-Szabiha i cały kadr zdaje się teraz wypełniać jego gorejące spojrzenie.

– Al-Kaida niesie zemstę. Jesteśmy posłani przez Allaha, by zniszczyć waszych fałszywych bogów i wasze zakłamane życie – kontynuuje Ibn asz-Szabih i nagle z jego oblicza znika gniew. – Sięgnijcie po Koran, odwróćcie się od żydów i katolików, odwróćcie się od ich kłamstw o proroku Jezusie. Uczyńcie to, a będziecie ocaleni. Chwała Allahowi, który w swoich niewolnikach rozbudził pragnienie Raju. Przed każdym, kto okaże mu posłuszeństwo we wszystkich swoich sprawach, droga do Raju stoi otworem, ci zaś, którzy mu się sprzeciwią, nie dostąpią zbawienia i zostaną ukarani.

Terrorysta opuszcza ręce i wlepia wzrok w obiektyw.

– Zostaliście ostrzeżeni. Spotkała was już kara i ponownie będziecie ukarani.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Beam i jego zespół opracowują plan działania. Gdy Helena Banks tworzy profil psychologiczny sprawców, agentka z sekcji analiz kartograficznych, która miała za zadanie wytypować, w jakim kierunku mogli oddalić się porywacze, przynosi jej efekt swojej pracy.

Kay Podboy, młoda i błyskotliwa absolwentka Quantico, uważnie przestudiowała sieć dróg w okolicy oraz odległość z domu Ruth do najbliższych położonych lotnisk i portów. Podchodzi do biurka szefowej, trzymając w rękach teczkę pełną zdjęć satelitarnych, a wyraz jej twarzy sugeruje, że wyniki wstępnych obserwacji nie są najlepsze.

Helena podnosi wzrok znad swoich notatek i zauważa jej minę.

– Aż tak źle?

– Może nawet gorzej. – Kay rozkłada zdjęcia na blacie. – Ranczo Everettów jest w samym środku. Musiało kosztować fortunę. Leży na uboczu, ale w pobliżu przebiegają wszystkie główne drogi. Porywacze mogli odjechać w każdą stronę.

– Pokaż mi najbardziej prawdopodobne możliwości.

– Tutaj – odpowiada agentka i pokazuje na pierwsze zdjęcie. – Do mostu San Mateo jest stamtąd osiem kilometrów, a po drugiej stronie zatoki znajduje się rezerwat ekologiczny Eden Landing o powierzchni dwóch tysięcy hektarów.

– Czy to nie jest jedno wielkie słone mokradło?

– Głównie tak, ale ostatnio przeprowadzono wiele prac melioracyjnych w tamtej okolicy. Jest tam dużo miejsc, w których można się ukryć, i całe kilometry równego terenu, skąd może wystartować samolot.

Helena kręci głową.

– Nie sądzę, żeby odlecieli. Jeszcze nie teraz.

– Racja. Równie dobrze mogli wybrać rezerwat stanowy West Waddell Creek. To godzina jazdy z miejsca porwania. Dwa tysiące czterysta hektarów porośnięte gęstym lasem. – Kay spogląda na wiszącą na ścianie

mapę. – W ciągu godziny mogli również dojechać do Napa.

– O Jezusie.

– No właśnie, sam Bóg i wszyscy święci mogliby się tam zaszyć i nikt by ich nie znalazł. To słabo zaludniona dolina o powierzchni prawie pięciu hektarów. Na południu jest gorzej. Po dwóch godzinach jazdy mogliby dotrzeć do Austin Creek.

– Co to za okolica?

– Ponad pięć hektarów odludnych terenów, na których rozsiane są pola biwakowe i domki kempingowe. Dziewczynki zostały uprowadzone późnym wieczorem, tak?

– Nie było aż tak późno. Przypuszczamy, że między dziewiątą a dziesiątą. Wróciły z całodniowej wycieczki do oceanarium, pomogły ciotce posprzątać po kolacji i siedziały na tarasie, kiedy przyszła ta kobieta.

– Dobra. Mój wniosek jest taki, że to robota fachowców. Sprawcy wybrali taką porę, gdyż wiedzieli, że w ciągu godziny zapadnie zmrok, a to oznacza, że mogą dalej zajechać w krótszym czasie, bo spada natężenie ruchu i jest mniej patroli drogówki. W nocy odlatuje również mniej samolotów, a zapewne przewidzieli, że policja może szybko skontrolować wszystkie ładunki opuszczające Kalifornię.

– Zgadza się z tobą, ale co z tego?

– Cóż, skoro przejechali nocą taki kawał drogi, to musieli wiedzieć, dokąd się wybierają. I musieli mieć przygotowane jakieś miejsce. Własne lub wynajęte.

– Wynajęte – mówi Helena. – Nikt nie będzie się narażał na własnym podwórku.

– Zatem szukamy wynajętej kryjówki. Chatki lub kempingu gdzieś na odludziu. Idealnie, gdyby wybrali coś oddalonego o godzinę jazdy od rancza, ale niezbyt daleko od jakiegoś lotniska.

Helena kiwa głową.

– Masz rację. Kiedy to się skończy, uciekną samolotem. Raczej gdzieś

za granicę niż na teren Stanów.

Kay pokazuje na kilka z rozłożonych na biurku zdjęć.

– Według mnie jest najbardziej prawdopodobne, że wybiorą lotniska Oakland, Half Moon lub San Fran International.

Helena Banks przystępuje do selekcji.

– Wykluczyłabym Half Moon. Wprawdzie jest tam wiele prywatnych hangarów i maszyn, ale korzysta z niego również straż przybrzeżna, lotnicze pogotowie ratunkowe, a także, jak się domyślam, miejscowe biuro szeryfa.

– Więc zostają nam San Fran i Oakland.

Helena podchodzi do zawieszanej na ścianie mapy. Wie, że lotnisko Oakland, oddzielone tylko wodami zatoki od leżącego niemal naprzeciwko San Francisco, stało się w ostatnich latach prężnie działającym portem lotniczym, który codziennie obsługuje setki rejsów do Stanów, Meksyku i Europy.

– Zacznijmy od tego – mówi stanowczo. – Przygotuj mi analizę tego obszaru pod kątem miejsc, w których mogli ukryć się porywacze. Przekonam Beama, że właśnie tam musimy skoncentrować poszukiwania.

SIEDZIBA TAJEMNEGO ZAKONU ARTURIANÓW, NOWY JORK

Gareth Madoc ogląda nagranie z ukrytej kamery w biurze Troya Hemmingsa, szefa amerykańskiej sekcji analityków zakonu.

Hemmings, absolwent Harvardu, jest zamyślonym mężczyzną w okularach, który zawsze nosi białą koszulę oraz czarny lub brązowy sweter i takiego samego koloru spodnie. Tego dnia jest ubrany na brązowo i krzyżuje pod biurkiem nogi w zamszowych butach, naciskając guzik pauzy na pilocie, który trzyma w dłoni.

– No i? – Madoc ze zniecierpliwieniem czeka na opinię eksperta.

– Jest to interesujące z trzech powodów. Pierwszy jest taki, że mówi to Ali Ibn asz-Szabih, a nie Az-Zawahiri. Oznacza to, że mogło dojść do przekazania władzy, w przeciwnym razie to Ajman wygłosiłby tę odezwę, a nie jeden z jego bardziej obiecujących zastępców.

– Może Az-Zawahiri próbuje zejść na drugi plan. Jest już w podeszłym wieku i chyba zdaje sobie sprawę, że organizację musi reprezentować ktoś młodszy.

Hemmings kiwa głową.

– Wielce prawdopodobne. To niezwykle inteligentny człowiek i bez wątpienia był mózgiem operacji organizowanych przez Bin Ladena.

– Ale czy Ibn asz-Szabih jest gotowy, by zająć jego miejsce?

Analityk zastanawia się przez chwilę.

– Myślę, że tak – odpowiada w końcu. – Zwłaszcza przy poparciu Ajmana az-Zawahiriego i innych członków starej gwardii. Przewidywano, że człowiekiem tym będzie Muchtar Bilmuchtar, ale został on zabity w Mali.

– Jednooki był dobrym kandydatem.

– Z całą pewnością. Zauważyłeś coś znajomego na początku i na końcu odezwy Ibn asz-Szabiha?

– Oświeć mnie.

– W dwa tysiące siódmym, w szóstą rocznicę jedenastego września, bin

Laden wygłosił przemówienie zatytułowane *Rozwiązanie*. Była to długa odezwa skierowana bezpośrednio do społeczeństwa amerykańskiego. Nakłania w niej ludzi, aby wyrzekli się kapitalizmu, aby potępili swój rząd za wysłanie wojsk do Iraku i Afganistanu i aby zmazali swoje winy, przechodząc na islam. – Hemmings wskazuje na monitor, na którym w zatrzymanym kadrze widnieje twarz Ibn asz-Szabiha. – Ten facet zaczął i zakończył swoją mowę niemal dosłownym cytatem z tamtej odezwy. Tak jak Obama przytacza Kennedy’ego, on przytacza bin Ladena.

– Więc sądzisz, że Ibn asz-Szabih kreuje się na nowego Osameę?

– Na to mi wygląda – odpowiada analityk, nabierając coraz większego przekonania do tej teorii. – To jego przemówienie jest bardzo zmyślnie skonstruowane i może mu zjednać poparcie zarówno starej gwardii, jak i nowych rekrutów. Jeżeli potrójny atak Ibn asz-Szabiha zakończy się sukcesem, to nagranie będzie zapowiedzią zmartwychwstania Al-Kaidy.

Madoc nie jest zachwycony taką konkluzją.

– Powiedziałeś, że to nagranie jest interesujące z trzech powodów. Mam nadzieję, że ten trzeci da nam jakąś wskazówkę co do miejsca planowanych zamachów.

– Niewykluczone. Wolałbym obejrzeć ten materiał kilka razy, zanim dam ci rozstrzygającą odpowiedź, ale odnoszę wrażenie, że po wyborze nowego papieża Al-Kaida zwróci swój gniew przeciwko przywódcom religijnym i to oni będą celem, a nie obiekty rządowe i zwykli ludzie.

– A wybuchy na dworcu Grand Central i w pociągu Eurostar?

– Zasłona dymna dla odwrócenia uwagi. To jedynie wstęp do spektakularnego ciosu, który przejdzie do historii.

Gareth Madoc nie kryje sceptycyzmu.

– Skąd taka pewność?

– Niczego nie możemy być pewni. Ale zwróć uwagę na to przemówienie. Jest pełne akcentów religijnych. Pochwała Allaha. Potępienie tych, którzy odwrócili się od islamu. Przypomnienie starej zasady „oko za oko”. Co najmniej dwa razy mówi o czcicielach fałszywych

bogów i nakłania ludzi, by odwrócili się od katolików i żydów oraz ich kłamstw o proroku Jezusie.

Analitik minimalizuje obraz wideo i wpisuje polecenie w okno wyszukiwarki.

– I nie zapomnij o tym. – Hemmings odchyła się do tyłu, by jego szef widział monitor, na którym pojawia się folder zatytułowany „Fatwa”, a w nim dokument pod tytułem „Światowy Islamski Front przeciwko Żydom i Krzyżowcom”. – To zostało opublikowane pod nazwiskiem bin Ladena, ale wszyscy wiedzą, że autorem jest Az-Zawahiri, tak samo jak powszechnie wiadomo, że żaden terrorysta na tej planecie nie przeprowadził tylu udanych zamachów co on. Ali Ibn asz-Szabih idzie w jego ślady. Rozpoczyna na nowo odwieczną misję. Świętą wojnę.

LONDYN

Sir Owain, Mitzi i George Dalton znajdują się na pokładzie helikoptera, który zbliża się do Londynu. Opancerzona maszyna leci wzdłuż południowego brzegu Tamizy, okrąża West Kensington i dotyka kołami ziemi na prywatnym lądowisku położonym na wschód od Vauxhall.

Ostatnie pięć kilometrów dzielące ich od Southwark przemierzają czarną taksówką. Za kierownicą taksówki, jak również dwóch samochodów, które jadą przed nią i za nią, siedzą członkowie Tajemnego Zakonu Arturianów.

Mitzi prawie się nie odzywa, kiedy mijają rondo Elephant and Castle i wjeżdżają na ostatni odcinek trasy. W jej głowie wciąż odbija się echem przejmujący krzyk Amber. Nerwowo obraca w palcach zawieszony na szyi cienki srebrny łańcuszek i bawi się stalową bransoletą rolexa okalającą jej nadgarstek. W obu tych przedmiotach znajdują się wbudowane mikrofony i nadajniki lokalizacyjne. Pozostałe lokalizatory są ukryte w srebrnych kolczykach i obcasach butów.

Obok niej na tylnej kanapie taksówki siedzi Dalton. Sir Owain, który zajmuje miejsce naprzeciwko nich na rozkładanym siedzeniu, stara się ją uspokoić.

– George i ja zaraz wysiądziemy, a taksówka wjedzie na High Street i zaparkuje w połowie długości ulicy. Proszę czekać w środku, dopóki nie zadzwonią. I niech pani nie zapomni zapłacić kierowcy, bo mogą panią obserwować. Taksówka odjedzie i będzie czekać za rogiem w pełnej gotowości, by w każdej chwili móc panią stamtąd zabrać.

Mitzi niepewnie kiwa głową.

– Proszę pamiętać, że już w tej chwili nasi ludzie patrolują tę ulicę i ani na chwilę nie spuszczą pani z oka.

– Dziękuję.

Ambasador obraca głowę i mówi do kierowcy:

– Colin, zatrzymaj się, kiedy będziesz mógł. Dalej pójdziemy piechotą.

Kierowca włącza kierunkowskaz i czarna staroświecka taksówka zjeżdża na przystanek autobusowy.

Mitzi przygląda się, jak dwaj jej towarzysze wysiadają. Mężczyźni zatrząskują za sobą drzwi, wymieniają uścisk dłoni, jak gdyby się żegnali, i odchodzą w przeciwne strony.

Dwie minuty później samochód znów przystaje. Mitzi po raz setny sprawdza telefon. Jest włączony. Bateria jest naładowana. Nie wyciszyła przypadkowo dzwonka. Nie ma żadnych nieodebranych połączeń.

Mija siódma.

Po dziesięciu minutach telefon nadal milczy.

Przez kolejne dziesięć minut również nic się dzieje.

Pięć minut później rozlega się dzwonek.

– Fallon.

– Idź do pubu The George – odzywa się zniekształcony męski głos. – Przejdziesz przez cały lokal. Znajdziemy cię.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Bob Beam, Damon Spinks i Eleonora Fracci obserwują uważnie trójwymiarową mapę na ściennym monitorze w pokoju odpraw. Odwracają wzrok w stronę drzwi, gdy do pomieszczenia wchodzi Helena Banks i zajmuje miejsce przy długim stole.

Beam wyjaśnia, że jego zdaniem należy skoncentrować poszukiwania na obszarze położonym na południe od zatoki San Francisco.

– Ten gęsto zalesiony prostokąt jest oddalony o czterdzieści minut jazdy od rancza, z którego zostały uprowadzone bliźniaczki. – Szef sekcji wodzi ręką po monitorze. – Jego boki wyznaczają biegnąca poziomo z Castro Valley do Dublina droga numer pięćset osiemdziesiąt, następnie pionowy odcinek sześćsetpięćdziesiątki z Dublina do Sunol, dalej znów pozioma linia wzdłuż osiemdziesiątkiczwórki do parku Niles, a stamtąd droga numer dwieście trzydzieści osiem z powrotem do Castro. Na tym terenie znajdują się parki Harward Memorial, Pleasanton Ridge, Augustin Bernal, Garin i Dry Creek. Całość ma naprawdę sporą powierzchnię.

Helena nie zgadza się z jego strategią.

– Uważam, że się mylisz – mówi. – Koncentrując poszukiwania na tym obszarze, możesz popełnić wielki błąd.

– Dlaczego?

– Nasza analiza działania porywaczy sugeruje, że nieprzypadkowo zaatakowali w nocy, ponieważ chcieli odjechać daleko stąd, a nie ukrywać się w pobliżu.

– To ma sens – odzywa się Eleonora. – Są zawodowcami, zatem wiedzieli, że najlepiej uderzyć o takiej porze, kiedy ludzie są najbardziej znużeni, a siły policji uszczuplone.

– Przypuszczamy, że jechali przez co najmniej godzinę – kontynuuje Helena. – A to oznacza, że jeżeli korzystali z bocznych dróg, mogli dotrzeć do Shepherd Canyon Park, a jeśli na niektórych odcinkach poruszali się również po autostradach, dojechali nawet do Mount Diablo.

Spinks robi zmartwioną minę.

– Ile ma park Mount Diablo? Pięć tysięcy hektarów?

– Co najmniej – potwierdza Helena. – A gdyby wziąć pod uwagę otaczające go tereny, to ponad dwadzieścia pięć tysięcy.

– To teren górzysty – dodaje Beam, podejmując wątek. – Niektóre szczyty sięgają tysiąca metrów nad poziomem morza. Jeżeli zaszyli się tam w jakiejś chacie, z daleka zauważą każdego, kto będzie się zbliżał.

– Wytypowaliśmy ten rejon ze względu na Oakland – wyjaśnia Helena.

– Kay i ja jesteśmy zdania, że wybrali to lotnisko na swój punkt ewakuacyjny. Sądzymy, że po wszystkim będą uciekać stamtąd, a nie z San Francisco.

– Jak daleko jest z Diablo do tego lotniska? – pyta Eleonora.

– Ponad sześćdziesiąt kilometrów. Dotarcie tam może im zająć około godziny.

Beam przygląda się mapie na monitorze i pierwotny obszar, który zaznaczył na początku spotkania, nie wydaje się już tak realny jak wcześniej.

– Dobra, skoncentrujemy poszukiwania tam, gdzie sugeruje Helena. Ale posłuchajcie, to nie oznacza, że możemy całkowicie lekceważyć wszelkie tropy, które prowadzą w innych kierunkach.

– Poprosiłam już o nagrania z kamer na moście San Mateo – oświadcza Eleonora. – Jak również z Bay Bridge, na wypadek gdyby jechali trasą widokową.

– Zadzwoń do przyjaciela, który ma firmę w Camp Parks i organizuje wypadki helikopterem dla turystów – odzywa się Spinks. – Obiecał pomóc. Może prowadzić obserwację pod przykrywką lotów wycieczkowych, więc podam mu namiary na okolice Diablo.

Beam spogląda na zegarek.

– Musimy się spieszyć. Przeprowadzimy teraz odprawę ekipy poszukiwawczej i w ciągu godziny ruszamy w teren. Każę kilku naszym ludziom wyszukać wszystkie chaty do wynajęcia, kempingi i domki

myśliwskie w tamtym rejonie. I módlcie się, żeby nastąpił jakiś przełom,
i to szybko.

LONDYN

Mitzi wręcza kierowcy taksówki dziesięć funtów. Rusza wzdłuż Borough High Street i po chwili przechodzi przez dużą zieloną bramę, na której widnieje napis „The George – jedyna zachowana oberża w Londynie i przybytek wyśmienitego piwa z beczki”.

Zajazd mieści się w długim trzykondygnacyjnym budynku, którego ściany pomalowano są na czarno i biało. Na dwóch piętrach znajdują się drewniane galerie, na których wiszą kosze z kwiatami. Mitzi idzie przez wybrukowany pasaż; przy prostych drewnianych stołach siedzą tam dziesiątki gości.

Otwiera drzwi, nad którymi wisi szyld przedstawiający walkę świętego Jerzego ze smokiem, i wchodzi do środka. W labiryncie ciasnych pomieszczeń kłębi się tłum ludzi. Wokół huczy gwar głośnych rozmów i Mitzi obawia się, że może nie usłyszeć dzwonka telefonu. Wyciąga aparat i trzyma go przed sobą, żeby widzieć ekran wyświetlacza, i przeciska się przez wypełnione twardymi ławami wnętrze w kierunku drugiej sali o jeszcze bardziej surowym wystroju.

W obu pomieszczeniach tłoczą się zamroczeni turyści i podpici londyńczycy. Niektórzy posilają się, siedząc przy stołach, inni piją na stojąco.

Kolejna sala wygląda bardziej nowocześnie. Znajduje się w niej rzęsiście oświetlony bar z jasnego drewna, na którym lśnią mosiężne nalewaki do piwa i wiszą czarne tablice z wypisanymi kredą ofertami potraw. Klientela ma tutaj bardziej familijny charakter, a najlepsze stoliki przy oknach okupują rodzice z dziećmi.

Rozlega się dzwonek telefonu.

– Halo?

Nikt nie odpowiada.

– Cholera!

Mitzi z wyrzutem patrzy na aparat. Na wyświetlaczu widać tylko dwie

kreski oznaczające siłę sygnału. Zasięg musi być kiepski.

W poszukiwaniu lepszego zasięgu Mitzi wychodzi do przedsiionka.

Gdy przez pięć kolejnych minut jej telefon wciąż milczy, wchodzi po zaplamionych farbą schodach na piętro, gdzie znajduje się rząd kameralnych sal bankietowych. Mija ją kilka osób, ale w zachowaniu żadnej z nich nie dostrzega niczego, co sugerowałoby jej związek z porwaniem.

Kiedy dociera do położonego na galerii baru, jest jej tak gorąco, że zamawia szklankę wody mineralnej z lodem. Przysłuchuje się rozmowie turystów, którzy rozprawiają o tym, że Szekspir i Dickens odwiedzali to miejsce. Mitzi przychodzi na myśl, że być może obaj nadal jeszcze tu są, skoro tak długo trzeba czekać na obsługę w tym lokalu.

Gdy w końcu dostaje wodę i chowa drobne do torebki, jej telefon znów dzwoni. Mitzi omal nie upuszcza pieniędzy na podłogę.

– Fallon!

Tym razem w słuchawce również panuje głucha cisza.

Mitzi toczy wzrokiem dookoła. Nie zauważa, aby ktoś się jej przyglądał. Salę wypełniają przeciętnie wyglądający ludzie po trzydziestce. Widzi też kilku biznesmenów i grupkę młodych mężczyzn, którzy siedzą w kącie. Żaden z kelnerów nie zwraca na nią uwagi.

Mitzi stara się zachować spokój. Powoli sączy wodę, siedząc przy barze. Po dziesięciu minutach znów zaczyna się przechadzać. Wraca na dół, odstawia pustą szklankę na stolik i udaje się do jedyne go miejsca, w którym jeszcze nie była.

Do łazienki.

W przesiąkniętym wilgocią chłodnym wnętrzu unosi się woń taniego odświeżacza powietrza. Mitzi korzysta z ubikacji, a następnie myje ręce. Lustro nad umywalką przypomina jej bezlitośnie, że ma wciąż posiniaczoną twarz, a krwiaki wokół oczu mieniają się teraz odcieniami czerwieni.

Czeka cierpliwie, aż szczupła brunetka w czarnych dżinsach, czarnej

kamizelce i białym podkoszulku skończy suszyć dłonie pod hałaśliwą dmuchawą zamontowaną na ścianie.

Ich spojrzenia natrafiają na siebie. Mitzi zerka w stronę wyjścia i widzi blondynkę o atletycznej budowie i krótko przystrzyżonych włosach, która opiera się o drzwi. W ręku trzyma pistolet.

Brunetka uśmiecha się, po czym wyciąga otwartą dłoń i przebiera palcami.

– Daj mi to.

Owain Gwyn chowa się w cieniu wąskiego zaułka, który odchodzi od głównej ulicy nieopodal pubu The George, i przykłada telefon do ucha.

– Gareth, jestem teraz w terenie. Czy to pilne?

– Tak – odpowiada Madoc. – W tej chwili wysyłam ci plik. Dotyczy tej odezwy, którą właśnie nagrała Al-Kaida.

Owain widzi, jak w pobliżu wejścia do pubu zatrzymuje się srebrny mercedes i wysiada z niego dwóch barczystych mężczyzn.

– Czy wiadomo, jakie będą cele ataków?

– Nie. To nie zostało ujawnione. Dałem ten materiał do obejrzenia Hummingsowi, który uważa, że prawdopodobnie głównym celem będzie jakiś przywódca religijny.

Mężczyźni znikają w wejściu do pubu, ale mercedes nadal stoi przy chodniku, mrugając światłami awaryjnymi.

– Już to kiedyś przerabialiśmy. Może się okazać, że to fałszywy alarm, więc nie będę kontaktował się z Watykanem, dopóki nie dostarczysz mi konkretnych informacji.

– Nie mogę tego zrobić. Nie w tej chwili. – Na monitorze Madoc widzi, jak Ibn asz-Szabih dziękuje Korszidiemu i przygotowuje się do opuszczenia jego domu, w którym nagrywali przemówienie. – Nasz nowy przyjaciel jest w ruchu, więc muszę się zbierać. Zanim całkowicie wyeliminujesz zagrożenie, obejrzyj nagranie i wyciągnij wnioski.

– Dobrze, zrobię to. – Owain widzi, jak mercedes odjeżdża od krawężnika i kieruje się w stronę Mostu Londyńskiego. – Znajdę na to czas za godzinę. – Spogląda na zegarek. Jest później, niż przypuszczał. – Papież przybył już do Walii, ale jego pierwsze wystąpienie jest zaplanowane na jutro rano. Jeżeli on jest celem, to właśnie wtedy nastąpi atak.

LONDYN

Ignorując zwałistą kobietę z pistoletem, Mitzi robi krok do przodu i przypiera szczupłą brunetkę do umywalki.

– Niczego nie dostaniesz. Dopiero kiedy się upewnię, że Amber trafiła do szpitala i została opatrzona, dopiero kiedy będę mogła do niej zadzwonić i z nią porozmawiać, dam ci to, czego chcesz.

Brunetka rzuca jej gniewne spojrzenie.

– Nie przyszedłam tutaj negocjować – mówi i skinieniem głowy daje znak swojej koleżance.

Mitzi czuje, jak twarda lufa wbija się jej pod żebro. Uderza obcasem w prawe kolano zwałistej blondynki, chwytą ją mocno za kark i uderza jej głową o brzeg umywalki. Rozlega się złowieszczy chrupot pękających kości czaszki i nieprzytomna kobieta osuwa się na podłogę.

Brunetka wlepia wzrok w leżący na kafelkach pistolet.

– Nie krępuj się – mówi Mitzi. – Gdybym potrzebowała broni, przyszedłabym uzbrojona.

Drzwi łazienki otwierają się gwałtownie i do środka wchodzi dwaj mężczyźni. Wyglądają na typowych mięśniaków.

– Ma pękniętą czaszkę. – Mitzi wskazuje na leżącą bez ruchu blondynkę. – Słyszałam trzask. Zabierzcie ją jak najszybciej do szpitala, zanim dostanie wylewu.

Brunetka robi się czerwona na twarzy. Drżącymi rękami podnosi broń i mierzy do Mitzi.

– A teraz oddawaj pendrive, ty pieprzona dziwko.

– Wyluzuj, złotko. – Mitzi unosi ręce. – Nastrój trochę nam się popsuł, ale musisz wziąć się w garść.

– Dawaj ten jebany pendrive! – krzyczy brunetka, szturchając Mitzi pistoletem.

– Chcesz go dostać, moja damo, to będziesz musiała pogrzebać w moim klocek.

Kobieta patrzy na nią zdezorientowana.

– Połknęłam go.

Jeden z mężczyzn uśmiecha się i podchodzi do Mitzi. Chwyta ją za ręce i mocno zaciska na jej nadgarstkach plastikowe opaski. Mitzi nawet nie próbuje się opierać.

Drugi mięśniak zdejmuje bluzę i zakrywa jej skrępowane ręce, a potem pochyla się nad ranną blondynką.

– Jest kompletnie nieprzytomna. Zrobię, co się da, i za chwilę was dogonię. Wrzućcie do wody tę wyszczekaną dziwkę i nie czekajcie na mnie.

LONDYN

Owain i Dalton siedzą w taksówce i śledzą rozwój wypadków, słuchając transmisji z mikrofonu ukrytego w naszyjniku Mitzi.

– Mamy motorówki na Tamizie – mówi Dalton. – Cumują przy nabrzeżu nieopodal Mostu Londyńskiego.

Konsul puka w szybę, która oddziela tył samochodu od kierowcy.

– Colin, wyjedź z High Street i kieruj się w stronę Tamizy. Właśnie ją wyprowadzają. Słyszę odgłosy ulicy, musieli wyjść na zewnątrz.

– Z pubu do przystani jest około pół kilometra – mówi Owain, obserwując ulicę przez przednią szybę, kiedy taksówka włącza się do ruchu. – Mogą tam dojść w pięć minut. Jeżeli zobaczysz srebrnego mercedesa na zeszłorocznych tablicach, to może być samochód, który ich ubezpiecza.

– Widzę go.

– Obstawiam, że pójdą na wschód. – Dalton śledzi sygnał z lokalizatora na monitorze laptopa, na którym widnieje mapa Londynu. – W tę stronę, w okolice Kopyły Millenium. – Wskazuje palcem prawy róg ekranu.

– Być może – odpowiada Owain sceptycznie.

– Tam jest dużo otwartej przestrzeni i opuszczonych budynków – przekonuje go Dalton. – Przypomnij sobie, jak spółka Mardrida włączyła się do akcji zagospodarowania obiektów, które zostały po olimpiadzie.

– Wiem, ale do niego należą również nieruchomości wokół Chelsea Harbour, Battersea Park i Kew Garden – mówi Owain, wybierając jednocześnie numer centrum operacyjnego w zamku Caergwyn. – Lance, Fallon jest w ruchu. Widzisz ją?

Beaucoup siedzi przed ścianą monitorów i obserwuje transmisje z kamer zainstalowanych w samochodach, ukrytych w ubraniach pieszych wywiadowców, jak również na pokładzie helikoptera, który unosi się wysoko nad Tamizą.

– Widać ją z powietrza. Jest z nią jeden mężczyzna i kobieta i prawie

już dochodzą do nabrzeża przy Moście Londyńskim. Idą obok siebie, a Fallon ma coś na rękach, prawdopodobnie, żeby zasłonić kajdanki. Widzę też niewielką łódź zacumowaną przy brzegu.

– Co to za łódź? – dopytuje Dalton.

Francuz, mrużąc oczy, patrzy na ekran.

– Może pomieścić sześć do ośmiu osób, konstrukcja bardziej wyścigowa niż wycieczkowa – mówi i wtedy rozpoznaje widoczną na monitorze sylwetkę. – To ten sam typ motorówki, jakiego używa policja, dwusilnikowa z zamkniętą kabiną, która może rozwinąć prędkość od trzydziestu do czterdziestu węzłów.

– A czym my dysponujemy? – pyta Owain.

– Mamy na stanie wyposażoną w sprzęt operacyjny barcę z ekipą ratunkową na pokładzie. Jest też ścigacz Hustler Rokit z dwoma silnikami Merkury, który osiąga sto węzłów w kilka sekund.

– Użyjcie hustlera tylko w ostateczności. Kiedy ta maszyna odbije od brzegu, zaraz będziemy mieli na głowie policję rzeczną. Musimy to przeprowadzić po cichu. A jak się mają sprawy w Ameryce?

– FBI bada ranczo siostry Fallon w San Mateo. Wysłali tam swoich ludzi w przebraniu ekipy remontowej i dowiedziałem się, że przeprowadzili dokładne oględziny, ale znalezione odciski palców i ślady DNA nie pasują do żadnego notowanego przestępcy.

– Można było się tego spodziewać – mówi Owain. – To robota najwyższej klasy fachowców, którzy nie mieli wcześniej do czynienia...

– Marchetti! – krzyczy Beaucoup. – Widzę Marchettiego na nabrzeżu. Był na tej łodzi i właśnie zszedł na ląd z jakimiś ludźmi.

SAN RAMON, KALIFORNIA

Malowniczy widok Mount Diablo odbija się w lusterku wstecznym, kiedy Eleonora Fracci parkuje chryslera crossfire na parkingu przed niewielkim centrum handlowym. Włoszka przegląda listę ludzi, którzy przyjechali na wczasy bez rezerwacji i zapłacili gotówką za wynajęcie kwater i samochodów.

Przed nią ciągnie się rząd barów szybkiej obsługi, salon manikiuru, sklep spożywczy, chińska restauracja i bar.

I to właśnie ten bar przyciąga jej uwagę. Oraz dwaj mężczyźni, którzy właśnie weszli do środka.

Godzinę wcześniej Eleonora przejeżdżała obok jednej z podejrzanych posesji i zobaczyła potężnego mężczyznę, który kłócił się z kobietą, na oko trzydziestokilkuletnią. Facet najwyraźniej miał już dość przekrzykiwania i doszedł do wniosku, że pięść jest najbardziej skutecznym środkiem perswazji.

Eleonora miała ochotę nacisnąć hamulec, wysiąść z samochodu i udzielić mu bolesnej lekcji. Powstrzymała się jednak, gdyż to by ją zdemaskowało. Kiedy czekała, miotając przekleństwa, dwaj inni mężczyźni wyszli ze sfatygowanej rudery i wciągnęli swojego kumpla oraz pobił kobietę do środka.

Włoszka przyglądała się, jak cała czwórka znika we wnętrzu, a potem jej uwagę zwrócił stojący na podjeździe minivan. Ten sam, który teraz stoi na parkingu przed centrum handlowym.

Duży samochód z przyciemnianymi szybami, idealny, by pomieścić czwórkę dorosłych i dwie nastolatki.

Eleonora czeka, aż przydzielony jej do pary Mick Convay wjedzie na parking swoim chevroletem. Potem rzuca żakiet na tylne siedzenie crossfire'a i wchodzi do baru.

Wnętrze lokalu jest mroczne i ponure. Za długim drewnianym barem znajdują się lustra w stylu Dzikiego Zachodu i półki z butelkami. Ścianę

zdobi neonowa reklama Budweisera, a z szafy grającej płynie muzyka country.

– Wodę mineralną proszę – mówi Eleonora do barmana.

– Już podaję – odpowiada mężczyzna w średnim wieku, którego spojrzenie zdradza zainteresowanie jej kształtną figurą. – Życzy pani sobie coś do jedzenia? Mamy najlepszego kurczaka w całej okolicy.

Jej wymowny uśmiech jednoznacznie świadczy o tym, że nie zamierza skorzystać z jego propozycji.

Włoszka wyciąga BlackBerry i zajmuje się czytaniem wiadomości. A przynajmniej ma nadzieję, że tak myślą dwaj faceci, którzy siedzą przy barze parę metrów od niej. Nie odrywając wzroku od wyświetlacza, wie, że cały czas się na nią gapią.

Otwierają się drzwi, wpuszczając do środka promień światła, i Eleonora słyszy, jak Mitch zamawia piwo, a potem pyta, gdzie jest toaleta.

Barman stawia przed nią szklankę wody.

– Skoro nie reflektuje pani na kurczaka, to może mógłbym zaproponować pani coś specjalnego?

Pytanie barmana wystarczy, by zwalisty damski bokser włączył się do rozmowy.

– Ja na pewno mógłbym ci zaproponować coś bardzo specjalnego, kwiatuszku.

Jego towarzysz parska śmiechem.

– Dziękuję, nie chcę nic jeść – odpowiada Eleonora, kładąc telefon na barze. – Czekam tu tylko na przyjaciółkę.

Olbrzym przysuwa do niej swój stółek.

– Jestem Jake, a ten tutaj to Randy.

Jego kumpel szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Jesteście stąd? – pyta Eleonora.

– A gdzie tam – obrusza się Jake. – Z Fresno. Przyjechaliśmy tu tylko trochę się zabawić.

Włoszka pociąga łyk wody, która nadaje jej wargom wilgotny uwodzicielski połysk.

– W jaki sposób się zabawić?

Jake taksuje ją łapczywym spojrzeniem.

– Właściwie w każdy możliwy sposób.

Eleonora odchyła się do tyłu i przygląda mu się ostentacyjnie.

– A czym zajmują się na co dzień tacy wielcy, muskularni mężczyźni?

– Pakowaniem mięsa. – Jake wskazuje skinieniem głowy na kolegę. – Randy będzie otwierał własną firmę.

– Z przyjemnością pokażę ci kiedyś, jak pakuję mięso. – Randy znów wybucha śmiechem.

To, co zobaczyła i usłyszała, wystarczy jej w zupełności. Zawodowi przestępcy nie podrywają kobiet w trakcie zlecenia. I żaden z nich nie rozstaje się z zegarkiem. Na opalonych przedramionach Jake'a, które wystają z podwiniętych rękawów kraciastej koszuli, nie widać nawet bladej obwódki, którą mógł pozostawić pasek zegarka. Ale zarówno on, jak i jego głupkowaty kumpel mają na palcach ślady po obrączkach. Najprawdopodobniej wyrwali się na męskie wakacje. Polowanie, wędkowanie i wszystko, na co tylko mają ochotę. Kobieta, którą wcześniej widziała w ich towarzystwie, przypuszczalnie była jakąś kurewką, na tyle głupią, by dać im się zwabić na odludzie.

Eleonora dopija wodę i kładzie na barze pięciodolarowy banknot.

– Przykro mi, chłopaki, muszę już iść.

– Hej, nie tak szybko, panienko. – Jake chwyta ją za ramię.

– Zabieraj te łąpska ode mnie.

Jake nie zwraca uwagi na jej słowa.

– Daj spokój, siadaj.

Eleonora próbuje uwolnić rękę, lecz on trzyma ją w żelaznym uścisku. Włoszka bierze zamach i z impetem uderza łokciem w jego twarz. Mężczyzna chwyta się oburącz za pękniętą kość policzkową, puszczając jej ramię, a wtedy ona wyrywa spod niego stółek barowy. Olbrzym zwała się

jak długi na podłogę.

Eleonora wyciąga pistolet i trzyma go na muszce.

– Wyjdiesz za mną, to cię zabiję. A jeżeli się dowiem, że skrzywdziłeś jakąś kobietę, znajdę cię i oberwiesz jeszcze mocniej.

LONDYN

Uzbrojeni mężczyźni wprowadzają Mitzi na pokład zacumowanej przy nabrzeżu motorówki. Wpychają ją do kabiny i zmuszają, aby usiadła na wąskiej ławeczce.

Przez okno Mitzi widzi młodego blondyna w czerwonym podkoszulku, który wciąga grubą cumę na pokład. Rozlega się głośny warkot potężnego silnika, który wprawia podłogę w wibracje, i łódź wypływa na falujące szare wody Tamizy.

Do kabiny wchodzi przystojny mężczyzna o długich czarnych włosach i starannie przystrzyżonej bródce, który siada na ławeczce naprzeciwko niej. Rozpina guziki niebieskiej marynarki i uśmiecha się.

– Witam na pokładzie, pani Fallon. – Wyciąga rękę i zrywa srebrny łańcuszek z jej szyi. – Taka kobieta jak pani nie powinna nosić takiej tandetnej biżuterii. Te kolczyki też pani nie pasują. Dobrze, że ich nie przegapiłem. – Chwyta palcami oba sztyfty i szarpie brutalnie.

Mitzi zaciska zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Marchetti chwyta jej rękę i ściąga zegarek, a potem otwiera tylne drzwi kabiny i wyrzuca wszystko do mętnej wody.

– Teraz prezentuje się pani dużo lepiej.

Mężczyzna siada z powrotem na ławeczce i odwraca głowę w stronę swoich ludzi.

– Dajcie mi coś ostrego.

Mitzi widzi, jak jeden ze zbirów podaje mu nóż do patroszenia ryb. Marchetti bierze go i wskazuje głową na szczupłą brunetkę.

– Moja koleżanka powiedziała mi, że połknęłaś pendrive. Co zatem stoi na przeszkodzie, abym za pomocą tego uroczonego kawałka stali wyopatroszył cię jak tuńczyka i wyciągnął go z twoich flaków?

– Rachunek prawdopodobieństwa – odpowiada Mitzi bez zmrużenia oka.

Marchetti marszczy czoło.

– Co takiego?

– Mogłam powiedzieć prawdę i rzeczywiście go połknęłam. Ale mogłam też go ukryć albo gdzieś wysłać. Zabij mnie, a masz tylko pięćdziesiąt procent szans, że ci się uda. Uwolnij Amber, aby mogła zostać opatrzona w szpitalu, a obiecuję, że powiem ci prawdę.

– Obiecujesz. – Marchetti wybuchła śmiechem, a potem zrywa się i wbija jej nóż pod prawy obojczyk.

Tym razem Mitzi nie potrafi powstrzymać okrzyku bólu.

Marchetti trzyma ostrze w ranie. Na tyle głęboko, by sprawić jej nieznośny ból, ale nie wywołać przy tym groźnego krwotoku.

– Oddaj mi pendrive!

Mitzi czuje, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze. Spogląda obojętnym wzrokiem na swego prześladowcę.

Marchetti wyszarpuje nóż z jej ramienia i uderza ją pięścią w twarz. Niedawno pokiereszowany nos Mitzi znów pęka. Z jej nozdrzy bucha krew, a głowę wypełnia oślepiający błysk. Kiedy motorówka przechyla się, biorąc zakręt, Mitzi nie ma siły, by zachować równowagę i osuwa się bezwładnie na podłogę. Czuje woń pasty do drewna i mydła i jest to ostatnia rzecz, na którą zwraca uwagę, nim ogarnie ją ciemność.

CZĘŚĆ CZWARTA

LONDYN

Mitzi odzyskuje przytomność i piekący ból przeszywa jej ramię. Gdyby ostrze weszło głębiej, mogłaby się wykrwawić. Od środka twarzy rozchodzi się tępe pulsowanie. Jednak ból nie jest tak nieznośny, jak można by się spodziewać i Mitzi przypuszcza, że dostała jakiś zastrzyk.

Nie musi nawet otwierać oczu, by się zorientować, że ręce ma teraz skrępowane za plecami i siedzi na twardym metalowym krześle. Jej nogi również są związane, a brak kołysania świadczy o tym, że nie znajduje się już na łodzi. Domyśla się, że oprawcy wstrzyknęli jej jakiś środek uspokajający, aby nie sprawiała problemów, kiedy przenosili ją na ląd.

Słyszy kobiecy kaszel. To prawdopodobnie ta brunetka i niewątpliwie towarzyszy jej co najmniej jeden z mężczyzn.

Czuje dym papierosowy i zapach trocin. Powietrze jest chłodne, ale nie zimne. Z tego, jak rozchodzą się dźwięki, wnioskuje, że jest raczej w średniej wielkości wnętrzu, a nie w jakimś przestronnym pomieszczeniu, jak hala magazynowa.

– Chcesz herbaty? – pyta kobiecy głos.

– Jeśli robisz, to tak – odpowiada mężczyzna.

Słyszą stukot obcasów na twardej podłodze. Plusk wody nalewanej do metalowego czajnika. Trzask przełącznika elektrycznego. Mitzi przypuszcza, że znalazła się w jakimś prywatnym domu, biurze albo mieszkaniu, które nie zostało jeszcze wykończony albo jest w trakcie remontu.

– Nie ma mleka, może być?

– A cukier masz?

– Tak.

– To daj trzy łyżeczki, skoro mam pić czarną.

Mitzi nie otwiera oczu i próbuje dostrzec pozytywne strony swojego położenia. Nie zabili jej, a bliźniaczki zapewne jeszcze żyją. Zastanawia się, dlaczego została przeniesiona w to miejsce, gdy wtem słyszy

skrzypienie otwieranych drzwi i męski głos.

– Już powinna się obudzić.

To głos mężczyzny, który ugodził ją nożem. Mitzi słyszy, jak jego kroki zbliżają się do niej, i napina mięśnie.

Mężczyzna kładzie dłoń na jej ustach i zatyka nos palcami, żeby zablokować dostęp powietrza. Mitzi charczy, nie mogąc złapać oddechu, i w końcu otwiera oczy. Marchetti kuca, więc ich twarze są na tym samym poziomie.

– To znowu ja.

Mitzi rozgląda się po wnętrzu. Miała rację, znajduje się w mieszkaniu. Świecą się lampy, co oznacza, że jest noc. Ściany były niedawno tynkowane i wszędzie leży pył. Na podłodze walają się ścinki paneli, a w kącie stoi kilka puszek z farbą.

– Domyślasz się, co to jest? – Marchetti trzyma w ręku czarny przedmiot o podłużnym kształcie.

Mitzi przygląda się dokładnie.

– Wykrywacz metalu.

– Bystra dziewczynka – mówi mężczyzna, po czym wstaje, cofa się o krok i podaje urządzenie brunetce. – Podnieście ją.

Muskularny facet podchodzi do niej i dźwiga ją z krzesła.

– Rozchyl nogi – rozkazuje jej i parska śmiechem. – Założę się, że już dawno nikt tak do ciebie nie mówił.

– Pośpieszcie się! – krzyczy Marchetti.

Brunetka włącza wykrywacz i przesuwa go w górę między nogami Mitzi.

– Brzuch! – grzmi Marchetti. – Na litość boską, to będzie w jej żołądku albo jelitach, a nie w udach.

Kobieta rumieni się i dotyka wykrywaczem tułowia Mitzi. Przesuwa go powoli w dół i na wysokości klamry od paska rozlega się elektroniczny sygnał. Muskularny rozpina pasek i wyciąga go ze szlufek. Potem rozpina guzik jej spodni, rozsuwa zamek rozporka i jednym szarpnięciem rozrywa

jej bluzkę. Brunetka jeszcze raz przejeżdża wykrywaczem po gołym ciele Mitzi i kiedy dociera do podbrzusza, urządzenie znowu wydaje pisk.

– No proszę. Wygląda na to, że jednak mówiłaś prawdę – odzywa się Marchetti zadowolonym tonem, a potem zwraca się do swojego pomocnika.
– Posadź ją.

Mitzi patrzy, jak mężczyzna oddala się i znika jej z pola widzenia.

– Jak powiedziałam, uwolnijcie Amber, a nie będziesz miał już żadnych wątpliwości, że mam w brzuchu to, czego szukasz, a nie jakiś pusty pendrive.

– Sprytne – woła Marchetti. – Zyskujesz na czasie, bo wiesz, że muszę to sprawdzić i dlatego nie wypruję ci flaków.

Mitzi słyszy plusk wody, a potem pojawia się jej oprawca. Trzyma w ręku kubek, który podaje brunetce. Potem otwiera opakowanie jakiegoś leku. Wyrzuca kartonowe pudełko i wyciska sobie na dłoń wszystkie tabletki z dwóch foliowych listków. Gdy spogląda na Mitzi, w jego oczach pojawia się dziki błysk.

– To nie będzie eleganckie – mówi, po czym chwyta ją za włosy i odchyła jej głowę do tyłu. – Otwórz usta.

Mitzi zaciska szczęki, ale kiedy Marchetti uderza pięścią w jej złamany nos, wydaje okrzyk bólu. To mu wystarczy, by wepchnąć między jej zęby garść tabletek przeczyszczających.

– Woda! – krzyczy, wciąż odchylając jej głowę do tyłu.

Brunetka wlewa zawartość kubka w usta Mitzi. Mitzi dławi się. Próbuje wypluć tabletki.

Marchetti zatyka jej usta dłonią i zmusza ją, by przełknęła. Poluźnia chwyt, pozwalając jej złapać oddech, a potem znów ciągnie ją za włosy i wtłacza do ust kolejną porcję leku. Tym razem Mitzi brakuje powietrza. Nie ma siły walczyć. Gdy tylko woda wlewa się do jej ust, przelyka wszystko.

Marchetti wyciera mokrą rękę o jej bluzkę i kieruje się w stronę wyjścia. Zatrzymuje się przy drzwiach.

– Wrzućcie ją do szafy, żeby nie naświniła tu za bardzo.

LONDYN

George Dalton trzyma na kolanach laptop i obserwuje transmisję z kamer zamontowanych na hełmach uzbrojonej grupy operacyjnej, która płynie po Tamizie. Duża barka dobija do nabrzeża i cumuje nieopodal wejścia do budynku, w którym przetrzymywana jest Mitzi Fallon.

– Zespół taktyczny na miejscu – melduje Dalton Owainowi. – Mikrofony paraboliczne są już wycelowane w budynek i lada chwila powinniśmy mieć dźwięk.

– Dobrze. Niech ludzie czekają w pogotowiu. Może uda się odjąć dziewczynki, zanim tam wkroczymy – odpowiada ambasador i wybiera numer Madoca, by zapoznać się z sytuacją po drugiej stronie Atlantyku. – Gareth, możesz rozmawiać?

– Niezbyt długo.

– Jak idą poszukiwania córek Fallon?

– Ross Green i Eve Garrett wytypowali kilku podejrzanych. To zawodowcy, którzy mają luźne powiązania z Mardridem i Marchettim. Potrzebujemy czasu, żeby ustalić, gdzie w tej chwili się znajdują.

– Akurat czas jest tym, czego nam brakuje najbardziej.

– Wiem. Sześć naszych zespołów działa w rejonie zatoki i przeczesuje oba brzegi, ale to duży obszar. Szczerze mówiąc, dopóki nie trafi nam się jakiś ekstracynek, będziemy błądzić po omacku.

Owain rozważał już taki czarny scenariusz.

– Gareth, jeżeli coś się nie powiedzie, te bestie nie mogą opuścić Kalifornii w jednym kawałku.

– Zrozumiano. Masz dla mnie coś jeszcze?

– Owszem. Zdecydowałem, że Ibn asz-Szabih i jego ludzie nie mogą pozostawać dłużej na wolności.

Twarcz Madoca wykrzywia grymas zawodu.

– Mamy naprawdę doskonałą okazję, żeby idąc ich tropem, dotrzeć do wszystkich ważnych członków nowej komórki.

– Zdaję sobie sprawę, ale nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko, kiedy nie wiemy w kogo, gdzie i kiedy zamierzają jutro uderzyć.

– Potrzebuję trochę więcej czasu. Niech chociaż Ibn asz-Szabih zaprowadzi nas tam, gdzie zamierza spędzić dzisiejszą noc.

Owain pozostaje nieugięty.

– Nie możemy. Przykro mi.

Madoc wzdycha ciężko, ale nie wdaje się w dyskusję.

– Dobrze. Jak zamierzasz to rozegrać? Zadzwonisz do Rona Briersa z Krajowej Agencji Wywiadowczej?

Ambasador postanawia złagodzić gorycz jego rozczarowania.

– Masz na swojej liście „Sprawdzonych i Zaufanych” kogoś, komu chciałbyś dać się wykazać?

– Tak. Mam kilku takich.

– Więc daj któremuś cynk. Zawsze warto komuś pomóc w osiągnięciu awansu.

– To miłe z twojej strony. Dziękuję.

– Nie ma za co. Po prostu zawiadam swoją wtyczkę, i to jak najszybciej.

– Zrobione.

Owain kończy połączenie.

– Mamy dźwięk – informuje go Dalton. – Jest przytłumiony, ale słyszę Fallon. Kiepsko z nią.

LONDYN

Brunetka rozściela gazetę na podłodze wbudowanej w ścianę szafy, a jej muskularny kolega rozbiera Mitzi od pasa w dół, wpycha ją do ciasnego wnętrza i zamyka przesuwane drzwi.

Takie upokarzające traktowanie sprawia Mitzi prawie taki sam ból jak złamany nos i przebite nożem ramię. Prócz tego zaczynają ją dręczyć nasilające się stopniowo dotkliwe skurcze żołądka wywołane przez końską dawkę środka przeczyszczającego. Mitzi długo cierpi w milczeniu, ale w końcu nie wytrzymuje i krzyczy w ciemność:

– Lepiej zabierzcie mnie do kibla. I to szybko.

W odpowiedzi słyszy uderzenie w drzwi i głos mięśniaka.

– Uwalisz kloca tam, gdzie jesteś, suko. I lepiej się, kurwa, pospiesz.

Mężczyzna kopie w drzwi i odchodzi.

Mitzi osiąga dno upodlenia. Czas płynie, a ona przekręca się z boku na bok, aby złagodzić bolesne skurcze. Leżąc w ciemności, przypomina sobie słowa tego dziwnego starca z zamku Caergwyn. W chwilach największej słabości jest zdolna do najbardziej zdumiewających wyczynów.

Ból, który promieniuje z jej ran i brzucha, słabnie z każdą chwilą. Tępe pulsowanie w czaszce ustaje. Mitzi potrafi oderwać się od cierpienia, wymknąć się z matni i ukryć gdzieś daleko w świecie swojej wyobraźni, by nabrać sił.

Przywołuje obraz swoich dzieci. Przypomina sobie, jak przyniesiono jej dwójkę niemowląt, gdy leżała w szpitalnym łóżku. Przypomina sobie miękki dotyk ich maleńkich twarzątek i to cudowne uczucie, gdy po raz pierwszy ucałowała ich policzki. I tę falę opiekuńczej macierzyńskiej miłości. Miłości tak silnej, że byłaby zdolna zabić każdego, kto chciałby skrzywdzić jej dzieci.

Drzwi szafy odsuwają się i Mitzi mruży oczy, kiedy oślepiające światło wlewa się do środka. Brunetka unosi rękę do ust i wygląda, jakby miała zwymiotować.

– O Boże, co za syf.

Mitzi nie czuje wstydu. Nie czuje zażenowania. Wie, że cokolwiek nastąpi, ona się nie podda. Nie zawiedzie swoich córek.

NOWY JORK

Agent Krajowej Agencji Wywiadowczej Joe Steffani rozpoznaje numer, który pojawia się na wyświetlaczu telefonu stojącego na jego biurku, i od razu podnosi słuchawkę.

– Niech zgadnę – mówi z nowojorskim akcentem. – Dzwonisz, żeby odciągnąć mnie od dzieci i zepsuć mi wieczór.

– Zepsuć albo i nie – odpowiada Gareth Madoc. – To zależy, jak zinterpretujesz wiadomość, którą zamierzam ci przekazać.

– A niech cię. Więc co takiego masz dla mnie, mój podejrzenie dobrze poinformowany przyjacielu z zagranicy.

– Alego Ibn asz-Szabiha.

– Nie pierdol.

– Poważnie. Jest w Nowym Jorku.

Joe czuje nerwowy ucisk w żołądku.

– Jesteś pewien? Masz na niego oko albo coś w tym rodzaju?

– Oko i ucho. Jesteśmy tak blisko, że moglibyśmy policzyć włosy w jego brodzie.

Agent Krajowej Agencji Wywiadowczej robi się podejrzliwy.

– Dlaczego?

– Nieważne dlaczego. Ali właśnie nagrał na wideo odezwę w domu jednego z wysoko postawionych działaczy religijnych. A teraz siedzi w samochodzie z dwoma goryłami i jedzie na lotnisko Kennedy'ego. Kiedy tam dotrze, przypuszczam, że wejdzie do prywatnego hangaru i przepadnie.

– A to skurwysyn. – Jo sięga po wiszącą na oparciu krzesła marynarkę. – Masz dla mnie jego namiary?

– Dostaniesz, kiedy zwołasz ekipę. I będziesz potrzebował kilku innych zespołów. Co najmniej czterech. Śledzimy też specja od materiałów wybuchowych, dowódcę komórki i paru pomocników.

– Jezu! Ty i twoi kowboje zgarniacie nam robotę sprzed nosa.

Nieładnie, Gareth, nieładnie.

– Uważam się za ochrzanionego. Kiedy już zrobisz swoje, musimy się spotkać i porozmawiać.

– Masz to jak w banku.

Madoc kończy rozmowę. Na monitorze widzi, jak Zachra Korszidi wraca do miejsca, które nazywa domem. Ma nadzieję, że kiedy wydarzenia nabiorą rozmachu, dziewczyna zdoła wyjść z tego cało.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Psycholog Sekcji do spraw Porwań i Uwalniania Zakładników, Helena Banks, otwiera drzwi gabinetu swojego szefa.

– Masz trochę czasu?

– Czas to wszystko, co mam. – Bob Beam wskazuje ręką na krzesło. – Mam wieści od Sprinksa. Właśnie zaliczył pudło w Walut Creek. Samotny facet, który zajmuje tam duży dom, okazał się czysty. Rozstał się z żoną, ale wyjechał do domu, który wynajął dla rodziny z trójką dzieci. Uznał, że skoro i tak zapłacił, to może teraz skorzystać.

– Powinien był odstąpić komuś innemu – mówi Helena. – Przyda mu się kasa na alimenty. A ja zastanawiałam się nad samochodami.

– I co wymyśliłaś?

– Rozmawialiśmy z Ruth Everett, która twierdzi, że widziała sedana stojącego na końcu podjazdu. Częściowo dlatego uwierzyła, że ta kobieta jest sama i zepsuł się jej wóz.

– Sprawdziliśmy to. – Beam wyciąga plik kartek ze stojącej na biurku tacki na dokumenty. – W ciągu ostatniego tygodnia tylko dwadzieścia cztery kobiety wynajęły taki samochód i wszystkie zapłaciły kartą kredytową.

– Wiem. Ale jeszcze raz kazałam sprawdzić wykazy. Pewien facet wynajął kampera na lotnisku San Francisco, a potem sedana w San Mateo.

Szef sekcji czuje, że jego tętno przyspiesza.

– Masz nazwisko i adres?

Helena kładzie na biurku żółtą samoprzylepną karteczkę.

– Chris Wilkins, żonaty, prowadzi firmę w Los Angeles.

– Sprawdziliście te dane?

– Tak. Facet istnieje naprawdę. Jego firma również, aczkolwiek dom nie jest jego własnością. Wynajmuje go, a firma to mały rodzinny interes z siedzibą w dzielnicy przemysłowej. Jedna z tych okolic, które omija się

szerokim łukiem.

– Dostęp do ewidencji firmy?

– Nie ma.

– A żona?

– Ma na imię Teresa. Tess.

– Masz zdjęcie któregoś z nich?

– Jeszcze nie. Ściągamy z wydziału komunikacji i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

– Byli karani?

– Żadnych śladów. Nawet czegoś takiego, jak mandat za przekroczenie prędkości.

Beam wraca do odkrycia, który na początku przykuło jego uwagę.

– Po co ktoś miałby wynajmować kampera i samochód osobowy?

– To trochę dziwne, ale czasem się zdarza – wyjaśnia Helena. – Kamper zapewnia wygodny dach nad głową, ale jest powolny i trudno go zaparkować. Sedanem szybko wszędzie dojedziesz. Jednak niezwykle jest to, że nie korzystają z hoteli lub moteli, co byłoby bardziej praktyczne w ich przypadku, skoro nie mają dzieci. Co więcej, Wilkins wynajmował te auta osobno, każde w innej firmie. Mało kto tak robi. Większość ludzi chciałaby wytargować zniżkę za dwa pojazdy.

– Może na pomysł wzięcia sedana wpadli później? Albo jego żona nie umie prowadzić?

Helena uśmiecha się wymownie.

– Ale okazuje się, że umie.

– Skąd wiesz?

– Zarówno kamper, jak i sedan przejechały przez most Oakland Bay około dziesiątej wieczorem, czyli mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Ruth Everett odzyskiwała przytomność, leżąc na podłodze w swojej kuchni.

LONDYN

Taksówka parkuje na pogrążonym w mroku nabrzeżu, tuż obok miejsca, gdzie cumuje barka, i niespełna pół kilometra od budynku, w którym znajduje się Mitzi.

Rozlega się dzwonek telefonu i Owain Gwyn odbiera połączenie.

– Słucham?

– Załatwione – oświadcza Gareth Madoc pozbawionym entuzjazmu tonem. – Powiadomiłem moją wtyczkę. Właśnie do mnie jedzie. Facet jest już po odprawie z Lanza i kiedy rozmawiamy, ekipa właśnie okrąża Ibn asz-Szabiha. Myślę, że do rana zdejmą wszystkich, chociaż obawiam się, że będzie trudno postawić im zarzuty.

– Nie załamuj się. Musieliśmy wybierać, czy nie dopuścić, aby komukolwiek stała się krzywda, czy wyłapać wszystkich, którzy mają krew na rękach.

– Wiem. Spodziewałem się tylko, że tym razem uda nam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Ocaliliśmy wiele istnień. Tego się trzymaj.

– Dobrze. Moja wtyczka już tu jest, więc muszę iść. Uprzedzając pytanie, na razie nie mamy nic nowego w sprawie córek Fallon, ale kiedy coś się pojawi, natychmiast dam ci znać.

– Dzięki. Porozmawiamy później.

Owain przerywa połączenie i spogląda na Daltona.

– Mamy dwóch ludzi na dachu – informuje go konsul. – Prześwietlili budynek kamerą termowizyjną. Fallon przebywa w apartamencie na ostatnim piętrze od zachodniej strony.

Ambasador odwraca głowę i wpatruje się w ciemność.

– Rozważasz możliwość wejścia przez dach?

– Tylko jeśli będziemy zmuszeni – mówi Dalton. – Chcę założyć podsłuch na oknie. Sygnał z mikrofonów kierunkowych nie jest tak dobry, jak się spodziewałem. Wsuniemy również przez sufit kamerę

światłowodową, której nie zauważą przy takim oświetleniu.

– Wiemy, co robi Marchetti?

Dalton zakrywa dłonią słuchawkę, która tkwi w jego uchu, i przez chwilę nasłuchuje w skupieniu.

– Myślę, że w tej chwili nie ma go w mieszkaniu. Słyszę tylko głos Fallon, drugiej kobiety i jakiegoś mężczyzny.

Ambasador spogląda na zegarek.

– Będę musiał cię opuścić. Watykan nie odpowiedział na moją wiadomość, ale i tak domyślam się, co odpowie.

– Nie odwołają jutrzejszej uroczystości.

– Oczywiście, że nie. Jest za późno. A to oznacza, że muszę lecieć do Cardigan i jeszcze raz sprawdzić środki bezpieczeństwa.

– Dam sobie tutaj radę, nie martw się. – Dalton stuka palcem w monitor laptopa. – Tę akcję prowadzą najlepsi z naszych ludzi, więc Fallon nie spadnie włos z głowy.

– Nie wątpię. – Owain otwiera drzwi taksówki i wysiada. Kilkaset metrów dalej czeka na niego drugi samochód. – Postarajcie się nie zabić Marchettiego. Chciałbym sobie uciąć miłą pogawędkę ze starym przyjacielem.

LONDYN

Angelo Marchetti wpatruje się w rozjarzoną światłami panoramę miasta, która odcina się na tle czarnego nieba. Przed sobą widzi imponującą zapórę przeciwpowodziową na Tamizie, a po prawej wznosi się niczym las ze stali i szkła kompleks biurowy Canary Wharf.

Kiedy luksusowy apartament, w którym właśnie znajduje się Marchetti, zostanie wykończony, Mardrid bez wątpienia sprzeda go za ciężkie miliony jakiemuś bogatemu Rosjaninowi albo Arabowi. Jednak w tej chwili nie ma tam nic prócz gołych ścian.

W kieszeni jego kurtki znajduje się zawiniątko ze strzykawką, kilkoma czystymi igłami oraz porcją heroiny i kokainy, która wystarczyłaby na miesiąc porządnej kapeli rockowej. Z trudem opiera się pokusie, by wstrzyknąć to sobie w żyłę.

A na skrawku ręcznika papierowego leży mały metalowy przedmiot, który właśnie odzyskali jego ludzie.

Policjantka z Kalifornii go okłamała. To nie jest jego pendrive. Jest mniejszy, cieńszy, lżejszy i nic na nim nie ma.

Teraz Marchetti zastanawia się, co zrobić z tą kobietą.

Na szczęście Mardrid jeszcze nie siedzi mu na karku. Ale za dzień lub dwa to się zmieni. A Marchetti wie, że jeśli nie dostarczy mu szczegółowych danych na temat grobów rycerzy, równie dobrze może zacząć kopać grób dla siebie.

Bierze do ręki kawałek ręcznika papierowego z bezużyteczną zdobyczą i przechodzi do drugiego pomieszczenia. Zgodnie z jego rozkazem Amerykanka została wyciągnięta z szafy, umyta i posadzona z powrotem na krześle. Marchetti bierze drugie krzesło i siada naprzeciwko niej. Podnosi pendrive i trzyma go tuż przed jej pokiereszowaną twarzą.

– Gdzie jest ten prawdziwy?

Mitzi skupia swoje myśli na dziewczynkach. Wyobraża sobie, że są małymi brzdącami i biegną do niej, a ona bierze je na ręce i przyciska

mocno do siebie.

– Gdzie on, kurwa, jest?! – krzyczy Marchetti.

Mitzi zwilża resztką śliny spierzchnięte wargi.

– Powiem ci, jeżeli Amber trafi do szpitala – odpowiada chrapliwym szeptem.

Marchetti ze zdumieniem kręci głową. Nie może pojąć, że po tym wszystkim, co jej zrobił, ona wciąż się nie poddaje. Co jeszcze musiałyby się jej stać, żeby pękła?

Marchetti zna odpowiedź. Ta kobieta nigdy się nie podda. Widział już takich ludzi jak ona, obdarzonych silną wolą i niezłomnych. Nie tak dawno temu sam taki był.

Widzi, że niebo za oknem zaczyna się rozjaśniać. Za godzinę wstanie nowy dzień, a on zdaje sobie sprawę, że jest tylko kwestią czasu, żeby wzmożone wysiłki Amerykanów doprowadziły do odnalezienia dziewczynek.

– W porządku – mówi poirytowanym tonem. – Wypuszczę tę twoją małą dziwkę. Dopilnuję tego. Ale obiecuję ci – Marchetti podchodzi bliżej i patrzy na Mitzi rozszerzonymi z wściekłości oczami – jeżeli natychmiast nie oddasz mi tego, co chcę, zmuszę cię, byś patrzyła, jak twoja druga córka umiera, a nie będzie to łagodna śmierć. To będzie powolne i bolesne konanie, gorsze niż wszystko, co kiedykolwiek sobie wyobraziłaś.

KALIFORNIA

Zbliżając się do kryjówki, Chris Wilkins naciska klakson. Wie, że gdyby o tym zapomniał, mógłby dostać kulkę na powitanie.

Tess otwiera drzwi. W prawej dłoni trzyma glocka, a karabinek szturmowy stoi oparty o ścianę w zasięgu ręki. Patrzy na twarz męża i widzi po jego minie, że coś go gryzie.

– Wszystko w porządku?

Chris przygląda się dziewczynom. Nadal są skrępowane, zakneblowane i mają kaptury na głowach, ale zostały rozdzielone. Jedna z nich siedzi przywiązana do krzesła, a druga, ta ranna, leży na podłodze z uniesionymi nogami i zabandażowaną ręką.

– Wyjdźmy stąd. – Chris wskazuje głową w stronę kuchni.

Tess rygluje drzwi wejściowe i idzie za mężem do sąsiedniego pomieszczenia.

– On chce, żebyśmy uwolnili jedną z nich – oświadcza Chris i wzdycha ciężko.

– On, to znaczy kto?

– Nasz klient. Mówi, że mamy ją zawieźć do szpitala, możliwie jak najdalej stąd, i kazać jej stamtąd zadzwonić na komórkę matki.

Tess wzrusza ramionami.

– Mogłaby zadzwonić skądkolwiek, niekoniecznie ze szpitala.

– Nie rozumiałaś mnie. Ona musi zadzwonić ze szpitala, żeby jej matka mogła sprawdzić, że tam jest.

– Jasne. Teraz rozumiem. Cwana suka.

– Gdzie tu jest jakiś szpital?

– Nie mam pojęcia. – Tess rozkłada ręce. – Sprawdzę w sieci. Prawdopodobnie będzie jakiś w Oakland i w San Ramon.

– Musimy szukać na wschodzie. Znajdź coś na tyle daleko, żeby dojazd zajął około godziny – mówi Chris. – A co z tą dziewczynką?

– Nic poważnego. Krwawiła, jakby miała hemofilię, kiedy ściąłeś jej

opuszkę, a teraz bez przerwy skomle jak szczeniak.

Chris podchodzi do lodówki i wyjmuje piwo.

– Chcesz?

Tess bierze od niego butelkę i ściąga kapsel.

– Nie podoba mi się to. Ani trochę mi się to nie podoba. Pozwolisz drugiej stronie dyktować warunki i problemy gotowe. Zwłaszcza jeśli ta druga strona to fedzio.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Sandra Donovan upewnia się, że drzwi jej gabinetu są zamknięte. Zawsze przestrzega tego środka ostrożności, kiedy ma odbyć tak ważną rozmowę jak ta, która właśnie ją czeka.

Dyrektor FBI chce rozmawiać z nią osobiście.

Zapala się lampka telefonu stojącego na biurku i Donovan podnosi słuchawkę.

– Słucham.

Peter Lansley należy do tego typu przełożonych, którzy lubią ocieplić atmosferę. A zaraz potem wylać podwładnemu na głowę kubel ziemnej wody. Dlatego Sandra nie jest zdziwiona, kiedy jej szef zaczyna luźną pogawędkę.

– Jak się miewasz, Sandro? Nie widziałem cię od czasu tamtej konferencji w Quantico.

– U mnie w porządku, szefie. Dziękuję, że pan pyta.

– Przygotowałaś wtedy dobrą prezentację, która na pewno dała niektórym wapniakom do myślenia. Dzwonię do ciebie w sprawie Fallon. Muszę ci coś powiedzieć nieoficjalnie.

– Oczywiście.

– Za chwilę skontaktuje się z tobą człowiek, który poda ci hasło złożone z dwóch słów. Tole Mac. Czyli Tango, Oscar, Lima, Echo, Mike, Alpha, Charlie.

– Rozumiem.

– To dobrze. Bo potem ów człowiek przekaze ci pewną wiadomość i, uwierz mi, będziesz skłonna mu zaufać. To najlepsze z możliwych źródeł. Żadna z informacji, które otrzymaliśmy od niego, nigdy nie okazała się chybiona. Ani jedna, Sandro.

Donovan zauważa, że dyrektor wyraźnie akcentuje ostatnie słowa.

– Ta informacja pochodzi z naszej strony czy z tej drugiej?

W głosie dyrektora słychać ton rozbawienia.

– Z naszej strony. Jak najbardziej naszej. Powiedziałem mu, że jesteś godna zaufania i może współpracować z tobą bezpośrednio. Nie zawieź mnie.

– Nie zawiodę, szefie.

Lansley kończy rozmowę. Sandra odkłada słuchawkę i zastanawia się, co takiego ktoś spoza jej wydziału i spoza zespołu Boba Beama może jej powiedzieć o porwaniu córek Mitzi Fallon.

Nie musi długo czekać na odpowiedź.

– Dzwoni jakiś mężczyzna. – Z interkomu dobiega głos sekretarki. – Mówi, że dyrektor Lansley rozmawiał z tobą w jego sprawie i spodziewasz się telefonu od niego.

– Przełącz go do mnie, Sylvio – mówi Donovan z podnieceniem w głosie.
– Przełącz go.

Kiedy helikopter zatacza krąg nad Cardigan, sir Owain rozmyśla o tym, jak przed wiekami przewijały się przez to miasto setki statków i tysiące żeglarzy. Znajdował się tu kiedyś prężny ośrodek przemysłu szkutniczego, kwitł handel wełną, a miejscowa społeczność żyła w dostatku. Jednak czasy te minęły bezpowrotnie. Kiedy koryto rzeki uległo zamuleni, duże statki przestały tu docierać i nastąpił zastój gospodarczy. Obecnie jest to małe miasteczko, którego populacja nie przekracza pięciu tysięcy. Turystów przyciąga tu bogactwo zabytków. Odwiedzają pochodzący z jedenastego wieku zamek, dwunastowieczny kościół, w którym znajduje się narodowa relikwia walijskich katolików, figura Maryi Panny zwana Matką Bożą z Cardigan.

Figura ta jest centralnym punktem wizyty nowego papieża, pierwszej papieskiej wizyty w Walii od ponad trzydziestu lat. Obiektem narodowego kultu. I pierwszym przystankiem na drodze Owaina.

Ciężkie deszczowe chmury zasnuwają poranne niebo, a powietrze jest przejmująco chłodne, kiedy ambasador wsiada do limuzyny, która wiezie go przez miasto. Obok niego siedzi Carrie Auckland, była agentka MI5, która od pięciu lat dowodzi oddziałami zakonu zajmującymi się ochroną VIP-ów w Europie. Wysportowana czterdziestodwulatka jest ubrana w czarną obcisłą kurtkę, wojskowe spodnie i trampki.

– Każdego dnia co godzinę sprawdzamy wszystkie kosze na śmieci, studzienki odpływowe, skrzynki pocztowe i wysoko położone punkty przy trasie przejazdu papieża – relacjonuje agentka, starając się zapewnić swojego szefa, że wszystko będzie w porządku. – Żaden dom, mieszkanie, sklep czy garaż nie uszły naszej uwagi. Nie ma możliwości, żeby doszło do zamachu.

– Taka możliwość zawsze istnieje. Dlatego tu jestem.

– Mam nadzieję, że to zbędna fatyga.

– Ja też. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, że moja wizyta jest przejawem braku zaufania. O ile mi wiadomo, jesteś najlepsza w branży.

– Dziękuję.

– Jestem tutaj, ponieważ zespół analityków twierdzi, że dojdzie do zamachu na życie Ojca Świętego, więc przyda się każda dodatkowa para rąk.

– Jak dotąd analitycy się mylili. – Carrie wręcza ambasadorowi skoroszyt z plikiem kartek.

– Wiele razy. I mam nadzieję, że dzisiaj również.

– Pierwszy z dokumentów to program wizyty – wyjaśnia agentka. – Drugi to lista osób, które mają spotkać się z papieżem albo będą przebywać w jego pobliżu. Rozmawiałam z watykańską ochroną i potwierdziłam, że cały czas będziemy nie dalej niż kilka metrów od niego. Pod spodem jest profil operacyjny papieża i jego zwyczaje w podróży. Czwarty dokument to analiza...

– Za dużo tego, Carrie – przerywa jej Owain. – Streść mi tylko najważniejsze punkty.

– Jasne. Zatem to pierwsza wizyta papieska w Walii od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Papież odwiedzi Cardigan, Swansea i Cardiff, a wieczorem uda się do Londynu. Rano odprawi mszę w katedrze westminsterskiej i odleci do Belgii, by pobłogosławić świeżo odnowiony *Ołtarz Gandawski*.

– O Gandawie porozmawiamy później. Teraz skupmy się na Cardigan.

– Miasto jest łatwe do obstawienia. Myślę, że nasi ludzie, watykańska ochrona i lokalne siły porządkowe tworzą szczelny kordon. Kościół pochodzi z dwunastego wieku, ale został rozbudowany i odnowiony, a figura stoi w specjalnie przygotowanym miejscu. – Carrie wskazuje na skoroszyt. – Wszystkie plany są tutaj. To obiekt trudny do zabezpieczenia, więc musimy być szczególnie czujni.

– W porządku. Wygląda na to, że jesteś dobrze przygotowana. – Owain odpręży się trochę. – Z punktu widzenia bezpieczeństwa czego obawiasz się najbardziej?

Carrie Auckland uśmiecha się.

– Niespodzianek. A życie już takie jest, że zawsze wydarzy się coś niespodziewanego.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Sandra Donovan kładzie na biurku dwie fotografie. Jedna z nich przedstawia mężczyznę, a druga kobietę.

– Co to za ludzie? – pyta Bob Beam, biorąc zdjęcia do ręki.

– Właśnie mi to przesłano z niewykrywalnego serwera.

Na twarzy Beama pojawia się uśmiech.

– Nie ma rzeczy niewykrywalnych.

– Czyżby? Porozmawiaj z technikami. Właśnie powiedziałam im to samo i roześmiali mi się prosto w twarz. Zanudzą cię na śmierć wyjaśnieniami, jak te pliki graficzne przeleciały przez wszystkie serwery w Azji, zanim trafiły tutaj.

– Kto to jest?

– Gerry i Susan Stanhope'owie. Paul i Sharron Glassowie. Steve i Sarah Doplerowie. Albo bardziej swojsko, Chris i Tess Wilkinsowie. Według zaufanego informatora to oni stoją za porwaniem córek Fallon.

Bob Beam przygląda się okrągłej twarzy mężczyzny i delikatnym policzkom jasnowłosej kobiety.

– Natrafiłiśmy na to samo nazwisko, kiedy sprawdzaliśmy wynajęte samochody. Co to za informator?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę. To kontakt Lansleya.

Beam unosi brwi.

– Masz coś jeszcze prócz tych zdjęć?

Donovan opiera dłonie na biurku.

– Prawdopodobnie jakaś doborowa grupa byłych żołnierzy już poluje na tych Wilkinsów.

– Najemnicy?

– Nie mam pojęcia, kto ich opłaca i nimi dowodzi. Wiem tylko, że zdaniem Lansleya możemy im zaufać. Ten informator przesłał mi listę

wszystkich miejsc, które oni sprawdzają.

Beam wzrusza ramionami.

– A co ja mam robić?

Donovan podsuwa mu kartkę papieru.

– To są punkty, do których, jak powiedział, nie zdążą dotrzeć w ciągu najbliższej godziny. Może rzuciłbyś tam swoich ludzi w pierwszej kolejności?

– Tak całkiem oficjalnie, nie lubię działać na podstawie informacji, których pochodzenia nie znam.

– Przyjęłam.

– Osiem miejsc – mówi Beam, spoglądając na wydruk. – Imponujące.

– To wynik lepszy od naszego, Bob.

Beam odsuwa krzesło, wstaje i rusza do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymuje się i odwraca się w stronę Donovan, wymachując trzymaną w dłoni kartką.

– To się źle skończy. Pamiętaj, że ostrzegałem.

– Postaraj się, żeby tak nie było i... – mówi Donovan w momencie, gdy jej kolega wychodzi, z hukiem zatrzasnąjąc za sobą drzwi – ...nie trzaskaj drzwiami.

STOCKTON, KALIFORNIA

Przejechanie odcinka długości stu ośmiu kilometrów zajmuje Chrisowi godzinę i czterdzieści minut.

Kierując się na zachód, dociera do Danville. Tam skręca na południe w stronę Dublina, gdzie odbija na wschód i kilka kilometrów za Tracy skręca na północ w kierunku Stockton.

Gdy od szpitala dzieli go już tylko półtora kilometra, zjeżdża z autostrady i zatrzymuje się w pobliżu chińskiego cmentarza. Opiera rękę na oparciu siedzenia pasażera, odwraca się i patrzy do tyłu, gdzie leży związana i przykryta kocem Amber. W ciągu ostatnich trzech godzin dziewczynka nie dostała żadnych środków przeciwbólowych ani uspokajających, ponieważ Chrisowi zależy, żeby była przytomna, kiedy wejdzie do izby przyjęć. Brak leków oznacza, że Amber jest obolała i przez całą drogę jęczy tak przeraźliwie, że Chris ma ochotę ją zadźgać.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Za chwilę zawiozę cię do szpitala. Pamiętaj, każ im od razu zadzwonić na komórkę twojej matki. Nie po zabiegu. Od razu.

Chris nie uruchamia jeszcze silnika. Korzystając z nowego telefonu na kartę, dzwoni do Londynu.

– Za dziesięć minut mała znajdzie się w szpitalu San Joaquin w Stockton. Daj mi znać, kiedy skontaktuje się z matką, potem się stąd zmywam.

– Zrozumiałem – odpowiada Marchetti.

– Mam nadzieję. I nie zapomnij, że dodatkowe ryzyko pociąga za sobą dodatkowe koszty.

– O pieniądze się nie martw.

Chris przerywa połączenie i wybiera numer Tess.

– Jestem na miejscu i zaraz wchodzę.

– Powodzenia, skarbie. Kocham cię.

– Też cię kocham, dziubeczku.

Chris rozłącza się, po czym spogląda na zegarek i sprawdza pistolet. Spodziewa się, że za trzy godziny będzie siedział na pokładzie samolotu do Vegas odlatującego z lotniska w Stockton. Tak czy inaczej będzie się starał ujść z życiem, ponieważ kiedy Amber zadzwoni ze szpitala do swojej matki, Chris Wilkins wejdzie tam i ją zabije. Następnie zadzwoni do Tess, która zabije drugą dziewczynkę.

A potem obydwójce znikną. Zaszyją się tak daleko, jak gdyby nigdy nie istnieli.

SIEDZIBA TAJEMNEGO ZAKONU ARTURIANÓW, NOWY JORK

Gareth Madoc tak dawno nic nie jadł, że jego żołądek wydaje odgłosy jak zepsuta pralka. Odwija kanapkę, którą przyniosła mu sekretarka. Unosi do ust kromkę żytniego chleba ze swoim ulubionym pastrami, kiedy dzwoni telefon na jego biurku.

– Szlag by to trafił. – Odkłada kanapkę i podnosi słuchawkę. – Madoc.

– Nie bądź taki opryskliwy. To ja, Steffani.

– Polowanie się udało?

– Nawet bardzo. Jestem twoim dłużnikiem.

– Już od dawna. Nie zapominaj o tym. A teraz podziel się szczegółami.

– Musiałbyś zobaczyć minę Ibn asz-Szabiha. Niczego się nie spodziewał. Zgarnęliśmy go w prywatnym hangarze na lotnisku Kennedy’ego, kiedy wchodził do odrzutowca. Dał się podejść jak szczeniak.

– Żadnych strzałów?

– Nie. Poszło gładko. Nasi agenci właśnie go przesłuchują. Ale Musawi i Tabrizi to inna historia.

– Domyślam się, że stwarzali problemy.

– Otóż to. Tabrizi to silny chłopak. Przyskrzyniliśmy go w mieszkaniu, które obstawiali twoi ludzie, ale bronił się jak oszalały. Trzeba było rozkwasić mu gębę i połamać kilka żeber, zanim się poddał. Musawiego wyjęliśmy z taniej knajpki na dolnym Manhattanie, kiedy poszedł do toalety. Nie uwierzysz: nawet kiedy się odlewał, jedną rękę trzymał na rękojeści ukrytego pistoletu.

– To się nazywa być uzbrojonym po zęby.

– Mojemu agentowi nie było do śmiechu. Ten skurwiel postrzelił go w stopę i na dodatek oszczał.

– Nic mu nie będzie?

– Nie. Rana jest niegroźna, bardziej ucierpiał jego prestiż.

– A Malik Husajn?

– Zobaczył nas na ulicy i zaczął uciekać, ale przebiegł tylko pięćdziesiąt

metrów. Dostał takiej zadyszki, że omal nie zszedł na zawał.

– A co z Korszidim?

– Właśnie go zgarnęliśmy. Zgrywa ważniaka i oskarża nas o prześladowanie na tle religijnym. Ale spuści z tonu, kiedy pokazemy mu przemówienie Ibn asz-Szabiha, które nagrał we własnym domu.

– Kiedy już go macie, mogę ewakuować jego córkę. To ona była jednym z naszych głównych informatorów – mówi Madoc i dodaje po chwili namysłu: – Może uda się też pomóc jej matce. Mógłbyś udzielić im schronienia w jakimś bezpiecznym domu, gdyby okazało się to konieczne?

– Bez problemu. Mamy kryjówkę w Greenwich. Będzie w sam raz na parę dni.

– Dzięki. Jak się domyślam, żaden z aresztowanych nie zdradził miejsca planowanego zamachu?

Steffani wybucha śmiechem.

– Znów się nie mylisz. Zadzwoń do ciebie, jeśli któryś puści farbę, ale nie licz na wiele, kolego.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

W izbie przyjęć panuje straszny harmider.

Siostra oddziałowa Betty Lipton dwoi się i troi. Dowiedziała się właśnie, że lekarz i dwie pielęgniarki są chorzy i nie przyjdą na dyżur.

Personel musi się uporać z wszystkimi możliwymi rodzajami obrażeń. Drwał, któremu piła łańcuchowa uszkodziła kość udową. Dwa wypadki samochodowe ze skomplikowanymi złamaniami i urazami czaszki. I ojciec dwójki dzieci, który próbował odstrzelić sobie głowę z pistoletu.

– Siostro!

Betty Lipton nie zwraca uwagi na krzyk, który dobiega z drugiego końca wypełnionej po brzegi poczekalni.

– Siostro!

Pielęgniarka odrywa wzrok od monitora i zauważa grupę osób, które czemuś się przyglądają. Pewnie ktoś się przewrócił.

– Siostro!

– No dobrze! Oszczędzajcie siły, już idę!

Okrąża biurko i kieruje się w stronę, z której dobiegał krzyk. Widzi, jak ludzie odsuwają na bok plastikowe krzesła. Na końcu poczekalni ktoś zemdłał.

– Odsuńcie się na bok. Zróbcie mi trochę miejsca.

Na podłodze leży nastoletnia dziewczyna. Jest owinięta w kraciasty koc, który ktoś rozchylił. Ręce i nogi ma związane, a w jej ustach tkwi knebel.

Na kartce przyklepionej do jej piersi widnieje napis: „Nie wzywać glin”.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Sanitariusze układają Amber Fallon na wózku i w pośpiechu zawożą do jednego z boksów w sali zabiegowej. Pielęgniarki badają jej stan, podłączają kroplówki i odwijają zakrwawiony bandaż z jej ręki.

Po drugiej stronie parawanu Betty Lipton rozmawia z administratorką szpitala, Ann Lesley, i wręcza jej kartkę, którą znalazła przy rannej.

– Dziewczynka nazywa się Amber Fallon. Ma głęboką ranę palca i jest wycieńczona. Mówi, że musi natychmiast zadzwonić do matki, w przeciwnym razie ktoś zabije jej siostrę.

Lesley przygląda się kartce.

– Myślisz, że to prawda czy mamy do czynienia z klinicznym przypadkiem chorobliwego zwracania na siebie uwagi?

– Syndrom Münchhausena jest trudny do rozpoznania. Zadzwoniśmy do jej matki i przekonajmy się.

– Najpierw chcę ją zobaczyć.

Betty odchyła parawan i wpuszcza administratorkę do boksu. Amber leży oparta na poduszce i wygląda na przerażoną.

– Muszę zadzwonić do mamy – mówi nerwowo, widząc przed sobą dwie kobiety. – Ten człowiek mi kazał.

Lesley sięga po słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

– Jaki jest jej numer?

– Mam w kieszeni. – Amber nie może wyjąć kartki, bo druga pielęgniarka wciąż opatruje jej dłoń. – To nie jest jej komórka, ale ten człowiek powiedział, że mama będzie pod tym numerem.

Betty wyciąga z jej kieszeni kawałek papieru i podaje administratorce.

– O jakim człowieku mówisz? – Ann Lesley patrzy na karteczkę i wystukuje cyfry na klawiaturze.

– O tym, który nas porwał. Powiedział, że jeśli nie zadzwonię natychmiast, on zabije Jade.

– Jade to twoja siostra? – pyta administratorka, po czym naciska guzik

wybierania i przykłada słuchawkę do ucha.

– Tak – odpowiada dziewczynka płaczliwym tonem.

W słuchawce rozlega się pojedynczy sygnał i natychmiast ktoś odbiera połączenie.

– Halo?

– Mówi Ann Lesley ze szpitala San Joaquin w Stockton. Z kim rozmawiam?

– Detektyw Fallon. Jest tam moja córka?

Lesley nie kryje zaskoczenia, że matka dziewczynki jest policjantką.

– Tak, jest. Właśnie opatruje ją pielęgniarka. Pani Fallon...

– Proszę pani – przerywa jej Mitzi. – Nie mam czasu odpowiadać na pytania. Proszę mi podać numer centrali waszego szpitala, żebym mogła oddzwonić i potwierdzić, że mówi pani prawdę. Proszę nie zwlekać, bo od tego zależy życie wielu osób.

– Nasz numer to cztery, sześć, osiem, cztery, siedem, sto. Jeżeli jest pani w innym mieście, kierunkowy to dwieście dziewięć. Proszę powiedzieć w recepcji, żeby przełączono panią do izby przyjęć.

– Jak ona się czuje?

– W porządku. Jest już bezpieczna.

Mitzi jest bliska płaczu.

– Dziękuję.

Administratorka odwiesza słuchawkę, odsuwa parawan i woła w stronę recepcji:

– Połącz się z centralą i powiedz, że zaraz ktoś będzie do mnie dzwonił. To pilne i mają natychmiast przełączyć do izby przyjęć.

Podczas gdy pielęgniarka dzwoni do operatora centrali, Lesley rozgląda się po poczekalni, w której roi się od pacjentów. W tej chwili najchętniej usunęłaby gdzieś wszystkich tych ludzi.

Wraca do boksu i przygląda się rannej, która spoczywa na leżance. Biedna dziewczyna dygoce ze strachu, a sądząc po bladej skórze, straciła też trochę krwi.

Lesley wyjmuję chusteczkę z pudełka i wyciera łzy, które wzbierają w kącikach zaczerwienionych oczu Amber.

Rozlega się dzwonek wiszący na ścianie aparatu i spojrzenia wszystkich kierują się w jego stronę. Administratorka podnosi słuchawkę.

– Halo.

– Mówi Mitzi Fallon. Moja córka wciąż tam jest?

– Tak, proszę pani.

– To, na litość boską, zabierzcie ją w jakieś bezpieczne miejsce i wezwijcie...

W słuchawce nagle zapada cisza.

Amber podnosi wzrok na administratorkę.

– Co mama powiedziała?

Lesley gładzi dziewczynkę po policzku.

– Powiedziała, żebyś się nie martwiła. Że wszystko będzie dobrze.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

– Amber Fallon właśnie trafiła do izby przyjęć szpitala San Joaquin w Stockton.

Szef Sekcji do spraw Porwań i Uwalniania Zakładników podnosi wzrok znad biurka i patrzy na Sandrę Donovan.

– Znów twoje źródło?

– Źródło Lansleya – poprawia go Sandra.

Instynkt podpowiada Beamowi, żeby zweryfikować tę informację. Zawsze sprawdzać informacje, zanim wykona jakikolwiek ruch. Podnosi słuchawkę telefonu.

– Połącz mnie z administratorem szpitala San Joaquin w Stockton. Zaczekam na linii.

Donovan wzdycha, nie kryjąc frustracji.

– Musisz tam wysłać ludzi, Bob. I to szybko.

Beam zasłania słuchawkę dłonią.

– Muszę mieć pewność, Sandro. Przez cięcia budżetowe mamy za mało ludzi i każdy, kto tam pojedzie, będzie musiał porzucić inne obowiązki.

– Łączę – mówi sekretarka i na linii odzywa się jakiś kobiecy głos. – Ann Lesley z tej strony. Z kim rozmawiam?

– Mówi agent specjalny Robert Beam z FBI w San Francisco. Czy może pani potwierdzić, że przyjęliście do szpitala dziewczynkę, która nazywa się Amber Fallon?

W słuchawce na moment zapada cisza.

– Agencje Beam, proszę mi podać numer, pod który będę mogła oddzwonić, aby sprawdzić, że jest pan tym, za kogo się podaje.

– Rany boskie, proszę pani, nie mam czasu na takie...

– Pański numer poproszę.

– Pięc, pięć, trzy, siedem, cztery, sto. I proszę się pospieszyć. – Beam z trzaskiem odkłada słuchawkę i spogląda na Donovan. – Chce mieć pewność, z kim rozmawia.

– Sprawdzanie może być takie wkurzające, co?

Z twarzą poczerwieniałą z gniewu Donovan wyciąga komórkę i wybiera numer.

– Eleonora? Tu Sandra. Jedź do szpitala San Joaquin w Stockton. Na sygnale. Amber Fallon jest w ambulatorium.

Bob Beam ma zamiar zaprotestować, ale dzwoni jego telefon.

– Halo.

– Agent Beam?

– Tak.

– Mówi Ann Lesley. Amber Fallon jest w naszym szpitalu. Właśnie stoję koło niej. Jest bardzo wystraszona i...

– Przyślemy tam kilku agentów, proszę pani.

– Dziewczynka została podrzucona do poczekalni i miała przy sobie kartkę z żądaniem, aby nie wzywać policji. Twierdzi, że jej siostra jest w wielkim niebezpieczeństwie.

– Wiemy o tym. Dziękuję pani za pomoc. – Beam zerka na leżące przed nim fotografie. – Proszę mi powiedzieć, czy był z nią mężczyzna, czy kobieta? Rosły mężczyzna o okrągłej twarzy i ciemnych włosach, czy kobieta, prawdopodobnie blondynka, o całkiem ładnych rysach?

– Nie, proszę pana. Była zupełnie sama. Ktoś ją przywiózł i zostawił.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Nie w tej chwili. Dostała środek uspokajający i musimy ją zabrać na prześwietlenie.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie gotowa. – Beam odkłada słuchawkę i kieruje wzrok w stronę Donovan.

Ale Sandry Donovan nie ma już w jego gabinecie.

– Kurwa mać! – krzyczy, uderzając pięścią w blat.

LONDYN

Marchetti wytrąca Mitzi telefon z ręki.

W jego oczach błyszczy szaleństwo. Mitzi nieraz już to widziała. Tak wyglądali mordercy i gwałciciele, których ściagała. A czasem również jej były mąż.

Marchetti chwyta ją za gardło i mocno zaciska palce.

– Uwolniłem jedną dziewczynkę. Taka była umowa. – Podsuwa jej pod nos smartfon, który trzyma w drugiej ręce. – Chcesz zobaczyć, jak druga umiera posiekana na kawałki, czy oddasz ten pieprzony pendrive?

Marchetti rozluźnia uścisk i kiedy Mitzi charczy próbując złapać oddech, chwyta ją za włosy i podnosi jej głowę.

– Gdzie to jest?

– Na Dean Street.

– Dokładniej.

– Zapakowałam go w foliową torebkę i zawiesiłam na żyłce w studziencie odpływowej przed hotelem, w którym się zatrzymałam.

Marchetti unosi pięść i bierze zamach, by dać jej nauczkę, ale nagle oślepia go potężny błysk. Apartament wypełniają kłęby dymu.

Ciemnowłosa kobieta krzyczy przerażona.

Rozlega się huk wystrzałów. Pojedyncze strzały pistoletów i ostry warkot broni maszynowej. W ciemnej gryzącej mgłę migotają żółte jęzory płomieni wylotowych.

Potem zapada cisza.

LONDYN

George Dalton obserwuje działania grupy operacyjnej na monitorze laptopa.

Dowódca grupy wraz z drugim komandosem zjeżdżają z dachu i wpadają do apartamentu przez okno. W tym samym momencie czterej pozostali wysadzają drzwi wejściowe i wdzierają się do środka, by udzielić im wsparcia.

Gdy kończy się strzelanina, Dalton przełącza obraz na transmisję z kamery noktowizyjnej umieszczonej na hełmie dowódcy oddziału. Ekran zalewa zielona poświata, kiedy były komandos piechoty morskiej stąpa po podłodze usłanej potłuczonym szkłem, kawałkami rozłupanego drewna i trupami.

Na pierwsze ciało natrafia tuż przy drzwiach i jest to jeden z goryli Marchettiego. Spoczywa w typowej dla martwego człowieka bezładnej pozycji, a w jego zwiotczonych palcach tkwi glock. Obok niego leżą zwłoki szczupłej młodej kobiety, jej klatka piersiowa i część twarzy są pokiereszowane serią z MP5.

Pod ścianą w głębi korytarza widać ciało drugiego z goryli. Mężczyzna ma rozrzucone nogi i opiera się plecami o framugę. Dalton domyśla się, że został zastrzelony, kiedy wybiegał z sąsiedniego pokoju.

Kamera obejmuje wnętrze zasnutego dymem salonu. Dwaj komandosi klęczą nad Angelo Marchettim.

– Baza do Pierwszego. Czy on żyje?

– Tu Pierwszy. Nie, cel nie żyje.

– Kurwa. – Dalton przypomina sobie prośbę Owaina, który chciał „uciąć sobie miłą pogawędkę ze starym przyjacielem”. – A Fallon?

Dowódca oddziału obraca głowę i w polu widzenia kamery pojawia się Mitzi. Amerykanka leży na plecach, przywiązana do przewróconego krzesła, a jej ugięte kolana mierzą w sufit. Dalton słyszy jej głos.

– W samą, kurwa, porę. Uwolnijcie mnie z tego jebanego krzesła

i dajcie mi jakiś telefon albo, jak mi Bóg miły, zrobię tu jeszcze większy rozpiardol niż wy.

SAN RAMON, KALIFORNIA

Eleonora Fracci myśli o Mitzi, kiedy dociska gaz do podłogi i pali gumy, wyjeżdżając z San Ramon. Przypomina sobie chwilę, w której się poznały, i Mitzi pokazała nowym współpracownikom oprawione w ramkę zdjęcie bliźniaczek z Disneylandu. Eleonora nigdy wcześniej nie widziała, by ktoś z taką dumą prezentował fotografię swoich dzieci. Teraz najbardziej ze wszystkiego pragnie zobaczyć na biurku koleżanki kolejne takie zdjęcie – na którym Mitzi i dziewczynki stoją obok Myszki Mickey. Choćby miała osobiście jechać z nimi do Disneylandu, żeby im je zrobić.

Trzymając kierownicę jedną ręką, Włoszka wstukuje palcem adres szpitala do GPS-u przyczepionego do przedniej szyby. Na wyświetlaczu pojawia się informacja, że do celu pozostało jej osiemdziesiąt kilometrów i dotrze tam za pięćdziesiąt minut.

– Idiota – mruczy pod nosem Eleonora.

Jest pewna, że wystarczy jej pół godziny. Jej stary chrysler z sześciobiegową skrzynią ma pod lśniącą czerwoną maską trzylitrowy sześciocylindrowy silnik z turbodoładowaniem, a ogranicznik prędkości został usunięty.

Wjeżdżając na drogę międzystanową I-680 pędzi z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. San Ramon Central Park, Bishop Ranch, Atman Downs i Dublin Hills zostają daleko w tyle.

Potem na drodze robi się ciasno.

Na przedmieściach Dublina trzypasmowa autostrada zamienia się w wielki parking. Kierowcy naciskają klaksony. Lokalne radio informuje o korku na skrzyżowaniu z drogą numer 580. Tą, która prowadzi do Stockton.

Eleonora włącza syrenę i światła. Samochody stoją ciasno, błotnik przy błotniku. Mija dziesięć minut, zanim udaje się jej wydostać na Dublin Boulevard. Jedzie dalej drogą równoległą do zablokowanej autostrady, ale znów widzi przed sobą kolejny zator. Najwyraźniej inni wpadli na ten sam

pomysł. Ponownie włącza syrenę. Nawigacja satelitarna informuje ją, że dojeżdża do końca Dublin Boulevard i za niecałe półtora kilometra powinna znaleźć się na autostradzie.

Eleonora sięga po telefon i wybiera numer Donovan.

– Utknęłam w korku. Jest naprawdę kiepsko.

– Co znaczy „naprawdę kiepsko”?

Włoszka rozgląda się dookoła i jej twarz wykrzywia grymas niezadowolenia.

– Nie dojadę tam wcześniej niż za pół godziny. Zanim się przedrę, lepiej ściągnij do szpitala lokalną policję.

Donovan nie odpowiada, lecz Eleonora jest pewna, że słyszy, jak jej szefowa przeklina i z trzaskiem odkłada słuchawkę.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Chris Wilkins odlicza sekundy.

Instrukcja, którą otrzymał od Marchettiego, była jednoznaczna. Dostarczyć Amber do szpitala i czekać. Jeżeli w ciągu pół godziny nikt nie zadzwoni od Marchettiego, zabić dziewczynkę i zawiadomić Tess, by zrobiła to samo z jej siostrą.

Nie chodzi o to, że Chris ma opory. Zawsze bierze takie rzeczy pod uwagę. Nie wyobraża sobie jednak, jak miałby to zrobić w publicznym szpitalu w Stockton.

Kupuje sobie kawę z automatu na korytarzu i spogląda na zegarek.

Dwie minuty.

Jeżeli w ciągu stu dwudziestu sekund jego telefon nie zadzwoni, wróci do izby przyjęć, znajdzie dziewczynkę i wpakuje jej kulę w głowę. Porzucił wynajętego sedana, licząc się z ewentualnością, że policja zdążyła już wpaść na jego trop, a potem włamał się do samochodu stojącego na parkingu dla personelu i przygotował kable do odpalenia na krótko.

Sześćdziesiąt sekund.

Kawa smakuje jak szczyny. Wyrzuca kubek do kosza na śmieci i udaje się do łazienki. Wchodzi do kabiny, załatwia się i zdejmuje dwustronną kurtkę lotniczą. Wywraca ją na lewą stronę i kurtka z czarnej zamienia się w czerwoną – wygląda teraz zupełnie inaczej.

Cyfrowy zegarek na jego nadgarstku wydaje piskliwy sygnał.

Czas minął.

Chris sprawdza broń i wychodzi z kabiny. Prócz niego w toalecie nie ma nikogo. Wyciąga telefon i dzwoni do Tess.

– To ja.

– Cześć.

– Nie zadzwonił. Zrób to.

Kobieta waha się przez chwilę.

– Dobrze – odpowiada w końcu.

W lustrze nad umywalką odbija się twarz zatwardziałego mordercy. Człowieka, który odebrał życie wielu ludziom. Ale nigdy nie zabił dziecka.

Chris mówi sobie w myślach, że zawsze musi być ten pierwszy raz, i rusza do drzwi.

KALIFORNIA

Tess Wilkins przygląda się związanej dziewczynie, z twarzą zasłoniętą kapturem, która leży na sofie w przeciwległym kącie salonu.

Wie, co musi zrobić, i zdaje sobie sprawę, co ryzykuje, jeżeli się przed tym cofnie. Martwy zakładnik nie składa zeznań. Ocalały zakładnik jest źródłem problemów.

Idzie do lichej sypialni i zbiera rzeczy, które ona i Chris przynieśli tu ze sobą. Wpycha ubrania do plecaka, a potem wchodzi do łazienki. Szczoteczki do zębów, pasta, mydło, farba i lakier do włosów oraz przybory do golenia również ładują w plecaku.

W kuchni wysypuje na podłogę zawartość kosza na śmieci. Nie ma tego wiele, zaledwie kilka opakowań po żywności i zużyte serwetki. Jednak pod mikroskopem można by na nich znaleźć wystarczająco dużo śladów DNA, by posłać ją i jej ukochanego za kratki. Tess rozrzuca wszystko po podłodze, a potem przynosi dwudziestolitrowy kanister, który Chris zostawił przy wejściu. Otwiera go, unosi jak najwyżej i rozlewa dookoła jego zawartość.

Spryskuje obficie benzyną kuchnię, sypialnie i łazienkę, a potem zatrzymuje się przed wejściem do salonu. Wszystko ma swoją kolejność, a ona nie chce niczego spaprać.

Odstawia kanister, bierze plecak i idzie z nim do kampera. Rzuca go do przedziału mieszkalnego, po czym siada za kierownicą, wkłada kluczyk do stacyjki i zastyga w bezruchu, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyła.

Nic takiego nie przychodzi jej do głowy.

Zamierza wrócić do salonu, owinąć pistolet poduszką i strzelić dziewczynce w głowę. Potem opróżni kanister do końca, zapali zapałkę i puści z dymem tę budę, żeby usunąć wszelkie ślady. Dom będzie płonął, a ona odjedzie. Będzie na lotnisku, zanim pożar zdąży dogasnąć. Przy odrobinie szczęścia, kiedy na miejscu zaczną roić się od glin, Tess będzie

w Los Angeles czekała z drinkiem na Chrisa.

Jedyne, co musi zrobić teraz, to wrócić i pociągnąć za spust.

SIEDZIBA FBI, SAN FRANCISCO

Sandra Donovan nie ma innego wyjścia, jak zadzwonić do komendanta policji w Stockton. Najchętniej dowiedziałaaby się, który radiowóz znajduje się w pobliżu szpitala San Joaquin, i kazała załodze niezwłocznie się tam udać. Musi jednak przestrzegać hierarchii dowodzenia i stosować się do procedur.

Komendant zapewnia ją, że całkowicie zdaje sobie sprawę, jak pilne jest, by w szpitalu znalazł się patrol policji, zanim dotrą tam jej agenci. Kiedy kończy rozmowę z Donovan, od razu uczula na tę kwestię swojego zastępcę, a ten nadaje bieg sprawie.

Zastępca komendanta dzwoni do oficera dyżurnego, który z kolei powiadamia dwóch szefów służby operacyjnej. I tak oto, piętnaście minut po zgłoszeniu, z komendy policji przy East Weber Avenue wyjeżdża w końcu radiowóz. W środku siedzą starzy i doświadczeni funkcjonariusze, Darren Ratcliffe i Tony Emery.

Kiedy wyjeżdżają na drogę szybkiego ruchu, od szpitala dzieli ich piętnaście minut jazdy, a nawet dziesięć, gdyby Emery porządnie docisnął gaz, jak ma to w zwyczaju. Ale ponieważ dzień wcześniej dostał reprimendę za zbyt szybką jazdę, nie zamierza być tak głupi i znów się narażać.

LONDYN

Dwóch komandosów wynosi Mitzi z apartamentowca, przed którym czeka już prywatny ambulans.

Dalton siada obok niej i dzwoni po ekipę porządkową, która ma za zadanie przywrócić apartament do takiego stanu, w jakim znajdował się przed strzelaniną. Po skończonej rozmowie pochyla się nad Mitzi.

– Może to głupie pytanie, ale jak się pani czuje?

– Jak gówno w betoniarce – odpowiada Amerykanka i zastanawia się przez chwilę nad swoimi słowami. – Wróc. Nigdy więcej nie chcę słyszeć o gównie.

– Jedziemy do szpitala w pobliżu Temple. Lekarze już czekają, żeby panią zbadać.

– Mniejsza o to. Chcę tylko porozmawiać z moimi córkami. – Mitzi próbuje usiąść, ale opada z powrotem na nosze, krzywiąc się z bólu.

– Proszę się nie martwić. Powiadomiłem FBI i ich agenci są już w drodze do Stockton, skąd dzwoniła Amber.

– Znaleźliście Jade?

– Jeszcze nie. Nadal nie wiemy, gdzie przebywa. I pani koledzy również. Ale wspólnie staramy się to ustalić.

Mitzi podupada na duchu. Właśnie po to tu przyjechała i oddała się w ręce tych przeklętych porywaczy, aby zyskać czas niezbędny do uwolnienia obydwu dziewczynek. Podnosi wzrok na Daltona.

– Ma pan telefon?

Konsul podaje jej swoją komórkę.

– Proszę zadzwonić do tego szpitala. Muszę porozmawiać z Amber.

Dalton łączy się z recepcją, zostaje przekierowany do izby przyjęć, a potem rozmawia z administratorką, która przekazuje słuchawkę dziewczynce.

– Kochanie, to ty? Nic ci nie jest?

– Tak sądzę – odpowiada nastolatka, która siedzi obok Betty Lipton

i czeka na lekarza. – Czuję w ręce taki dziwny ból, jakby moje palce zostały ściśnięte w imadle.

Mitzi czuje bolesne ukłucie w piersi.

– Bądź dzielna, kochanie. Dali ci coś przeciwbólowego.

– Tak. Są dla mnie naprawdę mili. Mamo... – Przez chwilę na linii panuje niezręczne milczenie. – Mamo, przepraszam cię za to, co się stało. Rzucili się na nas tak szybko, że nie zdążyłam ostrzec Jade ani...

– Kochanie, nie masz za co przepraszać. Jesteś teraz bezpieczna i tylko to się liczy. Jestem jeszcze w Londynie, ale niedługo wsiadam do samolotu i jutro będę przy tobie – mówi Mitzi i spogląda na Daltona, szukając potwierdzenia. Konsul w milczeniu kiwa głową. – Tak bardzo cię kocham, skarbie. Kocham cię i wracam do domu, żeby się tobą zaopiekować.

– Też cię kocham, mamo – odpowiada dziewczynka, nie mogąc powstrzymać łez. Łez ulgi i wzruszenia.

– Nie płacz, kochanie. Trzymaj się dzielnie. Odpocznij sobie i rób wszystko, co każą ci lekarze. Słyszysz mnie?

– Tak, tak, słyszę. – Amber wydmuchuje nos w chusteczkę, którą podała jej pielęgniarka. – Mamo, a co z Jade?

– Ona też wkrótce będzie bezpieczna – odpowiada Mitzi i znów spogląda na Daltona, który tym razem jednak nie przytakuje. – Przecież wiesz, że my, dziewczyny, zawsze wygrywamy.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Chris Wilkins zauważa wolne krzesło w poczekalni izby przyjęć. Trzeci rząd od tyłu, czwarte miejsce od strony przejścia. Idealny punkt, w którym może się przyczaić i obserwować rozwój sytuacji.

Słyszy, jak pielęgniarka wywołuje ludzi po nazwisku. Pacjenci kuśtykają do zasłoniętych parawanami boksów, gdzie pochylają się nad nimi utrudzeni lekarze. Bardziej poszkodowanych, którzy nie mogą iść o własnych siłach, sanitariusze pchają na wózkach ze sterzącymi wysoko statywami kroplówek. Wszystko to powtarza się regularnie co kilka minut.

Chris rozgląda się i nasłuchuje. W końcu ją zauważa. Pielęgniarka prowadzi Amber w głąb korytarza, obejmując ją ramieniem, a po drugiej stronie idzie jakaś kobieta w kostiumie.

Wilkins odkłada gazetę, której nie czytał, i rusza za nimi. Mija wiszące pod sufitem tablice informacyjne, które wskazują drogę na różne oddziały. Trzyma się w bezpiecznej odległości, by nie zwracać na siebie uwagi. W połowie korytarza cała trójka skręca w przeszklone drzwi oznaczone tablicą „Rentgen”.

Idąc powoli, Wilkins mija wejście, po czym zatrzymuje się tuż obok i zagląda do środka. Hol jest pełen ludzi oczekujących na prześwietlenie. Kobieta w kostiumie zamienia kilka słów z recepcjonistką, która każe im od razu wejść do gabinetu.

Wilkins rozgląda się po korytarzu, analizując możliwości odwrotu. Może wydostać się na zewnątrz tą samą drogą, którą wszedł, albo drzwiami z napisem „Wyjście awaryjne”. Jak zdążył zorientować się wcześniej, wyjściem awaryjnym dostanie się prosto na parking dla personelu, gdzie czeka przygotowany samochód.

Wchodzi do poczekalni ze spuszczoną głową i odwracając twarz od pielęgniarki siedzącej za biurkiem, mija recepcję. Kiedy zbliża się do zamkniętych drzwi gabinetu, słyszy za plecami wołanie.

– Proszę pana, tam nie można wchodzić.

Chris naciska klamkę i zagląda do środka. Widzi dwie kobiety, które obracają głowy i patrzą na niego. Omiata wzrokiem całe pomieszczenie, ale nigdzie nie zauważa Amber. Jedna z kobiet, pielęgniarka, podchodzi do niego.

– Musi pan poczekać na zewnątrz – mówi i kładzie dłoń na jego ramieniu, próbując go wyprosić.

Chris odsuwa jej rękę.

– Gdzie jest dziewczynka? Ta, z którą pani tu weszła?

Jego pytanie budzi zainteresowanie kobiety w kostiumie.

– Kim pan jest?

– Jestem agentem federalnym. – Chris unosi połą kurtki, żeby pokazać im rękojeść tkwiącego za paskiem pistoletu. – Przysłano mnie tutaj, żebym ją chronił.

Na twarzach obu kobiet maluje się wyraz ulgi.

– Właśnie korzysta z łazienki – informuje go pielęgniarka i w jej oczach pojawia się błysk, kiedy patrząc ponad ramieniem Chrisa widzi, że dziewczynka wraca. – O, już idzie.

Amber dostrzega spojrzenie pielęgniarki. Potem jej wzrok pada na stojącego obok niej mężczyznę. Rozpoznaje go od razu. Mężczyzna zaczyna obracać się w jej stronę.

Dziewczynka chwyta wózek inwalidzki, który stoi przy drzwiach, i z całej siły popycha go w kierunku Chrisa. Solidne metalowe podnóżki uderzają go w piszczele. Chris traci równowagę i upada.

– To on! – krzyczy Amber. – To on mnie porwał!

Dziewczynka rzuca się do ucieczki. Kilkoma susami dopada drzwi i wybiega do poczekalni.

Wilkins ani na chwilę nie traci jej z oczu. Dźwiga się z podłogi i rusza w pogoń. Strzela w pierś siostrze oddziałowej, która usiłuje zagrozić drzwi, i przeskakuje nad jej ciałem. Jego prawą kostkę przeszywa dotkliwy ból. W poczekalni przepychają się wystraszeni pacjenci.

– Z drogi! Wypierdalać! – krzyczy, unosząc pistolet, i wszyscy rozpierzchają się na boki.

Utykając, wybiega na korytarz i widzi Amber, która ucieka, przeciskając się przez tłum ludzi. Wilkins dwukrotnie strzela do góry i pociski odłupują kawałki sufitu. Z wyjątkiem dziewczynki wszyscy rzucają się na podłogę. Za jego plecami rozlega się przenikliwy dzwonek alarmu. Chris nie zwraca na to uwagi i stara się dobrze złożyć do strzału. Amber jest dwadzieścia metrów od niego i biegnie zygzakiem. Sprytny dzieciak.

Ale nie na tyle, by go przechytrzyć. Wilkins naciska spust.

Korytarz wypełnia huk kolejnego wystrzału, a dziewczynka rozpościera ręce i upada.

Od strony ambulatorium dobiega odgłos drugiego alarmu. Coraz więcej ludzi wylega na korytarz. Nadchodzą ze wszystkich stron. Chris Wilkins wie, że musi natychmiast wydostać się na zewnątrz. Musi jak najszybciej znaleźć się na parkingu, gdzie czeka przygotowany do ucieczki samochód.

Jeszcze raz naciska spust, celując w leżące ciało dziewczynki, i biegnie w kierunku wyjścia awaryjnego.

LONDYN

Najbardziej ze wszystkiego Mitzi marzy o prysznicu.

Pozwala, aby pielęgniarka zszyła jej ramię i podała szczepionkę, a potem sięga po wytworny biały szlafrok, który wisi na mosiężnym haczyku przykręconym do dębowych drzwi i każe wszystkim się wynosić.

Łazienka przylegająca do pokoju, w którym udzielono jej pomocy medycznej, jest wyposażona w kabinę prysznicową z szeroką głowicą, jakie widuje się w ekskluzywnych hotelach.

Mitzi odkręca kurek do oporu i wchodzi pod strumień ciepłej wody, przytrzymując się ręką ściany, aby się nie pośliznąć albo nie zemdleć. Kiedy już oswaja się z temperaturą, sięga po szampon i wyciska go tyle, że wystarczyłoby, aby namydlić stado owiec.

Jej twarz jest brudna i obolała. Strupy zatykają jej nozdrza. Kiedy Mitzi się myje, woda ściekająca do brodzika niemal przez minutę jest zabarwiona na czerwono. Opatrunek na ramieniu szybko przemaka. Jest zbyt obolała, aby się schylić i sięgnąć poniżej kolan lub unieść zeszywniałe nogi. W tej chwili zapłaciłaby tysiąc dolarów, żeby ktoś wyszorował jej stopy.

Szklane ściany kabiny są całkowicie zaparowane, kiedy Mitzi ostrożnie wychodzi z brodzika i owija poobijane ciało w pachnący świeżością biały szlafrok. Nie bez trudu udaje się jej osuszyć ręcznikiem włosy.

Kiedy otwiera drzwi łazienki, widzi Daltona, który czeka na nią, stojąc na środku pokoju.

– O ja pierdzielę. – Mitzi przyciska dłoń do serca. – Myślałam, że wy, Brytyjczycy, macie lepsze maniery.

Dalton zdaje sobie sprawę, że informacji, którą przynosi, nie da się przekazać w delikatny sposób.

– Pani córka, Amber, została postrzelona. W tej chwili jest na sali operacyjnej i walczy o życie.

Mitzi zdaje się nie przyjmować tego do wiadomości.

– Nie, to niemożliwe. Przecież z nią rozmawiałam. Sam pan dzwonił do tego szpitala. To jakaś...

– Człowiek, który ją porwał, wrócił do szpitala i strzelił do niej. Zabił również pielęgniarkę.

Mitzi ma nogi jak z waty. Przytrzymuje się ściany, ale uginają się pod nią kolana i upada na łóżko. Dalton podbiega do niej i próbuje ją podnieść.

Mitzi odpycha jego rękę. Klęczy na podłodze i słyszy własny głos wypowiadający słowa modlitwy do Boga, w którego istnienie zawsze wątpiła.

Konsul stoi obok. Czeka cierpliwie na moment, kiedy Amerykanka będzie gotowa, by pomóc jej wstać i wtajemniczyć w resztę bolesnych szczegółów.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Kiedy Chris Wilkins naciska poziomą metalową dźwignię biegnącą w poprzek czerwonych drzwi i otwiera wyjście awaryjne, rozlega się jazgot kolejnego dzwonka alarmowego.

Miał nadzieję, że uda mu się sprzątnąć dzieciaka po cichu. Że załatwi ją szybko w jakimś odludnym zakątku, a potem wymknie się dyskretnie, zanim ludzie zdążą dobrać się do siebie. Tymczasem ucieka przy wtórze hałaśliwych alarmów i w dodatku nie jest pewien, czy ją wykończył. Co gorsza, wychodząc, zauważył kamerę monitoringu, której nie widział, gdy wchodził.

Zdaje sobie sprawę, że jeśli w ciągu dziesięciu minut nie opuści terenu szpitala i nie znajdzie sobie dobrej kryjówki, skończy w foliowym worku na zwłoki. Idąc energicznym krokiem, dociera do narożnika budynku i skręca. Przynajmniej jego orientacja w terenie okazała się niezawodna. Parking dla personelu jest tuż przed nim. Po chwili zauważa niebieskiego fordą, do którego się włamał i który przygotował do ucieczki. Potyka się na krótkiej trawiastej skarpie i z rozpędem wpada na maskę zielonego chevroleta. Kuśtykając, obchodzi go dookoła. Silnym szarpnięciem otwiera drzwi fordą i szybko zajmuje miejsce za kierownicą. Pot zalewa mu oczy, kiedy siedzi w nagrzanym wnętrzu samochodu, obserwując otoczenie w lusterkach i przez przednią szybę.

Jak dotąd idzie bez większych przeszkód.

Ociera czoło rękawem i zwiera kable stacyjki. Silnik zaczyna pracować. Chris odczeka chwilę, aby ochłonać, i dopiero potem rusza z miejsca. W tym momencie nie może sobie pozwolić na żaden głupi błąd. Musi wyglądać jak zwyczajny kierowca. Przestrzegający przepisów. Ostrożny. Może trochę zdezorientowany całym tym hałasem i zamieszaniem.

Zapina pas bezpieczeństwa i reguluje lusterka. Z budynku wybiegają ludzie. Zaczyna się panika. Chris jest opanowany. Powoli okrąża parking

i wyjeżdża na jedną z wewnętrznych dróg szpitala. Zbliżając się do bramy wyjazdowej, widzi pędzący z naprzeciwka policyjny radiowóz na sygnale z migocącym wściekle niebieskim kogutem na dachu. Wilkins spokojnie włącza kierunkowskaz i zjeżdża na pobocze, zostawiając policjantom maksimum wolnej przestrzeni na przejazd. Kierowcy jadący z tyłu i z przodu robią to samo. Chris widzi, że udało mu się wmieszać w tłum.

Kiedy radiowóz przejeżdża, Chris włącza się do ruchu wraz z innymi samochodami i opuszcza teren szpitala przez główną bramę.

Teraz musi się zastanowić. Na najbliższe pół godziny policja utknie na miejscu, gromadząc dowody i przesłuchując świadków. Wszystko będzie się kręcić wokół tej pielęgniarce i dziewczynki. Kiedy zaczną powoli zbierać się do kupy, na nagraniu z kamery znajdą jego zdjęcie, które roześlą do wszystkich patroli na terenie hrabstwa. Wkrótce potem któryś z pracowników szpitala zgłosi kradzież samochodu, a wtedy ford stanie się bezużyteczny.

Obok niego przemyka czerwony chrysler crossfire z niebieskimi światłami migocącymi pod wlotem powietrza. Wilkins ma złe przeczucia. Lokalne gliny nie jeżdżą takimi autami.

To musieli być federalni. A to oznacza, że Chris nie może już wsiąść do samolotu, w którym Tess zarezerwowała mu miejsce. Będzie musiał skorzystać z innego lotniska albo spróbować wydostać się z kraju w jakiś inny sposób.

KALIFORNIA

Tess Wilkins zanosi kanister do kampera i wraca do budynku. Jej ręce śmierdzą benzyną, więc mydli je i szoruje nad zlewem. Potem wyciera je ręcznikiem, który rzuca na podłogę, wchodzi do salonu i zbliża się do sfatygowanej sofy. Podnosi zaplamioną poduszkę i przyciska ją do lufy pistoletu.

Pół metra od niej leży skulona Jade Fallon. Dziewczynka wciąż ma ręce związane z tyłu, zaklejone taśmą usta i worek na głowie. Leży tak nieruchomo, że Tess zastanawia się, czy zasnęła.

Albo umarła. Może się udusiła. Tess przygląda się i widzi, że pierś nastolatki unosi się i opada powoli.

Szkoda. Gdyby dziewczynka była już martwa, wystarczyłoby podpalić tę budę i odjechać. Przez ostatnie kilka minut Tess toczyła wewnętrzną walkę. Zastanawiała się nawet, czy nie darować dziewczynce życia. Tak podpowiadało jej sumienie. Ale nie instynkt przetrwania. A ona kieruje się instynktem przetrwania.

Tess Wilkins z trudem przełyka ślinę, opuszcza zasłoniętą poduszką pistolet i odwraca wzrok. Potem strzela Jade w głowę.

Huk wystrzału jest głośniejszy, niż się spodziewała. Jakby zdwojony przez echo. I odrzut niewyobrażalnie silniejszy.

Zaczyna czuć ból i uświadamia sobie, co się stało. Nie tylko strzeliła, ale też sama została postrzelona.

Klatka piersiowa i plecy płoną żywym ogniem. Tess zatacza się i widzi drobną szczupłą kobietę, która stoi w drzwiach i w wyciągniętych rękach trzyma pistolet.

Musiała posłać jej kulkę w tym samym czasie.

Tess Wilkins krztusi się krwią i upada na podłogę. W głowie świta jej ostatnia myśl. Przynajmniej sprzątnęła dzieciaka. Jeden świadek mniej przeciwko Chrisowi.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Eleonora Fracci idzie tam, skąd dobiegają krzyki. W poczekalni gabinetu rentgenowskiego widzi dwóch mundurowych, którzy usiłują zapanować nad tłumem spanikowanych pacjentów.

Eleonora pokazuje odznakę starszemu z funkcjonariuszy.

– Szukam Amber Fallon, nastoletniej dziewczynki. To córka mojej koleżanki.

Policjant kręci głową.

– Jest na stole operacyjnym.

– Co się stało?

– Jakiś facet tu wtargnął. Zabił pielęgniarkę, dogonił dziewczynę na korytarzu i wpakował jej dwie kulki, a potem uciekł wyjściem awaryjnym i znikł.

– Czy jest poważnie ranna?

Policjant wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Chyba poważnie.

Eleonora widzi kałużę krwi w przejściu do gabinetu. Kiedy podchodzi bliżej, zauważa ciało pielęgniarki. Kobieta leży na plecach. W miejscu, gdzie ktoś próbował ją ratować, widnieją na podłodze ślady rozmazanej krwi. W kierunku wyjścia prowadzą odciski zakrwawionych butów. Są niewielkie, pozostawione raczej przez kobietę. Na tyle rozsądną, by zdawała sobie sprawę, że w momencie stwierdzenia zgonu ciało należy zostawić na miejscu do dyspozycji techników policyjnych i anatomopatologa.

Eleonora przygląda się ranie postrzałowej. Znajduje się po lewej stronie piersi i wskazuje na to, że strzał został oddany z odległości nie większej niż metr. Nie każdy potrafi zabić w taki sposób. Tylko ktoś, kto robił to już wcześniej. Ktoś, kto nic nie czuje, patrząc w oczy drugiemu człowiekowi, któremu zamierza odebrać życie.

Eleonora robi znak krzyża i szeptem odmawia krótką modlitwę za

duszę martwej kobiety, a potem znów podchodzi do starszego gliniarza.

– Czy ktoś ma rysopis sprawcy?

Policjant wskazuje na zawieszoną pod sufitem kamerę.

– Przeglądamy nagrania. To cacko musiało mu zrobić wyraźny portret.

– Właśnie tego potrzebuję – mówi Eleonora. – Wyraźne zdjęcie tego skurwiela.

– Obowiązuje kolejka – odzywa się wysoki ciemnowłosey mężczyzna, który wyrasta jak spod ziemi kilka metrów od niej.

Włoszka przygląda mu się podejrzliwie.

– Nazywam się Ross Green i domyślam się, że ty jesteś agentka Fracci – dodaje brunet i wskazuje kciukiem w stronę korytarza. – Możemy porozmawiać na zewnątrz?

KALIFORNIA

Agentka Tajemnego Zakonu Arturianów, Eve Garrett, odciąga na bok zwłoki kobiety, żeby dostać się do leżącej na sofie dziewczynki.

Czarny kaptur naciągnięty na głowę Jade przesiąka krwią. Eve rozwiązuje sznurek i zdejmuje go ostrożnie, odsłaniając twarz dziewczynki.

Nastolatka jest nieprzytomna i na nic nie reaguje. Usta wciąż ma zaklejone taśmą.

Eve domyśla się, że rana znajduje się w okolicy kości skroniowej lub ciemieniowej po lewej stronie jej czaszki. Zrywa taśmę klejącą z ust dziewczynki i przykłada palce do zalanej krwią szyi, starając się wyczuć puls.

Na próżno.

Przykłada dłoń do jej ust, ale nie czuje oddechu. Nie zamierza jednak dać za wygraną. Sięga po krótkofalówkę i naciska guzik.

– Przyślijcie medyków, ale migiem.

Centrala zna jej pozycję, więc Eve nie musi tracić czasu, czekając na odpowiedź. Wyciąga z kieszeni scyzoryk i przecina grubą plastikową opaskę, którą skrupowane są nadgarstki Jade. Potem bierze na ręce bezwładne ciało dziewczynki, układa na podłodze i sprawdza drogi oddechowe, by niezwłocznie przystąpić do reanimacji.

Uciskając klatkę piersiową rannej, Eve zauważa osmaloną przestrzelinę w poduszce. Zastanawia się mimowolnie, jaką trzeba być kobietą, żeby strzelić do bezbronного dziecka. Śmierć była dla tej dzidzi zbył łagodną karą.

Ponownie sprawdza puls, ale jej palce nie wyczuwają niczego.

– No, już! – krzyczy, zaczynając kolejną serię ucisków. – Nie poddawaj się, dziewczyno!

Eve zdaje sobie sprawę, że statystyki nie są pocieszające. Reanimacja rzadko przynosi efekty w przypadku takich ran i tak obfitego krwawienia.

Ale zawsze jest szansa.

Strzał padł zaledwie parę minut temu i rana jest świeża, zatem istnieje nadzieja, że uda się uniknąć uszkodzenia mózgu i przywrócić akcję serca.

Eve czuje ból w nadgarstkach i ramionach, a pot ścieka po jej twarzy, lecz ona ani myśli się poddawać.

Wchodząc do domu, zostawiła drzwi otwarte na oścież i teraz słyszy dobiegający z zewnątrz odgłos nadlatującego helikoptera.

– Już tu lecą, kochanie – szepce Eve do dziewczynki. – Pomoc jest już blisko.

Podmuch wtłacza do wnętrza domku tumany kurzu, a huk silników wprawia drewnianą podłogę w wibracje.

Eve podnosi wzrok i widzi, że do środka wbiegają dwaj ratownicy. Jeden z nich trzyma w ręku przenośny defibrylator, a drugi butlę z tlenem i torbę ze sprzętem medycznym.

CARDIGAN, WALIA

Przewodnik psa przeszkolonego do wykrywania materiałów wybuchowych, który kontroluje wnętrze kościoła, z nabożną powagą melduje, że jego odcinek jest czysty. Prowadzący kontrolę inspektor w odpowiedzi pokazuje mu uniesiony kciuk. Drugi przewodnik wraz ze swoim psem krąży między rzędami ławek.

Owain mija ich i samotnie idzie w głąb nawy. Zdaje sobie sprawę, że każdy z uczestników uroczystości zostanie dokładnie przeszukany i nikt nie wejdzie do kościoła bez uprzedniego potwierdzenia tożsamości i dokładnego badania skanerami. Mimo to ma złe przecucia – a Myrddin uczył go, by nigdy nie lekceważyć takich przecuć.

Nabożeństwo ma być filmowane i transmitowane na żywo do stacji telewizyjnych na całym świecie, a zgromadzeni przed kościołem ludzie będą mogli je obejrzeć na telebimach, ale wyznaczono tylko trzy stanowiska dla operatorów kamer, w tym żadnego w pobliżu ołtarza. Każdy z tych punktów, jak również konsola sterująca, zostanie obstawiony przez ubranych po cywilnemu, ale uzbrojonych policjantów. Każdy z członków ekipy telewizyjnej będzie starannie kontrolowany za każdym razem, gdy zechce dostać się do kościoła.

Owain wychodzi na zewnątrz i przygląda się, jak umundurowani funkcjonariusze kierują ludzi do stref dla publiczności odgradzonych barierkami. Dwa osobne sektory przeznaczone są dla fotografów, reporterów i operatorów kamer. Trzy policyjne helikoptery zataczają kręgi nad miastem.

Carrie Auckland przechodzi przez bramkę kontrolną. Teraz ma na sobie bardziej stosowny do okazji strój – zapiętą pod szyję i sięgającą do kolan błękitną sukienkę. Zbliżając się do Owaina, przekazuje mu wiadomość z ostatniej chwili.

– Watykański helikopter właśnie wylądował i ochrona przeprowadza gościa do papamobile.

– Ile jeszcze?

– Dziesięć minut. Nie więcej.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Ross Green stoi obok samochodu Eleonory, podczas gdy ona siedząc w środku, łączy się z Donovan, aby potwierdzić, że ów człowiek faktycznie jest tym, za kogo się podaje – prywatnym detektywem z jakiejś międzynarodowej firmy, o której nigdy nie słyszała, upoważnionym do udziału w tym śledztwie przez samego dyrektora FBI.

Włoszka odkłada telefon i wzrusza ramionami.

– Moja szefowa mówi, że możesz się przydać.

– Cieszę się, że przeszedłem test – mówi agent Tajemnego Zakonu Arturianów, opierając się o chryslera Eleonory. – Sprawca to Chris Wilkins, choć używa też kilku innych fałszywych nazwisk. Ustaliliśmy, że naprawdę nazywa się Charlie Wood. Niezbyt efektowne nazwisko dla bezwzględnego zabójcy, porywacza i wszechstronnego zбира. Jego żoną jest równie odpychająca zakała rodzaju ludzkiego, niejaka Theresa Wood z domu Tobin.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Na tym polega mój zawód, żeby wiedzieć takie rzeczy. Jak już powiedziałem, jesteśmy po tej samej stronie. Moi koledzy starają się wam pomóc, a w tej chwili Wilkins ucieka. – Ross sięga do kieszeni i wyjmuje złożoną kartkę. – Ma zarezerwowane miejsce w samolocie, który odlatuje ze Stockton za godzinę, ale założę się, że z niego zrezygnuje po całym tym zamieszaniu, jakie tu wywołał. Tutejsze lotnisko jest już obstawione – dodaje, widząc, że Eleonora sięga po telefon. – Tak samo Byron, Livermore Tracy i Camp Parks. Więcej nie dałem rady. Zabrakło mi ludzi.

– I chcesz, żebym zapewniła obserwację na pozostałych lotniskach?

Ross kiwa głową.

– Mam przecucie, że będzie próbował opuścić stan jakimś małym prywatnym samolotem, a później odleci za granicę.

– Da się zrobić. Zadzwonię jeszcze raz do biura.

– Świetnie. I podaj mi numer swojej komórki, a ja ruszam w teren.

Jeżeli coś znajdę, dam ci znać.

Włoszka wyciąga wizytówkę z tylnej kieszeni dżinsów.

– Dokąd się wybierasz?

– Na południe.

– Do Meksyku?

– Yhm. Jeżeli Wilkins wybrał prostą drogę i nie zdejmuje nogi z gazu, dotarcie tam zajmie mu góra sześć godzin. Muszę to sprawdzić.

KALIFORNIA

Przelot z Mount Diablo do szpitala John Muir trwa zaledwie kilka minut.

Eve Garrett wsiada do śmigłowca wraz z Jade i towarzyszy jej, gdy ratownicy przewożą ją na blok operacyjny. Po drodze mijają pracowników kostnicy, którzy pchając wózek, idą na lądowisko, by zabrać zwłoki porywaczki.

Eve odświeża się w łazience i właśnie ma zamiar się ulotnić, kiedy młody lekarz o twarzy pokrytej kilkudniowym zarostem chwyta ją za ramię.

– Lepiej niech pani zostanie. Szeryf będzie chciał zamienić z panią kilka słów.

Agentka odpycha jego rękę.

– Łapy przy sobie!

– Przepraszam. – Mężczyzna unosi otwarte dłonie w pojednawczym geście. – Ja tylko wykonuję swoją pracę.

Eve sięga do kieszeni i wyjmuje fałszywą legitymację.

– Jestem prywatnym detektywem. W biurze szeryfa mają już mój numer – wyjaśnia i rusza w stronę wyjścia.

– Proszę zaczekać!

Kobieta odwraca się, rzucając gniewne spojrzenie.

– Czy może pani powiedzieć coś o całym zajściu? Proszę. Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc ustabilizować stan ofiary.

Eve zatrzymuje się, by przekazać całą skromną wiedzę, jaką dysponuje.

– Nie minęła jeszcze złota godzina. Byłam tam, kiedy padł strzał – mówi i w myślach gani sama siebie. – Gdybym zdążyła kilka sekund wcześniej, nic by się jej nie stało.

– Ratownicy mówią, że spisała się pani na medal – pociesza ją lekarz. – Dała jej pani szansę na przeżycie.

– Robiłam wszystko, co w mojej mocy.

Mężczyzna wyjmując długopis i otwiera notatnik.

– Jak długo prowadziła pani reanimację?

– Pięć albo sześć minut. Chociaż miałam wrażenie, że trwało to o wiele dłużej.

– Zawsze tak jest – wyjaśnia mężczyzna, notując. – Po jakim czasie dostała tlen?

– Po niecałych dziesięciu minutach. Wciąż ją masowałam, kiedy przybyła pomoc.

– To dobrze. Zawsze najbardziej obawiamy się niedotlenienia mózgu.

– Mówił pan o szansie na przeżycie. Czy to znaczy, że ona z tego wyjdzie?

Lekarz długo waży słowa, zastanawiając się nad odpowiedzią, i w końcu decyduje się na szczerość.

– Rany postrzałowe głowy należą do urazów, które rzadko nie kończą się śmiercią – wyjaśnia i zauważa, że na twarzy Eve maluje się wyraz rozczarowania. – Jednak w tym wypadku pocisk przeszedł bokiem. Uszkodził skórę i kości czaszki, ale mózg pozostał nienaruszony.

– To znaczy, że przeżyje?

– Nie mogę tego zagwarantować, aczkolwiek natychmiastowa reanimacja i tlen znacznie zwiększyły jej szanse. Na razie chirurdzy muszą sobie poradzić ze wstrząsem i obrzękiem, więc jeszcze długa droga przed nią. Ale dziewczynka się trzyma i jeżeli jest twarda, może się jej udać.

– Z całą pewnością jest twarda. Czy jestem jeszcze potrzebna?

– Nie, to już wszystko. Dziękuję.

Eve wymyka się szybko ze szpitala. Wsiada do jednej z taksówek czekających na postoju nieopodal głównego wejścia i każe się zawieźć z powrotem do kryjówki Wilkinsów. Liczy, że dopisze jej szczęście i znajdzie coś, co naprowadzi ją na ślad drugiego z porywaczy.

CARDIGAN, WALIA

Na tablicy rejestracyjnej specjalnie przebudowanego mercedesa klasy M widnieje oznaczenie „SCV1” – *Stato della Citta del Vaticano* – i nawet w porównaniu z tempem ruchu na prowincjonalnych drogach samochodów porusza się niesłychanie wolno.

Jedzie wolno, ale punktualnie dociera na miejsce.

Dokładnie dziesięć minut zajmuje opancerzonemu papamobile pokonanie dystansu między zaimprovizowanym lądowiskiem helikoptera a zatłoczonymi ulicami Cardigan. Otoczony czterema taflami kuloodpornej szyby Ojciec Święty przygląda się tłumom, które witają go z uwielbieniem, i stara się pozdrowić serdecznym gestem każdego z mijanych ludzi.

Kiedy osławiony biały samochód zatrzymuje się przed kościołem, na miejscu czekają już niewidoczne pierścienie ochrony. Najbliżej znajduje się kordon Gwardii Szwajcarskiej, za nim brytyjska tajna służba, a z zewnątrz agenci Tajemnego Zakonu Arturianów. Rozlega się ogłuszająca wrzawa, kiedy następcą świętego Piotra staje w drzwiach z tyłu pojazdu i po wysuwanych stopniach wychodzi z klimatyzowanej kabiny na spotkanie chłodnego walijskiego poranka. Uśmiecha się, rozgląda dokoła, a potem klęka, aby ucałować ziemię.

Kiedy podnosi się z klęczek, owacje znów przybierają na sile. Papież podchodzi do miejsca, w którym czeka na niego dwójka dzieci w szkolnych mundurkach – siedmioletni chłopiec i ośmioletnia dziewczynka.

Gdy pochyla się, aby z nimi porozmawiać, dookoła błyskają flesze aparatów fotograficznych. Chłopiec wręcza Ojcu Świętemu Biblię, a dziewczynka bukiet kwiatów. Błysk fleszy zlewa się w jedną oślepiającą falę. Przy wtórze radosnych okrzyków i oklasków papież kroczy po czerwonym dywanie w stronę wejścia do kościoła.

Owain sięga po komórkę i wybiera numer żony.

Lady Gwyn nie odbiera, więc zostawia wiadomość: „Cześć. To nic

szczególnego. Jestem przed kościołem i zaraz wejść do środka, więc będę musiał wyciszyć telefon”. Przerzywa na chwilę i dodaje: „Kocham cię, Jenny. Kocham cię bardziej, niż sobie wyobrażasz”.

– Wzruszające – odzywa się głos za jego plecami.

Ciało Owaina przenika zimny dreszcz. Odwraca się powoli i widzi przed sobą Josepa Mardrida, który stoi zaledwie metr od niego.

– Co ty tu robisz?

Opaloną twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

– Za nic nie mógłbym przepuścić takiej okazji. – Mardrid robi znak krzyża. – Jestem bardzo religijny.

– Jesteś wcieleniem zła.

Mardrid sprawia wrażenie zadowolonego.

– Potraktuję to jako komplement – mówi i przygląda się badawczo twarzy ambasadora. – Uwielbiam kościoły i cmentarze, a ty? Zawierają tyle pamiątek dawnych obrzędów. Tajemnic pogrzebanych pod ziemią, które tak łatwo wyciągnąć na światło dzienne. Wiesz, o czym mówię, prawda? Mam jeden z twoich krzyży, Gwyn. Pierwszy z wielu, które zamierzam zdobyć.

– Potraktuję to jako przyznanie się do kradzieży, chociaż to ostatnia z twoich zbrodni. Tam gdzie trafisz, nie pozwolą ci zatrzymać tego krzyża.

Mardrid wybucha śmiechem i zapina środkowy guzik marynarki.

– Wybacz, że nie pogawędzę z tobą dłużej, ale obowiązki wzywają. Muszę tworzyć historię. – Mardrid kiwa głową. – A krzyż na pewno ci zwrócę. Kiedy przyjdę na twój pogrzeb.

Owain dzwoni do Carrie Auckland, patrząc, jak jego największy wróg oddala się w kierunku grupy hiszpańskich dyplomatów.

– Josep Mardrid tu jest.

– Co?

– Jest z hiszpańską delegacją w pobliżu głównego wejścia do kościoła.

– Za chwilę będziemy mieli na niego oko.

Owain kończy rozmowę i przyłącza się do fali dygnitarzy, która wlewa

się do wnętrza świątyni. Idąc przez nawę główną, mija angielskich, walijskich i włoskich ministrów, zastępcę szefa MI5 oraz komendanta Gwardii Szwajcarskiej. Rozpoznaje również twarze gwiazd telewizyjnych, których nazwisk nie potrafi wymienić, oraz sądząc po wyglądzie, małą grupkę lokalnych parafian.

Madryd.

Owain nie może przestać myśleć o tym człowieku. Przybył tutaj, by „tworzyć historię”. Zaczepił go, by się tym chełpić. I wspomnieć o krzyżu. Owain rozgląda się dookoła, ale nigdzie nie widzi swojego zapamiętałego wroga.

Zajmuje miejsce w pierwszej ławce. Kątem oka widzi, jak Carrie Auckland instruuje dwóch swoich agentów.

Temperatura we wnętrzu kościoła stopniowo wzrasta, co staje się coraz bardziej uciążliwe. Ambasador zerka na zegarek. Do rozpoczęcia mszy zostało pięć minut. Jego wzrok wędruje ku wykonanej z brązu figurze Maryi Dziewicy z Dzieciątkiem Jezus. Kiedy papież Benedykt pobłogosławił ją podczas swojej wizyty w Londynie w 2010 roku, stała się symbolem katolickiej Walii. A dzisiaj nowy papież, podążając śladami Jana Pawła II, pobłogosławi świecę i umieści ją w lichtarzu, który Matka Boża trzyma w prawej ręce.

Komórka w kieszeni Owaina cicho wibruje, sygnalizując nadejście wiadomości tekstowej. Ambasador wyciąga aparat i dyskretnie spogląda na wyświetlacz.

„Jade Fallon postrzelona w głowę. W trakcie operacji. Podejrzana Tess Wilkins nie żyje. Eve”.

Owain chowa telefon z powrotem do kieszeni. Z tyłu dobiega szcęk zamykanych drzwi i kościół wypełniają dźwięki muzyki organowej. Ludzie wstają i przyglądają swoje najlepsze ubrania.

Rozpoczyna się najważniejsze nabożeństwo, jakie kiedykolwiek odprawiono w Walii.

KALIFORNIA

Chris Wilkins uznaje, że najwyższy czas pozbyć się forda. I tak korzysta już z niego dłużej, niż zamierzał.

Lotnisko w Stockton jest oddalone od szpitala o niecałe piętnaście minut jazdy. Liczył, że właśnie tam porzuci samochód i wydostanie się z Kalifornii, zanim ktokolwiek zacznie go szukać. Ale ze względu na strzelaninę stało się to zbyt ryzykowne.

Na drodze przed sobą nie widzi żadnego parkingu, na którym mógłby się zatrzymać i rozejrzeć za jakimś innym pojazdem. Chris włącza telefon i po raz trzeci dzwoni do Tess.

Nikt nie odbiera.

Są ze sobą od ponad dziesięciu lat i nigdy się nie zdarzyło, żeby za trzecim razem nie mógł się do niej dodzwonić. Wilkins włącza telefon i wyrzuca go przez otwarte okno. W lusterku widzi, jak aparat odbija się od asfaltu i ląduje w trawie na poboczu.

Pierwsze dwa nieodebrane połączenia był skłonny przypisać komplikacjom związanym z egzekucją dziewczynki, podpaleniem domu i ewakuacją. Teraz już wie, że przyczyna tkwi gdzie indziej. Tess jest profesjonalistką. Zawsze była świadoma tego, jak ważne jest, by trzymać się planu, a także utrzymywać łączność i zawsze być pod telefonem. Chris stara się nie myśleć o tym, co jest dla niego nie do pomyślenia, i nie wyobrażać sobie, że została schwytana albo jeszcze gorzej.

Ponieważ lotnisko w Stockton nie jest już bezpieczną drogą ucieczki, Chris zastanawia się nad znalezieniem jakiegoś małego lotniska i wynajęciem pilota, który poleciałby z nim do innego stanu. Istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, że policja obstawi również tego rodzaju obiekty.

Wyklucza ucieczkę do Kanady, nawet pomimo faktu, że od Vancouver dzieli go piętnaście godzin jazdy, a gdyby wybrał bardziej okrężną drogę, mógłby dotrzeć do Winnipeg w niecałą dobę.

Postanawia, że gdy tylko zdobędzie nowy samochód, pojedzie na południe, do Meksyku. Nie zamierza korzystać z autostrady międzystanowej, gdyż jest wielce prawdopodobne, że będą ją patrolować gliny, a kamery drogowe wychwycą jego twarz. Chris zna inną trasę. Tak odludną i rzadko uczęszczaną, że nawet sam Pan Bóg jej nie wypatrzył.

NOWY JORK

Joe Steffani jedzie przez miasto na spotkanie ze swoimi przełożonymi z Krajowej Agencji Wywiadowczej. Z radia płynie głośna muzyka, a na niebie świeci słońce. Joe ma za sobą cholernie udany dzień i nie lada powód do radości.

Schwytnięcie pięciu znaczących terrorystów powinno przynieść mu awans, a to zapewni mu lepsze świadczenia, wyższą pensję i emeryturę, dzięki której będzie ustawiony na resztę życia.

A jednak Joe się nie cieszy. Nie daje mu spokoju myśl, że jeśli Gareth Madoc miał rację, w ciągu najbliższej doby dojdzie do trzech ataków terrorystycznych, w tym jednego w Nowym Jorku. Właśnie z tego powodu szefostwo chce z nim rozmawiać osobiście.

Jak wynika z informacji, które niedawno mu przekazano, Ibn asz-Szabih, Korszidi, Tabrizi, Husajn oraz imam Jusuf Musawi nadal niczego nie powiedzieli.

Na ulicach Dolnego Manhattanu samochody wloką się wolniej niż kiedykolwiek. Jeep Steffaniego zatrzymuje się na końcu długiego korka w połowie Wall Street. Joe z niezadowoleniem kręci głową. Do rozpoczęcia spotkania zostało mu już niewiele czasu.

Rozgląda się dookoła, znudzony i rozdrażniony. Zauważa, że przygląda mu się atrakcyjna blondynka w stojącym po lewej lexusie. Jakiś idiota usiłuje przepchnąć wózek z hot dogami na drugą stronę zatłoczonej ulicy, ściągając na siebie gniewne trąbienie klaksonów. W głębi bocznej ulicy widnieje sylwetka kościoła, do którego kiedyś Joe chodził ze swoją byłą dziewczyną. Kiedyś jego neogotycka iglica górowała nad okolicą, a teraz stoi w cieniu otaczających ją drapaczy chmur. Tak bardzo wszystko się zmieniło.

Samochody w końcu ruszają i Joe traci kościół z oczu.

I wtedy coś go olśniewa. Rozproszone elementy układanki jakby za sprawą jakiegoś cudownego objawienia łączą się w jedną spójną całość.

CARDIGAN, WALIA

Nikt nie potrafi urządzać tak doskonałych widowisk, jak Kościół katolicki. Daleko mu w tym do skromności, prostoty i pokory.

W mniemaniu Owaina każda katolicka msza jest wielkim wydarzeniem, jednak msza celebrowana przez samego biskupa Rzymu stanowi religijny odpowiednik premierowego występu Cirque du Soleil.

W kościele płonie tyle świec, że Cardigan mogłoby przyćmić blaskiem Las Vegas. Otwierająca nabożeństwo procesja, w której cały orszak duchowieństwa kroczy nawą główną, zapiera dech w piersiach. Bogato zdobione szaty liturgiczne z najprzedniejszego jedwabiu i bawełny urzekają swoim przepychem. Na ołtarzu lśnią szczerozłote kielichy mszalne, z drogocennych kadzideł wydobywa się dym o żywicznej odurzającej woni, a uroczysty śpiew chóru unosi się pod samo sklepienie.

Wszystko to odwraca uwagę od najważniejszego. Od bezpieczeństwa głowy Kościoła.

Za zwartym szykiem odzianych w białe wykrochmalone komże ministrantów podążają zastępy księży, biskupów i arcybiskupów w bogato zdobionych ornatach, którzy uparli się, by również zająć miejsce na środku sceny. Jednak świetnością szat żaden z nich nie dorównuje Ojcu Świętemu.

Ma on na sobie strój złożony z kilku warstw, z których każda jest obficie pokryta symbolami o tak pradawnych korzeniach, jak samo chrześcijaństwo. Na białym paliuszu widnieje ornament w kształcie czerwonych krzyży, które swą barwą nawiązują do krwi Jezusa. Przytrzymujące go na ornacie trzy złote szpile symbolizują gwoździe, którymi Jezus został przybity do krzyża.

Wzrok Owaina przyciąga okrywająca ramiona papieża półkolista kapa, która mieni się złotymi i srebrnymi paskami, a także *subcinctorium*, długi pas białej tkaniny ozdobiony wyhaftowanym krzyżem i taką samą podobizną Baranka Bożego, jaka widnieje na *Ołtarzu Gandawskim*.

Z lewego przedramienia Ojca Świętego zwisa manipularz, bogato zdobiona złotymi i czerwonymi splotami jedwabna przepaska, która symbolizuje kajdany Chrystusa.

Jednak najbardziej okazały w całym stroju jest okrywający plecy papieża długi czerwony płaszcz z zielonym obramowaniem, którego kolorystyka nieprzypadkowo nawiązuje do walijskiej flagi. Ojciec Święty podchodzi do pulpitu, ogarnia spojrzeniem wszystkich zgromadzonych, którzy w milczeniu tłoczą się w ławkach, i wita ich po walijsku.

– *Bendith Duw arnoch*. Niech was błogosławi Bóg Wszechmogący.

Wszystkie serca przepełnia radość.

Wszystkie prócz jednego.

Obecność Josepa Mardrida wstrząsnęła Owainem, który czuje, że w Domu Bożym panoszą się siły zła.

SIEDZIBA TAJEMNEGO ZAKONU ARTURIANÓW, NOWY JORK

Telefon od Joego Steffaniego wprawia Garetha Madoca w osłupienie.

Jako cudzoziemiec Gareth po prostu nie był w stanie zauważyć tego, co rzuciło się w oczy jego nowojorskiemu współpracownikowi. Teraz to wszystko ma sens.

Wszystkie elementy układanki pasują do siebie idealnie.

W ciągu minuty Madoc wychodzi z biura i jedzie metrem na Dolny Manhattan, by nie tracić czasu na zakorkowanych ulicach.

Stojąc na skrzyżowaniu Wall Street i Broadwayu, ma przed sobą widok, który podsunął Steffanieniu to odkrywcze skojarzenie. Teraz rozumie, co miał na myśli Musawi, kiedy podczas spotkania w kryjówce Al-Kaidy powiedział, że „trójca przestanie istnieć”.

Wszyscy myśleli, że ma na myśli trzy odrębne cele, ale byli w błędzie.

Cel jest tylko jeden.

Zabytek o doniosłym znaczeniu dla całego narodu. Miejsce, w którym jedenastego września ludzie chronili się przed spadającymi szczątkami, kiedy zawalił się pierwszy wieżowiec. Budynek związany z osobami brytyjskich monarchów.

Kościół Świętej Trójcy.

Siedemnastowieczne mury tej świątyni symbolizują trwającą od wielu stuleci szczególną więź między Kościołem Anglii a bogobojną Ameryką. Cegły, z których je wzniesiono, okazały się na tyle silne, by przetrwać trzysta lat i dwie przebudowy.

Najlepsi w Nowym Jorku umundurowani funkcjonariusze z dzielnicy finansowej pracują już na pełnych obrotach, ustawiając metalowe barierki i starając się jak najdalej odsunąć przechodniów.

Być może jednak jest już za późno.

Madoc widzi, jak Steffani wychodzi z kościoła, trzymając przy uchu komórkę. Agent zmierza w stronę cmentarza, na którym spoczywa między innymi jeden z ojców założycieli i pierwszy sekretarz skarbu, Alexander

Hamilton, oraz Robert Fulton, twórca pierwszego na świecie statku parowego.

Kościół Świętej Trójcy jest idealnym celem. Wymierzony w niego atak nie tylko zniszczy historyczną budowlę, ale również pozbawi życia wielu ludzi.

– Hej, Joe!

Steffani odwraca głowę i rozpoznaje swojego informatora. Madoc podchodzi bliżej i czeka, aż agent skończy rozmawiać.

Joe Steffani zatrząskuje klapkę telefonu, a jego twarz rozjaśnia uśmiech.

– Spisaliśmy się na medal, kolego – mówi, wskazując na wieże kościoła. – Tam na górze wiszą dwadzieścia trzy największe dzwony w Stanach. Połowę z nich wymieniała ostatnio firma z Anglii. Wczoraj był tutaj serwisant, którego wygląd pasuje do rysopisu Malika. Saperzy znaleźli właśnie kilka kilogramów ładunku, który ukrył pod deskami podestu.

– Czy jest już rozbrojony?

Steffani potakująco kiwa głową.

Madoc pozwala sobie na pierwszy od dłuższego czasu uśmiech.

– Muszę do kogoś zadzwonić – oświadcza. – Do kogoś, komu ta wiadomość przyniesie wielką ulgę.

CARDIGAN, WALIA

Czytanie Ewangelii mija bez jednego zajknięcia.

Potem Ojciec Święty przypomina wszystkim, że w 1982 roku, kiedy Jan Paweł II jako pierwszy urzędujący papież odwiedził Walię, wezwał młodych Brytyjczyków, aby zapoczątkowali „modlitewną krucjatę”.

– Te krucjatę należy zacząć na nowo – mówi z żarliwością w głosie. – Wrogowie, którym dziś stawiamy czoło, są bardziej podstępni i niezmordowani niż kiedykolwiek. Musimy jeszcze mocniej się zjednoczyć, oddając cześć naszemu Panu i Zbawicielowi, Jezusowi Chrystusowi. – Papież czeka przez chwilę w milczeniu, aż wybrzmiają jego słowa, po czym dodaje: – *Bendith Duw ar bobol Cymru!* Niechaj Bóg błogosławi Walię!

W kościele dają się słyszeć radosne owacje stojącego na zewnątrz tłumu.

Papież odchodzi od pulpitu i zmierza w kierunku poświęconej figury, by odprawić ostatni akt tego starannie wyreżyserowanego nabożeństwa – zapalić i pobłogosławić nową świecę.

W kieszeni Owaina wibruje telefon. Ambasador zasłania aparat dłonią, aby nikt nie zauważył, że czyta wiadomość.

„Celem był kościół Świętej Trójcy w Nowym Jorku. Bomba rozbrojona. Gareth”.

Z jego ramion spływa napięcie. Obawy o bezpieczeństwo papieża okazały się próżne. Postanawia zadzwonić do Garetha, kiedy tylko skończy się msza.

Wśród zgromadzonych narasta pełne wyczekiwania napięcie. Do ołtarza zbliża się niepewnym krokiem młody ministrant o wyglądzie cherubina. W sztywno wyciągniętych rękach trzyma długą wąską szkatułę z ciemnego drewna z wielką klamrą ozdobioną herbem papieskim. Składa się on ze skrzyżowanych kluczy świętego Piotra oraz tiary z trzema koronami nawiązującej do roli papieża jako najwyższego kapłana, pasterza i nauczyciela, a na szczycie znajduje się oparty na kuli ziemskiej krzyż,

który symbolizuje zwierzchnictwo Chrystusa.

Ojciec Święty otwiera szkatułę i wyjmuje z niej świecę przysланą prosto z Rzymu.

Podchodzi do niego drugi ministrant, nieco starszy od swego kolegi. W pewnych rękach trzyma długi drewniany kij zakończony mosiężnym kapturkiem i płonącym knotem, służący do zapalania wysokich świec ołtarzowych. Chłopiec staje z boku i czeka.

Powolnymi ruchami pełnymi nabożnej powagi papież umieszcza świecę w lichtarzu, który tkwi w prawej ręce Matki Bożej, a potem odwraca się do ministranta, by wziąć od niego płomień.

Niespodziewanie kij z płonącym knotem wysuwa się z rąk chłopca.

Łoskot drewna i metalu uderzającego o stopnie ołtarza przetacza się echem przez pogrążone w ciszy wnętrze świątyni. Agenci ochrony spinają się błyskawicznie i sięgają pod marynarki.

Jednak nic się nie dzieje. Nic poza hałasem upadającego na posadzkę ciężkiego przedmiotu.

Ministrant podnosi obrzędowy rekwizyt. Jeden z księży podchodzi do niego i spod ozdobnych szat wyjmuje zapalniczkę zippo. Rozlega się niepasujący do okoliczności metaliczny brzęk i niezbędny do odprawienia ceremonii ogień znów płonie.

Ojciec Święty wydaje się nieporuszony. Czeką cierpliwie, aż uczynny ksiądz wróci na miejsce, a następnie bierze kij zakończony płonącym knotem z rąk młodzieńca, który czerwieni się ze wstydu.

Oczy wszystkich zebranych kierują się w stronę świecy tkwiącej w lichtarzu. Tylko Owain patrzy w inną stronę. Omiata wzrokiem wnętrze kościoła, spogląda do tyłu i znów odwraca się ku ołtarzowi.

Papież zapala świecę, która jarzy się teraz pogodnym blaskiem. Następnie błogosławi figurę. Kiedy odwraca się, by przemówić do zgromadzonych, na jego twarzy widnieje powściągliwy, lecz wyraźny uśmiech.

Owain nie słyszy jego słów. Myśli o świecy. To jedyny przedmiot,

którego nie sprawdził osobiście. Jest pewien, że Gwardia Szwajcarska skontrolowała świecę, jednak on tego nie zrobił.

Przypomina sobie o wiadomości od Garetha. Planowanym celem ataku był kościół w Nowym Jorku, ale udało się znaleźć i rozbroić bombę. Kryzys został zażegnany.

Mimo to wątpliwości wciąż nie dają mu spokoju.

Owain jeszcze raz przygląda się świecy i porównuje ją z innymi. Niektóre są cieńsze od niej, ale żadna nie dorównuje jej długością, za to większość świec jest grubsza. Pali się takim samym płomieniem, jak wszystkie inne dokoła niej. Trudno dopatrzeć się czegoś niezwykłego w tym woskowym walcu poza tym, że właśnie został pobłogosławiony przez człowieka, którego Kościół katolicki uważa za najświętszą osobę na ziemi.

Z tyłu dobiega skrzypienie drzwi wejściowych. Ktoś próbuje opuścić świątynię, nie zwracając na siebie uwagi. To dość niezwykły moment, gdyż do końca nabożeństwa jest zaledwie kilka minut.

Wyjścia pilnują strażnicy Gwardii Szwajcarskiej. Nie wypuściliby nikogo. Nie w tej chwili. Najprawdopodobniej to jeden z nich wyszedł na zewnątrz.

Tylko po co?

Odpowiedź, która przychodzi Owainowi do głowy, napawa go strachem.

W świecy może być ukryty ładunek C4, plastycznego materiału wybuchowego, jednak płomień nie może wywołać eksplozji. Niewykluczone, że człowiek, który właśnie wyszedł, zamierza zdetonować ładunek na odległość za pomocą nadajnika radiowego. Dla członka formacji wojskowej, takiej jak Gwardia Szwajcarska, to nic trudnego.

Owain waha się. Powtarza sobie w myślach, by zostać na miejscu, w przeciwnym razie może się wygłupić.

Ale nie potrafi. Wyłamuje się z rzędu otaczających go dygnitarzy i biegnie w stronę ołtarza. Kościół wypełnia szmer stłumionych okrzyków.

Dwaj księża próbują zagrozić mu drogę. Odpycha ich na bok.

Musi czym prędzej dobiec do świecy. W najlepszym wypadku zrobi z siebie idiotę. W najgorszym zasłoni ją swoim ciałem i osłabi siłę wybuchu.

Owain wyciąga rękę i odpycha Ojca Świętego od ołtarza.

Stojący przed kościołem ludzie ze zgrozą oglądają na wielkich ekranach scenę, która rozgrywa się w środku.

Wtem wybucha bomba. Ognisty podmuch wyrzuca pod niebo kawałki cegieł, odłamki szkła i strzępy poszarpanych ciał.

CZEŚĆ PIĄTA

Odrzutowiec ambasadora leci z prędkością poddźwiękową, ale pokonanie dystansu z Londynu do Los Angeles zajmuje mu tylko siedem godzin.

Mitzi przez całą podróż nie może otrząsnąć się z szoku. Nie potrafi przyjąć do wiadomości, że obie jej córki zostały ranne i wciąż walczą o życie.

Towarzyszą jej Dalton i Bronty. Jej kolega z FBI opowiada o jakiejś kobiecie, którą poznał na Lundy i która przypuszcza, że w podwodnych jaskiniach przy brzegu wyspy mogą się mieścić groby arturiańskich rycerzy. Mitzi nawet go nie słucha.

Nic już nie ma dla niej znaczenia. Tylko to, by jak najszybciej być z Jade i Amber.

Pomimo cierpienia, które odczuwają jej ciało i dusza, zdaje sobie sprawę, że musi jeszcze porozmawiać w cztery oczy z Daltonem. Pewne rzeczy należy sobie wyjaśnić.

Gdy tylko Bronty wychodzi do toalety, Mitzi siada na fotelu obok konsula.

– Chciałabym panu oświadczyć, że z tego, co mi wiadomo, sprawa Goldmana została zamknięta. Dziękuję, że leci pan ze mną, szczerze dziękuję. Wiem, że to nie tylko dlatego, że odzyskał pan swój kodeks.

– Nie tylko.

– Wiem. – Mitzi uśmiecha się do niego. – To już koniec. Zapominam o wszystkim, co słyszałam i widziałam podczas pobytu w waszym kraju.

– Dziękuję – odpowiada Dalton z wyraźną ulgą.

– Prawdę mówiąc, to również moja ostatnia sprawa. Zamierzam oddać odznakę i broń.

– To będzie wielka strata.

– Nie sądzę. Jeżeli moje dziewczynki przeżyją, może zyskam jeszcze jedną szansę, by się spisać jako matka.

– Pani Fallon, na pewno jest pani bardzo dobrą...

– Proszę, tylko bez tego protekcyjnego tonu. – Mitzi spogląda na konsula z irytacją. – I proszę mnie nie nazywać panią Fallon. I niech pan po powrocie do Wielkiej Brytanii dalej robi swoje. Pańskie sekretne bractwo rycerskie ślubowało służyć dobru. Zyskaliście mój podziw, więc możecie liczyć na wsparcie i dyskrecję z mojej strony.

Dalton korzysta z okazji, by posunąć się o krok dalej.

– Sir Owain rozważał możliwość, by przyjąć panią w nasze szeregi.

– To nie dla mnie. – Mitzi kręci głową. – Przykro mi.

Bronty wraca z łazienki i zajmuje miejsce na swoim fotelu, a Mitzi i Dalton milkną. Po chwili daje się słyszeć płynący z głośników komunikat pilota, który informuje pasażerów, że samolot podchodzi do lądowania i należy zapiąć pasy.

Wysuwa się podwozie odrzutowca i Mitzi czuje, jak w jej głowie narasta ciśnienie. Zamyka oczy, ale nie przynosi jej to ulgi. Widzi tylko dwie twarze. Jade i Amber.

Nie potrafi sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało jej życie, jeżeli one umrą.

Dowiedziała się od lekarza, że Amber została postrzelona w biodro i w plecy. Nie miała nawet odwagi zapytać, czy jej córce grozi paraliż. Od tej chwili wszystko zaczęło wydawać się odległe i zamazane, jakby patrzyła na świat przez mgłę.

Podwozie dotyka płyty lotniska i samolot kołuje na miejsce postoju. Mitzi ledwie zauważa, że ktoś podaje jej rękę, pomagając zejść po stopniach. Panujący w terminalu zgiełk rozsadza jej głowę. Jest środek nocy i chłodne powietrze przyprawia ją o dreszcze, gdy wraz z towarzyszami podróży czeka na limuzynę, która ma ich zabrać z lotniska.

Siadając na tylnej kanapie jaguara, Mitzi czuje świeży zapach skórzanej tapicerki. Samochody, światła i sylwetki budynków przesuwają się za oknem, kiedy patrzy na świat, który stał się nagle taki obcy. Obok siedzi Bronty, a naprzeciwko Dalton, który rozmawia przez telefon o niej,

jak gdyby jej tu wcale nie było. I ma rację. Mitzi jest nieobecna. Ze słów konsula wnioskuję, że jej były mąż dowiedział się o tym, co spotkało dziewczynki, i właśnie jedzie z Los Angeles.

Mitzi mu współczuje. Przez długi czas nie potrafiła się zdobyć na cień życzliwości wobec Alfiego Fallona, ale teraz jest jej go żal. Martwi się o niego. Przy tym, jak nisko upadł, tak ciężkie doświadczenie może go pognębić jeszcze bardziej.

– Jesteśmy na miejscu – odzywa się Bronty.

Otwierają się drzwi samochodu i Mitzi czuje, jak Dalton chwyta ją pod ramię. Dotykająca jej dłoń zabiła człowieka przed nocnym barem przy Dupont Circle, dając początek wyprawie, której jej córki omal nie przypłaciły życiem. Mitzi odsuwa jego rękę i wysiada o własnych siłach. Otacza ją bełkotliwy gwar uprzejmych głosów, ale ona patrzy w stronę budynku szpitala i zastanawia się, gdzie jest Amber.

Ktoś do niej dzwoni. Widzi przed sobą Donovan. I Vicky, w towarzystwie jakiegoś wysokiego mężczyzny, którego nie zna.

I Ruth. Obok niej stoi ten jej niewydarzony mąż, Jack. Przyjechali wszyscy. Siostra próbuje pochwycić jej spojrzenie, ale ona odwraca wzrok. Nie w tej chwili. Nie jest gotowa na powitanie i wszystkie towarzyszące mu pytania.

Jeszcze nie teraz.

Mitzi przystaje na chwilę i postanawia coś powiedzieć, zanim odezwie się ktoś inny.

– Nie chcę być niegrzeczna. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna, że pojawiliście się tu o tej porze. Ale moglibyście wszyscy iść do jasnej cholery? Przynajmniej kiedy odwiedzam moją córkę, chcę się zachowywać jak matka, a nie jak glina.

PÓŁNOCNY MEKSYK

To była długa podróż. Podróż jego życia. Ale dotarł do celu.

Larry Petty, człowiek znany wcześniej jako Chris Wilkins, który przyszedł na świat jako Charles James Wood, skręca na wąski podjazd przed domem i naciska hamulec. Termometr na desce rozdzielczej wynajętego samochodu informuje go, że temperatura na zewnątrz przekroczyła czterdzieści stopni, więc zostawia włączoną klimatyzację, odpina pas bezpieczeństwa i wzdycha z ulgą.

Przez chwilę ma ochotę po prostu siedzieć i rozkoszować się faktem, że nie musi już uciekać. Że żyje i jest bezpieczny. Że jest na wolności. Dotarcie tutaj zajęło mu ponad dwadzieścia cztery godziny; poruszał się dwoma kradzionymi samochodami, autobusem, a na koniec pociągiem i musiał wykorzystać ostatnią fałszywą tożsamość, jaka mu pozostała.

Niezły wyczyn.

Miał chwile zwątpienia, kiedy zastanawiał się, czy zdoła tego dokonać, kiedy dotarło do niego, że Tess się nie udało. Zjechał wtedy na pobocze i rozplakał się. Powtarzał sobie, że została aresztowana. Że nie spotkało jej nic gorszego. Że gdzieś tam sobie siedzi, śmiejąc się jakiemuś gliniarzowi prosto w twarz i wciskając mu ciemnotę. Ale potem usłyszał w wiadomościach, że zginęła, i cały jego świat rozpadł się na kawałki.

Przez całą drogę co chwila zerkał nerwowo w lusterko, upewniając się, że nie ścigają go gliny. Wyszedł z założenia, że skupią się na lotniskach oraz drogach szybkiego ruchu, i miał rację.

Ze Stockton bocznymi drogami dojechał do Fresno. Tam ukradł chevroleta z parkingu wypożyczalni i przedostał się Bakersfield, gdzie wsiadł w autobus do Flagstaff. Tam doszedł piechotą na stację kolejową i kupił bilet do Meksyku.

Teraz myśli tylko o tym, by wziąć prysznic, podgrzać sobie kupioną na stacji benzynowej pizzę, a potem wypaść się za wszystkie czasy w sypialni niewielkiego domu nad rzeką Sonora, który wynajął.

Wyłącza silnik i kiedy wysiada z klimatyzowanego samochodu, uderza go fala gorąca. Okolica prezentuje się wytwornie i elegancko. Przed każdym z domów o jaskrawych ścianach rozciąga się spalony słońcem trawnik i niewielki pokryty asfaltem placyk, na którym można zaparkować samochód. Nic wyjątkowego, ale jest tu przyjemnie. Nie ma śmieci. Nie ma graffiti na ścianach. Nie ma ulicznych gangów. Idealne miejsce, by się zaszyć na parę dni.

Kiedy będzie pewny ponad wszelką wątpliwość, że cały ten szum przycichł, wsiądzie w samolot na lotnisku Hermosillo, by zacząć wszystko od nowa.

Życie toczy się dalej.

SZPITAL SAN JOAQUIN, STOCKTON

Lekarze informują Mitzi, że Amber będzie żyła.

Mówią również, że jest jeszcze zbyt wcześnie na to, by dokładnie określić, jakie to będzie życie.

Pociski rozerwały tkanki, spowodowały wstrząs i uszkodziły kości. Dziewczynka będzie wracać do zdrowia bardzo powoli. Przed nią długa i bolesna droga.

– Wciąż jest nieprzytomna – oznajmia lekarz, wysoki mężczyzna o siwych włosach i łagodnym spojrzeniu. – Ale jej stan jest stabilny i niebawem powinna się obudzić.

– Będzie mogła znowu chodzić, prawda? – upewnia się Mitzi w drodze do sali, w której leży Amber.

– W tej chwili jest najważniejsze, aby odzyskała przytomność i zaczęła z nami rozmawiać – odpowiada lekarz z uśmiechem. – Wtedy będziemy mogli przeprowadzić badania.

Wychodzą z za rogu i w głębi korytarza Mitzi dostrzega znajomą postać, która siedzi na niewygodnym twardym krześle pod drzwiami sali. Eleonora Fracci podnosi wzrok i patrzy na nią zapuchniętymi i przekrwionymi oczami.

– Długo tu siedzisz? – pyta Mitzi.

– Cały czas. Czekałam, aż przyjedziesz.

Włoszka wstaje z krzesła i przeciąga się.

– Marnie wyglądasz – mówi Mitzi i rozpościera ramiona.

Kobiety padają sobie w objęcia, jak gdyby liczyły, że mocny uścisk zdoła wydusić z nich bolesne uczucia.

– Dziękuję, że tu siedziałaś i czuwałaś nad moją córką. – Mitzi ujmuje oburącz dłoń koleżanki.

Eleonora kiwa głową.

– Niestety nie udało mi się nic więcej dla niej zrobić.

– Wejść tam i posiedzę przy niej przez chwilę.

– W takim razie ja wezmę prysznic, żeby nie wyglądać już tak marnie, kiedy stamtąd wyjdiesz.

Mitzi uśmiecha się i wchodzi do pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Pierwsze, co przykuwa jej uwagę, to rytmiczne popiskiwanie aparatury medycznej. Potem dostrzega, że Amber ma na sobie różową pizamę w kwiatki. Byłaby wściekła, gdyby zobaczyła siebie w tym stroju.

Mitzi siada obok łóżka i ujmuję córkę za rękę. Na widok grubego opatrunku na okaleczonym palcu omal nie wybucha płaczem. W jej głowie wciąż rozbrzmiewa echo krzyków, które słyszała przez telefon.

Unosi dłoń dziewczynki i delikatnie ją całuje.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Mama jest przy tobie i wszystko będzie dobrze.

CARDIGAN, WALIA

Grafenowa zbroja sir Owaina wzięła na siebie większą część fali uderzeniowej.

Ale tylko część. A to nie wystarczyło.

Ukryty ładunek C4 eksplodował w chwili, gdy Owain Gwyn wyjmował świecę z umieszczonego w prawej ręce figury lichtarza. Dzięki temu, że był tak ogromnej postury, zdołał zasłonić własnym ciałem papieża i wszystkich otaczających go dostojników kościelnych.

Nie zdołał jednak ocalić siebie.

Wybuch zdarł skórę z jego twarzy i oderwał górną część czaszki. Gdyby dobiegł do świecy parę sekund wcześniej, gdyby zdążył przycisnąć ją mocno do tułowia, być może udałoby mu się przeżyć.

Lance Beaucoup trzyma pod ramię lady Gwyn, prowadząc ją wzdłuż nawy kościoła. Jennifer koniecznie chciała odwiedzić miejsce, w którym jej mąż spędził ostatnie chwile swego życia, zanim jego szczątki zostaną zabrane do rodowej kaplicy w zamku Caergwyn. Przez całą drogę odsłuchiwała wiadomość, którą zostawił na jej poczcie głosowej: „Kocham cię, Jenny. Kocham cię bardziej, niż sobie wyobrażasz”.

Wiść o jej wizycie jakimś cudem dotarła do dziennikarzy. Lokalna policja zamknęła ruch na ulicach, aby zapewnić odrobinę prywatności wdowie po najbardziej zasłużonym rycerzu Wielkiej Brytanii.

Oczywiście Beaucoup również obsadził posterunki agentami zakonu, by zyskać dodatkową pewność, że okolica jest całkowicie bezpieczna.

Kościół otaczają setki bukietów z załączonymi wstążkami, na których widnieją słowa współczucia, podziwu i szacunku. Wśród nich leżą okazałe wieńce od papieża, premiera Wielkiej Brytanii i prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Krocząc w stronę ołtarza, Lance i Jennifer zauważają, że ławki po obu stronach nawy wciąż pokryte są ceglanym pyłem. We wnętrzu panuje półmrok – okna zasłonięto deskami, ponieważ wybuch potrzaskał szyby,

przez które zawsze wlewało się do środka rześiste światło. W okolicy ołtarza piętrzą się sterty gruzu, potłuczonego szkła i połamanych kawałków drewna. Beaucoup wprawnym okiem rozpoznaje, gdzie ekipa saperów przeprowadziła już kontrolę, a które miejsca są zabezpieczone do dalszych badań.

Zastępca szefa policji i dwaj wyżsi rangą oficerowie idą zaledwie kilka metrów za nimi, aby w razie potrzeby służyć im pomocą. Jednak Jennifer nie potrzebuje ich wskazówek, by odnaleźć miejsce, w którym zginął jej mąż.

Serce prowadzi ją tam, gdzie wydał ostatnie tchnienie.

Lady Gwyn cofa rękę, którą opierała na ramieniu Francuza, i patrzy w oczy człowieka, którego sir Owain wybrał na jej kochanka; człowieka, który miał otoczyć ją opieką, kiedy nadejdzie ta straszna chwila.

– Czy mógłbyś poprosić wszystkich, aby wyszli? Tylko na chwilę. Chciałabym zostać sama z moimi wspomnieniami o nim.

NOWY JORK

Cichy zaułek w Greenwich Village wypełniają drzewa o rozłożystych koronach, nad którymi unosi się śpiew ptaków. Gareth Madoc patrzy uważnie dookoła, aby się upewnić, czy nikt go nie śledzi, po czym zamyka swojego range rovera i przechodzi na drugą stronę ulicy.

Przecina najbliższą przecznicę i zmierza w stronę mieszczącego się w połowie następnego kwartału bezpiecznego domu, w którym Zachra i jej matka Nasrin znalazły schronienie po tym, jak Krajowa Agencja Wywiadowcza aresztowała Chalida Korszidiego. Gareth wybiera numer z pamięci komórki i przykłada aparat do ucha.

Połączenie odbiera agentka Tajemnego Zakonu Arturianów, Dana Levine.

– Czysto, można wchodzić.

Madoc unosi wzrok w stronę okna na piętrze eleganckiej kamienicy i zauważa Levine, która patrzy na niego zza uchylonej firanki. Pokonuje sześć stopni, staje pod drzwiami i naciska dzwonek. Słyszy, jak po kolei cofają się z głuchym szcękaniem zasuw zamków. Jest ich w sumie pięć. W końcu drzwi otwierają się przed nim.

– Cześć. – Madoc wchodzi do środka, mijając w przejściu zwałistą sylwetkę Ritchiego Handswortha, drugiego z agentów strzegących kryjówki.

– Dzień dobry, szefie.

Agent zamyka drzwi i przekręca z powrotem wszystkie zamki. Tymczasem Madoc wchodzi do przestronnego salonu w głębi domu, gdzie Zachra i jej matka oglądają w telewizji powtórkę programu *Oprah* poświęconego problemom rozbitych rodzin. Obydwie kobiety mają na sobie codzienne stroje w zachodnim stylu. Młodsza z nich obraca się w stronę drzwi i na jej twarzy pojawia się radosny uśmiech.

– Panie Madoc, nie spodziewałam się pana.

Gareth odwzajemnia jej uśmiech i sięga do wewnętrznej kieszeni

swojej czarnej marynarki.

– Mam coś dla was – mówi i podaje dziewczynie grubą kopertę oraz złożoną kartkę papieru.

Zachra patrzy na niego podejrzliwie.

– Co to jest?

– Zobacz sama – odpowiada Madoc i aby ją uspokoić, dodaje: – To nic złego.

Zachra rozrywa kopertę i w jej oczach pojawiają się radosne błyski.

– Mamo, zobacz. Bilety na samolot do Londynu. Możemy zacząć wszystko od początku.

Madoc uświadamia sobie, że nigdy wcześniej nie widział, jak Zachra się cieszy i jest taka swobodna.

– Musicie dokładnie zapamiętać wszystko, co jest na tej kartce – wyjaśnia. – To wasze nowe nazwiska, adres waszego nowego domu i numer konta bankowego. Dom mieści się w nowoczesnej zabudowie szeregowej na przedmieściach Londynu, ale będziecie tam bezpieczne. Jest opłacony i możecie w nim mieszkać tak długo, jak zechcecie. Na koncie jest dziesięć tysięcy funtów. Powinno wystarczyć, żebyście mogły się urządzić, a moi ludzie znajdą dla was jakąś pracę.

Dziewczyna zarzuca mu ręce na szyję i całuje go w policzek.

– Dziękuję panu. Tak bardzo panu dziękuję. Nie ma pan pojęcia, ile to dla nas znaczy. – Zachra spogląda na matkę i z powrotem kieruje wzrok na Garetha. – Przywrócił nam pan życie. To tak, jakbyśmy narodziły się na nowo.

– Jesteś niebywale odważną i zdolną młodą kobietą, Zachro. Jeżeli ktoś zasłużył na to, by narodzić się na nowo, to właśnie ty.

SZPITAL JOHN MUIR MEDICAL CENTER, SAN FRANCISCO

Dystans osiemdziesięciu kilometrów, jaki dzieli Stockton od San Francisco, Mitzi pokonuje na pokładzie helikoptera FBI.

Już prawie świta, kiedy personel oddziału intensywnej opieki neurologicznej prowadzi ją do sali, w której leży Jade. Kiedy jest tuż przed drzwiami, na których wisi tabliczka zakazująca prowadzenia rozmów telefonicznych, dzwoni jej komórka.

– Przepraszam, muszę odebrać.

Pielęgniarki wracają do dyżurki.

– Halo?

– Tu Eleonora – odzywa się Włoszka przejętym tonem i bierze głęboki wdech. – Twoja córka...

Mitzi opiera się o ścianę i czuje, jak ziemia usuwa się jej spod nóg. Ta pauza trwa zbyt długo, by mogła zwiastować coś dobrego. Teraz już wie, że nie powinna była odchodzić od łóżka Amber.

– Twoja córka odzyskała przytomność.

– Co?

– Obudziła się i rozmawia.

Mitzi osuwa się po ścianie i siada na podłodze. Serce kołacze jej w piersi, a po policzkach płyną łzy wzruszenia.

– Jak ona się czuje?

– Jak ona się czuje? – Eleonora parska śmiechem. – Zachowuje się jak mała Mitzi, ot co. Już zaczęła narzekać na swój strój. Chcesz z nią porozmawiać?

– Och, tak.

– Daję jej telefon.

W słuchawce rozlegają się szelesty i trzaski.

– Mamo.

– Kochanie.

– Mamo, nic ci nie jest? – pyta Amber. Po przebudzeniu z narkozy

mówi ospale i zachrypniętym głosem.

– Wszystko w porządku, skarbie. Nie martw się o mnie. Właśnie jestem z wizytą u Jade i niedługo wrócę do ciebie.

– A z nią wszystko dobrze?

Mitzi wstaje z podłogi i bez powodzenia usiłuje coś zobaczyć przez szybę w drzwiach sali.

– Tak, myślę, że tak, kochanie.

Dziewczynka słyszy w jej głosie zatroskany ton.

– Jade nic nie będzie. Jest jedną z nas, a sama powiedziałaś, że jesteśmy niezniszczalne.

Mitzi czuje, jak przepełnia ją duma.

– To prawda, jesteśmy. Zawsze wygrywamy.

– Mamo...

– Co, kochanie?

– Widziałaś, w co mnie tutaj ubrali?

Mitzi wybucha śmiechem.

– Tak, widziałam.

– Kurczę!

– Nie martw się, przywiozę ci nową piżamę – pociesza ją Mitzi i milknie. Jedno pytanie nie daje jej spokoju. Pytanie, którego boi się zadać. W końcu odzywa się po chwili wahania. – Czy masz czucie w nogach? Czy możesz nimi poruszać?

W słuchawce zapada cisza.

Milczenie trwa zbyt długo.

– Amber, czy czujesz...

– Mamo, przestań mnie ponaglać. Właśnie przebieram palcami u stóp i sprawdzam. Tak, wszystko w porządku, ale strasznie mnie boli i chyba muszę siku.

Mitzi znów się śmieje.

– Więc idź zrobić siku, tymczasem ja zobaczę, co u twojej siostry, a potem znowu do ciebie zadzwonię. Zgoda?

– Zgoda. Och, mam, proszę, nie zapomnij tylko o tej piźamie.

Mitzi kończy rozmowę i popycha drzwi.

W sali unosi się woń środków odkażających. Okna są zasłonięte i we wnętrzu panuje półmrok o zielonkawym odcieniu. Opatrunek zasłania straszliwą ranę głowy, ale nie jest w stanie zamaskować opuchlizny. Widok ten sprawia, że Mitzi pęka serce.

W kącie sali znajduje się szafa na ubrania. Obok stoją równo trampki od Prady, które Jade dostała od Jacka. Mitzi przypomina sobie, jak fatalnie się czuła, kiedy ten obleśny knur kupował bliźniaczkom prezenty. Teraz zrobiłaby wszystko, by zobaczyć, jak jej córka znowu w nich chodzi.

Powoli zbliża się do łóżka. Jade ma trupio bladą twarz. To przerażające, jak blisko była śmierci. Dopiero wkraczała w życie. Stawała się piękną młodą kobietą. Chociaż jako córka była uparta, pyskata, harda i zarozumiała, nie potrafiła spokojnie usiedzieć w miejscu i zawsze stawiała na swoim, nie zmieniało to faktu, że stawała się piękną młodą kobietą.

Mitzi siada na brzegu łóżka i chwyta dziewczynkę za rękę. Za ledwie godzinę temu tak samo trzymała dłoń jej siostry.

Palce Jade są zimne. Paznokcie ma pomalowane na różowo. To nie był jej lakier, tylko Amber. Najwyraźniej dziewczynki były w dobrych stosunkach. Tuż przed tym, jak świat stanął w miejscu, a wszystko ogarnął chaos.

Mitzi gładzi dłoń córki. Przyciska ją sobie do twarzy. Kładzie głowę na posłaniu. Przeżywa bliskość swojego dziecka. Ostatni raz czuła się tak czternaście lat temu na oddziale porodowym.

Mitzi widzi promienie wschodzącego słońca, które prześwitują między zasłonami, i zamyka oczy. Ogarnia ją zmęczenie. Cały ból i napięcie, jakiego doświadczyła, jest ponad jej siły. Zapada w sen. Fala ciemności, w którą się zapada, przynosi jej ukojenie i leczy rany niczym ciepła kąpiel.

Przebudzeniu towarzyszy nagły gwałtowny wstrząs. Boli ją twarz, jak od ukłucia albo otarcia. Prawie tak, jak gdyby Jade zadrapała ją

w policzek. Opuszcza wzrok i na paznokciach córki zauważa ślady krwi.

Mitzi siada na łóżku i przykłada dłoń do twarzy. Pod opuszkami palców czuje lepłą wilgoć. Powtarza sobie w myślach, że to jakieś urojenie, że na pewno jeszcze śni. To nie mogło stać się naprawdę. Odgarnia włosy z twarzy Jade.

– Kochanie, słyszysz mnie?

Żadnej reakcji. Ale coś się zmieniło.

– Jade, to ja, twoja mama. Czy mnie słyszysz?

Coś na pewno się zmieniło. Mitzi jest tego pewna. Przygląda się jeszcze raz śladom krwi na swoich palcach i pod paznokciami Jade.

Teraz to widzi. Jade znów marszczy czoło. Mitzi oglądała tę minę tysiące razy. Z niczym nie pomyliłaby tej posępnej zmarszczki nad jej brwiami.

– Siostro! Siostro! – krzyczy z całych sił, biegnąc w stronę drzwi. – Czy w tym przeklętym szpitalu nie ma żadnej pielęgniarki?

Jedna z pielęgniarek pojawia się na końcu korytarza i idzie pośpiesznie w jej stronę. Mitzi pędem wraca do sali.

Jade ma otwarte oczy. Popiskujący rytmicznie monitor wydaje teraz dźwięki o innej tonacji niż wcześniej. Dziewczynka porusza ustami.

Mitzi niczego nie słyszy. Podbiega do łóżka córki.

– Skarbie...

Zatrzymuje wyciągniętą rękę w pół drogi, obawiając się, że jej dotyk mógłby zakłócić to delikatne przebudzenie.

– Mamo. – Jade powoli, ochryple cedzi słowa. – Proszę, weź się, kurwa, tak nie wydzieraj. Robisz mi tu obciach.

PÓŁNOCNY MEKSYK

Chris Wilkins wychodzi spod prysznic i postanawia ostatni raz zrobić obchód domu, zanim uda się na spoczynek.

Włącza alarm antywłamaniowy. Sprawdza zamki w drzwiach i upewnia się, że okna są zamknięte. Chowa glocka w szafce łazienkowej, a drugiego wsuwa pod poduszkę. Typowe środki ostrożności, jakie on i Tess stosowali za każdym razem, gdy zatrzymywali się w jakimś nowym miejscu.

Nie ma już żadnych wątpliwości, że Tess nie żyje.

Gdyby przeżyła i pozostała na wolności, wysłałaby e-mail na jedno z tajnych kont pocztowych. Chris sprawdził wszystkie i nie znalazł żadnej wiadomości. Gdyby została aresztowana, zadzwoniłaby do ich prawnika. Nie zrobiła tego. Chociaż nie dopuszcza do siebie tego, co usłyszał w wiadomościach, każda cząstka jego ciała podpowiada mu, że już nigdy nie zobaczy Tess. Zdaje sobie sprawę, że w pewnym momencie, kiedy przestanie uciekać i opadnie napięcie, czeka go kompletne załamanie. Ale potem, kiedy znów stanie na nogi, weźmie krwawy odwet na tych, którzy odpowiadają za jej śmierć.

Ale teraz pozostaje mu szukać pociechy w odpoczynku. Po długich godzinach spędzonych za kierownicą, a potem na niewygodnych siedzeniach autobusu i pociągu, z wielką ulgą rozciąga się na miękkim łóżku. Odpływa zasłuchany w monotonny szum klimatyzacji. Wierci się niespokojnie i miota w pościeli, zrzucając z siebie okrycie. Zapada w coraz głębszy sen.

Minęło tak wiele czasu, odkąd ostatni raz zaznał czegoś więcej niż tylko przelotnej drzemki, że z początku nic nie jest w stanie go obudzić. Nawet alarm przeciwpożarowy. Nawet śwąd spalenizny, który wpełza na górę po schodach.

Nagle coś wyrywa go ze snu.

Jakiś zmysł wyczuwa zagrożenie. Chris siada na łóżku. Głowa boli go

od nagłego przebudzenia, ale już wie, co się dzieje. Dom się pali. Wyciąga pistolet spod poduszki i biegnie w stronę drzwi. Korytarz wypełnia gęsty dym, w którym błyskają pomarańczowe płomienie. Ogień jest już zbyt silny, by dało się tamtędy uciec.

Chris zatrzaskuje drzwi. Podchodzi do podwójnego okna sypialni i otwiera je na oścież. Po prawej stronie widzi rynnę. Jeżeli spróbuje jej dosięgnąć, ryzykuje co najwyżej upadek z blisko czterech metrów. Zresztą perspektywa skręcenia kostki i tak wydaje się lepsza niż bieg przez płomienie.

Chris wsuwa glocka za gumkę slipek na plecach i wchodzi na parapet. Odwraca się i wystawia nogę na zewnątrz. Przesuwa się w stronę rynny. Musi się mocno wychylić, aby ją chwycić, ale udaje mu się to i zawisa na rękach.

Bosymi stopami zapiera się o ścianę i powoli zaczyna schodzić.

Nagle czuje przeszywający ból w plecach. Rozluźnia chwyt i spada bezwładnie niczym worek piasku. Zanim jeszcze uderza o ziemię, uświadamia sobie, że został postrzelony. Po upadku nie może złapać tchu, ale nie zważając na ból, sięga po glocka.

Drugi pocisk rozszarpuje mu brzuch. Trzeci łamie żebro tuż pod sercem. Czwarty trafia prosto w krtań.

Z oddali dobiega wycie syreny wozu strażackiego. Z okolicznych domów wybiegają ludzie.

Kilkaset metrów dalej Ross Green rozmontowuje karabin wyborowy. Zanim przyjadą strażacy, nie będzie tu już po nim śladu. Żałuje tylko, że nie może przekazać sir Owainowi pomyslniej wiadomości z ostatniej chwili.

ZAMEK CAERGWYN, WALIA

W opustoszałej kaplicy zamkowej nie ma nikogo oprócz Myrddina.

Odkąd przywieziono ciało Owaina, starzec nie opuszcza tego chłodnego i mrocznego wnętrza. I nie zamierza się stąd ruszać. Czeką na rozpoczęcie ceremonii, która przeniesie duszę poległego rycerza do Avalonu.

Ubrany w starą żałobną szatę stoi niczym przygarbiony wartownik u stóp człowieka, którego uważał za swojego syna.

Myrddin rozkazał, aby nie starano się zasłaniać śladów spustoszenia, jakie poczynił wybuch. Spoczywające przed nim ciało nosi świeże oznaki chwalebnej śmierci na polu bitwy. Starzec patrzy na poszarpaną skórę, osmalone ubranie i plamy zakrzepłej krwi. W jego oczach są najbardziej zaszczytne medale zdobiące doczesne szczątki, które skrywały jeszcze odważniejszą duszę.

– Ty nadal żyjesz, mój synu. Jesteś nieśmiertelny. – Myrddin dotyka stóp rycerza. – Odrodzisz się w ciele twego nienarodzonego syna, tak samo jak nosiłeś w sobie ducha swojego ojca, jego przodków i wszystkich pokoleń, które budowały nasz mężny kraj.

W oczach starca nie ma łez. Długie lata goryczy, w ciągu których opłakiwał śmierć wielu synów, wysuszyły je do cna.

Myrddin składa dłonie jak do modlitwy i odsuwa od siebie wszystkie myśli, skupiając się wyłącznie na przysiędze, którą zamierza złożyć.

– Uroczyście ślubuję tobie, że otoczę twoją żonę opieką, jakby była moim dzieckiem. – Myrddin przykładła złożone dłonie do szerokiej piersi poległego. – Będę czujnym strażnikiem umysłu i duszy człowieka, któremu powierzyłeś jej dobro. Będę nieustannie dbał o to, aby rozpałał uczucie w jej sercu, co pozwoli jej wychować twoje dziecko w duchu miłości. – Blade palce Myrddina rozpościerają się nad sercem, które kiedyś kochało tak mocno, ale już zamilkło na wieki. – Będę czuwał nad twoim synem Arturem, aby wyrastał na twoje podobieństwo, przemawiał twoim głosem i postępował w twoim duchu. A gdy przyjdzie mu się zmierzyć

z wyzwaniem, które go czekają, stanę przy nim, aby go chronić i prowadzić, tak jak stawałem przy tobie.

Myrddin krzyżuje ręce sir Owaina, aby spoczywały w pozycji, która przystoi poległym rycerzom. Z ciężkim westchnieniem schyla się i podnosi z kamiennej posadzki uświęcony przedmiot, który ma przypieczętować jego ślubowanie. Zamiast pogrzebowego krzyża wkłada w dłonie poległego potężny miecz. Miecz, który symbolizuje wszystko, o co walczył Owain i każdy z jego przodków.

Potem stary zmęczony wróżybita cofa się i opada na kolana.

Wybiega myślami w przyszłość i widzi dzień, w którym przyprowadzi kolejnego młodzieńca do grobu jego bohaterskiego ojca. W tym dniu oznajmi mu, że nadszedł czas, aby ujął w dłonie arturiański miecz, a wraz z nim wzięł na siebie cały ogrom władzy i obowiązków. To będzie dzień, w którym rozpocznie się nowy Cykl.

PODZIĘKOWANIA

Little, Brown/Sphere – dziękuję Jade Chandler za jej wspaniałe pomysły i łagodną perswazję (zwłaszcza w kwestii zakończeń!). Iainowi Huntowi za jego ciężką pracę, jaką włożył w redakcję. Andy’emu Hine, Kate Hibbert i Helenie Doree za biegłość w dziedzinie prawa sprzedaży zagranicznej. Jo Wickham za reklamę. Hollie Smith za marketing. Nickowi Castle za projekt okładki.

LBA – dziękuję Luigiemu Bonomiemu za jego niezłomną wiarę, fachowe porady i błyskotliwe poczucie humoru, a także Alison Bonomi za jej spostrzegawczość i życzliwe wsparcie.

Dziękuję profesorowi Guyowi Rutty’emu, szefowi katedry medycyny sądowej na uniwersytecie w Leicester, za bezcenne wskazówki i niebywałą skrupulatność – za wszelkie odchylenia od prawdy odpowiadam wyłącznie ja.

Dziękuję Jackowi Barclayowi z kancelarii Everett Baldwin Barclay za najlepsze porady z dziedziny biznesu.

Dziękuję Peterowi Robsonowi – znanemu powszechnie jako Lundy Pete – za cierpliwość i pomoc w tworzeniu scen rozgrywających się na Lundy, a także za przybliżenie wspaniałych legend i faktów historycznych.

I na końcu – choć nie najmniej ważnym – dziękuję Donnie, Billy’emu, Elliotowi i Damianowi, którzy są dla mnie wszystkim, co najważniejsze w rzeczywistości i fikcji.

Bractwo Camelotu

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG ZNAK KRWI

CZEŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

CZĘŚĆ DRUGA

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

CZĘŚĆ TRZECIA

81

82

83

84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114

115

116

117

118

119

120

121

122

123

124

125

126

127

128

129

130

131

132

133

134

135

136

137

138

139

140

141

142

CZEŚĆ CZWARTA

143

144

145
146
147
148
149
150
151
152
153
154
155
156
157
158
159
160
161
162
163
164
165
166
167
168
169
170
171
172
173
174
175

176

177

178

179

180

CZEŚĆ PIĄTA

181

182

183

184

185

186

187

188

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:

THE CAMELOT CODE

Copyright © Sam Christer 2013

Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Iwona Wyrwisz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7999-217-1

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2014



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

